

Penny Vincenzi

Chwila zapomnienia

(Sheer Abandon)

Przełożyła Bożena Krzyżanowska

Przejmująca historia trudnych życiowych wyborów.

Trzy nastoletnie dziewczyny, Jocasta, Clio i Martha, spotykają się w momencie, gdy wszystkie niezależnie od siebie wybierają się w podróż. Przypadają sobie do gustu i wspólnie spędzają czas w Tajlandii. Do ich ponownego spotkania dochodzi dopiero po latach, gdy są już dorosłe, ułożyły sobie życie i odniosły sukcesy zawodowe. Ich losy splatają się raz jeszcze z powodu Kate, prześlicznej nastolatki, którą jako noworodka znaleziono w szafce na lotnisku. Dlaczego została tam porzucona? I... która z kobiet jest jej matką?

Penny Vincenzi – popularna pisarka brytyjska. Karierę rozpoczęła jako dziennikarka, pracowała m. in. w „Vogue” i „Cosmopolitan”. Jest autorką kilkunastu powieści, z których każda staje się bestsellerem. www.swiatksiazki.pl

Prolog

Sierpień 1986.

Nikt nie rodzi dziecka w samolocie, a jeśli już coś takiego się zdarzy, sprawę podchwytyją wszystkie gazety.

„Dzielna załoga pomogła przyjść na świat zdrowemu brzdącowi” – piszą zazwyczaj, a potem przedstawiają matkę wraz ze zdrowym noworodkiem. Podają nazwisko kobiety, jej miejsce zamieszkania i szczegółowo opisują, jak doszło do tego wydarzenia. Często zamieszczają również jej zdjęcia z dzieckiem i dzielną załogą.

Dlatego... takie rozwiązanie w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Wystarczy zignorować ból. Zresztą wcale nie jest taki straszny.

Może to tylko niestrawność. Na pewno. Czy jest się czemu dziwić? Siedzi wciśnięta z ogromnym brzuchem w fotel samolotu od ilu?... od siedmiu godzin. Tak, to na pewno niestrawność...

Nawet jeśli tak, problem wciąż pozostaje. Już wkrótce... za kilka dni, może godzin będzie musiała urodzić dziecko. Co gorsza, urodzi je w Anglii, a nie w bezpiecznym – czy aby na pewno? – Bangkoku.

Tak przynajmniej planowała.

Tymczasem mijały dni, które powoli zamieniły się w tydzień, potem dwa, i w niepokojącym tempie zaczął się zbliżać cudownie bezpieczny dzień wylotu; cudownie bezpieczny, bo powrót do kraju miał nastąpić dopiero trzy tygodnie po porodzie. Próbowwała zmienić bilet, ponieważ jednak kupowała go z dużym wyprzedzeniem i ze znaczną zniżką, wyjaśniono jej niezwykle uprzejmie, że bardzo im przykro, ale jeśli chce lecieć w innym dniu, musi po prostu kupić nowy bilet.

Nie mogła. Po prostu nie mogła. Nie miała już pieniędzy, a jakiś czas temu zerwała wszelkie kontakty z przyjaciółmi, bo któryś z nich mógł zauważyć, że wcale tak bardzo nie przytyła, tylko pod tajskimi rybackimi spodniami i obszernymi koszulami ukrywa brzuch wielkości ogromnej dyni.

(Dzięki Bogu ludzie podczas odprawy na lotnisku również tego nie dostrzegli, potraktowali ją jak zgrzaną, zmęczoną, spoconą, wyjątkowo otyłą dziewczynę w luźnym, brudnym ubraniu).

Tak więc nie miała od kogo pożyczyć pieniędzy; nikt nie mógł jej pomóc. Próbując przyspieszyć poród, stosowała wszelkie możliwe sposoby, jakie знаła. Wypiła butelkę oleju rycynowego, jadła ostre curry, chodziła na długie spacerunki po rozpalonych i zatłoczonych ulicach. Czasami czuła skurcz albo gwałtowne pulsowanie, wtedy szybko wracała do siebie, licząc, że wkrótce będzie po wszystkim, ale nic się nie działo.

Teraz też nic się nie dzieje, tylko... ma niestrawność. Boże!

Poczuła potworny, przenikliwy ból, który z całą pewnością nie miał nic wspólnego z niestrawnością. Zagryzła wargę, wbiła paznokcie w dłoń. Jeśli to zaledwie początek, jak będzie wyglądał koniec?

Poruszyła się niespokojnie, pragnąc uciec od bólu. Chłopak, który siedział obok i którego od początku lotu traktowała bardzo oziębło, zmarszczył czoło.

– Przepraszam – powiedziała.

Potem ból zmaleł, zniknął, roztopił się gdzieś w środku dyni.

Dziewczyna rozparła się w fotelu i wytarła chusteczką mokre czoło.

Wiedziała już, że to na pewno nie są problemy z żołądkiem, tymczasem zostały jej jeszcze trzy godziny.

– Dobrze się czujesz?

Chłopak przyglądał się jej z mieszaniną zaniepokojenia i obrzydzenia.

– Tak. Świetnie. Dziękuję. Odwrócił się. Wylądowali. Dzięki Bogu... nie urodziła w samolocie. Później, ilekroć czytała relacje kobiet, które skarżyły się na przykre doświadczenia związane z porodem, nieskuteczność środków przeciwbólowych, spieszące się położne, poczucie osamotnienia i strachu, niezmiennie dochodziła do wniosku, że powinny przeżyć to, co ona. Poród w całkowitej samotności, w pomieszczeniu niewiele większym od kartonowego pudła, gdzie jedynym środkiem przeciwbólowym było skupianie uwagi na czymś innym (liczyła kafelki na ścianach i wraz z upływem czasu robiła to coraz częściej), a jedyną towarzyszką – brzęcząca mucha. Potem zauważyła również jakieś miotły, szmaty i czyste ręczniki – dzięki Ci, Boże, za ręczniki. Jak mogła liczyć, że wystarczy jej paczka waty? Była całkowicie odizolowana od otaczającego świata, sama pełniła funkcję swojej położnej, a jej jedyną pomoc stanowiła cenna książka, którą oparła o ścianę, gdy leżąc na podłodze, wydawała na świat dziecko. Musiała być dzielna, chociaż zawsze tak bardzo bała się bólu, że nie pozwalała sobie założyć plomby bez miejscowego znieczulenia, i była tak niezdarna, że nie umiała samodzielnie zawiązać harcerskiej chusty.

Jednak udało się.

Musiało się udać. Nie miała innego wyjścia.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy umyła się i posprzątała pomieszczenie, owinęła płaczącego noworodka w czyste prześcieradło i koc, które zapakowała do plecaka (wraz z bardzo, bardzo ostrymi nożyczkami, kłębkim sznurka oraz jedynym środkiem dezynfekującym w postaci dużej butelki wody). Potem oparła się o ścianę, ale nie czuła niczego, nawet ulgi. Spojrzała na śpiącą istotkę, na maleńką, spokojną twarzyczkę i zamknięte oczka.

Urodziła dziecko. Została matką, ale tylko na chwilę.

Za kilka godzin będzie mogła o wszystkim zapomnieć.

Całkowicie.

Absolutnie o wszystkim.

Rok wcześniej.

Sierpień 1985.

Trzy obce sobie nastolatki siedziały w sali odlotów na dwóch osobnych ławkach, przyglądając się tej samej tablicy informacyjnej. Wszystkie trzy były ubrane w wyblakłe dzinsy, miały długie włosy, bransoletki z paciorków, tenisówki i niewielkie plecaki (większe przeszły już przez odprawę), co jednoznacznie świadczyło, że właśnie ukończyły szkołę średnią i przed pójściem na studia wybierają się z plecakami w świat.

Każda z nich miała niewielką ilość funtów na świeżo założonym rachunku bankowym, a w kieszeni bilet na podróż dookoła świata.

Wyruszały na wyprawę, podczas której chciały odwiedzić Australię, Nową Zelandię, Tajlandię, a może nawet Nepal, Himalaje i Stany Zjednoczone.

Były podniecone i zdenerwowane, ale przede wszystkim niecierpliwie czekały na początek podróży, bez przerwy zerkając jedna na drugą, uśmiechając się i powoli zbliżając się do siebie, w miarę jak sala zapełniała się ludźmi.

Połączył je komunikat: ich lot do Bangkoku był opóźniony o trzy godziny. Wtedy spojrzały jedna na drugą, zmarszczyły czoła, wstały, podniosły plecaki i podeszły do siebie, zdenerwowane opóźnieniem na samym początku podróży, mimo to zadowolone, bo dzięki temu miały doskonały powód, żeby się poznać i porozmawiać.

– Napijecie się kawy? – spytała jedna z nich.

– Chętnie – odparły pozostałe dwie.

Po chwili znalazły się w kawiarni, w której na stolikach stały brudne filiżanki, a w rozlanej kawie pływały niedopałki. Wyraźnie zmęczona obsługa wycierała brudne blaty jeszcze brudniejszymi szmatami.

– Tu jest wolny stolik – zauważyła jedna z dziewcząt. – Zajmę go. Zostawcie plecaki.

Usadowiła się na krześle, wyjęła paczkę rothmansów i bacznie przyjrzała się nowym przyjaciółkom, które stanęły w kolejce. Wyższa i szczuplejsza z nich miała kaskadę niesfornych jasnych włosów, druga była niższa, pulchniej sza, z włosami splecionymi w warkocz.

– Mamy nadzieję, że to kawa – powiedziała dziewczyna z warkoczem, stawiając tacę na rogu stolika – ale wcale nie jesteśmy tego takie pewne. Na szczęście jest gorąca i mokra. Chcesz cukru?

– Nie, dzięki. Mam na imię Martha – dodała siedząca przy stoliku, uśmiechając się do obu i odrzucając do tyłu długie, ciemne rozpuszczone włosy. – Martha Hartley...

– Ja jestem Clio – przedstawiła się nastolatka z warkoczem. – Clio Scott. Clio przez „i”.

– Jocasta – odezwała się blondynka. – Jocasta Forbes.

– Co za imię! Jocasta!

– Wiem. Moi rodzice próbowali mnie w ten sposób ukarać za to, że nie jestem chłopcem.

- Według mnie to ładne imię – zaproponowała Clio.
- Tak, jest w porządku – przyznała Jocasta – pod warunkiem, że odrzuci się skojarzenia z kazirodstwem, jakie się nasuwają.
- Czy w końcu urodził im się chłopiec? – spytała Martha z zainteresowaniem.
- Niecały rok później. I był to jeden jedyny raz, kiedy pojawił się bez długiego czekania. Od dawna powinien już tu być, tymczasem wciąż go nie ma.
- Ma podróżować razem z tobą?
- Uhm. Przynajmniej na początku. Dzięki temu rodzice mniej się będą o nas niepokoić. Uśmiechnęła się i odgarnęła włosy.
- A co z wami? Martho... czy z twoim imieniem wiąże się jakaś historia?
- Moja matka zawsze powtarza, że bardziej identyfikuje się z Martą niż z Marią... no wiecie, z Biblii. To Marta wszystko robiła, podczas gdy Maria siedziała u stóp Jezusa i tylko Go słuchała. Moja biedna mama zawsze jest bardzo zapracowana.
- Ładne imię – przyznała Jocasta.
- Najwyraźniej nie do końca rozumiała jego związek z Biblią.
- Clio, a ty?
- Moi rodzice poznali się w Oxfordzie, gdzie oboje studiowali filologię klasyczną. W mitologii pojawia się muza i nimfa o imieniu Clio. Imię to pochodzi od greckiego słowa „kleos”, czyli chwała. Mam dwie siostry: Ariadnę i Artemis.
- Czy masz zamiar pójść w ślady rodziców i studiować filologię klasyczną?
- Zdecydowanie nie. Wybieram się na medycynę na Uniwersytet Londyński.
- Urodziłam się w UCH, klinice uniwersyteckiej – oznajmiła Martha – tak samo jak cała reszta. Moja siostra dzisiaj kończy szesnaście lat.
- „Cała reszta”, to znaczy kto?
- Moja siostra i młodszy brat. Ma dziesięć lat, ale wszyscy traktujemy go jak niemowlaka.
- Mam podobny problem – przyznała Clio – tylko że to ja jestem traktowana jak niemowlę, ale nawet nie chcę o tym mówić. Co macie zamiar studiować?
- Ja wybieram się na prawo do Bristolu – powiedziała Martha.
- Tak samo jak mój brat – wtrąciła Jocasta.
- Też wybrał Bristol?
- Nie, prawo, tyle że w Oxfordzie. Jest cholernie mądry. Zdał cztery egzaminy końcowe, wszystkie na sześć, i oczywiście skończył szkołę średnią o rok wcześniej. – Westchnęła. – Zanim spytacie, od razu wyjaśnię, że ja zdałam tylko trzy.
- Martha i Clio zerknęły na siebie, potem Martha zwróciła się do Jocasty:
- A co ty masz zamiar studiować?
- Anglistykę. W Durhamie. W przyszłości chcę zostać dziennikarką, reporterką. Tropić afery, ujawniać skandale, tego typu rzeczy.
- To podniecające.

– Mam nadzieję, chociaż uprzedzono mnie, że przez pierwsze pięć lat będę opisywać wiejskie festyny.

– Udało ci się, Josh! Nie mogę uwierzyć. Spóźniłeś się tylko o godzinę. Na szczęście ze względu na ciebie wstrzymali samolot. – Nagle Jocasta wyraźnie straciła pewność siebie. – Przyłącz się do nas. To Martha i Clio, a to mój brat, Josh.

Martha i Clio miały przed sobą chłopca szokująco podobnego do Jocasty. Te same niesforne jasne włosy, te same ciemnoniebieskie oczy i nieco asymetryczny uśmiech.

– Cześć – powiedział. – Miło was poznać.

– Ale jesteście podobni! – zauważyła Clio. – Wyglądacie jak...

– Wiemy. Wszyscy nam to mówią, ale nie jesteśmy bliźniakami. Josh, czemu się spóźniłeś?

– Zgubiłem paszport.

– Jesteś... beznadziejny. Mama bardzo płakała podczas pożegnania? Josh jest jej ukochanym syneczkiem – wyjaśniła. – Czuje się nieszczęśliwa, gdy traci go z oczu.

– Jakoś to przeżyła. Jak tam kolacja z tatą?

– Nie było kolacji. Ojciec wrócił dopiero o północy, a dziś rano musiał lecieć na jakieś spotkanie w Paryżu, więc nawet nie mógł mnie odwiedzić. Normalka.

– Jak się tu dostałaś?

– Po prostu wsadził mnie do taksówki.

Na twarzy Jocasty wyraźnie było widać napięcie, a jej lekki ton nie pasował do słów.

– Nasi rodzice są rozwiedzeni – wyjaśnił Josh. – Mieszkamy z mamą, ale ojciec chciał...

– Powiedział, że chce – poprawiła go Jocasta, kładąc nacisk na słowo „powiedział” – spędzić ze mną ostatni wieczór przed wyprawą. Nieważne, zmieńmy temat.

Zapadła cisza. Pojawienie się Josha spowodowało pewne napięcie i wszystkie dziewczęta nagle poczuły dziwne skrępowanie... Część lotu spędzili razem, stojąc w przejściu, rozmawiając, przeglądając czasopisma, porównując planowane trasy. Josh po spędzeniu kilku dni w Bangkoku chciał się wybrać na północ; Martha miała zamiar na jakiś czas zatrzymać się w Bangkoku, a potem lecieć na kilka tygodni do Sydney, „popracować w barach i takich tam”, następnie zobaczyć Ayers Rock, lasy deszczowe i Wielką Rafę Koralową.

– Co dalej, nie wiem, ale chciałabym skończyć wyprawę na Nowym Jorku.

Clio zakładała, że przez kilka tygodni będzie przemieszczać się z wyspy na wyspę, potem pojedzie do Singapuru i zatrzyma się u dalekiego kuzyna ojca.

– Tylko na dwa tygodnie. Ma syna, który może wybierze się ze mną w dalszą podróż. Kusi mnie Australia, ale bardzo chciałabym dotrzeć też do Nepalu, chociaż tam boję się jechać sama i liczę, że uda mi się kogoś spotkać.

Jocasta nie miała żadnych planów.

– Zdam się na los. Na pewno zacznę od wysp. Nie mam zamiaru jechać na północ z Joshem, a mój brat chce się mnie pozbyć tak szybko, jak to możliwe.

– Może w takim razie wybierzesz się ze mną do Koh Samui? – spytała Clio. – Na pewno

spotkasz tam kogoś, z kim będziesz mogła odbyć dalszą podróż.

– Na pewno – potwierdziła Martha. – Najlepsza przyjaciółka mojej siostry odbyła taką podróż w ubiegłym roku. Mówiła, że po drodze bez przerwy spotyka się znajomych: ze swojego miasta, swojej szkoły, nawet rodziny.

– Boże, tylko nie to! – jęknęła Jocasta. – Za nic w świecie nie chciałabym spotkać żadnych krewnych. Mam ich po dziurki w nosie.

– Ja na pewno nikogo nie spotkam – powiedziała Martha. – Członkowie mojej rodziny za wielką przygodę uważają jednodniową wyprawę do Francji.

– Ja też nie tęsknię za krewnymi – wtrąciła Clio. – Po raz pierwszy w życiu mam szansę zrobić coś samodzielnie, bez sióstr.

– Nie lubisz ich?

– Chyba nie. Obie są starsze ode mnie, piękne i mądre. Co gorsza, traktują mnie, jakbym miała osiem, nie osiemnaście lat.

– W takim razie... pewnie miałaś poważne problemy z uzyskaniem zgody rodziców na tę wyprawę. Skoro jesteś najmłodsza...

– Prawdę mówiąc, mama zmarła, gdy byłam bardzo mała, a moje siostry jakoś zdołały przekonać ojca, chociaż nie kryły, że ich zdaniem wrócę do domu jeszcze przed Bożym Narodzeniem, i to z głośnym płaczem.

Na okrągłej twarzy Clio na moment pojawiło się napięcie i ogromny smutek, potem szybko się uśmiechnęła.

– Najważniejsze, że mi się udało.

– Moi rodzice nie mogli się doczekać, kiedy się mnie pozbędą – zdradziła Martha.

– Dlaczego?

– Uznali, że to podniecające. Prowadzą dość... nie, nie dość, bardzo ograniczone życie. Ojciec jest pastorem, dlatego wszyscy musimy zachowywać się bardzo szacownie. Żadnych wyskoków. Można powiedzieć, że przez cały czas jesteśmy w światłach jupiterów. Małych, ale jednak jupiterów. Cała parafia na nas patrzy.

– Bardzo mnie to dziwi – wyznała Clio. – W obecnych czasach, w dwudziestym wieku?

– Obawiam się, że dwudziesty wiek nie dotarł do parafii Świętego Andrzeja w Binsmow. Tam czas zatrzymał się w miejscu.

– Gdzie to jest?

– W głębi Suffolku. Gdy w ubiegłym roku w którąś niedzielę poszłam z przyjaciółmi do kina, dowiedziało się o tym przynajmniej kilkanaście osób i od razu wszystkie poskarżyły się mojemu ojcu. Czy teraz rozumiecie, o czym mówię?

Przez chwilę w milczeniu przetrawiały najświeższą wiadomość. Potem padło pytanie:

– A co z twoją mamą?

– Kieruje WI, organizacją kobiet zajmujących się prowadzeniem domu i pracą społeczną. Uwielbia to. Bardzo się ucieszyła, że wyjeżdżam, chociaż jednocześnie nie kryła pewnych obaw.

– Jak w takim razie owi szacowni ludzie w ogóle zdołali cię zmagistrować? – spytała Jocasta ze śmiechem. – Gdzie chodziłaś do szkoły? Do jakiejś placówki związanej ze swoim wyznaniem?

– Nie... do zwyczajnej szkoły państwowej – powiedziała szybko Martha. – To następny nieodłączny element życia rodziny pastora. Mówiąc bardzo oględnie, nie ma zbyt dużo pieniędzy. A co wy kończyłyście?

– Sherborne – odparła Jocasta. – A wcześniej prywatną szkołę z internatem.

– Ja normalną szkołę – dodała Clio. – Oxford High. Zawsze marzyłam o szkole z internatem.

– Zapewniam cię, że nie masz czego żałować – wyjaśniła Jocasta.

– To najbardziej samotne miejsce na świecie, jeśli tęskni się za domem tak jak ja.

– Czy można się dziwić komuś, kto ma... ile, osiem lat? – spytała Martha.

– Tak. Moja matka właśnie przeżywała załamanie nerwowe... z powodu rozstania z ojcem. Josh był w domu nieco dłużej. Po jakimś czasie przyzwyczałam się. Zauważyłyście, że koniec końców człowiek potrafi przyzwyczać się dosłownie do wszystkiego?

Wyjrzała za okno, zniechęcając nowe przyjaciółki do dalszych pytań o jej życie rodzinne. Martha i Clio wymieniły spojrzenia i zaczęły rozmawiać na temat artykułu z „Cosmopolitan”, jak pogodzić karierę, miłość i dzieci...

– Nie chciałabym tak żyć – zapewniła Martha. – Nie chcę mieć wszystkiego. Zwłaszcza dzieci. Wystarczy mi kariera.

W tym momencie kazano im wrócić na swoje miejsca.

Razem spędziły trzy dni w Bangkoku, trzy całkiem zwyczajne dni, podczas których więź łącząca nowe przyjaciółki bardzo się zacieśniła. Powoli przyzwyczały się do wysokiej wilgotności, upału, zanieczyszczonego powietrza i wszechobecnych przykrych zapachów.

– Moim zdaniem to mieszanina woni gnijących warzyw, spalin i odchodów – oznajmiła beztróska Clio.

Mieszkały w tym samym ponurym pensjonacie przy ulicy Khao San. Przeżyły niewiarygodny i cudowny szok kulturowy – upał, hałas, tłumy ludzi, migocące kolorowe neony, salony masażu i tatuażu, budki, w których sprzedawano wszystko – od podkoszulków po fałszywe roleksy i pirackie płyty kompaktowe. Pozostałe budynki też były pensjonatami, a w kawiarniach przy rozjaśnionej neonami ulicy bez końca wyświetlano wideo. Każda z dziewcząt prowadziła dziennik podróży, dlatego co wieczór gorliwie robiły notatki. Planowały, że spotkają się za rok i przeczytają sobie nawzajem o swoich przygodach. Najpoważniej swoje zapiski traktowała Jocasta. Potem chętnie wracała do nich po latach i starając się nie zwracać uwagi na nieco manieryczny styl, przypominała sobie dni, kiedy we trójkę poznawały wyjątkowo brudne i przeludnione, a jednocześnie fascynujące miasto. Przy takich okazjach znów odczuwała upał, zdenerwowanie i ogromne zaciekawienie. Czowała smak jedzenia sprzedawanego w budkach na ulicy, maleńkich kurczaków powbijanych po cztery na każdy drut, pochłanianych razem z kośćmi i całą resztą, kebabów, a nawet karaluchów i szarańczy smażonych w wokach na

głębokim tłuszczu. Widziała kaskady ciepłego deszczu, spadającego pionowo na ulice. Już po pięciu minutach woda sięgała po kostki.

– Bangkok ma odwrotny system kanalizacyjny – żartowała. Uśmiechała się na wspomnienie posuwających się w żółwym tempie pojazdów, które przez cały dzień wypełniały szerokie ulice, przeładowanych autobusów, rowerów, zmotoryzowanych trzykołowych taksówek, przemykających się w ulicznym ruchu, i skuterów, na których jeździły całe, niekiedy pięcioosobowe rodziny, a od czasu do czasu nawet elegancko ubrane młode pary, ściskające się w kłębach spalin.

Mając na względzie spotkanie za rok, nie pisały tylko o jednym: o pozostałych dwóch i o Joshu, ale w ciągu tych trzech dni dowiedziały się o sobie bardzo dużo. Że Jocasta niemal od urodzenia prowadzi nieustającą walkę o uczucia i uwagę ojca, że Clio, dorastając, rozpaczliwie zazdrościła swoim starszym siostrom ich urody i inteligencji, że za żartobliwymi skargami Marthy na zasadniczych rodziców ukrywa się ogromna niechęć do nich i że Josh, czarujący, błyskotliwy Josh, jest wyjątkowo arogancki i leniwy. Dowiedziały się, że Jocaście, pomimo oszałamiającej urody, brakuje wiary w siebie, że Clio uważa się za wyjątkowo tępą, a Martha przede wszystkim marzy o pieniądzach.

– W przyszłości chcę być naprawdę bogata – powiedziała, gdy siedziały pewnego dnia w barze, popijając jeden koktajl za drugim i namawiając się nawzajem do skosztowania smażonych na głębokim tłuszczu robaków. – Bardzo, bardzo bogata.

Kiedy się rozstawały – Clio i Jocasta jechały do Koh Samui, Josh wybierał się na północ, a Martha jeszcze na kilka dni zostawała w Bangkoku – czuły, że ich przyjaźń przetrwa długie lata.

– Zdzwonimy się po powrocie – planowała Jocasta, po raz ostatni ściskając Marthę – a jeśli któraś z nas się nie odezwie, jakoś ją znajdziemy. Nie będzie ucieczki.

Część pierwsza

Rozdział Pierwszy

Sierpień 2000.

Zawsze w podobnych sytuacjach czuła się tak samo, co ją zaskakiwało, przynosiło ulgę, ekscytowało i trochę zawstydzalo.

Odchodząc, wiedziała, że jej się udało, że oparła się pokusie obejrzenia się za siebie, że jest spokojna i opanowana. Wciąż pamiętała, jak stary Bob z agencji informacyjnej powiedział, iż najważniejszą cechą dobrego reportera są zdolności aktorskie. Rzadko odczuwała wstyd, ale jeśli miała do czynienia z prawdziwą tragedią, wtedy czaił się gdzieś na dnie duszy, a ona porównywała się do pasożyta, który zbija kapitał na czyimś nieszczęściu.

Tym razem przeżywała prawdziwy horror; niemowlę w wózku spacerowym zostało potrącone przez kradziony samochód; kierowca się nie zatrzymał, a policja złapała go dopiero osiemdziesiąt kilometrów dalej. Dziecko leżało na oddziale intensywnej terapii i nikt nie potrafił powiedzieć, czy przeżyje; rodzice byli wściekli, a jednocześnie pogrążeni w smutku, siedzieli na ławce przed drzwiami szpitala i trzymali się za ręce. W trakcie pisania artykułu dostała emaila z biura: czy mogłaby szybko napisać coś na temat fryzury Pauline Prescott (gorący temat, bo jej mąż tym właśnie tłumaczył swój najnowszy głupi wybryk); wysyłają zdjęcie. Jocasta, z trudem odrywając myśli od ciężko rannego niemowlęcia, zastanawiała się, czy jest na świecie jakaś inna praca, która w tak krótkim czasie powoduje tyle stresów. Napisała krótką notatkę i przedyktowała ją przez komórkę, po czym wróciła do dziecka. Nagle zadzwonił telefon.

– Czy to pani...

– Tak, Dave, to ja, Jocasta. – Rozpoznała głos ojca niemowlęcia. – Masz jakieś wieści?

– Owszem – odparł. – Wyjdzie z tego, wyzdrowieje, widzieliśmy go. Nawet się do nas uśmiechnął!

– Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę – powiedziała Jocasta. Poczwała ogromną ulgę, nie tylko dlatego, że dziecko będzie żyło, ale że sprawiło jej to tak niekłamaną radość. Miała w oczach łzy. Jeszcze nie stała się reporterem o kamiennym sercu. Dokończyła artykuł i sprawdziła emaile; było sporo śmieci, jedna wiadomość od Josha, kilka od przyjaciół... i tekst, który wywołał uśmiech na twarzy Jocasty.

„Witaj, Boska Istoto. Spotkajmy się po Twoim powrocie w gmachu parlamentu. Nick”.

Odpisała mu, że przyjdzie koło dziewiątej wieczorem, po czym przerzuciła kalendarz. Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie minęło dokładnie piętnaście lat od dnia, kiedy wyruszyła do Tajlandii w poszukiwaniu przygód. Nigdy nie zapomniała o tej rocznicy. Zastanawiała się, czy Clio i Martha też o niej pamiętają. I co robią. Nie doszło jednak do ponownego spotkania. Co roku wracała myślami do wspólnej obietnicy... której nigdy nie dotrzymały. Może to dobrze, biorąc pod uwagę wszystko, co się później wydarzyło...

Nick Marshall był komentatorem politycznym w „Sketchu” – gazecie Jocasty, ale pracował

nie w lśniącym budynku na Canary Wharf, lecz w jednym z obskurnych pomieszczeń nad galeriami dla prasy w gmachu parlamentu. „Kiedyś tak właśnie wyglądały pokoje redakcji informacyjnych” – powiedział Jocaście jeden z weteranów. Rzeczywiście wielu dziennikarzy, którzy pamiętali czasy, kiedy przy Fleet Street mieściły się redakcje niemal wszystkich gazet, zazdrościło komentatorom politycznym, że mogą pracować w samym centrum wydarzeń, a nie w lśniących drapaczach chmur daleko stamtąd. Jocasta zawsze dostrzegała duże podobieństwo między redakcją gazety a parlamentem: dominujący w nich mężczyźni nie stronili od plotek i alkoholu (w gmachu parlamentu można było dostać drinka niezależnie od pory dnia czy nocy), a jednocześnie zarówno między kolegami, jak i rywalami panowała dobra, przyjazna atmosfera. Uwielbiała takie układy. Spotkali się w westybulu, potem Nick zabrał ją do „Annie Bar”, królestwa deputowanych, korespondentów i redaktorów. Tam podprowadził ją do niewielkiej grupki.

– Na co masz ochotę, skarbie?

– Na podwójną chardy.

– W porządku. Miałaś zły dzień?

– Nie... właściwie dobry, ale jestem zmęczona. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku. Czy ktoś coś chce?

– To samo – odpowiedziała cała grupka jak jeden mąż. Jocasta uśmiechnęła się do nich.

– Cześć, chłopaki! Wydarzyło się coś ciekawego?

– Prawdę mówiąc, niewiele – odparł Euan Gregory, dziennikarz „Sunday News”. – Przewaga laburzystów maleje, Blair coraz bardziej traci kontakt z rzeczywistością, zbyt dużo zawirowań... wszystko już było. Prawda, Nick?

– Niestety. Proszę, skarbie... – Pochylił się, żeby ją pocałować. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Oczywiście. Cieszyła się, i to bardzo.

– W takim razie wypij drinka. Potem zabieram cię na kolację.

– O mój Boże, czym ja sobie na to zasłużyłam?

– Niczym. Jestem głodny, a tutaj nic ciekawego się nie dzieje.

– Ale z ciebie dżentelmen! – westchnęła Jocasta, opróżniając kieliszek.

Nickowi rzeczywiście nie brakowało cech dżentelmena. Był synem bogatego farmera, miał dyplom z filologii klasycznej ukończony na Oxfordzie oraz staroświeckie maniery – przynajmniej w stosunku do przedstawicieli starszego pokolenia. Namiętnie kochał politykę, a po nieudanych próbach w tejże dziedzinie doszedł do wniosku, że szybciej dostanie się na salony władzy poprzez strony polityczne w gazecie. Był znakomitym dziennikarzem, a jego najbardziej sensacyjnym, choć może nie najważniejszym materiałem okazała się rewelacja, że znany minister z ramienia torysów kupował sobie skarpetki i slipy wyłącznie w sklepach z rzeczami używanymi. Jocasta zakochała się w Nicku od pierwszego wejrzenia. Gdy wszedł do pokoju redakcji informacyjnej „Sketcha”, w którym rozpoczęła pracę, dosłownie ugięły się pod nią kolana. Ktoś

jej powiedział, że jest komentatorem politycznym, więc założyła, że będzie go widywać codziennie. Przeżyła ogromne rozczarowanie, gdy dowiedziała się, że przystojny redaktor przychodzi tylko na organizowane od czasu do czasu narady albo spotkania w cztery oczy z redaktorem naczelnym, Chrisem Pollockiem. Jocasta nie ucieszyła się również na wieść, że Nick w każdej gazecie ma dziewczynę, chociaż nikogo to nie dziwiło: był bardzo wysoki (ponad metr dziewięćdziesiąt), niezwykle przystojny, miał gęste brązowe włosy, duże, smutne, również brązowe oczy, krzaczaste brwi, długi, prosty nos i seksowne usta. Nie przepadał za grami zespołowymi, ale całkiem nieźle biegał, zaliczył nawet nowojorski i londyński maraton. Co więcej, każdego ranka, niezależnie od tego, ile wypił poprzedniego wieczoru, można go było zobaczyć biegającego wokół Hampstead Heath, gdzie mieszkał.

Jak się później okazało, wcale nie miał dziewczyny w każdej gazecie, ale kobiety naprawdę go uwielbiały. Z wzajemnością. Gdy Jocasta Forbes zaczęła pracować w „Sketchu”, Nick jakimś cudem właśnie nie miał nikogo na stałe.

Przez kilka miesięcy bezwstydnie uganiała się za nim, aż pewnego wieczoru, mniej więcej rok temu, kiedy oboje potwornie się spili na przyjęciu „Spectatora”, uznała, że jeśli chce coś osiągnąć, musi wykazać większą aktywność, i zaczęła namiętnie go całować. Nie chcąc zdawać się na przypadek, zaproponowała, żeby poszli do jej mieszkania, a tam Nick oświadczył, że ma na jej punkcie bzika.

– Od dawna cię podziwiam, chociaż przypuszczalnie nawet o tym nie wiesz.

– Nie wiem – powiedziała z pewnym rozdrażnieniem. – A powinnam, zwłaszcza że od roku nie ukrywałam, jak mi się podobasz.

– Zauważyłem, ale myślałem, że po prostu starasz się być miła. Wydawało mi się, że dziewczyna, która wygląda tak jak ty, musi mieć chłopaków na pęczki.

– Och, na litość boską! – jęknęła Jocasta.

Położyła się obok niego, a wówczas ich związek w końcu został – bardzo szczęśliwie – przypieczętowany. Chociaż nie usankcjonowany, co bardzo martwiło Jocastę. Czasami ona zostawała na noc u niego albo on u niej (czyli w Clapham Common, gdzie też mógł pobiegać), ale wciąż nie mogli się zdobyć na następny krok, czyli zamieszkanie razem. Nick nieustannie powtarzał, że nie ma pośpiechu.

– Oboje pracujemy do późna, poza tym jesteśmy bardzo szczęśliwi, więc nie ma sensu cokolwiek zmieniać.

Jocasta mogła wyliczyć przynajmniej kilka powodów do zmian, głównie ten, że chodzą ze sobą od ponad roku i jeśli naprawdę są tacy szczęśliwi, należałoby jakoś zacieśnić ich związek. Nie bez znaczenia było również to, że miała trzydzieści trzy lata, wkrótce skończy trzydzieści cztery, a przecież, jak wszystkim wiadomo, po ukończeniu trzydziestego piątego roku życia samotność przestaje oznaczać niezależność i zaczyna być powodem do żartów.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytała, gdy szli długim korytarzem.

– Do Covent Garden – odparł. – „Mon Plaisir”. Dziś wieczorem nie chcę widzieć nikogo z

naszej branży.

To coś nowego. Jednym z minusów romantycznych wieczorów z Nickiem była jego miłość do pracy i wszystkich współpracowników, dlatego Jocasta podejrzewała, że gdyby w którymś momencie padł na kolano, aby jej się oświadczyć, i jednocześnie zobaczył po przeciwnej stronie sali Trevora Kavanagha z „Sun” czy Ebena Blacka z „The Sunday Times”, zaproponowałyby im, żeby się do nich przyłączyli. Nagle zdała sobie sprawę, że od wyjścia ze szpitala nawet nie przyczesła włosów.

– Zaczekaj chwileczkę – poprosiła. – Muszę wejść do toalety. Spotkamy się w westybulu.

Gdy po kilku minutach dotarła do rozległej przestrzeni w samym sercu gmachu parlamentu, Nick był pogrążony w rozmowie z kimś, kogo nie znała. Skinął na nią ręką.

– Przepraszam – powiedział nieco zadyszany. – Będziemy musieli wybrać się na chwilę do mojego biura. Właśnie dzięki przeciekowi zdobyłem dość ciekawą informację.

– Na temat?

– Najnowszego pomysłu Blunketta, jak radzić sobie z osobami starającymi się o azyl. Chodź, skarbie, przyrzekam, że to nie potrwa długo.

– Nareszcie – westchnął, gdy w końcu usadowili się w „Mon Plaisir”. – Jak minął dzień? Wyglądasz na zmęczoną, pani Kucharko.

– Bo jestem zmęczona, panie Kamerdynerze.

Kiedyś wybrali się na bal przebierańców w strojach kucharki i kamerdynera. Od tego czasu niekiedy korzystali z owych przezwisk w bardziej pikantnych emailach.

– Normalka – dodała. – Trafiła mi się jedna tragedia i jeden drobiazg: fryzura pani Prescott. Mam dość pisanie takich bzdur.

– Czemu? Jesteś w tym dobra.

– Wiem, Nick – przyznała.

Rzeczywiście świetnie sobie radziła; potrafiła dostać się do każdego domu, podczas gdy inni dziennikarze stali na progu; umiała znaleźć sposób, by wtargnąć w życie prywatne innych ludzi. Zawdzięczała to swojemu urokowi osobistemu i do pewnego stopnia – wyglądowi. Jeśli ktoś miał wybrać między rozmową ze sztywnym reporterem w eleganckim garniturze a młodziutką dziewczyną o długich jasnych włosach, dużych niebieskich oczach, twarzy, na której malowało się współczucie, i głosie łamiącym się ze wzruszenia, wybierał ją. Zwłaszcza gdy wyznała swojemu rozmówcy, że to najgorszy element jej pracy i że naprawdę bardzo niechętnie prosi o rozmowę, ale jeśli tylko będzie mogła zadać parę pytań, postara się załatwić sprawę szybko i bezboleśnie. W takich sytuacjach podjęcie decyzji wcale nie było trudne. Jocasta opisywała w swoich artykułach więcej historii z życia wziętych, znanych powszechnie jako tragedie, niż ktokolwiek inny na Fleet Street. Niestety, była tym znużona. Wolałaby pracować nad poważnymi, obszernymi artykułami albo zostać korespondentem zagranicznym lub komentatorem politycznym.

Wiedziała jednak, że żaden redaktor naczelny nie da jej takiej szansy; była zbyt dobra w tym,

co robiła. W zdominowanym przez mężczyzn światku dziennikarskim blondynka o fantastycznych nogach miała swoje zadanie. Polegało ono na pisaniu historii, z którymi nie radzili sobie jej koledzy. Oczywiście, hojnie ją za to wynagradzano, ale podobnie jak w związku z Nickiem zdecydowanie chciała czegoś więcej.

– A co tobie się dzisiaj przydarzyło? Oprócz wcześniejszej sensacji?

– Zjadłem lunch z Janet Freaan.

– Powinam być zazdrosna?

– Nie masz o kogo. Dziwaczka, matka pięciorga dzieci, parlamentarzystka znana z proeuropejskich sympatii, wywalona z gabinetu cieni – zdecydowanie nie w moim guście. Nie lubię jej, ale ma ogromną siłę przebicia i trzeba się z nią liczyć.

– Co ci powiedziała?

– Że jest chora z powodu tego, co się dzieje w partii. Prawdę mówiąc, wszyscy są przygnębieni. Twierdzą, że Hague nie jest odpowiednią osobą na premiera, że partia robi wszystko źle. Że następnym razem nie wejdą do parlamentu.

– I?

– I... mówią, że ktoś powinien to przerwać. Przy wsparciu kilku prawomyślnych członków partii. Ludzi, którzy są gotowi powiedzieć: to do niczego dobrego nie prowadzi, wiemy, że można lepiej, przyłączcie się do nas.

– A czy tacy ludzie istnieją?

– Wygląda na to, że tak. Jednym z nich jest Chad Lawrence.

– Naprawdę? Głosowałam na niego. To najwspanialszy facet w Westminsterze. Przynajmniej według „Cosmo”.

– Co może mu tylko pomóc, bo po jego stronie staną dziesiątki głosujących kobiet. Mają w swoich szeregach również kilka starszych i powszechnie szanowanych osób. Najwybitniejszą z nich jest Jack Kirkland.

Jack Kirkland, po mało obiecujących początkach jak na torysa – pochodził z rodziny robotniczej z południowego Londynu – został ministrem edukacji.

– Do czego to wszystko prowadzi, Nick?

– Do powstania po lewej stronie centrum nowej partii, kojarzonej z torysami, kierowanej przez charyzmatycznych przywódców, przemawiającej do rozczarowanych wyborców zarówno Blaira, jak i torysów. Blair traci na popularności, zarzuca się mu, że niewiele osiągnął. Tak samo jak Hague. Wielu wyborców torysów tęskni do zmian i żywi nadzieję, że może będzie lepiej. Gdyby na widok kogoś nowego i silnego powiedzieli „tak”, co jest wysoce prawdopodobne, byłbym gotów na nich postawić. Kirkland i jego ludzie mogą dobrze wypaść.

– A co chciała od ciebie ta ich superkobieta?

– Pozyskać naczelnego. Zdobyć dla nowej partii poparcie naszej gazety. Oczywiście, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Myślę, że Pollock się zgodzi. Nowy pomysł obudzi w nim jego romantyczną naturę.

– Uważasz Chrisa Pollocka za romantyka?!

– Nie w waszym, kobiecym znaczeniu tego słowa, raczej powiedziałbym, że w wersji Dawida i Goliata, zwycięzcy i przegranego. Co więcej, naszymi czytelnikami są właśnie tacy ludzie, o jakich mówi Freat.

– No dobrze, a kiedy i jak wszystko może się zacząć?

– Najpierw muszą zgromadzić odpowiednie fundusze i przeciągnąć na swoją stronę więcej ludzi. Powiedziałbym, że do zjazdu partii powinno już nieźle wrzeć.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami. Uśmiechnęła się.

– Może... – powiedziała z zamyśleniem. – Może to będzie moja wielka szansa. Pierwszy prawdziwy, poważny artykuł. Nigdy nie wiadomo.

– Jocasto, uwielbiam cię, ale to nie jest historia z życia wzięta.

– Dlaczego nie? Idę o zakład, że Chad Lawrence ma intrygujący życiorys. Tak czy inaczej, nie zamierzam cię przekonywać. Wypijmy szampana. Na zdrowie! Za nowych toryków, czy jak tam będą się nazywać.

– I dziennikarkę opisującą ich życie prywatne.

Wyjrawszy przez okno swojego biura, Martha zobaczyła na niebie pierwsze oznaki świtu. Pracowała całą noc. Był lipiec; dzień zaczynał się bardzo wcześnie – zaledwie kilka minut po czwartej. Lubiła całonocną pracę, uważała ją za pasjonującą i co dziwne, nigdy nie odczuwała ani odrobiny zmęczenia.

Tak czy inaczej, właśnie skończyła; należało jeszcze oddać dokument do przepisania, wprowadzić ostatecznie zmiany i przygotować do podpisu. Zadzwoiła do nocnej sekretarki; nikt nie odpowiedział. Widocznie gdzieś wyszła. Zawsze gdzieś wychodzą i plotkują w innych biurach. To irytujące! No cóż, będzie musiała poradzić sobie inaczej. Zniosła papiery do innego biura i poprosiła, żeby zadzwonili, gdy będą gotowe. Postanowiła przespać się półtorej godziny w pokoju wypoczynkowym, a potem pójść na siłownię i wrócić do biura. W południe spodziewała się wizyty klientów, którzy chcieli zamknąć sprawę, nie mogła więc sobie pozwolić na żadną wpadkę. Była to największa fuzja, nad jaką Martha pracowała – jedna spółka finansowa przejmowała drugą, a nowy twór miał obejmować porozrzucane po całym świecie biura obu firm. Całością miał kierować wyjątkowo ekscentryczny szef.

Udało się. Sayers Wesley, jedna z największych i najlepszych firm prawniczych w Londynie, stoczyła w imieniu klienta potężną bitwę i ostatecznie ją wygrała. Tą bitwą dowodziła trzydziestotrzyletnia Martha Hartley, jedna z najmłodszych współpracownic kancelarii.

Była szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Na dodatek zarobiła dla Sayers Wesley niezłą fortunę, co za jakiś czas znajdzie odzwierciedlenie w jej wynagrodzeniu. Wynagrodzeniu, które wynosiło trzysta tysięcy funtów. Marzenie Marthy o bogactwie zostało spełnione.

Gdy po raz ostatni była w domu, ojciec spytał ją nieśmiało, co robi z taką ilością pieniędzy. Ku swojej rozpaczy pojawiła się na liście szybko awansujących i rokujących duże nadzieje kobiet z City, „przyszłych milionerek” – jak napisano. Rodzina była zaszokowana wysokością jej

zarobków. Martha nie przyznała się, że jej majątek wart jest o jakieś dwieście tysięcy funtów więcej, niż podano w gazecie.

– Wydaję je – odparła.

– Wszystkie?

– Nie... część inwestuję. W akcje i tym podobne.

Dlaczego czuła, że musi się bronić?

– Poza tym kupiłam dom w Verbier. Co też można uznać za inwestycję... Jeśli się do niego nie przeprowadzę, zawsze będę mogła go sprzedać.

Przeprowadzała się do niego od dwóch lat, bezskutecznie; była zbyt zajęta.

– Moje mieszkanie też jest bardzo drogie... Miała nadzieję, że nie spytają, jak bardzo.

– Prawdopodobnie ma obecnie wartość przynajmniej dwa razy większą, niż za nie zapłaciłam. Poza tym dużo przeznaczam na cele charytatywne – wyjaśniła, nagle dziwnie zła. – Naprawdę dużo. Chciałabym również pomóc tobie i mamie, żebyście mogli kupić sobie jakiś domek, w którym zamieszkacie po przejściu na emeryturę.

Na razie duma nie pozwalała Hartley om na przyjmowanie pieniędzy od dzieci, ale zaczynało być widoczne, że to nieuniknione – choć bolesne. Martha świetnie to wyczuwała, dlatego starała się postępować bardzo, bardzo dyskretnie, tylko jak można oględnie powiedzieć: „Posłuchajcie, mamó i tato, chcę wam dać trzydzieści tysięcy, potrzebujecie ich bardziej niż ja”? Trzymała te pieniądze na wysoko oprocentowanym rachunku, oszczędzała je bez większych problemów od ponad pięciu lat. Niemal nie mogła uwierzyć, że tak łatwo jej to przychodzi. Jednak, ku swojemu przerażeniu, większość pieniędzy wydawała na własne zachcianki, i dobrze o tym wiedziała. Miała wspaniały apartament w jednym z najdroższych drapaczy chmur w Docklands. Były w nim ogromne okna, chłodne podłogi z jasnego drewna oraz meble od Conrana i Purves & Purves. Jeździła mercedesem kabrioletem SLK, chociaż korzystała z niego tylko podczas weekendów; miała bogatą garderobę, w której można było ćwiczyć się w wymienianiu znanych nazwisk, takich jak Armani, Gucci, Ralph Lauren, Donna Karan. Nosiła buty od Toda, Jimmy’ego Choo i Manola Blahnika. Pracowała po czternaście godzin dziennie, często również podczas weekendów. Prowadziła bardzo ograniczone życie towarzyskie, rzadko chodziła do teatru czy na koncerty, bo często musiała odwoływać takie wyprawy.

– Masz jakiegoś chłopaka?

Jej siostra od siedmiu lat była mężatką i miała trójkę dzieci.

– Na pewno wychodzisz gdzieś wieczorami z kolegami z pracy.

– Tak, oczywiście – odparła Martha krótko.

Nie kłamała. Miała za sobą nudne, stateczne związki z dwoma notariuszami i rozpaczliwy romans z trzecim, Amerykaninem, który, jak się okazało, był żonaty, o czym długo nawet nie próbował jej poinformować, a gdy to zrobił, było już za późno, bo zakochała się w nim po uszy. Oczywiście, Martha natychmiast z nim zerwała, ale chociaż od tamtego wydarzenia minął rok, wciąż nawet nie chciała myśleć o wybraniu się z kimś do miasta. Miała niewielkie grono dobrych

przyjaciół: kilka kobiet, które pracowały tak samo jak ona i z którymi od czasu do czasu wybierała się gdzieś na kolację, oraz parę gejów, których bardzo lubiła i którzy stanowili wspaniałą eskortę przy oficjalnych okazjach. Mimo to gdzieś w głębi jej duszy czaił się strach. Starala się to uczucie bagatelizować, ale często wracało podczas bezsennych nocy, zwłaszcza gdy otrzymała wiadomość, że następna przyjaciółka związała się z kimś na stałe. Był to strach przed życiem, w którym nie będzie miała z kim dzielić swoich zwycięstw, w którym nikt nie pomoże jej pogodzić się z porażkami, w którym miarą spełnienia będą jedynie przedmioty materialne, a ona, pełna wyrzutów sumienia, będzie spoglądać za siebie, na swoje samotne egoistyczne życie. Rankiem, po każdej takiej nocy i ucieczce od najbardziej ponurych myśli, wmawiała sobie, że samotność to dobra rzecz, bo nikt nie stoi na przeszkodzie jej ogromnym ambicjom, nie zakłóca rytmu dnia, nie niszczy ubrań, nie zostawia brudnych talerzy i porozkładanych gazet w nieskazitelnie czystym apartamencie. Co więcej, dzięki temu całkowicie panowała nad swoim życiem.

O szóstej postanowiła wrócić do biura. Gdy wychodziła z sypialni, przejrzała się w lustrze: wyglądała, jakby przez całą noc smacznie spała.

Martha nie była piękna; Francuzi na takie dziewczyny jak ona mówią: jolie laide. Miała drobną, okrągłą twarz, jasną skórę i ciemne, błyszczące oczy. Niestety, nos był nieco za duży w stosunku do twarzy, co jej się nie podobało, dlatego czasami zastanawiała się nad operacją plastyczną. Nie odpowiadały jej również usta, zbyt duże jej zdaniem, chociaż miała idealne, ładne zęby. Włosy... no cóż... z pewnością miały śliczny, brązowy kolor i pięknie błyszczały, ale były całkiem proste, dlatego wymagały ciągłych (i bardzo kosztownych) starań, żeby układały się w zwyczajne fale, sprawiając wrażenie, jakby wystarczyło je wymyć i wysuszyć.

Wygląd Marthy – jak wszystko inne w jej życiu – był rezultatem wielu godzin ciężkiej pracy.

Po biurze krzątała się znużona Azjatka z odkurzaczem.

– Dzień dobry, Lino. Jak się miewasz?

Martha dość dobrze ją znała; sprzątaczką zawsze pojawiała się w jej biurze o szóstej rano. Było to pierwsze z jej trzech codziennych zajęć.

– Przepraszam panią. Czy mam przyjść później?

– Nie, nie, nie przerywaj sobie. Co u ciebie słychać?

– Och, jestem trochę zmęczona.

– To widać, Lino. A jak rodzina?

– Całkiem nieźle, chociaż bardzo martwię się o Jaśmin.

– Jaśmin?

Martha oglądała kiedyś zdjęcia pięknej trzynastolatki, uwielbianej przez oboje rodziców.

– Tak. Ma pewne problemy w szkole. To kiepska szkoła i Jaśmin się w niej nudzi. Przestała się uczyć. Mówi, że nauczyciele są beznadziejni i nie potrafią utrzymać dyscypliny.

Co gorsza, gdy moja córka odrobi zadanie, koledzy i koleżanki bardzo jej dokuczają, mówiąc, że jest... kowalem. Wie pani, co to „kował”?

Martha potrząsnęła przecząco głową.

– Ktoś, kto dużo się uczy. Kujon. Więc Jaśmin coraz bardziej zaniedbuje się w nauce. Tymczasem w jej poprzedniej szkole powiedziano nam, że powinna pójść na studia. Kiedy o tym myślę, boli mnie serce.

– To okropne, Lino.

Martha naprawdę była oburzona. Uważała, że nie wolno marnować życiowych szans.

– Nie możesz posłać jej do innej szkoły?

– Wszystkie szkoły w sąsiedztwie są złe. Zastanawiam się, czy nie wziąć jeszcze jednej pracy i nie sprzątać wieczorami w supermarkecie. Wtedy mogłabym wysłać ją do szkoły prywatnej.

– Już i bez tego jesteś bardzo wyczerpana, Lino. Na twarzy Azjatki pojawił się uśmiech.

– Kto jak kto, ale pani nie powinna mówić o wyczerpaniu, panno Hartley. Pracuje pani całymi nocami.

– Wiem... ale po powrocie do domu nie zajmuję się członkami rodziny.

– Tylko po co się nimi zajmować, skoro koniec końców i tak wylądują na zasiłku.

– Jestem pewna, że Jaśmin nigdy...

– Połowa nastolatków w agencji nie ma pracy. Nie mają żadnych kwalifikacji, niczego. Jedyną szansą na przyszłość jest zdobycie wykształcenia, a Jaśmin go nie zdobędzie, jeśli zostanie tu, gdzie jest. Muszę ją stamtąd wyciągnąć, nawet jeśli będzie mnie to kosztowało wiele wysiłku.

– Och, Lino!

Boże, jak takie rzeczy irytowały Marthę! Dlaczego obecny system spisuje dzieci na straty, jednocześnie próbując udowodnić za pomocą statystyk, że warunki życia wciąż się poprawiają? Zaledwie poprzedniego dnia Martha czytała, że bardzo dużo dzieci przyjmowanych do szkoły średniej wciąż nie umie czytać. Przypomniała sobie swoją cudowną szkołę średnią; takie placówki powinny być dostępne dla dzieci w rodzaju Jaśmin, inteligentnych młodych ludzi z nizin społecznych, młodzieży, która zasługiwała na to, by móc wykorzystać posiadany potencjał. Tymczasem zostało już niewiele szkół średnich przygotowujących do egzaminów na studia, a Martha nie tak dawno słyszała, jak minister edukacji obiecywał, że dopilnuje, by je zamknięto jeszcze przed następnymi wyborami do parlamentu, bo są sprzeczne z ideą szkoły średniej, która przyjmuje dzieci niezależnie od dotychczasowych wyników w nauce. Też mi idea... !

– Jestem przekonana, że da sobie radę – powiedziała Martha po chwili. – Zdolne dzieci zawsze jakoś sobie radzą. Jaśmin na pewno się przebije.

– Niestety, nie. Nie wie pani, jak jest w takich szkołach. Żadne dziecko nie chce odróżniać się od pozostałych. Jeśli wszyscy przyjaciele Jaśmin odwracają się od niej, gdy odrabia zadania, to co ma zrobić?

– Nie... nie wiem.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy nie zaproponować pomocy w opłaceniu czesnego dziewczynki... ale co zrobić z pozostałymi dziećmi w rodzaju Jaśmin, innymi inteligentnymi

młodymi ludźmi, których pozbawiono szans? Nie może pomóc wszystkim. Tymczasem problem stanowi nie tylko edukacja: ojciec Marthy bardzo często opowiadał jej o swoich zaawansowanych wiekiem parafianach, którzy latami czekają na endoprotezę stawu biodrowego, a potem leżą przerażeni i samotni na brudnych oddziałach prowadzonych przez niezmiernie przepracowane zakonnice. Co można zrobić? Czy ktokolwiek potrafi temu zaradzić?

Martha szybko i bezwzględnie odsunęła od siebie pytanie, co mogłaby zrobić. Albo przynajmniej próbować zrobić.

Zajrzała do kalendarza, żeby sprawdzić, czy nie ma do załatwienia jakichś zaległych spraw osobistych, na przykład, czy nie trzeba wysłać komuś życzeń urodzinowych – zawsze na wszelki wypadek trzymała w szufladzie biurka kilka kartek – albo do kogoś oddzwonić. Wszystko było w porządku. Wysłała już siostrze kwiaty: zawsze pamiętała o jej urodzinach. Tego samego dnia ona, Jocasta i Clio spotkały się na Heathrow przed wyprawą w podróż dookoła świata. Powiedziała wtedy, że koniecznie chce odnieść w życiu sukces i być bogata. Była ciekawa, czy im też się powiodło.

I czy kiedykolwiek je zobaczy. Uznała, że to mało prawdopodobne. I dobrze.

Clio zastanawiała się, czy wystarczy jej odwagi, żeby powiedzieć swojemu narzeczonemu, co zrobiła i dlaczego. Nie będzie zadowolony. Ani trochę. Więc... no, Clio, daj spokój, nie bój się.

Co prawda wkrótce masz wyjść za mąż, ale wciąż jesteś osobą niezależną. Podnieś słuchawkę i powiedz mu o wszystkim. To twój narzeczonemu, nie komisja lekarska...

– Halo! To ty, Josie? Mówi Clio Scott. Cześć. Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Gravesem? Słucham? Naprawdę? Widocznie ma w harmonogramie dużo operacji. W takim razie... czy mógłby później do mnie zadzwonić? Gdy skończy Nie, jestem w domu. Dzięki, Josie. Cześć.

Cholera! Nie da się tego szybko załatwić. Zresztą wciąż jeszcze jest czas, żeby zmienić zdanie, ale...

Gdy nagle zadzwonił telefon, podskoczyła zdenerwowana. Z pewnością nie Jeremy, jeszcze nie mógł skończyć.

– Clio Scott? Cześć. Mówi Mark Salter. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszymy, że zgodziłaś się u nas pracować. Jestem pewien, że ci się tu spodoba, poza tym bardzo przydasz się w naszym zespole. Im wcześniej, tym lepiej. Z tego, co wiem, prosiłaś od razu o urlop na miodowy miesiąc. Co za tupet! No cóż, w takim razie do zobaczenia, Clio.

Lubiła Marka Saltera. Był starszym wspólnikiem w przychodni lekarskiej i między innymi właśnie ze względu na niego tak bardzo zależało jej na tej pracy. Na niego i niewielką odległość od domu. Albo raczej tego, co dopiero będzie domem. Tak, tyle z pewnością mogła powiedzieć Jeremy'emu. Że między innymi podjęła taką, a nie inną decyzję, bo dzięki temu będzie miała blisko do pracy. Powinno mu się to spodobać. Na pewno...

– Nie rozumiem.

Siedzieli w promieniach zachodzącego słońca przy stoliku na świeżym powietrzu w Covent Garden. Na surowej twarzy Jeremy'ego malowało się zdumienie i złość. Clio zawsze uważała, że gdyby ktoś szukał aktora pasującego do roli chirurga, ewentualny kandydat powinien wyglądać jak Jeremy: być wysokiego wzrostu, trzymać się prosto, mieć brązowe falujące włosy, szare oczy i regularne rysy twarzy.

– Naprawdę nie rozumiem. Umówiliśmy się przecież, że będziesz pracować tylko na pół etatu. Żebyś zawsze w razie potrzeby mogła mnie wspierać. I oczywiście prowadzić dom.

– Wiem, Jeremy. – Odesłała kelnera gestem ręki. – Wiem również, że przed wyrażeniem zgody powinnam z tobą porozmawiać, ale... początkowo... to miała być tylko praca na pół etatu. Potem okazało się, że są dwie połówki, czyli jeden pełny etat. Kierownik przychodni zadzwonił i zaproponował mi całość, tylko chciał, żebym od razu podjęła decyzję, bo zgłosili się też inni kandy...

– Z pewnością mogli poczekać, aż naradzisz się ze mną.

– Tak, oczywiście, ale... – Nagle poczuła natchnienie, chociaż było to drobne kłamstwo. – Prawdę mówiąc, od razu do ciebie zadzwoniłam. Josie na pewno ci mówiła. Niestety, byłeś na sali operacyjnej, a ja musiałam... musiałam szybko podjąć decyzję. Nie rozumiem, dlaczego tak ci się to nie podoba. Przecież wiesz, że jestem odpowiednio przygotowana do pracy w charakterze lekarza pierwszego kontaktu, zgodziliśmy się, że dobrze by było...

– Ale miałaś pracować na pół etatu, nie na całym. Jeśli nie widzisz różnicy, to znaczy, że mamy problemy. Poważne problemy.

Clio ogarnęła panika, potworna panika.

– Jeremy! Nie mów tak. Proszę. To śmieszne. – Szybko się opanowała. – Nie idę pracować na ulicy. Mam zamiar zostać lekarzem pierwszego kontaktu. Blisko domu, w którym będziemy mieszkać. Dobrze wiesz, że potrzebujemy pieniędzy, i to bardzo...

– Clio, praca w charakterze lekarza pierwszego kontaktu pochłania sporo czasu...

– Twoja praca też pochłania sporo czasu! – warknęła, patrząc mu prosto w oczy. – Co ja mam robić, gdy ty operujesz przez sześć dni w tygodniu? Polerować meble, których jeszcze nie mamy? Jestem z wykształcenia lekarzem, Jeremy. Uwielbiam swoją pracę. To była wspaniała okazja. Proszę, spróbuj cieszyć się razem ze mną.

– Fakt, że tak ciężko pracuję, stanowi jeszcze jeden powód ku temu, żebyś była zawsze pod ręką, kiedy jesteś mi potrzebna – powiedział. – Liczę na twoje wsparcie, nie chcę wracać zmęczony do domu, po którym będziesz się snuła tak samo wyczerpana jak ja albo w ogóle cię nie będzie.

– W porządku – zgodziła się, uświadamiając sobie, że jest winna, przynajmniej do pewnego stopnia. – Przepraszam. Wiem, że powinnam częściej się z tobą konsultować, ale... dostałam dzisiaj szacunkową wycenę remontu dachu. No wiesz, zmiany pochyłości. Potrzebujemy dziesięciu patoli, Jeremy. Na sam dach. Nie sądzę, żeby wykonywanie przez ciebie w soboty prywatnych operacji pozwoliło pokryć takie wydatki, prawda? Przynajmniej jeszcze nie w tej

chwili. Póki nie zostaniesz starszym chirurgiem.

– A do tego czasu będę musiał obchodzić się bez twojego wsparcia? Rozumiem.

– Och, Jeremy, przestań być śmieszny.

Clio łatwo wpadała w złość. I dobrze, bo był to jedyny sposób, żeby wykrzesać z siebie odrobinę odwagi i stawić czoło narzeczonemu.

– Wszystko przekreślasz – dodała. – Przecież cię wspieram, a zarobione przeze mnie pieniądze będziemy mogli wydać na dom i w ten sposób przyspieszyć remont.

– Coraz częściej utwierdzam się w przekonaniu, że nie powinniśmy byli go kupować – burknął, ponuro wpatrując się w swój kieliszek. – Skoro ma być dla nas takim obciążeniem.

– Jeremy, wiedzieliśmy, że będzie nas sporo kosztował. Zgodziliśmy się jednak, że jest wart pewnych wyrzeczeń. Nie kłamała. Oboje od pierwszego wejrzenia zakochali się w pięknym, wczesno wiktoriańskim wiejskim domku w uroczej wiosce opodal Godalming. Niezamieszkanym od kilkudziesięciu lat, przegniły i zawilgocony, stał się domem ich marzeń.

– Możemy mieszkać tu przez całe życie – powiedziała wówczas Clio, patrząc na przegniły sufit z wyraźnymi plamami wilgoci i dziurami, przez które prześwitywało słońce.

– Pokój przy kuchni byłby idealnym miejscem na organizowanie przyjęć – dodał Jeremy.

– A ogród – zawołała Clio, wybiegając przez przegniłe tylne drzwi do zarośniętego chwastami ogrodu, który ciągnął się kilometrami – jest po prostu cudowny! Spójrz, ile drzew! Kocham drzewa. Zaproponowali absurdalnie niską cenę wyjściową... a potem dość szybko spadli z obłoków, gdy zaczęły nadchodzić szacunkowe wyceny prac. Był to jeden z powodów, dla których Clio tak bardzo chciała pracować w pełnym wymiarze. Jeden z powodów... Jeremy i Clio poznali się, gdy ona bezpośrednio po ukończeniu medycyny rozpoczęła staż w UCH, a on przygotowywał się do specjalizacji. Nigdy nie mogła uwierzyć, że udało jej się zwrócić na siebie uwagę kogoś tak przystojnego i wyjątkowego.

Beznadziejnie się w nim zakochała, dlatego bardzo przeżyła, gdy oświadczył jej prosto z mostu, że jeszcze przez wiele lat nie ma zamiaru się żenić. Upokorzona Clio zaczęła chodzić ze swoim kolegą – również stażystą, ale po dwóch latach wspólnego życia, gdy niespodziewanie wpadła do jego mieszkania, przyłapała go w łóżku z inną kobietą.

Głęboko zraniona i rozczarowana, przez jakiś czas wrogo odnosiła się do wszystkich mężczyzn, bez reszty poświęcając się pracy w szpitalu. W końcu zdecydowała się na geriatrię i zaczęła pracować jako lekarz specjalista w Royal Bayswater Hospital.

Po kilku latach ponownie spotkała Jeremy'ego podczas jakiejś konferencji geriatrycznej. Pracował w Duke of Kent Hospital w Guildfordzie i prowadził wykłady na temat operacji ortopedycznych u ludzi starszych. Podczas kolacji usadzono ich przy tym samym stoliku.

– No więc... wyszłaś za mąż? – spytał po półgodzinnej pogawędce o wszystkim i o niczym.

– Nie – odparła. – A ty jesteś już żonaty?

– Nie. Nigdy nie spotkałem żadnej kobiety, która choć odrobinę przypominałaby mi ciebie.

Rok później się zaręczyli, a za kilka tygodni mieli wziąć ślub. Zasadniczo Clio była bardzo

szczęśliwa, ale od czasu do czasu dręczył ją dziwny niepokój. Tak jak teraz.

– Posłuchaj – powiedziała, kładąc delikatnie rękę na jego dłoni. – Naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro. Nie wiedziałam, że to będzie dla ciebie aż takie ważne.

(Kłamiesz, Clio, kłamiesz. Nigdy wcześniej nie umiałaś kłamać).

– Pozwól mi przyjąć tę pracę na sześć miesięcy. Jeżeli po tym okresie nadal będziesz jej przeciwny, zrezygnuję. Obiecuję. Co ty na to?

Przez chwilę milczał, najwyraźniej nadal bardzo urażony.

– W porządku – rzekł w końcu – ale nie przypuszczam, by mi się to spodobało. Czy możemy złożyć zamówienie? Jestem potwornie głodny. Dziś po południu zoperowałem trzy biodra i cztery kolana. Jedno z nich było naprawdę skomplikowane.

– Opowiedz mi o nich – zaproponowała, przywołując gestem kelnera.

Nie było szybszego sposobu wprawienia Jeremy'ego w dobry nastrój niż uważne słuchanie, gdy opowiadał o swojej pracy.

– Chętnie – zgodził się.

Zamówił dużą polędwicę wołową i butelkę bordo, po czym oparł się o krzesło. Jak zawsze zacmokał, gdy poprosiła o solę z grilla, i ostrzegł, że w ten sposób Clio zagłodzi się na śmierć.

– Pierwsze biodro – zaczął – było dziurawe jak rzeszoto, więc musiałem...

Clio rozsiadła się wygodnie, próbując skoncentrować się na słowach narzeczonego. Przy pobliskim stoliku usadowiła się jakaś para młodych ludzi; oboje najwyraźniej wędrowali z plecakami po świecie, byli chudzi i opaleni... jak oni wszyscy. Oczywiście, Clio wcale nie była chuda, przynajmniej na początku. Potem... Często o tej porze roku, kiedy przez Londyn przewijało się mnóstwo nastolatków z plecakami, zastanawiała się, co porabiają Jocasta i Martha i przypominała sobie, jak świetnie wszystkie trzy się rozumiały. Możliwe, że obecnie byłoby całkiem inaczej, chociaż prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiedzą.

Rozdział Drugi

– Ona by mi pozwoliła! Na pewno by mi pozwoliła. Moja prawdziwa matka. Chciałaby, żebym się dobrze bawiła, i nie trzymałaby mnie w domu pod kluczem jak jakiejś zakonnicy. Och, gdyby się dowiedziała, jak zatruwasz mi życie. Pójdę tam! Nie zdołasz mnie zatrzymać!

Helen spojrzała na zarumienioną, pełną złości twarz, dostrzegła w ciemnych oczach nienawiść i zrobiło jej się niedobrze. To była jedyna rzecz, którą tak ciężko znosiła – gdy Kate wykorzystywała fakt, że Helen nie jest jej prawdziwą matką. Oczywiście, w tym wieku to całkiem normalne, już dawno, dawno temu mówili o tym pracownicy pomocy społecznej, ludzie z organizacji wspierających rodziców adoptowanych dzieci i agencji adopcyjnej. Ostrzegali, że na pewnym etapie – prawdopodobnie w okresie dojrzewania Kate – nie obejdzie się bez mniej lub bardziej poważnych kłopotów.

– Potrzebują czegoś, do czego mogą się odwoływać – ostrzegął Jim. – Kate zacznie idealizować swoją biologiczną matkę i przypisze jej wszystkie cechy, których ty nie masz. Po prostu spróbuj się tym zbytnio nie przejmować. Ona w rzeczywistości wcale nie będzie tak myślała.

Nie przejmować się tym? Jak można się nie przejmować, gdy ktoś, kogo tak bardzo się kocha, wali na oślep, próbuje zranić i odwraca się od ciebie?

To niesprawiedliwe – pomyślała Helen, czując ucisk w gardle.

Najchętniej rzuciłaby jakąś uszczypliwą uwagę w rodzaju: „Jakoś dotychczas twoja biologiczna matka niezbyt się tobą interesowała”.

– Nie bądź głupia, Kate – zreflektowała się jednak. – Nie trzymam cię pod kluczem ani nie próbuję zatruwać ci życia. Dobrze o tym wiesz. Po prostu uważam, że jesteś za młoda, by iść na paradę przebierańców sama jak palec.

– Nie idę sama – wyjaśniła Kate. – Wybieram się razem z Sarah. I na pewno pójdę. Wiem, dlaczego nie chcesz mnie puścić.

Bo nie lubisz Sarah. Nigdy jej nie lubiłaś. Nie zaprzeczaj, wiesz, że to prawda. I nie wołaj mnie na kolację, bo nie jestem głodna. Idę do swojego pokoju. W porządku?

– Świetnie – oznajmiła Helen. – Bardzo dobrze. Pracownicy organizacji, która pomaga rodzicom adoptowanych dzieci, byłiby ze mnie dumni – pomyślała. Tyle że to żadna pociecha.

Po kolacji Kate na chwilę pojawiła się w kuchni, potwornie hałasując i bałaganiąc, przygotowała sobie tost, po czym bez słowa wróciła do siebie. Po jej wyjściu Helen spytała Jima, czy nie są zbyt surowi.

– Kate ma czternaście lat i wiele jej przyjaciółek wybiera się na tę paradę.

– Ale ona nie pójdzie – oświadczył, biorąc do ręki gazetę. – Jest za młoda, koniec, kropka.

Helen zaczęła rozładowywać zmywarę, jak zwykle przy takich okazjach rozmyślając o matce Kate. Przypuszczalnie puściłaby dziewczynkę na paradę. Całkiem możliwe, że była osobą liberalną, lekkomyślną i, oczywiście, całkiem nieodpowiedzialną...

Prawdopodobnie dzięki temu nigdy nie musiała zmieniać pieluch. O wiele, wiele później, kiedy Helen ułożyła się do snu, usłyszała, że Kate płacze. Kobieta ostrożnie wstała z łóżka, żeby nie budzić męża, powędrowała korytarzem i zapukała do drzwi córki.

– Mogę wejść?

Cisza. To dobry znak. Gdyby Kate krzyknęła: „Nie!”, nie byłoby żadnych szans na rozmowę. Helen czekała.

– Proszę – padło w końcu.

Kate leżała z twarzą ukrytą w poduszce i burzą jasny eh włosów rozrzuconych wokół głowy.

– Nie płacz, kochanie. Napijesz się czegoś? Może zrobię ci kakao albo coś innego?

– Nie, dzięki.

Podziękowanie też było dobrym znakiem.

– Może w takim razie... chcesz pogadać?

– Jest mi obojętne.

To znaczy, że chce. Helen ostrożnie usiadła na skraju łóżka.

– Przepraszam, kochanie. Za paradę przebierańców. Tata i ja ponownie rozmawialiśmy na ten temat.

– I co? – spytała Kate z nadzieją w głosie.

– Przykro mi. Może następnym razem.

– Mamo... mam piętnaście lat. Nie cztery. Będzie tam mnóstwo moich rówieśników. Boże, tata jest takim dinozaurem!

– Wcale nie – zaprotestowała Helen, siląc się na lojalność wobec męża. – Oboje myślimy tak samo. Przykro mi. Posłuchaj, a może wybrałybyśmy się jutro we dwie na zakupy? Wydały pieniądze urodzinowe od babci?

– I co, kupiły ładne, białe skarpetki czy coś w tym stylu? Nie, dziękuję.

Zapadła cisza. Po chwili Kate odezwała się:

– Mamo...

– Tak?

– Wcale cię nie nienawidzę.

– Wiem, kochanie. Wiem.

– To dobrze. Po prostu czasami jestem... potwornie zła. Na nią. Na... swoją matkę. Myślę... że łatwiej by mi było, gdybym wiedziała, dlaczego to zrobiła. Dlaczego mnie zostawiła? Dlaczego? Przecież mogłam umrzeć, mogłam...

– Kochanie, jestem pewna, że zrobiła wszystko, żeby ktoś cię znalazł. Nim... nim odeszła.

Zapadła długa chwila ciszy, potem Kate powiedziała:

– Bardzo chciałabym coś o niej wiedzieć. Bardzo. Wiem, że wydanie dziecka na świat jest wyjątkowo bolesne. Więc... jeśli urodziła mnie całkiem sama, nikomu nie mówiąc ani słowa... musiała być bardzo dzielna.

– Z całą pewnością.

– Czasami zastanawiam się, czy jestem do niej podobna. I w czym. Myślę, że chyba nie umiałabym być taka dzielna.

To znaczy na pewno nie zgodziłabym się na zrobienie plombi bez znieczulenia. Tymczasem urodzenie dziecka musiało wiązać się z nieporównanie większym bólem. Niekiedy próbuję dojść do tego, co jeszcze o niej wiem. Prawie nic. Chyba tylko tyle, że musiała być wyjątkowo nieodpowiedzialna. Czy to was tak niepokoi? Czy dlatego bardziej mnie pilnujecie, że boicie się, iż wyjdę gdzieś, prześlę się z kimś i zajdę w ciążę? Podejrzewam, że tak.

– Nie bądź śmieszna, Kate. Wcale tak nie myślimy.

– W takim razie dlaczego jesteście tacy staroświeccy i surowi?

– Po prostu troszczymy się o ciebie, to wszystko. Nie chcemy...

– Wiem, wiem, żyjemy w zwariowanym świecie, na każdym rogu można spotkać dealerów narkotykowych i handlarzy białymi niewolnikami. Zwłaszcza podczas parady przebierańców. – Uśmiechnęła się blado. – W porządku, mamó. Nic nie poradzisz na to, że jesteś taka stara.

– Nic nie poradzę. Lepiej ci?

– Chyba. Tak. Dzięki, że przyszłaś. Kiedy Helen dotarła do drzwi, Kate rzekła:

– Mamó, co byś powiedziała, gdybym spróbowała jej poszukać?

– Swojej biologicznej matki?

– Uhm...

– Świetnie, kochanie. Oczywiście, pod warunkiem, że naprawdę tego chcesz.

– Naprawdę tego chcę.

– Jeśli tak, to nawet się nie zastanawiaj. – Zawahała się. – Jeśli mogę w czymś pomóc...

– Nie, poradzę sobie. – Na drobniutkiej twarzy znów pojawiło się napięcie. – Wolałabym zrobić to sama, dziękuję.

Dzięki Ci, Boże, za ciemność – pomyślała Helen, szybko zamykając za sobą drzwi. Inaczej Kate zauważyłaby, że jej matka płacze.

Czasami żałowała, że nie zignorowała wszelkich rad i powiedziała Kate prawdę. Naturalnie, wcale nie musiałyby utrzymywać, że sama ją urodziła, ale mogła, na przykład, powiedzieć, że matka biologiczna Kate umarła i dlatego dziewczynkę trzeba było zaadoptować. Jak siedmioletnie dziecko – bo tyle lat miała Kate, gdy po raz pierwszy zadała pytanie: „Co się stało z moją drugą mamusią?” – mogło pogodzić się z informacją, że jej „druga mamusia”, jej prawdziwa mamusia, zostawiła ją w pomieszczeniu ze środkami czystości na lotnisku Heathrow, bez jakiegokolwiek karteczki, bez pieluszki, jedynie owiniętą w koc? Helen nieco upiększyła tę historię. Powiedziała, że Kate była owinięta w mięciutki kocyk, zadowolona, ciepłutka i że matka przed odejściem dopilnowała, by ktoś znalazł noworodka. Siedmioletnia Kate z ogromną uwagą wysłuchiwała opowieści, po czym pobiegła do ogrodu pobawić się z siostrą. Nieco później wróciła i oznajmiła:

– Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie jestem księżniczką.

– Na pewno jesteś moją księżniczką – zapewnił ją Jim.

– Ostatecznie możesz być moim księciem – uznała, uśmiechając się promiennie do ojca. – Tak czy inaczej, chciałabym wyjść za ciebie za mąż.

Życie wtedy było takie proste.

Mała Kate nabrała pewności, że jest kimś wyjątkowym, że została wybrana przez rodziców, a nie po prostu im się urodziła jak jej siostra Juliet, która pojawiła się na tym świecie – ku ogromnemu zaskoczeniu i radości obojga – dwa lata po zaadoptowaniu Kate. Dziewczynka przez jakiś czas była z tego zadowolona i wyglądało na to, że rzadko zastanawia się nad swoim pochodzeniem, aż do pewnego okropnego dnia, kiedy, mając dziesięć lat, wróciła ze szkoły z płaczem. Jedna z koleżanek dokuczała jej, że została adoptowana.

– Powiedziała mi, że gdyby tamta mamusia mnie kochała, nigdy by mnie nie zostawiła.

– To nieprawda, Kate – zaproponowała Helen, czując, że ogarniają ją panika, bo nagle uświadomiła sobie, że zaczynają się poważne problemy, którym w najbliższym czasie trzeba będzie stawić czoło. – Chciała, żebyś miała szczęśliwy dom, którego sama nie mogła ci zapewnić, zależało jej, żebyś znalazła się u ludzi, którzy odpowiednio się o ciebie zatroszczą. Ona nie mogła... powtarzałam ci to wiele razy.

Kate zaakceptowała wówczas wyjaśnienie Helen, ale w miarę jak dorastała i stawała się coraz mądrzejsza, zaczęła zdawać sobie sprawę, jak wygląda naga, brzydka prawda, i coraz bardziej to przeżywała.

Jakoś sobie radziła, póki nie uświadomiły jej przyjaciółki, które wiedziały, co rzeczywiście się stało. Wtedy nie można już było dalej udawać. Dziewczynka musiała pogodzić się z przykrą prawdą.

Gdy Kate zaczęła przysparzać coraz więcej kłopotów, matka Helen, Jilly, bardzo wspierała córkę. Starsza pani najpierw stwierdziła, że bała się tego od chwili, kiedy Helen powiedziała jej, że zaadoptowali znajdę (jak wciąż określa się takie dzieci), po czym obiecała, że nigdy więcej nie będzie tak nazywać wnuczki.

Dotrzymała słowa, co więcej, starała się pomagać, jak tylko mogła, przede wszystkim od czasu do czasu wsuwając ukradkiem Kate dziesięciofuntowe banknoty, zabierając ją na zakupy („Oczywiście, wiem, co będzie jej odpowiadało, Helen, w końcu pracuję w świecie mody, prawda?”) i wystawne lunche w modnych restauracjach. Jimowi bardzo się to nie podobało, ale jak tłumaczyła Helen, jej matka może w przyszłości stać się kimś, z kim Kate będzie mogła porozmawiać, gdy poczuje taką potrzebę.

– Na litość boską, czemu nie może porozmawiać z nami?

– Są sprawy, które, w jej przekonaniu, mogą nas zdenerwować, sprawy, o których nie będzie chciała nam powiedzieć. Lepiej, żeby poszła z nimi do mojej matki, osoby, którą uważa za niekonwencjonalną i przebojową, niż do okropnej Sarah.

Jim nie protestował. Nie lubił matki żony, bo starsza pani wołała Kate niż Juliet, co nie miało sensu, zwłaszcza że Juliet była rodzonym dzieckiem Helen. Chodziło o to, że jako dziecko Jima miała wiele jego cech. Była niezwykle układna, wyjątkowo bystra i utalentowana muzycznie, ale

jednocześnie cicha, nieśmiała, pozbawiona nieodpartego uroku Kate, a przy Jilly czuła się onieśmielona.

Helen uznała, że to jej najpiękniejszy dzień w życiu, gdy pani Forster z agencji adopcyjnej zadzwoniła i zaproponowała im dziecko.

– To znajda – wyjaśniła – więc nigdy nie będzie problemów z powrotem na łono jej prawdziwej rodziny.

Właściwie Helen знаła już historię dziewczynki, o której pisano na pierwszych stronach gazet.

„Mała Bianca” – wydrukowano pod zdjęciem. – „Tak właśnie została nazwana przez pielęgniarki, bo znaleziono ją w pomieszczeniu ze środkami czystości na Heathrow („bianca” po włosku znaczy „biała”). Bianca ma obecnie pięć dni”. Dalej wspomniano, że pracownicy opieki społecznej szukają jej matki, która może potrzebować pomocy lekarskiej. Proszono również, żeby każdy, kto zauważył coś dziwnego w terminalu trzecim na Heathrow w nocy szesnastego sierpnia, skontaktował się z najbliższym posterunkiem policji.

– Jak można zrobić coś takiego? – powiedziała Helen do Jima. Kiedy w końcu Mała Bianca znalazła się w objęciach swojej nowej matki, kobieta miała wrażenie, że przynajmniej do pewnego stopnia zna już swoją adoptowaną córeczkę. Bianca (której wkrótce dano na imię Kate) otworzyła duże niebieskie oczka (które po jakimś czasie nabrały ciemnobrązowego koloru), spojrzała na swoją nową mamę, pomachała maleńką, przypominającą pierzasty liść rączką i lekko wydeła drobniutkie usteczka. Wtedy Helen wiedziała, że chce się nią zajmować do końca życia. Niemniej dzisiejszy dzień z pewnością nie należał do najszcześniejszych. Kobieta próbowała pogodzić się z tym, że maleńka, całkiem niezaradna istotka w jakiś dziwny sposób przeobraziła się w niezależną nastolatkę i postanowiła znaleźć kobietę, która naprawdę ją urodziła i którą uważa za swoją matkę. Niezależnie od tego, kim jest matka Kate – pomyślała Helen – najchętniej bym ją zabiła.

Rozdział Trzeci

Z mocnego pierwszego snu wyrwał ją uporczywy dźwięk dzwonka u drzwi. Miała za sobą długi, męczący wieczór, a artykuł skończyła pisać dopiero o północy. Potykając się, zeszła ze schodów i otworzyła drzwi rozczochranemu, wymizerowanemu Joshowi.

– Mogę wejść? – spytał. – Beatrice mnie wyrzuciła. Dziwne, że nie zrobiła tego wcześniej – pomyślała Jocasta, sadzając brata na sofie. Pierwszy raz zdradził żonę rok po ślubie, ponownie zrobił to sześć miesięcy po urodzeniu się ich drugiej córeczki. Rok później miał, jak się zaklinał, jednodniową przygodę ze swoją sekretarką. Wtedy Beatrice zapowiedziała, że następny raz będzie ostatni. Teraz właśnie odkryła romans, który Josh miał od pięciu miesięcy z młodą Angielką pracującą w paryskim biurze Forbesa. Zgodnie z obietnicą Beatrice nie wpuściła męża do domu.

– Jestem taki głupi – powtarzał Josh w kółko – taki cholernie głupi.

– Owszem, jesteś – przyznała Jocasta, uważnie mu się przyglądając.

Trzymał się za głowę. Miał trzydzieści trzy lata. Wciąż jeszcze można się w nim było dopatrzeć pięknego niegdyś chłopca o jasnych włosach, wysokim czole i pełnych ustach. Teraz jednak miał sporą nadwagę i zbyt czerwoną twarz, chociaż nadal był bardzo atrakcyjny i nieodpartym urokiem przyciągał do siebie kobiety. Wszyscy kochali Josha. Miał, być może, dość dziwne poczucie humoru, ale jako zabawny gawędziarz potrafił rozruszać pełny pokój gości albo towarzystwo przy stole. Mógł więc poszczycić się bezcennym talentem towarzyskim – umiejętnością rozbawiania innych.

Beatrice nie była piękna, ale miała kilka ładnych szczegółów: duże, ciemne, ciepłe oczy (które odwracały uwagę od sporego nosa i szczęki), długie, gęste, lśniące włosy, smukłe i bardzo, bardzo długie nogi. Kiedy poznała Josha, miała już za sobą kilka doskonałych występów w obronie przestępców; Josh w tym czasie dryfował przez życie, z wielkim szumem przygotowując się do przejęcia rodzinnej firmy. Zrezygnował z prawa, rzucił uniwersytet i na jakiś czas zainteresował się filozofią. Potem przez rok bezskutecznie próbował się dostać do różnych szkół teatralnych, aż w końcu poszedł do ojca i wyraził mało prawdopodobne i dziwnie nagle zainteresowanie biznesem Forbesów.

Peter Forbes zaproponował, żeby syn najpierw spróbował sprawdzić, jak mu się to zajęcie podoba. Nie przypadło Joshowi zbytnio do gustu; w pierwszym dniu pracy nie otrzymał, tak jak się spodziewał, obitego pluszem gabietu w londyńskim biurówcu, lecz odbył lekcję jazdy wózkiem widłowym w fabryce w Slough. Co dziwne, okres spędzony w fabryce nawet mu się podobał, ale następne zajęcie – tym razem już rzeczywiście w biurze – uznał za ogłupiające; coraz częściej zawiadamiał telefonicznie o chorobie i coraz więcej czasu spędzał w pubach w Slough. Ojciec powiedział mu, że jeśli nie weźmie się w garść, zostanie zwolniony. Josh odparł, że nie może się tego doczekać. Tego samego dnia na przyjęciu poznał Beatrice. Niecały rok później się pobrali. Trudno było do końca zrozumieć, na jakich zasadach funkcjonuje ich

małżeństwo. Prawda była jednak prosta: potrzebowali siebie nawzajem. Josh liczył, że ktoś w końcu uporządkuje jego życie i odpowiednio nim pokieruje. Beatrice, z natury zdyscyplinowana i świadoma celu, do którego zmierza, potrzebowała emocjonalnego i towarzyskiego wsparcia oraz męża, który miałby mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza że bronienie kryminalistów było najgorzej opłacaną gałęzią prawa. Josh bardzo przypadł jej do gustu, uznała go za wyjątkowo interesującego, poza tym w przyszłości miał szansę zostać naprawdę bogaty. Z kolei on odkrył, że Beatrice jest o wiele mniej pewna siebie, niż początkowo mogło się wydawać, i że ma zaskakująco duże potrzeby seksualne, co więcej, była pierwszą osobą od dawna, która w niego uwierzyła.

– Uważam, że będziesz mógł zrobić z tą firmą cudowne rzeczy – powiedziała.

(Do poniedziałkowego wieczoru zdążyła przejrzeć w Internecie wszystkie dane na ten temat i ocenić potencjalne możliwości rodzinnego interesu).

Odesłała Josha do ojca z przeprosinami i prośbą, by z powrotem przyjął go do pracy. Miesiąc później zaprosiła Petera Forbesa i Josha na kolację. Peter i Beatrice bardzo przypadli sobie do gustu.

– Widzę, że jest trudny i niesłuchanie despotyczny – powiedziała potem Joshowi – ale ma mnóstwo zapału i energii. Podoba mi się sposób, w jaki mówi o firmie, jakby był w niej zakochany.

– Bo jest – zdradził Josh ponuro.

Peter Forbes docenił intelekt Beatrice, jej ambicję i ujmujący sposób bycia.

Sześć miesięcy później Josh został mianowany dyrektorem handlowym na południową Anglię i dostał utęsknione biuro w Londynie, a Beatrice oznajmiła, że powinni się pobrać. Josh wpadł w panikę, powiedział, że może kiedyś, w przyszłości, po co taki pośpiech, bardzo odpowiada mu obecny stan. Niestety, Beatrice nie odpowiadał, bo była w ciąży.

– Dziewczyny takie jak ona – powiedziała Jocasta matce – nigdy nie zachodzą w ciążę przez przypadek. Idę o zakład, że sama decyduje, kiedy ma owulację, i nie tylko. Boże, ależ z niego idiota!

Josh zaskoczył wszystkich, biorąc na siebie odpowiedzialność i zgadzając się na ślub. Skromne, ale świetnie zorganizowane wesele odbyło się w domu Beatrice w Wiltshire, a na miodowy miesiąc państwo młodzi wyjechali do Toskanii. Peter Forbes był zadowolony, jego była żona nie.

Beatrice pracowała do ósmego miesiąca ciąży i wróciła na salę sądową dwa tygodnie po urodzeniu Harriet – znanej jako Harry; dwa lata później dokładnie tego samego dnia i miesiąca na świat przyszła Charlotte – oczywiście zwana Charlie. Obecnie młodsza z dziewczynek miała dwa lata, a Josh był wicedyrektorem Forbes Furniture i ciężko pracował, żeby zadowolić Beatrice oraz ojca. Beatrice zamieniła prawo kryminalne na prawo rodzinne, ale sprawy o znęcanie się w rodzinie były finansowane z funduszy państwowych, więc i one nie przynosiły zbyt wielkich zysków. Większość rachunków płacił Josh.

Jocasta wbrew sobie polubiła Beatrice; żona Josha, pomimo apodyktyczności i pracoholizmu, była zaskakująco życzliwa, co więcej, naprawdę interesowało ją życie i kariera Jocasty. Nick ją uwielbiał, był oczarowany tym, że czytała wszystkie jego felietony i zawsze z ogromną powagą rozmawiała z nim na temat najświeższego komentarza. Tak samo traktowała artykuły Jocasty. Nikt nie wątpił, że Beatrice jest idealną żoną dla Josha.

– Dlaczego to zrobiłem, Jocasto? – jęknął. – Dlaczego jestem takim idiotą?

– Nie mam pojęcia – odparła – ale muszę wyznać, że bardziej żał mi Beatrice. Chyba zdajesz sobie sprawę, że tata stanie po jej stronie, prawda? Nie pozwoli jej umrzeć z głodu. – Wpadłem na to – przyznał Josh. – Nie mam żadnego atutu, prawda? Co mogę zrobić?

– Prawdę mówiąc, nic. Jedynie czekać. I powtarzać jej, że bardzo żałujesz. Na twoją korzyść przemawia jedna cudowna rzecz, która, być może, wystarczy.

– Jezu, mam nadzieję. Zrobiłbym wszystko, dosłownie wszystko, gdybym wiedział, że mam choćby najmniejszą szansę na wybaczenie. Co to takiego ta jedna cudowna rzecz?

– Myślę – powiedziała Jocasta ze smutkiem – że Beatrice cię kocha.

Martha przytknęła wargi do srebrnego kielicha i upiła łyk wina, usiłując skoncentrować się na chwili obecnej i fakcie, że właśnie przyjmuje komunię. Oczywiście, nie powinna. Bardzo oddaliła się od kościoła ojca i wiary rodziców, chodziła na msze tylko wtedy, gdy przyjeżdżała na weekend do Binsmow. Sprawiało im to przyjemność i urzekano parafian; to, że czuła się hipokrytką, nie miało najmniejszego znaczenia.

Wstała i z pochyloną głową wróciła powoli na swoje miejsce. Po drodze zdążyła jednak zauważyć, że trzy czwarte kościoła świeci pustkami, na dodatek, jeśli nie liczyć kilku – naprawdę kilku – nastolatków, była jedyną osobą, którą można by uznać za młodą. Jak ojciec może to robić tydzień po tygodniu, rok po roku? Jak wiara pomaga mu znosić to, co dla Marthy wyglądało na upokorzenie – świadomość, że praca jego życia przez większość wiernych została odrzucona? Gdy pewnego razu go o to spytała, *r* odparł, że Martha niczego nie rozumie, a Święty Andrzej wciąż jest siedzibą parafii i nie ma znaczenia, jak wielu wiernych ubyło, zwłaszcza że nadal zwracają się do swojego pastora, gdy są w potrzebie, to znaczy, kiedy chorują, umierają, biorą ślub albo chrzczą niemowlę. To mu wystarczy.

W tym tygodniu Martha przyjechała bardziej z poczucia obowiązku; siostra powiedziała jej przez telefon, że rodzice są w kiepskim nastroju.

– Matce coraz bardziej dokuczają artretyzm, a ojciec jest załamany, bo nie może jej pomóc. Próbuję ich jakoś rozerwać, ale mnie widują bez przerwy, nie jestem dla nich rzadkością tak jak ty. Nie byłaś od kilku miesięcy, Martho.

– Przykro mi – powiedziała. – Miałam...

– Tak, wiem, miałaś dużo pracy – przerwała jej siostra ostro. – Prawdę mówiąc, ja też byłam zajęta; próbuję pogodzić pracę z wychowywaniem dzieci. Nawet Michael bywa częściej niż ty.

– Tak, wiem – przyznała Martha.

Miała ochotę powiedzieć, że Michaelowi, ich bratu, łatwiej, bo uczy pierwszy rok i ma

mnóstwo wolnego czasu, ale ostatecznie ugryzła się w język. Tak czy inaczej, Anna miała rację – Martha rzadko jeździła do domu.

– Obiecuję, że w najbliższym czasie przyjadę – oznajmiła w końcu. – Naprawdę obiecuję.

– To dobrze – warknęła Anna i odłożyła słuchawkę. Martha chciałaby bardziej lubić swoją siostrę, niestety, Anna była taka... świętoszkowata. Wyszła za męża za ciężko pracującego, źle opłacanego pracownika opieki społecznej, mieli trójkę dzieci, żadnej pomocy w domu i tylko jeden samochód. Żeby łatwiej im było powiązać koniec z końcem, Anna pracowała w jednej z miejscowych szkół jako specjalistka od dzieci specjalnej troski. Co więcej, wiele czasu poświęcała na wolontariat, a nawet pomagała ojcu w prowadzeniu parafii, gdy matka wyraźnie przestała sobie z tym radzić. Z punktu widzenia Marthy takie życie bardziej przypominało piekło. Błoga egzystencja Marthy musiała wydawać się Annie bardzo irytująca, nie tylko z powodu wysokich zarobków, ale też faktu, że starsza z sióstr znajduje tak mało czasu na odwiedziny i pomoc rodzicom... oprócz pomocy finansowej, z której zgadzali się korzystać tylko w skrajnych przypadkach. Co więcej, chociaż Martha przyjechała na ten weekend, znów przez jakiś czas się nie pojawi; zbliżały się wybory, co zawsze oznaczało nawał pracy, bo rynki finansowe stawały się nieprzewidywalne, a ogromne spółki próbowały z wyprzedzeniem uwzględnić wszelkie ewentualne zmiany. Choć przypuszczalnie będą niewielkie, Blair wciąż miał w rankingach dobre notowania, uśmiechał się w odpowiednich momentach i składał puste obietnice. Znów wygra, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

– Sprawy kiepsko u nas wyglądają – powiedział ojciec.

– To znaczy?

Wzięła go pod ramię i odprowadziła na bok.

– Przez okoliczne wsie przetoczyła się fala przyszycy. W powietrzu wisi kryzys. Biedny stary Fred Barrett, którego rodzina od pięciu pokoleń ma pod Binsmow farmę, dotychczas jakoś walczył o przetrwanie, ale to go wykończyło. Sprzedaje ziemię. Tyle że nikt nie chce jej kupić. Poza tym wielu parafian czeka na miejsce w szpitalu. Biedna, stara pani Dudley już od osiemnastu miesięcy jest zapisana na endoprotezę stawu biodrowego, cierpi potworne katusze, a na operację musi czekać jeszcze pół roku. To naprawdę kryminał.

– Wszędzie panuje bałagan – przyznała Martha, mając na myśli Linę i jej córkę, Jaśmin – naprawdę wszędzie.

Weszła do sypialni matki. Leżała w łóżku blada jak ściana.

– Witaj, kochanie. Przepraszam, że nie zeszlłam na śniadanie. Źle spałam, bo mnie bolało. W końcu zasnęłam koło szóstej i nie usłyszałam budzika.

– Och, mamu, tak mi przykro. Mogę ci coś przynieść, herbaty, kawy?...

– Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty. Zaraz schodzę.

– Nie, przyniosę ci ją tutaj – zaproponowała Martha. – Tak bardzo cię boli?

– Czasami – odparła Grace – ale nie zawsze. Wiesz, jak to jest, ale nie myśl, że narzekam.

– Co na to doktor?

– Skierował mnie do specjalisty, ale na wizytę trzeba czekać przynajmniej rok. Doktor Ferguson daje mi środki przeciwbólowe. Pomagają, ale jest mi po nich niedobrze.

– Mamo...

– Tak, kochanie?

– Może pozwoliłabyś mi zapłacić przynajmniej za wizytę u ortopedy? Mogłabyś wtedy trafić do niego o wiele szybciej. Prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu.

– Martho, nie możesz za nas płacić. To nie byłoby w porządku.

– Dlaczego? Wy płaciliście za mnie przez tyle lat. Co by było... gdybym to ja chorowała? Kiedy byłam małą dziewczynką. Gdybym cierpiała katusze, a zapisano by mnie na wizytę u lekarza dopiero za rok? Czy nie zrobiłabyś wszystkiego, by mi pomóc?

– Pewnie tak – przyznała Grace z bladym uśmiechem. – Sądzę...

– To dobrze – przerwała jej Martha, czując, że odniosła zwycięstwo. – Zaslugujesz na to. Wolę wydać część swoich obrzydliwych pieniędzy na ciebie niż na parę nowych manolo.

– Co to takiego, kochanie?

– Buty.

– Och, rozumiem. Bardzo modne, tak?

– Coś w tym stylu – powiedziała Martha.

Po lunchu zadzwoniła Anna. Czy Martha może wyświadczyć jej przysługę?

– Moja najbliższa sąsiadka... wdowa...

Oczywiście, jakże mogłoby być inaczej? – pomyślała Martha.

– ... potrzebuje pomocy. Syn przyjechał do niej na weekend, ale zepsuł mu się samochód i chłopak nie ma teraz jak wrócić do Londynu. Powiedziałam, że nie ma problemu i na pewno będziesz mogła go ze sobą zabrać.

Martha uważała, że jest problem, i to duży. Marzyła o spokojnej drodze powrotnej do Londynu, przy muzyce płynącej z odtwarzacza. Potrzebowała czasu, żeby pomyśleć... I oczywiście nie myśleć. Nie chciała, żeby przez trzy czy cztery godziny siedział obok niej jakiś przyszczaty chłoptaş i zmuszał ją do prowadzenia rozmowy.

– Nie mógłby po prostu wrócić pociągiem?

– Mógłby, ale go na to nie stać. Martho, nie proszę cię o jakąś wielką przysługę. Zresztą on jest bardzo słodki.

– Tak, ale... – Martha urwała.

– Nie ma sprawy – powiedziała Anna, nie kryjąc złości. – Powiem mu, że będzie musiał jechać autostopem, a ty możesz po prostu wrócić do swojego luksusowego życia w Londynie.

Martha natychmiast poczuła potworne wyrzuty sumienia. Ależ z niej egoistka! Anna ma rację, rzeczywiście wcale nie prosi o wielką przysługę, tylko po prostu Martha nie chce jej wyświadczyć...

– Nie! – zaprotestowała szybko. – Zabiorę go, ale będzie musiał dostosować się do mojego harmonogramu i podrzucić go tylko na stację metra, dobrze? Nie mogę przez pół wieczoru jeździć

po Londynie.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała Anna. – Powiem mu. O której ma na ciebie czekać, żeby dostosować się do twojego przeladowanego harmonogramu?

– Wyjeżdżam koło czwartej – oznajmiła Martha, nie podnosząc rzuconej rękawicy.

– Czy możesz zjechać nieco z drogi, żeby go zabrać? To zajmie ci co najmniej piętnaście minut.

– Podjadę po niego – obiecała Martha.

Gdy podjechała, Anna wyszła z domu i prychnęła na widok mercedesa.

– Miło, że się zgodziłaś – rzekła. – Ed już czeka. Tylko rozmawialiśmy, prawda, Ed?

– Tak. O kurczę, niezła bryka! Najmocniej dziękuję, panno Hartley.

Martha wysiadła, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i ze zdumieniem stwierdziła, że ma przed sobą... jednego z najpiękniejszych młodych mężczyzn, jakich w życiu widziała. Był wysoki, miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, do tego krótkie, jasne, niesforne włosy i zdumiewająco błękitne oczy; był opalony, idealnie prosty nos zdobiło kilka beztrusko porozrzucanych piegów, a rozchylone w uśmiechu usta ukazywały równe, białe zęby. Chłopak miał na sobie długie, zbyt obszerne spodnie w stylu, którego szczerze nie cierpiała, adidasy włożone na bose stopy i pomietą białą koszulę; wyglądał jak chłopak z reklamy Ralphi Laurena. Złość Marthy błyskawicznie się rozviała.

– Naprawdę serdecznie dziękuję – powtórzył Ed, gdy wyjeżdżali na drogę. – Jestem bardzo wdzięczny.

– Nie ma sprawy – powiedziała Martha. – Co się stało z twoim autem?

– Najzwyczajniej pod słońcem jego dni dobiegły kresu – odparł. – To był stary gruchot, prezent od mamy na dwudzieste pierwsze urodziny. Uprzedzała, żebym nie wybierał się nim w zbyt długą drogę. Najwyraźniej miała rację.

– Co... teraz zrobisz?

– Bóg jeden raczy wiedzieć. – Rozejrzał się po samochodzie. – To naprawdę niezła bryka. Kabriolet, prawda?

– Tak.

– Chyba nie jeździ pani nim zbyt często po Londynie.

– W ciągu tygodnia w ogóle – przyznała Martha. – Tam, gdzie mieszkam, nie ma z samochodu zbyt wielkiego pożytku.

– To znaczy gdzie?

– W Docklands.

– Super.

– Tak, naprawdę super – powiedziała, mając nadzieję, że nie mówi jak żalosna starsza pani udająca nastolatkę.

– Jest pani prawniczką, prawda? – spytał. – Czy chodzi pani w białej peruce?

– Nie – odparła, uśmiechając się wbrew sobie. – Nie jestem adwokatem, tylko notariuszem.

- Rozumiem. Przeprowadza pani rozwody, pomaga ludziom kupować domy...
- Nie, pracuję w dużej firmie. Sayers Wesley.
- Kapuję. Pracuje pani przez całą noc, nadzoruje wielkie transakcje i tego typu rzeczy.
- Coś w tym stylu.

Zerknęła na niego; włożył czapeczkę baseballową daszkiem do tyłu. Następna rzecz, której Martha nie znosiła, ale, co dziwne, bardzo to do niego pasowało.

– A czym ty się zajmujesz?

– W tej chwili pracuję dorywczo – powiedział. – W informatyce – dodał. – To nudne zajęcie, ale za dwa miesiące wyjeżdżam i muszę zarobić na wyjazd.

– Dokąd się wybierasz?

– Och... do Tajlandii, Australii, jednym słowem tam, gdzie wszyscy. Pani też tam była?

– Owszem. Czeka cię wspaniała przygoda.

– Taak, mam nadzieję, chociaż powinienem zrobić to wcześniej, przed uniwerkiem.

– Ile masz lat, Ed?

– Dwadzieścia dwa.

– A... co studiowałeś? – spytała.

– Anglistykę. Ojciec chciał, żebym poszedł w jego ślady, czyli na filologię klasyczną, ale po prostu nie mogłem.

– Doskonale cię rozumiem.

Nagle przypomniała sobie Clio, ładniutką, pulchniutką, malutką Clio, która wiele lat temu powiedziała niemal dokładnie to samo. Clio, która chciała zostać lekarzem, która... dość, wystarczy, Martho. Nie wracaj do tego.

– Często żałuję – wyznał. – Tata byłby taki szczęśliwy.

Teraz, po jego śmierci, wydaje mi się, że powinienem wtedy spełnić jego życzenie.

– Rozumiem. Doskonale cię rozumiem, ale musisz robić to, co cię pociąga.

– Tak. Też tak uważam. Tylko czasami...

– To normalne. Przykro mi z powodu twojego taty. Co... co to było?

– Rak. Miał zaledwie pięćdziesiąt cztery lata. Okropna sprawa. Najpierw zwlekał z pójściem do lekarza, potem bardzo długo musiał czekać na wizytę u specjalisty i... Tak, to było naprawdę okropne.

– Musiało ci być bardzo ciężko. Jak długo chorował?

– Trzy lata. Ja wtedy studiowałem, więc najtrudniej było mamie. Pani tata naprawdę bardzo jej pomógł. Dzięki niemu jakoś przez wszystko przebrnęła. Wielebny Hartley jest super. Pani siostra też.

– Miło mi – powiedziała Martha. Odwrócił się i bacznie jej się przyjrzał.

– Chociaż nie jest zbyt do pani podobna – dodał, potem się zarumienił. – Przepraszam. Za chwilę wysadzi mnie pani na środku drogi.

– Zrobiłabym to, gdybyś powiedział, że jestem do niej podobna – zażartowała Martha z

uśmiechem na ustach.

– Bardzo się różnicie. Chyba jest od pani znacznie starsza.

– Nie – wyjaśniła – jest o dwa lata młodsza.

– Żartuje pani!

– Nie.

Cisza.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział po chwili.

– Właśnie umiliłeś mi weekend. Na którym uniwersytecie studiowałeś?

– W Bristolu.

– Naprawdę? Ja też.

– Taak? – Odwrócił się do niej i powiedział z uśmiechem: – Idę o zakład, że była pani w Wills Hall.

– Tak – przyznała. – Skąd wiesz?

– Bo tam mieszkają wszyscy ludzie z wyższych sfer. To getto byłych uczniów szkół prywatnych. Przynajmniej tak było podczas moich studiów.

– Nie jestem osobą z wyższych sfer – zaprotestowała – i wcześniej chodziłam w Binsmow do normalnej szkoły średniej, która przygotowuje do egzaminów na studia. Gdy jeszcze takowa tam była.

– Ja też do niej chodziłem, ale za moich czasów było tam beznadziejnie.

Musi być bardzo inteligentny – pomyślała – skoro po złej państwowej szkole średniej dostał się do Bristolu. Szkoła rzeczywiście była zła; ojciec Marthy należał do zarządu i często mówił o tym z prawdziwą rozpaczą. Mniej więcej o wpół do dziewiątej dotarli do Whitechapel.

– Mogę tu wysiąść – rzekł. – Dalej pojedę metrem.

– Dobrze. Tylko muszę gdzieś się zatrzymać.

– Było mi naprawdę miło. Dzięki. Świetnie się bawiłem. Rozmową i w ogóle. Prawdę mówiąc, myślałem, że będzie... że to może być...

– Co takiego? – spytała ze śmiechem.

– Prawdziwa męka. Naprawdę.

– Cieszę się, że było inaczej.

– Zdecydowanie.

Wysiadł, zamknął drzwi, potem znów je otworzył i niepewnie przyjrzał się Marcie.

– Pewnie – powiedział – nie zgodzi się pani pójść ze mną w któryś wieczór na drinka.

– Hmm – mruknęła Martha, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. – Hmm... owszem, byłoby mi... miło. Obawiam się jednak, że zbyt późno kończę pracę.

– Nie ma sprawy. Tylko pytałem.

Sprawił wrażenie przygnębionego i zakłopotanego.

– Nie, nie chodzi o to, że nie mogę – zapewniła szybko. – Bardzo... bardzo bym chciała. Tylko... trochę trudno mnie złapać. To wszystko.

– Spróbuję. Na pewno mi się uda – zapewnił i ponownie się uśmiechnął. – Do widzenia. Jeszcze raz dziękuję.

– Do widzenia, Ed. Było mi bardzo miło.

– Mnie też.

Zamknął drzwi i oddalił się wielkimi susami, po drodze wyjmując z plecaka walkmana. Była pewna, że więcej go nie zobaczy.

Choćby dlatego, że właśnie wybierał się w podróż dookoła świata.

Chociaż nie pozwoliła sobie na to w kościele, teraz wróciła myślami do pierwszych, szalonych dni, kiedy jeszcze wszystko było w porządku...

Postanowiła pozwiedzać wyspy. Wybrała się sama na Koh Samui i gdy tylko pociąg ruszył ze stacji, zapadła w sen. Obudziła się gdzieś w środku nocy w Surat Thani. Tam kazano jej się przesiąść do autobusu, który zawiózł ją na prom. Po czterogodzinnej przeprawie przez morze dotarła na Koh Samui.

Zaprzyjaźniła się na statku z dziewczyną o imieniu Frań.

Pasażerka twierdziła, że najlepsza plaża to Wielki Budda. Gdy dojechały autobusem na miejsce, poczuły, że znalazły się w całkiem innym świecie.

Martha doskonale zapamiętała nie tylko piękną, obrzeżoną drzewami plażę, ale też biały, miękki piasek pod nogami, ciepłe powietrze przesycone niewiarygodnie słodkim zapachem (zwłaszcza po wszechobecnej stęchliźnie w Bangkoku) i cudownie ciepłą błękitno-zieloną wodę. Ona i Frań wynajęły za dwieście bahtów dziennie chatkę, dość szumnie nazywaną bungalowem, i doszły do wniosku, że chyba nigdy nie będą chciały się stąd ruszyć. Miały do dyspozycji prysznic, werandę i trzy łóżka. Czas zwolnił bieg, dryfowały.

Po kilku dniach Martha spotkała Clio, która mieszkała kilka domków dalej; łatwo było się tam znaleźć, wystarczyło popytać ludzi na plaży i w barach. Jocasta pojechała już na północ.

– Ale powiedziała, że wróci – wyjaśniła Clio, nie podając żadnych szczegółów.

Nikogo nie interesowały tu szczegóły; żyło się bez celu, czas w ogóle nie istniał, a cudowna bez troska pozwalała całkowicie zapomnieć o jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Było naprawdę cudownie – po brudnym i nędznym Bangkoku wyspa stanowiła istny raj: czysta woda, palmy kołyszące się nad brzegiem i ciągnący się jak okiem sięgnąć pas białego piasku. Na końcu plaży, na podejściu, do którego prowadziły okazałe, ozdobne schody dość niechlujnie pomalowane złotą farbą, siedział Wielki Budda; jego poważne oczy śledziły każdy krok. Jak przystało na porę deszczową, wszyscy podziwiali najpiękniejsze i niezwykle dramatyczne zachody słońca: pomarańczowe, czerwone i czarne. Młodzi ludzie obserwowali je, jakby stanowiły wspaniałą rozrywkę, lepszą niż film, jak mawiała Martha... Dużo czasu spędzały, siedząc godzinami na werandzie i rozmawiając bez końca, a tymczasem zaczynało się zmierzchać, potem robiło się ciemno. Rozmawiały nie ze sobą, lecz z przechodzącymi obok chatki. Łatwość zawierania znajomości bardzo fascynowała Marthę, która dorastała w zaściankowym Binsmow. Najbardziej jej się podobało, że każdy był chętnie przyjmowany do

szerokiego grona i od razu stawał się częścią ogromnego plemienia. Cała reszta była nieważna: znikął snobizm, nie liczyły się pieniądze ani odpowiednie ciuchy. Ważne było tylko jedno – że podróżuje się z plecakiem po świecie. Martha coraz większą sympatią darzyła Clio, która była z natury pogodna i mało wymagająca, jedynie bardzo brakowało jej pewności siebie. To dziwne – myślała Martha – przecież Clio jest taka ładna! Owszem, może trochę zbyt pulchna, ale sądząc po jej sposobie ubierania się, można by pomyśleć, że nosi dwudziestkę. Najwyraźniej odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponosiły jej starsze siostry.

Były też minusy: Martha bez przerwy cierpiała na biegunkę. Na tym nie koniec.

– Chyba przestaję miesiączkować – powiedziała pewnego ranka do Clio. – Zaraz po przyjeździe do Bangkoku zaczął mi się okres, ale skończył się po dwóch dniach, wczoraj pojawił się następny, a dziś chyba jest już po wszystkim.

Clio miała sporą wiedzę z zakresu medycyny, więc od razu zapewniła, że powodem może być zmiana kuchni, klimatu i trybu życia. Martha starała się tym nie przejmować; po kilku następnych tygodniach jakoś jej się udało. Było to możliwe tylko dzięki temu, że powoli przeobrażała się w całkiem inną istotę: spokojną, zrelaksowaną, nieprzejmującą się zbytnio niczym. I bardzo, bardzo szczęśliwą.

Tylko pomyśleć, że Ed ma to wszystko przed sobą.

Rozdział Czwarty

Z pokoju dobiegały rozpaczliwe szlochy, które świadczyły o bezbrzeżnym smutku. Helen słyszała je po raz trzeci w ciągu kilku miesięcy.

Dwa pierwsze były wynikiem bezowocnych poszukiwań Kate jej biologicznej matki. Za pierwszym razem wyjaśniła wcześniej, co ma zamiar zrobić. Helen z bólem serca wysłuchiwała niedoskonałego planu, nie mając odwagi go skrytykować ani podsunąć innego rozwiązania. Jedynie uśmiechnęła się do córki, przed wyjazdem ucisnęła ją na pożegnanie, a potem z ogromnym niepokojem czekała na powrót Kate. Burza nadeszła już po kilku godzinach: drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, po chwili trzasnęły, a potem rozległ się tupot nóg na schodach, trzaśnięcie kolejnych drzwi i... płacz. Helen odczekała piętnaście minut, po czym powędrowała na piętro i zapukała.

– Kate, kochanie, mogę wejść?

– Tak, możesz.

Dziewczyna leżała na łóżku. Miała opuchnięte oczy i była wyraźnie zła na matkę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Czego?

– Że w szpitalu nikogo już nie będzie. Że nie będzie już ludzi, którzy pracowali w nim, gdy mnie znalezione. Czemu mnie nie uprzedziłaś?

– Nie wiedziałam. Skąd miałam wiedzieć? – Helen próbowała zdobyć się na cierpliwość. – Może od początku powiesz mi, co się stało.

Kate wybrała się do szpitala South Middlesex, do ambulatorium. Podobno wszyscy patrzyli na nią, jakby zwariowała.

– Nie rozumiem. Czy już nie wolno o nic spytać? Chciałam się tylko dowiedzieć, kto pracował na oddziale noworodków w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku. Kiedy zadałam to pytanie, odparli, że przykro im, ale nie mogą mi pomóc, muszę napisać pismo i przekazać swoją prośbę odpowiednimi kanałami. Wyjaśnili, że to jedyny sposób. Potem dzięki kierunkowskazom trafiłam na oddział położniczy. Znajdował się na trzecim piętrze. W poczekalni pełno było ohydnych kobiet w ciąży, następne stały przy recepcji. Tam poinformowano mnie, że nikogo z dawnego personelu nie ma już na oddziale. Spytałam, skąd to wiedzą. Okazuje się, że nikt u nich nie pracuje dłużej niż siedem lat. Wtedy pomyślałam o sprzątaczkach, ale wyjaśniono mi, że obecnie sprzątaniami zajmują się firmy z zewnątrz. Gdy wychodziłam, zauważyłam, że jedna z pielęgniarek ze zmarszczonym czołem spojrzała na drugą. Chodząc po ciągnących się bez końca korytarzach, zobaczyłam napis: „Administracja Szpitala”. Weszłam do środka.

– I co?

– Był tam tylko jeden beznadziejnie tępy facet, który powiedział, że w soboty nikt nie pracuje. Spytałam: „Naprawdę? A co pan tu robi?”. Wtedy wyjaśnił, że wpadł tylko na pół

godziny. Powiedziałam mu, że to niczego nie zmienia, a ja po prostu chcę poznać nazwiska ludzi, którzy pracowali tu piętnaście lat temu. Oświadczył mi, że to informacja zastrzeżona i nie mogą jej podawać każdemu. Jeśli napiszę podanie, na pewno rozpatrzą moją prośbę. To wszystko.

– No cóż – powiedziała Helen nieśmiało – może w takim razie warto byłoby napisać podanie?

– Mamo, to kretyni. Nic nie wiedzą i wcale nie chcą mi pomóc.

– Czy wytłumaczyłaś, skąd biorą się twoje pytania?

– Nie. Nie chcę, by pomyśleli, że jestem żalostną istotą, która kręci się po szpitalu i szuka matki. Nie chcę, by wszyscy mi współczuli.

– Kate, kochanie – westchnęła Helen – myślę, że nie obejdzie się bez jakichś wyjaśnień. Bez nich masz naprawdę niewielkie szanse na cokolwiek. Zastanów się.

Kate przez chwilę przyglądała się Helen, a potem odparła:

– Nie, mamo, nie mogę. Chcę zrobić to po swojemu. Wiem, o co mi chodzi.

– W porządku – rzekła Helen.

Kate przez kilka miesięcy nic nie robiła, potem pojechała na Heathrow i spytała w informacji, jak może znaleźć jedną ze sprzątaczek.

– Znasz jej nazwisko? – spytała mocno tleniona blondynka, przerywając na chwilę stukanie w klawiaturę.

– Nie.

Kobieta westchnęła.

– W takim razie jak mam ci, kochanie, pomóc?

– Na pewno macie listę pracowników.

– Nawet gdybyśmy ją mieli, co ci to da, jeśli nie znasz nazwiska? Czy chodzi o jakąś skargę?

– Nie – zapewniła Kate – nie chodzi mi o skargę.

– A o co?

– Nie... nie mogę pani powiedzieć.

– W takim razie – rzekła kobieta, wracając do stukania – naprawdę nie mogę ci pomóc. Jeśli chcesz, możesz napisać do kadr.

– Co to są kadry?

– Dział, który zajmuje się pracownikami. A teraz, jeśli pozwolisz... ludzie czekają. Słucham pana...

Kazała Kate się odsunąć, bo chciała załatwić stojącego z tyłu mężczyznę.

Dziewczyna poczuła, że tak samo jak poprzednim razem ogarnia ją panika i rozpacz. Powędrowała do jednej z kawiarni, kupiła colę, usiadła przy stoliku, po czym zaczęła przyglądać się sprzątaczkom i tragarzom. Niektórzy z nich byli bardzo starzy. Muszą tu pracować przynajmniej od piętnastu lat. I znać się nawzajem. Wiedzieć o sobie wszystko. Kate dopiła colę i podeszła do Azjatki w średnim wieku. Kobieta właśnie wycierała stoliki. Dziewczyna spytała ją, jak długo tu pracuje.

– Za długo, moja droga, o wiele za długo. – Na twarzy Azjatki pojawił się słodki, zmęczony uśmiech.

– Piętnaście lat?

– Nie, nie aż tak.

– A zna pani kogoś, kto pracuje tu od tak dawna?

– Mogę popytać. Dlaczego chcesz wiedzieć, moja droga?

– Nie mogę pani powiedzieć. Przepraszam, ale to nic... przykrego.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć...

Kate długo siedziała i obserwowała, jak Azjatka pyta swoje koleżanki. Niektóre z nich tylko się uśmiechały, inne marszczyły czoło jak pielęgniarki, ale wszystkie przecząco potrząsały głowami. W końcu do kobiety podszedł jakiś wyraźnie nadgorliwy mężczyzna i o coś ją spytał. Wtedy przestała się uśmiechać i wskazała na Kate. Mężczyzna zbliżył się do dziewczyny.

– Przepraszam, panienko. O co chodzi?

– O nic – odparła Kate. – Po prostu kogoś szukam.

– Kogo?

– Kogoś, kto pracował tu piętnaście lat temu.

– Po co?

– Przykro mi, ale nie mogę tego panu powiedzieć.

– W takim razie, niestety, muszę poprosić, żeby nie marnowała panienka czasu moich pracowników. Proszę napisać do kadr, ale i oni nie pomogą, jeśli nie będą mieli logicznego uzasadnienia. Wróciła metrem do Ealing i całe popołudnie spędziła w swoim pokoju.

Tego dnia nie pozwoliła Helen nawet wejść.

Dzisiaj jej szlochły były jeszcze rozpaczliwsze. Helen zebrała się na odwagę i zapukała do drzwi. Nie mogła nie zareagować; poza tym chyba знаła powód owych szlochów. Jutro Kate miała urodziny.

– Kate? Kochanie, mogę ci pomóc?

– Nie... Dzięki – rzekła po chwili.

– Może chcesz, żebym cię wysłuchała?

– Powiedziałam, że nie.

– Dobrze. W takim razie...

Na szczęście zadzwonił telefon i Helen poszła go odebrać.

– To babcia – oznajmiła po powrocie do pokoju córki. – Zaprasza nas wszystkich jutro wieczorem do restauracji. Żeby uczcić twoje urodziny. Prawda, że to miło z jej strony? Do „Joe Allena”. W Covent Garden. Twierdzi, że tam jest świetnie.

– Do „Joe Allena”? – Kate przez chwilę starała się udawać obojętność, w końcu się poddała.
– Super! Babcia jest rewelacyjna!

– Cieszę się, że tak uważasz. A teraz... na pewno nie chcesz mi o niczym opowiedzieć?

– Mamo! Przecież powiedziałam, że nie!

Mimo to uśmiechnęła się do matki i uściśnięła ją.

– Nic mi nie będzie. Naprawdę.

Helen z ulgą zeszła na parter, żeby powiadomić Jima o zaproszeniu Jilly. Wcale nie był zadowolony, powiedział, że jego zdaniem nie powinni nigdzie się wybierać.

– Zawsze obchodzimy urodziny w domu. To tradycja rodzinna. Poza tym upiekłaś już dla niej tort. Co z nim zrobisz?

– Zjemy go przed wyjściem albo po powrocie. Jim, uważam, że warto pójść. To bardzo miła propozycja. Czy mogę zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, że przyjmujemy zaproszenie?

Jim przez długą chwilę milczał, potem burknął niezadowolony:

– Myślę, że tak.

– Świetnie. Dziękuję.

Helen zadzwoniła do Jilly i powiedziała, że z ogromną przyjemnością przyjdą. Boże, jakie życie jest trudne! Oczywiście, pobyt w lokalu wcale nie będzie łatwy, prosty i przyjemny; zawsze wyczuwało się napięcie między Jimem i Jilly, niezależnie od tego, jak bardzo oboje starali się ukryć wzajemną niechęć. Tym razem jednak... warto zrobić to dla Kate. Jak wiele innych rzeczy...

Jilly od samego początku udawała, że bardzo lubi Jima. W rzeczywistości uważała, że jest nudny, zadufany w sobie i wyjątkowo przeciętny. Miał nawet przeciętny wygląd: brązowe włosy, puciołowatą twarz i nieco przedwczesne zakola. W normalnych okolicznościach Helen nigdy by go nie poślubiła. Stało się jednak inaczej.

Jilly owdowiała, gdy Helen miała zaledwie trzy latka, co więcej, po śmierci męża znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Z godną podziwu odwagą i determinacją wymieniła ładny dom w Kensington Mews (z powodu pośpiechu musiała sprzedać go za rozpaczliwie niską cenę) na skromną edwardiańską willę w Guildfordzie. Zrobiła kurs dla stenotypistek i przez następne dziesięć lat pracowała jako sekretarka na pół etatu.

Mogła ponownie wyjść za mąż, miała nawet kilka propozycji (prawdziwą miłością jej życia był Mikę Bradford), ale za nic w świecie nie chciała, żeby ktokolwiek został ojczymem Helen. Liczyła się tylko córka i Jilly nie miała zamiaru narażać jej na ciągłe utarczki z jakimś miernym facetem. Niestety... po latach Helen zrobiła dokładnie to, czego tak bardzo unikała jej matka. Wyszła za mąż za przeciętnego człowieka. Oczywiście Jim był inteligentny; przecież nikt w wieku trzydziestu ośmiu lat nie zostaje zastępcą dyrektora szkoły średniej, jeśli nie jest inteligentny. Tylko, na litość boską... nauczyciel! Dla Helen! Oferujący jej życie w bardzo skromnym domku w Ealing. Do tego... mający na imię Jim. Dlaczego Jim, a nie, na przykład, James? To takie ładne imię. Jilly pomyślała tak, gdy usłyszała na ślubie: „Ja, James Richard, biorę sobie ciebie, Helen Frances... „. Rzeczywiście... dlaczego Helen wyszła za mąż właśnie za Jima? Wyszła za niego za mąż, bo go pokochała. Nawet bardzo. Uważała, że jest delikatny i troskliwy, dodawał jej pewności siebie, bo często powtarzał, że uważa ją za wyjątkowo atrakcyjną („zawsze marzyłem o wysokiej dziewczynie z ciemnymi włosami i błękitnymi

oczami, ale nigdy nie przypuszczałem, że naprawdę będę ją miał”) i interesującą. Jim był również cudownym ojcem: wspierał Helen podczas załatwiania adopcji i bardzo angażował się w wychowanie dziewczynek. Był zbyt staroświecki, by wstawać w nocy czy zmieniać pieluchy, ale każdy drobiazg uzgadniał z żoną i z ogromną powagą traktował wszelkie szczegóły, tak samo jak wszystko inne w ich życiu. Naukę siadania na nocniku, przedszkole, dyscyplinę. Był też bardzo dumny z obu córek: zarówno Kate, jak i Juliet. Helen zdawała sobie sprawę, że ludzie zastanawiają się, czy ona i Jim nie kochają bardziej Juliet, która jest przecież ich własnym dzieckiem, ale oboje odpowiadali, że nie, i mówili prawdę. Obie dziewczynki były ich córkami i obie darzyli ogromną miłością. Proste.

Gdy Kate i Juliet pojawiły się na świecie, Jilly nie była już sekretarką. Pracując w dziale kadr Allders of Croydon, zaprzyjaźniła się z Caroline Norton, która handlowała modną odzieżą i która właśnie postanowiła otworzyć drugi sklep w Guildfordzie; wtedy zaproponowała Jilly pracę zastępczyni kierowniczk.

– Zdaję sobie sprawę, że nic nie wiesz o ubiorze od strony teoretycznej – powiedziała – ale każdy widzi, że stronę praktyczną masz dosłownie w małym palcu. Proszę, zgódź się. Jilly się zgodziła i w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku w Guildfordzie została otwarta „Caroline B” („B” zostało dodane na cześć Jilly). Sklep odniósł ogromny sukces, był darem niebios dla elegantek z Guildfordu, sprzedawano w nim prawdziwe stroje dla prawdziwych kobiet, jak napisano w witrynie: proste, eleganckie płaszcze i suknie, stylowe, miękkie kostiumy tweedowe, suknie wieczorowe, spodniemy z szerokimi spodniami tak korzystne dla okrągłutkich, już nie tak młodych nóg. Jilly i Caroline oferowały nie tylko wytworne stroje, ale i osobiste usługi. Jeśli klientce nie było najlepiej w jakiejś sukni, mówiły to wprost, choć uroczo i taktownie; jeśli któraś z nich poszukiwała stroju na specjalną okazję, nie spoczęły, póki czegoś dla niej nie znalazły. Obecnie sieć „Caroline B” obejmowała pięć sklepów, wszystkie cieszyły się dużą popularnością i prowadzone były z tą samą, starannie wypracowaną filozofią osobistego doradztwa. Najbliższy Londynu znajdował się w Wimbledonie; jak powiedziała Caroline, w dużym mieście zniknęłyby w tłumie. Helen kochała matkę i była z niej bardzo dumna. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo Jilly musiała walczyć, żeby odpowiednio wychować córkę, ale odkąd dziewczyna zaczęła dorastać, wiedziała, że w jakiś sposób zawiodła matkę (była za cicha, zbyt nieśmiała i brakowało jej ambicji). Na dodatek kiepsko sobie radziła z mężczyznami, dlatego tak cudownie się poczuła, gdy spotkała Jima. Spokojnego, życzliwego, skupiającego na niej całą uwagę.

Helen nigdy nie brała pod uwagę powrotu do pracy (była sekretarką); pod tym względem ona i Jim całkowicie się zgadzali – że matki powinny być w domu i zajmować się dziećmi. Efekt był jeden – z trudem wiązali koniec z końcem. Brakowało pieniędzy na luksusy, a gdy dziewczęta zaczęły wymagać nieco większych nakładów, zwłaszcza Kate, problem jeszcze bardziej się nasilił. Dziewczynka od wielu miesięcy prosiła, żeby pozwolili jej podjąć pracę w soboty.

– Sarah pomaga u fryzjera, podoba jej się to, a przy okazji zarabia całkiem niezłe pieniądze.

Nie rozumiem, czemu ja nie mogę.

Jim i Helen dobrze wiedzieli czemu.

Jilly pomagała, jak mogła, dając Helen za psie pieniądze ubrania, których – jak się zaklinała – nie mogła sprzedać w sklepie, a Helen była za nie zbyt wdzięczna, żeby oponować. Na nic innego Jim nie chciał się zgodzić – oprócz drobnych prezentów – a gdy Jilly zaproponowała, że pomoże płacić za szkołę, doszło do poważnej kłótni.

– Po pierwsze, nie wziąłbym tych pieniędzy, a po drugie, za nic w świecie się nie zgodzę, żeby dziewczynki poszły do szkoły prywatnej.

Kate uczyła się w miejscowej szkole średniej; była to bardzo dobra placówka i nastolatka dobrze się w niej czuła. Problem pojawił się, gdy Juliet zdobyła stypendium muzyczne w szkole prywatnej. Dyrektorka szkoły podstawowej zaproponowała, żeby dziewczynka spróbowała się tam dostać, bo ma naprawdę spore szanse. Jim powiedział, że jego zasady i sytuacja materialna uniemożliwiają podjęcie takiego kroku. Helen, tym razem dziwnie pewna swego, oznajmiła, że to wspinała możliwość dla Juliet i nikt nie ma prawa jej przeszkodzić w wykorzystaniu życiowej szansy.

– Tylko dlatego, że szkoła prywatna jest sprzeczna z ideałem szkoły, do której przyjmuje się wszystkie dzieci. Przykro mi, Jim, ale albo Gunnersbury High School, albo ja. Jeśli zda egzaminy wstępne, będzie się tam uczyć.

Jim był tak zaszokowany, że się zgodził. Gdy dotarli do restauracji, Jilly siedziała już przy stoliku z ogromnym pudłem na sąsiednim krześle. Jak się okazało, znajdowała się w nim piękna skórzana kurtka; Kate była zachwycona i przesiedziała w niej cały posiłek.

– Prawda, że jest piękna? – powtarzała, głaszcząc ją i co chwila wstając, żeby się obrócić. – Super.

Za każdym razem ścisła i całowała babcie, domagała się też, żeby wszyscy potwierdzali jej zachwyty. Jim nawet nie krył złości, że Jilly ofiarowała wnuczce coś tak drogiego; Helen wiedziała dlaczego – bo ich prezent, nowa komórka, w porównaniu z kurtką wypadł bardzo żałośnie. Dziewczęta były zachwycone posiłkiem i dość hałaśliwie pokazywały sobie nawzajem znane osobistości – była tam Zoe Bali, Geri Halliwell i gwiazda „EastEnders”, aktorka, o której Helen nigdy nie słyszała. Gdy kelner przyniósł tort ze świecami i zaczął śpiewać Happy Birthday, ciemne oczy Kate niespodziewanie wypełniły się łzami.

– To takie superowe – powtarzała. – Naprawdę superowe... Jim przyłączył się do chórków, ale nie omieszkał przypomnieć, widząc pokrojony i podzielony na kawałki tort, że teraz zmarnuje się ciasto upieczone przez Helen.

– Tato – westchnęła Kate z nutką żalu w głosie – dlaczego próbujesz spieprzyć mi całą zabawę?

– Kate, nie mów tak! – zaprotestowała Helen dość ostro. Jilly pohamowała ją, tłumacząc, że Kate jest zbyt podekscytowana.

– Po co tyle hałasu? Zjedzmy tort. Juliet, kochanie, jak ci smakuje?

– Jest pyszny – oznajmiła Juliet uprzejmie, a potem rozładowała sytuację. – Hej, Kate, czy to nie doktor Fox?

– A skoro mowa o doktorach – wykorzystała sytuację Jilly – mam teraz...

– Babciu! – wtrąciła Kate. – Foxy nie jest prawdziwym lekarzem. To didżej. Powinnaś o tym wiedzieć.

– Nie zwracaj uwagi, mamusiu – odezwała się Helen. – Mów dalej.

– Co takiego? O, tak. Mam teraz bardzo miłą nową panią doktor. Urocza dziewczyna, właśnie zaczęła praktykę w Guildfordzie. Bardzo ją polubiłam.

– Cieszę się – powiedziała Helen uprzejmie. – Dobrze się czujesz, mamusiu?

– Oczywiście – odparła Jilly niemal z oburzeniem.

– To była tylko zwyczajna rozmowa towarzyska, prawda? – spytał Jim ze złością. – Skoro pani doktor okazała się taka urocza.

– Tak – potwierdziła Jilly zdecydowanie. – Zwyczajna rozmowa towarzyska. W porządku, dziewczęta, dokończcie tort.

– Wiecie co? – powiedziała Kate z rozmarzeniem, spoglądając na kelnera niosącego wiaderko z lodem. – Nigdy w życiu nie piłam szampana.

– W takim razie musisz go skosztować – oznajmiła Jilly. – Zamówię po kieliszku dla nas wszystkich.

Helen doszła do wniosku, że jej matka doskonale wie, co robi. Ostatnie słowa Jima zirytowały starszą panią, dlatego postanowiła odpłacić mu pięknym za nadobne. Podniosła rękę, żeby przywołać kelnera, ale Helen delikatnie ściągnęła ją w dół.

– Proszę, nie rób tego, mamusiu. To ekstrawagancja, a dziewczynki już pewnie się przejadły. Będzie im niedobrze.

– Na pewno nie – zaprotestowała Kate. – Prawda, Jools?

– Oczywiście – potwierdziła Juliet nieco zdenerwowana.

– Dobrze. W takim razie...

– Nie zgadzam się, Jilly – wtrącił Jim surowo, nie odrywając ciemnych oczu od teściowej. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Tato...

– Och, nie ma sprawy, Kate – zapewniła szybko Jilly. – Mam propozycję. Gdy następnym razem przyjadę do was na weekend, przywiozę szampana. Co ty na to? Czy możemy się od razu konkretnie umówić?

– Dobrze – zgodziła się Kate nadąsana – ale zabawniej by było teraz.

Helen była oburzona na matkę. Jilly z pełną premedytacją postanowiła zadziałać Jimowi na nerwy. A co z Juliet? Kiedy będzie miała szansę na szampański weekend z babcią?

– Może Juliet też wtedy będzie mogła przyjechać. Na weekend – powiedziała, zdając sobie sprawę, jak obcesowo brzmią jej słowa i jak zażenowana jest Juliet.

– Naturalnie! – zawołała Jilly. – Byłaby świetna zabawa. Wkrótce jakoś to zorganizujemy.

Teraz, jeśli wszyscy mają dosyć, może poprosimy o rachunek?

– Zdecydowanie mają dosyć – oznajmił Jim. Helen nagle poczuła, że jest bliska łez.

Urodziny Kate zawsze bardzo ją wzruszały. Myślała o matce dziewczynki, o tym, że urodziła dziecko bez niczyjej pomocy; myślała też o małej Kate i o tym, jakie niebezpieczeństwo jej groziło, gdy po odejściu matki została sama, w chłodzie i taka bezbronna.

Jak to możliwe, żeby kobieta zrobiła coś takiego? Jak mogła?

Gdzie jest teraz, w dniu urodzin swojej córeczki? Czy często myśli o małej, bezradnej istotce, którą tak bezwzględnie i bezdusznie porzuciła?

Helen miała nadzieję, że często; miała również nadzieję, że to boli.

Rozdział Piąty

To bolało. Bardzo bolało. Czasami wręcz przypominało fizyczny ból.

Co więcej, było wyjątkowo niesprawiedliwe. To, że Jeremy lekceważył ją i jej pracę. Na litość boską, jest jej mężem, więc powinien ją kochać! Zawsze powtarzał, że ją kocha. I że jej potrzebuje.

Czasami miała ochotę mu powiedzieć, że dłużej tego nie zniesie i że nie tak, jej zdaniem, powinno wyglądać małżeństwo. Niestety, brakowało jej odwagi. Poza tym był za sprytny: wygrywał każdą kłótnię. Powinien być adwokatem – pomyślała ze złością Clio, naciskając dzwonek, żeby recepcjonistka wpuściła następnego pacjenta – nie chirurgiem, wtedy może...

– Zaczekaj, Clio. Zanim wyślę do ciebie panią Cudden, masz telefon od Jeremy'ego.

Znowu? Po raz ostatni rozmawiała z nim zaledwie pół godziny temu.

– Jeremy'ego?! Przecież minęło... myślałam, że jeszcze operuje.

– Najwyraźniej jest już w domu. Połączyć cię?

– Hmm...

Szybko myślała. Jeśli się nie zgodzi, Jeremy będzie zły; jeśli się zgodzi, też będzie zły, bo nie uda im się porozmawiać jak należy.

– Nie. Pani Cudden już zbyt długo czeka. Jeśli Jeremy zadzwoni ponownie... powiedz mu, że oddzwonię.

– W porządku.

Oczywiście, kochała Jeremy'ego, nie mogło być inaczej, i cieszyła się, że jest jego żona jednak nie zawsze. Pewną przyjemność – chociaż już nie taką, biorąc pod uwagę jej osiągnięcia i ambicję – sprawiało jej również prowadzenie domu.

Przede wszystkim jednak kochała swoją pracę. Bardzo ją kochała.

Z ogromną przyjemnością poznawała swoich pacjentów, angażowała się w ich życie, wyczuwała, których powinna załatwić szybko, a którym należałoby poświęcić nieco więcej czasu. To była cudowna odmiana po pracy w szpitalu, gdzie widywała ludzi przez krótki czas; pojawiali się znikąd, a potem znikali i przeważnie już nigdy więcej ich nie widziała. Cieszyła się, że nawet jeśli nie może zostać przyjaciółką swoich podopiecznych, przynajmniej znajduje miejsce w ich życiu, może dodawać im otuchy i zapewniać bezpieczeństwo, z czego czerpała ogromną satysfakcję.

Pracując w szpitalu, nawet nie wiedziała, jak ogromna odpowiedzialność spoczywa na lekarzu pierwszego kontaktu. Był pierwszym ogniwem, stałym elementem w życiu pacjentów, którzy na nim polegali. Zwłaszcza ludzie starzy. Jej ulubionymi pacjentami byli państwo Morrisowie; oboje zbliżali się do dziewięćdziesiątki, ale wciąż całkiem niezłe radzili sobie sami w nieskazitelnie czystym i mądrze urządzonej domu. Niestety, musieli zażywać lekarstwa, a ich dozowanie było dość skomplikowane. Jeśli nie wzięli tabletek, zapominali się i niedołączyli, a ich jedyna córka mieszkała około siedemdziesięciu kilometrów stąd i nie mogła albo nie chciała

pomóc.

Clio dwukrotnie odbierała w ich sprawie naglące telefony. Pracownicy opieki społecznej informowały ją o niezjedzonych posiłkach i o tym, że pewnego dnia znalazły panią Morris w koszuli nocnej w ogrodzie, podczas gdy jej mąż szukał po całym domu czajnika. Clio w końcu znalazła nieszczęsny imbryk w pomieszczeniu gospodarczym, w pralce.

– Jeszcze dzień, dwa, i Bóg jeden raczy wiedzieć, co by się z nimi stało – zwierzyła się Markowi Salterowi. – Na szczęście podałam im lekarstwa i namówiłam Dorothy, żeby wróciła do domu. Kiedy zadzwoniłam nieco później, byli już w znacznie lepszych nastrojach, popijali herbatę i oglądali Home and Away. Wpadłam na pewien pomysł. Napelniłam im dozowniki leków na cały tydzień. Zamierzam dalej to robić.

– Jesteś bardzo dobra, Clio, to jednak przekracza twoje obowiązki.

– Marku, zastanów się, jaką mamy alternatywę. Jeśli tego nie zrobimy, nie później niż za miesiąc wylądują w domu opieki społecznej.

– To paranoja – rzekł ze znużeniem. – Lekarstwa chętnie podawałaby im opiekunka, która co rano pilnuje, żeby się ubrali, ale nie może tego zrobić ze względu na idiotyczne przepisy. Boże, gdy przypominam sobie dawne czasy, kiedy mój ojciec prowadził praktykę!

– Wiem – powiedziała Clio cicho. – Niestety, wszystko się zmieniło. Nic na to nie możemy poradzić, Marku, a Morrisowie mieszkają przy drodze, którą jeżdżę do pracy, więc to żaden problem.

Jej głównym problemem był... Jeremy. Nie chodziło nawet o to, że nieustannie lekceważył jej pracę. Uważał, że w razie potrzeby w każdej chwili może znaleźć jakiś pretekst. Jeśli wracał wczesnym wieczorem, a Clio jeszcze pracowała, przyjeżdżał do przychodni i przekazywał jej przez recepcjonistkę wiadomość, że czeka, bo chciałby zabrać ją do restauracji albo kina, a potem siedział w poczekalni i przy każdym wchodzącym pacjencie głośno pytał, czy to już ostatni. Bardzo się złościł, gdy miała podczas weekendu dyżur pod telefonem (choć zdarzało się to tylko raz na pięć tygodni), i nie interesowali go jej chorzy ani ich problemy, chociaż wymagał, żeby Clio wysłuchiwała opowieści o jego pacjentach. Sprawy zaszły tak daleko, że ostatnio spytała Marka Saltera, czy może ograniczyć czas pracy do czterech dni; na szczęście kierownik przychodni, rozumiejąc problem, wyraził zgodę. To na jakiś czas uspokoiło Jeremy'ego; ale teraz jego niezadowolenie – tylko tak mogła to nazwać – znów rosło.

Miała jeszcze inny problem, albo przynajmniej powód do zmartwień: problem, o którym wiedziała tylko ona i który z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc przybierał na sile. Zbierała swoje rzeczy, gdy znów zadzwoniła recepcjonistka, Margaret.

– Przepraszam, Clio, ale dzwoni pani Bradford. Mówi, że chce z tobą porozmawiać.

– Oczywiście.

Clio lubiła elegancką, modnie ubraną panią Bradford o lśniących jasnych włosach; przyszła kilka tygodni temu z prośbą o tabletki nasenne.

Clio wypisała wówczas receptę i pod wpływem impulsu powiedziała:

– Bardzo podoba mi się pani żakiet.

– Miło mi. Kupiłam go w swoim... naszym sklepie. Zna go pani? „Caroline B” przy High Street. To żakiet od Max-Mary; mamy dużo jego rzeczy. Chociaż, oczywiście, jest z ubiegłego sezonu.

– Szczerze mówiąc, bardzo lubię wzorek w kurzą stopkę – przyznała Clio – a właśnie szukam czegoś na konferencję, która ma się odbyć w październiku.

– W takim razie, gdy przyjdzie następna kolekcja, dam pani znać. Z przyjemnością osobiście pomogę pani w wyborze. Zawsze twierdzę, że dzięki temu można oszczędzić dużo czasu, którego my, kobiety pracujące, nie mamy zbyt wiele.

– Byłoby cudownie, dziękuję – rzekła Clio i natychmiast o wszystkim zapomniała.

– Witam panią, pani Bradford – powiedziała teraz. – Czym mogę służyć?

– Dzwonię zgodnie z obietnicą – odparła Jilly Bradford typowym głosem osób z wyższych sfer. – Przyszła właśnie nowa kolekcja Max-Mary. Jest kilka ładnych żakietów. Czy mam odłożyć dwa dla pani? Na moje oko, nosi pani dziesiątkę.

– Chciałabym – westchnęła Clio. – Zazwyczaj kupuję spore dwunastki.

– Jego rozmiary są dość obszerne. Jestem pewna, że lepsza będzie dziesiątka. Kiedy pani wpadnie?

– Mogę w sobotę po południu?

– Oczywiście. Będę niecierpliwie czekać. Nie zabieram pani więcej czasu. Do widzenia, doktor Scott.

– Do widzenia, pani Bradford. I serdecznie dziękuję. Gdy dotarła do domu, Jeremy był w podłym nastroju: oglądał wiadomości na Channel 4 i zjadał chleb z serem.

– Och, kochanie, nie powinieneś napychać się byle czym. Mam na kolację pysznego pstrąga.

– Nie mogłem dłużej czekać. Jestem w domu od czterech godzin.

– Dlaczego? Wydawało mi się, że czeka cię dzisiaj sporo operacji.

– Spróbuj to powiedzieć dyrekcji szpitala. Oni i te ich cholerne pomysły organizacyjne! Wiesz równie dobrze jak ja, jak to działa. Dziś rano miałem mieć trzy biodra, a po południu skomplikowaną operację kręgosłupa. No cóż, to za mało, prawda? Tylko cztery operacje w ciągu dnia. Dodaj trzy biodra – powiedzieli – i odłóż kręgosłup na później. Potem, po południu, brakowało pielęgniarek, więc przeprowadziłem tylko jedną operację. Boże, co za system! Chętnie chwyciłbym Milburna za kark i oprowadził go po pustych w połowie salach, a potem na dzień lub dwa umieścił na oddziale nagłych wypadków.

– Kochanie – powiedziała Clio uspokajająco – wiem, że to okropne, ale nic nie możemy poradzić. A teraz chodź ze mną do kuchni i opowiedz mi, jaki miałeś dzień, a ja w tym czasie będę robić kolację.

– Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy wyjechać gdzieś na najbliższy weekend – zaproponował, nalewając kieliszek wina. – Co ty na to?

– Świetnie. Bardzo chętnie.

– Nie masz dyżuru pod telefonem ani żadnych innych głupot? Z trudem zignorowała ostatnią część zdania.

– Nie, nie mam. Dyżuruje Jane Harding, a następny weekend... będzie należał do mnie – powiedziała odważnie. – Zamieniłyśmy się dyżurami, bo jej brat wraca ze Stanów i...

– Chętnie wybrałbym się do Paryża – przerwał jej. – Może być?

– Och, Jeremy, jak najbardziej! To wspaniały pomysł.

– Cieszę się. Kupię bilet na tanie linie. Clio odetchnęła z ulgą. O potwornej tragedii, która wstrząsnęła całym światem, Clio dowiedziała się podczas wizyt domowych. Kiedy zapukała do drzwi, nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt jej nie otwiera. Kobieta, która zamówiła wizytę, z płaczem prosiła przez telefon o przyjazd do wymiotującego i rozpalonego dziecka. Idąc ścieżką, Clio widziała przez okno, jak matka oglądała telewizję. Zapukała ponownie.

Kobieta podeszła do drzwi; była biała jak ściana i wyraźnie zaszokowana.

– Och, dzień dobry, pani doktor. Serdecznie witam. Słyszała pani ostatnią wiadomość?

– Co się stało?

– Samolot wleciał w jedną z bliźniaczych wież World Trade Center w Nowym Jorku. Dosłownie się w nią wbił. Potem wybuchnął. To okropne. Czuję się, jakbym oglądała film katastroficzny. Tak, tak, proszę wejść do pokoju i popatrzeć. Clio usiłowała zbadać rozpalone dziecko, jednocześnie oglądając jedno z najgłośniejszych wydarzeń w historii. Z przerażeniem patrzyła na potężne wybuchy i potworne kłęby czarnego dymu unoszącego się w jasne, błękitne poranne niebo. Nagle przypomniała sobie, co Jane Harding mówiła o swoim bracie: „Pracuje w World Trade Center, ma bardzo odpowiedzialne stanowisko...”

– O Boże! – jęknęła. – O Boże, biedna Jane.

– Zamknij się, Jeremy! To tylko jeden wieczór. Mogę przylecieć do ciebie w niedzielny poranek. Złapię tani lot; sądzę, że teraz nie będzie trudno o bilety. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle rozmawiamy na ten temat. Co by było, gdyby tam pracował twój brat? Potrafisz sobie to wyobrazić? Szczerze wątpię.

Wycofał się, jak zwykle, gdy zdarzał się jej jeden z rzadkich wybuchów złości.

– Przepraszam. Tak. Oczywiście, masz rację. Oboje polecimy w niedzielę. Przykro mi. Wiem, że musisz to zrobić.

Brat Jane Harding zginął. Przynajmniej wszyscy założyli, że nie przeżył katastrofy. Później przyznawali, że najgorszy był brak pewności.

– Mama chce lecieć do Nowego Jorku – powiedziała zapłakana Jane, gdy zadzwoniła do pracy następnego dnia – ale tata twierdzi, że to zbyt niebezpieczne. Bardzo trudno im się z tym pogodzić. Wszystkim nam trudno. Ludzie wyskakiwali z budynku, wyobraź sobie, Clio, z trzydziestego, czterdziestego piętra, byle tylko uciec. Może Johnny też to zrobił? Albo próbował zbiec schodami. Uruchomili telefoniczną linię informacyjną, ale... tak czy inaczej, nie mogę zostawić rodziców, bo są pogrążeni w rozpacz. Przepraszam, Clio. Przepraszam, że zepsułam ci weekend.

– Nie bądź śmieszna – powiedziała Clio – jakby to miało jakieś znaczenie.

Rozdzielili dyżur Jane między siebie: Mark wziął sobotę, a Graham Keir, starszy wspólnik – niedzielę.

– Niestety, nie możemy znaleźć nikogo na piątek – oznajmił Mark.

– Przepraszam, Clio.

– Nie przepraszaj, Marku. Zapisz mnie na piątek i przestań się przejmować. Jeremy nie będzie miał nic przeciwko temu.

Miał. Była zaszokowana, że tak wiele. Póki go nie zaatakowała. Cała Anglia była w szoku. Wszyscy mówili tylko o jednym. O zdjęciach, sławnych zdjęciach, jak samolot wbija się w wieżę, jak wieże wybuchają i zawalają się; o ludziach, którzy dzwonili z płonących wież, by pożegnać się z najbliższymi. W pierwszych dniach po katastrofie zapanowało powszechne przerażenie, wszyscy się bali, pytali, które miejsce terroryści zaatakują jako następne? Odwołano tysiące lotów; ku zadowoleniu Clio Jeremy zgodził się odłożyć wyprawę do Paryża na później. Powiedziała Markowi, że weźmie również sobotę.

– W sobotę Jeremy będzie operował kilku prywatnych pacjentów, więc mogę w tym czasie popracować.

Do przychodni zgłosiło się zaledwie kilka osób. Zupełnie jakby ludzie nie chcieli się skarżyć na drobne dolegliwości w chwili, kiedy cały świat pogrążył się w żałobie.

Jeremy zadzwonił, oznajmiając, że wróci dopiero na podwieczorek, więc w południe Clio złapała się na tym, że nie ma co robić. Potem przypomniała sobie, że umówiła się z Jilly Bradford.

Wspaniale!

Przyjechała do sklepu koło drugiej; było w nim bardzo cicho, tak jak w całym mieście. Nikt nie miał ochoty na zakupy; nagle Clio poczuła wyrzuty sumienia.

Jilly uśmiechnęła się do niej i powiedziała, że się cieszy.

– To okropne, prawda? Zastanawiałam się, czy w ogóle otwierać dzisiaj sklep, ale potem przyszło mi na myśl, że nie możemy dać im się zastraszyć. Mam na myśli terrorystów. Proszę, odłożyłam dla pani dwa żakiety i kilka bluzeczek. Może któraś z nich przypadnie pani do gustu. Skorzysta pani z przebieralni? Napije się pani kawy?

– Bardzo chętnie. Dziękuję.

Oba żakiety były bardzo ładne; po krótkiej walce wewnętrznej Clio postanowiła, że weźmie oba.

– Ta gładka czarna bluzeczka też jest śliczna.

– Cieszę się. Mam propozycję; znam już pani rozmiary, dlatego w przyszłości mogę zadzwonić, jeśli tylko dostanę coś, co moim zdaniem mogłoby się pani spodobać. Naturalnie, jeśli pani pozwoli.

– Chętnie – zgodziła się Clio. – Zazwyczaj nie zastanawiam się nad ubraniami, póki czegoś nie potrzebuję.

To widać – pomyślała, gdy przejrzała się w lustrze i zobaczyła swój strój: tweedową spódniczkę, bluzkę w paseczki i kamizelkę.

– Po to tu jesteśmy – zapewniła Jilly, uśmiechając się do niej – żeby myśleć za klientki. Nie ograniczamy się tylko do sprzedawania odzieży.

– Widzę. Proszę, to moja karta...

Nagle otworzyły się drzwi i do sklepu wpadła młoda dziewczyna: ładna nastolatka z kaskadą niesfornych jasnych włosów, dużymi, ciemnymi oczami i cudownie długimi nogami w podartych, wyblakłych dzinsach.

– Cześć, babciu. Przepraszam, że przyjechałam wcześniej, ale nie mogłam już ani chwili dłużej słuchać, jak tata opowiada o terrorystach. Chyba zakłada, że lada chwila wysadzą w powietrze naszą ulicę. Och, przepraszam! – powiedziała, gdy dostrzegła Clio przy kasie.

– Nic się nie stało, kochanie. Nie jestem zbyt zajęta. Pani doktor, to moja wnuczka, Kate Tarrant. Kate, to doktor Scott.

– Cześć – rzuciła dziewczyna.

Spojrzała na Clio, uśmiechnęła się i zniknęła na zapleczu.

– Kate czasami przyjeżdża do mnie na weekendy – wyjaśniła Jilly, oddając Clio kartę kredytową. – Dość dobrze się rozumiemy.

– Widzę. Mieszka w Guildfordzie?

– Nie, moja córka i jej mąż mieszkają w Ealing.

Było w tym stwierdzeniu coś dziwnego, ale Clio nie umiała powiedzieć co.

– Dziękuję jeszcze raz. Mam nadzieję, że nie spotkamy się w przychodni, jeśli dobrze mnie pani rozumie.

– Babciu...

Dziewczyna pojawiła się ponownie i znów obdarzyła Clio promiennym uśmiechem.

– Może pobiegnę po jakieś kanapki? Umieram z głodu, a ty nie masz w lodówce coli.

– Przepraszam, kochanie. Tak, idź na zakupy. Przynieś kanapki, ale nie colę. Proszę, weź pieniądze.

– Dzięki. Wyszła.

– Jaka ładna dziewczyna! – powiedziała Clio. – Nawet trochę podobna do pani.

– Miło, że pani to mówi, ale...

W otwartych drzwiach pojawiła się następna klientka; Clio uśmiechnęła się i wzięła swoje torby.

– Pozwolę pani popracować... Jeszcze raz dziękuję. Zatrzymała się przed sklepem i przez chwilę rozglądała się po ulicy za dziewczyną. Było w niej coś dziwnego. Jakby... skądś ją znała, tylko nie umiała powiedzieć skąd.

Ludzie często pytali Marthę, czy w jej życiu wydarzyło się coś konkretnego, co skłoniło ją do zmiany raz obranej drogi i zaryzykowania wszystkiego, na co dotychczas tak ciężko pracowała. Wtedy odpowiadała, że tak, że było coś takiego: wizyta na koedukacyjnym oddziale szpitala

Świętego Filipa, gdzie Lina cicho i bez słowa skargi umierała na nienadającego się już do operowania raka wątroby. Była przy tym potwornie zażenowana, bo zmoczyła łóżko (choć dosłownie kilka godzin wcześniej prosiła o basen) i powoli zaczynała się zlewać z panującym wokół brudem i nędzą.

Martha znalazła pielęgniarkę i zażądała, żeby Linie zmieniono pościel, a gdy siostra odparła, że nie ma czasu, prawniczka weszła do maleńkiego pomieszczenia z napisem „Magazyn”, znalazła czystą pościel, pomogła Linie usiąść na wózku inwalidzkim i zaczęła sama zmieniać mokre prześcieradło.

Pielęgniarka powiedziała, że nie wolno jej tego robić, ale Martha oświadczyła, że musi się tym zająć, bo wyraźnie nikt inny się do tego nie kwapi. Wtedy pojawiła się siostra oddziałowa. Martha powiedziała jej, co o tym wszystkim sądzi, i uprzejmie dodała, że powinny być jej wdzięczne za pomoc. Oznajmiła również (co było zgodne z prawdą), że jest gotowa wyszorować sedes, bo okropnie wygląda i z pewnością stanowi siedlisko wszelkich możliwych bakterii.

W tym momencie kobieta westchnęła i przyznała, że wie o tym i od rana próbuje znaleźć na to czas.

– Rozumiem – powiedziała Martha – tylko czy nie powinny tego robić sprzątaczk?

– Ich związki zabraniają im bezpośredniego kontaktu z brudną pościelą i ludzkimi odchodami. Są do tego wyznaczeni ludzie, ale dzisiaj jeszcze nie przyszli, więc...

Ktoś z przeciwnego krańca oddziału zawołał, że jednemu z pacjentów skończyła się kroplówka, i siostra przełożona oddaliła się. Martha siedziała przy łóżku Liny i delikatnie głaskała japo ręce, ciesząc się, że problemy zdrowotne matki (operacja lędźwiowego odcinka kręgosłupa) zostały załatwione prywatnie. Nie mogła jednak pomóc Linie... ani wszystkim innym Linom. Martha odwiedziła szpital w lipcu; w sierpniu inna sprzątaczk, ocierając łzy ściereczką, którą wcześniej wytarła kurz z biurka Marthy, oznajmiła, że Lina umarła.

– Twierdzą, że to był rak, panno Hartley – powiedziała – ale ja sądzę, że pękło jej serce. Czuję, że jej rodzinie się nie powiodło, i nie mogła tego znieść.

Martha, nie kryjąc łez, przypomniała sobie słodką, łagodną Linę i jej heroiczną walkę o przyszłość rodziny. Prawniczka zastanawiała się, czy może jakoś poprawić życie wszystkich innych ludzi, których zawiódł kraj i jego niewydolny system.

Była podenerwowana przez cały dzień, fatalnie wypadła na spotkaniach, a gdy późnym popołudniem zadzwonił jej przyjaciel, Richard Ashcombe, żeby odwołać wieczorną wyprawę do kina, uznała to za ogromny cios.

– Przepraszam, Martho, całkowicie zapomniałem, że umówiłem się z kuzynem na kolację. Nie mogę go zawieść.

– Jasne.

Nagle zdała sobie sprawę, że głos jej się trzęsie, a do oczu napływają łzy.

– Dobrze się czujesz, Martho?

– Tak, tak, oczywiście. Mam zły dzień, to wszystko.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mogę odwołać tego spotkania. Oczywiście... jeśli chcesz, możesz się do nas przyłączyć. Ja i mój kuzyn nie mamy zbyt wielu wspólnych tematów i czasami rozmowa nam się nie klei. Jestem pewien, że cię polubi, poza tym jest politykiem, więc mogłabyś podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

– Jakimi przemyśleniami?

– Och, wiesz, o tym, że kraj schodzi na psy i że zawodzi tylu ludzi.

– Czy ja tak często o tym mówię?

– Hm... dość często, ale on tego nie słyszał, prawda? A ja po prostu się spiję i nie będę słuchał. Przyjdź, Martho, wyświadczysz mi ogromną przysługę.

– Dobrze. – To była intrygująca myśl. – Może być zabawnie. Jeśli uważasz, że twój kuzyn naprawdę nie będzie miał nic przeciwko temu. Dziękuję, Richardzie, ale najpierw do niego zadzwoń i zapytaj, dobrze? Jak on się nazywa?

– Marcus Denning.

– Co takiego? Minister kultury? – spytała Martha.

– No, powiedzmy... minister kultury w gabinecie cieni... Zadzwoń do ciebie, gdy będę wychodził.

– Dzięki, Richardzie.

Do gmachu parlamentu dotarli ze znacznym opóźnieniem; był tak duży ruch, że zapłacili taksówkarzowi i ostatnie pół kilometra przeszli na piechotę. Gdy ochroniarze sprawdzali ich ubrania i aktówki, dostrzegła Denninga, który z wyraźnym zniecierpliwieniem zerkał na zegarek. Gdy Martha stanęła w bramce, odezwał się (jak zawsze) alarm; pozwoliła się sprawdzić (jak zawsze winna była jej biżuteria), a potem, potwornie zażenowana, podeszła do Denninga, zostawiając za sobą Richarda, któremu kazano wyjąć całą zawartość aktówki.

– Najmocniej przepraszam za wszystko – powiedziała – po pierwsze, że zepsułam wam wieczór, a po drugie, że jesteśmy spóźnieni. Richard ostrzegł pana, prawda? – dodała, widząc na twarzy polityka lekkie zdziwienie. – Że przyprowadzi mnie ze sobą?

– Nie, ale to miła niespodzianka. – Wyciągnął rękę. – Kim pani jest?

– Nazywam się Martha Hartley. Pracuję z Richardem.

– Jeszcze jeden prawnik?

– Tak, obawiam się, że wszędzie nas pełno.

– Ale jesteście nam bardzo potrzebni.

Z bliska wyglądał na młodszego; dałaby mu około czterdziestu pięciu lat.

– Witaj, Richardzie, miło cię widzieć. Nie wysłali cię do Tower? Nie miałeś w aktówce żadnej śmiercionośnej broni? Uśmiechnął się do Richarda. Martha go polubiła.

– Nie tym razem. Przepraszam, że kazaliśmy ci czekać.

– Nie ma sprawy. Gdzie się wybierzemy? Proponuję Pugin Room. „Strangers’ Bar” jest pełny. Panuje spore podniecenie z powodu najświeższych reform Izby Lordów.

– Właściwie nigdy wcześniej tu nie byłam – zdradziła Martha. – Wpadłam tylko na chwilę.

Wprowadzono mnie do środka i po pięciu minutach wyprowadzono.

– Naprawdę? Jeśli chcecie, możemy sobie urządzić małą wycieczkę.

– Tylko nie to – jęknął Richard. – Żadnych wycieczek. Umieram z głodu.

– W takim razie bardzo krótką. Na pewno wiecie, że to jest westybul. Izba posiedzeń znajduje się tam. Ślicznie tu, prawda?

– Owszem – przyznała Martha.

Spojrzała na imponującą kopułę, okna witrażowe, umieszczone wysoko nad głowami rzeźbione w kamieniu ogromne zwierzęta herbowe i wsłuchała się w echo. Wydawało jej się, że słyszy odgłosy historii.

– A teraz tędy – zaproponował Marcus, wyprowadzając ich z westybulu. – O, cześć, Hugh. Cieszę się, że cię widzę.

– Witaj, Marcusie! Co o tym wszystkim sądzisz?

– Prawdę mówiąc, nic. Rozmawiałeś po wszystkim z Duggie?

– Tak. Znikam. A ty?

– Nie. Zabieram tę czarującą damę na kolację. To mój kuzyn, który gra rolę przyzwoitki. Chodź, Martho – powiedział, skręcając w prawo. – Jeszcze nim wyjdziemy, ciekawostka. Jedna z płytek na podłodze jest źle obrócona. Potrafisz powiedzieć która? Dobry wieczór, Henry. Wychodzisz? Mądry człowiek... Chodź i przyjrzyj się tym popiersiom, Martho, może cię rozśmieszą. Widzisz, ta przedstawia Aleca Douglasa Home'a. Podobno przegrał w wyborach w sześćdziesiątym czwartym, bo nosił okulary. Jak widzisz, tu ich nie ma. Zwrot w prawo i wracamy. Dzięki kolorom dywanów wiadomo, w której części się znajdujemy; u lordów są czerwone, w Izbie Gmin – zielone. Lordów wzywa na obiady bardziej elegancki dźwięk: my mamy dzwonek, a oni brzęczyk. A to biblioteka. Wielu ludzi podczas uprawiania seksu rozstało się tu z tym światem.

– Naprawdę? – spytała ze śmiechem.

– Podobno. Poza tym nie wolno umierać w żadnym innym miejscu, co pewnie wiesz. Po prostu usuwają cię z danego lokalu.

A to Pugin Room. Jest krytykowany za dekoracje i zbyt wyszukaną tapetę.

Skręcili w lewo, weszli do pomieszczenia, które było tak olśniewające, że Martha zamrugała powiekami. Z okien rozciągał się wspaniały widok na rzekę, ściany i sufit pokrywała połączana tapeta Pugina, pośrodku zwisał ogromny żyrandol. Całość bardziej przypominała foyer jakiegoś eleganckiego hotelu. Fotele i sofy pozostawiane były niewielkimi grupkami, a mężczyźni, którzy wyglądali jak stareńcy służący, roznosili drinki na srebrnych tacach. Marcus poprowadził ich do stolika; ktoś wstał.

– Cześć, Marcusie. Co o tym wszystkim sądzisz?

– Że to kompletne brednie. Czyżby ktoś liczył, że nam się to spodoba?

– Chyba tak. Postawić ci drinka?

– Nie, nie, nie będziemy tu długo. Stawiam tym młodym ludziom kolację.

Usiadł i machnął ręką do kogoś, kto siedział po przeciwnej stronie pomieszczenia.

– Dobry wieczór. Cieszę się, że cię widzę.

– Chodzenie po gmachu parlamentu trochę przypomina spacer po moim rodzinnym mieście – zażartowała Martha ze śmiechem.

– Bo to naprawdę jest niewielka miejscina. Pracuje tu około dwóch tysięcy ludzi. Mamy wszystko: kwiaciarnię, skrzynki pocztowe, fryzjera damskiego. Jeśli się wie, gdzie szukać, można tu dostać drinka dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chociaż pod tym względem gmach parlamentu nie przypomina miejsciny. A może jednak. No i aż kipi w nim od plotek. Na co macie ochotę?

– Szprycer z białego wina. – Czuła się jak u siebie w domu. – Podoba mi się tu. Naprawdę!

Kolację zjedli w „Patrick’s”, restauracji położonej przy nabrzeżu, w rzeczywistości nazywanej „Granaty”.

– Wszystkim nam się tu podoba – wyznał Marcus. – Jest dość blisko gmachu parlamentu, a dodatkowym atutem dla życia politycznego jest fakt, że nie jest stąd daleko do Dolphin Square, gdzie mieszka wielu parlamentarzystów. Niegdyś trzymali tam kochanki, ale w obecnych czasach wszyscy musimy być bez skazy.

– Bez skazy? – nie wierzył Richard. – A co powiesz na afery związane z Ecclestone’em i braćmi Hinduja?

– Och, wiem, wiem. Też skandale, tylko innego rodzaju. Powiedziałbym, że mniej ciekawe. Tak czy inaczej, obecnie polityka to dość przygnębiające zajęcie. Frekwencja podczas ostatnich wyborów była najniższa od wielu lat, a kilka dni temu przeczytałem, że politycy cieszą się mniejszym szacunkiem niż dziennikarze. To już jest poważne oskarżenie.

– Chyba nie powinno cię to dziwić – zauważyła Martha. – Wszyscy czują się zawiedzeni, odarci z iluzji. Oczywiście nie chodzi o twoją partię, ale o wszystkich polityków. W tej chwili trudno mówić o opozycji, więc ludzie naprawdę nie mają na kogo głosować. Po co mieliby iść do urn?

– Masz rację. Tymczasem wspaniałe talenty polityczne się marnują. Naprawdę cię to interesuje?

– Tak.

– W takim razie powinnaś coś zrobić... cześć, Janet. Cieszę się, że cię widzę. Pozwól, że ci przedstawię swojego kuzyna, Richarda Ashcombe’a, i jego przyjaciółkę, Marthę Hartley.

Martha spojrzała na Janet Frean i wydało jej się, że musiała ją kiedyś widzieć. Frean miała miłą, atrakcyjną, chociaż wcale nie piękną twarz o wyrazistych rysach; kasztanowe włosy czesała w kok. Była wysoka i chuda, miała zgrabne nogi i smukłe ręce. Uśmiechnęła się do Marthy.

– Martha ma bardzo ciekawe poglądy – oznajmił Marcus. – Powinnaś ich wysłuchać.

– Bardzo bym chciała, ale w tej chwili nie mogę. Czekam na... o, jest. Dobry wieczór, Nick. Oczywiście znasz Marcusa Denninga.

– Jasne, dobry wieczór, Marcusie.

Przy ich stoliku zatrzymał się bardzo wysoki, nieco niechlujnie ubrany młody mężczyzna.

– Janet, nie chcę być niegrzeczny, ale mam tylko pół godziny. Potem muszę wracać do gmachu parlamentu. Mandelson postanowił poświęcić mi odrobinę swego cennego czasu. Jest Chad?

– Nie, ale będzie za pięć minut. Wybaczycie nam? – spytała Marcusa. – Bardzo chciałabym kiedyś wysłuchać pani poglądów. Naprawdę.

Martha uśmiechnęła się do niej zażenowana.

– Nie musi pani silić się na uprzejmość. Jestem pewna, że moje poglądy są całkiem przeciętne.

– Wątpię – powiedziała Janet Frean z uśmiechem. – Nie wygląda pani na przeciętną istotę. Co pani robi? Nie zajmuje się pani polityką, prawda?

– Nie, jest prawniczką – wyjaśnił Marcus. – Wspólniczką w Sayers Wesley. Bardzo dynamiczną osobą. A tak przy okazji, smacznego!

– Dzięki. O, jest Chad. Chodź, Nick, tam mamy stół.

– Już kiedyś go spotkałam – oznajmiła Martha, patrząc na Chada Lawrence'a. – A kim jest Nick?

– Nazywa się Marshall i jest wyjątkowo uzdolnionym młodym człowiekiem. Komentatorem politycznym „Sketcha”. Pewnie nie czytujesz?

– Niezbyt często. Zawsze przeglądam „Sun” i „Mail”.

– W takim razie powinnaś kiedyś zajrzeć do „Sketcha”... Jest bardzo dobry. Czy teraz możemy już coś zamówić?

Następnego ranka Martha w drodze do pracy kupiła najświeższy numer „Sketcha”. Marcus miał rację, był bardzo dobry. Mniej przewidywalny niż „Mail”, poważniejszy niż „Sun”, ale jednocześnie zabawny. Z dużym zainteresowaniem przeczytała artykuł Nicka Marshalla.

Tytuł brzmiał: „Czyżby koniec partii?” – podobał się jej – i był trzeźwą oceną toryków oraz miejsca, jakie zajmują w sondażach.

„Pomimo wielu nadużyć w Millbank, głównej siedzibie laburzystów, wygląda na to, że torysi nie potrafią tego wykorzystać. Czy naprawdę wśród członków partii nie ma nikogo, kto mógłby pokonać panującą niemoc? Jedna z czołowych postaci toryków, obecnie zasiadająca w Izbie Lordów, powiedziała mi wczoraj wieczorem, że gdyby tylko Janet Frean (osiem miesięcy temu wyrzucona z gabinetu cieni za zbyt proeuropejskie poglądy) albo Chad Lawrence (podobnie potraktowany za odmowę podporządkowania się linii partii w sprawie osób starających się o azyl) zostali przywróceny do łask, opozycja mogłaby odzyskać siły, które ostatnio znacznie osłabły.

Poszukiwany: Rambo (albo Rambette) dla partii toryków. Zanim ta opcja polityczna umrze, stojąc”.

Martha nie zorientowała się, że artykuł był częścią składową skrupulatnie zaplanowanej akcji propagandowej na rzecz Frean i Lawrence'a oraz ich ewentualnych przyszłych działań, ale była

zadowolona, że poznała głównych bohaterów rozpoczynającego się dramatu. Poczula podniecenie, którego od jakiegoś czasu nie dostarczało jej już prawo.

Gdyby ktoś jej powiedział, że za niecały rok zostanie przyszłą kandydatką do parlamentu z Binsmow, po stukalaby się tylko w czoło.

Rozdział Szósty

Sarah wpadła na wspaniały pomysł. Wszystko dokładnie przemyślała i zaproponowała sensowne rozwiązanie. Cała ona – pomyślała Kate. – Prawdziwa przyjaciółka, zawsze gotowa do niesienia pomocy, a nie wielkie zero, za jakie uważają ją niektórzy ludzie. Była też bardzo mądra. Gdyby miała ojca, gdyby jej mama była trochę bardziej... hm... wyrozumiała, gdyby dziewczyna nie miała czterech młodszych braci i siostr, a telewizor nie był w jej domu włączony od świtu do nocy, na pewno lepiej radziłyby sobie w szkole. Sarah jednak chciała z niej zrezygnować i zacząć pracować na cały etat u fryzjera, u którego pomagała w soboty.

– Chciałabym zarobić trochę pieniędzy i uciec od nich wszystkich. Znaleźć sobie bogatego faceta i dobrze się bawić. Oto czego chcę.

Tak więc to właśnie Sarah wymyśliła, żeby umieścić ogłoszenie w prasie.

– Wszyscy to robią... umieszczają ogłoszenia drobne, jak to się nazywa. Może byś spróbowała?

– I co miałabym napisać? – spytała Kate z powątpiewaniem.

– Coś w rodzaju: „Jeśli w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku porzuciłaś na lotnisku Heathrow noworodka, skontaktuj się ze mną. Twoja córka”.

– Co takiego? I może mam jeszcze podać numer swojej komórki?

– Nie! Podaje się numer skrzynki i ludzie piszą. Inaczej zaczęłyby dzwonić do ciebie wszystkie świry. Musisz uważać, Kate. Na świecie jest mnóstwo świrów.

Bardzo starannie ułożyła ogłoszenie. „Proszę o pomoc. Szukam matki, która zostawiła mnie na lotnisku Heathrow w sierpniu 1986 roku. Bardzo chciałabym ją znaleźć”.

Teraz trzeba było podjąć następną decyzję – w której gazecie je umieścić. Matka mogła mieszkać wszędzie, od Land's End po John CGroats, więc musi to być gazeta o zasięgu ogólnokrajowym. Rodzice Kate kupowali „Guardiana” i mogliby zobaczyć zamieszczone w nim ogłoszenie; żadna z ulubionych gazet Kate nie drukowała ogłoszeń. Pozostawał „Times” albo „Telegraph”. Kupiła po numerze każdego z nich i uważnie je przestudiowała; nie sądziła, by jej biologiczna matka, kobieta, która zrobiła to, co zrobiła, czytywała takie gazety, ale... oczywiście, dziewczyna mogła się mylić.

Jej matka powinna być młoda; no, teraz już prawdopodobnie trochę starsza. Może mieć nieco ponad trzydzieści lat albo znacznie więcej. Może być mężatką i mieć inne dzieci. To była najbardziej bolesna myśl: że jej matka może mieć przy sobie inne dzieci, kochać je i otaczać prawdziwą troską, nawet im nie wspominając, że mają siostrę, która zapewne chciałaby zająć miejsce w ich rodzinie i, prawdę mówiąc, miałyby do tego większe prawo niż one, bo była pierwsza.

Niestety, pomysł Sarah się nie sprawdził. Kate zadzwoniła do „Timesa” i podyktowała ogłoszenie. Dziwnie się czuła, słysząc własny głos i słowa: „Proszę o pomoc, szukam matki”, ale wszystko szło dobrze, póki kobieta nie spytała, czy zna ich warunki. Jedenaście funtów za wers,

plus VAT. Całość prawie sześćdziesiąt funtów. Sześćdziesiąt funtów?! Równie dobrze mogłoby być sześćset.

Drżąc od stóp do głów, Kate odłożyła słuchawkę. Sześćdziesiąt funciaków! Skąd ona ma je wziąć? Gdyby pracowała w soboty jak Sarah, mogłaby je zarobić. Nagle poczuła, że do oczu cisną się jej łzy. Niezależnie od tego, w którą stronę się obróciła, natrafiała na mur. Czuła się tak, jakby ktoś zawiązał spisek, żeby uniemożliwić jej znalezienie matki.

Siedziały na lekcji historii, gdy Sarah nagle odwróciła się z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Kate! – syknęła. – Pomyślałaś o sieci?

– Jakiej sieci?

– No wiesz, o Internecie. Mogłabyś poszukać jej tam!

– Sarah! – rozległ się surowy głos pani Robson. – Czy zechciałabyś przerwać swoją prywatną rozmowę z Kate? Chyba że masz do powiedzenia coś, co dotyczy pierwszej wojny światowej.

Jeśli tak, prosimy, żebyś podzieliła się wiadomością z całą klasą.

– Oczywiście – oznajmiła Sarah, robiąc dobrze znaną bezczelną minę i zęza. – Już to robię, proszę pani.

– W takim razie słuchamy.

– Jacy faceci służyli wtedy w armii? Chodzi mi o to, czy mieli dobre muskuły.

Klasa zachichotała; pani Robson spojrzała na Sarah z wyraźną niechęcią.

– Uważam, że to kiepski temat do żartów, Sarah. Faceci, jak ich nazwałaś, z armii, czyli żołnierze, mieli przeważnie po dwadzieścia...

– O kurczę! – powiedziała Sarah głośno. – Super. Następne śmiechy.

– Mieli przeważnie po dwadzieścia jeden lat, wielu z nich nie osiągnęło jeszcze wieku dojrzałego, a wysłanie ich na front często oznaczało wyrok śmierci. Bardzo często. Zginął milion młodych mężczyzn. Wątpię, by zastanawiali się, czy mają „dobre muskuły”, jak to ujęłaś. A teraz, gdybyś była łaskawa powstrzymać się od swoich żalonych komentarzy, reszta klasy mogłaby skupić uwagę na ważniejszych sprawach.

Ostatnie słowa nauczycielki dziwnie uciszyły klasę. Kate próbowała zastanowić się nad propozycją Sarah.

Uznała, że to dobry pomysł. Po szkole ponownie pójdzie do biblioteki i sprawdzi, co sieć ma jej do zaoferowania.

Wpisała: „Osoby zaginione”, i czekała. Pojawiła się na ekranie długa lista organizacji. „Ludzie znalezieni”, „Osoby zaginione na całym świecie”, „Znajdź kogoś”.

Sarah jest genialna. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej? – pomyślała Kate.

Kliknęła na „Znajdź kogoś”.

„Osoby zaginione za 7.95 \$. Od razu” – przeczytała.

Dziewczyna poczuła, że mocniej bije jej serce. Niecałe osiem dolarów za znalezienie matki.

Nieźle.

Pół godziny później wyszła z biblioteki wściekła. Tym razem na siebie. Była naprawdę głupia. Jak mogła sądzić, że coś w ten sposób znajdzie? Wracał stary problem: za mało wiedziała, żeby mieć od czego zacząć. Wszędzie napotykała to samo żądanie: „Wystarczy, jeśli podasz imię i nazwisko” albo „Jeśli znasz tylko nazwisko, kliknij na innych opcjach”. Jedna organizacja poinformowała ją, że jeśli będzie szukała, podając tylko nazwisko, dostanie zbyt dużo informacji. Za dużo! A może wystarczyłaby jedna?

„Życzymy szczęścia – przeczytała na ekranie – i radości ze spotkania z bliską osobą”.

Wróciła do domu w gorszym nastroju niż kiedykolwiek. Po jakimś czasie złość ustąpiła dobrze znanemu smutkowi i poczuciu osamotnienia. Lubiła, gdy rodzice mówili jej, jak bardzo ją kochają, cieszyła się, gdy te same zapewnienia słyszała od Juliet, pozostawało jednak faktem, że prawdziwa matka, kobieta, która dała jej życie, porzuciła ją beztrąsko, jak spódniczkę, która przestaje się podobać, odeszła i nigdy więcej nie wróciła. Choćby tylko po to, żeby sprawdzić, jak miewa się córeczka. Naturalnie, wiedziała, że znaleziono Małą Biankę; na pewno czytała gazety. Może to jej wystarczyło. Nie chciała wiedzieć, czy córeczka jest zdrowa i szczęśliwa, kto się nią opiekuje, jak wygląda i czy rośnie. Po prostu... wymazała ją z pamięci. Im dłużej Kate się nad tym zastanawiała, tym gorzej się czuła. Nie mogła pogodzić się z faktem, że osoba, która powinna ją kochać jak nikt inny na świecie, która powinna okazać jej najwięcej troski, w ogóle się nią nie interesowała. Dziewczyna czuła się bezwartościowa. Na Boga, jeśli o kogoś nie dba rodzona matka, nikt nie będzie o niego dbać.

Wcale niewykluczone, że matka kręci się tu i tam, przygląda się piętnasto, szesnastoletnim dziewczynom i zastanawia się, czy któraś z nich nie jest jej córką. Porzuconym dzieckiem. Może sama też nie wie, od czego zacząć. Tyle że ona mogłaby przynajmniej spróbować zrobić to poprzez 9 agencje zajmujące się adopcją, mogłaby zacząć szukać przez Internet i wpisać siebie na którąś stronę osób zaginionych. Dla niej nie byłoby to takie trudne, nie powtarzaliby jej, że jest niepełnoletnia i że nie wolno jej prowadzić takich poszukiwań, nie żądano by od niej niemożliwych do zapłacenia sum za ogłoszenie w gazecie. Gdyby chciała, z łatwością mogłaby to zrobić. Najwyraźniej nie chciała. Po prostu nie chciała. Suka! Okropna, wredna, samolubna suka. Kate jednego była całkiem pewna – że jeśli kiedykolwiek odnajdzie matkę, będzie jej nienawidzić. Zdecydowanie. I da jej to wyraźnie do zrozumienia.

Rozdział Siódmy

Tak samo jak prawdziwych działań w gmachu parlamentu nie widać na sali obrad, lecz w gabinetach poszczególnych klubów poselskich, korytarzach czy kawiarniach, najważniejsze interesy na zjazdach partii politycznych ubija się nie na sali konferencyjnej i w toku obrad, ale w barach i podczas tysięcy drobnych spotkań, które odbywają się przez cały dzień. Udający grupy dyskusyjne, sponsorowani przez powszechnie znane, zainteresowane polityką spółki czołowi działacze poszczególnych ugrupowań i ludzie, którzy są łaskawi je popierać, od śniadania do kolacji przemieszczają się z hotelu do hotelu, z holu do holu, dyskutując i dzieląc się swoimi poglądami zarówno z prasą, jak i z wszystkimi zainteresowanymi. Ku oburzeniu organizatorów zjazdów partii dyskusje panelowe często są szerzej komentowane w prasie niż nudne tyrady wygłaszane z trybun.

Bywa też dużo seksu. Przesycona adrenaliną atmosfera, poczucie władzy, jawne intryganctwo, oszałamiająca swoboda daleka od codziennych ograniczeń są, jak pewnego razu napisał Nick Marshall, potężniejsze niż ocean pełen ostryg. Tej jesieni, podczas zjazdu torysów w Bournemouth, gdy IDS, czyli Iain Duncan Smith, wygłosił swoją pierwszą nijaką mowę do wiernych członków partii, a badania opinii publicznej przeprowadzone przez YouGov ujawniły, że zaledwie trzy procent elektoratu rozpoznaje tak zwane nowe twarze partii – odbyła się niezwykle ważna dyskusja panelowa. W przedostatni wieczór, podczas spotkania finansowanego przez bilionera Gideona Keeble'a, zaczęto się zastanawiać nad rolą państwa opiekuńczego i jego złowrogą, rosnącą władzą nad rodziną. Wśród mówców był charyzmatyczny i często pokazywany w telewizji lord Collins, profesor psychiatrii dziecięcej w Cambridge, Victoria Kaynsford i Janet Freat, która oprócz tego, że była powszechnie znaną parlamentarzystką z ramienia torysów, zasłynęła jako matka pięciorga dzieci. Podczas debaty z pasją zabierał głos również Chad Lawrence. Następnego dnia o debacie informowała większość nagłówków. IDS był podobno wściekły.

– Ludzie gratulowali Janet – powiedział Nick Jocaście przy śniadaniu. – Okazało się, że Keeble wyraźnie ją popiera. Gideon to bardzo wpływowy człowiek. Wpływowy i bogaty. Właśnie takiego im potrzeba.

– Komu? Członkom nowej partii?

– Tak.

Na początku tygodnia odbyła się inna ważna dyskusja panelowa, sponsorowana przez bank AngloWelsh. Poruszano w niej sprawę podziału ekonomicznego kraju. Jack Kirkland, minister skarbu w gabinecie cieni, opowiadał z pasją o swoim rozpaczliwie niskim pochodzeniu i heroicznej „walce o przetrwanie”, walce, której celem była nie ucieczka, lecz chęć „wzniesienia się na wyższy poziom”. Wspomniał też o tym, co nazywał prawdziwym inwestowaniem w ludzi, czyli nie o następnym zastrzyku finansowym, lecz rozsądnym, przemyślanym rozdziale środków.

Nazajutrz w wielu komentarzach poświęcono mu sporo miejsca. I słusznie, jak powiedział

Nick.

– Jest naprawdę wspaniałym mówcą; trafia prosto do ludzkich serc. Będzie doskonałym przywódcą nowej partii.

– To znaczy, że dojdzie do rozłamu?

– Chyba tak. Wszystko zapowiada się bardzo ciekawie. Jocasta miała potwornego kaca. Nick uśmiechnął się do niej.

– Wyglądasz... na zmęczoną. Muszę już iść. Co będziesz robić?

– Wracam do łóżka.

Jocasta bardzo się cieszyła, że mogła przyjechać na zjazd. Chociaż nieco załamał ją IDS na swojej pierwszej konferencji, przynajmniej czegoś się o nim dowiedziała. Była zdumiona, że aż tak bardzo brakuje mu pomysłów, charyzmy, a podczas ważnego występu, jakim koniec końców jest każda konferencja prasowa, wypadł jak amator, raziła nawet gruba warstwa pudru na jego łysej głowie.

Podczas lunchu Jocasta znalazła Nicka w kawiarni w pobliżu centrum prasowego. Powiedział, że ranek był potwornie nudny.

– Trzeba było zostać ze mną – zauważyła, biorąc nieświeżą kanapkę z sałatką.

– Chciałbym! Posłuchaj, muszę jeszcze napisać najnowszy komentarz. Poszukam cię, jak skończę.

– Chyba żartujesz, Nick. Czekam na ciebie przez cały dzień. Nie mogę wybrać się z tobą do centrum prasowego?

– Możesz, ale nawet nie będziesz miała z kim porozmawiać. Wszyscy albo przygotowują teksty na zakończenie, albo obserwują ostatnią sesję, albo śpiewają Land of Hope and Glory. Jocasta wzruszyła ramionami.

– Pójdę.

Powędrowała z nim do centrum prasowego, gdzie stał rząd biurek wyposażonych nie tylko w komputery, ale też monitory, na których można było zobaczyć, co aktualnie dzieje się na sali obrad. Nick z natężeniem wpatrywał się w ekran, kompletnie nie zwracając na nią uwagi. Jocasta westchnęła.

Często traktował ją jak blondynkę, mówił, żeby nie zawracała sobie swojej ślicznej główki sprawami tak trudnymi jak polityka.

Postanowiła wybrać się na spacer.

Spacerowała po niemal pustym foyer, z którego wchodziło się na salę konferencyjną, gdzie właśnie demontowano trybuny.

Wszyscy wyglądali na zmęczonych.

Boże! Czuła się okropnie: poprzedniego wieczoru „Sketch” wydał przyjęcie, na którym potwornie się spiła i zaczęła tańczyć jednocześnie z reporterem z „Sun”, kamerzystą z Channel 4 i kimś z programu „Today”. Miała nadzieję, że Nick będzie zazdrosny, ale ilekroć udawało jej się go wypatrzeć, naradzał się z jakimiś ponurymi facetami. No, może w rzeczywistości nie byli tacy

ponurzy, ale tak wyglądali, jeśli patrzyło się na nich z miejsca, w którym była; kiedy w końcu upadła – albo raczej potknęła się na własnej nodze – jeden z nich podszedł z Nickiem, pomógł jej wstać i usiąść przy stoliku. Z tego, co pamiętała, był całkiem niezły jak na faceta w średnim wieku. Boże, naprawdę musi przestać tak dużo pić. Musi...

– Lepiej się dzisiaj czujesz?

Głos – i uśmiech – z trudem przebił się do jej świadomości. To Chad Lawrence.

– Tak. Tak, dziękuję. Już wszystko w porządku – zapewniła szybko.

– To dobrze. Nieladnie się wczoraj potknęłaś. Bałem się, że rano będziesz bardzo poobijana. Spojrzała na niego bezradnie.

– Czy to ty... pomogłeś mi wstać?

– Nie, to był Gideon Keeble.

– Co takiego? Gideon Keeble, bilioner, potentat w handlu detalicznym?

– Tak.

– O kurczę!

– Uroczu mu podziękowałaś. Czuję pocałunkiem.

– O Boże! – Sprawa wyglądała coraz gorzej. – Wszystko przez... obcasy. Są takie wysokie.

– Rzeczywiście, ale bardzo ładne. Mam na myśli buty. Czy dobrze bawiłaś się na przyjęciu?

Nie licząc upadku.

– Tak. A ty?

– Też. Chociaż w tym tygodniu zaliczyłem ich o kilka za dużo. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wrócić już do domu.

– Tak samo jak ja. To nie jest moje ulubione miejsce na świecie. Chociaż...

Głos uwiązał jej w gardle. Na przeciwległym krańcu foyer pojawiła się znajoma sylwetka Gideona Keeble'a. Za nim chłopiec hotelowy pchał wózek z bagażami: przynajmniej cztery walizki, torba, torba podróżna i frakonosz, wszystkie (oprócz starej skórzanej torby z Gladstone), jak należało przypuszczać, pochodziły od Louisa Vuittona. Co za absurd! Kto zabiera tyle bagaży na cztery dni?! Właśnie miała zamiar uciec, gdy Chad go przywołał.

– Cześć, Gideonie! Miałem nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Pamiętasz naszą młodą przyjaciółkę z wczorajszego wieczoru? Właśnie mi mówiła, jak bardzo jest ci wdzięczna, że pomogłeś jej wstać, gdy złamała sobie obcas.

Jocasta zerknęła na Gideona Keeble'a. Był bardzo wysoki – miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu – i dobrze zbudowany, ale nie gruby. Opalenizna i zdrowy wygląd świadczyły, że dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. Emanowała od niego dziwna energia. Nie był szczególnie przystojny, ale uwagę zwracały duże, błyszczące niebieskie oczy. Kędzierzawe, przyprószone siwizną ciemne włosy miały dokładnie taką długość, jaką lubiła Jocasta, czyli były nieco dłuższe, niż nakazywała moda.

– Tak, tak – przytaknęła zażenowana. – Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Miał słaby irlandzki akcent i uśmiechnął się do niej ciepło.

– Czy buty da się jakoś naprawić?

– Chyba... tak. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Dokąd, do diabła, wybierasz się z taką ilością bagażu, Gideonie, ty stary pozerze? – spytał Chad.

– Do Stanów, na tydzień lub dwa. Zadzwoń do ciebie po powrocie.

– Świetnie. Będę czekał. Cześć.

– Do widzenia. Do widzenia, Jocasto. Muszę przyznać, że bardzo podobają mi się twoje artykuły.

– Czytał je pan?

– Oczywiście. Staram się czytać wszystko, co mogę. Szczególnie podobał mi się twój ubiegłotygodniowy artykuł o pokojówce z hotelu w Bournemouth. Dziewczynie, która powiedziała, że w ciągu pięciu lat organizowania zjazdów tylko Prescottowie i Maggie odpowiednio podziękowali jej za to, co dla nich zrobiła. To zabrzmiało trochę jak tytuł programu telewizyjnego, nie sądzisz? Maggie i Prescottowie. Ktoś powinien to opatentować. Niemniej twój artykuł był naprawdę wspaniały.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się do niego. – To dla mnie ogromna pochwała.

– Zasłużona. Jesteś mądrą dziewczyną – dodał. – Nicholas ma naprawdę szczęście. Wczoraj wieczorem powiedziałem mu, że powinien zrobić z ciebie uczciwą kobietę.

Błysnął niebieskimi oczami. Wyraźnie z nią flirtował. Ciekawe. Co więcej, był naprawdę atrakcyjny.

– Chciałabym – odparła ze śmiechem.

Nagle poczuła ucisk serca. Zastanawiała się, co powiedział Nick. Może spytać Gideona... Nie, nie wypada. Pozostają tylko domysły.

– Wyraźnie woli jawnogrzesznicę – zaryzykowała, udając wesołość.

– W takim razie jest głupcem. Och, mój kierowca chyba cierpi na zaparcie. Lepiej już pójde. Żegnam was.

– Jest bardzo miły – rzekł Chad Lawrence. – I obdarzony niesamowitym urokiem osobistym, chociaż wieść gminna niesie, że bardzo łatwo wpada w złość. Postawić ci kawę albo drinka? Gdy dotarli do Londynu, Jocasta była poirytowana i nieszczęśliwa. Nick całą podróż spędził z kilkoma innymi dziennikarzami „Sketcha”, nieustannie pijąc.

– To wspaniale – powiedział, gdy wysiedli z pociągu. – Wygląda na to, że się zdecydowali i rzucili hasło: cała naprzód.

– Naprzód to znaczy dokąd? – spytała zdezorientowana.

– Do nowej partii. Udało im się już zdobyć fundusze. Keeble obiecał milion lub dwa, Jackie Bragg również proponuje jakąś nieprzyzwoitą sumę. Znasz ją, prawda?

– Tak – przyznała. – To bardzo mądra kobieta.

Jackie Bragg właśnie puściła na głębokie giełdowe wody swój genialny pomysł: „Hair’s to

You”. O każdej porze dnia wysyłała do biur doskonale wyszkolone fryzjerki, które zajmowały się włosami kobiet (i mężczyzn) na wysokich stanowiskach, czyli osób zbyt zajętych, żeby wstać od biurka. Pięć lat temu była dyrektorką filii niewielkiego zakładu produkcyjnego, a jej szefowa zawsze się skarżyła, że nie ma czasu iść do fryzjera. Obecnie Jackie pięła się w górę listy najbogatszych ludzi „Sunday Timesa” i miała już nowy pomysł (twierdziła, że ten sam, tylko w innej wersji).

– Rzeczywiście. I oboje mają znane nazwiska... którymi mogą firmować ewentualną ofensywę. To znaczy powstanie nowej partii.

– Dlaczego mają ją firmować swoimi nazwiskami? Wydawało mi się, że mają już dla niej jakąś nazwę – zdziwiła się Jocasta.

– Nie. Na razie nie mogą niczego wymyślić. Gdyby tobie się to udało, prawdopodobnie po dojściu do władzy obdarziliby cię tytułem damy. Och, nie wiem, czy ci mówiłem. Udało się przekonać Eda. Chad zaprosił go na weekend na polowanie, a oczywiście on i Keeble to starzy wyjadacze. Poza tym...

– Nick, to bardzo fascynujące, ale jestem potwornie zmęczona. Chyba pojedę prosto do domu, do Clapham – oświadczyła. Spodziewała się, że Nick będzie protestował, ale on tylko pocałował ją w policzek i powiedział:

– W porządku, skarbie. Rzeczywiście wyglądasz na wyczerpaną. Zadzwoń jutro.

Jocasta spojrzała na niego, zaskoczona.

– Nick!

– Co takiego?

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

– Co takiego?

– To, co właśnie powiedziałaś. Bacznie jej się przyjrzał.

– Chyba cię nie rozumiem. Wydawało mi się, że chcesz jechać prosto do Clapham.

– Tak, ale myślałam, że pojedziesz ze mną. Och, nieważne. Zbierało się jej na płacz i najchętniej dzieliłaby Nicka czymś po głowie.

– Jocas to...

– Nick, żeby być z tobą, pojechałam aż do Blackpoolu.

– To nieprawda – zaprotekował. – Miałaś napisać artykuł na temat zjazdu.

– Każdy mógł to zrobić. Wyprosiłam zgodę... Chris wcale się nie palił, ale nie o to chodzi.

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem, Jocasto, ale naprawdę...

– Och, przestań chrzanić, dobrze?

Nie była pewna, dlaczego jest na niego taka zła. Spojrzał na nią.

– W porządku. Przestaję chrzanić. Cześć.

Odwrócił się i odszedł. Zanim jego wysoka sylwetka wtopiła się w tłum, zauważyła jeszcze, że podniósł komórkę do ucha.

Pora coś zrobić; ich związek nie może dłużej wyglądać tak jak dotychczas. Coś takiego

zdarzyło się o jeden raz za dużo: Nick zachowywał się, jakby była jego najświeższą dziewczyną, która niedawno wpadła mu w oko i powinna być niewiarygodnie wdzięczna, gdyby jej zaproponował, że pojedzie z nią do domu. Jocasta czuła się wykorzystywana, lekceważona i niedoceniana. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa Gideona Keeble'a: „Powinien zrobić z ciebie uczciwą kobietę”.

Nie zależało jej wcale, żeby być do końca uczciwą kobietą. Nie marzyła o obrączce. Jeszcze nie, ale Nick mógłby przynajmniej zrobić pierwszy krok w tym kierunku, na przykład zaproponować, żeby razem zamieszkali.

Koło czwartej po południu zasnęła i jakoś przetrzymała ciężki dzień, czekając na telefon Nicka. Zadzwoił, ale dopiero o wpół do szóstej.

– Spóźnię się. Przepraszam. Ważna debata na temat bezpieczeństwa.

– Nawet mi to odpowiada – powiedziała i rozłączyła się. Spędziła długi, smutny wieczór i następną ciężką noc, a w sobotę obudziła się z gotową decyzją. Poszła na spacer, z pełną premedytacją zostawiając komórkę w domu. Kiedy wróciła wczesnym przedpołudniem, okazało się, że Nick dzwonił i zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Cześć, to ja. Masz ochotę się ze mną spotkać? Bo ja bardzo chciałbym cię zobaczyć.

Zadzwoiła na jego komórkę. Odezwała się poczta głosowa.

– Tak – rzekła. – Musimy porozmawiać.

Przyjechał z butelką czerwonego wina i jakimiś kwiatami, które najwyraźniej kupił na stacji benzynowej. Pocałował ją beztrąsko.

– Cześć. – Wręczył jej kwiaty. – To dla ciebie.

– Dziękuję. Napijesz się kawy?

– Chętnie. O co chodzi, Jocasto?

– O mnie, Nick. O nas. Jak sądzisz, dokąd zmierzamy?

– Hmm... do przodu. Tak przynajmniej mi się wydaje.

– Czy aby... oboje w tę samą stronę?

– Ależ oczywiście.

– To znaczy?...

– To znaczy, że cię kocham...

– Naprawdę?

– Jocasto, przecież wiesz, że tak.

– Nie – powiedziała – nie wiem. Skąd mam to wiedzieć? Jesteśmy ze sobą od dwóch i pół roku, ale nigdy nie byliśmy razem na urlopie.

– Hmm – mruknął. – Ja nie cierpię słońca. Ty nie znosisz wsi. Więc po co mielibyśmy gdziekolwiek wyjeżdżać?

– Nick, nie chodzi o urlop... Chodzi o nasze życie. Wspólne plany na przyszłość. Bycie razem przez cały czas, a nie tylko wtedy, kiedy ci to pasuje. Wyznanie: tak, Jocasto, chcę być z tobą, jak Pan Bóg przykazał.

– Wolę być z tobą niezgodnie z boskimi przykazaniami – oświadczył, podchodząc do Jocasty i próbując ją pocałować.

– Nie próbuj swoich sztuczek, Nick. Mam tego dosyć. Chcę, żebyś powiedział albo zrobił coś, co... co... chcę, żebyś mi coś obiecał – dukąła. – Żebyś powiedział...

Urwała.

– Co mam powiedzieć?

– Sprawia ci to przyjemność, prawda? – spytała rozżalona, podnosząc głos. – Cieszy cię, że się płacze, że mówię takie rzeczy, – Jocasto – przerwał jej łagodnie – to wcale nie sprawia mi przyjemności, natomiast fatalnie się czuję, widząc, że jesteś nieszczęśliwa. Niestety, jeśli chcesz, żebym przyklęknął i poprosił cię o rękę, nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz. Po prostu nie jestem na to gotów.

– Tak – przyznała tępo – to widać. Tylko, Nick, masz trzydzieści pięć lat. Kiedy będziesz gotów?

– Nie wiem – odparł. – Po prostu myśl o małżeństwie mnie przeraża. Nie czuję się jeszcze odpowiednio urządzony w życiu, nie czuję się wystarczająco zamożny, nie czuję się...

– Wystarczająco dojrzały? – podpowiedziała z wyraźną ironią.

– Hmm... tak, to też. Szczerze mówiąc, naprawdę nie jestem. Przykro mi.

Jocasta nagle poczuła zmęczenie.

– Przykro mi, Jocasto – powtórzył łagodnie, kładąc rękę na jej ramieniu. – Naprawdę mi przykro. Chciałbym...

– Przestań chrzanić, dobrze?! – przerwała mu ze złością. – Przestań mówić, że ci przykro, kiedy wiem, że wcale tak nie jest! Płakała, potwornie nieszczęśliwa.

– Idź sobie, dobrze? Po prostu odejdz i...

– Po co... po co chcesz coś zmieniać? – spytał wyraźnie speszony.

– Dobrze nam razem, a ja naprawdę cię kocham, Jocasto. Masz pecha, że jestem niedojrzały i panicznie boję się małżeństwa, ale dojrzewam, więc jest jakaś nadzieja. Może tymczasem zostaniemy przy obecnym stanie? Chyba że... masz kogoś innego? Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– Nie – zapewniła, pociągając nosem i biorąc chusteczkę, którą Nick wyciągnął w jej stronę. – Chociaż chciałabym mieć. Zdobyła się na błądy uśmiech.

– Nie rób tego. Ja też nie mam nikogo innego. Nie mógłbym. Liczysz się tylko ty. Proszę, Jocasto, daj mi jeszcze trochę czasu. Dołożę wszelkich starań, żeby nieco dorosnąć. Naprawdę chcę, obiecuję. I naprawdę – dodał – naprawdę cię kocham. Przykro mi, jeśli niezbyt wyraźnie daję ci to do zrozumienia. Czy... czy teraz możemy położyć się do łóżka i przypiecztować zgodę? Pokochali się. Było to cudowne i uzdrawiające przeżycie. Nick postępował delikatnie i czule, długo, długo na nią czekał, póki się nie rozluźniła, z ogromną wprawą rozpałał jej ciało, coraz bardziej podniecał, cierpliwie prowadził na sam szczyt. Niestety, nawet kiedy czuła zbliżający się orgazm, nawet kiedy jej ciało ogarnęła niesłychana rozkosz, a potem cudowna

ulga, Jocasta wciąż była nieufna i nieszczęśliwa. Gdy leżała obok Nicka, który bawił się jej włosami i uroczo się do niej uśmiechał, wiedziała, że pomimo jego gorących zapewnień o miłości to za mało. Najwyraźniej kochała go bardziej niż on ją.

Rozdział Ósmy

Clio patrzyła z natężeniem na Jeremy'ego; była potwornie przerażona. Naprawdę przerażona, jak nigdy dotąd. Jeremy spoglądał na nią chłodno i pogardliwie. Wszystko zaczęło się – dość absurdalnie – od Morrisów. Znalezione ich w centrum miasta w nocnych strojach. Pani Morris wieczorem nie wzięła tabletek, rano obudziła się głodna, więc poszła do Waitrose. Przyłapano ją tam, jak wpychała słodycze i chipsy do kieszeni szlafroka. Tymczasem pan Morris – również w szlafroku – wybrał się na jej poszukiwanie i „został zatrzymany”, jak to określiła policja, gdy jechał pod prąd ulicą jednokierunkową. Był przerażony. Wezwano pracowników opieki społecznej i uznano, że Morrisowie już sobie nie radzą, dlatego trzeba ich umieścić w domu starców.

– Nie możemy na to pozwolić – powiedziała Clio do Marka Saltera. – Świetnie się spisują, dopóki biorą lekarstwa. Gdybym wpadała do nich codziennie, wszystko byłoby w porządku.

– Przestań, Clio – zaproponował Mark. – Nie jesteś za nich osobiście odpowiedzialna. Chyba nie ma nikogo, kto zrobiłby dla nich tak dużo jak ty.

– Widać to jeszcze za mało, nie sądzisz? Jeśli ci biedni staruszkowie wylądują w jakimś obrzydliwym domu starców, wyrwani ze swojego świata, błyskawicznie stoczą się na dno.

– Nie możesz mieć co do tego pewności, kochana Clio.

– Mam – zapewniła – dlatego bardzo się niepokoję.

Gdy wyjeżdżała, odezwał się telefon; dzwoniła jej przyjaciółka, Anna Richardson, która pracowała jako geriatra w Royal Bayswater Hospital – tym samym, co Clio przed przeprowadzką do Guildfordu.

– Cześć, Clio, jak ci leci?

– Świetnie. Dziękuję. Cieszę się, że cię słyszę, Anno. Przepraszam, że się nie odzywałam.

– Nie ma sprawy. Obie jesteśmy bardzo zajęte. Jak miewa się Jeremy?

– Och... wiesz. Jak to Jeremy. Dlatego nie dzwoniłam. A co u Alana?

– Jak to u Alana. My się nie liczymy, prawda?

– Prawda. Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku. Nadal cieszy cię praca lekarza pierwszego kontaktu?

– Bardzo. Daje więcej... zadowolenia. Człowiek czuje, że ma większy wpływ na wszystko.

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Trudno powiedzieć coś takiego, gdy pracuje się w szpitalu. Posłuchaj, dzwonię, żeby na jakiś czas się z tobą pożegnać. Alanowi zaproponowano pracę w Stanach. W Waszyngtonie. Dostanie o wiele lepsze wynagrodzenie i mnóstwo dodatkowych świadczeń. Więc, oczywiście, jedziemy.

– To fantastycznie!

– Chyba tak. Wolałabym zostać tutaj, ale... sama wiesz. Naprawdę nie mam wyboru. Przecież wiadomo, kto powinien robić karierę. Tak czy inaczej, na razie postanowiłam swoją

zawiesić na jakiś czas na kołku, urodzić dziecko, może nawet dwójkę.

– Naprawdę?

Clio siliła się na obojętność, chociaż czuła, że ogarniają panika; Anna była trzecią przyjaciółką, która podjęła taką decyzję w ciągu ostatniego miesiąca.

– Tak. A ty nie?

– O rety! Nie. Jeszcze nie.

– Posłuchaj, Clio, mam do ciebie jeszcze jedną sprawę. Nasz kochany Dziobak mniej więcej za rok przechodzi na emeryturę.

– Niech Bóg go błogosławi.

Donald Bryan, który zyskał swój przydomek z powodu ogromnego nosa, był ordynatorem oddziału geriatrycznego w Royal Bayswater i szefem obu pań. Wszyscy bardzo go lubili.

– Jestem tego samego zdania. Gdybyś chciała wrócić w szpitalny kierat, w najbliższym czasie będą szukali kogoś na moje miejsce, a jeśli ktoś zastąpi Dziobaka, pojawi się drugi wakat. Poza tym... wymienione zostało twoje nazwisko.

– O kurczę! Kto mnie wspomniał?

– Sam Dziobak. I kilka innych osób. Jeśli jesteś zainteresowana, Clio, wystarczy, że podniesiesz słuchawkę, a sami ci zaproponują, abyś złożyła podanie. Tak czy inaczej, uznałam, że powinnaś wiedzieć. Nawet gdyby ta informacja miała tylko połaskotać twoje ego.

– Na pewno połaskotała. Niech Bóg cię błogosławi.

Po telefonie Anny Clio siedziała przy biurku i przez chwilę czuła się tak, jakby była kimś innym. Nie kiepską żoną, nie młodszą współpracowniczką w przychodni, ale kimś mądrym, potrzebnym, kimś, kto doskonale się sprawdza w wybranym przez siebie zawodzie. Przez jedną krótką chwilę czuła się jak ktoś lepszy, odnoszący sukcesy i dziwnie pewny siebie. Oczywiście, musi pochwalić się Jeremy'emu; może przynajmniej raz będzie z niej zadowolony. Na pewno będzie.

Uczesała się, uśmiechnęła do swojego odbicia w lustrze i wyruszyła do domu, śmiejąc się z własnych głupich myśli. I odczuwanego zadowolenia.

W drodze do domu wpadła do Morrisów; oboje byli przygaszeni i przestraszeni, a ich córka znów chciała wyjechać tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Nie poradzą sobie – oświadczyła. – Dla ich własnego dobra trzeba ich umieścić w domu starców. Teraz najmocniej przepraszam, ale muszę położyć ich do łóżek. Są bardzo zmęczeni i nieznośni.

Clio wyszła z ciężkim sercem.

Spóźniła się do domu. Twarz Jeremy'ego zapowiadała burzę.

– Myślałem, że dzisiaj będziesz nieco wcześniej. Mieliśmy się wybrać do kina.

Zapomniała.

– Przepraszam, Jeremy ale miałam bardzo dużo pacjentów, a potem wpadłam do Morrisów... pamiętasz, to ta para staruszków...

– Clio, mówiłem ci już wcześniej, nie oczekuj, że będę pamiętał wszystkie informacje na

temat twoich pacjentów.

– Rozumiem, ale... przepraszam – powiedziała ponownie. – Czy naprawdę jest już za późno? Zbliża się dopiero siódma...

– O wiele za późno.

Wybrali się do włoskiej restauracji. Jeremy trochę się rozluźnił, opowiedział o skomplikowanej operacji kolana i jak dobrze sobie z nią poradził.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć. Zaproszono mnie na następną sesję do Princess Diane.

– To cudownie, Jeremy. Jestem z ciebie dumna. Naprawdę była. Uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję. Napijesz się jeszcze wina?

Clio uznała, że to dobra chwila, by podzielić się z mężem miłą wiadomością. Odczekała, aż kelner napełni ich kieliszki, a potem powiedziała:

– Dzwoniła dzisiaj Anna. Pamiętasz Annę Richardson?

Powiedziała mi coś... miłego – ciągnęła. – Okazuje się, że w Bayswater mają dwa wolne etaty. Na geriatricii. Nagle bacznie jej się przyjrzał.

– I co?

– Ktoś... wymienił moje nazwisko. Czy to nie miłe?

– Ktoś wymienił twoje nazwisko? Jako kandydatki do pracy w Londynie? I ty uważasz, że to takie miłe?

– Hmm... tak. Zdecydowanie tak.

Patrzył na nią pociemniałymi ze złości oczami.

– Zwariowałaś? Poważnie zastanawiasz się nad pracą w Londynie?

– Nie. Wcale nie. Po prostu miło mi, że mnie tam pamiętają. Myślałam, że ciebie też to ucieszy. Wyraźnie się myliłam.

– Tak, nawet bardzo. Uważam, że to absurd.

– Absurd? Co takiego uważasz za absurd?

– To, że w ogóle myślisz o swojej karierze. Z tego, co pamiętam, uzgodniliśmy, że będziesz pracować tylko przez jakiś czas, a potem zrezygnujesz. Mam nadzieję, że wkrótce zostaniesz w domu. Dobrze o tym wiesz. A teraz czy możemy zamówić pudding, czy mam poprosić o rachunek?

– Poproś o rachunek.

Milczała przez całą drogę powrotną do domu: była głęboko urażona. Uważała, że nie tak powinno wyglądać małżeństwo, a przynajmniej nie o takim marzyła.

Nazajutrz obudziła się potwornie przygnębiona, a o czwartej po południu, kiedy zabierała się do roboty papierkowej, zadzwonił Jeremy.

– Clio, przepraszam, ale wrócę dziś bardzo późno. Simmondowie chcą się ze mną spotkać. Zaproponowali, żebyśmy po pracy wybrali się do jakiejś restauracji. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę. Nie czekaj na mnie.

Przez głowę przemknęło jej pełne złości pytanie: dlaczego on bez uprzedzenia może

pracować do późna, a ona nie?

Weszła Margaret.

– Zgodnie z twoją prośbą zebrałam wszystko, co dotyczy Morrisów. Wyglądasz na wykończoną, Clio.

– Bo jestem.

– Wybieram się dziś wieczorem z dwiema przyjaciółkami do kina. Może poszłabyś z nami? Trochę byś się rozerwała.

W przyplywie chwilowej odwagi powiedziała:

– Bardzo chętnie. Jeremy’ego nie ma, więc...

– Świetnie – ucieszyła się Margaret.

Obejrzały Notting HM, a potem poszły na curry. Było naprawdę wesoło. Clio poczuła się znacznie lepiej. Nawet przestała być zła na Jeremy’ego. Powinna częściej wychodzić gdzieś z koleżankami i zachować zdrowe proporcje – to wszystko. Powinna też być wobec niego trochę bardziej stanowcza. Gdy wjechała na podjazd, zamarła w bezruchu: pod drzwiami stało audi Jeremy’ego, a cały dom był oświetlony. Zawsze to robił, gdy wracała do domu później niż on: biegał po całym domu, zaglądał do każdego pokoju, nawet do sypialni na poddaszu, i wszędzie zostawiał światło tylko po to, żeby je zauważyła. Z trudem przełknęła ślinę i weszła.

– Cześć.

Wylonił się z kuchni i spojrzał na nią wilkiem.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

– Byłam... w kinie.

– W kinie? Z kim, na litość boską? I dlaczego nie zostawiłaś żadnej karteczki? Potwornie się o ciebie martwiłem.

– Mogłeś do mnie zadzwonić – zauważyła – na komórkę. Poza tym nie wracałam do domu. Prosto po pracy poszłam...

– Poszłaś do kina?

– Tak. Dlaczego nie? – Nagle ogarnęła ją złość, więc odważnie stawiała mu czoło. – Ty poszedłeś ze swoimi kumplami do restauracji. Swoją drogą, co się stało, że tak wcześnie wróciłeś?

– Simmondowie odwołali kolację, a ja głupi myślałem, że się ucieszysz na mój widok i że spędzimy razem miły wieczór. Niestety, jak zwykle cię nie było. Nie rozumiem, jak możesz gdzieś wychodzić, gdy w domu jest tyle do zrobienia. Ta wredna zmywarka znów nie działa, a naczynia ze śniadania wciąż czekają w zlewie.

Nagle diabeł wstąpił w Clio.

– Przestań, Jeremy! Nie jestem służącą, nie muszę zajmować się domem ani robić, co mi każesz. Bez przerwy lekceważysz moją pracę, nie interesuje cię, co robię, jakie mam plany.

Przez chwilę milczał, potem powiedział:

– Clio, mam tego dosyć, zdecydowanie dosyć. Chcę, żebyś przestała pracować.

– Jeremy...

– Nie, Clio, mówię poważnie. Chcę, żebyś zrezygnowała z pracy. Twierdzisz, że potrzebujemy pieniędzy, ale z twoich zarobków prawie nic nie zostaje, bo z nich opłacasz sprzątaczkę i tak dalej, a ostatnio kupujesz drogie ubrania, które podobno są ci potrzebne. Ja na pewno zarobię więcej dzięki prywatnej praktyce. Więc... powiedz jutro Salterowi, że rezygnujesz.

Clio z trudem panowała nad sobą.

– Przestań, Jeremy! Opowiadasz bzdury! Poza tym co ja, do diabła, będę robić przez cały dzień, jeśli nie...

Urwała; sama wpakowała się w pułapkę, a Jeremy ją tylko zatrzaskał. Clio czuła, jak stalowe zęby potrzasku zagłębiają się w jej ciele.

– Jeśli nie co? Jeśli nie będziesz miała dziecka? Właśnie do tego zmierzam, Clio. Naprawdę uważam, że nadszedł czas. Nie młodniejesz, masz trzydzieści pięć lat.

– Trzydzieści cztery – poprawiła go automatycznie.

– W najbliższe urodziny skończysz trzydzieści pięć. Kto jak kto, ale ty powinnaś doskonale wiedzieć, jakie ryzyko pociąga za sobą odsuwanie ciąży na później. Ja ze swojej strony chciałbym mieć dziecko sporo przed czterdziestką, więc nie zostało już zbyt dużo czasu. Prawdę mówiąc, jakieś dwa lata.

– Ależ, Jeremy...

– Słucham. Co chcesz mi powiedzieć? Że nie chcesz mieć dziecka?

– Nie – zaprotestowała. – Chcę. Nawet bardzo, ale...

– Ale co? Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś, Clio? Coś, co powinienem wiedzieć?

– Nie.

Prawdę mówiąc, było, a Jeremy, wcześniej czy później, i tak się o tym dowie. Źle, że mu wcześniej o tym nie powiedziała. Próbowала zdobyć się na odwagę i zrobić to teraz; bez skutku.

– Zgadzam się – szepnęła. – Tak, tak, powinniśmy spróbować... póki nie jest za późno.

Rozdział Dziewiąty

Co ona właściwie robi? Dlaczego w ogóle o tym myśli? Na litość boską, czyżby naprawdę oszalała? Jak to możliwe, że do tego doszło, jakim cudem dała się wciągnąć w gigantyczną, potężną falę, po przejściu której z trudem łapała oddech, potwornie przerażona... a mimo to cudownie, fantastycznie podekscytowana? Wszystko zaczęło się... hmm... właściwie kiedy i gdzie wszystko się zaczęło? W szpitalu, przy łóżku umierającej Liny? Podczas wieczoru w gmachu parlamentu, gdzie tak bardzo spodobała jej się panująca tam atmosfera? Czy gdy starszy wspólnik, Paul Quenell, poprosił ją, żeby przyłączyła się do zespołu, który pracował dla nowego klienta, Centre Forward?

– To nowa partia polityczna, więc może cię zainteresować. Odłam prawego skrzydła...

– Wiem – powiedziała – Chad Lawrence, Janet Freaan i cała reszta. Był zdumiony, że jego współpracownica tyle wie na ich temat. Martha poczuła niemal fizyczne podniecenie na myśl, że może się znaleźć tak blisko władzy. Chyba to przesądziło. Kilkakrotnie spotkała się z nimi w gmachu parlamentu, dobrze poznała rozkład budynku, przysłuchiwała się obradom z galerii dla publiczności i powoli zaczynała rozumieć, jak wszystko funkcjonuje. Dobrze poznała Chada Lawrence'a, Janet Freaan, a nawet do pewnego stopnia Jacka Kirklanda. Kirkland ją fascynował swoim niecodziennym idealizmem, ogromnym zaangażowaniem, darem przemawiania i sposobem, w jaki od czasu do czasu niespodziewanie się rozluźniał, zaczynał słuchać zamiast mówić, a nawet śmiać się, gdy coś go serdecznie rozbawiło: był to zaraźliwy, niedźwiedzi śmiech. Tak trudno było im się oprzeć; posiadali cechę, którą Martha określała mianem charyzmy, choć w rzeczywistości było to raczej coś, co sprawiało, że chciało się im sprawić przyjemność i wyrzucić na nich wrażenie. Kiedy to się udało, człowiek czuł się fantastycznie, jakby był kimś mądrym, znanym... o Boże, to takie sztubackie! Chociaż Martha uznawała swoje postępowanie za czyste szaleństwo, czuła się wśród działaczy partii jak ryba w wodzie. Podobało jej się, że polityka stanowi całkiem odrębny świat, uwielbiała małomiasteczkową atmosferę w gmachu parlamentu oraz to, że wszyscy nawzajem się znają i że chociaż na sali obrad dosłownie na siebie krzyczą, już po chwili popijają razem dobre bordo. Z przyjemnością wysłuchiwała plotek, rozmów i obserwowała różne gierki, które pewnego razu opisała Marcusowi jako żywą grę w szachy.

Członkowie nowej partii od czasu do czasu sugerowali, że gdyby nie wiedziała, co ze sobą począć, powinna pomyśleć o zaangażowaniu się w politykę.

– Masz do tego wrodzony talent, przynajmniej moim zdaniem – zapewnił ją Chad pewnego wieczoru, wracając z długiej i bezowocnej walki ze swoimi wyborcami. – Powinniśmy zorganizować ci jakiś desant. Spodobałoby ci się to, na pewno.

– Nie bądź śmieszny – skwitowała jego słowa. – Nic nie wiem o polityce.

– Chrzanienie. To nie wiedza o podboju kosmosu. Głównymi czynnikami są zdrowy rozsądek i energia. No, może jeszcze umiejętność odpowiedniego wystawiania się. Masz

wszystkie te cechy. Zastanów się.

– Naprawdę powinnaś się do nas przyłączyć, Martho – kusił Jack Kirkland innym razem, nie odrywając od niej błyszczących oczu. – Byłabyś bardzo dobra. Znajdź sobie jakiś okręg wyborczy, a my cię poprzemy.

Ze śmiechem wyjaśniła, że ledwo starcza jej czasu na znalezienie własnego biura, a co dopiero okręgu wyborczego.

– Nie, nie, to wcale nie były żarty. Mówię całkiem poważnie. Jak można nie zareagować na takie dictum? Namowy jednego z najsłynniejszych polityków, żeby przyłączyła się do jego partii? Wszystko było takie podniecające.

Pod koniec stycznia siedziała przy swoim biurku, gdy nagle zadzwonił telefon.

– Martha Hartley, słucham.

– Cześć – odezwał się jakiś głos – mówi Ed Forrest. Podejrzewam, że mnie nie pamiętasz. Pewnego wieczoru w ubiegłym roku podwoziłaś mnie do Londynu.

Jak mogła zapomnieć? Doskonale pamiętała pięknego, czarującego Eda.

– Witaj, Ed. Miło mi, że zadzwoniłeś. Myślałam, że jesteś w Tajlandii.

– Byłem, ale właśnie wróciłem. Kilka miesięcy temu obiecałem, że postawię ci drinka. Głupio mi, że dotychczas tego nie zrobiłem, ale brakowało mi czasu. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Nie mam o to do ciebie pretensji.

– Tak przypuszczałem. Nie wyglądasz na obrażalską. W takim razie może byśmy się gdzieś wybrali?

– To świetny pomysł – powiedziała z wahaniem. Chociaż... co to szkodzi? Co to komu szkodzi? – Byłoby mi bardzo miło – zapewniła. – Tylko nie mogę wcześniej niż... poczekać... pod koniec tygodnia. Na przykład w piątek.

Może będzie zajęty? Młodzi ludzie w jego wieku zawsze w piątki mają dużo zajęć.

– Super – odparł. – Do jakiego lokalu moglibyśmy się wybrać, jak sądzisz? Do Smiths? A może jesteś tam stałą bywalczynią?

– Dlaczego miałabym być stałą bywalczynią?

– Słyszałem, że chodzi tam wielu ludzi z City.

– Ja nie. Podoba mi się ten pomysł.

Co za głupota! – pomyślała, odkładając słuchawkę. – I bez tego z trudem znajduję czas, żeby oddychać.

Siedział przy stoliku tuż przy drzwiach, w przytłumionym świetle i hałasie. Zaskoczyła ją ogromna radość, jaką poczuła na jego widok. Miał wyraźną opaleniznę i krótsze, niż pamiętała, rozjaśnione przez słońce włosy. Ubrany był w granatowy garnitur i jasnoniebieską koszulę rozpiętą pod szyją. Jego cudowny uśmiech tak jak poprzednio od razu chwycił ją za serce. Przyjrzała się jego błękitnym oczom i śmiesznie długim, jasnym rzęsom. Wstał i podszedł się z nią przywitać.

– Cześć. Fantastycznie wyglądasz.

– Dzięki.

Żałowała, że ma na sobie czarny kostium, chociaż zdążyła przebrać się w białą, seksowną bluzeczkę od Donny Karan.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, nagle czując się głupio.

– Nie ma sprawy. Przypuszczałem, że się spóźnisz. To normalne, jeśli robi się tyle ważnych rzeczy.

– Nie, nie robiłam nic ważnego – rzekła ze śmiechem. – Po prostu dopiero gdy czekałam na taksówkę, zauważyłam, że mam wyczerpaną baterię. Dlatego nie zadzwoniłam.

– Nic się nie stało. Cieszę się, że cię widzę. Świetnie wyglądasz. Czego się napijesz?

– Może... – Zawahała się. – Białego wina?

– Jakie lubisz? Może być chardy?

– Hm... może.

Prawdę mówiąc, nie znosiła tego wina. Po chwili Ed wrócił z dwoma kieliszkami i butelką sauvignon.

– A co z chardonnay?

– Zauważyłem, że go nie lubisz, więc przerzuciłem się na sauvignon. Dobrze zgadłem?

– Tak – potwierdziła.

Nagle ogarnął ją strach. Jak to możliwe, że Ed z taką łatwością czytał w jej myślach? Po tak krótkim czasie?

Po trzech kwadransach butelka była pusta, a ona, ku swojemu zaskoczeniu, powiedziała Edowi o tym, co nazywała szansami na życiowe zmiany. Zareagował powściągliwie, ale z pełną akceptacją... a chwilę później zgodziła się pójść z nim do restauracji.

Przez moment zastanawiała się, jakie fundusze może mieć do dyspozycji Ed i czy pozwoli jej zapłacić za siebie.

– Niedaleko stąd jest miła tajaska restauracja – oznajmiła. – Nazywa się „Bricklayers’ Arms”.

– To mało tajaska nazwa.

– Wiem, ale zaufaj mi.

– W porządku. W takim razie pójde zapłacić za wino.

– Czy mogę...

– Nie – zaprotestował, wyraźnie zaszokowany. Uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki – powiedziała. – To było najlepsze sauvignon, jakie od dawna piłam.

– Miło mi. Bardzo chciałem, żeby ci smakowało. Po powrocie z wyprawy był na kilku rozmowach kwalifikacyjnych.

– A dzisiaj, właśnie dzisiaj miałem następną i tym razem chyba dostanę tę pracę.

– To wspaniale, Ed. Gdzie?

– W niezależnej telewizji. – Będę się zajmował zbieraniem materiałów – wyjaśnił, skubiąc ryżowego krakersa. – Co zabawne, pierwszy program, przy którym mam pracować, dotyczy polityki. Więc osobista znajomość z politykiem bardzo mi pomoże.

– Daj spokój – powiedziała z uśmiechem na ustach – nie jestem politykiem.

– Nie, ale będziesz – zapewnił. – Jeszcze trochę wina? Wyszli z restauracji tuż przed północą.

– Świetnie się bawiłam – oznajmiła. – Dziękuję. Daj mi znać, co z twoją pracą. Jeśli ją dostaniesz, na pewno będę mogła umówić cię z kilkoma parlamentarzystami.

– Naprawdę? Powiem im to.

Ed dostał pracę w telewizji; Chad Lawrence zgodził się z nim spotkać i obiecał nawet zorganizować wycieczkę po gmachu parlamentu.

– Ale coś za coś, Martho. Będziesz musiała się do nas przyłączyć.

– Och, przestań opowiadać głupoty, Chad.

– Nie opowiadam głupot. Dlaczego miałbym pomagać ci za darmo w zdobyciu młodego kochanka?

W końcu Martha sama oprowadziła Eda, a potem zaprosiła na kolację.

– To tylko rewanż.

Poszli do „Shepherds”, gdzie czuła się jak u siebie w domu, pokazała mu różnych polityków i opowiedziała drobne plotki. Niemal wbrew własnej woli zgodziła się na następne spotkanie.

– Zobaczę, czy pozwolą ci wejść do studia – powiedział – gdy będą montować rozmowy z młodymi ludźmi na temat polityki. To powinno cię zainteresować. Może pokażą ci kilka taśm. Utrwalone na taśmie wywiady były dość przygnębiające; Martha w końcu zrozumiała, dlaczego Chad i inni tak bardzo chcą ją wciągnąć w swoje szeregi. W wypowiedziach wyraźnie odczuwało się zniechęcenie do polityki.

Spędziła w studiu dwie godziny, rozmawiając z kolegami Eda. Bardzo ich polubiła. Byli to młodzi, dynamiczni, zadziorni ludzie. Zaintrygowały ją ich twórcze umysły, fakt, że mówili: „Spróbujmy” i „Czemu nie?” zamiast: „To niemożliwe” albo „Musimy znaleźć precedens”. Ed pokazał jej kilka taśm ze swoimi wywiadami na temat polityki. Była wręcz zaszokowana sposobem, w jaki montowano materiał, wrywając fragmenty z kontekstu i zmieniając sens wypowiedzi.

– To nieuczciwe – powiedziała ze śmiechem, po obejrzeniu pierwotnej taśmy, a potem starannie wykrojonej ostatecznej wersji. – Ta dziewczyna całkiem szczerze wyznała, że nie ufa politykom, chociaż lubi Tony’ego Blaira i podziwia Cherie, podoba jej się kilka pomysłów New Labour i chciałyby się dowiedzieć czegoś więcej na ich temat, chociaż prawdopodobnie na nikogo nie będzie głosować. Tymczasem w waszym filmie mówi tylko, że nie ufa politykom i nie będzie na nikogo głosować.

– Przecież o to jej chodziło – zapewnił realizator – reszta to tylko wodolejstwo. Zapraszam panią na drinka. Chętnie poznamy pani zapatrywania. Może powinniśmy przeprowadzić z panią wywiad? – dodał zamyślony.

– Ze mną?! Myślałam, że to film o młodych ludziach.

– Przecież jest pani całkiem młoda – zapewnił. – Przynajmniej jak na parlamentarzystkę.

– Nie jestem parlamentarzystką – zaproponowała zdecydowanie. – Mam jedynie pewne powiązania z nową partią.

– Moglibyśmy powiedzieć, że jest pani przyszłą parlamentarzystką – Nie moglibyście – odparła, śmiejąc się.

– No dobrze, chodźmy na drinka.

W barze przy Wardour Street nagle źle się poczuła. Ed trzymał rękę na jej plecach – podobało jej się to, zwłaszcza że po raz pierwszy jej dotknął, jeśli nie liczyć przelotnych pocałunków na pożegnanie – rozmawiali o wszystkim i o niczym. W pewnej chwili przyłączyło się do nich jeszcze kilku jego kolegów z telewizji. Najwyraźniej uznali, że jej znajomość z Edem jest dość dziwna: Martha widziała to w ich oczach. W większości byli młodzi, mieli po dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć lat. Co wśród nich mogła robić kobieta niemal w średnim wieku, przynajmniej z ich perspektywy? Zresztą dzieliły ich nie tylko daty urodzenia. Jej rozmówcy dopiero rozpoczynali kariery, wielu z nich jeszcze nie wiedziało, co chce robić, niektórzy wciąż pracowali za psie pieniądze w charakterze gońców, mając nadzieję, że w końcu dostaną odpowiednią pracę. Jak mogli prowadzić ciekawą rozmowę z kobietą, która odniosła tak ogromny sukces, że należała do grona najlepiej zarabiających w kraju? O czym najwyraźniej wiedzieli. Widocznie Ed im o niej opowiadał.

Nie czuła się wcale aż tak źle, póki ich grupki nie opuścił kamerzysta, a jeden z młodych ludzi powiedział:

– Miły, stary niedołęga, prawda?

Wtedy doszła do wniosku, że prawdopodobnie bliżej jej wiekowo do starego niedołęgi niż do Eda i jego przyjaciół. Straciła pewność siebie i zdała sobie sprawę, że taka sytuacja będzie się często powtarzać, jeśli nie przestanie spotykać się z Edem.

– Dobrze się czujesz?

Poważnie zmartwiony Ed przyjrzał się twarzy Marthy. Byli w „Pizza Express” w Covent Garden; kobieta miała wrażenie, że pełno tu dwudziestoparolatków.

– Tak. Oczywiście. Po prostu jestem trochę zmęczona.

– Pierwszy raz słyszę – powiedział wesoło. – Mówiłaś mi, że nigdy nie odczuwasz zmęczenia...

– Hmm, to bardzo pyszałkowane stwierdzenie. Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam coś takiego.

– Powiedziałaś. Na naszej pierwszej randce. Byłem pod wrażeniem. Wybrałaś już?

– Tak. Proszę o polio. Bez sosu.

– Frytki?

– Nie, dziękuję!

– Nie musisz się aż tak bardzo wzdragać – zauważył. – Proponuję ci tylko kilka kawałeczków smażonych ziemniaków, a nie półmisek z całą krową.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Po prostu... nie lubię frytek.

- I pewnie nie jadasz również śmietany, czekolady ani ciasta? Tak samo jak sosu do sałatki?
- Tak. Prawdę mówiąc, tak.
- Ale nie dlatego, że jesteś na jakiejś ścisłej diecie?

To nie był dobry wieczór, odczuwała podenerwowanie, miała kiepski nastrój. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. O wpół do jedenastej powiedziała, że musi już iść.

- Jutro czeka mnie bardzo dużo pracy. Było cudownie, Ed, naprawdę.
- Wcale nie – zaprotestował. – Bujdy na resorach. Idę poszukać taksówki.
- Nie musisz, zadzwonię po nią.
- Jesteś samowystarczalna, prawda? – spytał bezbarwnym głosem. – I bardzo się pilnujesz...
- Tak, chyba tak. Muszę.
- Szkoda – powiedział. – Powinnaś trochę się rozluźnić.
- Nie sądzę.
- Świetnie. W takim razie zrób, co masz zrobić.
- To znaczy?
- Zadzwon po taksówkę.
- Tak. Masz rację.

Był wyraźnie przygnębiony. Bardzo chciała mu wyjaśnić, że to nie jego wina, że jej zaniepokojenie ma inne źródło i jedynym rozwiązaniem jest jak najszybsze zakończenie sprawy. Ich związek to nierealne marzenie, próżność z jej strony.

- Posłuchaj, Ed – zaczęła.

Spojrzał na nią z wyraźnym zaniepokojeniem w niebieskich oczach.

- Myślę...

– W porządku – przerwał jej. – Rozumiem. Nie jestem facetem, o jakim marzysz, prawda? Nie odpowiadam ci. Nawet nie powinienem próbować. Więc... lepiej z tym skończmy. Szkoda. Mogło być cudownie. Przynajmniej mnie...

Później zastanawiała się, co by było, gdyby wtedy przytaknęła, obdarzyła go przelotnym pocałunkiem i wyszła. W rzeczywistości jednak bacznie mu się przyjrzała, dostrzegła jego przygarbioną sylwetkę, która wyrażała ogromny zawód, i postanowiła mu wyznać, że to nie jego wina.

– Prawdę mówiąc, uważam, że jest wręcz na odwrót. Na pewno to widzisz. Niepotrzebna ci apodyktyczna, starsza pani po przejściach...

– Daj spokój, nie pieprz, dobrze? – rzucił z wyraźną złością. – Jesteś piękna, mądra i seksowna...

– Seksowna? Och, Ed, opowiadasz straszne bzdury – oznajmiła, z trudem zdobywając się na uśmiech.

- Jesteś w błędzie. Poza tym jak możesz sama się oceniać? To moja działka.

Patrząc na niego, nagle poczuła ogromne zakłopotanie i... coś jeszcze... tak, pożądanie, gwałtowne, niebezpiecznie silne pożądanie, które musiało być widoczne, bo Ed nagle uśmiechnął

się tryumfalnie i powiedział:

– Daj spokój. Chodź, poszukamy normalnej taksówki, za którą będę mógł zapłacić, i odwiozę cię do domu.

Przez całą drogę z Soho do Docklands Ed całował Marthę, początkowo powoli i delikatnie, potem nieco namiętniej, z wprawą, której nigdy by się po nim nie spodziewała. Nagle złapała się na mieszaninie pożądania, przyjemności, strachu i zwykłego podniecenia. Kiedy taksówka w końcu się zatrzymała, Martha niczego nie pragnęła bardziej niż zaprosić Eda do siebie. Być może nawet by to zrobiła, na szczęście zaproponował:

– Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? Przytaknęła bez słowa. Kiedy zapłacił za taksówkę, odwrócił się do Marthy, obdarzył ją swoim pięknym uśmiechem i rzekł:

– Jesteś niesamowita, Martho. Naprawdę. Na razie!

Po czym odszedł długim krokiem, nie oglądając się za siebie, tak samo jak wtedy, gdy go poznała, kilka miesięcy temu. Tak oto zaczął się śmieszny, nieodpowiedni związek między pięknym młodym mężczyzną a dojrzałą kobietą. Martha nie miała czasu ani ochoty na romans, ale... wciąż chciała się z nim spotykać. I spotykała się. Przy Edzie była taka szczęśliwa!

Z drugiej strony w jego obecności Martha traciła pewność siebie. Na tym między innymi polegał jego urok. Albo raczej urok jego stosunku do niej.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego, na litość boską, pracujesz w niedzielę?

– Bo mam dużo do zrobienia. Potrzeby klienta zawsze stawiam na pierwszym miejscu.

– Czy odejdziesz do jakiejś innej firmy prawniczej, jeśli postawisz go na drugim miejscu?

– Ależ skąd!

– W takim razie nie idź do pracy. Spędź tę niedzielę ze mną. Będzie zabawnie.

Albo:

– Dlaczego? Dlaczego nie jesz więcej?

– Bo nie chcę być gruba.

– Martho, nie jesteś gruba. Daleko ci do tego. Poza tym czy to ma jakieś znaczenie?

– Dobrze się czuję, gdy jestem szczupła.

– I nie przestaniesz być szczupła. Czy to byłaby tragedia, gdybyś nosiła odzież większą o jeden numer?

– Nie.

– W takim razie zjedz trochę frytek. Są naprawdę świetne. Tego wieczoru po raz pierwszy poszła z nim do łóżka; miała zamiar nadal mu się opierać, a jednak dała się namówić. Leżała w łóżku i patrzyła, jak Ed się rozbiera; przyglądając się jego pięknemu chłopięcemu ciału, poczuła, że ogarniają przerażenie. Jeśli Ed będzie zawiedziony? Z pewnością sypiał dotychczas tylko z młodymi dziewczętami. Załóżmy, że pomimo ogromnych wysiłków jej ciało już wcale nie jest takie ładne. Załóżmy, że... Martha czuła, że ze strachu napina wszystkie mięśnie. Chciała mu powiedzieć, żeby sobie poszedł, żeby zostawił ją w spokoju.

– Jesteś piękna – powiedział, kładąc się obok, odchylając kołdrę i bacznie przyglądając się

Marcie. – Jesteś taka piękna...

Delikatnie, powoli, wyjątkowo czule całował całe jej ciało, muskał piersi, głaskał brzuch, ugniatał pośladki. Po jakimś czasie wsunął się w nią niezwykle delikatnie, rozpaczliwie powoli, a potem... potem tak bardzo, naprawdę tak bardzo go pragnęła, że wyszła mu naprzeciw, unosiła się, opadała, naciskała, a potężna fala pożądania rosła i rosła. Martha myślała, że nigdy nie dotrze na szczyt, że nigdy nie osiągnie celu. Walczyła desperacko, a kiedy znalazła się tam, gdzie chciała być, popędziła na grzbiecie fali, krzyknęła z radości, potem zrobiła to jeszcze raz i drugi... Przez długi, długi czas dawała nurka i wznosiła się, aż w końcu niechętnie poddała się, rozluźniła i zapadła w słodką, spokojną wodę. Nieco później, leżąc obok niego, rozluźniona i szczęśliwa bardziej niż kiedykolwiek, uśmiechnęła się do Eda, zaskoczona i zadowolona z siebie. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wcześniej uznała, że ten związek to kiepski pomysł. Chociaż jednocześnie ją przerażał, i to bardzo. Tak – myślała czasami, nad ranem niespokojnie kręcąc się w łóżku – wszystko będzie dobrze przez kilka tygodni, ale potem będzie musiała zakończyć tę znajomość, zanim zrobi z siebie idiotkę i zniszczy swoje życie. Ed na pewno zdaje sobie sprawę, że ich romans nie będzie trwał wiecznie, że powinien związać się z kimś w bardziej odpowiednim wieku. Ona również...

Na razie jednak nie miała zamiaru z niczego rezygnować. Była zbyt szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Dzięki świadomości, że znajomość z Edem nie będzie trwała wiecznie, ich związek był jeszcze słodszy.

Rozdział Dziesiąty

– Czy możemy zamówić sobie jakąś chińszczyznę? Mama zostawiła mi trochę pieniędzy.

– Ale z ciebie szczęściara, Sarah – powiedziała Kate z żalem. – Nikt bez przerwy nie zapędza cię do odrabiania zadań ani sprzątanego swojego pokoju, nikt nie każe ci ściszać muzyki. Możesz jeść, co ci się podoba. My co wieczór musimy we czwórkę siadać do stołu i prowadzić uprzejmą rozmowę. Okropność! Tata nazywa to sztuką komunikowania się.

Boże! On nawet nie wie, co to słowo oznacza.

– Taak, rzeczywiście pod pewnymi względami w moim domu jest w porządku – przyznała Sarah. – Chociaż czasami wcale nie jest tak dobrze. Kiedy na przykład muszę pilnować malców. Mamy nigdy nie ma w domu, zwłaszcza wieczorami.

– Co robi?

– Och, wychodzi na miasto. Kiedy skończy pracę w pubie. Pije. Włóczy się po klubach.

– Włóczy się po klubach?! W jej wieku?

– Wiem. To żałosne. Poza tym często zostaje na noc u Jerry’ego.

– Tego faceta z motorem.

– Taak, to jej chłopak. Nie wiedziałaś?

– Nie.

Kate przez chwilę zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała.

– Sądzisz, że oni... że...

– Oczywiście – zapewniła Sarah. – Jak myślisz, co innego mogą robić?

– Nie wiem... – przyznała Kate. Przez chwilę w milczeniu przyglądała się Sarah, potem powiedziała: – Jeszcze tego nie robiłaś, prawda?

– Nie! Chociaż zastanawiam się.

– Z kim? Z Darrenem?

– Taak... jest naprawdę boski.

– Rozumiem... tylko po co?

– Bo chcę – odparła Sarah. – Dochodzę do wniosku, że chyba w końcu powinnam się zdecydować. No wiesz, pół klasy ma to już za sobą. Zaczynam się czuć jak przybysz z innej planety. Ty nie?

– Nie – zaprzeczyła Kate zdecydowanie. – Naprawdę.

– Nawet gdyby to był Nat Tucker?

– Nawet wtedy!

O rok starszy od nich Nat Tucker stanowił obiekt westchnień wielu dziewcząt. Był wysoki, ciemnowłosy i niewiarygodnie seksowny, chociaż może niezbyt przystojny, a czasami wręcz przyszczaty. Rzucił szkołę i pracował jako pomocnik w warsztacie samochodowym ojca, dzięki czemu stał się właścicielem samochodu, którym jeździł po sąsiednich ulicach z muzyką puszczonej na pełny regulator i jedną ręką zwisającą za oknem, nonszalancko trzymając w niej

papierosa. Dwa razy powiedział Kate, że chętnie by się z nią gdzieś wybrał, na razie jednak poprzestał na zapowiedziach.

– Posłuchaj – powiedziała nagle Kate. – Mam nowy pomysł. Zobaczyła w lokalnej gazecie ogłoszenie: „Prywatna agencja detektywistyczna – sprawdzanie firm, kandydatów na małżonków, poszukiwanie osób zaginionych itd. Dyskretnie i poufnie”. Dalej magiczne słowa: „Jeśli kogoś nie znajdziemy, nie pobieramy opłaty”.

Warto spróbować. Kate roztrzęsiona zadzwoniła do agencji. Telefon odebrała kobieta o wesołym głosie.

– Słucham?

– Chciałabym... chciałabym porozmawiać z kimś na temat poszukiwań pewnej osoby.

– Taaak. Możesz mi powiedzieć coś więcej? Czy to jakiś krewny?

– Tak. Tak. Szukam... szukam... swojej... – Urwała. Boże, to takie trudne! – Swojej mamy – dokończyła zdecydowanie.

– Rozumiem. – Łagodny głos kobiety działał uspokajająco. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale zanim przejdziemy dalej, muszę poznać bliższe szczegóły.

– Nie... nie znam jej nazwiska. Ani niczego innego. Dlatego...

– Hm, to znacznie utrudnia poszukiwania... ale wcale ich nie uniemożliwia. Rozwiązywaliśmy podobne przypadki. Padało. Za oknami był szary, smutny dzień. Nagle dla Kate zaświeciło słońce.

– Czy możesz nam powiedzieć choćby w przybliżeniu, gdzie ona może przebywać?

Na niebie zebrało się kilka chmur.

– Nie. Niestety, nie mam pojęcia.

– Dobrze... czy potrafisz podać nam coś, od czego moglibyśmy zacząć? Na przykład: gdzie się urodziłaś? I kiedy?

– O tak. – To było łatwe. Cudownie łatwe. – Urodziłam się na lotnisku Heathrow. Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku.

Milczenie.

– Naprawdę na lotnisku? – padło pytanie po dłuższej chwili.

– Naprawdę. Potem... hm... to znaczy... znaleziono mnie nieco później, ale jeszcze tego samego dnia.

– Sądzę – powiedziała kobieta – że powinnaś do nas przyjechać. Musimy wszystko dokładnie omówić.

Sarah zaproponowała, że może jej towarzyszyć, ale Kate uznała, że powinna jechać sama.

– To będzie wyglądało nieco... doroślej.

Wybrała się następnego dnia po szkole. Biuro znajdowało się nad sklepem jubilerskim i było jasne, nie obskurne, iak przypuszczała Kate. Również pan Graham w niczym nie przypominał smutnego starszego pana, jakiego oczekiwała. Był wytworny, przystojny, wygadany. Jest dość stary – pomyślała – choć nie tak stary jak moi rodzice. Mógł mieć koło czterdziestki.

Poczęstował dziewczynę okropną kawą i spytał, z czym do niego przyszła. Po pięciu minutach wyciągnął rękę.

– Posłuchaj, moja droga, możemy znaleźć twoją mamę...

– Możecie? O mój Boże!

Powiedział wiele zachęcających słów: że wiedzą, gdzie Kate się urodziła, wiedzą, do jakiego szpitala została zabrana, i że trop można podjąć nawet po bardzo długim czasie. Jego słowa brzmiały jak bajka. Potem nastąpiła gorsza część. Że absolutnie nie mogą zrobić tego bez żadnej zapłaty.

Że czeka ich długa droga, że będą musieli poświęcić mnóstwo czasu. Chciał dostać przynajmniej trzysta funtów zaliczki. Zrobiło się jej niedobrze: kusząca wizja odnalezionej matki powoli rozmywała się we mgle.

– Posłuchaj – powiedział Richard Graham, który najwyraźniej był życzliwym człowiekiem. – Porozmawiaj z rodzicami. Tymi, którzy cię adoptowali. Powiedz im, żeby do mnie przyszli. Nie było szansy, żeby rodzice wyłożyli trzysta funtów. Przynajmniej nie na taki cel. Powiedzą jej, że to bardzo szemrana sprawa, ostrzegą, że poszukiwania mogą kosztować o wiele więcej, i przypomną, że Państwowa Organizacja Pomocy Dzieciom Adoptowanym i Ich Rodzicom przeprowadzi poszukiwania bezpłatnie, gdy Kate skończy osiemnaście lat. Gdy skończy osiemnaście lat! Czyli za ponad dwa lata. Dziewczyna poczuła, że ogarnia ją ogromny smutek, jakby powiedziano jej, że matka jest tuż za rogiem i jeśli tylko się pospieszy, zaraz ją zobaczy. Tylko ktoś przymocował jej nogi kotwicą do ulicy i nie mogła się nawet ruszyć. To niesprawiedliwe! To po prostu niesprawiedliwe!

Rozdział Jedenasty

Partia Centrę Forward została puszczona na szerokie wody w Connaught Rooms, dokładnie tam, gdzie dwadzieścia lat temu powstała SDP, czyli Partia Socjaldemokratyczna. Nie chodziło o żadne analogie, po prostu to miejsce idealnie nadawało się do takich celów: było wystarczająco duże, wystarczająco znane i reprezentacyjne. Kierownictwo stanowiło trio KFL – jak ich błyskawicznie nazwano – czyli Jack Kirkland, Janet Fream i Chad Lawrence.

Chwalili się, że po ich stronie opowiada się dwudziestu jeden deputowanych, którym w większości wyborcy pozwolili do najbliższych wyborów stanąć pod nowymi sztandarami. Chad Lawrence był jednym z nielicznych, którzy musieli stanąć do wyborów uzupełniających, ale z łatwością wygrał. Swoim sloganem: „Najpierw ludzie, potem polityka” trafili w dziesiątkę. Zmyli tym mocno zbrukany pokład politycznej nawy i przynajmniej na chwilę wszystko szło po ich myśli. Równie precyzyjnie wybrali czas – tuż po uchwaleniu budżetu w kwietniu, ale z pewnym zapasem na przygotowanie się do majowych wyborów lokalnych. Torysami miały wewnątrzne walki i brak nadziei, a laburzystów nękały najnowsze, przerażające opowieści o szpitalach, szkołach i przestępstwach. Co więcej, pogrzeb królowej matki wywołał falę patriotyzmu, ludzie czekali na coś nowego i pokrzepiającego. Kirkland obiecywał, że znajdą to w nowej partii. Po stronie nowej partii opowiedziały się zdecydowanie trzy gazety: „Sketch”, „Independent” i „News”; pozostałe podchodziły bardziej sceptycznie, ale z radością witały to, co wszyscy nazywali świeżym powiewem w polityce. Nazwa bardzo się wszystkim spodobała, a komentatorzy mieli sądny dzień, porównując pierwszą konferencję prasową z sesją zdjęciową do World Cup, to znów z obsadą biegaczy Grand National. Opowiadano ciekawe historie o całej trójce, było też sporo niesprawdzonych plotek na temat tego, kto porzuca którą partię i przechodzi do nowej; najbardziej szalona z nich mówiła, że Gordon Brown ma się przyłączyć do Centrę Forward i że bardzo prawdopodobne jest poparcie Michaela Portilla. Ani jeden, ani drugi nie zmienili barw. Zarówno Tony Blair, jak i IDS oświadczyli – chociaż przez wyraźnie zaciśnięte zęby – iż po to jest demokracja, ale przykro im (zwłaszcza IDS), że tyle jest w obecnych czasach nielojalności. Tony Blair przypominał, że SDP też miała tryumfalny poród, a po siedmiu latach urządzono jej pogrzeb.

Wszyscy główni bohaterowie: Lawrence, Fream i Kirkland, znaleźli się na pierwszych stronach gazet. Wszyscy troje mieli ciekawe rodziny, byli dobrymi rozmówcami i obowiązkowo uśmiechali się do fotoreporterów. Gideon Keeble powiedział, że jest dumny ze swojego udziału, Jackie Bragg również. Ta ostatnia stwierdziła, że potrafi rozpoznać na kilometr dobry pomysł i jest dumna, iż może w jakiś sposób go wesprzeć. W City analizowano fortuny Keeble’a, Bragg i innych potencjalnych sponsorów, zastanawiano się również, ile pieniędzy są gotowi przeznaczyć na działalność nowej partii. Wspominano też o anonimowych datkach.

Ileokroć mówiono o pieniądzu, podawano sumę dwudziestu milionów. Znaczna część pochodziła od prywatnych osób – było ich ponad pięćdziesiąt tysięcy – które obiecały sumy od

dwudziestu pięciu do tysiąca funtów ze swoich kart kredytowych.

Chad Lawrence w wywiadach wielokrotnie powtarzał, że to właśnie najdobitniej świadczy o popularności głoszonych przez nich haseł. Wielu komentatorów zauważyło, że w skład nowego zespołu wchodzi również ludzie spoza świata polityki, związani z biznesem, odnoszący spore sukcesy i mający większe szanse na osiągnięcie wyznaczonych celów niż przeciętny człowiek. Wiele osób, które zaangażowały się w założenie partii, wciąż pracowało w swoim zawodzie i nie miało żadnego doświadczenia politycznego, co umożliwiło nowy sposób myślenia. Oczywiście, w tej grupie znajdowała się również Martha Hartley.

W piątek, dziewiętnastego kwietnia, wydano ogromne przyjęcie w Centrum Forward House, nowym budynku w Admiralty Row. Po części miało to być podziękowanie dla wszystkich zaangażowanych osób, ale głównie chodziło o zdobycie jak największego rozgłosu. Oprócz polityków i zwolenników pojawiła się garstka ludzi z City i wiele sław, czyli wszyscy, których organizatorzy zdołali znaleźć w książkach adresowych i przez Internet. Nie zabrakło też nikogo ze świata prasy, radia i telewizji. Jeśli ktoś nie został zaproszony, a był wyraźnym sympatykiem, mógł wejść prosto z ulicy.

Na przyjęciu była Jocasta Forbes. Wybierała się z Nickiem, ale jej szef (również obecny) poprosił ją, żeby napisała obszerny artykuł na temat spotkania do rubryki towarzyskiej na następny dzień.

– Poszukaj jakichś niezwykłych ludzi – powiedział. – Tylko, na litość boską, nie chcę czytać o Hugh Grancie.

Kilka osób zauważyło, że ostatnio Jocasta nie wygląda najlepiej; straciła na wadze i sprawiała wrażenie zmęczonej, ale jej artykuły były lepsze niż kiedykolwiek. Tylko tego dnia opublikowała dwa. Jeden z nich opowiadał o kobiecie, która zaskarżyła do sądu swój bank. „Jeśli klient może pozwać do sądu bankowców, a czemu nie, nie powinni tak łatwo udzielać nam pożyczek”. Drugi był poświęcony naukowcowi, który z powodzeniem sklonował swojego kota i przez Internet proponował usługi właścicielom starych zwierzaków.

Tego wieczoru wyglądała fantastycznie w bardzo krótkiej, czarnej skórzanej spódnicy, kurtce i wyszywanej cekinami bluzeczce, która niemal całkowicie odsłaniała piersi i znaczną część brzucha. Przyszła z Nickiem, ale szybko go opuściła i już po godzinie miała wypowiedzi tak odmiennych gości jak: Will Young, wykształcona w szkole prywatnej sensacja programu „Pop Idol”, obwieszona brylantami księżna Carmathen, która oświadczyła, że to pierwsze jej spotkanie polityczne od czasów wojny, i pełen uroczej autoironii Alan Titchmarsh, który oznajmił, że zawsze chciał zrobić ogródek na tarasie gmachu parlamentu, i pytał, czy Jocasta może skontaktować go z odpowiednimi ludźmi. Potem dziewczyna Nicka opróżniła kieliszek szampana, wzięła następny i zaczęła krążyć po sali.

– Czy to nie moja ulubiona dziennikarka? Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie. Miałem nadzieję, że cię tu dziś spotkam.

Gideon Keeble obdarzył ją promiennym uśmiechem. Jak zwykle prezentował się

fantastycznie. Trzymał w ręce butelkę szampana.

– Dzień dobry, panie Keeble – powiedziała dość niepewnie, patrząc, jak bilioner napelnia jej kieliszek. – Od tego są kelnerzy.

– Wiem, ale to doskonały sposób na uwolnienie się od nudnych ludzi i nawiązanie rozmowy z interesującymi i pięknymi istotami, takimi jak ty. Tylko proszę, nie zwracaj się do mnie per „pan”, bo wtedy czuję się potwornie staro. Mam na imię Gideon. A gdzie twój czarujący chłopak?

– Bóg jeden raczy wiedzieć – westchnęła Jocasta – ale niezależnie od tego, gdzie jest, na pewno z kimś rozmawia. I w ogóle o mnie nie pamięta.

Nie chciała, by w jej słowach słyszeć było rozgoryczenie, nie zdołała go jednak ukryć. Gideon Keeble spojrział jej w oczy.

– Co za głupiec z tego Nicka! Mam nadzieję, że skorzystał z mojej rady i podarował ci pierścionek.

– Nie całkiem – odparła z uśmiechem – ale nawet gdyby to zrobił, na pewno nie byłabym zadowolona. Ma okropny gust, jeśli chodzi o biżuterię.

– To poważna wada u młodego mężczyzny. Ja jestem dumny z własnego gustu. Biżuteria, podobnie jak perfumy, powinna podkreślać styl osoby, która jej używa.

– A co twoim zdaniem pasowałoby do mnie?

– Zaczekaj chwilę. – Zmierzył ją od stóp do głów rozbawionymi niebieskimi oczami. – Myślę, że jesteś brylantową dziewczyną. Lśniącą i piękną. Chociaż... nie powinny to być duże kamienie. Nic wulgarnego. Małe, ale dużo. Oprawione w białe złoto.

– To by mi się chyba podobało – przyznała Jocasta – ale Nick nie należy do zwolenników brylantów. Szkoda.

– Nie myślałem o Nicku – sprostował. – Myślałem o tobie. Umieściłbym brylanty na tobie tutaj... – Delikatnie dotknął jej ucha. – Tutaj... poczekaj... i tutaj.

Ujął dłoń Jocasty i położył ją w zagłębieniu między jej piersiami.

To był dziwnie erotyczny gest, o wiele bardziej erotyczny, niż gdyby Gideon dotknął jej sam. Zapadło milczenie, potem Jocasta rzuciła bez troski:

– Tak, to byłoby naprawdę cudowne. A teraz... czy mógłbyś powiedzieć mi coś o kilku obecnych tu osobach? I tych, które dopiero przyjdą? Jestem po części na służbie.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że będę mógł spędzić z tobą trochę czasu.

– Będiesz mógł, jeśli mnie oprowadzisz i przedstawiś kilku ważnym, znanym osobom.

– Umowa stoi. Znasz Dicka Aokiego, dyrektora banku JapManhat, jak się go powszechnie obraźliwie nazywa?

– Nie. Co on ma, do diabła, wspólnego z nową angielską partią?

– Nic. Na razie. Chodź, przedstawię ci go. Spodobał jej się pół Japończyk, pół Amerykanin Aoki; był zabawny i autoironiczny.

– Mam zamiar kupić dom w Wiltshire – oznajmił. – Jak pani sądzi, czy zostanę dzięki temu

zaakceptowany przez wyższe sfery?

– Oczywiście – zapewniła – jeżeli wyda pan sporo pieniędzy, żeby ich zabawić. Chociaż to same stare pierniki.

– Naprawdę? Ciekawy pogląd, ale to piękny dom i nawet jeśli będę musiał mieszkać w nim w całkowitej izolacji, nie będę miał nic przeciwko temu. Przypuszczam, że widziała pani dom Gideona w Corku.

– Nie – powiedziała. – Nie widziałam.

– To straszny wstyd. Gideonie, powinienes ją tam zabrać. Będą do siebie pasować.

Gideon przyjrzał się jej w zamyśleniu.

– Masz rację. W porządku, Jocasto, musisz przyjechać tak szybko, jak to możliwe. Chcesz? Oczywiście, powinnaś zabrać ze sobą Nicka. Nie chcę cię skompromitować.

– Bardzo chciałabym zobaczyć twój dom – zapewniła.

Uśmiechnęła się do niego, a on do niej, choć może nieco zbyt długo patrzył jej w oczy.

– Co oboje z Nickiem robicie po przyjęciu? Zapraszam kilka osób na kolację, przyłączysz się do nas?

Bardzo chciała. Bez Nicka, jeśli tylko jej się uda. Martha Hartley przyjechała na przyjęcie bardzo późno z powodu telefonu od Eda, który upewniał się co do ich planów na najbliższy weekend. Był nieszczęśliwy, że Martha nie może zabrać go ze sobą na przyjęcie, tak nieszczęśliwy, że początkowo nie mogła w to uwierzyć. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że nie widziała się z nim od ponad tygodnia: była zbyt zajęta. Złościł się o to i boczył. Boczenie się było jedną z niewielu rzeczy, które przypominały Marcie, że Ed jest jeszcze bardzo młody. Uspokoila go dopiero obietnicą, że spędzą razem cały weekend.

– Postaraj się nie urwać z niego ani pięciu minut. Obiecała, że nie urwie.

Wybrała czarne spodnium z krepy od Armaniego i dodała sobie nieco blasku ogromnymi brylantowymi kolczykami w kształcie łezki. Długie, brązowe, lśniące włosy spięła z jednej strony dobraną starannie spinką, a dzięki nowym butom od Jimmy’ego Choose’a – z niebezpiecznie wysokimi obcasami i z paskami wokół kostek wysadzanych brylantami – czuła się seksowna i odważna.

Gdy przyjechała, w sali aż roiło się od ludzi. Odniosła wrażenie, że dla niej nie ma już miejsca.

Jack Kirkland pomachał jej ręką, ale był pogrążony w rozmowie z Gregiem Dykiem, a para ludzi z agencji reklamowej powiedziała jej „cześć” i zniknęła. Nagle usłyszała znany głos.

– Witaj, Martho! Miło cię widzieć. Wyglądasz naprawdę wspaniale.

To Nick Marshall; spotkała go już kilka razy, ale nigdy nie rozmawiała z nim dłużej niż przez minutę; tak jak ona zawsze był w biegu. I zawsze jej się podobał.

– Co za dzień! – jęknęła. – Odwaliliście dla nas kawał dobrej roboty. Dla nich – poprawiła się.

– Witaj, Martho, moja ślicznotko! – Gideon Keeble uściskał ją na powitanie. – Mój Boże,

wyglądasz cudownie. W tym pomieszczeniu aż roi się od piękności. My, biedni przedstawiciele brzydszej płci, możemy tylko chodzić i was podziwiać.

– Opowiadasz bzdury, Gideonie... chociaż to bardzo miłe bzdury. Dziękuję.

– Gideonie! – zawołał Marcus, lekko zadyszany i zaróżowiony pod wpływem szampana i ciepła. – Quentin Detts z „Maila” chce z tobą porozmawiać. Mógłbyś udzielić mu wywiadu?

– Mógłbym. Martho, kochanie, zobaczmy się później. Marcusie, zostań tutaj i zajmij się tą piękną istotą.

– Zgoda – powiedział Marcus. – Niestety, na początek muszę przekazać ci złą wiadomość. Straciliśmy jednego z najbardziej zagorzałych zwolenników, człowieka z dzikiego Suffolku. Biedak dostał zawału serca. Będzie musiał przejść na emeryturę.

– Och! – westchnęła. – Masz na myśli Normana Bramptona?

– Tak. Skąd go znasz?

– Moi rodzice mieszkają w jego okręgu wyborczym. Prawdę mówiąc, niemal wychowałam się na jego kolanach. Mój ojciec – na pewno ci mówiłam, że jest pastorem – bardzo dobrze go zna.

– Rozumiem.

Przez chwilę milczał i bacznie się jej przyglądał.

– O co chodzi, Marcusie? Czyżbym miała szpinak między zębami?

– Nie, nie. Po prostu... nad czymś się zastanawiam. Posłuchaj, czy mogłabyś porozmawiać z kilkoma wyborcami?

Czują się tu trochę zagubieni, a nie chcę, by uznali, że o nich nie myślimy.

– Oczywiście, chętnie z nimi rozmawiam.

Z obowiązków wybawił ją Chad. Wziął ją pod ramię i odciągnął na bok.

– Czy... czy moglibyśmy po przyjęciu chwilę pogadać?

– Nie możemy teraz? Niestety, muszę wcześniej wyjść.

– Po co, do diabła?

– Och... powiedzmy, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Interesy. Przykro mi, Chad, ale to bardzo ważne.

– Nigdy nie przestaniesz, prawda? Powinnaś poszukać innej pracy, przy której mogłabyś sobie pozwolić na odrobinę rozrywki. Bardzo chcielibyśmy, żebyś się do nas przyłączyła. Żebyś wybrała sobie jakiś okręg. Pomyśl o tym.

– Myślałam, ale, szczerze mówiąc, przestałam się już nad tym zastanawiać. Przepraszam. Naprawdę muszę już iść. Wracam do pracy. Nocnej pracy.

Pocałowała go w policzek. Zerkając mu przez ramię, zlustrowała salę: była w takim samym stanie jak wtedy, gdy przyszła. Spojrzała na zgromadzonych ludzi, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. Zobaczyła wpływowe, inteligentne osoby, zaangażowane w coś ważnego, naprawdę ważnego, coś, czego częścią się czuła. W tym momencie jakaś myśl zaświtała jej w głowie, a Chad jakby to wyczuł. Był wspaniałym taktykiem, więc wiedział, jak się zachować.

- W takim razie czy będziemy mogli porozmawiać jutro rano? Na przykład przy brunchu?
- Może – powiedziała powoli. Pocałował ją.
- Świetnie. U „Joe Allena” o jedenastej, zgoda?
- Zgoda.

Odszedł, a Martha udawała, że nie widzi, jak Marcus macha do niej z przeciwnej strony sali. Nie mogła się już bardziej spóźnić.

Nie miała pojęcia, że Marcus chce ją przedstawić dziewczynie Nicka Marshalla, dziennikarza ze „Sketcha”. Ani że dziewczyna Nicka, Jocasta Forbes, jest na przyjęciu i porusza się po tej samej orbicie co ona.

Kiedy odbywało się partyjne przyjęcie, Jeremy pracował do późnego wieczoru. Clio z nudów oglądała wiadomości telewizyjne i słuchała wywiadu za wywiadem. Zazdrościła tej kobiecie. Jak ona się nazywa? Frea. Janet Frea. Mąż nie kazał jej rzucić pracy, gdy urodziła dziecko. Na litość boską, pani Frea miała pięcioro dzieci! Nawet Clio uważała, że to już lekka przesada. Z pewnością pociechy obecnej bohaterki wszystkich mediów rzadko widują swoją matkę, a ona rzadko widuje swoje dzieci.

Kiedy wywiad z Janet Frea dobiegł końca, Clio wstała, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty. Ogarnęła ją fala przygnębienia; tego ranka zaczął jej się okres i był wyjątkowo bolesny. Jeremy jeszcze o niczym nie wiedział. Boże, to istny koszmar! Zdecydowanie musi mu powiedzieć. Tylko jak? Teraz?

Kiedy z miesiąca na miesiąc, z okresu na okres jest coraz gorzej?

Coraz gorzej i coraz trudniej. Dlaczego, na litość boską, nie zrobiła tego wcześniej.

Nie... nie wracaj do tego, Clio. Nie zadreńczaj się. Zresztą i tak jest już za późno. Na szczęście nikt, naprawdę nikt o tym nie wie. Naturalnie, oprócz ginekologa. Wszystkich ginekologów.

Dzięki Ci, Boże, że istnieje coś takiego jak etyka lekarska. Jocasta wybrała się na kolację z Gideonem Keeble’em. Do „Langans”. Oczywiście, nie byli sami. Towarzyszyła im przynajmniej dziesiątka innych osób, tyle że nie było wśród nich Nicka, a ona siedziała obok Gideona.

Był Chad i jego żona. Jocasta nigdy wcześniej jej nie spotkała, ale często widywała notatki na jej temat w kronikach towarzyskich. Abigail Lawrence była wysoka, ciemnowłosa, piękna, inteligentna i bardzo opanowana.

Przyszedł też Marcus z żoną, śliczną, ciepłą, pełną życia kobietą, która wyraźnie go uwielbiała.

– Czy Kirkland ma żonę? – spytała Gideona.

– Niestety, już nie. To była bardzo inteligentna kobieta, spotkali się w Cambridge. Powiedziała jednak, że nie ma zamiaru konkurować z jego kochanką...

– Kochanką?

– Tak. Miał dwie. Najpierw partię torysów, a teraz Centę Forward.

Gideon zaprosił też Jackie Bragg z jej świeżo upieczonym, znacznie starszym od niej mężem, który był jej doradcą finansowym.

– Tak bardzo pokochał spółkę, że się w nią wzenił – zażartował – i teraz traktuje ją jak dziecięcą kolejkę.

– A co z tobą Gideonie? – spytała. – Masz dużo kosztownych zabawek?

– Och, bardzo dużo – zapewnił, uśmiechając się do niej. – Przede wszystkim auta...

Zgromadził niezłą kolekcję starych samochodów wyścigowych, które raz do roku wystawiał na pokaz, a zebrane w ten sposób pieniądze przeznaczał na cele charytatywne.

– Bardzo chciałabym je zobaczyć – powiedziała całkiem szczerze.

– Kocham stare samochody. Mój dziadek miał ich sporo, ale ojciec je sprzedał. To okropne.

– Nie dla mnie – wyznał Gideon. – Kupiłem dwa z nich.

– Naprawdę? Które?

– Rollsa phantoma. I allarda. To była fantastyczna aukcja. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego twój ojciec postanowił się z nimi rozstać. Stare samochody mają dusze.

– Prawdę mówiąc, mojego ojca nie interesuje nic oprócz pieniędzy – powiedziała Jocasta. – Poza tym nie rozpoznałby duszy, nawet gdyby potknął się na niej na ulicy. Przepraszam. Ja i ojciec nie żyjemy ze sobą w zbytnej zgodzie.

– Słyszałem.

– Skąd?

– Od kilku osób, które mi o tobie opowiadały.

– Dlaczego ktoś miałby ci coś o mnie opowiadać?

– Sam pytałem – wyznał.

Poczuła, że kręci jej się w głowie, a serce wali jak młot.

– Dlaczego? – spytała.

– Uznałem, że jesteś bardzo interesującą osobą. I piękną. Chciałem wiedzieć coś więcej na twój temat. Powiedz mi, czy to prawda, że twój brat porzucił swoją mądrą żonę.

– Nie. To ona rzuciła jego. I dobrze zrobiła.

– Dlaczego dobrze?

– Bo zbyt często przyłapywano go na zabawie w cudzej piaskownicy. Chociaż, jeśli się nie pogniewasz, wolałabym nie rozmawiać na ten temat.

– Oczywiście, przepraszam. Proszę, zjedz coś. Na pewno mama mówiła ci, że trzeba zjadać wszystko, co jest na talerzu.

– Nie. Większość naszych posiłków jadaliśmy w pokoju dzieciennym, ale powtarzała nam to niania. A ty... ciebie też nauczono wszystko zjadać?

– Dorastałem w wyjątkowo licznej rodzinie w Dublinie. Było nas dziewięcioro i jadaliśmy na dwie zmiany. Dzięki temu nauczyłem się, że trzeba jeść szybko. I zmiatać wszystko, co jest na talerzu. Zwłaszcza że nie zawsze mi to wystarczało.

W jego słowach nie było ani odrobiny rozgoryczenia, nie próbował też grać na jej współczuciu; prawdę mówiąc, był bardzo wesoły. Znów się do niej uśmiechnął.

– Na chwilę przepraszam. Zaniedbuję damę, która siedzi po mojej lewej stronie. Zaraz wrócę

do naszej rozmowy, zjedz wszystko, co zielone.

Czas mijał; wypełniały go krótkie, uwodzicielskie rozmowy. Stopniowo ubywało ludzi. W końcu została tylko ona, Lawrence'owie i Denningowie. I, oczywiście, Gideon, który kilka razy wyraził ubolewanie, że nie ma z nimi Nicka, powiedział nawet, że warto byłoby po niego zadzwonić. Skłamała, że dzwoniła, gdy wychodziła do toalety.

– Może uciekł z Martha – zażartował Marcus. – Zniknęli prawie w tym samym czasie.

– Martha? Jaką Martha?

– Martha Hartley. To śliczna dziewczyna. Prawniczka. Trochę nam pomaga, a jej firma prowadzi nasze sprawy.

– Martha Hartley pracuje dla partii Centrę Forward? – spytała Jocasta. – To niesamowite. Spotkałam ją kiedyś. Dawno, dawno temu, gdy byliśmy jeszcze małolatami. Skąd ona, do diabła, znalazła się wśród was?

– Jej firma prowadzi nasze sprawy – powtórzył Marcus. – To czarująca dziewczyna. Bardzo inteligentna. I niezwykle atrakcyjna.

– Jest... mężatką?

– Chyba nie. Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, przynajmniej siedem dni w tygodniu, sądzę więc, że jej mąż byłby bardzo biedny.

– Och, Marcusie, masz takie staroświeckie poglądy – westchnęła Jocasta. – Bambosze przy piecu i ładnie wyprasowane koszule to już przeszłość. Mówiąc w ten sposób, zdradzasz swój wiek.

– W takim razie chyba zdradzę swój, jeśli powiem, że zgadzam się z Marcusem – zażartował Gideon, uśmiechając się do niej. – A siedząc obok takiego staruszka jak ja, powinnaś uważać, co mówisz.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Ty jesteś wyjątkowy – oznajmiła. – W twoim wypadku wiek nie ma żadnego znaczenia. Nie jesteś ani młody, ani stary. Po prostu... jesteś sobą.

– Miło słyszeć – zapewnił. – Ładnie to powiedziałaś, jeśli mam być szczerzy.

Odwiózł ją do domu, bo twierdził, że nie może powierzyć jej taksówkarzowi.

Samochód był wspaniały: przedwojenny, lśniący czarny mercedes.

Miał stopnie i koła ze szprychami. Jocasta spodziewała się, że powiezie ich szofer, ale miejsce za kierownicą było puste. Gideon powiedział, że nie lubi być wożony, woli sam wszystkim kierować.

– Poza tym nie oddałbym tego samochodu w ręce zbyt wielu ludzi.

Wsiadła i rozejrzała się po wnętrzu.

– Jest naprawdę cudowny.

– Dziękuję. Dokąd cię zawieźć?

– Do Clapham.

Boże, nie mogła w to uwierzyć. Była sam na sam z Gideonem w niewiarygodnym

samochodzie. Co będzie, gdy dojadana miejsce? Czy powinna zaprosić go do siebie? Czy Gideon ją uwodzi, czy tylko podwozi, bo stara się być miły? Kiedy dotarli na miejsce, zdała sobie sprawę, że w ogóle nie rozmawiali o nim. Powiedziała to.

– Och – zbyt jej stwierdzenie – po prostu wolę rozmawiać o tobie.

– Hm... dziękuję. Za podwiezienie również. I za kolację. Czy... – Zawahała się. Nie, spyta go. Na pewno nie zaszkodzi. – Czy nie chciałbyś wstąpić na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem?

– To byłoby bardzo niebezpieczne, nie sądzisz? Powiedziałbym, że wręcz nierozsądne. Jesteś zbyt piękna i zbyt urzekająca, żeby znajdować się ze mną w tym samym pomieszczeniu, Jocasto. Chyba że kilka spraw wyglądałoby nieco inaczej. Wtedy bardzo bym chciał. Co chyba widać.

– Chyba... chyba tak – wydukała. – Tak, ale... – Urwała i spojrzała na niego bezradnie.

– Tak czy inaczej jest już późno, a ty wyglądasz na bardzo zmęczoną. – Delikatnie pocałował ją w usta. – Idź już. Dobrze się wysypij. I powiedz Nickowi, że jest największym szczęściarzem w całym chrześcijańskim świecie. Dobranoc. Miłych snów! Patrzyła, jak Gideon znika w niesamowicie pięknym samochodzie, i bardzo chciała być z nim.

Następnego ranka fatalnie się czuła, miała nie tylko kaca, ale i potworne wyrzuty sumienia. Powinna powiedzieć o wyprawie Nickowi. Zadzwoić do niego. On na pewno do niej dzwonił. I to wiele razy. Zrobiła sobie słabą herbatę, potem oparła się na poduszkach i wysłuchiwała wiadomości nagranych na automatycznej sekretarce.

– Jocasto, złotko, gdzie jesteś? Siedzę w centrum prasowym. Będę czekał, aż się odezwiesz.

No tak, to raz.

– Cześć, pani Kucharko. Wybieram się do „Shepherds”. Chris zarezerwował duży stolik. Przyłącz się do nas.

Dwa.

– Jocasto, gdzie, do diabła, jesteś? Zbliża się jedenasta, siedzę w „Shepherds”. Zadzwoń do mnie.

Trzy.

– Jocasto, zadzwoń. Proszę. Nie wiem, gdzie jesteś. Niepokoję się o ciebie.

Cztery.

– Jocasto, jest prawie pierwsza. Jadę do domu, do Hampstead. Podobno wyszłaś z Gideonem i całą resztą. Dzięki, że mnie poinformowałaś. Może zadzwonisz rano?

Popęłniła błąd, pozwalając, by się o nią martwił. Powinna zadzwonić.

Niepewnie, niemal z ociąganiem wybrała jego numer. Na szczęście była włączona automatyczna sekretarka.

– Cześć, Nick, to ja. U mnie wszystko w porządku. Przepraszam za wczorajszy wieczór. Utknęłam na przyjęciu Gideona.

Twierdził, że zostawił dla ciebie wiadomość. Widocznie jej nie dostałeś. Przykro mi, że się martwiłeś. Było fajnie. Porozmawiamy później.

Może... być może... to wystarczy. Może Nick uwierzy, a jeśli nie... to trudno. W grze pod tytułem: „nie zobowiązujemy się do niczego” mogą uczestniczyć dwie osoby.

– Nie – powtarzała Martha. – Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mogłabym tego zrobić. Poza tym nie mam czasu. Siedziała i wpatrywała się w swoich rozmówców. Kiedy przyjechała do „Joe Allena”, był tam też Marcus. Nie kryła zdziwienia.

– Praca parlamentarzysty nie zajmuje tak dużo czasu – zapewnił Chad. – Zwłaszcza jeśli nie jest się w rządzie.

– Och, daj spokój! Pracuję sześć dni w tygodniu, często do bladego świtu.

– Rozumiem. Może w takim razie udałoby ci się ograniczyć czas pracy do pięciu dni albo przenieść się do jakiejś mniejszej firmy?

– Nie chcę pracować w mniejszej firmie. Kocham to, co robię.

– Naprawdę? – wtrącił się Marcus. – Kiedyś przyznałaś mi się, że twoja miłość słabnie.

– Wiem, ale nie mówiłam tego poważnie.

Czuła się tak, jakby wpadła w głęboką, bardzo głęboką dziurę. Była przerażona, ogarniała ją panika.

– Posłuchaj, Martho, niemal na pewno zostaniesz wybrana – zapewnił ją Chad. – Jesteś wymarzoną kandydatką. Dziewczyną stamtąd, pochodzącą z powszechnie znanej i szanowanej rodziny, osobą młodą, dynamiczną...

– Kobieta – podkreślił Marcus.

– Zwracającą na siebie uwagę.

– Czy... czy to właśnie nazywacie desantem?

– Tak, ale ponieważ jesteśmy nową partią i chcemy mieć czyste ręce, za nic w świecie nie może wyglądać na to, że dokonujemy jakiegokolwiek manipulacji. Podkreślilibyśmy, że jesteś tylko jednym z szeregowych członków... z najniższego szczebla. Chociaż tak by wcale nie było. Chad znów się do niej uśmiechnął.

– Jak ci się to podoba?

– Nie zgadzam się. Co więcej, czegoś tu nie rozumiem. Przecież Norman Brampton jest torysem.

– Rozczarowanym. Zaangażował się w naszą politykę i przekonał do tego znaczną część swoich wyborców. Dzięki temu będziesz miała łatwiejszy start, zwłaszcza że nie zechcą ryzykować wyborów uzupełniających. Jest tam bardzo inteligentny kandydat laburzystów...

– O Boże, Dick Stephens!

– Znasz go?

– Nieosobiście. Moja mama i jej przyjaciółki chętnie wysłałyby go na Syberię. Jest przeciwnikiem polowań, dlatego oczywiście nie cieszy się sympatią farmerów. Kiedy przyszedł na przyjęcie organizowane w naszej parafii, zdenerwował wszystkich parafian, zwracając się do

nich po imieniu, chociaż nikt mu tego nie zaproponował.

Bardziej wyczuła, niż zauważyła, że Chad i Marcus wymienili między sobą spojrzenia.

– Martho – powiedział Chad – nie chciałabyś zostać parlamentarzystką?

– Może kiedyś, ale nie teraz. Nie mam politycznego zaplecza...

– Już masz. Poza tym pracowałaś przez sześć miesięcy w Citizen's Advice Bureau. Wiedziałaś o tym, Chad? – spytał Marcus.

– O Boże! – jęknął zachwycony Lawrence. – Naprawdę spadłaś nam z nieba. Proszę, Martho. Przynajmniej obiecaj, że się nad tym zastanowisz. Jestem pewien, że byłabyś świetna. I że pokochałabyś politykę.

Nie odezwała się ani słowem. Po raz pierwszy poważnie zaczęła się zastanawiać, co by to mogło oznaczać. Nowe życie. Nowe cele. Szanse na zrobienie czegoś konkretnego, zostawienie po sobie śladu. Prawdziwe osiągnięcia, poczucie prawdziwej władzy, prawdziwy sukces. Teraz już wystarczająco dobrze znała polityków, żeby wiedzieć, jakie ma szanse. Chad Lawrence szepnął:

– Popelniamy błąd. Naciskamy cię, popędzamy. Pomyśl o tym dzień lub dwa. Jeśli nie będziesz do końca przekonana, zadzwoń do mnie, a ja wysonduję Normana Bramptona.

– Co potem?

– Jeśli podejmiesz decyzję, Norman zacznie doradzać członkom swojego komitetu wyborczego, żeby cię przyjęli.

Myślę, że przy twoim talencie do przełamywania wszelkich barier bez problemów przekonasz ich do siebie. Martho, masz ogromne szanse. I dar od Boga.

– Naprawdę uważasz, że Bóg interesuje się polityką? – spytała z niewyraźnym uśmiechem.

– Naturalnie – zapewnił żywo Marcus. – Co więcej, na pewno będziesz Go miała po swojej stronie, skoro twój ojciec jest pastorem i w ogóle. Tak czy inaczej, Chad ma rację. Nie powinniśmy tak bardzo cię naciskać. Jedź do domu i zastanów się. Nie musisz się spieszyć.

– Tak – zgodził się Chad. – Wystarczy nam, jeśli zdecydujesz się do poniedziałku rano.

– Jak sądzisz... powinnam się zgodzić? – W głosie Marthy Ed wyczuł wahanie.

– Taak, sądzę, że tak. Chcesz kawalek? Jest bardzo ostre, uważaj. Siedzieli przy małym stoliku w jadalni Marthy, spoglądali na oświetlony Londyn i jedli tajski posiłek, który przyniosła.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak.

– Ale... przecież nie zdążyliśmy jeszcze tego porządnie przedyskutować.

– Boże! – jęknął, odpychając na bok swój talerz, teatralnym gestem składając ręce jak do modlitwy i patrząc jej prosto w oczy.

– Przepraszam. Masz rację. Zacznijmy od początku. Nie ma o czym dyskutować, Martho. Uważam, że to dobry pomysł, jasne?

– Chyba jasne – odparła.

Była zdezorientowana. Liczyła na wyczerpującą debatę na ten temat, rozważenie ryzyka,

wyliczenie ewentualnych plusów, zastanowienie się, czy sobie poradzi.

– Skoro tak sądzisz...

– Tak sądzę. Chociaż, prawdę mówiąc, uważam, że to nieco nużące.

– Przykro mi – powiedziała, lekko oburzona. – O czym w takim razie chcesz rozmawiać? O sobie?

– To by była przynajmniej jakaś odmiana – przyznał. Spojrzała na niego.

– Jesteś niesprawiedliwy!

– Nie masz racji. Nie widziałem cię prawie od dwóch tygodni i ile czasu potrzebowaliśmy, żeby zacząć mówić o tobie? Około sześćdziesięciu sekund. Opowiedziałaś mi o pieprzonym przyjęciu, o tym, jak było cudownie, chociaż musiałaś wyjść wcześniej, żeby się ze mną spotkać. Potem na chwilę przypomniałaś sobie, że warto uprzejmie mnie spytać, co porabiałem. Po chwili znów wróciliśmy do ciebie i tego, co sądzę o układzie z Chadem, czy jak on tam ma na imię, czy powinnaś to robić, i tak dalej. Wiesz, czuję w kościach, że nigdy się nie zgodzisz. Musiałabyś znaleźć czas. Poświęcić tej sprawie odrobinę swojej cennej energii, zakłócić nienaruszalną rutynę. Powinnaś zacząć trochę myśleć o czymś innym, nie tylko o sobie, Martho. To mogłoby być dla ciebie dość interesujące.

Czuła się tak, jakby wymierzył jej policzek.

– Powiem ci, o co mi chodzi. Spójrz na nas, jemy... pieprzony, ładny i porządny posiłek przy wyłączonym telewizorze, bo nie lubisz jeść przy włączonym, chociaż ja uwielbiam, i dziobiesz w jedzeniu jak koliberek. Wszystko masz tak cholernie uporządkowane! Gdybyś zaczęła się opychać i mówić z pełnymi ustami, być może wciąż siedziałbym i rozmawiał o twojej przyszłości. Wiesz, ja też mam swoje życie – dodał – i swoje problemy.

– Na przykład? – spytała.

Była kompletnie zaszokowana; nigdy tak nie mówił.

– Och... nieważne.

– Nie, nie, powiedz mi, proszę.

– Posłuchaj, Martho – burknął – może chętnie porozmawiam na ten temat innym razem. W tej chwili nie mam na to ochoty. W porządku? Teraz zjedz coś, na litość boską! Prawdę mówiąc, chyba lepiej już sobie pójść. Jutro czeka mnie ciężki dzień. Nie jesteś jedyną osobą, która pracuje po godzinach.

Wstał, wziął kurtkę z sofy, pochylił się i pocałował Marthę.

– Cześć. Zobaczymy się wkrótce.

Strzelił drzwiami i wyszedł. Martha wyglądała przez okno, nie bardzo wiedząc, co czuje, jedynie powoli i bardzo ostrożnie – jakby nadal jadła swój tajski posiłek – po kolei przyglądała się jego słowom, ustawiała je w eleganckie rzędkie i próbowała przetrwać.

– Jesteśmy na miejscu... – Jilly podjechała pod dom. Padał deszcz.

– Weź jedzenie, kochanie, a ja pójść przodem i otworzę drzwi. Tylko uważaj, bo ścieżka jest bardzo śliska.

Kate patrzyła, jak babcia wędruje dróżką na wysokich obcasach. Słyszała, że gdy zdarza się jakieś nieszczęście, to wydaje się, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie, ale nigdy w to nie wierzyła. Tymczasem właśnie zobaczyła, że Jilly obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy wnuczka idzie za nią, a potem bardzo, bardzo powoli i z ogromną gracją obróciła się, jakby wykonywała piruet. Wtedy nogi jej się rozjechały, spódniczka podfrunęła do góry, a po chwili zsunęła się w dół i otuliła starszą panią, która upadła – równie powoli – na ziemię. Potem leżała w całkowitym bezruchu. Jocasta włączyła komórkę i uśmiechnęła się do Josha.

– Przepraszam.

Nie była całkiem pewna, co czuje. Wyrzuty sumienia? Trochę. Niepokój? Przypuszczalnie tak. Co jeszcze? No cóż, wiesz dobrze, co jeszcze, Jocasto? – pomyślała. – Jesteś podekscytowana. Bardzo, bardzo podekscytowana.

Jadła kolację z Joshem: nieco przygaszonym Joshem, bo były jego urodziny, dlatego uznała, że nie może zostawić go samego. Nick nie chciał przyjść; był wściekły, gdy w końcu zdołała mu wytłumaczyć swoje zniknięcie poprzedniego wieczoru.

– Byłoby miło, gdybyś naprawdę postarała się ze mną skontaktować. Bardzo się o ciebie martwiłem, Jocasto. Powiedziała mu, że nie potrafi zliczyć, ile razy on nie skontaktował się z nią w podobnych okolicznościach. Wtedy odparł, że w porządku, to całkiem sprawiedliwe, więc nie wracajmy więcej do sprawy. Mimo to nie miał ochoty na kolację z Joshem.

– Josh jest taki samotny, Nick.

– Możliwe. Głupi palant. Tylko czy to jego trzecie urodziny? Albo czwarte? Tak czy inaczej, mam przeprowadzić wywiad z IDS-em, który koniecznie chce skomentować najświeższe wydarzenia i zdradzić, jak widzi swoją przyszłość. Tekst pójdzie w niedzielnym wydaniu.

– Świetnie. Doskonale. Nie martw się o mnie.

– Odezwę się rano.

– Jak sądzisz, co będziemy robić jutro? Przeczytamy twój artykuł? Potem wszystkie inne? Na koniec wrócimy do twojego i zastanowimy się wspólnie, o ile jest lepszy od pozostałych?

– Och, Jocasto, nie bądź dziecinna. Zadzwoń do ciebie rano. Umówiłem się na lunch z Davidem Ovenem, ale oprócz tego jestem wolny.

– O kurczę! – jęknęła. – To nawet brzmi obiecująco... może uda się wykraść niedzielny wieczór, pod warunkiem, że wcześniej skończysz pisać artykuł. Nie wysilaj się, Nick!

Rozłączyła się, mając świadomość, że to ona zaczęła kłótnię, i wiedząc doskonale dlaczego. Miała talent do rozpoczynania kłótni. Tak przynajmniej twierdził Nick.

Potem zaczęła się zastanawiać, co czuje.

Górze wzięła ciekawość. Dzwonił Gideon Keeble. Pytał, czy może zaprosić ją i Nicka na następny dzień na lunch.

– Nick jest zajęty – oznajmiła, czując podniecenie. – Więc...

– Więc... – powtórzył, po czym zapadła długa cisza. – A ty? Jeśli jesteś gotowa zaryzykować nudną niedzielę ze starszym panem, gorąco zapraszam. Decyzja należy do ciebie.

- Bardzo chętnie – powiedziała. – Dziękuję.
- Świetnie. Przyjadę po ciebie o... której? Wpół do dwunastej?
- Doskonale. Będę gotowa. Cześć, Gideonie.

Prawdę mówiąc, kiedy przesuwiała po talerzu kałamarnicę, miała wyrzuty sumienia, bardzo poważne wyrzuty sumienia...

- Proszę natychmiast wyłączyć komórkę! – W poczekalni zadudnił znużony, szorstki głos.
- Chcę tylko zadzwonić do mamy. Moja babcia jest... Wskazała na kabinę, w której leżała Jilly.

– Możesz skorzystać z dostępnego dla wszystkich automatu telefonicznego. Komórki zakłócają pracę szpitalnych urządzeń. Widzisz, tu jest kartka.

- Gdzie w takim razie znajdę automat?
- Przy głównym wejściu.

– Taak, wiem, ale on nie działa. Co teraz mi pani proponuje? W stronę Kate odwróciły się twarze wszystkich ludzi, którzy wypełniali po brzegi poczekalnię oddziału nagłych wypadków. Były tam blade młode pary z niemowlętami, płaczące dzieci, jedno bez przerwy wymiotujące do plastikowego pudełka na kanapki, pijak z krwawiącą raną na głowie, kilku zdrowo podchmielonych panów podpierających ściany, bardzo młoda Azjatka w zaawansowanej ciąży, trzymająca rękę męża, przynajmniej trzy starsze pary, dwóch mężczyzn w średnim wieku, jeden z niezgrabnie zabandażowaną nogą. Smutna fala żalu, bólu i złości obmyła niegościnnie brzeg, czekając w pełnej napięcia ciszy. Wszyscy z przyjemnością witali urozmaicenie, jakim była drobna sprzeczką.

– Nie musisz być wobec mnie arogancka – warknęła kobieta zza biurka.

– Nie jestem wobec pani arogancka. Spytałam tylko, co mi pani proponuje. Ponieważ poprzednia sugestia była całkiem bezużyteczna.

Z powodu smutku i strachu Kate z minuty na minutę czuła się coraz gorzej: liczyła na to, że personel szpitala doda otuchy chorej Jilly, poświęci jej nieco czasu, szybko położy ją w ciepłym szpitalnym łóżku, a lekarze, jak przystało na fachowców, bez problemu ukoją jej ból. Tymczasem chora najpierw przez czterdzieści minut czekała na przyjazd karetki, a teraz od dwóch godzin leżała na wózku w kabinie w oczekiwaniu na prześwietlenie, a jej stan ani trochę się nie poprawiał. Doktor, który ją zbadał, powiedział, że może mieć złamaną kość biodrową albo pękniętą miednicę; nie mógł jednak nic zrobić bez zdjęcia rentgenowskiego.

Starsza pani wciąż leżała w przemoczonym ubraniu i trzęsła się z zimna, chociaż pielęgniarka trzykrotnie obiecała, że się nią zajmie.

O pierwszej w nocy w końcu zabrano Jilly na prześwietlenie; miała pękniętą miednicę, ale biodro było całe.

– Nie trzeba jej operować – oznajmił doktor, ściągnięty z powrotem do kabiny. – Miednica sama się zrośnie, jeśli da jej się nieco czasu. Ponieważ jednak ma wstrząśnienie mózgu i nie jest już wcale taka młoda, położymy ją na oddziale, zostawimy na noc i damy coś przeciwbólowego.

– Jest potwornie zmarznięta – wtrąciła Kate. – Przez cały czas się trzęsie.

– To szok – wyjaśnił.

Stojąca obok pielęgniarka przytaknęła. W chwili kiedy przyszedł lekarz, od razu w pobliżu Jilly pojawiło się kilka pielęgniarek, których wcześniej jakoś dziwnie nigdzie nie było widać. Nawet zdjęły z chorej mokre ubranie. Lekarz poklepał protekcjonalnie koc, pod którym leżała Jilly.

– Biedna staruszka. Jak masz na imię... Jillian? Wkrótce cię porządnie otulą, Jillian.

– Nazywam się Bradford – powiedziała Jilly nagle dziwnie spokojnym głosem. – I bardzo proszę, żeby zwracano się do mnie per „pani”.

Lekarz i pielęgniarka wymienili spojrzenia.

Helen i Jim przyjechali o drugiej w nocy; po wizycie lekarza Kate w końcu wyszła na zewnątrz i zadzwoniła do rodziców.

– Gdzie ona jest? – spytała Helen. – Znalezione dla niej jakieś łóżko?

– Nie – odparła Kate – babcia wciąż leży na wózku. Oni tu są naprawdę beznadziejni. Potwornie się trzęsła, póki nie kazałam pielęgniarkom, żeby przyniosły jej jakiś koc. Nie dostała niczego oprócz filiżanki herbaty, którą kupiłam. Żadnych środków przeciwbólowych, niczego. Głupie palanty! – dodała głośno.

– Kate, kochanie, nie mów tak – ostrzegła Helen. – Hm... jak pani sądzi, czy mogę zobaczyć się ze swoją matką? – spytała nieśmiało kobietę siedzącą za biurkiem.

– Lepiej o nic nie pytaj – rzekła Kate. – Oni potrafią mówić tylko „nie”.

Starsza, bezzębna kobieta głośno zacmokała.

– Ona ma rację – powiedziała do Helen. – Ta dziewczyna ma więcej odwagi niż my wszyscy razem wzięci. Powinna pani być z niej dumna.

Helen uśmiechnęła się nerwowo i powędrowała za Kate do kabiny Jilly.

Kate obudziła się przerażona; trzymała głowę na kolanach matki, która również spała, oparta o ramię Jima. Dziewczyna zerknęła na zegarek; było wpół do siódmej.

Wstała i podeszła do kabiny; proszę, proszę, niech babci tu już nie będzie.

Była. Nie spała i miała gorączkę.

– Kate! Myślałam, że poszliście do domu.

– Jesteśmy tutaj. Och, babciu, tak mi przykro! Jak się czujesz?

– Boli mnie – powiedziała Jilly – potwornie mnie boli. Czy możesz poprosić pielęgniarki o jakieś następne środki przeciwbólowe? Dłużej nie wytrzymam. I czy mogłabyś, kochanie, przynieść mi jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Do dziesiątej wciąż nie znaleziono łóżka. Kate usiadła w poczekalni i zaczęła obgryzać paznokcie. Nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Była wyczerpana: jak, do diabła, musi się czuć jej babcia?! Dziewczyna krążyła po pomieszczeniu z założonymi rękami, robiąc wszystko, by nie zacząć krzyczeć. Matka stała niespokojnie przy kabinie, ojciec wyszedł, żeby, jak to powiedział, trochę się przewietrzyć. Nie cierpiał szpitali. Ktoś zostawił gazetę, nastolatka niemal

bezwiednie wzięła ją do ręki. To był „Sketch”. W środku znalazła duży artykuł o starszej pani, która przez dwanaście godzin leżała na wózku bez wody i jedzenia, aż w końcu zmarła. „To hańba – napisano – że takie rzeczy zdarzają się w kraju, który niegdyś przodował w państwowej służbie zdrowia”. Córka starszej pani powiedziała, że pozwie do sądu szpital, lekarza i państwową służbę zdrowia. Przynajmniej miała trochę odwagi – pomyślała Kate – nie siedziała i nie powtarzała: „Tak, panie doktorze, nie, panie doktorze”. Boże, to okropne! Co zrobić? Kto mógłby jej pomóc? Nagle przypomniała sobie miłą panią doktor, która kiedyś przyszła do sklepu babci. Ona na pewno będzie mogła coś zrobić. Dziewczyna weszła do kabiny; Jilly niespokojnie drzemała.

– Babciu?

– Tak?

Od razu się obudziła.

– Jak nazywa się twoja pani doktor? Ta, która wtedy przyszła do sklepu?

– Doktor Scott. To naprawdę miła dziewczyna.

– Masz jej numer? Chciałabym do niej zadzwonić. Zapytać, czy może pomóc.

– Poszukaj w moim notesie. W torebce. – Nagle głos jej się załamał. – Nic z tego, kochanie, przecież nie przyjedzie tu w niedzielę. Poza tym co może zrobić? Kate wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, sądzę jednak, że warto spróbować. Wyszła przed szpital i wybrała numer przychodni...

Rozdział Dwunasty

Decyzję podjęła we wczesnych godzinach rannych. Zadzwoiła do Chada i powiedziała, że się zgadza. Spróbuje. Przyłączy się do nich, na razie na krótko, zobaczy, co z tego wyniknie, i postara się ocenić, jakie ma szanse. Weźmie tygodniowy urlop – gdy już zostanie przedstawiona swoim wyborcom – i naprawdę się postara.

– Na razie obiecuję tylko – zastrzegła – że pojedę z tobą do Binsmow, porozmawiam z wyborcami i Normanem Bramptonem. Dobrze?

– W porządku, Martho. Bardzo się cieszę. Wiem, że nam się uda. Jestem o tym całkowicie przekonany.

Chad zaprosił Jacka Kirklanda i Janet Frean na roboczy lunch do swojego mieszkania w Londynie, żeby omówić plany na najbliższą przyszłość. Powiedział im, że wkrótce przestaną przynajmniej miał taką nadzieję – zajmować pierwsze strony gazet i znów wrócą do roli normalnych polityków. Wyborcy byli zmęczeni znakomitościami z pierwszych stron gazet; chcieli, żeby krajem kierowali rozsądni, dojrzały ludzie.

Namówili do przejścia na swoją stronę tylu parlamentarzystów, ilu się dało, opracowali listy możliwych i prawdopodobnych zwolenników, a także osób, co do których nie było żadnej nadziei. Porównali obie listy, ocenili ewentualne szanse, rozdzielili między siebie po kilku i zaczęli od możliwych. Trzeba też było znaleźć radnych na szczeblu lokalnym. Mieli kilka osób, ale do majowych wyborów zostało niewiele ponad dwa tygodnie, co znacznie ograniczało możliwości.

Było ciężko, ale kilku polityków, którzy dali się przekonać, znalazło się w nagłówkach gazet i pociągnęło za sobą innych. Jednocześnie kierownictwo Centru Forward opracowywało program przemówień, które miały być wygłaszane na terenie całego kraju. Kirkland miał się zająć południową częścią Anglii i Londynem, Janet – środkową, a Chad – północną.

– W sobotę wrócę na południe – powiedział Chad – i wyruszę na podbój wschodniej Anglii, zaczynając od Binsmow w Suffolku, z naszą śliczną przyszłą kandydatką, i zobaczymy, co uda nam się zrobić. Lepiej będzie, jeśli pojedę tam osobiście, i to z kilku powodów, między innymi dlatego, że już kilkakrotnie rozmawiałem z Normanem Bramptonem.

– Kto jest tą śliczną, przyszłą kandydatką?

– Martha Hartley.

– Dobry Boże! – Jack Kirkland założył, że Martha odmówiła. – Może naprawdę przestała kochać prawo.

– Niewykluczone. Albo uważa, że to jej się bardziej spodoba – wyjaśnił Chad.

– Może fascynują ją gwiazdy ekranu – podsunęła inny pomysł Janet. – Nikt nie wie, jak ciężko harujemy, póki sam nie zacznie tego robić.

Zgodzili się, że prawdopodobnie zdecydowały jednocześnie wszystkie wymienione czynniki.

Clio przyjechała tuż po drugiej.

– Przepraszam, że tak długo kazałam na siebie czekać – powiedziała, wbiegając na oddział nagłych wypadków. – Dziś rano dosłownie urywały się telefony. To ty, Kate, prawda?

– Tak – przytaknęła.

Clio zauważyła, że nastolatka wygląda na skrajnie wyczerpaną: miała podkrążone, zmęczone oczy i wymięte ubranie.

– Jak się czuje babcia? I gdzie jest?

– Na czymś, co nazywają tu OIOM-em – odparła Kate i wybuchnęła płaczem.

– O nie! Posłuchaj, pójdę i wszystkiego się dowiem... Och, dzień dobry. Pewnie jest pani mamą Kate.

– Tak. Bardzo się cieszę, że pani przyjechała, pani doktor. – W głosie Helen słychać było zmęczenie. – Potrzebujemy pomocy.

Moją matkę przed chwilą niespodziewanie i w wyjątkowo szybkim tempie zabrano na OIOM, a potem Kate nakrzyczała na pielęgniarkę.

– Proszę się tym nie przejmować – powiedziała Clio. – Są do tego przyzwyczajone. Dlaczego zabrano ją na OIOM?

– Wspomnieli coś o jakimś zakrzepie. Bardzo bolały ją nogi, ale nie chciała się skarżyć, a potem nagle poczuła potworny ucisk w piersi. O Boże, to jakiś koszmar!

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć – obiecała Clio, poklepując Helen po dłoni. – Proszę się nie martwić.

Dzięki natarczywym pytaniom skierowanym do lekarza dyżurnego Clio dowiedziała się, że Jilly ma nie tylko zakrzepkę żył głębokich – być może spowodowaną długim leżeniem na wózku – ale, co gorsza, zakrzep przesunął się i spowodował zator płucny. Pani doktor wróciła do Helen i Kate, by jak najdelikatniej przekazać im wiadomość.

– Wiem, że to może was bardzo martwić, ale Jilly ma teraz dobrą opiekę, a lekarz będzie informował was na bieżąco. Obiecał, że zejdzie do państwa, gdy tylko będzie wiedział coś więcej. Obawiam się, że nie wpuszczą mnie do chorej, ale zasadniczo czuje się ona już lepiej i powinno być wszystko dobrze. To naprawdę... wspaniała kobieta – dodała. – Inteligentna, interesująca. Bardzo podoba mi się jej sklep.

Gdy Clio wychodziła, Kate rozmawiała z jakimś młodym mężczyzną, który pojawił się na oddziale nagłych wypadków, chociaż wcale nie był pacjentem. Może przyszedł kogoś odebrać.

Wyraźnie Kate wpadła mu w oko; nic dziwnego – była bardzo atrakcyjna, chociaż miała brudną twarz. Jest do kogoś bardzo podobna? Tylko do kogo?

Clio przypomniała sobie, jak wyglądała, gdy miała szesnaście lat: była pulchna, nijaka, kompletnie pozbawiona pewności siebie.

Nigdy by nie zrobiła tego, co Kate, która nie bała się walczyć z biurokacją i kwestionować autorytety. Boże, Clio nie zrobiłaby tego nawet teraz; przecież wciąż nie umie przeciwstawić się mężowi.

– Przypominasz mi moją matkę – powiedział Gideon Keeble. – Była wielką miłością mojego życia – dodał z uśmiechem. – Przypuszczalnie nie uznasz tego za komplement, ale pokochałabyś ją, a ona pokochałaby ciebie.

– Kiedy... kiedy zmarła?

– Pięć i pół roku temu. Miała prawie dziewięćdziesiąt lat.

– Dziewięćdziesiąt?!

Musiała być bardzo stara. Za stara, żeby być matką Gideona. Czytał w jej myślach.

– Byłem jej ostatnim, za to ukochanym dzieckiem. Urodziłem się, kiedy przekroczyła już czterdziestkę. Pozwól, że cię wybawię z kłopotu. Mam pięćdziesiąt jeden lat. Nie jestem aż takim matuzalemem.

– Mówiłam ci, Gideonie, że dla mnie twój wiek nie ma żadnego znaczenia.

Wcale nie kłamała. Kiedy uśmiechał się i ani na chwilę nie odrywał od niej swoich niebieskich oczu, wydawał się bardzo atrakcyjnym mężczyzną w bliżej nieokreślonym wieku.

– A... w czym przypominam ci twoją matkę?

– Hm... była mądra. I twarda.

– Skąd wiesz, że taka właśnie jestem?

– Gdybyś nie była, nie wykonywałabyś pracy, którą wykonujesz, ale jesteś też czarująca. Na dodatek uczuciowa.

– A skąd wiesz, że jestem uczuciowa?

– Och... intuicja – wyjaśnił i było to jedno z najbardziej erotycznych wyznań, jakie usłyszała z jego ust. – A teraz powiedz mi – zmienił temat – o czym chciałabyś porozmawiać.

– O tobie – odparła. – Proszę, powiedz mi coś o sobie. Oczywiście, sporo już wiedziała: że dzieciństwo spędził w biedzie, a potem dorobił się fortuny, którą teraz liczy się w bilionach, że zaczął jako goniec, później był sprzedawcą w małym sklepie z odzieżą męską w Dublinie, a w końcu został właścicielem międzynarodowej sieci handlowej. Miał za sobą tytaniczne walki o przejęcie kontroli nad przedsiębiorstwami, głośnie fuzje i umowy. Do niego należały sklepy z modną odzieżą w Europie, Ameryce i Australii, duże hurtownie mebli w centrach handlowych na obrzeżach wielkich miast i sieć sklepów z artykułami dekoracyjnymi do domu. Ostatnio zainwestował w hotele, „niewielkie, eleganckie hoteliki, o których na pewno słyszałaś”, sklepy spożywcze i delikatesy z – jak to określił – „mądrym jedzeniem”, a także międzynarodową sieć sklepów z kawą. Znaczną część bogactwa zawdzięczał handlowi nieruchomościami i sklepom przy kilku z najbardziej znanych ulic świata.

Naturalnie, po drodze nie obeszło się bez ofiar: trzech małżeństw i o mały włos jego samego. Pięć lat temu Gideon przeszedł rozległy zawał serca, z którego ledwo go odratowano, ale za nic w świecie nie miał zamiaru stosować się do zaleceń lekarzy i zacząć spokojniej żyć.

– Spokojne życie to nie dla mnie.

Obecnie pracował tak samo ciężko jak zawsze, tyle że bardziej dbał o siebie.

– Nie palę, prawie nie piję. Codziennie pływam i pokonuję trzy kilometry, co jest potwornie

nudnym zajęciem, ale to mnie nie zniechęca.

– Kiedy to robisz?

– W swoim domu w Londynie mam niewielki basen, w którym można pływać pod wytwarzany sztucznie prąd i w którym jest zamontowane urządzenie do pomiaru przepłyniętego dystansu. Na wsi korzystam z większego basenu. Nie ma w nim żadnych udogodnień, ale spełnia swoje zadanie. W Irlandii pływam w jeziorze, chyba że jest okropna pogoda.

– O mój Boże! – westchnęła Jocasta.

– Tak, często sam się do Niego odwołuję, zwłaszcza gdy zanurzam się w lodowatej wodzie, ale jak już człowiek zacznie się ruszać, jest cudownie. Muszę cię tam zabrać, żebyś mogła zakosztować tej przyjemności.

Gdy przyjechała do domu, kręciło jej się w głowie, nie po winie, bo wypłała go bardzo niewiele, ale po rozmowie z Gideonem. Prawie w ogóle jej nie dotykał, jedynie pocałował ją na powitanie, gdy po nią podjechał, i po raz drugi, kiedy się rozstawali, ale Jocasta była nim oczarowana. Najbardziej podniecało ją to, że znajduje się w towarzystwie kogoś tak znanego i wpływowego, nie bez znaczenia pozostawało jednak, iż uważał ją za interesującą i godną pożądaną. Dzięki temu uspokoiła się i rozluźniła, a postawa Nicka nie sprawiała tyle bólu.

– Było cudownie – powiedział, uśmiechając się do niej. – Nie pamiętam, kiedy tak miło spędziłem dzień. Masz ochotę na powtórkę? No, może nie byłaby to dokładna powtórką, ale... na pewno uda nam się wymyślić coś podobnego.

– Tak – odparła bez zastanowienia – bardzo bym chciała. Naprawdę.

– W takim razie porozmawiaj z Nickiem – zaproponował. – Jak to zrobisz, daj mi znać.

– Pani doktor Scott? Mówi Kate.

– Cześć, Kate.

Clio spojrzała w przeciwny róg pokoju, w miejsce, gdzie siedział Jeremy. Był całkowicie pogrążony w części motoryzacyjnej „Sunday Telegraph”.

– Coś nowego?

– Prawdę mówiąc, nie. Jak się okazało, ten zakrzep to bardzo poważna sprawa. Babcia jest naprawdę chora, a oni nie pozwalają mi się z nią zobaczyć. Mówią, że mama może, aleja nie. Jak pani sądzi, dlaczego?

– Nie wiem, Kate. Przypuszczam, że podano jej środki uspokajające i lekarze uważają, iż nie powinno jej odwiedzać zbyt dużo osób. Kiedy twoja babcia poczuje się lepiej, na pewno cię wpuszczą.

– W porządku – powiedziała dziewczyna jak dziecko bliskie łez.

– Posłuchaj.

Clio ponownie zerknęła na Jeremy’ego; machał jej ręką i stukał w zegarek.

– Posłuchaj, muszę już kończyć, przepraszam. Daj mi znać, jak babcia się czuje. Jeśli nadal będziesz się bardzo martwić, spróbuję znów przyjechać i zdobyć najświeższe informacje, dobrze?

– Zgoda. Dziękuję. Do widzenia.

W słuchawce stuknęło; nastolatka się rozłączyła. Clio doszła do wniosku, że zawiodła Kate – powinna zaproponować, że przyjedzie, tyle że, prawdę mówiąc, nic nie mogła zrobić. Poza tym jak, do diabła, miałaby to wytłumaczyć Jeremy’emu? Chociaż, z drugiej strony, nic nie musiałaby mu mówić, przynajmniej na razie, bo właśnie został wezwany do Duke of Kenfs Hospital, żeby zoperować jednego ze swoich prywatnych pacjentów, który upadł i złamał biodro. Clio modliła się, aby nikt mu nie wspomniał, że była tam zaledwie kilka godzin temu...

– Jak minął lunch z bilionerem? – spytał Nick pozornie lekkim tonem.

Jocasta poczuła, że ogarnia ją złość.

– Świetnie – odparła chłodno.

– Gdzie byliście?

– W „WatersideInn”.

– No proszę. Chciałbym być bilionerem i móc cię tam zaprosić.

– Prawdę mówiąc, mógłbyś i bez tego.

– Jocasto, nie utrudniaj sprawy. Staram się być miły.

– Przepraszam. Jak David Owen?

– Był czarujący. Chętnie odpowiadał na moje pytania, ale zmieńmy temat. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Jeśli mogę.

– Sama nie wiem...

Jeśli przyjdzie, znów się pokłóca. Była tego pewna. Nick zacznie sypać jak z rękawa najświeższymi plotkami i typowo dziennikarskimi komentarzami. Wolałaby znów znaleźć się w towarzystwie Gideona Keeble’a, słyszeć jego pochlebstwa i zapewnienia, że jest taka zniewalająca...

– No cóż, prawdę mówiąc – ciągnęła, grając na zwłokę – chciałabym...

Odezwała się jej komórka: Jocasta zerknęła na ekran, zastanawiając się, czy dzwoni Gideon, a jeśli tak, co powie Nickowi.

To nie był Gideon, lecz redaktor działu informacyjnego „Sketcha”.

– Zaczekaj, Nick – powiedziała – dzwonią z redakcji. Przepraszam.

– To ty, Jocasto? Kolejna tragedia na wózku. Duke of Kenfs Hospital w Guildfordzie. Na miejscu jest człowiek z agencji informacyjnej i fotoreporter. Spróbuj dotrzeć tam jak najszybciej. Derek Bateson był zadowolony z siebie. Zaledwie od trzech miesięcy pracował na pół etatu jako lokalny korespondent North Surrey News Agency, a to już była jego trzecia wielka sprawa. Oczywiście, dzisiejsza nie mogła się równać ze styczniową, kiedy to zalany krwią pacjent spędził na wózku trzy dni, ale też nie była wcale taka zła, zważywszy, że starsza pani tak poważnie się rozchorowała.

– Derek Bateson? Cześć!

Za jego plecami rozległ się lekko zadyszany głos. Chłopak odwrócił się i ujrzał uśmiechniętą, zdumiewająco piękną dziewczynę, która wyciągała do niego rękę. Była bardzo wysoka, miała kaskadę jasnych włosów, nogi, które wydawały się zaczynać od ramion, i najbardziej błyszczące

błękitne oczy.

– Mam na imię Jocasta – przedstawiła się. – Jestem ze „Sketcha”. Powiedz mi, co się stało.

– No więc tak... starsza pani, Jilly Bradford, wczoraj wieczorem poślizgnęła się i, co normalne w takim przypadku, ma pękniętą miednicę. Najpierw długo razem z wnuczką czekała na karetkę, potem całą noc przeleżała na wózku i nic nie zrobiono, jeśli nie liczyć prześwietlenia. Potem, mniej więcej w porze lunchu, zaczęła ją bardzo boleć noga, a w końcu dostała zatoru płucnego. Jest na oddziale intensywnej opieki medycznej, więc wyraźnie to nie przelewki.

– Biedaczka! Czy są tu... jacyś jej krewni?

– Tak, córka, stosunkowo miła i cicha kobieta, a także wnuczka... żywe srebro. Dziewczyna w nocy chciała ich wszystkich porozrywać na kawałki za to, że nic nie robią, i według starej jędzy, która miała wtedy dyżur, nastolatka przysporzyła im mnóstwo kłopotów.

– Zuch dziewczyna. Powiedz mi... z kim mogę porozmawiać?

– Na twoim miejscu zacząłbym od niej, ale matka zabrała ją do domu babci, żeby mogły wziąć prysznic. Na razie nie wpuszczają ich do starszej pani.

– Mam nadzieję, że dziewczyna szybko wróci. Co na to lekarz dyżurny?

– Jest tam, ale to nie on miał nocny dyżur.

– Porozmawiam z nim. Dzięki, Dereku. Czy jest tu gdzieś twój fotograf? Na wypadek, gdybym go potrzebowała?

– Siedzi w pubie, ale możemy go ściągnąć w każdej chwili.

– Świetnie.

Boże, ależ ona jest fantastyczna! Może później zgodzi się pójść z nim gdzieś na drinka?

– Proszę mi powiedzieć... gdzie jest teraz pani Bradford?

– Na OIOM-ie.

Lekarz spojrzał chłodno na Jocastę. Był chudy jak szczapa, miał duże, szczupłe dłonie, długie, kościsty nos i kilka plamek na brodzie.

– Chyba nie ma pani zamiaru przeprowadzać tam z nią wywiadu – burknął, nie kryjąc ironii.

– Bardzo bym chciała. – Uśmiechnęła się do niego. – Chociaż zdaję sobie sprawę, że na razie to niewykonalne. Może później.

– Zapewniam panią, że się pani z nianie zobaczy, ani wcześniej, ani później.

– Myślę, że wszystko będzie zależało od niej, nie sądzi pan, panie doktorze? Kto był w nocy na dyżurze?

– Nie muszę odpowiadać na pani pytanie.

– Oczywiście. W takim razie pięknie dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

Rozejrzała się dookoła: w jednej z kabin jakaś młoda dziewczyna słała łóżko. Wyglądała obiecująco. Jocasta odczekała, aż lekarz zniknie w następnej kabinie, potem podeszła do pielęgniarki. Była wyjątkowo rozmowna. Tak, panią Bradford przywieziono koło dziewiątej wieczorem.

– Biedaczka. Była z wnuczką. Wszystko ją bolało i była przemoczona do suchej nitki. Dość

szybko została zbadana przez lekarza, a potem wysłano ją na prześwietlenie. Z pewnością nikt nie zostawił jej na pastwę losu.

– Rozumiem. Musi wam być bardzo ciężko, zwłaszcza w sobotnie wieczory i noce. Jak przypuszczam, pojawia się mnóstwo pijaków, i nie tylko. Na dodatek nikt wam za nic nie dziękuje. Co było potem, po wizycie lekarza?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Byłam wtedy wyjątkowo zajęta. Przywieziono dziewczynę z poronieniem, okropna sprawa. Wszyscy mieliśmy pełne ręce roboty. W godzinach porannych skończyłam dyżur. Najwyraźniej wnuczka starszej pani zadzwoniła po lekarzkę pierwszego kontaktu, bo rano przyjechała sprawdzić, czy może w czymś pomóc. To trochę tak, jakby ktoś wpuścił kota między gołębie. Wszyscy byli źli i na pewno świetnie rozumie pani dlaczego.

– Oczywiście, chociaż miło z jej strony, że przyjechała. Zna pani jej nazwisko?

– Kogo? Lekarki pierwszego kontaktu? Niestety, nie, ale poszła do rentgena, więc może tam ją znają.

– Dziękuję ci... – Jocasta zerknęła na plakietkę pielęgniarki. – Dziękuję ci, Sue. Byłaś bardzo miła.

Jocasta już dawno temu się przekonała, że można wejść wszędzie tam, gdzie nie ma wejścia dla osób postronnych, pod warunkiem, że człowiek porusza się szybko i zdecydowanie, uśmiecha się do każdej mijanej osoby i niesie pod pachą teczkę z papierami. Zdjęła żakiet, zwędziła z kozetki brązową teczkę (wcześniej opróżniając ją z papierów, na wypadek gdyby były – dosłownie – na wagę życia i śmierci), włożyła do niej numer „Sunday Timesa” i powędrowała przed siebie, kierując się znakami, które poprowadziły ją prosto do rentgena.

Część, w której znajdował się rentgen, wyglądała jak żywcem wzięta z filmu dokumentalnego o rozpaczliwej sytuacji w państwowej służbie zdrowia. Na obskurnym, słabo oświetlonym korytarzu siedziało kilka zdenerwowanych i zniecierpliwionych osób.

Jocasta podeszła do biurka.

– Cześć. Potrzebuję pomocy. W nocy przywieziono tu panią Bradford, tę, która ma pękniętą miednicę. Była z nią jej lekarka pierwszego kontaktu. Chciałabym wiedzieć, jak ona się nazywa.

Kobieta sprawiała wrażenie śmiertelnie znudzonej – bezmyślnie przerzucała papiery.

– Dla kogo te informacje? Dla administracji?

– Tak.

– Pani Jillian Bradford. Wpisano tu, że jej lekarzem jest doktor Scott.

– Ma pani jej numer?

– Tylko do przychodni. W Guildfordzie. – Spojrzała na Jocastę. – Myślałam, że jest pani z administracji. Oni tam mają przecież wszystkie numery.

– Wiem, ale są zamknięci. Po prostu pracuję po godzinach i próbuję nadrobić zaległości.

– Och, rozumiem. O, mam, Guildford 78640. – Ponownie uważnie przyjrzała się Jocaście. – Nie jest pani z prasy, prawda?

– Chciałabym. Wtedy może moje życie byłoby trochę bardziej ekscytujące.

– Zabroniono nam rozmawiać z prasą. Rozkaz z góry. W związku z panią Bradford.
– Naprawdę. Dlaczego?
– Najwyraźniej coś poszło nie tak, jak powinno. Zostawili ją za długo na wózku i zrobił jej się zakrzep w nodze... Dziś rano pojawiła się tu ponownie, tym razem na USG żył.
– Czy widziała ją pani?
– Sama nie wiem... ta część dnia rozmyła się w jedną plamę. Jeden pacjent jest taki podobny do drugiego...

Gdy Jocasta wróciła na oddział nagłych wypadków, Derek Bateson wciąż tam był.

– Czy wnuczka pani Bradford już wróciła?
– Jeszcze nie, ale mam numer jej komórki. Chcesz?
– Bardzo proszę.

Cholerny cymbał! Nie mógł jej od razu powiedzieć?

Oszczędziłyby sobie nonsensownej wyprawy do rentgena.

Chociaż, z drugiej strony, dzięki temu będzie miała co zacytować.

– Halo? Kto mówi? Głos był młody, nieufny.

– Dzień dobry. Przypuszczam, że to ty, Kate. Nazywam się Jocasta Forbes, jestem ze „Sketcha”. Tak mi przykro z powodu twojej babci...

– Czy wiadomo coś nowego na jej temat?

– Na razie nie. Chciałabym pogadać z jej lekarką, tą, która dziś tu była. Derek, dziennikarz, który z tobą rozmawiał, twierdzi, że masz jej numer.

– Tak, mam, ale... O co chodzi, mamo, na litość boską? To ktoś z prasy...

Po chwili przerwy powiedziała ze złością:

– Mama chce z panią rozmawiać.

Ze słuchawki dobiegł miły, wyraźnie zmartwiony głos.

– Halo? Proszę posłuchać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolelibyśmy nie mieć nic wspólnego z prasą. Przepraszam.

– Rozumiem. Domyślałam się, co czujecie. Tak mi przykro z powodu pani matki.

– Tak, to naprawdę okropny dzień. Właśnie wracamy do szpitala.

– Rozumiem. Nie mam zamiaru dłużej pani niepokoić, zależy mi tylko...

– Przepraszam – powiedziała Helen. – Wolałabym z panią nie rozmawiać.

Clio oglądała jakiś program przyrodniczy, gdy zadzwonił telefon.

– Halo, słucham?

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z doktor Scott?

– Taak.

– Dzień dobry, pani doktor. Najmocniej przepraszam, że dzwonię do pani do domu. Nazywam się Jocasta Forbes. Piszę dla „Sketcha”...

W takich chwilach Clio zazwyczaj odnosiła wrażenie, że ziemia drży.

– Jocasta? – powtórzyła po chwili, słysząc własny, dziwnie drżący głos. – Jocasta Forbes?

– Tak. Dlaczego pani pyta?

– O mój Boże! – jęknęła Clio i gwałtownie opadła na fotel. – Nie mogę uwierzyć, Jocasto. Udało ci się, zrobiłaś to, co obiecałaś!

– Najmocniej przepraszam, czy... czy myśmy się kiedyś spotkały?

– Tak, Jocasto. Jestem Clio. Clio Scott. To znaczy... obecnie Clio Graves. Pamiętasz Tajlandię, osiemnaście lat temu? Jakie to zdumiewające! Naprawdę zdumiewające!

– Clio! O mój Boże! Jak się miewasz? Tak się cieszę...

– Ja też. Boże, wciąż nie mogę uwierzyć! Dlaczego dzwonisz właśnie teraz? I skąd masz mój numer?

– Piszę artykuł o twojej pacjentce, pani Bradford.

– Artykuł?! Dlaczego?

– Z tego, co wiem, zbyt długo leżała na wózku i teraz jest ciężko chora. Musiano ją przewieźć na OIOM. Pisma brukowe uwielbiają takie historie. Byłam w szpitalu, ale jej wnuczka...

– Kate Tarrant?

– Tak. Jeszcze jej nie spotkałam, ale to ona podała mi twój numer. Wspaniała dziewczyna! Nieważne. Och, Clio, tak bardzo chciałabym cię zobaczyć! Dlaczego, do diabła, nie spełniłyśmy naszej obietnicy i nie spotkałyśmy się po powrocie do domu wiele, wiele lat temu? Mogę do ciebie wpaść?

– Hmm... zaczekaj chwileczkę, Jocasto. Właśnie wszedł mój mąż.

– Twój mąż!? O kurczę, to brzmi tak dorośle. Posłuchaj, zadzwoń do mnie za pięć minut. Na numer... masz ołówek? Dobrze...

Jeremy wszedł zmęczony i poirytowany.

– Co za granda! Jakaś kobieta dostała zatoru płucnego, prawdopodobnie dlatego, że zostawiono ją na wózku, więc po szpitalu płaczą się ludzie z prasy. To okropne!

– Jak... jak ona się czuje?

– Boże, Clio, nie wiem. Możemy zjeść zupę?

– Tak, tak, oczywiście. Jest na piecu. Jeremy... bardzo mi przykro, ale muszę wyjść. Do tego dziecka z zapaleniem opon mózgowych... Matka bardzo się martwi, więc już jadę.

– Dobry Boże, będę naprawdę szczęśliwy, gdy ten nonsens się skończy. W porządku. Tylko nie bądź długo, dobrze? Mam za sobą okropną niedzielę.

Clio po cichutku wyszła z domu, odjechała kawałek polną drogą i zadzwoniła do Jocasty.

– Cześć. To ja. Posłuchaj... nie chcę przyjeżdżać do szpitala. Lekarskie konwenanse i tak dalej. Możemy się spotkać w pubie w pobliżu szpitala? Nazywa się „Dog and Fox”. W pomieszczeniu z barem.

– Jasne. Nie mogę się doczekać.

Clio zobaczyła Jocastę od razu, gdy tylko wpadła do pubu. Dziennikarka siedziała przy stoliku przy oknie, paliła papierosa i coś czytała; obok stała butelka wina i dwa kieliszki. Uniosła

głową, a gdy dostrzegła Clio, wstała, odgarnęła do tyłu długie, gęste włosy i podeszła. W tym momencie pani doktor dokładnie wiedziała, kogo przypomina jej Kate Tarrant.

– Niestety, nie ma żadnych nowych wieści. Przełożona pielęgniarek, pani Campbell, uśmiechnęła się do Helen i Kate z udaną cierpliwością.

– Pani matka wciąż leży na oddziale intensywnej opieki medycznej, pod kontrolą najlepszych, najnowocześniejszych urządzeń. Proszę mi uwierzyć, w tej chwili nie ma dla niej lepszego miejsca na ziemi.

– Być może teraz rzeczywiście jest najlepsze – warknęła Kate – ale gdybyście od początku odpowiednio się nią zajęli, nie potrzebowałyby tego wszystkiego.

– Kate! Przepraszam panią – powiedziała Helen błagalnym głosem. – Jest bardzo zdenerwowana.

– Domyślam się.

Spojrzenie pielęgniarki przeraziłoby każdego o nieco mniejszym hartie ducha.

– Myślę, że najlepiej, jeśli pójdziecie do domu i wróćcie jutro rano. Pani matka w tej chwili nie do końca wie, co się wokół niej dzieje, a nawet gdyby wiedziała... nawet gdyby wiedziała, sądzę, że podejście tej młodej damy w niczym by jej nie pomogło. Chora potrzebuje ciszy i spokoju, nie dodatkowych nerwów.

– I ten spokój miała przez cały czas, prawda? – zadrwiła Kate. – Zapewniam panią, że poprzedniej nocy na oddziale nagłych wypadków ani przez moment nie było ciszy ani spokoju. Ludzie wymiotowali, krzyczeli i srali w brudnej ubikacji.

– Kate, proszę! Przestań! Naprawdę panią przepraszam – powtórzyła Helen.

– Proszę się nie przejmować. Zapewniam panią, że jesteśmy przyzwyczajone do hysterii. Teraz naprawdę z całego serca radzę, żebyście wróciły do domu.

– Czy nie mogłybyśmy gdzieś tu zaczekać? – spytała Helen pokornie. – Mieszkamy daleko stąd.

– Owszem, mamy pokój dla krewnych – oznajmiła pielęgniarka. – Na parterze, ale nie będzie paniom w nim zbyt wygodnie.

– Ciekawe, skąd my to wiemy – burknęła Kate. – Chodźmy, mamó.

Helen poszła za Kate korytarzem, zbyt znużona i zaniepokojona, żeby ponownie upomnieć córkę.

– Mogłabym siedzieć tu przez całe wieki – powiedziała Jocasta, gasząc papierosa. – Tymczasem nawet nie zaczęłyśmy rozmawiać o naszej podróży, prawda? Powiedz mi tylko jedno – czy udało ci się zrealizować swój plan? Czy dotarłaś tam, gdzie chciałaś, i tak dalej?

– Nie. Przynajmniej nie do końca. Swoją drogą, ciekawa jestem, co porabia Martha.

– Akurat kilka dni temu ni z tego, ni z owego usłyszałam coś na jej temat. Najwyraźniej bawi się w politykę. No, może na razie z nią sympatyzuje. Z tą nową partią. Mam zamiar spróbować ją znaleźć. Och, kochanie, muszę już iść.

– Co... co masz zamiar... napisać? – spytała Clio.

– Coś, co skłoni czytelników do łez. I mocno przestraszy. Państwowa służba zdrowia znów zawiodła. Następna staruszka pozostawiona na wózku.

– Jocasto, trudno panią Bradford uznać za staruszkę – wtrąciła Clio. – To elegancka pani koło sześćdziesiątki.

– Naprawdę? Boże, chciałabym się z nią spotkać. Jak sądzisz, mogę?

– Jeśli jest na OIOM-ie, na pewno cię tam nie wpuszczą.

– Znasz jej córkę?

– Tak. Jest bardzo miła. Za to wnuczka... – Zawahała się. Wciąż trochę niepokoiło ją podobieństwo między Kate i Jocastą – To twardy orzech do zgryzienia.

– Tak, tyle już mi przekazano. Może uda mi się porozmawiać przynajmniej z nią.

– Może. Tak, to mogłoby być dla ciebie ciekawe przeżycie. Sama też była ciekawa, co z niego wyniknie. Czy Jocasta zauważy podobieństwo między sobą a Kate? Prawdopodobnie nie. W końcu jest tyle różnych wariacji oczu, nosa i ust. Biliony genów, które mogą stworzyć sobowtóra...

Poczuła ucisk w żołądku.

– Jocasto, wiem, że na tym polega twoja praca, ale czy sądzisz, że w ten sposób komuś pomożesz? Pisząc w gazecie o całym wydarzeniu, podając nazwiska tylu miłych ludzi?

– Och, Clio! – Jocasta ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Moim celem nie jest pomaganie komukolwiek, lecz zrobienie dobrze tego, co do mnie należy. Za to mi płacą. Mam nadzieję, że to nie odbije się na naszej przyjaźni i że nie potkniemy się na pierwszym płotku, ale naprawdę, naprawdę muszę o tym napisać.

– Tak, tak, rozumiem. – Nie rozumiała. – Tylko że w ten sposób jedynie pogorszysz sytuację biednej pani Bradford... Zapewniam cię, że wszyscy pracownicy szpitala będą wściekli. Poza tym... mój mąż mnie zabije, jeśli przy okazji w gazecie pojawi się jego nazwisko. Albo moje.

– Dlaczego miałyby się pojawić jego nazwisko?

– Bo on jest tam jednym z lekarzy specjalistów. Dość ważnym.

– Rozumiem. A dlaczego miałyby cię zabić? Przecież to nie twoja wina.

– Uznałby, że tak. Gdyby wiedział, że cię znam...

– Nie dowie się, więc się tym nie przejmuj. Nie podam waszych nazwisk. Nie wniosą do artykułu niczego nowego, a poza tym chodzi o system, nie o ludzi. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć biały kitel. Nie uwierzyłybyś, jak daleko w przeszłości udało mi się zejść w białym kitlu. Niemal na salę operacyjną.

– Jocasto, to okropne.

– Wcale nie. Nie masz kitla, prawda?

– Nie, nie mam – skłamała Clio.

– Nieważne, znajdę szpitalną pralnię. Mam prośbę, zadzwoń do mnie za dzień lub dwa. To moja wizytówka, numer telefonu, adres mailowy i wszystko inne. Muszę cię ostrzec. Jutro pojawią się inne szczury.

– Jakie szczury?

– Dziennikarze z innych gazet.

– O Boże, Jocasta, musisz to robić?

– Muszę. Przepraszam. – Pochyliła się i pocałowała Clio. – Bardzo, bardzo się cieszę, że cię znalazłam. Nie martw się o artykuł. Jutro wszystkie brudy wyjdą wierzch, jak na opakowaniu w smażalni ryb.

Zawsze to mówiła; było to podwójne kłamstwo, zwłaszcza obecnie, kiedy ryby podawano w czystym białym papierze, a każdy artykuł można było przeczytać na bieżąco w Internecie po naciśnięciu klawisza lub dwóch, ale to uspokajało ludzi. Helen drzemała w obskurnym pokoju dla gości, a Kate przeglądała stare numery „Hello!”, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś lekarka.

Co prawda nie wyglądała na panią doktor, ale miała na sobie biały kitel. Była bardzo młoda i ładna. Uśmiechnęła się do Kate i położyła palce na ustach.

– Masz na imię Kate? – szepnęła.

– Tak. Co się stało, czy babcia?...

Jocasta wskazała głową drzwi. Kate szybko wstała i wyszła za nią na korytarz.

– Z tego, co wiem, stan twojej babci wciąż jest taki sam, ale nie jestem lekarzem. Jocasta ze „Sketcha” – przedstawiła się. – Rozmawialiśmy przez telefon. Jak się miewasz?

– Bardzo się martwię. Nic nam nie mówią, a jak chcę się zobaczyć z babcią, po prostu mnie nie wpuszczają.

– Pójdziemy tam za chwilę, dobrze? Sprawdzimy, czego uda się nam dowiedzieć. Nie wiem, jak daleko zajdzie doktor Jocasta, ale kto wie, może nawet zdołamy dotrzeć do pierwszej bazy? Jesteś głodna? Mam jakieś chipsy.

– Och, umieram z głodu. Jak udało ci się tu dotrzeć? Powiedziano nam, że szpital jest zamknięty.

– Oddział nagłych wypadków jest zawsze otwarty, więc weszłam tamtędy.

Jest świetna – pomyślała Kate, po kilku minutach z wilczym apetytem zajadając chipsy. Naprawdę świetna. Dziennikarka bardzo przypadła nastolatce do gustu.

Rozdział Trzynasty

Usłyszała w ich głosach szok. Nigdy nie potrafili do końca zrozumieć tego, co robiła, a jej obecna decyzja wyraźnie ich zaskoczyła.

– Oczywiście, kochanie – powiedziała matka – bardzo się cieszymy. Jesteśmy z ciebie dumni. Tylko powiedz... dlaczego? Wydawało mi się, że kochasz swoją pracę.

– Kocham ją. Naprawdę. I nie mam zamiaru jej rzucać, póki nie zostaną wybrana... a na pewno nie zostaną. Niestety, ostatnio zaczęła przynosić mi mniej zadowolenia. Traktuję politykę jak... nowe wyzwanie.

Potrzebowała nowego wyzwania. Potrzebowała czegośkolwiek. Skoro nie mogła mieć Eda.

– Przecież nic nie wiesz o polityce.

– Nie wiem, ale od jakiegoś czasu pracuję dla tej partii, pomagam jej od strony prawnej, i nie tylko. Podoba mi się ich program. Przynajmniej jego część. Prawdę mówiąc, jestem prawie tak samo zaskoczona jak wy, że zaproponowano mi udział w wyborach. Wiem, że nie mam żadnych szans. Że nie zostaną przyjęta jako miejscowa kandydatka partii. Więc wszystko trochę przypomina farsę, ale obiecałam, że spróbuję.

Wszystko z powodu słów Eda. Z powodu jego miny, gdy wychodził, miny, która zdradzała niechęć...

Po skończeniu rozmowy Martha pozwoliła sobie na następny szczery płacz. Ponownie pomógł zagłuszyć ból, niestety na krótko.

– Ale ubaw! To o wiele bardziej mi pomaga niż całe świństwo, które we mnie pompują. Jak wyglądam?

– Mamo, chyba nie powinnaś – ostrzegła Helen.

Była bardzo znużona. Dla odmiany Jilly miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Wspierając się na poduszkach, poprawiała włosy i przeglądała się w maleńkim lusterku.

Każdy, kto by się im przyjrzał, pomyślałby, że cztery dni temu o śmierć otarła się Helen, a nie jej matka.

– Czego nie powinnam, kochanie?

– Spotykać się z tą dziewczyną. Spowodowała tyle kłopotów...

– Mnie bardzo pomogła – zaprotestowała Jilly żywo. – Gdyby nie ona, nie zobaczyłabym się z tobą tamtego wieczoru. Ani z Kate.

Poza tym dzięki niej mogłam dokładnie opowiedzieć, jak okropnie mnie potraktowano, i następnego dnia przeczytać o wszystkim w gazecie... To była swego rodzaju zemsta. Na wszystkich beznadziejnych ludziach z oddziału nagłych wypadków i ich okropnej siostrze przełożonej. Wszyscy byli tacy zadowoleni z siebie i nic ich nie obchodziło, że ktoś cierpi. Na dodatek po ukazaniu się artykułu umieszczono mnie w tej ładnej, niewielkiej salce, prawda? W końcu się postarano.

Helen milczała; jej matkę przeniesiono do jednoosobowej sali po krótkim telefonie doktora

Gravesa, pod którego opieką się znajdowała i który dostał ataku szału, gdy w poniedziałek rano przeczytał artykuł ze „Sketcha” i ujrzał przynajmniej kilkunastu dziennikarzy oraz fotoreporterów w czymś, co nazywał swoim szpitalem. Wyrażając się w taki sposób o Duke of Kenfs Hospital, mąż Clio popełnił poważny błąd, co mu zarzucono w napisanym bardzo dużymi literami nagłówku: „To są nasze szpitale, doktorze Craves”.

Jocasta odwiedziła słabą, ale ożywioną Jilly w poniedziałek koło południa; resztę dziennikarzy trzymano z daleka. Niestety, panna Forbes, jako nowa przyjaciółka wnuczki Jilly Bradford, wymykała się spod kontroli, a już na pewno jej się to udało, gdy wetknęła niesforne włosy pod czapkę baseballową i nikt nie rozpoznał w niej przebranej młodej kobiety. Zresztą poprzedniego wieczoru w stroju lekarki spowodowała mnóstwo zamieszania: weszła na OIOM, żeby sprawdzić samopoczucie pani Bradford, potem zapewniła, że jest wszystko w porządku, i powiedziała pielęgniarce, która nie pracowała na stałe w szpitalu, lecz jedynie została wynajęta z agencji na zastępstwo, że chora na pewno poczuje się lepiej, jeśli będzie mogła przez chwilę porozmawiać z córką i wnuczką.

Kilka minut później pojawił się prawdziwy lekarz, Jocastę wyrzucono, a pielęgniarka otrzymała surową reprymendę, ale broniła się, że przecież nie może znać wszystkich pracowników szpitala. Na koniec dodała, że jeśli tak wygląda opieka zdrowotna w Anglii, to ona nie może się już doczekać powrotu do swojego szpitala w RPA.

Jej słowa jakimś cudem dotarły do Jocasty. Przekazała je swoim czytelnikom wraz ze stwierdzeniem dziewczyny z rentgena, że jeden pacjent wygląda tak samo jak drugi. Następna była wypowiedź pielęgniarki z oddziału nagłych wypadków, że nie da się odpowiednio zająć wszystkimi, gdy tak bardzo brakuje personelu, i po prostu tak nie powinno być.

„Jak długo jeszcze będziemy musieli tolerować takie przypadki?” – kończył się budzący ogromne emocje artykuł. „Ilu pacjentów umrze, ile starszych, przerażonych kobiet będzie zdanych na łaskę losu, tak jak Jilly Bradford? Najpierw przemoczona do suchej nitki leżała w strugach deszczu, czekając godzinami na karetkę.

Potem nie zaspokojono jej podstawowych potrzeb, takich jak ciepłe łóżko i filiżanka herbaty. Ile jeszcze czasu upłynie, nim ktoś weźmie w garść państwową służbę zdrowia?”

Jilly nie podobało się tylko to, że została przedstawiona jako starsza pani, ale poza tym była zachwycona artykułem i faktem, że wystąpiła w nim w roli głównej.

Clio wykradła się w poniedziałkowy ranek, żeby kupić „Sketcha”, usiadła w samochodzie i przeczytała artykuł z sercem w gardle, przerażona niemal każdym słowem. Jocasta dotrzymała obietnicy i nie wspomniała ani słowem o niej jako lekarce pierwszego kontaktu pani Bradford, ale ściągnęła na szpital hańbę i przytoczyła wyrwane z kontekstu wypowiedzi różnych osób. Na myśl o tym Clio robiło się niedobrze.

We wtorek wszystkie gazety powtórzyły wiadomość; „Sketch” wciąż prowadził w wyścigu o głowę dzięki krótkiemu, osobistemu wywiadowi, jakiego „słabym szeptem” udzieliła pani Bradford Jokaście Forbes, relacjonując swoje przejścia i gorąco dziękując wnuczce, Kate, która

tak odważnie walczyła w obronie babci, oraz samej pannie Forbes, dzięki której córka mogła odwiedzić chorą na OIOM-ie, kiedy rozpaczliwie potrzebowała otuchy i kontaktu z kimś bliskim.

„Powiedziałabym, że to wtedy zaczęłam wychodzić na prostą”.

Wszyscy reporterzy bardzo chcieli zdobyć zdjęcie Kate, która stała się bohaterką dnia, a ona sama koniecznie chciała z nimi porozmawiać, ale Helen absolutnie jej nie pozwalała.

We śródę zainteresowanie zaczęło opadać, jeśli nie liczyć akapitu w felietonie Lyndy LeePotter, która w „Daily Mail” całą winę zrzuciła na obniżenie statusu sióstr położonych i fakt, że pielęgniarki nie są już szkolone na oddziałach.

– Tak, zamieszczę to w jutrzejszej gazecie – powiedziała Jocasta. – Obiecuję, że potem zostawię was w świętym spokoju.

– Och, nie, proszę – jęknęła Kate. – Naprawdę będę za tobą tęsknić. Było wspaniale.

– Wcale nie – zaoponowała chłodno Helen. Denerwowało ją uwielbienie Kate dla Jocasty; jej zdaniem dziennikarka przysporzyła im tylko mnóstwa kłopotów. Jilly zgodzono się wypuścić przed weekendem, ale nie do domu; miała – choć zgodziła się na to bardzo niechętnie – na tydzień lub dwa zatrzymać się u Helen. Kate była podniecona.

– Będziemy się świetnie bawić. Ja wezmę na siebie rolę położonej pielęgniarek, przyniosę ci szampana, kasety wideo i wszystko, co zechcesz.

– Och, Kate – westchnęła Jilly, poklepując wnuczkę po ramieniu i uśmiechając się czule – co ja bym bez ciebie poczęła? Chybabym umarła. W porządku, Jocasto, kochanie, zrobiłam z włosami, co mogłam, a Kate przyniosła mi ładną lizeskę. Może być?

– Jest cudowna – przyznała Jocasta, bo rzeczywiście lizeska na taką ocenę zasługiwała: jasnoróżowa, obszyta moltonem.

Kate spojrzała na dziennikarkę i uśmiechnęła się niepewnie.

– Jak sądzisz, czy mogłabyś mnie uwiecznić na którymś ze swoich zdjęć?

– Hm...

– Kate! – zaprotestowała Helen. – To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego? Babcia właśnie powiedziała, że uratowałam jej życie. Nie rozumiem, co stoi na przeszkodzie. Byłoby cudownie. Może dzięki temu odkryje mnie jakaś agencja modelek?

To było jej ostatnie marzenie: chciała zostać supermodelką. Jocasta uważała, że nastolatka mogłaby odnieść ogromny sukces, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Zbyt dużo wiedziała o mrocznym, napędzanym przez narkotyki świecie mody, by zachęcać Kate do takiej kariery.

– Nie rozumiem, dlaczego nie miałyby się znaleźć na zdjęciach – wyznała Jilly. – Bardzo bym chciała. Co o tym sądzisz, Jocasto?

– Myślę, że byłoby wspaniale – powiedziała dziennikarka ostrożnie.

Wiedziała, że czytelnicy bardziej zainteresują się zdjęciem, jeśli będzie na nim dziecko, które tak zażarcie walczyło w obronie swojej babci. Fotograf ustawił aparat.

– To będzie piękne zdjęcie – zapewnił Jocastę.

Jilly po raz nie wiadomo który poprawiła włosy, a Kate usiadła na skraju łóżka i przytuliła

się do babci.

– Może pójdzie nawet na okładkę – dodał.

– Mam nadzieję, ale rób, co do ciebie należy... matka dziewczyny nie jest zbyt zadowolona.

Nie chcę jej denerwować.

– Ta małolata jest niesamowita. I wiesz co? Trochę podobna do ciebie.

– Chciałabym – westchnęła Jocasta.

– Powinny być śliczne – oznajmiła, uśmiechając się do babci i wnuczki, gdy fotograf wyszedł. – Obie wyglądacie fantastycznie.

– Dziękuję – powiedziała Jilly. – Chociaż szczerze w to wątpię. Kiedy człowiek kiepsko się czuje, od razu widać, ile ma lat.

– Słowo daję... u pani ich nie znać, a zmarszczki Kate jeszcze nie są zbyt widoczne. Obie jesteście bardzo fotogeniczne. Co więcej, Kate jest bardzo do pani podobna.

– Cóż, to byłoby miłe – przyznała Jilly – ale niestety, zupełnie niemożliwe.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo...

– Nie teraz, mamusiu – przerwała jej Helen chłodnym głosem. Kate spojrzała na matkę, a potem na Jocastę i uśmiechnęła się do dziennikarki.

– Odprowadzę cię.

– Świetnie – ucieszyła się Jocasta. – Żegnam panią, pani Bradford. Bardzo się cieszę, że tak szybko wraca pani do zdrowia.

– Dziękuję, moja droga. I dziękuję za pomoc. Jestem pewna, że opisując mój przypadek, pośrednio pomogłaś wielu innym ludziom. Gdybyś kiedykolwiek była w Guildfordzie, wpadnij do mnie do sklepu. Caroline B, przy High Street.

Kate zdawała sobie sprawę, że będzie jej brakowało Jocasty; bardzo ją polubiła. Dziennikarka nikogo się nie bała, po prostu szła tam, gdzie chciała, i brała, co było jej potrzebne.

– Napiszesz coś o babci? – spytała. – Żeby wyjaśnić, skąd wzięło się zdjęcie?

– Nie – zaprzeczyła Jocasta. – Będę musiała przypomnieć czytelnikom całą historię od początku. Od ukazania się poprzedniego artykułu minęły cztery dni; to bardzo dużo jak na gazetę. Więc z pewnością jeszcze raz wspomnę o tobie i o tym, co zrobiłaś.

– Świetnie. Czy... czy możesz zrobić dla mnie coś jeszcze? Podać moje pełne imię i nazwisko? Na świecie jest tyle dziewcząt o imieniu Kate, że aż czasami robi mi się nudno.

– W porządku. – Jocasta uśmiechnęła się do dziewczyny. – W takim razie jak mam o tobie pisać?

– Jako o Kate Bianca Tarrant.

– Ładne imię. Bianca.

– Taak. Myślę, że gdy będę starsza, może tak właśnie zacznę się przedstawiać. Twoja praca musi być zabawna – powiedziała Kate z rozmarzeniem. – Może powinnam zostać dziennikarką, a nie modelką?

– Tak, rzeczywiście czasami bywa wesoło, ale też, jak wszędzie, jest dużo wysługiwania się. Prawdę mówiąc – ciągnęła, z zamyśleniem przyglądając się Kate – uważam, że byłabyś w tym dobra.

– Super! W takim razie spróbuję. Czy mogłabyś załatwić mi jakąś pracę?

Jocasta wybuchnęła śmiechem.

– Nie w tej chwili. Jesteś jeszcze trochę za młoda, co więcej, w obecnych czasach wymagają ukończenia studiów.

– Studiów?! Nie, dziękuję. Nawet nie chcę myśleć o egzaminach końcowych w szkole średniej.

– Wszystko zależy od ciebie, ale powiem ci coś. Czasami przyjmujemy ludzi, żeby nabyli nieco doświadczenia.

Gdybyś chciała, mogłabym podczas letnich wakacji załatwić ci tygodniową praktykę. Pewnie nie u mnie, ale na przykład w dziale mody.

– O kurczę! Byłoby super. Nie zapomnij, dobrze?

– Podejrzewam, że mi nie pozwolisz – zażartowała Jocasta. – To moja wizytówka. Są tu wszystkie telefony i adres e-mailowy.

– Dzięki, Jocasto. Będę za tobą bardzo tęsknić.

– Ja za tobą też.

– Przepraszam za mamę. Nie wiem, co się z nią dzieje. Prawdę mówiąc, jest jakaś dziwna... zazwyczaj nie kryje przed nikim, że jestem adoptowana.

– Naprawdę? – spytała Jocasta.

Kate zauważyła, że dziennikarka nie okazała zaskoczenia, lecz jedynie uprzejme zainteresowanie.

– Taak.

– Mimo to sprawiacie wrażenie, że jesteście sobie bardzo bliscy.

– Bo jesteśmy, naprawdę, chociaż, szczerze mówiąc, lepiej dogaduję się z babcią. Potrafi być naprawdę bombowa. Tata jest w porządku, ale czasami bywa surowszy niż mama. Mam jeszcze młodszą siostrę, chodzący ideał. Jest mądra i pracowita, zdobyła nawet stypendium do jakiejś szpanerskiej szkoły, w której będzie mogła uczyć się swojej ulubionej gry na skrzypcach.

– Ona też jest adoptowana?

– Nie. Urodziła się jakiś czas po mojej adopcji.

– Powiedz mi, jak... jak czujesz się jako adoptowane dziecko? – spytała Jocasta. – Przepraszam, może nie chcesz rozmawiać na ten temat.

– Nie ma sprawy. Wszystko jest super.

– Czy... czy wiesz coś na temat swojej... biologicznej matki? Czy chciałabyś ją kiedyś spotkać?

– Nie – odparła Kate zdecydowanie. – Po co? Po tym, co mi zrobiła?

– A... co ci zrobiła? Oddała cię innym ludziom, gdy byłaś mała, czy może... Przepraszam

– powiedziała ponownie. – Może to cię denerwuje.

– Ależ skąd – zapewniła Kate. – Tak, tak właśnie zrobiła. W każdym razie byłam wtedy bardzo mała.

Nastolatka zaczynała żałować, że w ogóle poruszyła ten temat. Z pewnością nie miała zamiaru opowiadać Jokaście, pięknej, mądrej, odnoszącej sukcesy Jokaście, o wszystkich wstydliwych faktach, o tym, że matka zostawiła ją jak śmieć w pomieszczeniu ze środkami czystości.

– Była... studentką – improwizowała – z... z Irlandii. Jako katoliczka nie mogła zdecydować się na aborcję, ale mnie kochała, dlatego chciała zapewnić mi dobry dom. Prawdę mówiąc, nie oddała mnie w ręce pierwszych ludzi, którzy mnie chcieli. Czekala, aż pojawi się odpowiednia para, a ona nabierze przekonania, że zajmą się mną jak należy. Kapujesz? Zorientowała się nie bez irytacji, że Jocasta usiłuje wyciągnąć od niej jakieś informacje. Odwróciła się i spojrzała na parking. Nagle poczuła, że ktoś ją obejmuje.

– W porządku, Kate. Uspokój się. Wcale nie myślałam źle o twojej mamie. Ani przez chwilę. Musiała być wspaniałą kobietą, skoro cię urodziła. Poza tym wykazała dużo, bardzo dużo odwagi, postanawiając rozstać się z tobą dla twojego dobra i oddać cię w ręce innych ludzi. Wiesz co? Naprawdę bardzo się cieszę, że cię poznałam. Nie zapomnij o praktyce w zawodzie dziennikarza, dobrze? Zadzwoń, gdy uznasz, że jesteś gotowa. Albo gdybyś chciała wybrać się ze mną na lunch czy coś w tym stylu. Nawet nie chcę myśleć, że mogłabym już nigdy więcej cię nie zobaczyć. Prawdopodobnie tak tylko mówi – pomyślała Kate, gdy czarny golf wyjeżdżał z parkingu – i pewnie już nigdy więcej się nie spotkamy. Po co miałyby się spotykać?

Tego wieczoru Jocasta bardzo późno wróciła do domu; Nick już na nią czekał.

– Chciałem się z tobą zobaczyć – powiedział, całując ją na powitanie. – Czy już mi wybaczyłaś?

Była tak znużona, że ucieszyła się na jego widok, wszystko inne przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Wybaczyłam – zapewniła, pozwalając wziąć się w ramiona.

– Naprawdę ciężko nad sobą pracuję...

– Nie rozmawiajmy o tym. Cieszę się, że tu jesteś.

– To miło. Bardzo miło. Ja też się cieszę. Nie ukrywasz w żadnej szafie jakiegoś bilionera? Jednak zauważył. Może nawet mu się to nie spodobało.

– Nie.

– Cieszę się. W moim przekonaniu ten facet jest zbyt atrakcyjny.

– Naprawdę? – spytała, robiąc okrągłe oczy. – Nie zauważyłam. Jest po prostu...

– Wiem. Zwyczajnym bilionerem. Wyglądasz na zmęczoną, skarbie.

– Bo jestem. Miałam okropny dzień. Nie, nie tyle okropny, co denerwujący.

– Co takiego? Żelazna Jocasta, znana również jako Lois Lane, zdenerwowana? To na pewno ma coś wspólnego z porodem. Proszę, napij się wina. Zostawiłem trochę dla ciebie.

– Dobrze się domyśliłeś. Wciąż daje mi się we znaki moja stara fobia, Nick. To takie żalospne.

– Nieprawda – zaprzeczył, podając jej kieliszek. – Po tym, co przeszłaś, nie może być inaczej.

– Może. Powinam ją pokonać wiele lat temu.

– Trauma pozostaje trauma, skarbie. Moja matka chrzestna przed wielu laty została ranna na polowaniu i do dziś na widok lisa natychmiast wymiotuje, wystarczy, że biedny rudzielec przeskakuje jej kosz na śmieci w Kensington. Mówiłem ci.

– Wiem, ale... tak czy inaczej, pewna kobieta urodziła dziecko w więzieniu. Podczas porodu była skuta łańcuchami.

Poród był ciężki, trwał godzinami, w końcu musieli... nie, nie będę wprowadzać cię w szczegóły. Wystarczy, że nie szczydziła ich jej matka. Mam wszystko nagrane na taśmie. Bez końca wołała o pomoc. Noworodek prawie zmarł. Nie wiedziałam, jak tam wytrzymam. W końcu wyszłam do łazienki i zwymiotowałam. Potem musiałam o tym napisać, ale łącze internetowe nie działało, więc trzeba było przekazać tekst przez telefon.

– Biedactwo.

– Nigdy nie zgodziłabym się przez to przejść, Nick. Nawet za milion lat. Nie mogłabym. Nawet gdyby zaproponowano mi nie wiem jakie środki znieczulające. Po prostu wracają dawne wspomnienia i... o Boże! – Rozplakała się jak małe dziecko. – Przepraszam, najmocniej przepraszam...

– Popatrz – powiedział, całując ją i biorąc w ramiona. – Tylko popatrz, w jakim jesteś stanie, głupia bekso. Nikt nie każe ci przez to przechodzić. No, wypij do dna, a potem zabiorę cię na kolację, dobrze?

– Dobrze – przytaknęła Jocasta.

– W porządku. Kocham cię. Przepraszam jeszcze raz za... wszystko.

Spojrzała na niego zaskoczona. Rzadko przeproszał. Jeszcze rzadziej, niż wyznawał miłość. Nagle ciężki dzień i przeżyta trauma gdzieś zniknęły.

– Ja też cię kocham – zapewniła. – I też przepraszam. Zostańmy w domu.

– Zostańmy.

Koniec nadszedł bez ostrzeżenia. Piątek, feralny piątek był pięknym, wietrznym i słonecznym dniem. Chociaż Clio zegnała się z pracą w przychodni, była dziwnie szczęśliwa. Może to wcale nie jest takie złe rozwiązanie. W końcu lubi zajmować się domem, a Jeremy będzie spokojniejszy i szczęśliwszy. Co bardzo by jej odpowiadało. Przecież wciąż go kocha. Naprawdę. Jest pewna, że wciąż go kocha.

Działając pod wpływem impulsu, zadzwoniła i zaproponowała wspólną wyprawę na lunch. Poprzedniego wieczoru urządzono jej w przychodni pożegnanie, podczas którego wypili kilka drinków – impreza odbyła się we czwartek, bo w piątek Mark wyjeżdżał na jakiś kurs.

– Bardzo będzie nam Ciebie brakowało, Clio – powiedział, wręczając jej ogromną świecę

zapachową i bombonierkę. Jeremy zgodził się na lunch.

- Chętnie wyrwę się na jakąś godzinę. Może być pierwsza?
- Oczywiście. Jeśli będziesz wcześniej niż ja, zamów dla mnie chilli.
- Świetnie. Będę niecierpliwie czekał. Dzięki.

Jadąc do pubu, podśpiewywała z radości. W przyszłości będzie mogła robić dużo takich rzeczy, które go uszczęśliwiają. Dzięki temu i ona będzie szczęśliwsza.

Clio dotarła do pubu pierwsza; Jeremy wszedł mniej więcej piętnaście po pierwszej i wyglądał na znużonego. Pomachała mu ręką.

- Zamówiłam ci drinka. Virgin mary!
- Dzięki, ale mogę zjeść tylko kanapkę... dołożyli mi jeszcze jedną operację.
- No nie! Biedactwo. W porządku, zmienię zamówienie.
- Pójdę z tobą. I poproszę o więcej lodu.

Bar był ulubionym lokalem pracowników szpitala. Przywitało się z nimi kilka osób. Clio zauważyła, że niektórzy dość dziwnie patrzą na Jeremy'ego. Prawdopodobnie z powodu artykułu; od tego czasu nigdzie nie wychodzili. Modliła się, żeby nikt nie wspomniał o tamtej sprawie, i bardzo żałowała, iż zaproponowała ten konkretny pub.

Jeremy poszedł do toalety, Clio wróciła do stolika. Na jego rogu przycupnęła potężnie zbudowana kobieta – przyciągnęła sobie taboret z baru.

- Nie będę przeszkadzać, prawda? Nie mam gdzie usiąść.
- Chyba nie – odparła Clio, wiedząc, że Jeremy będzie wściekły – ale...

Wrócił i spojrzał wilkiem na nieznajomą.

– Przepraszam, to nasz stolik.

– Ja też przepraszam, ale nigdzie nie ma miejsca, a z tego, co wiem, stolików w pubach się nie rezerwuje – powiedziała, po czym wpatrzyła się w niego z natężeniem. – Nie znamy się, prawda?

– Na pewno nie – oświadczył Jeremy i odwrócił się do Clio. – Powinnaś pilnować stolika. Może poszukamy innego? Kobieta westchnęła i wyjęła wymiętą książkę w miękkiej oprawie.

– Proszę się nie martwić – zapewniła ironicznie. – Nie będę państwu przeszkadzać.

Pojawił się właściciel, Maurice Trent, zjedzeniem.

– Proszę. Przepraszam, że kazałem czekać. Cieszę się, że odwiedziliście mnie we dwójkę. Co za tydzień! Paparazzi wciąż się tu plączą i wypytują o wszystko. Ta dziewczyna, z którą pani rozmawiała w ubiegłą niedzielę, też była dziennikarką, prawda, pani doktor? Wyglądała na miłą, w niczym nie przypominała swoich kolegów po fachu.

Clio знаła określenie: „umierać ze strachu”; nagle zrozumiała, co oznacza.

– Co to za dziewczyna? – spytał Jeremy lodowatym tonem.

– Jedna z dziennikarek – wyjaśnił Maurice. – Chyba ta, która pojawiła się tu pierwsza. Tak, tak, w porządku! – zawołał do barmanki, która żywo na niego machała. – Już idę. Życzę smacznego.

Jeremy rozparł się na krześle i spojrzał na Clio, której aż zrobiło się niedobrze.

– Rozmawiałaś z jedną z dziennikarek? W niedzielę? I nic mi o tym nie wspomniałaś?

– Rozmawiałam, ale nie dlatego, że ona jest dziennikarką. Słowo daję, Jeremy. Pojawiła się nagle... ni z tego, ni z owego.

To znaczy rzeczywiście jest dziennikarką, ale... ale przed wielu laty, gdy miałyśmy po osiemnaście lat, rozpoczynałyśmy razem podróż dookoła świata. Od tego czasu jej nie widziałam, a teraz...

– Nagle pojawiła się na twoim progu w najbardziej odpowiednim dla siebie momencie. Co za cudowny zbieg okoliczności!

– Owszem, zadzwoniła do mnie, bo jestem lekarką pierwszego kontaktu pani Bradford, i rozpoznała moje nazwisko. Sam wiesz, że takie rzeczy się zdarzają, świat jest mały i...

– Wcale nie. Naprawdę. I to wszystko działo się w niedzielę?

– Tak – odparła szeptem.

– Z tego, co pamiętam, wykradłaś się wtedy z domu, tłumacząc, że musisz odwiedzić jakiegoś chorego. Tymczasem przyjechałaś tutaj i...

– Jeremy, nie mów tak głośno. Wszyscy patrzą. Odwrócił się; mówiła prawdę, przyglądała im się połowa gości baru. Jeremy wstał.

– Porozmawiamy o tym później. Może będziesz taka miła i zapłacisz rachunek.

– Tak. Oczywiście, ale, Jeremy...

Już go nie było. Gruba kobieta zerknęła znad książki.

– Już wiem, dlaczego jego twarz wydała mi się taka znajoma – powiedziała. – Był w „Sunday”, prawda? To on powiedział... Clio wybiegła z baru, po drodze rzucając Maurice’owi Trentowi banknot dwudziestofuntowy, i poszła na parking. Samochodu Jeremy’ego już nie było.

– Toty, Martho?

– Tak. To ja. Cześć, Ed.

Marzyła o tym, w ciągu minionych dni wielokrotnie wyobrażała sobie tę scenę, zwłaszcza gdy dzwonił telefon, niestety odzywali się inni ludzie, inni ludzie zostawiali również wiadomości na automatycznej sekretarce i przysyłali e-maile, chociaż to nie od nich oczekiwała jakichś wieści. Dzięki temu teraz, kiedy w końcu odezwał się Ed, Martha wcale się nie zdziwiła. Po prostu była... przerażona.

– Prze... przepraszam za tamten wieczór – wydukał. – Powiedziałem wtedy kilka przykrych rzeczy.

– Większość ich była usprawiedliwiona. Tak przynajmniej uważam. Dobrze mi to zrobiło – wyznała. – Dzięki temu... – Nie, absolutnie nie może tego robić. Mówić o sobie i swojej karierze.

– Dużo o tym myślałam – wyznała.

– Nie chciałem... nie chciałem rozstać się z tobą w taki sposób. Naprawdę. Chciałbym, żebyśmy zostali... żebyśmy zostali przynajmniej przyjaciółmi.

– Oczywiście.

Boże, to bolało bardziej, niż przypuszczała.

– Tak. Prze... przepraszam.

– Wszystko w porządku, Ed. – Usiłowała zdobyć się na beztroskę.

– Wybaczam ci. Długa cisza, potem:

– Świetnie. Tak się cieszę. Może...

– Tak?

Na litość boską, Martho, nie pozwól, żeby usłyszał w twoim głosie nadzieję!

– Może w któryś wieczór wybrałabyś się ze mną na drinka?

– Dobrze. Możemy. Zadzwoń do mnie. Albo ja zadzwonię do ciebie.

– Świetnie. No to cóż... trzymaj się. Wkrótce się spotkamy. Gdyby tylko... gdyby tylko mówił prawdę, gdyby mogła zobaczyć go za jakiś czas, ujrzeć jego uśmiech, poczuć, jak muska wargami jej włosy, ująć jego dłoń, przytulić go, położyć się obok niego, pozwolić...

– Do zobaczenia, Ed – powiedziała.

Znów była chłodna i opanowana. Znów była dawną Martha. Tylko dawna Martha nigdy tak nie cierpiała. No, przynajmniej nie tak jak teraz.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu miała mnóstwo zajęć. W przeciwnym przypadku nie poradziłaby sobie ze swoim nieszczęściem.

Gdy Jocasta wchodziła do baru, zadzwoniła jej komórka.

– To ty, Jocasto? Mówi Jilly. Jilly Bradford.

– Och, dzień dobry, pani Bradford. Jak się pani miewa? Cieszę się, że pani zadzwoniła.

– Czuję się już znacznie lepiej, dziękuję. Chociaż, oczywiście, potwornie się nudzę. Chcę ci bardzo gorąco podziękować, że zamieściłaś to ładne zdjęcie w gazecie. Było bardzo pochlebne i z pewnością wyprowadziło z błędu wszystkich, którzy sądzą, że jestem zniedołężną starą babą...

– Na pewno. Cieszę się, że się pani podobało.

– Nawet bardzo. Kate kupiła chyba sześć egzemplarzy. Oczywiście została w szkole bohaterką dnia. Jocasta wybuchnęła śmiechem.

– Pani wnuczka jest naprawdę wspaniała. Myślę, że doskonale poradzi sobie w życiu.

– Ja też tak sądzę. Przynajmniej mam taką nadzieję. Zasługuje na to.

Istnieje uczucie, które zna każdy dobry dziennikarz: jest to dziwne podniecenie, wrażenie, że rodzi się coś nowego, niezrozumiałego, coś, czemu warto dobrze się przyjrzeć. Jocasta właśnie to poczuła.

– Powiedziała mi, że została adoptowana – zdradziła.

– Naprawdę? Widocznie wyczuła w tobie bratnią duszę. To niezwykła historia, prawda?

– Wcale nie taka niezwykła. Tyle że obecnie dziewczęta nie oddają tak chętnie swoich dzieci; raczej je zatrzymują i wychowują jako samotne matki.

– Nie o tym mówiłam. Miałam na myśli fakt, że została znaleziona na lotnisku. Nie powiedziała ci o tym?

– Nie, nie ujawniła mi szczegółów. Ostrożnie, Jocasto, ostrożnie...

– Och, rozumiem. Ale powiedziała ci całą resztę?

– Hm... tak, ale...

– Jest jej bardzo ciężko. Biedaczka, bardzo dotkliwie to odczuwa. To, że matka porzuciła ją w taki sposób.

– Taak, rzeczywiście musi jej być... trudno.

Telefon wydał ostrzegawczy dźwięk. Jeśli w tej chwili wyczerpie jej się bateria, zacznie krzyczeć.

– Potwornie trudno. Oczywiście, Kate bardzo chciałaby ją znaleźć, podejrzewam jednak...

Kolejny sygnał.

– Przepraszam, pani Bradford, będę musiała do pani oddzwonić. Bateria mi się kończy. Jeśli...

– Och, nie ma potrzeby, moja droga. Po prostu chciałam tylko podziękować. Odwiedź mnie, gdy wrócę do siebie, do Guildfordu; powiem Kate, żeby wszystko zorganizowała. Może umówimy się za jakiś miesiąc na lunch? To by ci pewnie bardziej odpowiadało. Do widzenia i...

Bateria się wyczerpała. Jocasta miała ochotę rzucić komórkę na ziemię i ją rozdeptać. Co teraz? Nie może zadzwonić do Jilly na szpitalny telefon i powiedzieć: „Wróćmy do Kate i jej adopcji... „. Odpowiednia chwila minęła, a Jocasta była sama sobie winna. Jeremy wrócił koło ósmej mocno wzburzony, czego Clio bardzo się bała. Uśmiechnęła się niepewnie i powiedziała:

– Cześć, Jeremy. Pewnie jesteś głodny. Mam pysznego zająca, jeśli...

– Proszę, nawet nie próbuj! – warknął.

– Czego?

– Udawać, że wszystko jest w porządku. Tylko pogarszasz sytuację.

– Chciałabym, Jeremy, żebyś wysłuchał moich wyjaśnień. Nic nie powiedziałam Jokaście ani o szpitalu, ani o pani Bradford...

– Jokaście?

– Tak. Tej dziennikarce.

– Przecież spotkałaś się z nią w pubie.

– Tak, ale tylko po to, by pogadać o dawnych czasach.

– Nie mogłaś zrobić tego w domu? Musiałaś się wykraść, nie wyjaśniając mi, że idziesz na spotkanie ze swoją starą przyjaciółką?

– Musiałam... Myślałam, że będziesz zbyt podejrzliwy i mi nie uwierzysz. Wiedziałam, że nawet mnie nie wysłuchasz, tylko po prostu nie puścisz mnie na spotkanie.

Clio czuła, że w niej również wzbiera złość.

– Miałbym cię nie puścić?! Za kogo ty mnie uważasz? Za tyrana? Obrażasz mnie.

– Nie o to mi chodziło. Próbuję ci wyjaśnić swoje postępowanie.

– A potem siedziałaś w pubie ze swoją przyjaciółką-dziennikarką i w ogóle nie rozmawiałaś z nią o wrednej pani Bradford? Chcesz, żebym w to uwierzył?

– Tak! Prawdę mówiąc, prosiłam ją, żeby nie pisała tego artykułu i żeby, Boże broń, nie wspominała w nim o tobie ani o mnie.

– I udało ci się, prawda?

– Tak. Gdy zajrzysz do jej tekstu, przekonasz się, że nie wspomniała o żadnym z nas. Jeśli chcesz, mogę ci go przynieść...

– Naprawdę liczysz, że przeczytam te brednie?

– Przestań chrzanić! – warknęła Clio ze znużeniem, zaskakując samą siebie.

Najwyraźniej Jeremy też był zaskoczony; jego żona rzadko przechodziła do ofensywy.

– Po prostu nie mogę się pogodzić z tym, że mnie oszukałaś – powiedział, zmieniając taktykę. – Wcale nie musiałaś.

– Może gdybyś mnie nie tyranizował, gdybyś nie rozstawiał mnie po kątach...

– To są wredne oskarżenia!

– Ale, niestety, prawdziwe. Okropnie mnie traktujesz.

Nie szanujesz tego, co robię, zmusiłeś mnie, żebym rzuciła pracę, którą kocham, odnosisz się lekceważąco prawie do wszystkiego, co mówię, zawsze jesteś w złym humorze... no, może nie zawsze – dodała, przerażona, chociaż zdecydowanie miała prawo do gniewu i rozżalenia – ale bardzo często. Nie pozwalasz mi nic robić na własną rękę, oskarżasz mnie o wszystko, co nam się nie udaje, nawet o najprostsze rzeczy, na przykład o to, że ktoś usiadł przy naszym stoliku w pubie... Nie dziw się, że nie spytałam, czy mogę zaprosić na pogawędkę swoją starą przyjaciółkę. Sądzę, że powinieneś bacznie przyjrzeć się swojemu postępowaniu, Jeremy. Naprawdę.

Nie odezwał się ani słowem, jedynie odwrócił się na pięcie i powędrował do swojego pokoju na piętrze. Poszła za nim. Wyjął walizkę i zaczął wkładać do niej rzeczy.

– Co robisz? – spytała przerażona nie na żarty.

– Pakuję się. Co chyba dość wyraźnie widać.

– Dokąd... się wybierasz?

– Nie wiem, ale tutaj nie ma dla mnie miejsca. Nie wnoszę do naszego małżeństwa niczego dobrego, więc chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Nie bądź głupi, Jeremy. Proszę! Słyszała w swoim głosie panikę.

– Nie widzę w tym nic głupiego. Wygląda na to, że lepiej będzie ci beze mnie. Będiesz wtedy mogła wykonywać swoją pracę, która wyraźnie znaczy dla ciebie więcej niż ja. Wczoraj wieczorem niedobrze mi się robiło, gdy bez przerwy opowiadałaś, jak wszyscy żałują, że odchodzisz, jak bardzo będzie im ciebie brakowało i że nie znaleźli jeszcze nikogo na twoje miejsce. Mój Boże, jak chorzy ludzie z Guildfordu poradzą sobie bez ciebie, Clio? Możesz się odsunąć? Chcę zabrać swoje koszule.

– Pieprzę twoje koszule – powiedziała cicho – ciebie również. Jak śmiesz tak lekceważąco wyrażać się o mojej pracy?

– Przede wszystkim na samym początku, przyjmując ten etat, nie skonsultowałaś ze mną swojej decyzji – przypomniał.

– Chciałem mieć normalną żonę na pełnym etacie, a nie emancypantkę zwariowaną na punkcie swojej kariery. Liczyłem, że do tego czasu będziemy mieli dzieci, ale i tu mnie zawiodłaś. Zastanawiam się, czy nie ma w tym jakiegoś oszustwa. Wszystkiego można się po tobie spodziewać, Clio.

– Ty draniu! – krzyknęła, czując, że łzy napływają jej do oczu i potwornie boli ją serce. – Ty cholerny draniu! Jak śmiesz, jak śmiesz mówić coś takiego!

Nagle role się odwróciły; Clio poczuła przypływ sił. Spojrzała na Jeremy'ego, dostrzegła jego arogancję, egoizm i okrucieństwo. W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma z nim ani dnia, ani godziny dłużej.

– Nie musisz się pakować, Jeremy. Odchodzę. Nie mam ochoty spędzać jeszcze jednej nocy w domu, w którym mogliśmy być tacy szczęśliwi i w którym, z twojej winy, oboje tak bardzo cierpimy. Odchodzę, zrywam nasze małżeństwo. To parodia, nie związek. Nienawidzę go.

Zabrała torebkę i kluczyki od samochodu, po czym wyszła z domu, wsiadła do auta i odjechała, zostawiając za sobą Jeremy'ego i swoje krótkie, nieszczęśliwe małżeństwo.

Rozdział Czternasty

Martha słuchała swojej prezentacji nagranej na magnetofon, zapisywała drobne poprawki i jednocześnie robiła porządki w swojej aktówce. Nagle zadzwonił telefon. Znow Chad – pomyślała – to może być tylko on. Postanowiła nie odbierać. Była zmęczona jego nieustannymi radami.

Skończyła robić notatki, usiadła na łóżku i zaczęła przeglądać w gazetach komentarze polityczne, gdy odezwał się telefon stacjonarny. Co za maruda – pomyślała, przechodząc przez salon. Nie tego teraz potrzebowała.

– Posłuchaj, Chad – powiedziała, podnosząc słuchawkę proszę, nie...

– Cześć, Martho, kochanie – dobiegło ze słuchawki. – To ja, mama. Ojciec i ja chcieliśmy życzyć ci na jutro powodzenia.

– Dzięki, mamó – odparła Martha – to bardzo miłe z waszej strony.

– Wiem, że dobrze ci pójdzie, kochanie. Wszyscy są z tego powodu tacy podnieceni, cieszą się, że postanowiłaś zająć się polityką. W każdym razie życzymy ci dużo szczęścia i spokojnej nocy.

– Dziękuję. Prawdę mówiąc, jestem już w łóżku. Dziękuję za telefon.

Odkładając słuchawkę, zauważyła, że mruga światelko automatycznej sekretarki. Ktoś musiał wcześniej dzwonić, a ona widocznie tego nie zauważyła. Na pewno Chad. Chociaż lepiej sprawdzić.

– Cześć, Martho, mówi Ed. Miałem... miałem nadzieję, że uda nam się porozmawiać. Spróbuję zadzwonić na twoją komórkę.

– O mój Boże! – jęknęła.

Z powrotem usiadła na łóżku i drżąc od stóp do głów, wykręciła numer Eda. Natychmiast podniósł słuchawkę.

– Cześć.

– Cześć, Ed. To ja. Przepraszam, nie wiedziałam, że dzwoniłeś.

– Nie ma sprawy.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałem... – Zapadła długa cisza. – Chciałem życzyć ci szczęścia. Na jutro.

– Kto ci o tym, do diabła, powiedział?

– Mama. Zadzwoniła dziś wieczorem i spytała, czy wiem, że będziesz posłanką z Binsmow.

Martha wybuchnęła śmiechem.

– O mój Boże! – zawołała. – Te matki!

– Taak. Powinnaś mi powiedzieć.

– Dlaczego?

– Z powodu moich zarzutów. Byłem niesprawiedliwy. Przepraszam, Marto. Przepraszam za wszystko, co powiedziałem. Źle cię oceniłem. Teraz to widzę. – Cisza. – Bardzo za tobą tęsknię.

Myślałem, że jakoś sobie bez ciebie poradzę... ale nie mogę.

– Posłuchaj, Ed – powiedziała Martha – naprawdę jestem stuknięta na swoim punkcie i obsesyjnie staram się panować nad sobą. Na szczęście próbuję to zmienić. Gdybyś wtedy nie walnął mi prawdy prosto w oczy, odmówiłabym Chadowi, a tak... jutro mam ważne spotkanie. Muszę wcześniej wstać...

– Tak, rozumiem – zapewnił. – Przepraszam. Chciałem tylko...

– Może mimo to byś do mnie wpadł? Moglibyśmy porozmawiać na temat mojej prezentacji. I nie tylko.

Wyłączając komórkę, doszła do wniosku, że przynajmniej zamierzała pójść wcześniej do łóżka.

W sobotni poranek jechała Mil. Była mocno zdenerwowana. Obudziła się o szóstej i poszła na siłownię, zostawiając Eda pogrążonego w głębokim śnie. Nagle uświadomiła sobie, że mercedes kabriolet nie jest najlepszym samochodem na taką wyprawę. Żałowała, że nie pomyślała o tym wcześniej. Będzie musiała zostawić merca na parkingu Coach and Horses i skorzystać z auta Chada.

Wciąż powtarzała w myślach swoją dziesięciminutową prezentację i ćwiczyła odpowiedzi na przypuszczalne pytania. Przez cały czas jej uwagę rozpraszały uporczywe obrazy i wspomnienia, chociaż starała się je ignorować. Nie chciała nawet myśleć o Edzie, który ją zapewniał, że nigdy w życiu nie miał tak wspaniałego stosunku, ani o fakcie, iż zasnęła, słuchając, jak mówił... Nie, nie mogę teraz do tego wracać – pomyślała, uśmiechając się głupio na samo wspomnienie.

– Naprawdę, naprawdę bardzo cię kocham – powiedział.

– Teraz jestem już tego całkiem pewien. Wcześniej miałem wątpliwości.

Piękne wyznanie. Później będzie do niego wracać i cieszyć się nim.

Czuła się fantastycznie: była pełna energii, radości życia i po prostu szczęśliwa. Na podróż ubrała się w skórzane spodnie i bardzo drogi sweter od Josepha, ale na wieszaku w samochodzie wisiał nieco skromniejszy strój: granatowy kostium od Hobbsa i blad różowa bluzeczka z rozcięciem pod szyją. Martha nałożyła jedynie lekki makijaż, nie pomalowała paznokci i miała buty oraz torebkę od LK Bennetta, a nie z bardziej ekskluzywnych półek u Gucciego. Przebrała się na stacji benzynowej piętnaście kilometrów przed Binsmow.

Kiedy weszła do Coach and Horses, Chad już na nią czekał, popijając sok pomarańczowy. Wstał i pocałował ją.

– Podoba mi się twój strój. Jest bardzo dobry. Wyglądasz, jakbyś przyjechała prosto z castingu do roli kandydatki na przyszłą parlamentarzystkę. Zjesz coś?

– Nie, dziękuję. Wolę tonik. Jestem potwornie zdenerwowana.

– To dobrze. Lepiej wypadniesz. Nerwy to bardzo cenna rzecz. Powodują wzrost poziomu adrenaliny we krwi.

– Daj spokój, Chad. Kiedy po raz ostatni byłeś zdenerwowany?

– Przedwczoraj – odparł, zaskakując ją. – Często jest mi niedobrze, gdy czeka mnie wystąpienie w parlamencie.

– Och!

Jego słowa dziwnie dodały jej otuchy.

– Mam nadzieję, że w nocy dobrze odpoczęłaś.

– Bardzo, bardzo dobrze – wyznała.

Poczuła, że się rumieni pod wpływem wyjątkowo żywych wspomnień. Z pewnością przyszła kandydatka do parlamentu nie powinna kilka godzin przed swoją prezentacją leżeć na pięknym, młodym kochanku z głową odrzuconą do tyłu, ciałem wygiętym w łuk, odczuwać słodkiej rozkoszy i wydawać dzikich, szalonych okrzyków namiętności.

– Wspaniale – uściśliła.

Pojawił się wesóły młody człowiek o rumianej twarzy. Nazywał się Colin Black. Miał na sobie tweedowy garnitur i niesamowicie błyszczące buty. Chciał być jej agentem, doradzać w sprawach lokalnych, pomagać podczas wyborów. Poprzednio pracował dla torysów, ale się rozczarował.

– Zrezygnowałem ze współpracy z nimi, bo chciałem działać coś z wami, ludziska – wyjaśnił, uśmiechając się.

Jak się okazało, był stosunkowo dzianym farmerem i miał ukończoną politologię. Martha od razu go polubiła.

– Przepraszam, że nie udało nam się spotkać wcześniej – powiedział. – Wszystko zostało zorganizowane w dużym pośpiechu. Ludzie niecierpliwie na ciebie czekają. Wcześniej spotkali się z trzema innymi kandydatami. Tylko jeden z nich może ewentualnie ci zagrozić. To młody facet. Nauczyciel. Jest jeszcze pewna kobieta, bardzo dobra, ale stanowi dużą niewiadomą. Pochodzi z północy.

Powiedział to tak, jakby północ była równoznaczna z Sodomą i Gomorą.

– Tak czy inaczej, nic więcej nie umiem ci powiedzieć. Życzę szczęścia. Chad na pewno wprowadził cię krótko w temat. Martha przyznała, że tak, ale ze względów taktycznych dodała, że będzie wdzięczna za każdą radę.

– Najlepsza, jaką mogę ci dać, to żebyś jak najmniej korzystała z notatek; żebyś mówiła z pamięci. Wszystko inne sami zobaczą.

– W ogóle nie będę korzystała z notatek – zapewniła Martha. – Mam całość w głowie.

– To świetnie. Chodźmy. Powodzenia.

Po drodze zabrzączał telefon: przyszedł SMS od Eda.

„Życzę szczęścia. Kocham cię. XXX”.

O wpół do trzeciej podjechali pod wysoki budynek przy starym rynku, pokonali schody i weszli do dużej sali, w której wyraźnie zmęczona kobieta w średnim wieku ustawiała krzesła w półokrąg. Chad zaproponował, że jej pomoże. Była skrepowana ich obecnością, a gdy Martha również zgłosiła się do pomocy, sprzątaczką odrzuciła jej ofertę wyraźnie zdegustowana.

Powiedziała, że może przynieść mały stolik na notatki.

– Tamten. Mam nadzieję, że pani wystarczy. Nie ma tu nic innego. Martha zgodziła się.

Salę szybko zapelnili mężczyźni i kobiety, przeważnie w średnim wieku. Byli nastawieni przyjaźnie, ale trzymali się z daleka, uśmiechali się do Marthy, po czym wracali do swoich rozmów. Do przybyszów z Londynu podeszła tylko wyjątkowo puszysta dama i zaczęła rozmawiać z Chadem. W końcu oboje posadzono. Punktualnie o trzeciej puszysta dama, która, jak się okazało, była przewodniczącą, zaklaskała w dłonie i poprosiła przybyłych o zajęcie swoich miejsc. Usiedli w półokręgu, a Martha stanęła przy małym stoliku na środku. Chad gestem ręki poprosił, by usiadła, po czym stojąc obok niej, promiennie uśmiechnięty, wygłosił krótkie przemówienie. Podziękował uczestnikom spotkania, że dali szansę jego partii, nakreślił z grubsza najważniejsze punkty programu Centré Forward i powiedział, że z pewnością przy poparciu takich ludzi jak mieszkańcy Binsmow jego ugrupowaniu uda się w najbliższych wyborach radykalnie zakończyć dominację Tony’ego Blaira. Zebrani siedzieli z kamiennymi twarzami. Potem przyszła kolej na Marthę. Mówiła z dużą swadą i pewnością siebie. Opowiedziała o swoich związkach z Binsmow i wspomniła kilka wydarzeń z dzieciństwa: zakupy na placu targowym, naukę w szkole średniej, pikniki na łąkach za miastem. Miała nadzieję, że wywoła jakąś reakcję. Nic z tego. Zebrani siedzieli i słuchali jej bez wyrazu; nie uśmiechali się ani nie marszczyli czoł. Postanowiła być szczerą, nie udawać, że polityka jest jej życiową pasją – powiedziała wprost, że jej zainteresowanie tą dziedziną zaczęło się rok temu, kiedy podjęła współpracę z partią Centré Forward. Przypomniała, że przed laty doradzała trochę mieszkańcom Binsmow, dzięki czemu poznała problemy normalnych ludzi i wie, jak je rozwiązywać. Opowiedziała o Linie, o swojej rozpaczce z powodu fatalnych warunków mieszkaniowych, kiepskich szkół i wielu innych problemów, z którymi ludzie w rodzaju Liny muszą się borykać. Martha wyznała, że śmierć sprzątaczkki była dla niej punktem zwrotnym i pchnęła ją w stronę polityki. – Barbara Follet powiedziała mi kiedyś, że kobiety wchodzą na polityczną scenę z powodu osobistych doświadczeń, podczas gdy mężczyźni starają się zaspokoić swoje ambicje. Chciałabym zrobić coś, co choćby w minimalnym stopniu poprawi życie ludzi. Spodziewała się, że te słowa wzbudzą jakieś oznaki zainteresowania, ale rozczarowała się. Zaczęła panikować, twardo jednak trzymała się opracowanego scenariusza. Powiedziała, że bardzo odpowiada jej filozofia partii Centré Forward – ludzie ważniejsi niż polityka – a potem zdradziła swój najważniejszy pogląd: że rozbudzone na nowo poczucie wspólnoty może pomóc w rozwiązaniu wielu problemów społecznych. Obiecała również, że jeśli zostanie zaakceptowana, będzie prowadzić bezpłatne doradztwo prawne dla mieszkańców miasta. Zebrani nadal nie okazywali żadnej reakcji, a Martha odczuwała coraz większe przerażenie. Co ona tu, do diabła, robi? Najcięższa potyczka sądowa była o wiele łatwiejsza niż to. Chociaż, z drugiej strony, teraz nie ma już odwrotu. Rób to, co robisz, Martho. Jakimś cudem udało jej się dotrzeć do końca przemowy.

– Bardzo chciałabym pracować dla ludzi z Binsmow i oddać im przynajmniej część tego, co

od nich dostałam.

Gdy skończyła i usiadła, w sali nadal panowała całkowita, denerwująca cisza. Prawniczka nie oczekiwała oklasków, ale liczyła choćby na jakieś pytania.

Poniosłam klęskę – pomyślała zrozpaczona i spojrzała na Chada.

Puścił do niej perskie oko.

– Dobrze – powiedział – myślę, że teraz znacie już z grubsza Marthę i nasz program. Czy macie jakieś pytania albo chcecie dowiedzieć się czegoś więcej?

Przewodnicząca, Geraldine Curtis, uroczo się do niego uśmiechnęła.

– Ja na pewno będę miała. Czy mogę zacząć od podziękowania za ciekawą prezentację? Jestem pewna, że wszystkim się podobała. Pytanie do pani Hartley. Jest pani bardzo młoda i niedoświadczona. Dlaczego pani uważa, że może przejąć nasz okręg wyborczy?

Była na to przygotowana; Chad uprzedził ją, że może paść takie pytanie.

– Sama chciałabym to wiedzieć – odparła z uśmiechem. Po raz pierwszy któryś ze słuchaczy odpowiedział na jej uśmiech. – Rzeczywiście jestem młoda. Niewątpliwie ma to swoje wady: brak doświadczenia i umiejętności politycznych, ale są też dobre tego strony. Jestem świadoma swoich ogromnych zasobów energii. Bardzo, bardzo chcę się uczyć; prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy zacznę. Nie kierują mną żadne uprzedzenia. Mam dociekliwy i bardzo precyzyjny umysł – w końcu jestem prawniczką. Martwię się jednak, iż możecie mnie uznać za arogantkę, która spodziewa się, że wszystko przyjdzie jej łatwo. Mogę was tylko zapewnić, że wcale tak nie jest. Może miarą moich potencjalnych możliwości jest to, że popierają mnie tacy ludzie jak Chad Lawrence, Jack Kirkland i cudowna Janet Frean. Chcę się uczyć, i to szybko; co więcej, sądzę, że potrafię. Pani Curtis znów się uśmiechnęła.

– Trzeba przyznać, że to była szczerza odpowiedź. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Padło kilka. Czy przeprowadzi się do Binsmow? Czy jako osoba samotna i dobrze sytuowana naprawdę rozumie finansowe problemy, z jakimi boryka się większość rodzin? Czy jeśli wyjdzie za mąż i założy rodzinę, nadal będzie parlamentarzystką? Co przyciągnęło ją do partii Centre Forward i co ma do zarzucenia tradycyjnym torysom? („Uważaj na to pytanie – powiedział Chad.

– Na sali z pewnością będzie przynajmniej kilku wątpiacych, gotowych sprzeciwić ci się dla zasady; nie odrzucaj innych poglądów; powiedz, że po prostu tę drogę wybrałaś intuicyjnie, a jako osoba młoda i ambitna uważasz, iż to partia dla ciebie”). Co sądzi na temat szkolnictwa podstawowego? Jak chce reaktywować poczucie wspólnoty, o którym mówiła? Co myśli o obwodnicy? W tym momencie Geraldine Curtis uznała, że pytania stają się zbyt szczegółowe, więc wstała i zaklaskała.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy. Może teraz napilibyśmy się herbaty, Betty, a potem będą państwo mogli porozmawiać z panią Hartley mniej oficjalnie. Bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej dzieciństwa w Binsmow i nauki w szkole średniej.

Berty, sprzątaczką, która wcześniej ustawiała krzesła, zniknęła w głębi korytarza wraz z kilkoma innymi osobami; wrócili z wózkiem, na którym stały filiżanki z herbatą i talerze z

ciastkami. Martha uznała, że ten jeden jedyny raz dodatkowe kalorie na pewno jej nie zaszkodzą, mogą jedynie zadziałać na jej korzyść, więc zjadła kilka herbatników.

Najgorsze, jak uznała Clio, było to, że właściwie nie miała się gdzie podziać. Była osobą bezdomną, przynajmniej na razie. Po chwili zastanowienia pojechała do motelu za miastem i zatrzymała się w nim na noc. Rozgościwszy się w anonimowej maleńkiej beżowej celi, uznała, że pokój idealnie odzwierciedla jej sytuację: jest miejscem, w którym nie ma przeszłości ani przyszłości, jedynie chwila obecna. Ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu przespała kilka godzin, chociaż gdy obudziła się o szóstej, ogarnął ją dojmujący smutek i przerażenie. Co dalej?

Nagle zdała sobie sprawę, że ma bardzo niewiele serdecznych przyjaciół, że, prawdę mówiąc, w ogóle nie może na nikogo liczyć. Nie potrafiła natomiast zrozumieć, dlaczego nie jest nieszczęśliwa. Owszem, przestraszona, tak, samotna i pełna obaw, ale nie nieszczęśliwa.

Wsiadła do samochodu i pojechała – nie wiadomo dlaczego – drogą A3 w stronę Londynu. Miała wrażenie, że to taki sam dobry kierunek jak każdy inny. Kiedy nabrała ochoty na kawę, podjechała pod Little Chef; kawa była wyśmienita, więc zdecydowała się także na tost. Jadła drugi kawałek, kiedy zadzwoniła komórka.

Czyżby Jeremy? Może martwi się o nią? Zastanawia się, gdzie ona jest?

– Clio? Cześć, mówi Jocasta. Właśnie się zastanawiałam, jak się miewasz. Mam nadzieję, że artykuł nie wyrządził zbyt wielu szkód.

– Och – powiedziała Clio beztrąsko – prawie żadnych, jeśli nie liczyć, że w rezultacie odeszłam od męża, nie mam domu i tak dalej. Tylko nie przejmuj się tym, Jocasto, to nie twoja wina.

– O mój Boże! Żartujesz, prawda?

– Nie. Jestem w Little Chef przy A3, nie mam się gdzie podziać i zostało mi tylko to, co na grzbiecie. Och, jestem również bez pracy.

– O mój Boże! Clio, tak mi przykro. To okropne. Jezu! Co się stało? Czy naprawdę aż tak bardzo narozrabiałam?

– Nie, wcale nie – zapewniła Clio z westchnieniem. – To znaczy spełniłaś jedynie rolę katalizatora... choć, prawdę mówiąc, nie tyle ty, co artykuł, ale już wcześniej mieliśmy poważne problemy.

– Jakie problemy?

– Nie chcę o tym mówić, Jocasto. Przepraszam.

W tym momencie zniknęła gdzieś brawura i opanowanie, a Clio wybuchnęła płaczem. Troje klientów Little Chef odwróciło się w jej stronę. Skończyła rozmowę z Jocastą, pobiegła do toalety, zamknęła się w jednej z kabin, usiadła na sedesie, ukryła głowę w dłoniach i długo, bardzo długo płakała.

– Była cudowna. Naprawdę cudowna.

Chad uśmiechnął się do Grace Hartley. Siedzieli w salonie na plebanii, popijali z najlepszej porcelany, a na drewnianej podstawce stało tyle ciast, że można by nimi nakarmić całą partię

Centrę Forward.

– Serdecznie dziękuję, pani Hartley. Ciasto cytrynowe wygląda naprawdę cudownie. Proszę, Martho, spróbuj.

– Martha nigdy niczego nie je – powiedziała Grace z westchnieniem – zwłaszcza moich placków.

– Na zebraniu napychała się herbatnikami. Prawda, Martho?

– Tak. Uznałam, że powinnam.

– Tak samo powinnaś zjeść placek cytrynowy matki. Zechciej się poczęstować.

Martha z rezygnacją wyciągnęła talerzyk; czuła, że polityka dość szybko odbije się na jej wadze.

Chad powiedział, że dobrze się spisała. Ludzie jeszcze przez jakiś czas – prawdopodobnie przez tydzień – będą się wahali.

– Choćby tylko po to, żeby nam pokazać, kto tu rządzi. Kiedy zadzwonił jego telefon, wszyscy podskoczyli.

Chad wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Dzwonił wyraźnie ktoś z komitetu. Tak szybka decyzja musi oznaczać złą wiadomość – pomyślała Martha ze smutkiem. Zrobiło jej się przykro. Zawiodła tam, gdzie naprawdę nie powinna. Tam, gdzie najbardziej jej zależało. Co gorsza, zawiodła publicznie. Wszystkich, ale najbardziej siebie. Będzie potrzebowała długiego czasu, żeby...

Drzwi się otworzyły; Chad uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Mam bardzo, naprawdę bardzo dobrą wiadomość – oznajmił. – Dzwonił Norman Brampton. To nieoficjalne, ale... Martho, chcę, żebyś była ich kandydatką! Zadzwoniła do niego Geraldine Curtis. Wywarłaś na zebranych naprawdę ogromne wrażenie.

– O mój Boże! – jęknęła Martha.

Czuła się cudownie! Nie zawiodła. Nie zrobiła z siebie idiotki. Osiągnęła swój cel. Udało jej się...

– Och, to wspaniale, kochanie – ucieszyła się Grace. – Świetnie się spisałaś. Pozwól, że cię ucałuję.

– Wspaniale – wtórował jej Peter Hartley. – Mądra z ciebie dziewczyna. Musiałaś być naprawdę niesamowita. Jesteśmy z ciebie dumni, Martho. Cieszymy się, że będziesz częściej przyjeżdżać...

– Na razie musicie zatrzymać to dla siebie – przerwał mu Chad. – Norman nie powinien mi tego mówić, ale był pewien... że ci się udało!

Wróciła z Chadem do pubu, by wziąć swój samochód. Nagle stwierdziła, że ma prawie pusty bak; postanowiła, że go napelni jeszcze przed powrotem do rodziców, a potem wybierze się na krótką przejażdżkę. Spróbuje się rozluźnić. Jeden z dystrybutorów był zepsuty; najpierw należało mocno się z nim szarpać, żeby popłynęła benzyna, a potem nagle trysnął paliwem. Cholera! Pochlapała sobie kostium, który przypuszczalnie w najbliższym czasie będzie jej często

potrzebny.

Skończyła napełniać bak i poszła do toalety umyć ręce.

Zgodnie z przewidywaniami było tam brudno, na podłodze leżały porozrzucane ręczniki papierowe i niedopałki, w umywalce wałała się tłusta szmata, a na suszarce – jakiś brukowiec. Kiedy prawniczka włączyła suszarkę, gazeta spadła na podłogę. To odpowiednie miejsce dla takiego szmatławca – pomyślała Martha.

Miała zamiar wyjść, gdy zadzwoniła jej komórka. Wyjmując telefon z torebki, przez przypadek wyrzuciła na podłogę jedną z eleganckich skórzanych rękawiczek.

Szpetnie zakląła, zerknęła na wyświetlacz – to Ed chciał wiedzieć, jak jej poszło – i schyliła się po rękawiczkę. Wtedy ujrzała zdjęcie.

Zwyczajne zdjęcie, chociaż zajmowało prawie jedną czwartą strony. Przedstawiało kobietę w starszym wieku, najwyraźniej w łóżku szpitalnym, i nastolatkę. Kobieta była w lizescie i niestosownych dużych perłowych kolczykach. Dziewczyna z burzą kędzierzawych włosów miała na sobie dzinsową kurtkę i kilka kolczyków w uchu. Obejmowała pacjentkę i uśmiechała się promiennie do obiektywu.

Nad tekstem widniał tytuł: „Co zrobiła Kate”.

Martha przykucnęła, czując, że coś zmuszają do przeczytania i dowiedzenia się, czego naprawdę dokonała Kate. Jak się okazało, zajęła się swoją „ukochaną babcią”, która ciężko zachorowała po spędzeniu dwudziestu godzin na wózku na oddziale nagłych wypadków.

„Wszystko skończyło się szczęśliwie. Pani Jilly Bradford szybko wraca do zdrowia i wychwała pod niebiosa odwagę wnuczki, która dzielnie walczyła z przedstawicielami państwowej opieki zdrowotnej, aby zwrócić ich uwagę na chorą babcię i zapewnić jej niezbędną pomoc. Piętnastoletnia Kate Bianca – jak chce, żeby ją nazywano – ma zamiar zostać modelką. Dlaczego nie dyrektorką szpitala, Kate?”

Martha pochyliła się nad brudnym sedesem i wymiotowała.

Rozdział Piętnasty

Nick nie był zbyt zadowolony, że dawno zapomniana przyjaciółka Jocasty, kobieta, która właśnie porzuciła męża, miała zwalić się im na głowę w spokojny niedzielny poranek.

– Mieliśmy się wybrać do Camden Lock.

– Możemy zabrać ją ze sobą.

– I co? Zabawiać przez całą drogę? Nie ma innych przyjaciół?

– Nie wiem, Nick. Spędziła dwie noce w motelu...

– Rozumiem, ale, moim zdaniem, to dziwne, żeby kobieta nie miała się gdzie podziać, włóczyła się po motelach i w końcu mogła liczyć tylko na kogoś, kogo znała szesnaście lat temu.

– Siedemnaście. Tak czy inaczej, możesz sobie myśleć, co chcesz. Jestem pewna, że ma kogoś, jedynie chce uniknąć długich wyjaśnień.

Clio stanęła pod drzwiami, spojrzała na śliczny mały domek Jocasty i próbowała zdobyć się na odwagę, żeby nacisnąć dzwonek. Co ona tutaj, do diabła, robi? Dlaczego w najgorszej godzinie swojego życia odwiedza kogoś, kto właściwie jest dla niej całkiem obcą osobą? Nagle poczuła się gorzej niż kiedykolwiek. Wszystko dlatego, że Jocasta zadzwoniła w takiej właśnie chwili. Co więcej, była taka miła, taka przyjacielska, tak bardzo się przejęła, że nagle obie uznały to za świetny pomysł. Clio właśnie zastanawiała się nad ucieczką, kiedy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich bardzo wysoki, chudy mężczyzna w stroju do biegania. Uśmiechnął się do niej i zagadnął:

– Pewnie jesteś Clio. Wejdz. Idę pobiegać, żebyście mogły sobie z Jocastą uciąć babską pogawędkę. Mam na imię Nick – dodał i wyciągnął kościstą dłoń. – Nick Marshall. Przyjaciel Jocasty. Zobaczymy się później.

Clio uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję – powiedziała.

Potem uznała, że chyba nie powinna dziękować komuś za to, że wychodzi ze swojego domu. Albo domu swojej dziewczyny.

– Cześć.

Oddalił się długimi susami.

– Wejdz, Clio – zabrzmiał głos Jocasty.

Nagle Clio znalazła się nie tylko w domu przyjaciółki, ale też w jej objęciach, i znów płakała, a Jocasta głaskała ją po głowie i powtarzała pozbawione znaczenia, uspokajające słowa. Potem skierowała się do swojej ciepłej, zabałaganionej kuchni, usadowiła lekarkę przy stole i postawiła przed nią kubek kawy. Clio spojrzała na panią domu i tak samo jak dawno, dawno temu pomyślała, że to zdumiewająca istota. Żałowała, że przez tyle lat nie próbowała odnowić starej znajomości. Następnego dnia Martha, w połowie zadowolona, w połowie zawstydzona sobą, pomyślała, że Chad byłby z niej dumny. Po niespokojnej, pełnej obaw nocy wcześniej wstała, zabrała Bellę, starego labradora, na spacer (licząc, że podczas spotkań z innymi właścicielami

psów będzie mogła porozmawiać o swoich politycznych planach), a potem wraz z całą rodziną przystąpiła do komunii, po której w zakrystii zorganizowano spotkanie przy kawie i herbatnikach. Mówiła, że tak, to prawda, chce zostać lokalną kandydatką partii Centrę Forward, że rzeczywiście ma wsparcie Normana Bramptona, dodawała, że będzie w Binsmow przez cały tydzień, oprócz poniedziałku, i jeśli ktoś zechce porozmawiać z nią szerzej na ten temat, znajdzie ją na plebanii. Powtarzała, że nowa partia przejęła z toryzmu wszystko, co najlepsze, i dodała kilka świeżych, cennych pomysłów, że gdyby jakimś cudem Tony Blair wypadł z gry, Centrę Forward ma bardzo duże szanse, a jeśli kogoś to interesuje, przywiozła ze sobą trochę ulotek. Potem poszła do Normana Bramptona, który siedział w domu wyraźnie znudzony, chociaż żona skakała wokół niego, jak mogła.

– Dałbym wszystko, żeby znaleźć się na twoim miejscu – powiedział – a tak dostaję fioła. Niemniej cieszę się z tego, co się stało: sam z pewnością zagłosowałbym na ciebie, a ty wyraźnie wywarłaś na wszystkich ogromne wrażenie. Jaki jest Jack Kirkland? Zawsze go podziwiałem, ale to człowiek, który trzyma wszystkich na odległość ramienia, prawda?

– Rzeczywiście stanowi swego rodzaju zagadkę – przyznała Martha. – Sprawia wrażenie nieprzystępnego i surowego, ale w rzeczywistości jest niezwykle życzliwy i troskliwy. Fantastycznie spisuje się na sali obrad...

– Widzę, że podchwyciłaś ich żargon – zauważył, uśmiechając się do niej. – Jesteś świetna. Co powiedziałaś na następną kawę, przy której moglibyśmy przedyskutować plany na najbliższy rok? Tak minął dzień.

Poprzedniego wieczoru długo siedziała w zatoczce przy stacji benzynowej, wpatrywała się w zdjęcie, wielokrotnie czytała krótką notatkę i próbowała się uspokoić. Wiedziała, że zachowuje się bezsensownie. Jak historyczka. W kraju na pewno są tysiące... miliony piętnastoletnich dziewcząt. Bez wątplenia kilkaset z nich nosi imię Bianca. Tymczasem ta konkretna, towarzysząca na zdjęciu ukochanej babci (Czy można być aż tak zżytym z adopcyjną babcią? Na pewno nie.) wcale nie miała na imię Bianca, lecz Kate. Bianca to jej drugie imię. O niczym również nie świadczą jej jasne włosy. Gęste, długie i niesforne. Ani to, że dziewczyna ma zaledwie piętnaście lat. Nie, prawie szesnaście. Gdyby tak było, na pewno by o tym napisali. Prawdę mówiąc, sama Kate Bianca powiedziała, że ma szesnaście. Wszystkie dziewczęta w tym wieku chcą uchodzić za starsze, niż są w rzeczywistości. Nie, to śmieszne.

Martha ostrożnie, z wielką rozważą wrzuciła gazetę do kosza na śmieci, napisała SMS-a do Eda – na razie nie miała odwagi z nim porozmawiać – a potem wróciła na plebanie, gdzie razem z matką siedziała przed telewizorem i wysłuchiwała niemającego końca strumienia otepiających bzdur. Tyle że tym razem te bzdury nie zdołały wystarczająco jej otepić. Kiedy poszła do łóżka, wciąż się trzęsła, jakby miała gorączkę. Przyszedł SMS od Eda: „Pozdrowienia dla przyszłej parlamentarzystki.

Kocham Cię, Ed”. Nagle poczuła się o wiele, wiele lepiej. Niestety, nie na długo.

Stała w oknie, spojrzała na rozgwieżdżone niebo i marzyła, żeby noc już dobiegła końca.

Rano będzie lepiej; zawsze rano jest lepiej. Jak często powtarzała to sobie w ciągu minionych szesnastu lat?

– Jesteś pewna, że wszystko będzie dobrze? Jocasta z zamyśleniem spojrzała na Clio.

– Oczywiście. Pojadę do swoich przyjaciół w Guildfordzie i prześpię u nich kilka nocy na rozkładanej kanapie, póki się nie pozbieram.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Oczywiście.

Dzwonił do niej Mark Salter i powiedział, że będzie bardzo, bardzo szczęśliwy, jeśli Clio wróci do pracy w przychodni, ale na razie zgodnie z umową musi na dwa tygodnie zatrudnić osobę, która zgłosiła się na jej miejsce.

– Przykro mi tylko, że wszystko stało się w tak niemiłych dla ciebie okolicznościach.

– Clio – powiedziała Jocasta, ponownie napełniając kieliszek. – Uważam, że powinnaś zostać tu na noc.

– Nie mogę, Jocasto. Co powie na to Nick? Jocasta bacznie jej się przyjrzała.

– Gównu mnie obchodzi, co Nick może mieć do powiedzenia. To mój dom i moje życie. To nie jego sprawa.

– Tak, ale...

– Posłuchaj – przerwała jej Jocasta – po pierwsze, on nie wróci, bo jest teraz u siebie; po drugie, nawet jeśli wróci, wszystko będzie dobrze. To nie lata pięćdziesiąte. Poza tym jeszcze nie zaczęliśmy rozmawiać o Marcie.

– O Marcie!? Widziałaś ją?

– Nie, ale wkrótce nasze ścieżki mogą się przeciąć. Z tego, co mówi Nick, Martha ma zamiar kandydować na parlamentarzystkę. Podobno jest ważną figurą i odnosi sukcesy.

– Hm, nawet przed laty sprawiała wrażenie bardzo ambitnej. Zabawna rzecz ambicja, nie sądzisz? Czasami dochodzę do wniosku, że niektórzy ludzie mają ją w genach. Jak jest w twoim przypadku? Odziedzyczyłaś po przodkach geny ambicji?

– Tak, nawet dość silne. A ty?

– Silniejsze, niż przypuszczałam – wyznała Clio powoli. – To znaczy, bezpośrednio po ślubie z Jeremym myślałam, że uda mi się zrezygnować z wszystkiego, ale tylko tak mi się zdawało. W rzeczywistości byłam zła, że rzuciłam pracę w szpitalu...

– Co tam robiłaś?

– Pracowałam jako lekarz specjalista. Geriatra. Wiem, że to brzmi dość ponuro, ale to cudowna i wyjątkowo satysfakcjonująca praca. Potem doskonale się czułam w roli lekarza pierwszego kontaktu. Byłam nieszczęśliwa, kiedy musiałam zrezygnować z pracy w przychodni. Wcale nie dlatego, że zbiegło się to z rozpadem mojego małżeństwa.

– Co... dalej?

– Na razie... mogę tam wrócić.

– A potem?

– Nie wiem. Aż trudno uwierzyć, ale kilka tygodni temu dowiedziałam się od koleżanki, że w moim szpitalu są dwa wolne etaty i chcę, żebym złożyła podanie. Oczywiście to nie wchodziło wówczas w rachubę, Jeremy był wściekły, gdy usłyszał... Nagle zamilkła, a Jocasta usiłowała powstrzymać się od komentarza na temat Jeremy'ego i jego zachowania. Po chwili spytała:

– A teraz... czemu nie spróbujesz?

– Chyba w tej chwili brak mi odwagi na podjęcie takiego kroku. Mówiąc oględnie, czuję się zbyt słaba.

– Nic dziwnego, ale nie zawsze tak będzie, a może tego właśnie ci potrzeba? Nowych wyzwania, i nie tylko? Może nie powinnaś wracać do Guildfordu, zwłaszcza że jest tam Jeremy. Posłuchaj, a może zadzwoniłabyś do swoich znajomych i powiedziała, że nie przyjeżdżasz dzisiaj na noc? Mamy jeszcze tak dużo do obgadania, poza tym... Clio! – Miała zaczerwienioną twarz. – I tak się tam nie wybierałaś, prawda?

– Prawda – wyznała Clio. – Ale...

– W porządku. Zostajesz. Myślę, że warto otworzyć następną butelkę wina. Chciałabym, żebyś paliła, Clio... przy tobie czuję się potwornie zdemoralizowana.

Przyniosła butelkę wina, otworzyła ją i naląła Clio kieliszek.

– Na zdrowie! Jeszcze raz. Tak się cieszę, że tu jesteś. Na przekór przykrym okolicznościom. A teraz...

Rozległ się głośny dzwonek do drzwi.

– Cholera! – burknęła Jocasta. – Zaczekaj chwilę...

Clio wypila duży łyk wina. Ona również nie chciała spotykać się z nikim innym. Jak przez mgłę słyszała, że Jocasta kogoś wita, potem cicho z nim rozmawia (widocznie wyjaśnia, że ma nietypowego gościa) i w końcu wprowadza do salonu.

– Spójrz, Clio, kto przyszedł! Josh!

Bacznie mu się przyjrzała. Niewiele się zmienił, był prawie taki jak przed laty, tylko trochę przytył, ale nadal miał jasne włosy, błękitne oczy, uroczy uśmiech, przy którym odsłaniał białe zęby i który stał się przyczyną – nawet jeśli tylko pośrednio – wielu jej problemów. Co ona ma teraz zrobić?

Rozdział Szesnasty

– Cześć, Martho! Zgłasza się do ciebie wspomnienie z przeszłości. Tylko mi nie mów, że mnie nie pamiętasz!

Po raz drugi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin Martha miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Tak dobrze знаła ten niski, melodyjny głos. Po raz ostatni słyszała go, gdy wołał ją na zatłoczonym dworcu w Bangkoku.

W przypiływie paniki ruszyła wtedy przed siebie, udając, iż nie widzi ani nie słyszy Jocasta, wpadła w wąską uliczkę i zgubiła się w labiryncie licznych straganów.

– To ty, Martho, prawda? Dostałam twój numer od Chada Lawrence’a. Mówi Jocasta. Jocasta Forbes.

– Jasne, że cię pamiętam. Cieszę się, że cię słyszę. Prawniczka była zdumiona, że jej głos brzmi tak normalnie, sympatycznie i przyjacielsko, ale nic poza tym.

– Bardzo chciałabym się z tobą spotkać, Martho. Wiesz, ostatni weekend był naprawdę dziwny. Spędziłam go z Clio.

– Z Clio Scott?

Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę.

– Tak. Chad powiedział mi, że się do nich przyłączyłaś.

– Nie... na razie tylko o tym myślę.

– Naprawdę? Słyszałam, że jesteś przy szła kandydatką ze swojego rodzinnego miasta.

– Nie! Jeszcze nie. Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać.

– Właśnie dlatego dzwonię, żebyśmy się mogły jakoś umówić. Chad prosił mnie, abym napisała o tobie artykuł.

Boże! Dobry Boże! O co Jocasta może pytać?

– Do gazety?

– Tak. Do „Sketcha”. Pracuję dla nich. Myślałam, że Chad ci powiedział.

Otrząśnij się, Martho, bo inaczej Jocasta uzna, że jesteś kompletną idiotką.

– Co ty na to? To naprawdę podniosłoby twoje notowania.

– Nie jestem pewna, czy chcę, żeby się podnosiły – powiedziała Martha chłodnym tonem.

Po chwili milczenia Jocasta przypomniała jej już nieco innym głosem:

– Jeśli masz zamiar parać się polityką, powinnaś oswoić się z tą myślą. Nie zajdziesz daleko, jeśli będziesz unikać dziennikarzy. Podam ci numer swojej komórki. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała się ze mną spotkać i odpowiedzieć na kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Do artykułu.

– Och, rozumiem. Tak, tak. Hm... Jocasto, naprawdę nie mam na to ochoty. Przykro mi.

– Świetnie. Nie ma sprawy. Na razie.

– Do zobaczenia, Jocasto. Dzięki, że zadzwoniłaś.

– Głupia suka! – warknęła Jocasta, wyłączwszy telefon.

– Jestem ciekaw... jak wyglądają twoje plany.

Clio jeszcze nigdy nie słyszała, by Jeremy mówił takim głosem; bardzo odmienionym, świadczącym o pewnym zdenerwowaniu. Clio stała przy półce z szamponami w Boots; była tak zaskoczona, że niemal upuściła koszyk.

– Jeśli mam być szczerą, jeszcze nie wiem.

– Gdzie... gdzie mieszkasz?

– Wynajęłam mieszkanie w Guildfordzie. Albo przynajmniej wkrótce je wynajmę. Pod koniec tygodnia. Dziś rano podpisałam umowę. Na razie mieszkam u Salterów.

– U Salterów?! Powiedziałaś im o... co się stało?

– Że od ciebie odeszłam? Tak. Musiałam. Posłuchaj, Jeremy, jestem w Boots... to nie miejsce na takie rozmowy. Jeśli naprawdę chcesz ze mną chwilę pogadać, lepiej będzie, jeśli się spotkamy. Była dziwnie spokojna i opanowana.

– Tak. Myślę, że powinniśmy. Może przysłabyś do domu?

– Wolałabym jakiś pub.

– Oczywiście. Co powiesz na „Thursley”? O szóstej?

– Dziś wieczorem? Nie, dzisiaj nie mogę. Przykro mi. Mogła, ale...

– A jutro? Tylko bliżej siódmej, czeka mnie spora liczba operacji. Clio wyłączyła telefon i stanęła w kolejce do kasy; nagle gdzieś pry snęło jej zadowolenie i pewność siebie, a to dopiero początek.

– Cześć Jocasto. Chciałem ci podziękować za wczorajszy wieczór.

– Nie ma za co, Josh. Zawsze możesz liczyć na darmowy posiłek, ale musisz uporządkować swoje życie.

– Wiem, wiem. Bez Beatrice jest mi bardzo trudno, poza tym cholernie tęsknię za dziewczynkami.

– To normalne. Nie sądzę jednak – dodała łagodnie – by naprawdę myślała o rozwodzie. Po prostu próbuje cię czegoś nauczyć.

– Obawiam się, że nie. Była u adwokata.

– O Boże, Josh! Tak mi przykro. Nie powiedziałeś tego wczoraj wieczorem.

– Nie chciałem ze względu na Clio.

– Jest taka słodka, prawda? Naprawdę bardzo, bardzo ją lubię, chociaż wydaje mi się, że przy tobie czuła się trochę niezręcznie. Josh, czy jest coś, co powinnam wiedzieć? O niej i o tobie? Nie... jak by to powiedzieć... nie przespałeś się z nią przez przypadek? Podczas podróży?

– Nie. – W jego głosie słychać było tak szczere oburzenie, że Jocasta mu uwierzyła.

– Przepraszam, po prostu zachowywała się trochę dziwnie, więc mnie to zastanowiło.

– Jocasto, między mną a Clio nigdy nic się nie wydarzyło, rozumiesz?

Martha próbowała popracować, gdy zadzwonił telefon. Tym razem Chad.

– Co jest grane, Martho? – spytał szorstkim głosem. – Dlaczego nie zgodziłaś się na obszerny

artykuł w „Sketchu”? Zwariowałaś? W ten sposób mogłabyś zdobyć setki, a może nawet tysiące głosów. Z całego serca radzę ci umówić się z Jocastą. To szansa na karierę polityczną. Zwłaszcza na twoim etapie.

– Tak, ale...

– Martho, zrób to, dobrze? Ona na pewno nie napisze nic złego na twój temat. Z założenia ma to być czarująca opowieść, nic więcej. Dzieciństwo w Binsmow, wspólna podróż dookoła świata, wspaniały sukces w firmie prawniczej, śmierć sprzątaczkii jako bodziec, żeby zająć się polityką... Nawet gdybyśmy chcieli coś spreparować, nie mogłoby być lepiej. Zadzwoń jak najszybciej do Jocasty a rozmawiając z nią, zdobądź się na nieco więcej pokory... po telefonie do ciebie bardzo kręciła nosem.

– Prawdę mówiąc, Chad... właśnie... właśnie się zastanawiałam, czy... czy...

Wyduś to z siebie, Martho, a będziesz miała całą sprawę z głowy.

– O co chodzi, Martho? Jestem bardzo zajęty.

– Czy nie zmienić zdania.

– Chcesz zmienić zdanie? Wycofać się? – spytał z kompletnym niedowierzaniem.

– Tak.

– Martho, co się z tobą, do jasnej cholery, dzieje? Czy zdajesz sobie sprawę, ile trudu trzeba było, żeby wypchnąć cię na głębokie wody? Że Jack Kirkland osobiście napisał list do wyborców? Że ja poświęciłem ci dużo czasu? Że Norman Brampton musiał się nieźle natrudzić, odbyć wiele rozmów telefonicznych, prawdopodobnie zapracowując sobie na drugi zawał serca? Że ludzie z okręgu wyborczego zostali przekonani nie tylko do poparcia nas, ale i ciebie jako ich kandydatki? Czy wiesz, jaką odwagą musieli się wykazać? Jak możesz bawić się nami wszystkimi jak marionetkami?! Zaczynam uważać, że popełniliśmy poważny błąd.

Milczała; próbowała zdobyć się na odwagę i wykonać ostateczny krok, a jednocześnie zastanawiała się, czego boi się bardziej.

– Muszę kończyć – powiedział. – Spróbuj się pozbierać, Martho, i to szybko. Zdecyduj się w tę lub tamtą stronę.

– Chad...

Niestety, już się rozłączył.

Nieco później telefon odezwał się ponownie. Tym razem dzwoniła Janet Freaan.

– Cześć, Martho. Dzwonię, żeby ci pogratulować. Naprawdę świetnie się spisałaś. Trudno czegoś takiego dokonać, nawet jeśli przez lata tkwi się w tym po uszy. Wiem coś na ten temat.

– Dziękuję, Janet. Wiesz...

– Naprawdę jesteś nam potrzebna. Ludzie cię lubią. Przypuszczam, że w tej chwili przeżywasz poważne rozterki. To całkiem naturalne... każdy je ma. Mnie samą wielokrotnie ogarniała potworna panika. Nie przejmuj się, wkrótce poczujesz się lepiej. Naprawdę. I nie daj się Chadowi. Jeśli masz jakieś problemy, przyjdź do mnie. Dobrze?

Gdybym tylko mogła, Janet. Gdybym tylko mogła!

Następny był email od Jacka Kirklanda.

– „Cześć, Martho. Gratuluję. Świetnie się spisałaś. Wiedziałem, że sobie poradzisz. Przydałaby się nam setka takich ludzi jak ty. Tylko teraz nie spraw nam zawodu. Potrzebujemy Cię, Jack”.

– O Boże! – jęknęła Martha, chwytając się za głowę. Potem znów zadzwonił Chad.

– Kochanie, przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Twoje zdenerwowanie jest całkiem naturalne, naprawdę. Świetnie sobie radzisz. Wszyscy stoimy za tobą murem. W porządku?

– Tak, Chad.

– Grzeczna dziewczynka. Zadzwoń do Jocasty, dobrze? Jak najszybciej.

Boże – pomyślała Martha ze znużeniem – on ma chyba skórę jak całe stado nosorożców.

– Zadzwonię – zapewniła.

Wydawało jej się, że jest skazana na politykę; nie mogła walczyć z tyloma ludźmi.

Kiedy wieczorem wróciła do swojego mieszkania, czekał już na nią list od ojca; od razu rozpoznała jego piękne pismo. Przeczytała ze łzami w oczach.

... Wciąż przychodzą do nas ludzie, którzy mają ogromną nadzieję, że zostaniesz wybrana. Powtarzają, że powinniśmy być z Ciebie bardzo dumni, jesteśmy, kochanie, bardzo, bardzo dumni. I, oczywiście, zachowamy dyskrecję. Oboje serdecznie Cię ściskamy. Do zobaczenia za dzień lub dwa.

Jak miała teraz zawrócić z raz obranej drogi, powiedzieć im, że chce się wycofać?

W końcu dlaczego miałaby zrezygnować? – pomyślała, już nieco spokojniejsza. Staje przed nową, wspaniałą możliwością i bardzo chce ją wykorzystać. Nie może odrzucić takiej szansy. Nie teraz.

Przecież są miliony dziewcząt, miliony...

Jack Kirkland uśmiechnął się do Janet przez biurko i gestem ręki poprosił, by usiadła.

– Dziękuję, że przyszałaś. Chciałem ci o czymś powiedzieć.

Wygląda na to, że udało nam się namówić Eliota Griersa do przejścia na naszą stronę.

– Naprawdę?

Eliot Griers był konserwatystą z Surrey North, miał zwodniczo łagodny głos, był ostry podczas debat, a Iain Duncan Smith obiecał mu miejsce w gabinecie cieni, tyle że nie dotrzymał słowa.

– Tak. Na dodatek jest pewien, że uda mu się namówić swoich wyborców do zmiany partii. Co ty na to? Byłbym bardzo zadowolony. Griers jest mądrym człowiekiem z pierwszej linii, takich nam potrzeba.

– Taak... naturalnie, bardzo się cieszę. Jest bez wątpienia wyjątkowo sprytny. Chociaż trochę mnie zaskoczył, bo gdy po raz ostatni z nim rozmawiałam, wciąż powtarzał, że jesteśmy bardzo odważni, ale nic nie wskazywało, by miał zamiar się do nas przyłączyć.

– Tak, ale potem pominięto go podczas przydzielania funkcji w gabinecie cieni, co go bardzo rozczuliło. Oczywiście, na pewno będzie chciał zająć miejsce w pierwszym szeregu, jak to się

mówi. Jest urodzonym przywódcą. Możemy zrobić wokół niego dużo szumu.

Po krótkiej, ledwo dostrzegalnej przerwie Janet spytała:

– W takim razie powiedz mi... o co chodzi?

– Hm... Griers na pewno będzie się bardzo rzucał w oczy. Nie chciałbym, żebyś poczuła się zepchnięta do drugiej linii. Janet wstała, gwałtownie odsuwając krzesło.

– Jack, miałam nadzieję, że wiesz, iż nie obchodzą mnie takie rozgrywki. Dla mnie liczy się tylko partia i jej sukces. Nie zajmuję się polityką dla korzyści osobistych. Tak przeważnie podchodzą do sprawy kobiety. Mają inne zmartwienia.

– Wszystkie tak mówicie, aleja nie do końca wierzę w czyste intencje. Zawsze uważałem, że jesteś bardzo ambitna, Janet.

– Bo jestem, ale jeśli sądzisz, że zależy mi na jakimś wysokim stołku w jakiegokolwiek partii, jesteś w błędzie. Mam swoje życie. Nie brałam ślubu z Westminsterem.

Słowa Janet zabrzmiały jak lekka drwina, zważywszy na nieudane małżeństwo Kirklanda. Zarumienił się.

– W porządku – powiedział. – Jeśli nie masz nic przeciwko Griersowi, wszystko będzie dobrze. Chciałem tylko, żeby nie było żadnych niedomówień.

– Doceniam to. Przepraszam, Jack. Jestem bardzo zadowolona z decyzji Griersa. – Po chwili wahania dodała: – W jego małżeństwie wszystko jest w porządku, prawda?

– Och, mówisz o tym szumie sprzed kilku lat? To były tylko plotki, Janet, nic więcej. Rozmawiałem z Caroline. To śliczna dziewczyna i bezwarunkowo popiera męża. Podobnie jak ty Griers również ma ciekawą rodzinę, zawsze gotową do pomocy.

– W takim razie wygląda na chodzący ideał – przyznała Janet. – Dzięki, Jack. Naprawdę bardzo sobie cenię twoją przezorność. Cieszę się, że Eliot Griers postanowił przejść na naszą stronę.

Kilka osób z Komisji Praw Człowieka, w której działała Janet Freaan, zauważyło, że tego dnia czołowa działaczka Centre Forward nie była w najlepszym humorze.

– Wspaniale się spisałaś – powiedział Ed – naprawdę wspaniale. Jestem z ciebie bardzo dumny!

Bała się spotkania z nim, obawiała się, że Ed może wyczuć, iż stało się coś złego i coś ją gnębi. Czasami czytał w jej myślach.

– Wcale nie. Przede mną jeszcze długa droga. Może nigdy nie zostaną wybrana, nie...

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał – po prostu jestem dumny, że zdecydowałaś się na ten krok.

– Nie zrobiłabym go bez ciebie – przyznała. – Do dziś bym się wahała.

Był cudowny majowy wieczór, w chłodnym i czystym powietrzu unosiły się resztki wilgoci po niedawnym deszczu. Siedzieli na balkonie Marthy i pili szampana, którego przyniósł Ed.

– Dobrze się czujesz? – spytał nagle. – Sprawiasz wrażenie nieco zdenerwowanej.

– Och... wszystko w porządku. Po prostu... trochę się martwiłam.

– Ale już się nie martwisz?

– Chyba nie, nie – odparła z pewnym zaskoczeniem.

– Widzisz? Tak działa na ciebie moja obecność. Leczy wszelkie zmartwienia. Daj całusa. A teraz... spójrz. Tęcza. Rzeczywiście wielobarwna wstęga opadała z niemal czarnego nieba na błyszczące budynki po drugiej stronie rzeki.

– Nawet gdybym ja nie zdołał cię uspokoić, to powinno ci pomóc. Rozwiąć wszystkie zmartwienia jak chmury na niebie.

– Chmury na niebie. Och, Ed, co ja bym bez ciebie poczęła?

– Nie mam bladego pojęcia – wyznał wyraźnie zadowolony z siebie. – Wiesz, o czym teraz myślę?

– Nie.

– Nigdy nie byłem w łóżku z politykiem. Czy mogłabyś umieścić w swoim programie wyborczym dodatkowy punkt? Seks dla mas?

– Na pewno nie – powiedziała – tylko dla wybranych.

– Masz przed sobą pierwszego z nich. Jest gotów i czeka. Ujęła jego wyciągniętą rękę i ze śmiechem wprowadziła go do środka, myśląc, że Ed również nigdy by się nie zgodził, żeby porzuciła politykę.

Clio uważnie przyjrzała się Jeremy'emu, który właśnie stawiał przed nią szprycer z białego wina; chirurg był błydy i sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

– Jak się miewasz? Czy u Salterów wszystko w porządku? Co im powiedziałaś? O nas?

– Że jesteśmy w separacji. Musiałam. Jak inaczej mogłam im wytłumaczyć, że nie mam gdzie mieszkać i że chcę wrócić do pracy?

– Chcesz wrócić do pracy?

– Tak. Muszę z czegoś żyć, Jeremy. Nie należę do kobiet, które żądają ogromnych pieniędzy za rozwód. Poza tym kocham swoją pracę. Teraz nie ma powodu, żebym ją rzucała.

– Podjęłaś taką decyzję? Bez konsultowania się ze mną?

– A dlaczego miałabym się z tobą konsultować? Przecież jednoznacznie powiedziałeś, że to koniec naszego małżeństwa.

Nie rozumiem, co moja decyzja ma wspólnego z tobą.

– Byłem wtedy... bardzo zdenerwowany – wyznał. – Poza tym chciałbym... żebyś jeszcze się zastanowiła. Żebyśmy oboje się zastanowili.

– To znaczy?

– Uważam, że powinniśmy... że powinniśmy spróbować jeszcze raz.

Spojrzała na niego. Tego z całą pewnością się nie spodziewała.

– Clio, działałem zbyt pochopnie. Powiedziałem wiele przykrych rzeczy, ale naprawdę nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Nie chcę, żeby nasze małżeństwo się rozpadło.

Milczała.

– Więc...

– Na jakich warunkach miałabym wrócić, Jeremy? To znaczy: czy nadal chcesz, żebym rzuciła pracę?

– Nie – szepnął – wcale nie. To było... nierozsądne z mojej strony. Wciąż na niego patrzyła. Czowała się bardzo dziwnie.

– Clio – dodał – nie umiem bez ciebie żyć. Bardzo szybko zrozumiałem, że... że wciąż cię kocham. Chcę, żebyś wróciła. Naprawdę.

Czekał. Clio wciąż bacznie mu się przyglądała.

– Co ty na to?

– Nie... nie jestem pewna – wydukała. – To znaczy jestem trochę zaskoczona. Twierdzisz... że będę mogła nadal pracować i w ogóle?

– Tak, będziesz mogła.

To była kusząca propozycja. Bardzo kusząca.

– Hmm... – zastanawiała się. – Jeśli będę mogła pracować...

– Będziesz mogła pracować, Clio, obiecuję... Urwał i spojrzął na nią.

– Naprawdę?

– Oczywiście, liczę, że to nie potrwa długo. I że wkrótce będziemy mieli dzieci. Tu sprawa jest jasna, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Jestem pewien, że ty też tak uważasz.

Clio uświadomiła sobie, że nadeszła odpowiednia chwila i że nie może dłużej ukrywać prawdy ani oszukiwać Jeremy'ego, zwłaszcza gdy poszedł na tak ogromne ustępstwo.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Jeremy – zaczęła. – Albo prawie niemożliwe. Muszę ci wyznać coś, co powinienesz ode mnie usłyszeć dawno, dawno temu.

– W takim razie porozmawiajmy od razu – rzekł lakonicznie. Clio przysunęła się i usiadła obok Jeremy'ego. Ujęła jego dłoń i chociaż serdecznie mu współczuła, zaskakująco spokojnym głosem zaczęła swą opowieść.

Rozdział Siedemnasty

Clio spojrzała na pozbawione firanek okna i nierozpakowane jeszcze rolety, weszła do kuchni, nastawiła nowy czajnik i zrobiła sobie filiżankę kawy w jednym z nowych kubków, zastanawiając się przez cały czas, jak zdoła przyzwyczaić się do nowego życia. Jeremy całkiem spokojnie przyjął jej opowieść. Słuchał w milczeniu, nie przerywał, a po skończeniu uznał, że naprawdę jedynym rozwiązaniem jest rozwód.

Chciał mieć dzieci, a wszystko wskazywało na to, że Clio nie może mu ich dać. Zatajenie tej prawdy bardzo go dotknęło. Poczul się oszukany i nawet nie próbował szukać jakiegoś rozwiązania. Chlamydia. To ładne słowo. Mogłoby być nawet dziewczęcym imieniem. Z całą pewnością nie pasowało do paskudnej, obrzydliwej choroby. Choroby, z powodu której Clio była bezpłodna.

Oczywiście, wciąż nie miała co do tego całkowitej pewności. Mogła jeszcze żywić pewną nadzieję, ale dwóch ostatnich ginekologów wyraziło poważne wątpliwości. Miała całkowicie zatkałe jajowody. Co więcej, sama była sobie winna. Przespała się z kilkoma mężczyznami, których prawie nie знаła, i złapała okropną, pozbawioną jakichkolwiek symptomów dolegliwość, która zaczęła ją prześladować, gdy było – prawdopodobnie – o wiele za późno, by coś zrobić. Clio niczego nie pragnęła tak bardzo jak własnych dzieci, tymczasem swoim głupim, nieodpowiedzialnym zachowaniem w wieku osiemnastu lat całkowicie przekreśliła tę możliwość. Wszystko zaczęło się podczas wycieczki na wyspę. Bardzo zależało jej wówczas, żeby mężczyzna – jakikolwiek mężczyzna – naprawdę jej zapragnął i uznał za atrakcyjną seksualnie. Dorastała w wyjątkowo mało rozmownej rodzinie, tłamszona przez ojca i starsze siostry, dlatego czuła się brzydsza, głupsza i mniej interesująca, niż naprawdę była. Chodziła do szkoły żeńskiej, nigdy nie udzielała się towarzysko, głównie dlatego, że była nieśmiała i miała sporą nadwagę, a gdy wybierała się na jakąś prywatkę, czuła, że pozostaje w cieniu szczupłych, pewnych siebie dziewcząt, które umiały wykorzystać swoją urodę. Oczywiście, siostry tylko pogarszały sprawę, bo wciąż wygłaszały komentarze na temat jej nadwagi i faktu, że rzadko gdzieś wychodzi, powtarzały, że powinna pokonać swoją nieśmiałość zamiast jej ulegać.

– To jest swego rodzaju zarozumiałość – oświadczyła pewnego razu Artemis – założenie, że wszyscy na ciebie patrzą. Ariadnę poparła siostrę i dodała, że, na litość boską, dlaczego mieliby patrzeć?

– Spróbuj przynajmniej raz zapomnieć o sobie, Clio, i pomyśleć o innych.

W ostatniej klasie miała chłopaka; prawdę mówiąc, niezbyt go lubiła, ale przynajmniej mogła się z nim wybrać do kina i na bal maturalny. Pocałował ją kilka razy, co wcale nie przypadło jej do gustu, ale na tym koniec; na szczęście powiedział Clio, że jest ładna.

Bardziej podobał się jej jego najlepszy przyjaciel, dla którego podjęła nawet dietę odchudzającą, dzięki czemu jeszcze przed wyruszeniem w podróż dookoła świata straciła ponad sześć kilogramów. I chociaż w porównaniu ze swoimi dwiema nowymi przyjaciółkami czuła się

jak szafa trzy drzwiowa – nosiła czternastkę, a one najwyraźniej dziesiątkę – wiedziała, że wygląda o wiele lepiej. W rzeczywistości była prawie ładna. Po przejściu na tajska kuchnię, w której nie było nic tuczącego, Clio pod koniec drugiego tygodnia na Koh Samui zorientowała się, że straciła następne trzy kilogramy. Pewnego ranka dostrzegła swoje odbicie w rozbitym lustrze w czyjejś chacie i doszła do wniosku, że już wcale nie jest gruba; miała włosy rozjaśnione przez słońce, była opalona i... powoli zaczynała nabierać pewności siebie, a przynajmniej rzadziej przeproszała, że żyje. Chociaż jeszcze wiele jej brakowało, żeby poczuć się seksowną. Podczas jednej z imprez w blasku księżyca w Koh Pha Ngan wszyscy mówili jej, że jest cudowna. Wtedy zaczęła poważnie się niepokoić, że wciąż jest dziewicą. Obserwowała kręcących się w ciemności uczestników, wsłuchiwała się w pulsującą muzykę, podziwiała cudowne, szczupłe, opalone ciała, widziała, że wszyscy wspaniale się bawią. Zaczęła się całować z jakimś słodkim chłopcem, który najwyraźniej też nie miał żadnego doświadczenia w dziedzinie seksu, ale skończyło się na pocałunkach, bo jej partner zasnął na piasku po wypaleniu zbyt dużej ilości trawki. Clio nie chciała korzystać z dobrodziejstw marihuany, więc, nieszczęśliwa, wróciła do chaty, położyła się do łóżka i zaczęła rozważać, czy nie wybrać się do Sydney wcześniej, niż zamierzała. Potem z żalem wróciła do spokojnego zacisza Koh Samui.

Tam wydarzyło się coś cudownego. Następnego ranka, gdy siedziała na werandzie chaty i popijała paskudną kawę, nagle ujrzała Josha. Czarującego, seksownego Josha. Wrócił z dalekiej północy. „Było niesamowicie” – powiedział. Przez trzy dni przedzierał się na piechotę przez dżunglę. – Przeważnie pod górę, kilometr po kilometrze, osiem godzin dziennie, w dzikim upale i przy bardzo wysokiej wilgotności.

Chwilami miałem halucynacje, że biorę prysznic i widzę łóżko... Cztery dni płynął łodzią, żeby dotrzeć do wioski poganiaczy słoni, i tam zatrzymał się na kilka dni. Clio zaproponowała mu okropną kawę, potem siedzieli na plaży, a Josh kontynuował opowieść o swojej wyprawie. Powiedział, że ze względu na jasne włosy tubylcy traktowali go jak wybryk natury, wszyscy mieszkańcy wioski przyszli mu się przyjrzeć.

– Siedzieli i głaskali mnie po ramionach, nie mogąc się nadziwić, że są obrośnięte włoskami.

– Bardzo bym chciała tam pojechać – przyznała. Potem, licząc, że to będzie dobra wymówka, by opuścić plażę, powiedziała, iż chciałaby wyruszyć dalej i chętnie pojechałaby na północ.

– Och, ale absolutnie nie możesz wybierać się tam sama – zaprotestował. – To bardzo niebezpieczna wyprawa, trzeba mieć przewodnika i z góry zapłacić za jedzenie i dach nad głową. Można to bez problemów załatwić w Bangkoku. A teraz powiedz, czy masz jakiś kontakt z resztą.

– Nie. Jocasta kilka tygodni temu ruszyła na północ, a Martha wyjechała dwa tygodnie temu. Chyba wybierała się do Phuket.

– To znaczy, że jesteś tu sama?

– Nie, nie całkiem. Mieszkam z dwiema dziewczynami i facetem.

– Czy znasz jakieś miejsce, w którym mógłbym się przespać?

– W moim bungalowu – powiedziała szybko, a potem na myśl, że Josh może potraktować jej słowa jako kuszenie, zarumieniła się. – W tej chwili jest nas czworo, ale jedna osoba się dziś wyprowadza. Moglibyśmy pójść i spytać faceta, który jest właścicielem.

– Świetnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójde sprawdzic kilka rzeczy.

Szybko wrócił. Siedziała i rozmawiała z dwoma tajskimi chłopcami, którzy sprząтали plażę i rozstawiali leżaki, dumni z zawieranych przyjaźni i możliwości zarobienia pieniędzy dla swoich rodzin.

– Cześć. Właśnie się dowiedziałem, że koniecznie trzeba zobaczyć Ang Thong. Park morski. Byłaś tam już?

– Nie, jeszcze nie.

– Wybierz się ze mną. To jednodniowa wycieczka; prom wypływa z Na Thon o wpół do dziewiątej.

Baczenie jej się przyjrzał, przez chwilę nie odrywał od niej swoich zdumiewająco błękitnych oczu, a potem powiedział z uśmiechem na ustach:

– Świetnie wyglądasz, Clio. Pobyt tutaj wyraźnie ci służy. Clio nic nie jadła do końca dnia, nie chcąc, by jej coraz bardziej płaski brzuch nagle znów się zaokrąglił.

Nazajutrz zdenerwowana i podekscytowana przyłączyła się do Josha oraz kilku jego przyjaciół, których poznał poprzedniego wieczoru. Był piękny poranek; świeciło słońce, a na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki, gdy wypływali z portu w stronę archipelagu Ang Thong. Po chwili Josh i jego nowi przyjaciele zasnęli w promieniach słońca, wyciągnięci na twardych ławkach. Clio przezornie ukrywała się pod plandeką; pomimo ciemnych włosów opalała się na czerwono. Gdy Josh obudził się pół godziny później i zobaczył ją siedzącą samotnie z dala od reszty, poklepał ławkę obok siebie.

– Chodź – zaproponował. – Usiądź tu.

Z podniecenia zakręciło jej się w głowie, gdy znalazła się obok niego, a on uśmiechnął się, otoczył ją ramieniem i podał piwo, które pił. Lubił ją! Josh Forbes, cudowny, przecudowny Josh Forbes ją lubił! Podobała mu się! Czowała to. Nie miało nawet znaczenia, że po jego drugiej stronie usiadła inna dziewczyna i że objął również ją, bo po raz pierwszy w życiu Clio podobała się sama sobie i była pewna, że brat Jocasty woli ją.

Gdy prom dotarł do wysp, okazało się, że niektóre z nich są stosunkowo duże i gęsto zarośnięte, inne bardziej przypominają spore głazy wrzucone w morze. Po drodze widzieli bawiące się delfiny, a nad ich głowami stada mew krzyczały na wietrze; bliżej brzegu, w niewiarygodnie czystej wodzie nad rafą koralową pływały ryby we wszystkich kolorach tęczy. To była niesamowita podróż.

Zarzucili kotwicę przy największej z wysp i przesiedli się do niewielkiej łodzi, która zabrała ich na brzeg. Kapitan opowiedział im o wyspie i jej największym wyzwaniu: stromym, pięćsetmetrowym wzniesieniu za plażę.

– Bardzo, bardzo trudno – powiedział. – Żadna niebezpieczeństwo, ale być trudno.

– Wspaniale – oznajmił Josh. – W takim razie idę. Kto pójdzie ze mną?

Clio zgłosiła się pierwsza, ale ku jej rozpaczy w ślad za nią poszli wszyscy pozostali uczestnicy wycieczki. Wspinaczka była niewiarygodnie ciężka, ścieżka prowadziła między gęstymi krzakami i ogromnymi głazami, w górę i w dół; rosnące przy niej drzewa do pewnego stopnia osłaniały przed słońcem, ale nie przed upałem. Dwie dziewczyny szybko się poddały i ze śmiechem zaczęły schodzić w dół, wołając do pozostałych, że są szaleni. Mniej wysportowana od nich Clio szła teraz bezpośrednio za Joshem, i wiedziała, że szybciej umrze, niż zrezygnuje.

Pięła się w górę, chociaż słony pot szczypał ją w oczy, potwornie bolały mięśnie i chwilami wydawało jej się, że umiera. Na szczęście... udało się. Wyłoniła się z cienia i w cudownym, błękitnym świetle pokonała kilka ostatnich metrów, które dzieliły ją od wierzchołka. Wszyscy stali na szczycie, zapominając o zmęczeniu. Dziewczyna czuła się tak, jakby fruwała nad porzucanymi niżej wyspami, tajemniczymi, pięknymi, o nieregularnych kształtach wyrzeźbionych w błękitnie i otoczonych białym piaskiem. Nawet Josh, wyraźnie poruszony przez chwilę oglądał widok w milczeniu, a potem uśmiechnął się do Clio. Żałowała, że jest tak bardzo spocona. Liczyła, że droga w dół będzie łatwa. Przeliczyła się. Coraz bardziej dawało o sobie znać potworne zmęczenie. W miarę zbliżania się do podnóża Clio miała coraz silniejsze zawroty głowy i mdłości, z trudem utrzymywała się na nogach. Dwa razy nawet się poślizgnęła. Na szczęście Josh schodził przed nią. Nie chciała, żeby zobaczył ją w takim stanie.

Na końcu ścieżki, pod palmą, rosło trochę trawy. Clio opadła na nią bez sił. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ukryła głowę w ramionach, obawiając się, że lada chwila zemdleje. Bardzo chciało jej się pić. Wiedziała, że za kilka minut musi zameldować się na łodzi. Wszyscy inni już poszli, ale ona nie była w stanie zrobić ani kroku. Nawet nie miała ochoty.

Nagle usłyszała pełen niepokoju głos Josha:

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak. Dzięki.

– Nie wyglądasz najlepiej. Jesteś zielona.

– Nic mi nie będzie. Usiłowała wstać. Bez skutku.

– Jesteś odwodniona, Clio. Zostań tutaj, zaraz ci coś przyniosę. Po paru minutach był z powrotem. Przyniósł nie tylko wodę, ale też chipsy („potrzebujesz soli”) i colę („przyda ci się trochę cukru”), po czym stał nad nią, gdy wszystko konsumowała. Kapitan zaczął machać ręką, żeby się pospieszyli, Josh odkrzyknął, żeby chwilę zaczekał, i gestem ręki wskazał leżącą Clio. Wszyscy na nią patrzyli. Podejrzewała, że się niecierpliwia, gardzą nią, a co najgorsze – śmieją się z niej.

Powoli odzyskała siły i wsparta na ramieniu Josha z trudem dotarła do łódki. Gdy usiadła na ławce, zrobiło jej się bardzo głupio, więc uśmiechnęła się blado do pozostałych uczestników wyprawy.

– Już wszystko w porządku – oznajmił Josh, pomagając jej wdrapać się po drabinie na prom.

– Lepiej się czujesz?

– Tak – zapewniła. – Dziękuję. Przepraszam.

– Nie bądź głupia. Fantastycznie się spisałaś. Uśmiechnął się do niej.

Spodziewała się, że Josh szybko ją opuści, ale on siedział obok niej, gdy jedli lunch, podeszli również inni, pytali Clio, czy już wszystko dobrze. Czuła się wspaniale, była gotowa śmiać się z radości, że Josh siedzi obok niej, troszczy się o nią i co chwila podaje jej swoją butelkę piwa.

Gdy zatrzymali się na znacznie mniejszej wysepce nazwanej Mae Koh, czekał na nich następny cud.

– I następna wspinaczka, świetnie! – krzyknął Josh.

Tym razem droga była łatwa, prowadziła wąskim parowem, którym dotarli nad uroczne zielono-błękitne jezioro otoczone wysokimi klifami, pełne świeżej morskiej wody z podziemnego tunelu. Miało w sobie coś magicznego. Clio zażartowała, że tylko patrzeć, a z wody wyłoni się im na powitanie jakieś egzotyczne stworzenie morskie. Dwie dziewczyny dziwnie jej się przyjrzały, a potem zmarszczyły czoła. Zrobiło jej się głupio, na szczęście Josh dodał:

– Albo przynajmniej syrena.

Wtedy Clio znów poczuła ogromną radość. Nurkowali z rurką, a potem siedzieli w słońcu na plaży; jedna z dziewcząt puściła w obieg trawkę i tym razem Clio z niej skorzystała – wyraźnie życie bez marihuany było zbyt nudne – zaciągnęła się, poczuła ogarniające ją ciepło i zawroty głowy. Jedna z dziewcząt powędrowała w stronę wody, delikatnie kołysząc drobnymi, idealnymi biodrami.

– Jest miła – powiedziała Clio zazdrosna o biodra.

– Rzeczywiście – przyznał Josh, przygotowując następnego skręta – ale nie taka miła jak ty.

Pocałował ją w czubek głowy. Palili razem przez kilka minut, Clio czuła się coraz cudowniej. Potem Josh zwrócił jej uwagę, że pod wpływem słońca zaczerwieniła się jej skóra.

– Przenieśmy się tam, do tego zagłębienia, które trochę przypomina jaskinię. Tam cię nie spali.

To jej wystarczyło. Wiedziała, że los się do niej uśmiechnął: w końcu pragnął jej jakiś mężczyzna, a ona pragnęła jego. Nagle poczuła się seksowna i pewna siebie. Przecież to za jego namową oddalili się od reszty, więc Josh z pewnością czuł to samo. Odwróciła się do niego, przyciągnęła jego głowę i pocałowała w usta. Zawahał się, a potem odwzajemnił się jej. Miotła ją jednocześnie wiele dziwnych uczuć: wydawało jej się, że istnieje powiązanie między jej ustami a jakimś ciemnym, delikatnym, słodkim miejscem w głębi ciała, miejscem, które wydaje się wibrować przy każdym pocałunku. Serce waliło jej jak młot. Odwróciła się na plecy i próbowała wciągnąć Josha na siebie.

– Hej – zaprotestował delikatnie. – Uważaj, Clio.

Nie miała zamiaru uważać, nie miała zamiaru nad niczym się zastanawiać, po prostu go pragnęła: czuła, że członek mu sztywnieje. Nadal ją całował, ale robił to bardzo delikatnie, a ona

jedną ręką mocno przytrzymała jego głowę, a drugą rozpaczliwie próbowała zdjąć figi od stroju bikini. Nagle Josh przestał ją całować. Może chce zdjąć szorty? Leżała, ciężko dysząc, potem spojrzała na niego, znów przyciągnęła jego głowę, wepchnęła mu język do ust i zastanawiała się, jak dotrzeć do jego członka, skłonić chłopca, żeby się w nią wsunął. Przez cały czas miotano ją dziwne, szalone uczucie. Nagle Josh zeszywniał i odsunął głowę.

– Nie teraz, Clio. Nie nakręcaj się.

Uśmiechnął się do niej niewyraźnie, a ona, pomimo otumanienia narkotykowego i alkoholowego, wiedziała, że Josh jej nie chce – nie chce jej teraz i nigdy nie będzie chciał. Odrzucił ją, odepchnął, jak wszyscy. Zerknawszy mu przez ramię, zobaczyła, że jedna z dziewcząt ze zdumieniem i rozbawieniem obserwuje ich zza kamieni. Clio, zarumieniona ze wstydu i żalu, odwróciła się od Josha, podciągnęła majteczki i tak szybko, jak mogła, wbiegła do morza, nie zważając, że korale kaleczą jej stopy. Gdyby miała odwagę, płynęłaby przed siebie, póki nie zniknęłaby wszystkim z oczu. Niestety, to nie byłoby rozsądne, nie mogła tego zrobić, więc w końcu odwróciła się i zaczęła szukać wzrokiem Josha. Nie zauważyła go na plaży. Szedł w stronę łódki, na którą wracali już wszyscy pozostali. W drodze powrotnej Josh stał z grupką przyjaciół na dziobie promu; zauważył, że Clio na niego zerka, więc pomachał jej niezgrabnie, a potem odwrócił się i spojrzał w morze. Po jakimś czasie przyłączyła się do niego jedna z dziewcząt. Objęła go w pasie i wsunęła rękę do kieszeni jego spodni. Widząc to, Clio poczuła dojmujący ból, jakby miała żywą ranę w żołądku. Powrót ciągnął się bez końca.

Gdy tego wieczoru siedzieli na plaży, stało się, co się miało stać. Jakiś dość miły z wyglądu chłopiec spytał Clio, czy może się do niej przyłączyć, zaproponował drinka, a po chwili zaczął ją całować, muskać piersi i wsuwać dłoń coraz głębiej w jej majtki. Po krótkiej chwili poprowadziła go do chaty, z rozmysłem głośno się śmiejąc po drodze, aby zwrócić uwagę Josha. Przestała się czuć upokorzona i bezwartościowa.

To nie było miłe przeżycie; chłopiec wsunął się w nią o wiele za szybko, co potwornie bolało, ale czuła się uzdrowiona, podbudowana, wręcz dowartościowana. Miała nadzieję, że Josh uświadomi sobie, iż ktoś jej pragnie. Zakładała, że zostanie sam na plaży, w łodzi, a nawet w całej Tajlandii tylko dlatego, że był głupi i ją odtrącił.

W ciągu kilku następnych miesięcy przespała się z wieloma chłopcami, niektórzy z nich byli naprawdę wyjątkowo przystojni i seksowni; czasami sprawiało jej to przyjemność, czasami nie. Liczyło się tylko to, że jej pragnęli. Wydawało jej się, że postępuje jak dziwka, przypuszczała również, że powinna sobą pogardzać, ale tak nie było. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zastanawiała się nad sobą. Po prostu uciekała od pulchnej, tępej, niewinnej istoty, jaką dotychczas była i której tak panicznie się bała, i za każdym razem, kiedy udało jej się z kimś przespać, czuła, że coraz bardziej oddala się od dawnej Clio. Do domu wróciła całkiem odmieniona: była smukła, wręcz chuda, miała rozjaśnione przez słońce włosy i ciemną, bardzo ciemną opaleniznę. Teraz łatwo zwracała na siebie uwagę mężczyzn, ale wciąż się bała, wciąż za wszelką cenę starała się zadowolić innych i wciąż brakowało jej seksualnej pewności siebie. Nowa Clio nawet nie

przypuszczała, że spadek po niebezpiecznie beztroskich dniach kiedyś zniszczy jej przyszłość.

– Chciałam spytać... chciałam cię spytać, czy mogłybyśmy się spotkać.

Tym razem głos Kate był dziwnie roztrzęsiony. Nie udało jej się ukryć zdenerwowania.

– Wybrać się gdzieś na lunch czy coś w tym stylu, tak jak obiecałaś.

– Oczywiście. – Jocasta uśmiechnęła się. – Byłoby cudownie. Kiedy masz czas?

– Zazwyczaj w soboty. Ze względu na szkołę.

– Dzisiaj nie mogę. Może za tydzień? Powiedzmy w „Bhiebird”? Przy King’s Road? Tam jest naprawdę zabawnie, zwłaszcza w soboty.

– Hmm... nie jestem pewna. Czy tam jest bardzo drogo? Jocasta poczuła ucisk serca. Ależ Kate jest dziecinna! Jak mogła nawet myśleć, że... ? Nie pomyślała. W ogóle o tym nie myślała.

– Kate, ja stawiam. Przecież to ja zaproponowałam spotkanie, pamiętasz? Wiesz, gdzie to jest? Przy samym końcu, w pobliżu World’s End.

– Chyba wiem. Na pewno znajdę.

– Grzeczna dziewczynka. Wpół do drugiej?

– Świetnie.

– Jeszcze jedno, Kate... Jocasto, nie rób tego. Nie rób...

– Tak, słucham?

– Kiedy... kiedy obchodzisz urodziny?

– Piętnastego sierpnia. Dlaczego pytasz?

– Och, po prostu zastanawiałam się nad twoją pracą. W porządku. Do zobaczenia w sobotę. Jak czuje się babcia?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Do widzenia, Jocasto.

– Do zobaczenia, Kate.

Po skończeniu rozmowy Jocasta długo wpatrywała się w przestrzeń, potem bardzo, bardzo wolno, jakby coś ją powstrzymywało, weszła do komputerowego archiwum „Sketcha” i wpisała datę piętnasty sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku.

Rozdział Osiemnasty

Carla Giannini redagowała w „Sketchu” dział mody. Doskonale wiedziała, co oznacza moda dla czytelniczek prasy brukowej: że liczy się nie tyle sylwetka, długość spódnicy, materiał czy krój, ile seksowność. Nie zwracała więc uwagi na kolekcje mody i znanych projektantów, natomiast wykorzystywała najlepszych fotografów i kazała im utrwać na kliszy krzykliwe spodnie i suknie od Żary, z Top Shop i Oasis, buty z Office, dzinsy i dzianiny z Gap, a wszystko to na przyjmujących seksowne pozy młodych długonogich modelkach o obfitych biustach i ogromnych oczach.

Carla sama była ciemnooką piękną o dość grubych rysach, w stylu młodej Sophii Loren. Miała swoje biuro na tyłach pokoju redakcji informacyjnej, a biurko Jocasty znajdowało się najbliżej jej drzwi. Nie były co prawda przyjaciółkami, ale chętnie częstowały się nawzajem papierosami, a pod koniec dnia w pobliskiej winiarni porównywały swoje odmienne problemy. Od czasu do czasu Carla zapraszała Jocastę na wyprawę do któregoś z centrów odnowy biologicznej, na przykład Ragdale Hall czy Champneys. Agenci owych ośrodków często zapraszali dziennikarzy na weekend w nadziei, że coś o nich napiszą albo jeszcze lepiej, pokażą zrobione u nich zdjęcia. Największy problem sprawiało Carli poszukiwanie dziewczyn do zdjęć. Lubiała prawdziwe kobiety, chociaż nie wzięte wprost z ulicy, dlatego chętnie zapraszała piosenkarki, aktorki, projektantki, czyli osoby, które mogły się poszczycić czymś więcej niż swoimi rozmiarami i wcześniejszymi sesjami zdjęciowymi. Angażowała przyjaciółki, córki przyjaciółek, siostry swoich chłopaków, nawet własne siostry; w którymś momencie próbowała namówić Jocastę, żeby była jej modelką, ale bez skutku. Kiedy przechodziła w sobotę w porze lunchu obok „Bmebird Cafe”, ujrzała, że Jocasta siedzi przy stoliku i rozmawia z ożywieniem z jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie Carla widziała. Poczwała, że los się do niej uśmiechnął.

Anna Richardson ponownie zadzwoniła do Clio.

– Jutro wyjeżdżamy. Zastanów się nad złożeniem podania do Bayswater. Pytano mnie, czy wspomniałam ci o wolnym etacie. Naprawdę bardzo im na tobie zależy.

Clio powiedziała, że pomyśli. Na pewno. Potem naląła sobie kieliszek wina, aby to uczcić. W końcu ktoś ją chciał. Na dodatek nie jakiś tam szpitalik, tylko jedna z najlepszych klinik w Londynie. Lekarka od razu poczuła się o wiele lepiej. Jak osoba szczęśliwsza. I mądrzejsza.

Po wypiciu następnego kieliszka wina usiadła przy stole i zaczęła pisać list.

– Nie – odparła Jocasta. – Nie, nie i nie, Carlo. Nawet nie próbuj, dobrze?

– Dlaczego, Jocasto? Ona jest fantastyczna. Naprawdę piękna. Proszę. Zabiorę cię na weekend do Babington House. Postawię ci kolację w „Daphne’s”. Pożyczę ci swój zakiet od Chanel...

– Nie – powtórzyła Jocasta.

– Na litość boską, przecież nie sprzedam jej jako białej niewolnicy. Po prostu włożę na nią kilka ciuzzków i zrobię parę zdjęć. Atak swoją drogą: kim ona jest?

– Nie powiem ci. Znajomą.

– Jest chyba za młoda na twoją przyjaciółkę.

– Nie bądź taka niegrzeczna – warknęła Jocasta.

– No cóż, kochanie, w końcu to ty bez przerwy opowiadasz o swoich zmarszczkach. Prawdę mówiąc, jest trochę do ciebie podobna. Mogłaby być twoją młodszą siostrą.

– Taak – przyznała Jocasta, a potem dodała: – Zabawne, Sim powiedział to samo. O cholera!

Spojrzała na Carlę i modliła się, żeby koleżanka nie zwróciła uwagi na jej ostatnie słowa. Niestety, modlitwa Jocasty nie została wysłuchana.

– Sim? Sim Jenkins, fotograf? Jocasto, czy ta dziewczyna ma coś wspólnego z twoim artykułem o starszej pani na szpitalnym wózku? Czy to nie jest jej wnuczka?

– Tak. To ona, ale jej rodzice bardzo jej pilnują, nie chcieli się nawet zgodzić na tamto zdjęcie, poza tym ona nie ma jeszcze szesnastu lat.

– Dlaczego są temu tacy przeciwni?

– Prawdopodobnie nie ufają gazetom. Zresztą mają rację, więc nie podejmuj żadnych działań, Carlo. Absolutnie. Tu chodzi o ludzkie życie, nie o jakieś beznadziejne strony na temat mody.

– Nie redaguję beznadziejnych stron – oświadczyła Carla z godnością.

– Muszę już iść – powiedziała Jocasta, wstając. – Czekaj mnie wywiad z dziewczyną... kobietą, którą kiedyś spotkałam.

Nie znam jej zbyt dobrze. Podróżowałyśmy razem przez kilka dni, gdy miałam osiemnaście lat.

Była zła i zdenerwowana; wmawiała sobie, że wszystko przez wywiad z Marthą, ale dobrze wiedziała, że nie o to chodzi. Tego ranka zadzwonił do niej Gideon Keeble i spytał, czy nie wybrałyby się z nim do Irlandii.

– Co ty na to? Zastanów się. To tylko kilka dni z najbliższym weekendem włącznie.

Jocasta zastanowiła się. Sam pomysł, żeby spędzić trochę czasu w Irlandii, pod tym samym dachem co Gideon Keeble, bardzo jej się podobał. Jej zdaniem Gideon był niesamowicie przystojny. Nie chodziło tylko o aurę, jaką roztaczają wokół siebie wszyscy wpływowi ludzie – kiedy patrzył na nią swoimi zdumiewającymi niebieskimi oczami, po prostu miała ochotę wskoczyć z nim do łóżka. Od razu. Bez zbędnych ceregieli. I była pewna, że on o tym wie.

Boże, bardzo chciała jechać, chciała się zgodzić, ale właśnie... Nick wyjeżdżał. Na cały weekend.

– Nick wyjeżdża na weekend – oznajmiła, zostawiając decyzję Gideonowi.

– W takim razie – odparł, a ona wyczuła, że rozmówca wcale nie ma ochoty jej wyręczać – w takim razie, Jocasto, ostatnie słowo należy do ciebie. Chociaż... bardzo chciałbym cię zobaczyć. Absolutnie pewna, że jeśli pojedzie, nigdy więcej nie spotka się już z Nickiem, wykorzystwała całą siłę woli (znacznie osłabioną, bo przed oczami miała obraz Gideona, a ze słuchawki dobiegał jego głos) i szybko, bardzo szybko powiedziała, nie czekając, aż zmieni zdanie, że raczej nie

powinna.

– Szkoda – rzekł. – Chociaż muszę ci powiedzieć, Jocasto, że twoja odpowiedź bardzo mnie zachęca.

– Dlaczego? – spytała ze śmiechem.

– Hm... gdybyś powiedziała, że pojedziesz, założyłbym, że traktujesz mnie jak miłego starszego dżentelmena, który nie zakłóca spokoju panującego w twoim związku ani w żaden inny sposób nie zaprzęta twojej głowy. Tymczasem chyba oboje podejrzewamy, że prawda wygląda nieco inaczej. Do widzenia, Jocasto. Dziękuję, że zastanowiłaś się nad moim zaproszeniem.

Kiedy się rozłączyła, potrzebowała kilku oddechów, żeby wstać.

– Powiedziałam jej. Powiedziałam jej wszystko, a ona ma sprawdzić, co da się zrobić. Jest naprawdę wspaniała.

– Mówiłam ci.

To Sarah wpadła na pomysł, żeby Kate porozmawiała z Jocasta, opowiedziała jej o wszystkim i pozwoliła napisać na ten temat artykuł. Wtedy może matka zechce się z nią skontaktować. Niestety, pomysł z agencją detektywistyczną nie wypalił.

– Czy twoi rodzice wiedzą o wszystkim? Kate była wyraźnie zbita z tropu.

– Nie. Jocasta rzeczywiście powiedziała, że muszę z nimi porozmawiać, bo nie chciałyby nic robić wbrew ich woli.

– Och, nie przejmowałabym się tym. – Sarah machnęła ręką. – Jest dziennikarką, a wszyscy dziennikarze są gotowi iść po trupach, byle znaleźć odpowiedni, sensacyjny temat. Prawdę mówiąc, Kate, jeśli Jocasta chce napisać o tobie artykuł, zrobi to. Nie będzie czekała na zgodę twojej mamy.

– Może... może rzeczywiście napisze – przyznała Kate. Serce biło jej nieco mocniej niż zazwyczaj.

– Kate, ona na pewno to zrobi. Zresztą o co chodzi? Wydawało mi się, że w końcu po to jej o wszystkim opowiedziałas.

– Tak, to prawda, ale... teraz dochodzę do wniosku, że powinnam wcześniej porozmawiać z mamą. Gdybym tego nie zrobiła, popełniłabym duży błąd. Byłaby naprawdę zła. Jocasta też tak powiedziała – dodała.

– Tylko, Kate, w tym właśnie szkopał, nie sądzisz? Że twoja mama nigdy się na to nie zgodzi.

– Może się zgodzi – mruknęła Kate.

Zaczynała żalować, że opowiedziała o wszystkim Jocaście.

– Tak czy inaczej – dodała – zapewniła mnie, że nie ma zamiaru działać w pośpiechu.

– Wydawało mi się, że ci się śpieszy.

– Och, daj spokój! – jęknęła Kate wyraźnie już poirytowana. – Wszystko zależy od Jocasty, kapujesz? Nie od moich rodziców.

– To właśnie próbuję ci powiedzieć. Tak jest naprawdę i tego przecież chciałaś, Kate!

Zdajesz sobie sprawę, że przy okazji możesz się nawet dowiedzieć, kto jest twoim prawdziwym ojcem?

– Tak – przyznała Kate. – Myślałam o tym. Doszłam do wniosku, że musi być kompletnym dupkiem.

– Jak większość mężczyzn – zapewniła Sarah.

– Cześć.

Kate właśnie czekała na autobus i przeglądała „Heat”. Przed nią stał Nat Tucker. Miał bardzo krótko przycięte czarne włosy, luźne spodnie i biały podkoszulek bez rękawów. Wyglądał fantastycznie. Dlaczego to musiało się zdarzyć właśnie dzisiaj, właśnie tutaj, gdy wciąż miała na sobie szkolny mundur? Dzięki Bogu zdjęła krawat.

– Cześć – powiedziała, zdejmując słuchawki z uszu.

– Jak ci leci? – spytał.

– Świetnie, dzięki.

– Wciąż chodzisz do szkoły?

– Taak. Zdaję egzaminy, więc nie ma innej rady.

– Rzeczywiście nie ma. Podwieźć cię do domu?

– Och... – Z trudem przełknęła ślinę, choćby tylko po to, żeby zyskać nieco na czasie i nie zdradzić nadmiernego zapału. – Hmm... może. Tak. Dzięki.

– Samochód jest tam.

Wskazał łokciem boczną uliczkę i ruszył w tamtą stronę. Kate poszła za nim. To było zdumiewające. Zdumiewające!

– Masz nowe auto – zauważyła, przyglądając się z podziwem.

– Taak. To citroen. Citroen sax bomb.

– Super – powiedziała Kate niepewnie.

– Mój tata wziął go do warsztatu i pozwolił mi go zrobić. Podoba ci się spojler?

– Jasne. To znaczy... twój tata dał ci go za darmo?

– Nie – odparł z oburzeniem. – Przecież u niego pracuję, no nie? No, wskakuj. Daj torbę.

Wrzucił jej torbę do bagażnika, usiadł obok niej i włączył muzykę. Ulicę wypełnił głośny, pulsujący rytm So Solid Crew. Nat zapuścił silnik i ruszył z piskiem opon, niemal ocierając się o krawężnik. Jakaś kobieta w średnim wieku podskoczyła, spojrzała na nich wilkiem i coś krzyknęła. Nat uśmiechnął się promiennie do Kate.

– Nic im się nie podoba, no nie? Wszystkim tym staruszkom. No więc... co masz zamiar robić dalej? Jak już zdasz wszystkie egzaminy?

– Och, sama nie wiem. Chyba pójdę na studia.

– Żartujesz? – spytał z niedowierzaniem. – Skończysz szkołę i pójdziesz znów się uczyć?

– Tak. Dlatego chcę zdobyć dobre oceny.

– Taak? A po co?

– Żeby się dostać na uniwersytet.

– Ale po co? – dociekał, nie kryjąc zaskoczenia. – Ja nawet nie próbowałem kończyć szkoły średniej, a i bez tego mam pracę i kupę szmalu.

– Tak, tylko że ja nie mogę pracować u swojego taty tak jak ty.

Chcę znaleźć zajęcie w jakimś czasopiśmie albo coś w tym rodzaju.

– Jako modelka?

– Nie. Dziennikarka. Dlaczego miałabym być modelką? – spytała, wyciągając nogi i dyskretnie podsuwając wyżej spódniczkę.

– No wiesz... bo nieźle wyglądasz i w ogóle. Mogłabyś w ten sposób zarobić kupę forsy.

Kate milczała. Rzeczywistość przekraczała jej najśmielsze marzenia.

– Gdzie cię podrzucić? – spytał.

– Och... na Franklin Avenue.

– Jak miewa się Sarah? – spytał.

– W porządku.

– Wciąż chodzi do szkoły?

– Taak. Potem ma zamiar pracować na pełnym etacie u fryzjera. Tego, u którego dorabia w soboty.

– Co takiego? Ma zamiar zostać fryzjerką? – spytał z takim niedowierzaniem, jakby Kate powiedziała mu, że Sarah chce wstąpić do zakonu. – Jakie to smutne!

– Co jest smutnego w zawodzie fryzjerki? – spytała Kate, próbując bronić przyjaciółki. – Ona to lubi.

– To niewdzięczna praca – wyjaśnił. – Będzie musiała przez cały dzień skakać wokół starych bab, pytać, czy podoba im się fryzura, czy może chcą poczytać jakiś magazyn i tak dalej. Moja mama jest fryzjerką. Kiedyś, gdy byłem młodszy, często po szkole zaglądałem do niej do zakładu i widziałem, co się dzieje. Okropna praca.

– Sarah to lubi. Dostaje dobre napiwki.

– Taak?

Najwyraźniej nie był zbyt zainteresowany rozmową na temat Sarah. Kate poczuła przypływ nadziei; może pytał tylko z uprzejmości.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Skreślił w jej ulicę i zatrzymał się z piskiem opon, zostawiając grającą muzykę. Kate zauważyła, że babcia wyjrzała przez okno. Boże! Co by było, gdyby wyszła i poprosiła, żeby Kate przedstawiła jej Nata?

– Muszę już iść – powiedziała. – Dzięki, że mnie podrzuciłeś.

– Nie wybrałabyś się gdzieś w sobotę? – spytał. Gdy wysiadała z auta, patrzył na jej nogi.

– Posnuć się po klubach w Brixton?

Kate zarumieniła się z podniecenia.

– Owszem. Dzięki – odparła ze zdumiewającym spokojem.

– Przyjadę po ciebie. Po dziewiątej, zgoda?

– Zgoda.

Ukrywanie emocji i zachowanie całkowitej obojętności kosztowało dziewczynę tyle wysiłku, że z trudem oddychała. Była w połowie ścieżki, gdy Nat zawołał:

– Nie chcesz swojej torby?!

– Och, zapomniałam, dzięki.

Wysiadł z auta, otworzył bagażnik i przerzucił jej torbę przez bramę.

– Cześć. Do zobaczenia.

Kate nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Cześć, Martho. To ja, Jocasta.

– Poznałabym cię – zapewniła Martha, uśmiechając się czarująco.

– Wcale się nie zmieniłaś. Wejdz.

– Chyba się jednak zmieniłam.

Jocasta weszła do wyjątkowo pięknego mieszkania. Jasnopopielata podłoga, białe ściany, ogromne okna, a przy tym ograniczona do minimum liczba czarnych i chromowanych mebli.

– Jak tu ślicznie! – powiedziała.

– Dziękuję. Lubię swoje mieszkanie. Poza tym mam stąd blisko do pracy.

Martha też wyglądała fantastycznie: widać było, że ciężko nad sobą pracuje. Była smukła, bardzo smukła, miała na sobie ciemnozielone spodnie i białą, jedwabną bluzeczkę z lekkim żółtym odcieniem. Jej kremowa skóra prawie w ogóle nie zdradzała śladów makijażu, jeśli nie liczyć odrobiny cienia do powiek i beżowej szminki. Brązowe, proste, lśniące, lekko przyprószone siwizną włosy były upięte w kok.

– Gdzie pracujesz? – spytała dziennikarka.

– Tam. – Martha niewyraźnie machnęła ręką, wskazując świat poniżej.

– Wiem, ale co to za firma? Co konkretnie robisz?

– Jestem współniczką w kancelarii prawniczej w City. Przynajmniej na razie.

Nie podała nazwy.

– Rozumiem. Dobrze się bawisz?

– Nie zawsze, ale lubię to zajęcie. Napijesz się kawy czy czegoś takiego?

– Tak, bardzo proszę.

– Świetnie. Przepraszam na chwilę. Rozgość się. Potrzebny ci stół do pisania?

– Nie, dzięki, poradzę sobie.

Zniknęła. Co za nadęta kretyńka! – pomyślała Jocasta, przypominając sobie inną Marthę, nieco nerwową, skorą do zawierania nowych przyjaźni i trochę zakompleksioną z powodu pochodzenia. Była wtedy bardzo sympatyczna i starała się zadowolić wszystkich; co ją tak bardzo zmieniło? Clio była prawie taka sama jak niegdyś. Zabawna. Naprawdę zabawna.

– Gotowe. Proszę.

Martha pojawiła się z tacą z ciemnego drewna, białymi filiżankami, dzbankiem z mlekiem i miseczką brązowego oraz białego cukru. Jocasta czuła się tak, jakby łąda chwila na stoliku miał

się pojawić rachunek.

– Dzięki. Na zdrowie – powiedziała, unosząc filiżankę. – Cieszę się, że cię widzę.

– Ja też.

Jocasta zauważyła, że Martha nie wykonuje żadnych zbędnych ruchów i jest aż do bólu opanowana. Była też, najwyraźniej, bardzo zaniepokojona. To dziwne u kogoś tak zadowolonego z siebie. No cóż, po co są wywiady? – pomyślała Jocasta. – Żeby dowiadywać się takich rzeczy.

– Jestem ciekawa – spytała prawniczka – co porabia twój brat. Czy został adwokatem?

– O Boże, nie – jęknęła Jocasta. – To by wymagało od niego zbyt dużo ciężkiej pracy. Zajmuje się firmą należącą do rodziny. Jest żonaty... albo prawie. Ma dwie córki. – Uśmiechnęła się do Marthy. – No dobrze, wróćmy do ciebie... poszłaś na uniwersytet w Bristolu, prawda?

– Tak.

– I... podobało ci się tam?

– Bardzo.

– Co skończyłaś?

– Prawo. Posłuchaj... czy to już wywiad? Bo powiedziałam ci już...

– Martho – przerwała jej Jocasta – próbuję nadrobić stracony czas. Jeśli będziesz chciała, opowiem ci wszystko o sobie. I o Clio. Martha chwyciła się tej możliwości.

– Jak miewa się Clio?

– Nie jest zbyt szczęśliwa – zdradziła Jocasta. – Właśnie się rozwodzi. Za to doskonale spisuje się w pracy.

– Jakie to smutne! Mam na myśli jej rozwód. Poznałaś jej męża?

– Nie, ale z jej opowieści wynika, że to potworny dupek. – Uśmiechnęła się promiennie do Marthy. – Jest chirurgiem. Nieznośnym arogantem. Myśli tylko o sobie. Lepiej, że od niego odeszła. Nie uwierzysz, ale go wkurzyłam.

– Mówiłaś, że go nie znasz.

– Bo go nie znam, ale napisałam o jego szpitalu. Długi artykuł, który mu się nie spodobał.

– To chyba normalne – zauważyła Martha.

Sięgnęła po swoją filiżankę kawy. Jej drobna, bardzo zadbana ręka lekko drżała. Jocasta od razu to zauważyła.

– Ale jest taka sama, jak była, nasza kochana, mała Clio.

Pamiętasz, że w drugim dniu pobytu w Bangkoku tak właśnie zaczęłyśmy na nią mówić?

– Nie pamiętam – oznajmiła Martha.

Wyraźnie nie miała zamiaru wracać do wspomnień.

– Udało ci się zrealizować plany, odwiedzić Australię i skończyć podróż w Nowym Jorku?

– Masz zdumiewającą pamięć – przyznała Martha. – Oczywiście, odwiedziłam Australię, ale Stanów właściwie nie widziałam. Posłuchaj, Jocasto, nie chcę być niegrzeczna, ale nie mam zbyt dużo czasu, więc może byśmy zaczęły.

– Oczywiście. Świetnie. W takim razie na początek ustalmy kilka podstawowych faktów.

– Takich jak?

– Och, no wiesz: twój wiek, czym się zajmujesz, co przyciągnęło cię do polityki, i tego typu rzeczy. Potem będziemy mogły omówić szczegóły. Myślę, że to będzie bardzo, bardzo ciekawa historia.

Martha powoli zaczęła się rozluźniać, nabrała pewności siebie, czując, że znów panuje nad sytuacją, i zaprezentowała starannie przygotowaną, ciekawą opowieść, która obejmowała śmierć sprzątaczkę w biurze, dążenie do tego, by w jakiś sposób pomóc innym i dokonać zmian na lepsze, rosnące zaangażowanie w działalność partii Centrę Forward, a wreszcie powrót do korzeni. Jocasta uprzejmie wysłuchała, zadała kilka pytań o Centrę Forward i parlamentarzystów, którzy przeszli na ich stronę, ilu mają jeszcze nadzieję zwerbować do wyborów; poznała nawet niewiarygodnie nudne szczegóły dotyczące samych wyborów. Potem bardzo, bardzo powoli i uparcie zaczęła zgłębiać temat. Zdobyte dotychczas informacje nie uczyniłyby z niej następnej Lyndy LeePotter*. [Lynda LeePotter – felietonistka „Daily Mail” (przyp. tłum.)]

– Wygląda na to, że świetnie sobie radzisz w swojej kancelarii – podsumowała. – Nie będzie ci tego brakowało?

– Pewnie tak, ale sędzę, że warto zaryzykować, jeśli mam szansę pomóc ludziom, choćby odrobinę.

– Miałam na myśli pewne oznaki bogactwa. Widzę, że lubisz drogie ciuchy; potrafisz rozpoznać stroje od Jimmy’ego Choosa czy torebkę od Gucciego.

– Jocasto, sędzę, że to nie ma nic do rzeczy – burknęła Martha, znów wyraźnie podenerwowana.

– Ależ ma! Widocznie polityka bardzo dużo dla ciebie znaczy, skoro jesteś gotowa z tego wszystkiego zrezygnować. Uważam, że to godne pochwały.

– No cóż... – Trochę się rozluźniła. – Jak już ci powiedziałam, cieszyłabym się, gdyby udało mi się czegoś dokonać. Poza tym torebki od Gucciego się nie roztopiają, prawda? Po prostu nie będzie mnie stać na najmodniejsze, to wszystko. Oczywiście, jeśli zostanę wybrana.

– W najbliższym czasie będziesz często jeździć do Suffolku, prawda?

– Tak. Na każdy weekend.

– Jakie masz auto?

– Co... to ma do rzeczy?

– Nic. Po prostu jestem ciekawa, czy będziesz musiała je zmienić. Chad wspomniał, że jeździsz mercedesem kabrioletem, tak?

– Tak. Nie wiem, czy go zmienię. Może.

– A... co z twoim życiem prywatnym?

– Czym? – Oblała się pąsem. – Jocasto...

– Będziesz jeździła do Binsmow. Po prostu przyszło mi na myśl, że jeśli w twoim życiu jest jakiś mężczyzna, może głośno protestować. To dość radykalny krok. Chyba że mieszka w twoim

rodzinnym miasteczku.

– Nie. W moim życiu nie ma mężczyzny. To znaczy... nie ma nikogo ważnego. Tylko kilku dobrych przyjaciół.

– To szczęśliwy zbieg okoliczności. A może wcale nie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

– Po prostu to może być korzystne dla twoich planów politycznych, ale nie chciałabyś kogoś mieć?

– Nie chcę wypowiadać się na ten temat.

– W porządku. Powiedz mi w takim razie, czy zauważyłaś, że polityka jest przesycona seksem. Władza, tajemnice, mężowie z dala od żon, na każdym kroku ponętne sekretarki i dziennikarki. Wyczuwam w tym wszystkim spore napięcie seksualne, chociaż poruszam się tylko po najdalszej orbicie tego światka!

– I pewnie dlatego tak uważasz – oznajmiła Martha chłodno.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że nie mam pod tym względem żadnego doświadczenia.

Jocasta zrezygnowała z drażenia tematu.

– Pamiętam, że kiedy spotkałyśmy się przed laty, byłaś dość nieśmiała. Czym obecnie różnisz się od młodej Marthy? Tej, z którą podróżowałam?

– Jocasta – oświadczyła Martha szorstko – nie chcę rozmawiać na ten temat.

– Dlaczego? To zbyt dobry wątek, Martho, żeby go pomijać. Dzięki temu w oczach czytelników będziesz o wiele ciekawszą i barwniejszą postacią. Z pewnością podróż dookoła świata to jeden z czynników, dzięki którym jesteś obecnie tym, kim jesteś. W moim przypadku tamta wyprawa bardzo mnie zmieniła. Ciebie nie?

– Nie. Na pewno bym tak nie powiedziała. Była wyraźnie wzburzona.

– Posłuchaj... na samym początku zaznaczyłam, że nie chcę, aby w tym artykule były poruszane tematy osobiste.

– Czyżbyś brała wtedy kupę prochów albo coś w tym rodzaju? – spytała Jocasta, wyraźnie zaciekawiona. – Zareczam, że nawet gdyby tak było, na pewno o tym nie wspomnę.

– Nie brałam kupy prochów!

– Bo ja tak – wyznała beztrąsko Jocasta. – Na dodatek chorowałam. Bardzo. Złapałam gorączkę tropikalną, duncę. Nigdy na nią nie chorowałaś? Nie musiałaś korzystać z któregoś z ich szpitali?

– Nie. Nie przebywałam w Tajlandii zbyt długo, szybko wyjechałam do Sydney.

– Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy wyjechałaś do Sydney? Nie rób takiej przerażonej miny, po prostu jestem ciekawa. Ja dotarłam tam w styczniu.

– Naprawdę, nie bardzo pamiętam, Jocasto. To było tak dawno.

– Potem zaliczyłaś Cairns? I tropikalne lasy deszczowe?

– Tak, trochę. Było cudownie.

– Naprawdę uważasz, że ten rok nie miał na ciebie zbyt wielkiego wpływu? Nie ukształtował twoich obecnych poglądów politycznych?

– Nie – zaprzeczyła Martha zdecydowanie. – Pora kończyć, Jocasto. Za minutkę muszę iść...

– Powiedz mi więc, jak wyglądają twoje poglądy polityczne. Możesz mi je streścić?

Prawniczka dała się zaskoczyć nagłym powrotem na bezpieczny grunt.

– Tak, oczywiście. Uważam, że ludziom, wszystkim ludziom, powinno się dać szansę. I to niejedną. Zapewnić dobre wykształcenie, przyzwoitą opiekę zdrowotną, rozsądne warunki życia. Nikogo nie wolno spychać na margines, przekreślać, zostawiać na łasce losu.

– To miłe – przyznała Jocasta, uśmiechając się słodko. – Podoba mi się. Dziękuję. Serdecznie dziękuję, Martho, byłaś wspaniała. Teraz mogę napisać naprawdę dobry artykuł, z którego Chad z pewnością będzie bardzo zadowolony.

– Czy... czy będę mogła go przeczytać? Nim zostanie opublikowany?

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Naczelny na to nie pozwala.

– Dlaczego?

– Gdyby każdy, o kim piszemy, a robimy to codziennie, chciał przeczytać materiał na swój temat i ewentualnie coś w nim zmienić, trzeba by było poprawiać tekst i znów mu go pokazywać, a wtedy nigdy nie udałoby się nam złożyć numeru.

– Myślałam, że w tym konkretnym przypadku jest inaczej – zauważyła Martha szorstko. – Przecież to nie jest wiadomość z ostatniej chwili, nie trzeba z nią zdążyć przed... złożeniem numeru, jak to określiłaś.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie. Artykuł o tobie ma się ukazać w sobotnim magazynie, czyli jutro musi iść na prasę. Przykro mi.

– Jocasto, naprawdę chciałabym go przeczytać – obstawała przy swoim Martha z wyraźnym niepokojem w głosie. – Możesz przesłać mi go przez Internet, a ja odeślę ci go tą samą drogą.

– Prawdę mówiąc, zbyt dużo bym w ten sposób ryzykowała. Co ją tak niepokoi? – zastanawiała się Jocasta. Odtworzyła w myślach całą rozmowę: Martha nie powiedziała niczego, co mogłoby zostać opacznie zrozumiane. Starła się przekazać jak największą ilość informacji przy użyciu jak najmniejszej ilości słów. Prawdę mówiąc, to będzie bardzo nudny artykuł, co wyraźnie niepokoiło dziennikarkę.

– Nie masz się o co martwić – zapewniła. – Byłaś bardzo dyskretna, Martho. Czytelnicy pomyślą, że jesteś czysta jak łza.

– Nie wiem, dlaczego to mówisz – powiedziała Martha, a na jej policzkach pojawiły się wyraźne rumieńce. – Dlaczego nie miałabym być „czysta jak łza”, jak to ujęłaś? Czyżbyś sugerowała... – Urwała i wzięła głęboki wdech. – Mam nadzieję, że nie będziesz sugerować czegoś odwrotnego.

– Ależ skąd! Możesz być spokojna.

Zadzwoniła komórka Marthy; prawniczka od razu ją odebrała.

– Cześć – przywitała kogoś z kamienną twarzą. – Tak, wiem, ale jestem bardzo zajęta. Co takiego? Nie, niecierpliwie czekam. Tak, o ósmej. Nie mogę teraz rozmawiać. Do zobaczenia. Przepraszam, Jocasta – powiedziała.

– W porządku. Kiedy wróciłaś?

– Kiedy wróciłam? Skąd?

– Z podróży – wyjaśniła Jocasta cierpliwie. – Jestem ciekawa, czy robiłaś coś między powrotem do kraju a pójściem na uniwersytet.

– Nie – zapewniła Martha z pewną złością. – Jak miałabym coś robić? Nie było czasu.

– Ale...

– Przepraszam – przerwała jej nagle prawniczka – coś sobie przypominałam.

Wstała i bardzo szybko wyszła z pokoju... Ta reakcja Marthy wystarczyła, by ożywić wspomnienie. Jocasta wróciła do chwili, kiedy wydawało jej się, że popychana i potrącana na zatłoczonej, śmierdzącej ulicy nagle kogoś rozpoznała, ale potem doszła do wniosku, że to musiała być pomyłka.

Martha bardzo długo się nie pojawiała; Jocasta usłyszała wodę spuszczaną w toalecie, a potem płynącą z kranu. Kiedy prawniczka wróciła, miała nałożoną świeżą warstwę szminki i wyraźnie ponownie skropiła się perfumami.

– Przepraszam – powiedziała. – Przypomniałam sobie, że muszę sprawdzić pewien email.

– Nie ma sprawy – rzekła Jocasta. – Muszę już iść. Obiecuję, że w artykule napiszę o tobie same pozytywne rzeczy. O tobie i partii.

– Dziękuję. W porządku. Chyba po prostu muszę ci zaufać.

– Tak. Należałoby jeszcze zrobić ci jakieś ładne zdjęcie. Może przyślę kogoś do twojego biura...

– Nic z tego. Przez najbliższe dwa dni mam spotkanie za spotkaniem.

– W porządku – westchnęła Jocasta. – W takim razie skorzystamy z tego, które dał nam Chad. Do widzenia, Martho. Musimy w jakiś wieczór spotkać się we trójkę: ty, ja i Clio. Szkoda, że straciłyśmy kontakt. Przegapiłyśmy tyle rzeczy, ale teraz... w końcu udało nam się odnaleźć. Podeszła do drzwi, wzięła żakiet i uśmiechnęła się do Marthy.

– Nie martw się o artykuł. Zobaczyła, że prawniczka się rozluźnia.

– Nie będę się martwić – zapewniła i odpowiedziała uśmiechem. Po raz pierwszy wyglądała nieco sympatyczniej, nie tak agresywnie. Jocasta wzięła głęboki wdech. Nadeszła odpowiednia chwila.

– Coś sobie przypominałam – powiedziała. – Nie będę o tym pisać, więc nie rób takiej wystraszonej miny. Nie wróciłaś wtedy przypadkiem do Bangkoku? Prawie rok później? W... zaczekaj, muszę pomyśleć... tak, w czerwcu, pod koniec czerwca? Uśmiech w mgnieniu oka zniknął z twarzy Marthy. Sprawiała wrażenie... złej? Przestraszonej? Nie, gorzej, przerażonej. Zapędzonej w koziego róg. Potem górę wzięła złość.

– Po co miałabym wracać? Nie. Mówiłam ci, że polecałam do Stanów... a stamtąd do

domu...

– W takim razie musiałam się wtedy pomylić – przyznała Jocasta najśłodszy głośem, na jaki było ją stać. – Wydawało mi się, że cię tam widziałam. Wracalam przez Bangkok. Bylam przed dworcem, przed dworcem w Bangkoku. Zawolałam. Głośno, ale ta dziewczyna szybko odeszła i zniknęła.

– To chyba normalne – oświadczyła prawniczka. – Jeśli nie miała na imię Martha.

To na pewno była Martha. W tym momencie Jocasta nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, a jej rozmówczyni dobrze o tym wiedziała. Więc... czemu kłamała?

Rozdział Dziewiętnasty

Kate chyba nigdy w życiu nie była taka zła. Jak oni mogli jej to zrobić?! Jak śmieli?! To największa szansa w całym jej dotychczasowym życiu, a oni wszystko zepsuli.

– Nie mogę uwierzyć – powtarzała. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że robicie mi takie świństwo.

– Nie robimy ci żadnego świństwa, Kate – zapewniła Helen – jedynie próbujemy się o ciebie troszczyć.

– Rozumiem. Dlatego nie pozwalacie mi wyjść na kilka godzin z przyjaciółmi, tak?

– Kate, nie rozmawiamy o wyjściu na kilka godzin z przyjaciółmi – wtrącił Jim. – Powiedziałaś nam, że wybierasz się do klubu w jednej z najniebezpieczniejszych części Londynu z jakimś nierobem...

– On nie jest nierobem! – zaprotestowała ostro Kate. – Pracuje na własne utrzymanie, kapujecie? Zarabia pieniądze, wykonując konkretną pracę. Tego typu rzeczy. Poza tym co wy wiecie o Brixton?

– Że jest tam bardzo... bardzo niebezpiecznie – wyjaśniła Helen.

– Chodzi wam o to, że jest tam dużo ciemnoskórych. Jesteście rasistami, i nie tylko.

– Kate!

– W Brixton są fantastyczne kluby. Sarah często tam bywa. Na litość boską, tato, jak sądzisz, co może mi się tam przydarzyć? Zażyję tabletkę ekstazy i umrę? Zostanę pobita? Skończę na ulicy? Wybieram się tam z Natem. On się mną zaopiekuje.

– Nie – oświadczył zdecydowanie Jim. – Nigdzie z nikim się nie wybierasz. To moje ostatnie słowo.

Kate spojrzała na niego wilkiem i warknęła:

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś takim ignorantem! Potem wyszła z pokoju. Chwilę później cały dom wypełniło dobrze znane dudnienie muzyki.

Jim spojrzał na Helen.

– Zgadzasz się ze mną, prawda? – spytał.

– Oczywiście. To okropna okolica, pełna przestępców... a Kate wciąż jest dzieckiem. Och... cześć, mamusiu. – Zwróciła się do wychodzącej Jilly.

– O co chodzi?

– Kate chce się wybrać do klubu w Brixton – oznajmiła Helen z pewnym ociąganiem.

Wiedziała, jak zareaguje jej matka.

– Naprawdę? A wy, jak przypuszczam, nie chcecie jej puścić.

– Oczywiście.

Jilly westchnęła, odłożyła na bok puszkę ze srebrną przykrywką i usiadła.

– Gdy byłam bardzo młoda, moja matka nie puściła mnie do klubu o nazwie „Bkie Angel”. W tamtych czasach był bardzo popularny... grał tam cudowny czarnoskóry pianista, na którego

mówiono Hutch i który podobno miał romans z księżną Kentu. Tak czy inaczej, wybrałam się tam mniej więcej rok później i jak się okazało, było cicho i spokojnie, a ja miło spędziłam czas. Efekt był jeden – uznałam, że moja matka jest głupia, i straciłam do niej cały szacunek.

– Mamusiu, nie sędzę, żeby kluby w Brixton można było porównać do „Bkie Angel”. To ty zachowujesz się niemądrze.

– To sprawa względna. Z kim Kate chce tam iść?

– Z jakimś okropnym chłopcem, który ma ją tam zawieźć swoim samochodem.

– Nie z tym, który kilka dni temu przywiózł ją do domu? – spytała Jilly. – Jest niesamowicie przystojny. Rozumiem, dlaczego Kate chce z nim iść. Gdybym mogła, sama bym się z nim umówiła. Może to rozwiązałoby problem – dodała. – Mogę iść jako przyzwoitka. Byłoby zabawnie!

– Daj spokój, mamo! – powiedziała Helen ze znużeniem.

Jilly za kilka dni miała wrócić do siebie. Helen nie mogła się już tego doczekać.

Gdy wszyscy poszli spać, Jilly usłyszała, że Kate schodzi na parter. Starsza pani z trudem podniosła się z łóżka w jadalni i powędrowała do kuchni. Nastolatka robiła sobie herbatę.

– Cześć, kochanie. Zrób też dla mnie, dobrze? Przykro mi z powodu twojej nieudanej randki.

Kate odwróciła się w jej stronę z opuchniętą twarzą.

– Och, babciu – westchnęła – co ja mu teraz powiem? Co wymyślić, żeby potem wszyscy się ze mnie nie śmiali?

– Może ci pomogę – zaproponowała Jilly. – Zawsze byłam dobra w wymyślaniu kłamstw.

Opracowały najlepszą z możliwych wersji: że Jilly w najbliższy weekend ma wrócić do siebie, a Helen chce, żeby Kate też wyjechała do Guildfordu i zajęła się babcią. Dziewczyna zadzwoniła do Nata i z trudem przekazała mu swoją wersję, czuła jednak, że nie jest zbyt zachwycony.

– Nie możesz powiedzieć mamie, że się nie zgadzasz? Bo wychodzisz ze mną?

– Nie mogę – odparła Kate ze smutkiem.

– W porządku. Może jeszcze się zobaczymy. Rozłączył się. Kate poszła na piętro i wybuchnęła płaczem.

Nazajutrz szła ulicą ze swoją przyjaciółką, Bernie, kiedy nagle rozległ się pisk opon i dudnienie muzyki; to Nat w swoim saksie bombie.

– Cześć – powiedział.

– Cześć.

– Bern, wybierzesz się gdzieś ze mną w najbliższą sobotę?

– Chętnie. Gdzie?

– Do Brixton.

– Taak. W porządku. Świetnie.

– Cześć. Zobaczymy się później.

Całkowicie zignorował Kate. Tak bardzo udawała obojętność, że odczuwała niemal fizyczny

ból. Zwłaszcza gdy Bernie wyjęła komórkę i pochwaliła się przynajmniej kilkunastu osobom, że Nat zaproponował jej randkę. Kate zastanawiała się, jak to przeżyje. Wszyscy, absolutnie wszyscy dojdą do wniosku, że jest po prostu żalosna.

Nowej partii najbardziej nienawidziło prawe skrzydło torysów. Blair odnosił się do Centre Forward stosunkowo życzliwie. Z jego punktu widzenia wyświadczyli mu przysługę, gdyż osłabili opozycję. Chad Lawrence pierwszy odczuł demonstrowaną niechęć swoich dawnych kolegów, gdy wszedł po lunchu do palarni dla parlamentarzystów – niekwestionowanego królestwa torysów – i wszyscy go zlekceważyli. Pewien sędziwy kolega przypomniał mu, że nie jest już torysem.

– Co więcej, uważamy cię za zdrajcę. Oczywiście, nie możemy zabronić ci wchodzenia do palarni, ale nie będziesz tu mile widziany.

Chad zszedł do Pugin Room, zaskoczony, że tak bardzo go to dotknęło.

Janet Frean piła właśnie herbatę. Chad spytał, czy może się do niej przyłączyć.

– Kilka minut temu dostałem tęgiego kopniaka w palarni dla parlamentarzystów. W mniej lub bardziej oczywisty sposób dano mi do zrozumienia, że nie jestem dżentelmenem.

– Dobry Boże! – jęknęła Janet. – Co dalej... pojedynek na rewolwery o świcie?

– Jasne.

Uśmiechnął się do niej i doszedł do wniosku, że jest bardzo sympatyczna, chociaż jej portret miłej, kochającej żony, obrońcy ludzi starszych i pokrzywdzonych przez los ukrywał fakt, że przy niej Machiavelli był nikiem. Chad zamówił podwójną whisky.

– Nie jest łatwo, prawda? Czasami... – spojrzał na nią... czasami też to czujesz? Gdzieś w głębi duszy?

– Naturalnie. Gdy nie mogę w nocy zasnąć – wyznała Janet – myślę o Partii Socjaldemokratycznej. Podobnie jak my zaczęli fantastycznie, a potem wszystko stracili. – Sięgnęła po jego kieliszek i upiła łyk whisky. – Na szczęście, gdy nastaje dzień, dochodzę do wniosku, że jestem głupią defetystką – Wcale nianie jesteś – zaproponował Chad. – Ja z kolei czasami sobie wyobrażam, że jesteśmy jak Boadicea* [Boadicea – celtycka królowa, która w I w. poprowadziła swoje plemiona przeciwko Rzymianom, przy okazji pałac Camulodunum i Londinum, czyli obecny Colchester i Londyn (przyp. tłum.)] przejeżdżająca przez Westminster Bridge.

Dobrze, że przyłącza się do nas Griers, nie sądzisz? Jest cudownym facetem i ma tęgą głowę.

– Taak...

W jej głosie zabrzmiało coś dziwnego; Chad przyjrzał się jej z napięciem.

– Nie lubisz go?

– Lubię. To czarujący człowiek. Tylko wcale nie byłabym taka pewna jego tęgiej głowy. Och, wiem, że jest fantastyczny podczas debat i w ogóle. Kilka osób zdradziło mi jednak, że wcale nie jest taki dobry, gdy trzeba zakasać rękawy i zabrać się do roboty. Choć może to niesprawiedliwa ocena.

– Mam nadzieję, że tak. Bardziej mnie martwi jego skłonność do opuszczania spodni. Kocha

kobiety. Albo przynajmniej kochał. Tymczasem nam zależy na zachowaniu czystej hipoteki.

– Wspomniałam o tym Jackowi. Zbeształ mnie, że słucham plotek. Tak czy inaczej, uważam, że Griers będzie wspaniałym dodatkiem do naszego zespołu.

– Mam nadzieję.

– Będzie. Odwagi, Chad. Zawsze pojawia się odpowiedni człowiek w odpowiednim czasie.

– Może to być kobieta. Wiem. Naturalnie. Masz rację.

Chris Pollock wpadł jak burza do pokoju redakcji informacyjnej i rzucił Jocaście na biurko kopię jej artykułu.

– Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? To ma być prezentacja sylwetki? Jeśli tak, zamieść swój artykuł w jakiejś innej gazecie. Nie mam zamiaru drukować tego gówna. Jest nudne, bezbarwne i nie zawiera żadnych informacji...

– Tak samo jak jego główna bohaterka – powiedziała Jocasta cicho.

– O co chodzi?

– O nic. Przepraszam, Chris. Mówiąc szczerze, mnie samej też się nie podoba.

– Co ty właściwie zrobiłaś? Skąd wytrzasnęłaś to zdjęcie? Boże, daj mi cierpliwość! Nie puszczę tego, póki nie wyciągniesz z niej czegoś więcej albo nie spojrzysz na wszystko z innej perspektywy. Najlepiej by było, gdybyś zrobiła i jedno, i drugie. Nie mogę tracić więcej czasu, muszę szybko zapełnić czymś wolne miejsce. Jezu!

Wyszedł, krzycząc przez całą salę do fotoreporterów. Po chwili Carla wyłoniła się ze swojego biura.

– O co poszło?

Jocasta opowiedziała jej całą historię. Carla spojrzała na nią z zamyśleniem.

– Pokaż mi zdjęcie.

– Proszę bardzo. W rzeczywistości Martha wygląda tysiąc razy lepiej niż tutaj. Ma świetną figurę.

– Może znajdziemy jakieś rozwiązanie. Mogłaby zostać moją modelką na następny tydzień. Byłoby świetnie. Możemy ją ubrać w strój przyszłego polityka. Wtedy twój artykuł nie będzie miał znaczenia.

– Dzięki – burknęła Jocasta.

– Nie bocz się. Prawdę mówiąc, kochanie, to wspaniały pomysł. Pozwól, że porozmawiam z Chrisem potem będziesz mogła zadzwonić do tej suki.

– Nie wiem, czy się zgodzi – powątpiewała Jocasta.

– Na pewno się zgodzi. Z tego, co powiedziałaś, o to właśnie jej chodzi. O popularność bez bólu.

Carla miała rację. Martha bez problemów zaakceptowała nowy pomysł: tak było bezpieczniej, bez zbędnego wścibstwa. Poza tym może dzięki temu uda jej się wcześniej zobaczyć przygotowany materiał...

– A potem powiedział... – Jocasta urwała i po raz trzeci od dwudziestu minut napełniła sobie

kieliszek. – Potem powiedział, żebym spróbowała zamieścić ten materiał w jakiejś innej gazecie. Mój artykuł wcale nie był taki zły. To niesprawiedliwe, prawda, Nick?

– Chyba trudno mówić o niesprawiedliwości. Sama mówiłaś, skarbie, że napisałaś zły artykuł.

– On nie był zły – uściśliła Jocasta. – Po prostu nie był świetny.

– No właśnie. Pisujesz wspaniałe artykuły, więc każdy musi być świetny. To takie proste.

– Dzięki – powiedziała Jocasta, patrząc na niego wilkiem. – Myślałam, że choć trochę mnie pocieszysz i... uspokoisz. Wcale nie zależy mi na wysłuchiwanym wykładzie na temat standardów obowiązujących w dziennikarstwie. Powinieneś być po mojej stronie, na to przynajmniej liczyłam...

– Jestem po twojej stronie, ale to nie to samo co próba bezstronnego przedyskutowania sytuacji.

– Naprawdę? I kto to mówi? Tyle dni musiałam czekać, żeby się z tobą zobaczyć, tymczasem ty znów spędziłeś weekend ze swoją cholerną matką... To już drugi tydzień z rzędu.

– Każdy z innego powodu. Pierwszy – urodzin Ruperta, a drugi – rocznicy ślubu mamy i taty. Ciebie też zaprosili. I prawdę mówiąc, trudno mi było wyjaśnić, dlaczego po raz drugi nie mogłaś przyjechać.

Więc po to odrzuciła propozycję Gideona Keeble'a i oparła się życiowej pokusie?

– Przykro mi, Nick. Przepraszam, że utrudniam ci życie. Po prostu nie przepadam za siedzeniem w zimnej jak lodówka jadalni i słuchaniem jak wszyscy rozmawiają o polowaniu i łowieniu łososi.

– Jocasto, jesteś podła.

– Bo podle się czuję. Ty też nie byłeś zbyt miły, kiedy mi powiedziałeś, że nie powinnam pisać kiepskich artykułów.

– Niczego takiego nie powiedziałem. Nie opowiadaj głupot.

– Och, na litość boską – westchnęła Jocasta – może już lepiej idź? Wróc do mamusi? Jestem pewna, że wolałbyś być u niej.

– Jocasto, proszę... – Uśmiechnął się do niej. – Jesteś śmieszna. Chodź do mnie, chciałbym cię przytulić.

– Nie chcę, żebyś mnie przytulał – burknęła i ku swojemu przerażeniu zaczęła płakać. – Chcę, żebyś mnie wspierał. Chcę, żebyś był przy mnie, kiedy cię potrzebuję...

– Jestem przy tobie.

– Wcale nie, Nick! Po prostu chodzisz swoimi ścieżkami, robisz to, co ci się żywnie podoba, pracujesz dzień i noc, spotykasz się z przyjaciółmi, jeździsz do mamusi, a u mnie pojawia się tylko wtedy, gdy masz ochotę na seks!

– Nie powinnaś tak mówić!

– Ale to prawda. Mam tego dość. Gdyby rzeczywiście ci na mnie zależało, do tego czasu już byś się na coś zdecydował...

– Och, więc znów o to chodzi. Żebym przykleknął i włożył ci pierścionek na palec.

– Nie. Nie całkiem, ale...

– Jocasto, wciąż ci powtarzam. Przepraszam. Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie jestem do tego jeszcze...

– Gotowy. A kiedy będziesz? Gdy skończysz czterdzieści lat? Może pięćdziesiąt? Od tego wszystkiego robi mi się niedobrze, Nick, naprawdę. Czuję, że tak mało dla ciebie znaczę...

– Przykro mi to słyszeć – powiedział, wstając i biorąc kluczyki od samochodu.

– Dokąd się wybierasz?

– Do domu. Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać.

– W porządku.

Wyszedł, ale nie trzasnął drzwiami, jak zrobiłaby to Jocasta, tylko cicho i ostrożnie je zamknął. Dziennikarka wzięła do ręki ciężką szklaną popielniczkę i rzuciła nią w drzwi. Pocisk odłupał kawałek drewna, po czym spadł na wyłożoną kafelkami podłogę i rozbił się. Jocasta stała i patrzyła na okruchy. Nagle zadzwoniła komórka. Sprawdziła, kto to taki: Chris Pollock. Co znowu?

– To ty, Jocasto? Chcę, żebyś jak najszybciej wsiadła do samolotu do Dublina. Jeśli zdołasz, jeszcze dziś wieczorem. Córka Gideona Keeble'a uciekła ze szkoły z jakimś muzykiem rockowym. Znasz Keeble'a. Nie wracaj, póki nie dowiesz się wszystkiego, dobrze? Tylko nie chcę dostać następnych nudnych wywodów jak te na temat Marthy Jakiejśtam.

– Nie dostaniesz – obiecała Jocasta.

Kate przeżywała jeden z najdłuższych dni, jakie w życiu pamiętała. I najsmutniejszych. Był chyba jeszcze gorszy od tego, kiedy rodzice powiedzieli jej, że nigdzie nie pójdzie. Bernie bez przerwy opowiadała, jak świetnie bawiła się z Natem. Nie szczędziła informacji o tym, że zawiózł ją do Brixton swoim saxem bombą, że fantastycznie wyglądał w modnych, zbyt obszernych spodniach i kamizelce, że dobrze, naprawdę bardzo dobrze tańczył i że byli w klubie do piątej nad ranem, a potem... Resztę przekazywała już tylko szeptem do różnych uszu, a jej słowom towarzyszyły przenikliwe piski i chichoty. Gdy Kate wróciła do domu, była wściekła i pełna żalu, irytowały ją nawet taktowne pytania babci.

– Wszyscy się świetnie bawili, babciu, a ja nie, kapujesz? Poszła do swojego pokoju, włączyła radio i położyła się na łóżku. To było niesprawiedliwe. Potwornie, potwornie niesprawiedliwe. Życie jest gównno warte. Teraz już Nat nigdy nie zaproponuje jej wyprawy do klubu. Została napiętnowana jako żalosna, godna politowania istota, która wciąż siedzi pod pantoflem rodziców. Nienawidziła wszystkich. Nienawidziła rodziców, nienawidziła Juliet, która właśnie z zapalem ćwiczyła na skrzypcach, prawie nienawidziła babci, która kręciła się przy niej, próbowała pocieszać, udawała, że rozumie, i opowiadała o jakimś gównianym klubie, którego nie pozwolono jej odwiedzić, gdy była młoda. Nikt nie stanął po jej stronie, opuściła ją nawet Sarah, tymczasem Kate nie była ani o krok bliżej znalezienia matki. Chyba nawet Jocasta o niej zapomniała. Od wspólnego lunchu minęły dwa tygodnie, a dziennikarka nie dała znaku życia.

Jeśli nie miała zamiaru jej pomóc, nie powinna zgadzać się na spotkanie... Kate, zła również na Jocastę, postanowiła do niej zadzwonić. Wybrała numer komórki. Była chyba wyłączona. To dziwne, bo dziennikarka twierdziła, że to jej najcenniejszy przedmiot i że bez telefonu nie mogłaby wykonywać swojej pracy. Może jest poza zasięgiem. Albo... siedzi w redakcji. Warto spróbować. Telefon dzwonił i dzwonił. Długo nikt go nie odbierał. Widocznie Jocasta wyjechała gdzieś w poszukiwaniu tematu do następnego artykułu. Jakie to typowe – pomyślała Kate. – Zawsze prześladowuje mnie pech. Właśnie miała zrezygnować, gdy usłyszała w słuchawce:

– Halo? Tu telefon pani Forbes.

– O, cześć – wydukała Kate, nagle dziwnie zdenerwowana. – Czy Jocasta jest gdzieś pod ręką?

– Nie, przykro mi. Wyjechała na kilka dni.

Kobieta miała miły, niski głos z lekkim obcym akcentem.

– Mogę przekazać jej wiadomość.

– Nie, dziękuję. Zadzwonię za kilka dni. Może jej pani powiedzieć tylko, że dzwoniła Kate.

– Kate? Kate Moss?

– Chciałabym – odparła Kate.

– Przepraszam. Masz trochę podobny głos. Jaka Kate?

– Kate Tarrant.

Po krótkiej chwili nieznajoma spytała:

– Ta dziewczyna od babci? W szpitalu?

– Taak.

– Jak czuje się twoja babcia?

– Och... dobrze, dziękuję.

– Cieszę się. Widziałam cię jakiś czas temu, jak jadłaś lunch z Jocastą w „Bhiebird”. Chciałabym się z tobą spotkać. Powiedziałam Jocaście, że mogłabyś zostać jedną z moich modelek. Nazywam się Carla Giannini, redaguję dział mody w „Sketchu”.

– Naprawdę? – Kate czuła, że serce wali jej w piersiach. – Naprawdę tak pani uważa?

– Przypuszczalnie jesteś bardzo fotogeniczna, ale nie mogę mieć co do tego pewności, póki nie zrobię kilku zdjęć próbnych. Sądzę jednak, że to więcej niż możliwe. Powinnaś kiedyś mnie odwiedzić. Chciałabym cię poznać. Jesteś odważną dziewczyną, samotnie podjęłaś walkę z państwową opieką zdrowotną! Roześmiała się gardłowo, z lekką chrypką. Kate poczuła, że kręci jej się w głowie.

– Naprawdę tak pani sądzi? Że powinniśmy się spotkać?

– Oczywiście. Posłuchaj, zastanów się nad tym i zadzwoń do mnie. Może jutro? Podam ci swój bezpośredni numer.

– Taaak. Byłoby wspaniale! Dzięki.

Hurra! Hiphiphurra! Super! Wspaniale! Dzięki temu może Nat zmienić zdanie na jej temat. Zostanie modelką. Pojawi się w gazetach. Super! O mój Boże! Kate ze śpiewem zeszła na parter.

– Cześć, mamó. Napijesz się herbaty?

Carla odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do siebie. Dobrze.

Bardzo dobrze. Nie miała wątpliwości, że Kate zechce się z nią spotkać. Oczywiście, Jocasta będzie zła, ale przecież nie ma prawa wyłączności do dziewczyny, a Carla musi zapełnić czymś swoje strony.

Zgodnie z przypuszczeniami Carli dziewczyna zadzwoniła pół godziny później z pytaniem, czy może przyjść następnego dnia po szkole.

– Mogę być koło piątej, wpół do szóstej.

Carla stwierdziła, że bardzo jej to odpowiada, i od razu zadzwoniła do Marca Jonesa, seksownego młodego fotografa, z którego usług po raz pierwszy korzystała tydzień temu. Poprosiła go, żeby przyszedł i zrobił Kate kilka próbnych zdjęć. Jocasta stała w bramie wspaniałego domu Gideona Keeble'a i czekała wraz z dwudziestoma kilkoma innymi reporterami, dużą grupką fotografów, kamerzystów i policjantów na służbie. Czekala od dwunastu godzin. W gronie dziennikarzy panowały miłe stosunki, mijał czas, ludzie częstowali się nawzajem papierosami i czekoladą, dzielili się wrażeniami i okruchami informacji, które udało im się zdobyć. Była to gra, która nosiła nazwę „hojność”, i obowiązywała zazwyczaj dopóty, dopóki komuś nie udało się dowiedzieć czegoś ważnego albo uzyskać wyłączności. Tym już nikt nie miał zamiaru się dzielić.

Dungarven House stał na szczycie wzgórza; co jakiś czas ktoś podchodził do zamkniętej bramy, zerkał przez nią, co nic nie dawało, bo podjazd skręcał na prawo od dwóch stróżówek i znikał za wysokim żywopłotem, a na lewo rósł gęsty las. Gideon Keeble był w domu, przyjechał poprzedniego wieczoru. Wyglądał dość ponuro i od jego wjazdu nie otwierano bramy. Miejscowy dziennikarz zapewnił, że do posiadłości nie prowadzi inna droga, a jakiś przedsiębiorczy reporter, nie dając wiary jego słowom, objechał cały teren na rowerze. Doniósł, że jest tylko kilka małych furtek w prawie czterometrowym murze i wszystkie są pozamykane na ogromne kłódki, a prowadzą do nich jedynie wyboiste polne trakty. Na południowym krańcu ziemia Keeble'a graniczyła z jeziorem, które można było pokonać tylko łódką. Dungarven House przypominał fortecę.

Co godzina otrzymywali przez krótkofalówkę tę samą wiadomość, że Fionnuala Keeble, piękna piętnastoletnia córka bilionera Gideona Keeble'a, uciekła ze szkoły u zakonnic z muzykiem rockowym Zebedee i jeszcze jej nie znaleziono. Matka, obecnie lady Carlingford, była w drodze z Barbadosu, gdzie teraz mieszkała, i nie udzielała żadnych informacji. Panowało powszechne przekonanie, że gdy Fionnuala zostanie odnaleziona, przywiozą ją do ojca do Dungarven House. Jocasta znaczną część z minionych dwunastu godzin spędziła, próbując dodzwonić się na prywatny numer Gideona, ale czarujący, miły i gościnny Gideon Keeble, który jeszcze nie tak dawno dzwonił bezpośrednio na jej komórkę, obecnie odgradził się od całego świata, a automat informował jedynie, że pan Keeble jest w tej chwili nieosiągalny, i proponował, aby zadzwonić później; nie było nawet możliwości, żeby zostawić mu jakąś

wiadomość. Powtarzało się to w przypadku wszystkich jego numerów służbowych. Również Internet okazał się nieskuteczny. Jedyne adresy, jakie posiadali dziennikarze, był adresem jego biura w Londynie, ale chociaż Jocasta wysłała uroczego maila, nic nie wskórała. Nie miała o to pretensji do Gideona. Czuli się podle, że musi prosić.

Co jakiś czas wracała do wynajętego samochodu, który zaparkowała pół kilometra od bramy, żeby sprawdzić emaile. Kiedy nad okolicą zaczęła zapadać ciemność, dziennikarka mogła sobie tylko wyobrazić, jaki strach i złość musi odczuwać Gideon Keeble po zniknięciu jedynej i ukochanej córki. Spojrzała na ekran, zapisała swoje myśli i westchnęła. To nie uratuje jej w oczach Chrisa Pollocka. Daj mi szansę – modliła się, spoglądając na wschodzący księżyc – proszę, daj mi szansę. Boże, znów chciało jej się sikać. Musi poszukać jakichś krzaków. Nie powinna pić tyle kawy. Przeszła kawalek polną drogą, a potem przecięła wrzosowisko i skierowała się w stronę niewielkiego zagłębienia; tu było bezpieczniej, z dala od dobrodusznych, sprośnych komentarzy kolegów po fachu. Szybko się podniosła i podciągnęła spodnie; było bardzo zimno. Może powinna wybrać się na następny spacer i trochę się poruszać? Jeśli pójdzie tą drogą, na pewno się nie zgubi. Wyruszyła energicznym krokiem; po jakichś dziesięciu minutach zauważyła małe światełko, które zbliżało się w jej stronę. Posuwało się miarowo, ale z pewnością nie było to auto. Więc co? Rower! Ktoś jechał pod górę. Może to ktoś, kto pracuje na terenie posiadłości? Tylko dlaczego jedzie o tej porze w tamtą stronę? Zaczekała, niemal wstrzymując oddech. Nagle światełko zakołysało się i zniknęło. Nie, po prostu rowerzysta skręcił gwałtownie w prawo. Tylne światełko podskakiwało w górę i w dół, ale miarowo posuwało się do przodu; to znaczy, że musi tam być jakaś droga. Jocasta postanowiła podążyć za rowerem. Prawdopodobnie daremny trud, ale... Nagle rozległ się przytłumiony krzyk, przekleństwo i światełko zgasło. Jocasta podeszła nieufnie do ciemnej kupki, którą tworzył rower i rowerzysta.

– Hej! – zawołała. – Nic ci się nie stało? Cisza.

– Jest tu ktoś? Nic.

Dziennikarka coraz bardziej zbliżała się do stertki, która powoli nabierała kształtu. Jak się okazało, był to mniej więcej piętnastoletni chłopiec. Siedział na ziemi i rozmasowywał kostkę. Miał ze sobą płócienną torbę.

– Nic ci się nie stało? – powtórzyła.

– Nic – odparł z wyraźnym naciskiem.

– To dobrze. Myślałam, że się potłukłeś. To nie najlepsze miejsce na wycieczkę rowerową. Próbował wstać, ale tylko się skrzywił.

– Cholera! – burknął. – Niech to wszyscy diabli!

– Potłukłeś się. Mam sprawdzić, czy sobie nic nie zrobiłeś? Potrząsnął przecząco głową.

– Miła noc na przejażdżkę – zagała. Brak odpowiedzi.

– Jedziesz pod górę, do rezydencji?

– Nie. Do domu.

– Gdzie on jest?

– Tam, w dole. Wskazała na ciemność.

– Dziwne, wydawało mi się, że jechałeś w przeciwnym kierunku – zauważyła. – W takim stanie nie dojedziesz do domu. Podwieźć cię?

– Nie, dzięki. – Zerknął na nią. – Jest pani dziennikarką?

– Uhm.

Zawahał się, a potem spytał:

– Ale nie napisze pani o mnie?

– Kto wie? – odparła Jocasta spokojnie. – To zależy.

– Od czego?

– Na razie pozwól, że przyjrzę się twojej kostce. Popatrzył na nią ponuro, a potem wysunął nogę w stronę Jocasty.

Najpierw ostrożnie ją obmacała, a następnie bardzo, bardzo powoli i delikatnie poruszyła ją. Nie wyglądała na złamaną.

– Wydaje mi się, że po prostu paskudnie ją sobie skręciłeś. Masz jakieś światło?

– Tylko przy rowerze.

– W porządku. Pozwól, że się przyjrzę...

Dzięki lampce rowerowej kobieta oświetliła kostkę chłopca. Noga już zaczynała puchnąć.

– Na pewno nie chcesz, żebym odwiozła cię do domu?

– Poradzę sobie. Przez całą drogę do wioski będę miał z górki, wystarczy, że wsiądę na rower.

– Szkoda. – Spojrzała na niego z zamyśleniem.

– Dobra noc na kłusowanie, prawda? Księżyc niezbyt jasno świeci, ale daje wystarczająco dużo światła.

– Nie kłusuję!

– Czyżby? No tak, teraz już na pewno nie – przyznała Jocasta. – Chyba lepiej będzie, jeśli odwiozę cię do domu. Słowo honoru, że nikomu nie powiem.

– Naprawdę?

Pomimo nikłego światła było widać, że w oczach chłopca pojawił się strach.

– Mama spuściłaby mi tęgie lanie.

– Miałaby rację. A ojciec?

– Ojciec nie żyje. Zostałem tylko ja i mama. I maluchy.

– Ilu ich jest?

– Pięcioro. Ja jestem najstarszy.

– Rozumiem. Z pewnością jakiś pstrąg albo zając bardzo by się przydał. Posłuchaj, podrzucę cię do domu i nikt nigdy o niczym się nie dowie. Przysięgam.

Spojrzał na swoją kostkę.

– W porządku – zgodził się w końcu, a potem dodał niechętnie: – Dzięki.

– Nie ma za co, ale przysługa za przysługę. Jak można dostać się na teren posiadłości? Na pewno znasz jakiś sposób.

– Nie.

– Ależ tak – powiedziała Jocasta wesoło. – Nie bądź głupi. Po długiej chwili milczenia chłopak wyraźnie zmienił zdanie.

– Proszę iść tą drogą w górę, aż do muru, potem skrócić w prawo. Kilkaset metrów dalej rośnie duże drzewo. Jedna z gałęzi wisi nad murem.

– Trzeba wykonać niezły skok, prawda? – zadrwiła Jocasta. – Mur ma trzy, może trzy i pół metra. Jak potem można się stamtąd wydostać?

– Nic więcej pani nie powiem – burknął. – Wydawało mi się, że chce się pani dostać do środka.

Zastanawiała się chwilę. To prawda. Potem znajdzie jakoś wyjście.

– Masz rację – przyznała, wstając, wyciągając rękę i pomagając chłopcu wstać. – Jedziemy.

Po dwudziestu minutach wróciła, ale zaparkowała samochód nieco niżej niż poprzednio. Nie chciała, by któryś z kolegów wpadł na jej trop. Wyjęła z auta latarkę, zarzuciła plecak na ramię i cichutko zamknęła auto. Nasunęła na głowę kaptur bluzy i ruszyła ścieżką pod górę, trzymając się skraju, żeby nie przeoczyć traktu albo nie powędrować złym. Nie chciała się zgubić.

Udało się. Dotarła do muru. Chłopiec powiedział, żeby skróciła w prawo i przeszła kilkaset metrów... Drzewo, drzewo, gdzie jest to cholerne drzewo?

Jest! Stało prosto przed nią, w miejscu, w którym mur skręcał. Bez problemu się na nie wspięła aż do wysokości muru i stanęła na grubej, mocnej gałęzi, mając obok drugą, biegnącą równoległe, której można się było przytrzymać.

Dalszy etap nie był już taki łatwy. Mogła bez problemu zejść z gałęzi na mur, ale potem będzie musiała wykonać skok z ponad trzech metrów, co prawda na trawę, ale to i tak wysoko.

Co gorsza, z tego miejsca w ogóle nie było widać domu; Jocasta nie miała pojęcia, w którą stronę powinna się skierować. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że musi obrać kierunek na godzinę dziesiątą ale były to tylko przypuszczenia.

Cholera, cholera! Powinna zabrać ze sobą jakąś mapę. Co zrobi, jeśli Keeble ma psy, które pilnują jego posiadłości, albo uzbrojonego strażnika, jakim podobno dysponowali bliźniacy Barclay?

– Niech tam, do diabła! – powiedziała na głos, zdjęła plecak, rzuciła go w dół, a potem skoczyła w ślad za nim, w nagłym przypiływie strachu zastanawiając się, czy to nie będzie jej ostatni wybryk.

Rozdział Dwudziesty

Kiedy wyszła z gęstwiny, rozejrzała się wokół siebie – ani śladu domu. Nieważne. Znajdzie go. Na razie świetnie sobie radzi. Chris Pollock byłby z niej dumny, a Nick... w tym momencie zdała sobie sprawę, że od wielu godzin nawet nie pomyślała o Nicku. Dobrze!

Nagle usłyszała szczekanie psa. Najwyraźniej Gideon miał psy, które pilnowały domu. Na szczęście ujadanie się nie przybliżało, czyli zwierzę było gdzieś przywiązane albo znajdowało się w domu. Warto pójść za tym dźwiękiem.

Wędrując wolno i ostrożnie z latarką skierowaną pod nogi, Jocasta zastanawiała się, jaka jest Fionnuala. Aisling, druga żona Gideona, dwa lata temu wyszła za mąż za Michaela Carlingforda i jedną połowę roku spędzała na Barbadosie, drugą – w Londynie. Rozwód był przykry i sporo pisano o nim w prasie. Fionnuala najwyraźniej została odesłana do szkoły z internatem, żeby nie sprawiać rodzicom dodatkowych kłopotów. Jocasta doskonale wiedziała, jak to jest. Gdyby sama miała szansę na ucieczkę z muzykiem rockowym, uciekłaby, choćby tylko po to, żeby przysporzyć rodzicom jak najwięcej kłopotów i wstydu. Dziennikarze nie mieli zbyt wielu informacji na temat Fionnuali. Wiedzieli tylko, że dziewczyna bardzo dobrze jeździ konno i od najmłodszych lat zawsze ma do dyspozycji drogiego wierzchowca. Od czasu do czasu jeździła na jednodniowe wyprawy i czasami polowała. Przy takich okazjach była uwieczniana na zdjęciach, które jednak nie nadawały się do rubryk towarzyskich, bo ukazywały nieprzenikniętą, pozbawioną uśmiechu twarz w czapeczce do konnej jazdy. Podczas dwóch długich rozmów z Jocasta Gideon Keeble ani razu nie wspomniał o córce; prawdę mówiąc, Jocasta mogłaby nawet nie wiedzieć, że bilioner ma dziecko. Następne podobieństwo między nią a Fionnuala.

– Fatalnie kaszlesz, kochanie.

– Bo fatalnie się czuję. Chyba dłużej tego nie wytrzymam.

Helen nigdy się nie skarżyła, nic więc dziwnego, że tym razem wszyscy nagle przerwali swoje zajęcia i spojrzeli na nią. Matka Kate, jak co roku, tuż po Bożym Narodzeniu przeszła zapalenie oskrzeli, ale tym razem bardzo długo wracała do zdrowia. Od kilku tygodni kaszłała noc po nocy, kiepsko spała i ciągle bolała ją głowa.

– Jesteś chuda jak szczapa – zauważył Jim. – Pewnie wszystko z powodu zmartwień: choroby twojej matki, szumu w prasie i całej reszty. Dużo cię to kosztowało. Na pewno wkrótce poczujesz się lepiej.

– Tato! – wtrąciła Juliet. – Nie stać cię na nic więcej? Biedna mama. Powinieneś... hm, może zabrałbyś ją gdzieś na kilka dni? Żeby mogła skorzystać ze słońca?

– Juliet – westchnął Jim. – Mówisz jak twoja siostra. Poza tym gdzie niby miałbym ją zabrać? Na południe Francji?

– Czemu nie? Tam powinno być teraz naprawdę ślicznie.

– Na pewno, a ja nazywam się Midas. Czy zdajesz sobie sprawę, ile kosztowałby bilet na samolot?

– Czterdzieści pięć funtów od osoby – oznajmiła Juliet zdecydowanie. – Spójrzcie, tak piszą w gazecie. „Easyjet do Nicei, czterdzieści pięć funtów!”

– To świetny pomysł, Jim – podchwyciła Helen. – Chętnie poleżałabym trochę na słońcu.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. Rzadko prosiła o coś dla siebie.

– W przyszłym tygodniu jest przerwa międzysemestralna – przypomniała Juliet. – Jedźcie, tato. Pozwól mamie trochę odpocząć.

– A kto się zajmie wami?

– Możemy wybrać się do babci. Obie. W końcu będziemy miały wolne.

– Taak, albo mogłabym pojechać do Charlotte – dodała Juliet. – Zdecyduj się, tato. Spróbujcie raz w życiu zaszaleć.

Janet przechodziła przez westybul, niosąc płaszcz i laptop, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.

– Janet! Cześć. Jak się miewasz? Od kilku dni próbuję cię złapać. Eliot Griers obdarzył ją chłopięcym uśmiechem.

– Masz czas na drinka?

– Przykro mi, Eliocie, ale nie. Chcę dzisiaj wcześniej położyć się do łóżka. Jest już wpół do dziewiątej.

– No cóż... nieważne. Zobaczymy się jutro, prawda? Na przyjęciu u Jacka. Atak przy okazji, dzięki za emaila. Już bardzo chciałbym rozpocząć współpracę z wami wszystkimi.

– Świetnie. Bardzo się cieszę, że się do nas przyłączyłeś, chociaż, jak się zapewne domyślasz, w tej chwili toczyliśmy ciężką walkę.

– Ciężką, ale bardzo ekscytującą. Janet, czy mógłbym cię prosić o przysługę?

– Prosić zawsze możesz – odparła z chłodnym uśmiechem na ustach.

– Mam wśród swoich wyborców miłą dziewczynę, prawniczkę, która zajmuje się prawami człowieka. Wspomniałem jej, że jesteś w komisji parlamentarnej. Powiedziała, że bardzo, bardzo chciałaby cię poznać. Czy mogłabyś poświęcić jej pół godziny?

– Naturalnie – zapewniła. – Zadzwoń jutro do mojej sekretarki i wyznaczcie wspólnie jakiś termin.

– Cudownie. Obiecałem jej również oprowadzenie po gmachu parlamentu. To wspinała przynęta dla wyborców. Niewiele więcej możemy teraz zrobić, prawda? To naprawdę inteligentna kobieta, nie zmarnujesz czasu.

Na pewno jest również bardzo ładna – pomyślała Janet.

Jocasta znalazła się na tyłach domu; był piękny, wyjątkowo piękny, w klasycznym gregoriańskim stylu, miał taras na całej długości i wysokie okna, w których odbijał się księżyc.

Jocasta nagle poczuła dziwne skrepowanie. Przeszła cicho wzdłuż tarasu, zaglądając do licznych pokoi i słabo oświetlonego salonu, który niegdyś musiał być biblioteką. Kilka następnych okien tonęło w ciemności. Za nimi znajdował się gabinet. Było w nim jasno. W chwili kiedy Jocasta zaglądała przez okno, Gideon Keeble wszedł do pokoju, rozmawiając przez komórkę. Usiadł przy biurku, a potem nagle się rozłączył i przez dobrą chwilę wpatrywał się w

telefon, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Potem powoli i delikatnie położył go na biurku, oparł łokcie o blat i ukrył twarz w dłoniach.

Jocasta obserwowała go sparaliżowana, czując się jak najgorszy podglądacz. Jak mogła zrobić mu coś takiego? Dlaczego wtargnęła w prywatny świat, który stanowił dla Gideona bezpieczną kryjówkę? Lepiej wrócić do Londynu bez artykułu i ponownie sprawić naczelnemu zawód niż, kierując się niezdrową ciekawością, zacząć zadawać nieszczęśliwemu człowiekowi natarczywe pytania.

Właśnie miała zamiar wrócić drogą, którą przysła, gdy nieco dalej na tarasie otworzyły się jakieś drzwi, a do Jocasty podbiegł mniej więcej sześciomiesięczny szczeniaczek – seter irlandzki – podskoczył i oblizał jej twarz. Za nim pojawił się starszy pies, który zaczął groźnie ujadać, a potem jakiś kobiecy głos zawołał zwierzęta.

– Sheba! Pebble! Wracajcie natychmiast. Przestańcie szczekać. Zwierzęta uciszyły się na krótką chwilę, podczas której szceniak entuzjastycznie witał Jocastę, potem znów się zaczęło. Kiedy dziennikarka poklepywała i głaskała oba psiaki, próbując się z nimi zaprzyjaźnić, zauważyła, że Gideon wstał, podszedł do drzwi, kogoś zawołał i zniknął. Zamarła w bezruchu. Oba psy ponownie wszczęły alarm. W końcu Keeble pojawił się w bocznych drzwiach z latarką w ręce. Omiótł snopem światła trawnik, a potem taras. Jocasta stała nieruchomo jak królik złapany w przednie reflektory samochodu, przygotowując się na wyzwiska, wściekłość, wręcz szła. Tymczasem Gideon podszedł do niej powoli i powiedział pogodnie, jakby przez przypadek natknął się na nią w jakiejś restauracji albo w poczekalni na lotnisku:

– No proszę, Jocasta! Co za miła niespodzianka! Widzę, że mimo wszystko postanowiłaś mnie odwiedzić.

– Gdzie... gdzie ją znalazłaś?

– W restauracji.

– Jezu! Nie mogę uwierzyć, że nikt wcześniej jej nie zauważył. Był późny wieczór; Marc Jones właśnie wrócił z próbnymi zdjęć Kate.

– Wiem. Po prostu miałam szczęście – powiedziała Carla skromnie. – Jak wypadły zdjęcia?

– Rewelacyjnie.

Rzucił na biurko arkusz czarnobiałych styków. Carla wyjęła z biurka lupę i pochyliła się nad fotografiami. Były wspaniałe. W studiu pojawiła się niezadowolona, wyraźnie zdenerwowana uczennica, tymczasem na zdjęciach mieli smukłą piękność o niesfornych włosach, nastolatkę świadomą swojej seksualności i świetnie radzącą sobie z obiektywem.

– Są naprawdę bardzo, bardzo ładne. Jak wypadły kolorowe?

– Też są świetne. Dzięki ciemnym oczom i jasnym włosom. Kiedy chcesz pokazać ją całemu światu?

– Może w przyszłym tygodniu. Zaraz idę do Chrisa, spytać, co on na to.

– A... kto będzie pstrykał?

– Daj spokój, Marc. Jak sądzisz? David Bailey?

– Świetnie. – Uśmiechnął się. – Po prostu daj mi wcześniej znać. Co z ciuchami?

– Myślę, że zostawimy Kate wolną rękę. Zabiorę ją do Top Shop, Miss Selfridge, Kookai i pozwolę, żeby sama wybrała.

– Super. Kiedy planujesz tę wyprawę?

– Jak najszybciej. Oczywiście, wcześniej będę musiała porozmawiać z jej rodzicami. Kate nie ma jeszcze szesnastu lat, ale sądzę, że nie powinni protestować. Niby dlaczego mieliby to robić?

– Pozwoliłabyś swojej córce wkroczyć do świata mody?

– Nie mam córki – odparła Carla krótko.

Zabrała zdjęcia Kate i poszła z nimi do Chrisa Pollocka. Kiedy Kate siedziała podczas sesji w studio, Marc Jones z nią flirtował – Boże, ależ ten człowiek ma wysokie mniemanie o sobie! – a Carla Giannini najnormalniej pod słońcem ją uwodziła... to jedyne słowo, które pasowało do sytuacji. Dziewczyna polubiła panią redaktor; Carla była ciepła i zabawna, wciąż chwaliła dość nieudolne starania swojej przyszłej modelki. Przynajmniej Kate uważała, że są nieudolne, chociaż w głębi duszy doskonale wiedziała, co robić przed obiektywem, jak nieznacznie się poruszyć między jednym a drugim zdjęciem, zwłaszcza gdy sesja zdjęciowa zaczęła zbliżać się do końca i nastolatka nabrała nieco pewności siebie.

Po powrocie do domu, gdy stała w kuchni, nalewała sobie colę i czekała, kiedy rodzice jej powiedzą, że pora kłaść się do łóżka, albo spytają, czy odrobiła wszystkie zadania, uznała, że sesja bardziej przypomina cudowny sen. Gdyby wiedzieli! Byliby zdumieni, wręcz zaszokowani, powiedzieliby, że wkracza w niebezpieczny świat. Tylko babcia zrozumiałaby, jakie to ważne i podniecające. Prawdę mówiąc, warto byłoby jej o wszystkim powiedzieć.

Jimowi udało się zarezerwować na tydzień pokój w trzy gwiazdkowym hotelu w Nicei; Helen odczuwała podniecenie, a jednocześnie gnębiło ją poczucie winy, że zostawia Kate w tak ważnej dla niej chwili.

– Jeśli podczas tych egzaminów kiepsko wypadniesz, nie będziesz miała drugiej szansy. Gdybyś chciała dostać się do Richmondu, musiałabyś uzyskać dobre stopnie i...

– Prawdę mówiąc, mam, zawsze mogę poprawić oceny. Słowo daję. Poza tym nawet gdyby babcia trochę mi popuściła, Juliet na pewno na to nie pozwoli, i jeśli zrobię sobie przerwę dłuższą niż pięć minut, moja siostra prawdopodobnie natychmiast zadzwoni do hotelu, żeby was poinformować.

– Nie zadzwonię! – oznajmiła Juliet z oburzeniem. – Nie zapominaj również, że muszę ćwiczyć. Będziesz mogła leżeć do góry brzuchem, ile będziesz chciała.

Martha biegła po bieżni: pot zalewał jej oczy, nogi ją bolały, czuła, że lada chwila eksplodują jej płuca. Była wyczerpana, miała przed sobą jeszcze pięć minut; z pewnością nie dotrwa do końca. Dotrwała, bo taką podjęła decyzję. Taki sobie wyznaczyła cel. Proste.

Miała silną wolę. Demony, które zaatakowały ją, gdy klęczała w brudnej toalecie, wymiotując do ohydnej muszli, i które nie opuszczały jej, gdy tamtej nocy długo nie mogła

zasnąć, już dały jej święty spokój i zniknęły. No, może nie do końca. Powiedziała Edowi, że nie może się z nim spotkać. Przynajmniej jeszcze nie dzisiaj. Umówili się na następny dzień. Właśnie mijały cztery miesiące od ich pierwszej randki. Cztery miesiące zaskakującego szczęścia.

Martha bardzo rzadko miała okazję zaznać tego uczucia. Wiedziała, co to osiągnięcia, dostosowywanie się do własnych standardów, wiedziała, co to sukces. Ale szczęście? To już zupełnie inna sprawa. To krótkie, słodkie uczucie wywołane najprostszymi rzeczami, takimi jak rozmowa telefoniczna, głupi żart, docenienie jakiegoś drobiazgu. Szczęście było dla niej czymś całkiem nowym.

Ed ją tego nauczył, prowadząc powoli w stronę miłości. Teraz już wiedziała, że go kocha, chociaż ze strachu długo nie dopuszczała do siebie tej myśli. Martha nie powiedziała jeszcze Edowi, że go kocha. To było zbyt ryzykowne, za bardzo odsłaniało jej duszę. Wywiad, którego prawniczka tak się bała, okazał się nijakim artykułikiem na temat mody, a tekst – który w końcu zatwierdziła – tylko nieznacznie przekraczał objętość sporego akapitu, zawierał słowa uznania z powodu rozpoczęcia kariery politycznej i pochwałę partii Centrę Forward. Chad będzie zadowolony. Zdjęcia też jej się podobały.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy! Mam dla ciebie prezent.

– Och, Ed. Umówiliśmy się, że nie będziemy siebie obdarowywać.

– Taak, wiem, ale nie przejmuj się, jeśli nic dla mnie nie masz. To naprawdę drobiazg.

– Hmm... prawdę mówiąc, ja też coś dla ciebie mam – wyznała. – Też drobiazg.

– W takim razie zaczynaj. Ty pierwsza. Otwórz. Była to książka Tantric Yogafor Beginners** [Joga tantryczna dla początkujących (przyp. tłum.)].

– Chyba nie chcesz, żebym tego spróbowała – powiedziała z chichotem.

– Jak najbardziej. Jest tam rozdział o seksie. Piszą, że można się kochać bez przerwy przez sześć godzin. Co ty na to?

– Chyba byłoby za bardzo męczące. Czy nie odpowiada ci to, co dotychczas robimy?

– Odpowiada. Jest naprawdę świetnie. Po prostu podoba mi się myśl, że mogłoby być jeszcze lepiej. „Dzięki temu Martha spóźniałaby się na spotkania” – pomyślałem.

– W takim razie obiecuję, że przeczytam. Teraz otwórz swój.

– Hej! – zawołał. – To jest naprawdę śliczne. Bardzo mi się podoba.

Trzymał w ręce oprawione zdjęcie, na którym oboje siedzieli na łóżku Marthy z kołdrą podciągniętą pod brody. Prawniczka użyła samowyzwalacza, żeby je zrobić.

– Pamiętam ten wieczór – oświadczył.

– Nieprawda.

– Pamiętam. Wiesz dlaczego? Bo wtedy po raz pierwszy przed pójściem do łóżka nie poskładałaś starannie swojego ubrania. Po prostu rzuciłaś je na podłogę.

– Zmyślasz. – Martha wybuchnęła śmiechem.

– Nie. Nie mógłbym zapomnieć czegoś takiego. Pomyślałem: ważniejsze jest dla niej

wskoczenie ze mną do łóżka niż zawieszenie żakietu od Armaniego. Widać jestem niezłym ogierem.

– Jesteś...

Po kolacji spacerowali po Butler's Warf, trzymając się za ręce. Przez ostatnie pół godziny Ed był cichszy niż zazwyczaj; spytała go, czy coś się stało.

– Nie... właściwie nic takiego. Zaproponowano mi nową pracę.

– To świetnie. Odpowiada ci?

– Sam nie wiem. Dostawałbym więcej pieniędzy, robiłbym mniej więcej to samo, co dotychczas, miałbym tylko większą odpowiedzialność.

– W takim razie weź ją.

– Tak... tyle że to... w Edynburgu. Praca dla Beeb.

– W Edynburgu?!

– Tak. To teraz bardzo modne miasto. Co o tym sądzisz?

– Uważam – powiedziała szybko – że musisz ją przyjąć.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

Nie miała nic przeciwko temu, wszystko będzie dobrze. Nadal będzie go widywać... stosunkowo często. Niezbyt często, ale... wystarczy.

– Jest jeden powód.

– Jaki?

– Ma na imię Martha.

– Ed, nie możesz dla mnie zrezygnować z naprawdę świetnej okazji. Poza tym i tak nadal będziemy mogli się widywać. Tylko kiedy? Nie wieczorami. Nie w weekendy. Należałoby również uwzględnić jej wyprawy do Binsmow, zdobywanie głosów wyborców, sobotnie porady prawne dla mieszkańców miasta. To znaczy, że... widywałaby się z nim... tylko od czasu do czasu.

– W takim razie mogę ją przyjąć. Myślałem, że raczej z niej zrezygnuję, ale jeśli naprawdę tak uważasz... To znaczy byłoby świetnie.

– W porządku, zatem sprawa załatwiona. Naturalnie, musisz przyjąć tę pracę. Od czasu do czasu będziemy mogli spędzić ze sobą cudowny weekend, a ty... ty...

Głos jej się załamał.

– Co „ja”?

– Tak świetnie sobie radzisz, Ed. Cudownie, że będziesz mógł pracować dla Beep. To twoja życiowa szansa.

– Dzięki, Martho. Jesteś taka... taka dojrzała. – Uśmiechnął się do niej nieco zbyt promiennie.

Później zastanowię się, co tak naprawdę czuję – pomyślała. – Kiedy oswoję się z tą myślą. Była ostatnią osobą, która kurczowo by się kogoś trzymała, i pierwszą, która zdawała sobie

sprawę, jak ważne są szanse.

– Było wspaniale – powiedział już niemal przez sen. – Dobranoc, Martho.

– Dobranoc, Ed.

Wcale nie było wspaniale. Wszystko było lekko rozmazane, pozbawione wyraźnych konturów.

Nawet rozkosz nieco zmalą.

Martha wstała, powędrowała do salonu, stanęła przy oknie i spoglądając na światła, pomyślała, że Ed wyjedzie bardzo, bardzo daleko, a ona znów będzie samotna.

Cholera, zaraz się rozplacze! Niech to diabli! Ed za nic w świecie nie może usłyszeć, nie może o niczym wiedzieć. Wyraźnie bardzo zależy mu na wyjeździe i przyjęciu tej pracy.

Martha poszła do łazienki i usiadła na sedesie, żeby wytrzeć oczy i nos. Tak już lepiej – poradzi sobie, na litość boską, na pewno sobie poradzi.

Nagle drzwi się otworzyły i do łazienki wszedł Ed.

– Przepraszam – powiedział – chciałem się wysiusiać.

– Dobrze – mruknęła. – Już... już wychodzę.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak. Oczywiście.

Włączył światło i bacznie jej się przyjrzał.

– Martho, ty płaczesz. O co chodzi?

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał – rzekła smutnym głosem. Była przerażona, że zdradza swoje uczucia.

– Przepraszam, Ed. Rano mi przejdzie.

– Nie chcesz, żebym wyjeżdżał? – spytał cicho i łagodnie.

– Nie chcę. Chyba za bardzo przyzwyczaiłam się do tego, że jesteśmy razem, ale na pewno sobie poradzę. Przepraszam, Ed, bardzo przepraszam...

– Naprawdę nie chcesz, żebym wyjechał?

– Tak. Tak. Wiem, że to błąd, ale...

– To wcale nie jest błąd – zapewnił. – To dla mnie radosna wiadomość. Boże Wszchemogący, Martho, od czterech miesięcy próbuję sobie wmówić, że coś dla ciebie znaczę! Teraz przynajmniej wiem, że tak jest naprawdę. Naturalnie, nigdzie nie wyjadę, głupia bekso. Nie chcę pracować w Edynburgu. Chcę być tu, z tobą. Pomimo twojego ogromnego nosa. I żalonych cycków. Bardzo chciałem, żebyś mnie zatrzymała. Nigdy niczego tak bardzo nie pragnąłem.

– Och, Ed!

Spojrzała na niego i nagle doznała olśnienia. Musiała mu to powiedzieć. Po prostu musiała.

– Hm... chodzi o to... chodzi o to, że...

– No, wyrzuć to z siebie. O co chodzi?

– O to, że cię kocham – wyznała głosem stłumionym przez strach i ogromny wysiłek.

– Naprawdę? Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham cię.

Pochylił się i pocałował ją, a potem wybuchnął śmiechem.

– To wspaniałe miejsce na wyznania miłosne! Ja też cię kocham. A teraz, gdybyś zechciała przesunąć nieco swój wyjątkowo zgrabny tyłeczek, chciałbym się wysiusiać.

– Przepraszam cię bardzo – powiedziała Jocasta. Siedziała w pomieszczeniu, które Gideon nazywał pokojem zabaw. Był to raczej dość dorosły pokój zabaw. Znajdowały się w nim dwie ogromne sofy, duży telewizor, wieża z dwoma głośnikami, trzy pudła płyt kompaktowych, niski stolik zarzucony czymś, co katalogi nazywają zabawkami dla zestresowanych osób na wysokich stanowiskach, a na ścianach – półki zastawione książkami. Na jednej ze ścian wisiał ogromny obraz pięknej kobiety w czarnej sukni wieczorowej, drugiej pani Keeble. Matki Fionnuali.

– Za co mnie przepraszasz? – spytał Gideon. – Konkretnie.

– Za to, że tu jestem. Czuję się... okropnie.

– Och, nic się nie stało – zapewnił. – Wykonujesz swoją robotę. Jestem pełen podziwu dla twojej pomysowości. Chociaż musisz mi powiedzieć, którędy się tu dostałaś. Nie przypuszczałem, że to takie proste.

– Wcale nie takie proste! – zaprzeczyła żywo Jocasta. – Musiałam się wspiąć na ogromne drzewo, a potem skoczyć z wysokiego muru...

– Mam nadzieję, że nie oczekujesz ode mnie współczucia – zadrwił. – To byłoby trochę nierozsądne z twojej strony.

– Nie oczekuję – zapewniła. – Jeszcze raz przepraszam cię, Gideonie.

– Przestań bez przerwy mnie przepraszać – powiedział. Nie umiała odczytać wyrazu jego twarzy: to nie był jego normalny, łagodny uśmiech, ale też nie wrogość, raczej obojętność.

– Tak, oczywiście. Serdecznie ci współczuję, ale... współczuję również twojej córce, Gideonie. Fionnuali. Musisz potwornie się denerwować.

– Wcale się nie denerwuję. Nieznośna małolata to zbyt mało, żeby wytrącić mnie z równowagi.

Jocasta ponownie pomyślała o swoim ojcu: on również uznałby całe zajście za dziecięcą wybryk nieznośnej małolaty, nic więcej. Nie dostrzegłby w tym zajściu rozpaczliwego wołania o pomoc. Nie przejąłby się niebezpieczną sytuacją. Sympatia dziennikarki do Gideona zaczynała maleć.

– Nie... nie dała znać, gdzie jest?

– Nawet jeśli tak, dlaczego miałbym ci o tym mówić? Ponownie zdobył się na ten sam uprzejmy, obojętny uśmiech.

– Myślę, że najlepiej by było – dodał – gdybyś oddała mi swoją komórkę. Przepraszam, jeśli uważasz, że jestem nieuprzejmy, ale wolałbym, żebyś w tej chwili nie próbowała przekazywać na zewnątrz żadnych informacji. Jocasta oblała się pąsem.

– Jasne – powiedziała.

Wyjęła komórkę z plecaka i podała mu ją.

– Dziękuję. Teraz myślę, że mi wybaczysz, Jocasto. Mam sporo pracy. Gdybyś miała ochotę na kawę, daj znać pani Mitchell. Wiesz, gdzie jej szukać. W głębi korytarza.

– Tak, wiem. Dziękuję.

Nagle usłyszała odległy warkot, a potem w ciszę zaczął się wdzierać coraz głośniejszy łoskot śmigieł helikoptera.

Gideon wstał, mocno zbladł, a na jego twarzy pojawiła się udreka.

Spojrzał przez okno na trawnik za domem. Jocasta też się podniosła. W strumieniu jasnego światła, które nagle zalało teren, ujrzała lądujący helikopter. Najpierw wyskoczył z niego pilot, a chwilę później drobna postać w spodniach i zbyt obszernej kurtce. Ruszyła za pilotem i przebiegła pod wirującymi skrzydłami w stronę domu. To chyba Fionnuala.

Na pewno. Wraca do ojca.

Gideon ani drgnął, jedynie stał i patrzył. Gdy postać dotarła do tarasu, zatrzymała się na chwilę, spojrzała na dom, a potem ruszyła szybko w stronę bocznych drzwi. To nie Fionnuala, ale jej matka, Aisling. Na tarasie pojawiła się pani Mitchell; podeszła do przybyłej. Stały razem przez chwilę, potem weszły do domu.

Jocasta nie mogła dłużej tego znieść.

– Nie... nie wyjdiesz jej na spotkanie? – spytała.

Gideon ciężko westchnął, otrząsnął się z odrętwienia, a potem cicho i powoli wyszedł z pokoju.

Chociaż Jocasta bardzo chciałaby coś zrobić, stała w całkowitym bezruchu, ze wstydem uświadamiając sobie, że w myślach pisze najważniejszy w swoim życiu artykuł.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy

„Jak powinna się ubierać kobieta sukcesu” – brzmiał tytuł, a nieco niżej: „Czy Martha Hartley jest przyszłą gwiazdą polityki?”.

Pod nagłówkiem znajdowało się kilka zdjęć przyszłej gwiazdy.

Miała ładną twarz. I figurę.

Wygląda naprawdę fantastycznie – pomyślała Clio.

Zerknęła, kto napisał tekst zamieszczony obok zdjęć. Spodziewała się, że zobaczy nazwisko Jocasty, ale pod całością podpisała się Carla Giannini, redaktor działu mody. Lekarka zastanawiała się, co się stało. Postanowiła zadzwonić do Jocasty. Miło byłoby z nią pogadać. Niestety, jej telefon milczał.

Rankiem Martha i Ed studiowali artykuł, leżąc w łóżku.

Prawniczka była bardzo zadowolona ze zdjęć, ale wściekła, że wspomniano o jej samochodzie i wynagrodzeniu.

– Nie miała prawa podawać tego do publicznej wiadomości. Mówiłam jej, że nie życzę sobie żadnych informacji na tematy osobiste. Zresztą nie było ich w wersji, którą czytałam. Boże, to okropne! Zaraz zadzwonię do redaktora naczelnego i złożę skargę! Ed ujął jej twarz w dłoń.

– Martho – powiedział między jednym a drugim pocałunkiem – wyglądasz naprawdę, naprawdę fantastycznie, niemal tak samo fantastycznie jak bez ubrania, a jeśli ujawnili twoje zarobki, przynajmniej masz się o co skarżyć. Na litość boską, jesteś kobietą sukcesu. Czy to źle, że o tym napisali?

– Bardzo – oznajmiła zdecydowanie Martha. – Ludziom się to nie spodoba. Pomyślą, że nie wiem, jak wygląda zwyczajne życie, będą w stosunku do mnie podejrzliwi, poza tym...

– Och, daj spokój – poprosił, odbierając jej gazetę i ściągając Marthę z powrotem na poduszkę.

Pochylił się i zaczął całować jej brzuch, uda, potem musnął językiem włosy łonowe i wsunął go nieco głębiej.

– Ja też mam się o co skarżyć. Nie przyznałaś się, że masz fantastycznego chłopaka ogiera. Dlaczego? Dlaczego więcej uwagi poświęcono mercowi niż mnie?

Kate przez cały dzień przyglądała się zdjęciom Marthy. Jeśli jej fotki wypadną choćby w przybliżeniu tak dobrze, będzie cudownie. Mają się znaleźć dokładnie w tym samym miejscu. Carla powiedziała, że będą w sobotnim wydaniu.

– Jeśli to możliwe, w najbliższą sobotę. Czy w któryś z najbliższych dni będziesz mogła wyjść wcześniej ze szkoły i wpaść do mnie... Powiedzmy: w czasie lunchu?

– Tak – odparła Kate. – Właśnie mamy ferie.

– To wspaniale! Co byś w takim razie powiedziała na wtorek?

W poniedziałek mogłybyśmy wybrać się na miasto i poszukać ciuchów do zdjęć. I jeszcze jedno, Kate. Przyrowadź na sesję któreś z rodziców. Nie chciałabym, żeby się martwili.

– Wyjechali – oznajmiła dziewczyna. – Na tydzień.

– Och, rozumiem – powiedziała Carla, dochodząc do wniosku, że chyba jednak Bóg istnieje.

– Czy w takim razie mógłby przyjść z tobą ktoś bliski? Może starsza siostra?

– Mogę przyprowadzić babcię – zapewniła Kate. – Ma sklep z ubraniami i jest naprawdę bombowa. Na pewno przyjdzie z ogromną przyjemnością.

– Doskonale. Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, gdyby miała jakieś pytania.

Kate jeszcze nie rozmawiała z Jilly, czekała na odpowiednią chwilę. Może zrobi to dziś wieczorem. Juliet brała udział w jakimś gównianym koncercie, na który, dzięki Bogu, nie musiały iść;

jednym słowem, idealna okazja, żeby powiedzieć Jilly wszystko na ten temat, pokazać jej gazetę i wytłumaczyć, jakie to ważne.

Boże, była taka podekscytowana!

Janet Freaan przejrzała artykuł o Marcie Hartley; normalnie nie czytywała „Sketcha”, ale Jack Kirkland przefaksował jej kopię kilku stron.

Zadzwonił do niej godzinę później.

– Prawda, że Martha świetnie się spisuje? Zdobywa wszystkie możliwe punkty. Uważam, że wypadła bardzo profesjonalnie, zważywszy na to, że to jej pierwszy kontakt z prasą.

– Rzeczywiście – przyznała Janet. – I owszem, naprawdę ładnie wygląda. Szkoda tylko, że wdała się w dyskusję na temat swojej garderoby. Mogła zrazić sobie tym kilka osób, ale na pewno szybko się nauczy, a to przecież tylko szczegół.

– Bardzo mi się podoba – ciągnął Jack – że jest młoda, a osiągnęła już taki sukces. W realnym świecie. W polityce bardzo brakuje takich osób. Uważam, że jest prawdziwym odkryciem.

– Masz rację – przyznała Janet. – Jack, musisz mi wybaczyć, ale kilka osób czeka, aż zrobię im śniadanie.

Prawdę mówiąc, śniadanie całej rodzinie robił Bob Freaan. Nakrywając do stołu, wsłuchiwał się w głośny łoskot dochodzący z parteru, z gabinetu żony. Wysłał tam czternastoletnią Lucy. Wróciła z uśmiechem na twarzy.

– Nic jej nie będzie – wyjaśniła. – Po prostu jeszcze jeden napad złości, to wszystko. Rzuciła o ścianę przyciskiem do papieru. Powiedziała, że nie chce śniadania.

– Nie ma sprawy – skwitował słowa córki Bob.

Nick z niewielkim zainteresowaniem przeczytał artykuł na temat Marthy Hartley. Gdy ją spotkał, wywarła na nim niemałe wrażenie. Uznał, że na łamach prasy wypadła mniej ujmująco. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Jocasta nie zdołała niczego wyciągnąć ze swojej dawnej przyjaciółki – widocznie ich znajomość miała swoje blaski i cienie. Może obie walczyły o względy jakiegoś mężczyzny i Jocasta wygrała, a Martha nigdy jej nie wybaczyła. Albo coś w tym rodzaju. Oczywiście, w ostatecznym rozrachunku chyba każdy mężczyzna wybrałby Jocastę – pomyślał nieszczęśliwy Nick. Bardzo za nią tęsknił.

– Kochanie! To naprawdę wspaniała wiadomość!

Jilly spojrzała na zarumienioną twarz Kate i ponownie zerknęła na zdjęcia Marthy Hartley.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie wspaniała szansa, ale... ale nie wiem, co powiedzą twoi rodzice. Może powinnaś poczekać, aż wrócą...

– Nie mogę! – zaprotestowała Kate, która nie miała wątpliwości, co powiedzą rodzice. – Po prostu pani redaktor nie może czekać.

Powiedziała, że to bardzo pilne. Zależy jej na tym tygodniu, bo jeśli nie, będzie musiała czekać całe wieki. Zresztą potem będę miała egzaminy, więc Bóg raczy wiedzieć, kiedy powtórzy się taka okazja. Albo całkiem o mnie zapomną? Och, proszę, babciu, proszę, zgódź się! To dla mnie wspaniała szansa, a pani redaktor jest naprawdę bardzo miła i chce, żebyś przyszła ze mną. Prosiła, żebyś zadzwoniła do niej, jeśli będziesz miała jakieś zastrzeżenia.

– No cóż, to wszystko zmienia – przyznała Jilly. – Widocznie naprawdę jest miła i odpowiedzialna. Zadzwonię do niej w poniedziałek, Kate, i porozmawiam.

Carla Giannini rzeczywiście sprawiała wrażenie bardzo miłej: najwyraźniej była zainteresowana Kate i jej przyszłością.

– Naprawdę uważam, że ma szansę zostać modelką – oznajmiła. – Pomijając jej cudowną figurę – rzadko spotyka się smukłą sylwetkę przy wysokim wzroście – roztacza wokół siebie niespotykaną aurę istoty wyjątkowo wrażliwej, a jednocześnie pewnej siebie. Poza tym fantastycznie potrafi dobierać stroje. Myślę, proszę pani...

– Mów mi Jilly.

– Dziękuję. Najwyraźniej jesteś młodą babcią. Naturalnie wiem, jak wyglądasz, bo widziałam twoje zdjęcie w gazecie, razem z Kate.

– Ono nie było, niestety, zbyt pochlebne – krygowała się Jilly.

– Bzdura! Wyglądałaś wspaniale. A wracając do sprawy, bardzo by mi pasowała najbliższa sobota. Na następne trzy, cztery tygodnie mam już zarezerwowane dziewczyny, a to oznaczałoby znaczne odsunięcie Kate w czasie. Na dodatek, z tego, co wiem, ma przed sobą egzaminy. Nie chciałabym w żaden sposób odrywać jej od nauki, więc...

– Jesteś bardzo wyrozumiała.

Jilly coraz bardziej lubiła dziennikarkę.

– Czy mogłabyś porozumieć się z córką przez Internet albo porozmawiać przez telefon?

– Spróbuję.

– Cudownie. Tylko... – Carla wyraźnie się zawahała. – Muszę jak najszybciej znać odpowiedź. Kate zapewniała mnie, że nie będzie żadnych problemów.

– Oczywiście nie powinna tego robić – przyznała Jilly – ale...

– Wiem. Rozumiem. To wszystko jest dla niej bardzo ekscytujące, daje jej ogromną szansę... więc dziewczyna na pewno nie chce ryzykować, pytając rodziców o zgodę. Chociaż, z drugiej strony, zupełnie nie rozumiem, dlaczego mieliby protestować... Naturalnie, bardzo mi zależy, żebyś przyszła z Kate na sesję, a jeśli cokolwiek ci się nie spodoba, wystarczy, że powiesz...

– Tak, wyjaśnię wszystko córce – zapewniła Jilly – i od razu dam ci znać. Jeśli o mnie chodzi, nie mam żadnych zastrzeżeń, wiem, jak wygląda twój świat...

– Tak, Kate mówiła mi, że prowadzisz sklep. Których dyktatorów mody sprzedajesz?

– Och... Nicole Farhi, Geralda Darella, Max-Marę... Oczywiście, muszę dostosować się do gustu swoich klientek. Przeciętą gospodyni domowa z Guildfordu nie jest z pewnością prekursorką mody.

– Na pewno. Dobrze, że znasz jej wymagania. To musi być bardzo dobry sklep. Czy mogę wspomnieć o nim w artykule?

– Co takiego? Chcesz wymienić go z nazwy? – spytała Jilly. Przypomniała sobie, jak bardzo podczas choroby martwiła się o „Caroline B”. Zastanawiała się nawet, ile może zdziałać reklama na szesnastej stronie w lokalnej gazecie w Guildfordzie.

– Jasne. Inaczej to nie miałyby sensu, a dzięki temu artykuł będzie o wiele ciekawszy. Prawdę mówiąc, na pewno wszystkim się spodoba, że wnuczka odziedziczyła po tobie wycucie mody, co wyraźnie po niej widać.

– Tak, możliwe – przyznała starsza pani.

Nie miała zamiaru wdawać się w rozważania na temat pochodzenia Kate. Uznała, że to nieodpowiednia chwila.

– Odezwę się tak szybko, jak będę mogła – obiecała.

– Dziękuję, Jilly. Niestety, mogę zostawić ci czas najdalej do jutra. Wiesz, każdy redaktor działu mody marzy o odkryciu jakiejś modelki. To bardzo podniecające, a ja czuję w kościach, że Kate ma szansę zrobić fantastyczną karierę.

Carla odłożyła słuchawkę z uśmiechem na ustach. Wszystko będzie dobrze. Wiedziała, że jeśli chce się wyrzucić na kogoś presję i skłonić go, żeby zrobił to, na czym nam zależy najlepiej dać mu bardzo krótki termin. Zresztą jej też się spieszyło, bo musiała wszystko załatwić przed powrotem Jocasty która dziwnie niechętnie podchodziła do ewentualnej kariery Kate...

Jilly zadzwoniła do hotelu; niemiły francuski głos oznajmił, że państwo Tarrantowie wyszli i że można zostawić dla nich wiadomość.

Wieczorem zadzwoniła Helen: świetnie się bawią, hotel jest sympatyczny, pogoda piękna, a Jim właśnie zabiera ją na kolację.

– Przez całe popołudnie leżałam nad basenem i cudownie się czułam. Co więcej, już mniej kaszlę.

– Tak się cieszę, kochanie. Czy przekazano ci moją wiadomość?

– Nie – powiedziała Helen. – Trzeba przyznać, że pod tym względem nie spisują się najlepiej. Czy stało się coś złego?

– Nie, nie – zapewniła szybko Jilly. – Naprawdę. No cóż, kochanie... bardzo się cieszę. Nie martw się o nas, zwłaszcza że Kate naprawdę ciężko pracuje.

– Nie martwię się, mam, nawet o tym nie myślę. Czuję się cudownie. Cieszę się, że Kate się uczy. Żadna z nich nie sprawia ci kłopotów?

– Nie, są naprawdę słodkie. Helen, chodzi o to...

– O Boże, Jim robi głupie miny, mówi, że stracimy stolik. Zadzwońię za dzień lub dwa.

– Tak, ale...

– Mamusiu, muszę już iść. Przepraszam. Ucałuj dziewczynki. Zrobiłam, co mogłam – pomyślała Jilly. To nie jej wina, że Helen nie miała czasu na dłuższą rozmowę.

Starsza pani zadzwoniła do Carli Giannini i powiedziała jej, że nie udało jej się porozmawiać z córką w sprawie Kate.

– Aleja sama całkowicie to popieram.

– W porządku. Bardzo się cieszę. Wybierzesz się z nami jutro na zakupy?

– Och... chyba nie. Wciąż jeszcze dość szybko się męczę, a wy obie na pewno będziecie lepiej się bawić beze mnie.

– Nie jestem wcale tego taka pewna. W takim razie do zobaczenia we wtorek.

Chris Pollock siedział w niedzielny wieczór w swoim biurze, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, Chris, mówi Jocasta.

– Cześć, Jocasto, gdzie ty się, do cholery, podziewasz? W co się bawisz? I gdzie masz swój pieprzony artykuł?

– Przez cały czas jestem tutaj, w Irlandii. W domu Gideona.

– W domu Gideona Keeble’a? Mój Boże, Jocasto, jesteś genialna. Byłaś tam przez cały czas?

– Tak, ale wybacz, Chris, nie będzie żadnego artykułu. Przynajmniej ja go nie napiszę. Jeśli chcesz, możesz podać do publicznej wiadomości, że dziewczyna jest już bezpieczna w domu, ale to wszystko. I jeszcze jedno, Chris, bardzo mi przykro, ale mam zamiar złożyć wypowiedzenie.

Podczas pierwszego wieczoru spędzonego w domu Keeble’a była wprost przerażona. Wielogodzinne czekanie dawało jej się we znaki bardziej niż wszystko, co dotychczas w życiu robiła.

Wypiła filiżankę herbaty, którą przyniosła jej pani Mitchell, i pochłonęła podane jej ciasteczka, potem zaczęła studiować książki stojące na półkach. Były wspaniałe: porządne, eleganckie wydania przeplatały się z tańszymi tomami w miękkich okładkach. Nie brakowało żadnego z popularnych autorów: był John Grisham, Patricia Cornwell, Stephen King, Maeve Binchy i Jilly Cooper.

Jocasta przejrzała kolekcję płyt kompaktowych. Gideon miał dość ciekawy gust muzyczny. Znalazła tam niemal wszystko, od religijnych utworów wokalnych, poprzez Mozarta i Mahlera, po jazz i swing; wśród współczesnych wykonawców królował Bruce Springsteen i Bob Dylan.

– O mój Boże! Leonard Cohen – powiedziała na głos.

– Co cię tak dziwi? – usłyszała głos Gideona. Odwróciła się z uśmiechem na ustach.

– Uwielbiam go. Jest tak cudownie... cudownie ponury. Niewielu ludzi go lubi. Stanowimy zdecydowaną mniejszość.

– Sondheim? – spytał.

– Uwielbiam go.

– Opera?

– Nie rozumiem.

– Bob Marley?

– Jak najbardziej.

– Wygląda na to – zauważył – że jesteśmy dla siebie stworzeni. Przynajmniej jeśli chodzi o muzyczne gusta.

Spojrzała na niego z niepokojem. Nie uśmiechał się.

– Przyszedłem spytać, czy przydzielić ci na noc jakieś łóżko. Mamy kilka wolnych.

– Prawdę mówiąc, jestem zmęczona. Czy... czy mam jakiś wybór?

– Raczej nie – oznajmił. – Na razie cię nie wypuszczę. Przepraszam.

– W porządku. Wiem, że nie możesz.

Z całkowitym spokojem zaakceptowała złą opinię Gideona na swój temat. Nie miała prawa czuć się urażona. Wtargnęła do jego domu, aby ukraść mu coś bardzo ważnego i prywatnego: jego stosunek do córki – uciekiniarki.

– W takim razie może rano opracujemy wspólnie jakąś strategię, ale na razie jest na to za wcześnie. Sytuacja jest... zbyt drażliwa. Poproszę panią Mitchell, żeby zaprowadziła cię do twojego pokoju. Dobranoc, Jocasto. Życzę ci miłych snów. Jeszcze jedno...

mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale rozłączyłem wszystkie telefony stacjonarne, więc nie próbuj nigdzie dzwonić.

– W porządku – powiedziała.

Pokój znajdował się na drugim piętrze, był wysoki i bardzo wychłodzony, w pięknym kominku się nie paliło, a zaskakująco wysokie łóżko było niesamowicie zimne. Jocasta szybko się rozebrała, wskoczyła do łóżka i natychmiast zasnęła. Obudziła się o szóstej, drżąc od stóp do głów. Wstała, odsłoniła żaluzje i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, dlaczego jest tak zimno – wszystkie okna były szeroko otwarte. Liczyła na piękny widok, tymczasem całą okolicę zasnuwała gęsta, szara mgła. Siąpił deszcz. Dziennikarka zamknęła okna, ubrała się – nie ryzykowała kąpieli w lodowatej łazience – i powędrowała powoli najpierw korytarzem, a potem schodami. Jakoś udało jej się znaleźć drogę do kuchni. Nie było w niej nikogo, nawet psów. Kuchnia była przestronna, a dzięki bardzo staremu piecowi cieplejsza od reszty domu. Dziennikarka napełniła duży czajnik, postawiła go na piecu, znalazła jakiś nadtłuczony kubek, wyjęła mleko z lodówki w stylu lat pięćdziesiątych i powędrowała korytarzem do pokoju zabaw. Tu również panował przejmujący chłód. A przecież był maj! O Boże! Nic dziwnego, że Aisling Keeble szukała kochanków w cieplejszych stronach świata! Gdzieś uporeczywie dzwonił telefon. Czyżby gospodarz z powrotem je powłączał? Warto było sprawdzić. Jeśli tak, mogłaby przekazać Chrisowi kilka słów. Wyszła z pokoju zabaw i skierowała się w stronę, z której dochodził niemiły dźwięk. Musiała pokonać troje drzwi, nim znalazła jego źródło. Naturalnie, telefon był w gabinecie Gideona. Jocasta wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. To dziwne, na pewno Keeble miał przy łóżku drugi aparat. Czyżby naprawdę nie słyszał

dzwonienia? Przechekała cztery następne sygnały, a potem podniosła słuchawkę i odczekała chwilę. Cisza.

– Halo – powiedziała ostrożnie, a potem dodała: – Rezydencja pana Keeble’a.

– Kto mówi? – spytał młody, bezbarwny głos. – To ty, mam? Mówi Fionnuala.

Fionnuala! Jocasto Forbes, to prawdziwa bomba w twojej karierze.

– Nie. Zawołać ją?

– Kto mówi?

– Przyjaciółka... twojego ojca. A może mam zawołać jego?

– Nie, dzięki.

Nagle w słuchawce rozległ się głos Gideona.

– Halo! Halo!

Fionnuala błyskawicznie się rozłączyła.

Jocasta stała w całkowitym bezruchu ze słuchawką w ręce i czuła, że ogarnia ją przerażenie. Właśnie odkładała słuchawkę na widełki, gdy do gabinetu wszedł Gideon. Miał na sobie tylko biały frotowy płaszcz kąpielowy, był rozczochrany, blady jak ściana, a z jego pociemniałych oczu wodziła wściekłość.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! – warknął. Jocasta przez chwilę myślała, że bilioner ją uderzy.

– Jak śmiesz?! Wynoś się stąd! Spieprzaj! I to już!

A więc tak wyglądają jego sławetne napady furii. Jocasta zdecydowanie stawiała mu czoło.

– Właśnie wychodziłam. Chętnie w ogóle bym się stąd wyniosła, ale wygląda na to, że jestem twoim więźniem.

– A czego się spodziewałaś? Wtargnęłaś do mojego domu, próbujesz węszyć w moich najbardziej osobistych sprawach. Co ty właściwie vyrabiasz?

– Jak powiedziałeś wczoraj wieczorem – przypomniała Jocasta, zaskoczona potęgą owej furii – wykonuję swoją pracę, która, niestety, między innymi polega na węszeniu w najbardziej osobistych sprawach. Przepraszam, Gideonie, bardzo przepraszam. Prawdę mówiąc, nie sprawia mi to przyjemności. Ani trochę.

– Miałem o tobie lepsze mniemanie – wyznał, nie kryjąc pogardy.

– Naprawdę? Dlaczego? Pamiętam, że kiedy spotkaliśmy się podczas zjazdu toryków, gratulowałeś mi niektórych artykułów. Co się od tego czasu zmieniło, Gideonie? Chciałabym wiedzieć.

– Kto to był?

– Twoja córka.

– Co powiedziała?

– Właściwie nic. Pytała, kim jestem. Powiedziałam, że twoją przyjaciółką. Zaproponowałam, że cię zawołam.

– I?

– I... – zawahała się – ... powiedziała: „Nie, dzięki”, po czym się rozłączyła. Przepraszam,

Gideonie.

Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Jocasta wyraźnie go zaskoczyła, dzięki temu ujrzała, jak bardzo go zraniła.

– Dziękuję ci, Jocasto – zadrwił po chwili. – Za to, że pozbawiłaś mnie szansy porozmawiania z córką.

– Niczego cię nie pozbawiłam, Gideonie. Fionnuala nie chciała z tobą rozmawiać. Nie strzelaj do posłańca.

– Dlaczego, do jasnej cholery, odebrałaś telefon?

– Bo dzwonił i dzwonił – wyjaśniła. – Nikogo w pobliżu nie było. Założyłam, że ty i twoja żona musieliście wyjechać.

– Brałem prysznic, a moja żona... moja była żona... na pewno rozmawia ze swojego telefonu z wrednym mężem.

W każdym razie policja znalazła Fionnualę. Na lotnisku w Belfaście. Pan Zebedee siedzi w policyjnym areszcie, ale Fionnuala przysięga, że jej nie tknął, więc pewnie muzyk nie pobędzie tam zbyt długo. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce będziesz mogła stąd wyjść i napisać swój artykuł. Będziesz miała do przekazania mnóstwo barwnych szczegółów. Teraz wynoś się stąd, dobrze? I to już.

– W porządku.

W drzwiach nagle się odwróciła... Gideon siedział przygarbiony przy biurku i wpatrywał się w telefon. Widziała, jak przetarł rękami oczy.

– Gideonie – powiedziała cicho. – Jest mi bardzo, bardzo przykro.

– Z jakiego powodu? – spytał. – Że wtargnęłaś do mojego domu? Że wykorzystałaś moją łagodną naturę? Która, jak się zapewne przekonałaś, wcale nie jest taka łagodna. Niestety, Jocasto, jakoś nie mogę uwierzyć w twoje wyrzuty sumienia.

– Nic dziwnego. Jest mi również przykro z twojego powodu. Serdecznie ci współczuję.

– Dziwnie to okazujesz – zauważył. – Wydawało mi się, że jesteś moją przyjaciółką, może nawet kimś więcej.

– Ja też tak myślałam. Teraz już nigdy nianie będę, prawda?

– Zdecydowanie. Podejrzewam, że Pollock powiedział ci: „Dobrze go znasz. Spróbuj dostać się do jego domu i skłonić do mówienia. Na pewno ci się uda”. Albo coś w tym stylu. Mam rację?

– Tak. Niestety, masz rację.

– A ty bez wątpienia pomyślałaś: „Owszem, mogę spróbować. Gideon mnie lubi. Może uda mi się skłonić go do mówienia”. Tak?

– Tak, Gideonie, chyba tak. Dlatego bardzo, bardzo się tego wstydzę.

– Szkoda – ciągnął. – Lubiłem cię, Jocasto. Podobałaś mi się, a w swojej głupocie sądziłem nawet... nie, byłem po prostu głupi.

– Nie – szepnęła, dobrze wiedząc, co miał na myśli. – To nie była głupota. Wcale nie byłeś

głupi.

Na chwilę jego twarz złagodniała. Potem powiedział:

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby to stawiało twoje zachowanie w lepszym świetle. Raczej w gorszym. To naprawdę boli, zwłaszcza myśl, że byłaś gotowa wykorzystać mój podziw, by zrobić kolejny krok w karierze, opisać bardzo bolesną dla mnie sytuację, aby móc włożyć do swojej teczki kilka dodatkowych wycinków z gazet.

Milczała.

– Nie, to śmieszne – rzekł nagle. – Nie mam zamiaru wyjaśniać ci, dlaczego jestem zły. Jeśli sama tego nie dostrzegasz, moje wyjaśnienia nie mają żadnego sensu.

– Dostrzegam – zapewniła. – I wstydzę się swojego postępowania. Jestem bardzo na siebie zła.

– To już coś – przyznał, ale spojrzał na nią z tak ogromną niechęcią, że zrobiło jej się niedobrze. – Teraz wolałbym, żebyś zostawiła mnie samego. Mam dużo pracy.

Odwrócił się od niej i potrząsnął głową, jakby chciał przestać o niej myśleć.

Widząc ten gest, Jocasta przypomniała sobie mnóstwo podobnych sytuacji, kiedy jej ojciec odganiał ją od siebie i wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie chce jej widzieć. Nagle poczuła przypływ odwagi, co więcej, wiedziała, co powinna powiedzieć Gideonowi.

– Gideonie... jest mi przykro jeszcze z innych powodów.

– To znaczy?

– Serdecznie współczuję Fionnuali – powiedziała cicho. – Bardzo, bardzo mi jej żal.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Mogłabyś darować sobie takie uwagi, Jocasto. Nie mam ochoty wysłuchiwać komentarzy ignorantki.

– Nie jestem wcale taką ignorantką – zaprotestowała. – Do pewnego stopnia wiem, co przeżywa Fionnuala.

Oczywiście nie do końca, ale doskonale zdaję sobie sprawę, jak człowiek się czuje w takiej sytuacji. Ja też miałam bogatego i wpływowego ojca, który prawie mnie nie dostrzegał i który się mną nie interesował. Chyba że zrobiłam coś złego.

– Uważaj, Jocasto! – warknął. – Radzę: uważaj.

– Nie mogę, Gideonie, bo gdybym uważała, nie mogłabym ci powiedzieć czegoś, co może ci pomóc. Mój ojciec tworzył swoje imperium, robił pieniądze, jeździł po całym świecie. W jego życiu nie było miejsca dla córki. Małych dziewczynek nie zabiera się w podróże służbowe. Boże, ile razy słyszałam takie wyjaśnienie!

– Przykro mi, że miałaś nieszczęśliwe dzieciństwo, Jocasto. Powinnaś kiedyś o nim napisać.

– Przestań chrzącić! – rzuciła, z przerażeniem czując, że zbiera jej się na płacz. – Próbuję ci tylko powiedzieć, że masz córkę, która prawie cię nie zna. Która prawdopodobnie myśli, że nic dla ciebie nie znaczy. Która nie ma żadnych szczęśliwych wspomnień związanych z tobą, jeśli nie liczyć jakiegoś przypadkowego tygodnia tu czy tam. Która czuje, że interesy są dla ciebie o wiele ważniejsze od niej. Nawet nie wiesz, jak to boli. Nie rozumiesz, że Fionnuala jest gotowa

zrobić wszystko, dosłownie wszystko, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę?

– Och, proszę – powiedział. – Daruj sobie psychologię dla ubogich.

– Problem z psychologią dla ubogich polega na tym, że jest w niej dość dużo prawdy. I zdrowego rozsądku.

– Nie jest ze mną aż tak źle – zapewnił. – Przynajmniej przyznaję się, że mam córkę. Z tego, co wiem, twój ojciec zaprzeczał twojemu istnieniu.

Próbował ją zranić. Udało mu się.

– Za chwilę mi powiesz, że się nad tobą znęcał. Czasami odnoszę wrażenie, że w obecnych czasach powołują się na to wszyscy młodzi ludzie. Może uda ci się rozebrać swoje dzieciństwo na czynniki pierwsze, Jocasto. Sprawić, by było jeszcze bardziej dramatyczne i wzruszające.

– Ty draniu! – warknęła, a potem wybuchnęła płaczem. Wraz z potokami łez napłynęły okropne, smutne wspomnienia. Odwróciła się, wybiegła z gabinetu, znalazła pokój zabaw, trzasnęła drzwiami i usiadła na sofie. Złożyła ręce na brzuchu i pochyliła się, jakby odczuwała fizyczny ból. Przez cały czas bezradnie szlochała.

Nagle usłyszała, że drzwi się otwierają. Odwróciła się i ujrzała Gideona. Stał na progu i patrzył na nią z czymś, co do pewnego stopnia przypominało strach.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem tego mówić. Proszę, wybacz.

Nie odezwała się, nadal szlochała. Usiadł obok niej i ostrożnie otoczył ją ramieniem. Strząsnęła jego rękę.

– Robił to? Znęcał się nad tobą?

– Nie – zapewniła, potrząsając głową. – Przynajmniej... nie seksualnie, ale był okrutny, wyjątkowo okrutny. Wiem, że ty nie jesteś taki. Nie porównuję ciebie i mojego ojca, tylko sytuację Fionnuali i moją.

– Chyba zasłużyłem sobie na kilka batów. Prawdopodobnie jestem, jak to się tutaj mówi, „pieskim ojcem”, to znaczy ograniczyłem się do zmaistrowania dziecka i potem już nic mnie nie obchodziło.

Wbrew sobie zachichotała.

– Tak już lepiej. Chcesz opowiedzieć mi o swoim ojcu? To może pomóc nie tylko tobie, ale i mnie. Nigdy nic nie wiadomo.

– Na pewno nie interesują cię moje stosunki z ojcem.

– W tej chwili i tak nie mam nic lepszego do roboty, a może przy okazji dowiem się czegoś o sobie. Jak sama powiedziałaś, sytuacja rzeczywiście może być podobna.

– Mój ojciec po prostu... po prostu traktował mnie jak despota – zaczęła. – Nigdy nie używał przemocy fizycznej, ani razu mnie nie uderzył, ale często drwił, upokarzał i lekceważył od najmłodszych lat. Bez przerwy porównywał mnie z Joshem, nawet jeśli spisywałam się lepiej niż on. „Dlaczego nie możesz być bardziej podobna do brata?” – mawiał.

Boże, te słowa na zawsze zostaną wryte w moim sercu. Poza tym zazwyczaj robił dużo szumu, planując jakieś przyjemności, a potem w ostatniej chwili je odwoływał. Tak było w

przypadku świąt, moich urodzin i innych okazji. Staralam się, bardzo się starałam go zadowolić, ale nigdy mi się nie udawało. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek powiedział mi coś miłego albo po prostu się do mnie uśmiechnął. Kiedy miałam siedem lat, zaczęłam mu się sprzeciwiać, wdawać w kłótnie i utarczki, ale to tylko pogarszało sytuację, bo wtedy wpadał w nieopanowaną złość. Josh nigdy tego nie robił, po prostu na wszystko się zgadzał.

– Dlaczego tak cię nie lubił?

– Kiedyś nasz wujek zdradził po pijanemu Joshowi, że nasza matka złapała ojca w pułapkę, zachodząc rozmyślnie w ciążę. Tata musiał się z nią ożenić, chociaż jej nienawidził. Prawdopodobnie dlatego właśnie nienawidził również mnie. Czasami wydawało mi się, że chciał mieć syna. Miał zamiar poczekać, aż urodzi mu się chłopak, a potem odejść od matki, tymczasem na świat przyszła córka, a ojciec utknął u boku żony, czekając na prawdziwego spadkobiercę. Odszedł od matki w chwili, kiedy urodził się Josh. Westchnęła, a potem, wycierając nos wierzchem dłoni, spytała:

– Masz jakąś chusteczkę?

– Oczywiście. – Włożył rękę do kieszeni płaszcza kąpielowego. – Proszę. O, tu mam jeszcze jedną.

– Dziękuję.

Wytarła nos, potem spojrzała na Gideona i uśmiechnęła się do niego.

– Przepraszam cię. Ani przez chwilę nie uważałam, że jesteś podobny do mojego ojca.

– Bardzo się cieszę – przyznał – biorąc pod uwagę, jak bardzo go nie lubisz. Napijesz się dobrej, mocnej herbaty? Z dużą ilością cukru? Moja matka uważała, że to najlepsze lekarstwo na wszystko.

– Nie, dziękuję. – Przez chwilę milczała. – Na początku naszej znajomości powiedziałaś, że przypominam ci twoją matkę. Teraz pewnie byś nas nie porównał.

– Wręcz przeciwnie. Ona też była bardzo odważna. Jak młoda lwica. Tylko ona jedna, oprócz ciebie, miała dość śmiałości, żeby mi to powiedzieć.

– Co takiego?

– Że źle traktuję Fionnuale. Że zaniedbuję córkę, że przekupuję ją drogimi prezentami i tak dalej. Oczywiście, ignorowałam jej słowa. Kiedyś rzeczywiście powiedziałem, że trochę przypominasz moją matkę. Nie żartowałem. To była prawda.

– Tak? – spytała, zastanawiając się, ile właściwie Gideon pamięta z tamtej rozmowy. – To jednak nie zmienia faktu – wyznała z westchnieniem – że źle postąpiłam. Nie powinnam tu przyjeżdżać, a już na pewno nie powinnam mówić ci tego wszystkiego. Twoja sytuacja bardzo różni się od mojej.

– Uważam, że dobrze mi to zrobiło – zapewnił. – Jeśli jest się kimś ważnym... – Uśmiechnął się do niej, chcąc pokazać, że ostatnie dwa słowa traktuje jak żart. – Jeśli jest się kimś ważnym, nikt nie ma odwagi walnąć człowiekowi prawdy w oczy. Więc... prawdopodobnie wyświadczyłaś mi ogromną przyługę, Jocasto. Fionnuali również. Teraz muszę już iść. Aisling wybiera się po

Fionnualę. Ma zamiar przywieźć tutaj dziewczynę, żebyśmy mogli oboje z nią porozmawiać, spytać, co się tak naprawdę wydarzyło. Później, jak sądzę, moja była żona zabierze ją ze sobą na tę okropną wyspę, na której mieszka. Ferie dobiegają końca, a za kilka tygodni i tak zaczną się wakacje.

– Czy Fionnuala też uważa Barbados za okropne miejsce?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Wydaje mi się, że dość miło spędza tam czas. Uczy się grać w polo.

– Rozumiem, w takim razie... lepiej już idź. Nie możesz pojawić się na posterunku policji w takim stroju.

– Och, ja nie jadę – powiedział. – Fionnuala dała wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mnie widzieć. Wczoraj wieczorem powiedziała, że mnie nienawidzi, i bez wątpienia to samo usłyszałbym dzisiaj, gdybyś nie przechwyciła rozmowy. Prawdopodobnie, gdybym pojawił się na posterunku, splunęłaby mi w twarz.

– Gideonie! – jęknęła Jocasta. – Nie zrozumiałeś ani słowa z tego, co usłyszałeś ode mnie i od swojej matki. Na litość boską, jedź. Nawet jeśli twoja córka splunie ci w twarz, przynajmniej będzie wiedziała, że zadałeś sobie dla niej odrobinę trudu i przyjechałeś. Jedź. Tylko wcześniej się ubierz.

Wrócił po dziesięciu minutach. Miał na sobie idealnie skrojony tweedowy garnitur i długi płaszcz. Wyglądał bardzo stylowo: jak karykatura wiejskiego dżentelmena.

– Nawet się ogoliłem – rzekł – żeby miała gdzie splunąć.

– To dobrze. Obiecuję, że nie będziesz żałował. Czy Fionnuala naprawdę tu wraca?

– Tak.

– To dobrze. W takim razie może ją poznam.

Wrócili późnym popołudniem. Jocasta obserwowała ich z okna swojej sypialni. Chmury w końcu się porozrywały i ukazało się słońce. Mokra trawa ugięła się nieco pod lądującym helikopterem. Najpierw wysiadł Gideon, potem Aisling, a gdy przeszła obok niego, odwrócił się i wyciągnął rękę w stronę schodków. Pojawiła się na nich dziewczyna: była drobna, ciemnowłosa, ubrana w dżinsy i skórzaną kurtkę. Jocasta nic więcej nie widziała, jeśli nie liczyć gestu, którym dziewczyna odtrąciła rękę ojca. Potem, potykając się, powędrowała w stronę domu za matką, przed ojcem. Była przygarbiona, trzymała ręce w kieszeniach. Po dwóch godzinach rozległy się krzyki, które najpierw dochodziły z parteru, a potem z tarasu. Przeważnie były to niezrozumiałe słowa przerywane łatwymi do przewidzenia zdaniami rzucanymi jak kamienie: „Co chciałaś osiągnąć?”

„Po wszystkim, co zrobiliśmy”, „Jak mogłaś być taka głupia?”, „Zniszczyliście mi życie!”, „Nienawidzę was!”. Trzasnęły drzwi, rozległ się tupot na schodach i korytarzu i znów łoskot zamykanych drzwi. Wsłuchując się w odgłosy, Jocasta układała w głowie artykuł. Miała do dyspozycji wszystkie konieczne elementy: nie tylko miłość, pożądanie i kolizję z prawem, ale też bogactwo, władzę, piękno... i szaleństwa młodości. Nie wspominając już ojej uwięzieniu. Potem

zobaczyła, jak wszyscy troje szli przez trawnik: Aisling z Fionnualą, a za nimi Gideon. Śmigła helikoptera zaczęły się obracać, a obie panie pobiegły pod wiatr i wsiadły. Helikopter uniósł się i niebezpiecznie zakolysał. W oknie widać było białą plamę: twarz Fionnuali. Spoglądała w dół. Gideon jej pomachał. Błagam – pomyślała Jocasta – odpowiedz mu, ale biała plama ani drgnęła, nie okazała żadnej reakcji. Gideon odwrócił się i powędrował w stronę domu. Wyglądał, jakby był ostatnim człowiekiem na kuli ziemskiej.

Jocasta też się odwróciła i po raz pierwszy od tego poranka opuściła pokój.

Był w swoim gabinecie i zgodnie z jej przypuszczeniami wpatrywał się w ekran laptopa, a jego duże ręce sprawnie poruszały się po klawiaturze. Zapukała do drzwi.

– Nie teraz, pani Mitchell! – zawołał.

– To nie pani Mitchell, lecz ja. Odwrócił się. Miał szarą twarz.

– Dlaczego nie wyjechałaś? – spytał bezbarwnym głosem.

– Mogę zostać jeszcze na chwilę?

– Raczej nie. Przepraszam, Jocasto, ale jestem potwornie zmęczony i...

– Jak poszło?

– Słucham?

– Pytam, jak poszło.

– Kiepsko – odparł. – Ale nie chcę na ten temat rozmawiać. Na pewno zdobyłaś już dość informacji do swojego artykułu.

Zwłaszcza jeśli siedziałaś tu przez cały dzień i zbierałaś materiał do swojej cholernej, ale bez wątplenia fantastycznej historii. Jesteś zadowolona, Jocasto? Przypuszczam, że tak.

– Nawet bardzo – przyznała – i cała historia rzeczywiście jest fantastyczna.

– To dobrze. Może nawet dostaniesz za nią jakąś nagrodę. Mam nadzieję, że nie będziesz chciała przesłać jej z mojego komputera. Są pewne granice, nawet jeśli chodzi o moją łagodną naturę.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zapewniła. – Istnieją też granice mojej bezwzględności. Naprawdę.

– To dobrze – powiedział, wstając. – Pójdę poszukać pani Mitchell.

– Dziękuję, ale... prawdę mówiąc, Gideonie...

– Tak?

– Mój artykuł nie jest gotowy do wysłania. W ogóle go nie napisałam. Istnieje tylko w mojej głowie.

– W takim razie lepiej go napisz – poradził – bo za chwilę będzie za późno. Co więcej, twoje prawo do wyłączności się zmarnuje.

– Nie mam zamiaru go pisać. Nie mam zamiaru go nigdzie wysłać. Jeśli o mnie chodzi, nie będzie żadnego artykułu, jasne?

– Co takiego? – spytał.

– Gideonie, nie ma żadnego artykułu. Przynajmniej ja nic nie napisałam.

– Nie rozumiem.

– W takim razie zawodzi cię logiczne myślenie. I twoja intuicja. Nie mogę ci tego zrobić, Gideonie, po prostu nie mogę. Za bardzo mi na tobie zależy. Proste. Teraz lepiej odbierz – poradziła, wskazując na dzwoniący telefon. – Może coś ważnego. Zostawię cię w spokoju. Gdybyś coś ode mnie potrzebował, będę w pokoju zabaw.

Przyszedł po kilku minutach. Usiadł obok niej i zmierzył ją takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Potem odgarnął do tyłu włosy Jocasty i bardzo, bardzo delikatnie pocałował ją w policzek.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie ma za co. Słowo daję.

– Jest za co, Jocasto. Naprawdę. Wyobrażam sobie, ile cię to kosztuje.

– Nie tyle, ile sądzisz.

– Naprawdę? Jestem zaskoczony.

– Może mnie jeszcze nie znasz? Przynajmniej na razie. Kto to dzwonił?

– Fio... Fionnuła.

– Naprawdę? Co powiedziała?

– Właściwie... naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście.

– Nie powiedziała dużo. Po prostu... – głos lekko mu drżał. – Po prostu powiedziała: „Cześć, tato. Dzięki, że dziś przyjechałeś”.

– Moim zdaniem to bardzo dużo – stwierdziła dobitnie Jocasta. – Na pewno nie przeszło jej to łatwo przez gardło. Czy mogłabym wybrać się na spacer? Przez cały dzień nie byłam na świeżym powietrzu i...

– Powiedziałbym, że to tylko twoja wina.

Bardzo, bardzo delikatnie pocałował ją w usta, a potem odchylił się i uśmiechnął.

– Czy mogę się do ciebie przyłączyć? Myślę, że mamy dużo do omówienia...

– Ja też tak sądzę – przyznała Jocasta.

Rozdział Dwudziesty Drugi

Nick szedł Burma Road, jak nazywano korytarz prasowy w Westminster („ponieważ wszyscy w końcu tam trafiają” – jak wyjaśniał wieki temu zaciekawionej i zafascynowanej Jocaście), gdy zadzwonił jego telefon. Spojrzał na numer, to właśnie ona. W końcu się odezwała.

– Tak? – spytał krótko.

– To ty, Nick? Czy... Chris ci powiedział?

– Owszem. Muszę przyznać, że byłbym szczęśliwszy, gdybyś najpierw zadzwoniła do mnie, Jocasto.

– Przepraszam, Nick, ale... musiałam uprzedzić Chrisa, żeby nie czekał na mój materiał, a potem... potem chciałam się zastanowić, co ci powie.

– I nie przyszło ci na myśl, że mogę się o ciebie bardzo martwić? W takim razie słucham... co masz mi do powiedzenia? Jak wyglądają twoje plany? Może zechcesz mi je zdradzić?

– Zamierzam... zostać tu kilka dni.

– Czy mam z tego wnioskować, że jesteś tam z Gideonem Keeble'em? To znaczy naprawdę z nim? W jego... – Urwał. Nie mógł zdobyć się na powiedzenie „w jego łóżku”, bo to zbyt bolało.

– W jego domu?

– Tak. Oczywiście.

– Oczywiście? Nie rozumiem, co w tym takiego oczywistego.

– To... że nie mogłam napisać artykułu z powodu... Gideona.

– Przecież ten artykuł miał być właśnie o Gideonie. Od początku o tym wiedziałas. Jeszcze zanim wyjechałaś.

– Wiedziałam, ale wtedy się nad tym nie zastanawiałam.

– W takim razie co się stało, że czterdzieści osiem godzin później zaczęłaś się zastanawiać i podjęłaś decyzję o całkowitej rezygnacji z kariery?

– To... trochę bardziej skomplikowane, niż się wydaje – przyznała. – I nie chodzi tylko o Gideona. Nagle uświadomiłam sobie, że mogę wyrządzić im wszystkim ogromną krzywdę. Pisząc artykuł.

– Daj spokój! – jęknął. – Nagle rozwinęła się w tobie wrażliwość społeczna? Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

– Po części tak, tylko że w pewnym sensie chodziło również o Gideona. Dzięki niemu wszystko w końcu zrozumiałam. Tak mi się wydaje.

– Jakie to wzruszające! Milczała.

– Przepraszam, Nick. Naprawdę przepraszam.

– Jocasto, jak możesz tak łatwo zrezygnować z... z nas? Jak możesz właściwie bez powodu zrywać długi i bardzo szczęśliwy związek? Dla kaprysu.

– To nie kaprys. Słowo daję. Gdybyś chociaż przez chwilę się zastanowił, wiedziałbyś, dlaczego tak się stało.

– Pewnie wszystko dlatego, że nie chciałem pójść za tobą do ołtarza.

– Prawdę mówiąc – zauważyła – to ja szłabym za tobą. Widocznie nie byłeś na zbyt wielu ślubach, Nick. Tak, to też miało znaczenie. Do pewnego stopnia.

– Jesteś cholernie żalosna – powiedział i rozłączył się. Jego rozpaczy nie zmniejszył nawet dość interesujący przeciek na temat reakcji Clare Short na kryzys iracki ani na temat udziału w nim Tony’ego Blaira.

Jocasta poszła poszukać Gideona. Był piękny dzień, wokół dominował błękit, zieleń i złoto. Uniosła głowę w stronę słońca i poczuła ciepło na twarzy. Zauważyła bilionera, gdy wędrował w stronę stajni.

– Cześć – powiedziała i wsadziła rękę w jego tylną kieszeń.

– Witaj, kochanie. Zadzwoiłaś do niego?

– Tak.

– I co? Widzę, że płakałaś.

– Tak. Prawdę mówiąc, smutno mi i mam wyrzuty sumienia. Mój związek z Nickiem trwał bardzo długo. Trudno... skończyć taką znajomość. Nawet jeśli długo, długo przed... tobą wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Poradzę sobie. Wiem, że postąpiłam słusznie. Dzięki temu teraz lepiej rozumiem, jak bardzo cię kocham.

– Ogromnie się z tego cieszę. Ja też bardzo, bardzo rozpaczliwie cię kocham.

– Nie można kochać kogoś rozpaczliwie, Gideonie.

– Można, ja tak kocham. Tak samo jak „rozpaczliwie czegoś pragnę”.

– Rozumiem. W takim razie ja też rozpaczliwie cię kocham. I rozpaczliwie cię pragnę.

– Miło wiedzieć.

Jak właściwie do tego doszło? Tak szybko i z taką zdumiewającą łatwością? Jocasta odtwarzała sobie wszystko jak film, który ukazuje całą historię w krótkich, oderwanych scenkach, bez dialogu, jedynie ze wzruszającą muzyką. Sekwencję rozpoczynał spacer nad jeziorem: początkowo szli z dala od siebie, ale stopniowo się zbliżali, póki się nie objęli – on otoczył ręką jej ramiona, ona jego talię. Był też pocałunek nad jeziorem, czuły, pozbawiony pożądania. Potem nastąpiła kolacja podana przez panią Mitchell we wspaniałej jadalni. Po niej Gideon wziął Jocastę za rękę, zaprowadził na piętro i na podeście schodów na drugim piętrze życzył jej dobrej nocy. Następnie leżała, nie mogąc zasnąć i wpatrując się w ciemność (wyobrażała sobie, że na filmie pokazano by, że i on wierci się niespokojnie w łóżku). W końcu powędrowała korytarzem i szukając go, otworzyła kilkoro drzwi. Światło księżyca wpadało przez duże okno na najwyższym piętrze. Nagle usłyszała, że ktoś jest na podeście tuż za jej plecami, odwróciła się i ujrzała uśmiechniętego Gideona. Oczywiście, ostatnia byłaby scena miłosna (przy przybierających na sile dźwiękach muzyki). Potem, zanim film wróciłby do normalnej akcji, powinien jeszcze ukazać, jak oboje leżą w łóżku i uśmiechają się do siebie w promieniach słońca wpadających przez okno.

Wszystko było wspaniałe; cudowna sceneria, zachwycający bohater, wspaniała otoczka:

konie, służba, niewiarygodne samochody. Nawet pozwolił jej poprowadzić bugatti.

– Przez cały czas mam wrażenie, że zaraz się obudzę – powiedziała do Gideona – a wtedy okaże się, że to był tylko sen.

– Nie obudzisz się – zapewnił – bo to wszystko dzieje się naprawdę. Chociaż powinienem uwieść cię znacznie wcześniej.

– Próbowalesz. Przynajmniej tak mi się wydaje – zauważyła Jocasta. – Ale robiłeś to jak typowy dżentelmen. Zawsze zapraszałeś Nicka. Naprawdę! Nic dziwnego, że bardzo wolno zmierzałeś do celu.

– Jestem cierpliwym facetem. Kiedy zobaczyłem, jak tańczyłaś na zjeździe, Jocasto, bardzo cię zapragnąłem. Wiedziałem wtedy, że wcześniej czy później będę cię miał. To takie proste. Jedynie czekałem na odpowiednią chwilę. Bałem się tylko, że wcześniej Nicholas zrobi z ciebie uczciwą kobietę.

– Nigdy nie miał takiego zamiaru – zapewniła – i aż do wczoraj myślałam, że to ma jakieś znaczenie. Teraz wiem, że nie. Ani trochę.

I naprawdę nie miało.

Zakochała się w nim po uszy. Czyż nie tak? Rozpaczliwie i mocno. To chyba oczywiste. Była cudownie szczęśliwa. Przez cały czas. Nie mogła w to uwierzyć. Co więcej, on zakochał się w niej. Wciąż jej to powtarzał.

Bywał absurdalnie romantyczny. Czasami, gdy budziła się rano, Gideona nie było, a po chwili wchodził z uśmiechem i ogromnym bukietem właśnie zerwanych polnych kwiatów. Wycharterował na jeden dzień mały samolot i pokazał jej z lotu ptaka górny Mournie tylko dlatego, że chciała go zobaczyć. Jeździli konno przy blasku księżyca, pili szampana na łódce na jeziorze, nadał jej imię jednej ze swoich klaczy czystej krwi.

– Dopóki się tu nie pojawiłaś, ona była w tym miejscu najpiękniejszą istotą płci żeńskiej.

Jocasta czuła się tak, jakby całkowicie zostawiła za sobą przeszłość; miała telefon, a z ubrań tylko to, co wrzuciła do plecaka. Odnosiła wrażenie, że jej życie zaczyna się od nowa.

Wszystko wydawało się zbyt dobre, by mogło być prawdą, ale właśnie za czymś takim tęskniła jej romantyczna dusza. Tylko ich dwoje, z dala od całego świata, pławiący się w rozkoszach i przyjemnościach. Po jakimś czasie, oglądając się wstecz, uznała, że to był ich miesiąc miodowy.

Oczywiście, nie mogła też pomijać seksu, który był... był dobry.

Bardzo dobry. Naprawdę. Wyjątkowo jej odpowiadał.

– Myślę, że mamy już wszystko, co potrzeba. Carla uśmiechnęła się do Kate.

Przez kilka godzin przeczesywały Top Shop, a potem, tak na wszelki wypadek, wpadły jeszcze do Oasis i River Island. Kate niemal wszystko wybrała sama, co zdaniem Carli świadczyło, że dziewczyna ma świetne wycucie aktualnej mody, zwłaszcza jeśli chodzi o dodatki: paski, apaszki, trykoty i okulary przeciwsłoneczne – jej wybór był niezawodny.

– Też tak sądzę – przyznała Kate. – Jestem taka podniecona. O której mamy przyjść?

– Jak najwcześniej. Zamówiłam taksówkę, kogoś z Nicky Ciarke do twoich włosów i śliczną dziewczynę, która robi ci makijaż, ale obiecuję, że będzie bardzo delikatny. No, a teraz wracaj do domu. Nie chcę, żeby babcia się o ciebie martwiła. Jest wspaniała, Kate. Szczęściara z ciebie.

– Wiem. Czasami wydaje mi się, że jest młodsza od mojej mamy.

– Jesteś do niej trochę podobna. Masz tę samą karnację.

– Czysty przypadek.

– Dlaczego?

– Zostałam adoptowana – wyjaśniła Kate. – Spadam. Dzięki, Carlo. Było naprawdę super. Cześć!

Carla patrzyła z zamyśleniem, jak nastolatka z burzą jasny eh włosów i długimi nogami znika na ruchomych schodach. Adoptowana? Ciekawa informacja. Być może nowy wątek do całej historii. Koniecznie trzeba dowiedzieć się czegoś więcej. „Dziewczyna z widzeniem lunetowym” – brzmiał podtytuł artykułu, a poniżej następowało wyjaśnienie, jak Martha postępowała przez całe życie. „Żadnych chłopców w szkole średniej, żeby nic nie odrywało jej od nauki, praca przynajmniej przez dwanaście godzin dziennie, a obecnie najwyższej tygodniowy urlop raz na jakiś czas...”

Wywiad załatwił Jack Kirkland: pani redaktor była jego przyjaciółką. Powiedziała, że widziała artykuł w „Sketchu”, a właśnie mieli zamiar przeprowadzić rozmowę z jakąś kobietą ze świata polityki. Martha zaproponowała Janet, ale Jack wyjaśnił, że Janet już wielokrotnie udzielała wywiadów, a gazecie zależało na kimś nowym i młodszym.

– W takim razie nie wspominaj o tym Janet.

– Dlaczego? Zresztą już i tak jej powiedziałem.

– Jack! Tylko pomyśl, jak ona się czuje.

– Za późno – przyznał. – Chyba jednak nie bardzo się tym przejęła. Zgodziła się i nawet wyznała, że robi jej się niedobrze od ciągłego udzielania wywiadów.

Tak czy inaczej, tym razem Martha już tak bardzo się nie bała, co więcej, czuła, że przez cały czas panuje nad sytuacją. Artykuł wypadł dobrze. Szybko się uczyła.

Przyszło jej na myśl, że nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Podjęła ogromne ryzyko, przekroczyła granice ściśle wyznaczonej przez siebie strefy bezpieczeństwa, oddychała powietrzem, od którego kręciło jej się w głowie, a mimo to nadal była bezpieczna. Doszła do wniosku, że powinna wcześniej sobie zaufać. Bez tego wiele straciła. Miała nawet zamiar zrobić coś, co ją bardzo zdziwiło i stanowiło dodatek do wywiadu dla „Question Time”. Zgodnie z sugestią Eda postanowiła wyjechać z nim na urlop.

– Czy stanie się coś złego? – spytał. – Będziemy się świetnie bawić. Słyszałaś, że jest coś takiego jak zabawa, Martho? To coś, co od czasu do czasu robią inni ludzie. Powinnaś sprawdzić. Tylko tydzień, obiecuję, że nie będę prosił o więcej. Odpoczniesz, będziesz mogła naprawdę się rozluźnić i nie przejmować całym światem.

Na razie mu odmawiała, ale dziś rano, oceniając swoje życie i odniesiony sukces, potrafiła

sobie wyobrazić... no, może nie tylko wyobrazić...

– Na dzisiaj koniec – oznajmił Marc Jones. – Byłaś świetna, Kate.

– On ma rację – przyznała Carla. – Fantastycznie się spisałaś. Zwłaszcza podczas ostatnich ujęć, kiedy zaczęłaś tańczyć. Chciałabym umieścić któreś z tych zdjęć na pierwszej stronie.

– Och, proszę, zrób to! – zawołała Kate.

Była zarumieniona, podniecona, czuła, że odniosła zwycięstwo.

– Wątpię, czy nam się uda, ale na pewno dostaniesz do dyspozycji dwie strony, mam nadzieję, że w środku gazety. Jesteś z niej dumna, Jilly, prawda?

– Nawet bardzo – przyznała starsza pani. – Uważam, że była wspaniała. Wygląda, jakby robiła to od lat. Rzeczywiście babcia Kate była bardzo szczęśliwa; uważała, że przebieg sesji zdjęciowej całkowicie usprawiedliwiał jej decyzję. W trakcie jej trwania Jilly zaobserwowała ciekawe zjawisko, jakby z Kate stało się coś dziwnego i dziewczyna nagle poczuła się sobą: pozbyła się niepewności, wątpliwości co do swojej osoby i stała się kimś innym. Jakimś cudem przed obiektywem Kate odnalazła siebie. Odkryła własne ja. Miło było to obserwować. Carla chciała zabrać wszystkich na podwieczorek; podczas lunchu zjadły tylko jakieś kanapki.

– Może wybrałybyśmy się do Ritza – zaproponowała. – Zarezerwowałam stolik.

– Do Ritza?! – zawołała Jilly. – Nie byłam tam od czasów młodości.

– Jestem pewna, że nic się nie zmieniło – powiedziała Carla z uśmiechem. – Być może nawet są wciąż ci sami kelnerzy.

– Spokojny podwieczorek w „Palm Court”?

– Spokojny podwieczorek w „Palm Court”. Jeśli chcecie, możemy nawet wypić szampana.

– Och, chyba nie powinnyśmy – zaprotestowała słabo Jilly.

– Babciu! Myślę, że powinnyśmy. W końcu mamy co uczcić. Co o tym sądzisz, Marc? Pójdiesz z nami, prawda?

Ona z nim flirtuje – pomyślała Jilly. – Jak miło!

– Niestety, nie mogę – rzekł fotograf z żalem. – Muszę zająć się zdjęciami, ale w przyszłości na pewno się wybiorę, Kate. Po następnej sesji. Bo jestem przekonany, że będzie następna sesja.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie. Zapamiętaj moje słowa: wkrótce sięgniesz po najwyższe laury.

– O kurczę! – uradowała się Kate.

We trzy zjadły podwieczorek i wypily szampana. Siedziały otoczone przepychem „Palm Court”: kryształowymi żyrandolami, ogromnymi palmami i malowidłami ściennymi, a czas umilał im uroczo staromodny pianista. Zażyły sobie szampana, talerz maleńkich kanapek, babeczki z kremem, lukrowane ciasteczka, bezy i eklery, a do tego dzbanek pachnącej herbaty Earl Grey. Jilly bez przekonania broniła się przed drugim kieliszkiem, kiedy Carla wyjęła notes.

– Lepiej się napij, Jilly, bo teraz będę musiała zadać mnóstwo nudnych pytań. O wiek Kate, gdzie chodzi do szkoły, co ją interesuje i co chce robić w przyszłości. Zastanów się, czy jest coś, co mogłoby dodać jej kolorów, jak mawiamy w naszym zawodzie, czyli sprawić, żeby wypadła

jak najciekawiej.

– Moje pełne nazwisko brzmi Kate Bianca Tarrant – zaczęła dziewczyna. – Postaraj się nie pominąć Bianki, dobrze? Kate to takie beznadziejne imię.

– Oczywiście. Jeśli chcesz, możemy odwrócić kolejność. Bianca Kate brzmi o wiele lepiej niż Kate Bianca.

– Świetnie.

– Skąd wzięła się Bianca? To dość niezwykle imię. Czy ma jakieś specjalne znaczenie dla twojej matki?

– Nie... myślę, że nie. Po prostu jej się podobało – odparła Kate z dziwną rezerwą. – Urodziny obchodzę piętnastego sierpnia.

– Czyli wkrótce kończysz szesnaście lat?

– Tak. Wtedy nareszcie będę mogła robić, co zechcę! – Uśmiechnęła się zadowolona.

– A co chcesz robić?

– Och, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Chcę zostać modelką. Teraz już wiem, że to wspaniałe zajęcie.

– Doskonale. Czy masz... jakieś inne zainteresowania? Albo hobby?

– Właściwie niewiele. Stroje. Włóczenie się po klubach – wyliczyła Kate, wyraźnie nie chcąc wdawać się w szczegóły. – Moja siostra dostała stypendium muzyczne, gra na fortepianie i skrzypcach i należy do dwóch orkiestr.

– Tak, rzeczywiście jest bardzo utalentowana – wtrąciła Jilly. – Jesteśmy bardzo dumni z Juliet.

– Czy ona też jest adoptowana? – spytała Carla.

Jilly spojrzała na dziennikarkę z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Nie przypuszczałam, że wiesz.

– Wiem. Kate wczoraj mi powiedziała, prawda, Kate?

– Tak. Juliet nie jest adoptowana.

– Wyraźnie jesteście ze sobą w bliskiej komitywie.

– Dość bliskiej – potwierdziła nastolatka. – Chociaż czasami blado przy niej wypadam.

– Wcale nie, kochanie – zaprotestowała Jilly. – Po prostu bardzo się od siebie różnicie.

– Nic dziwnego – wtrąciła Carla – skoro nie jesteście rodzonymi siostrami. Kate, czy wiesz, kim jest twoja prawdziwa matka?

– Nie – odparła Kate krótko.

– A chciałabyś?

– Nie. Poza tym to moja biologiczna matka – dodała z naciskiem. – Moją prawdziwą mamą i prawdziwym tatą są ludzie, którzy mnie wychowali i których kocham.

– Oczywiście – przytaknęła Carla uspokajająco – i na pewno o tym wiedzą.

– Bez wątplenia – zapewniła Jilly. – Stanowią bardzo szczęśliwą rodzinę.

– Rozumiem. Masz jakiegoś chłopca, Kate?

– Nie. Przynajmniej z nikim nie chodzę na poważnie. – A... jakich chłopców lubisz?

– Hmm... – Przed oczami Kate stanął Nat. – Oczywiście, superowych. Wysokich. Ciemnowłosych. Fajnie ubranych.

– Możesz mi zdradzić, co noszą superowi chłopcy?

– Zbyt obszerne spodnie. Firmowe buty. Podkoszulki bez rękawów. Skórzane kurtki. I jeżdżą superowymi samochodami.

– A co uważasz za superowy samochód? Porsche?

– Nie! – Na twarzy Kate pojawiło się współczucie i obrzydzenie. – To samochód dla starszków. Bardziej odpowiada mi escort albo citroen, trochę podrasowany, coś ze spojlerami... tego typu rzeczy.

– Podoba mi się – rzekła z uznaniem Carla. – W jakich klubach bywasz?

– Różnych – oświadczyła beztrudnie Kate. – „Ministry of Sound”, „Shed” w Brixton.

– W obecnych czasach młodzi ludzie świetnie się bawią – przyznała Jilly, zadowolona, że przestały rozmawiać o adopcji Kate. – Naturalnie, my też kiedyś potrafiliśmy niezłe poszaleć, choć na pewno inaczej. Ja, na przykład, przychodziłam tu na dancingi.

Kate westchnęła i oznajmiła, że idzie do toalety.

– Wracam za chwilę. Może uda mi się zmyć trochę tego świństwa z twarzy.

– Widzę, że Kate niechętnie mówi o swojej adopcji – powiedziała Carla od niechcenia po kilku minutach wysłuchiwania opowieści o tym, że Jilly i jej mąż należeli do pierwszych członków AnnabeFs.

– Nie ma się co dziwić, zważywszy na okoliczności.

– To znaczy?

– Och, została... – Jilly urwała i upiła spory łyk szampana. – Carlo, ale to nie trafi do gazety, prawda?

– Ależ skąd!

– Prawdę mówiąc, Kate nie ma pojęcia, kim jest jej matka. Nikt z nas tego nie wie.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że w obecnych czasach wszystko odbywa się jawnie i adoptowane dzieci mogą szukać swoich biologicznych matek.

– Tak, w normalnych warunkach rzeczywiście tak jest, ale ponieważ Kate została porzucona... och, Kate, kochanie, wróciłaś. Musimy już iść. Martwię się o Juliet.

– Na zewnątrz czeka samochód – oznajmiła Carla. – Zawiezie was do domu. Jutro prześlę wam kilka zdjęć i jeśli chcesz, Kate, mogę przygotować również odbitki dla twoich rodziców.

– Super – powiedziała Kate. – Dzięki.

Jilly wtrąciła, że nie wie, co Kate by zrobiła, gdyby nie wymyślono słowa „super”, dopiła szampana i nieco chwiejnym krokiem wyszła za Carla z Ritza. Dla Jilly był to cudowny dzień, co więcej, nie miała wątpliwości, że będzie stanowił punkt zwrotny w życiu wnuczki.

– Dobry Boże! – jęknął Chad. – Co to za kobieta towarzyszy Eliotowi? Wygląda jak dawna dziewczyna Svena, Nancy del coś tam.

– Olio – podpowiedziała Janet. – Rzeczywiście. Jak sądzisz, czy może być prawniczką, która zajmuje się prawami człowieka?

– Nie wygląda. Straszny ze mnie seksista, nie sądzisz?

– Zatwardziały – przyznała Janet poważnie.

W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Pani Frea zaczęła rozmawiać przez telefon i jednocześnie smarować bułeczkę masłem.

– Tak, tak. Bardzo chciałabym posłuchać twojego wiersza – zapewniła. – Co takiego? Nie, przeczytaj mi go teraz. Potem... powiedz tatusiowi, że już nie musi. Przekaż mu, że ja tak powiedziałam. No więc słucham. – Po długim milczeniu powiedziała: – Jest śliczny, naprawdę śliczny. Najbardziej podoba mi się pomysł, żeby wyłączyć słońce. Mądra z ciebie dziewczyna.

Tak, będę w domu w porze kąpieli. Obiecuję. Kocham cię. Cześć. Przepraszam – powiedziała, wyłączając telefon i rozkładając ręce.

– Udręki pracującej matki. No, może nie udręki... Pewnie mam do czynienia z panią Harrington. Cieszę się, że mogłam panią poznać. Eliot dużo o pani mówił. Na co pani ma ochotę? Może herbatę? Znowu zadzwonił jej telefon. Przeprosiła towarzystwo i zaczęła rozmawiać.

– Cześć, Bob, o co chodzi? Tak, dziś wieczorem. Tutaj. Przepraszam nie mogę teraz rozmawiać. Do zobaczenia później.

Rozłączyła się.

– Przepraszam, że kazałam pani tak długo czekać... Jak pani słyszała, czeka mnie namiętna randka w łazience, ale chętnie utnę sobie z panią krótką pogawędkę. Eliot mówi, że współpracuje pani z Amnesty International...

Stara profesjonalistka – pomyślał Chad, bacznie obserwując jej poczynania – czarująca i skora do pomocy, chociaż w rzeczywistości, gdyby mogła, utopiłaby Suzanne Harrington w łyżce wody.

– W tej chwili pracuję w komisji, która zajmuje się tymi sprawami. Naprawdę bardzo by mi pomogło, gdyby zechciała mnie pani jak najdokładniej poinformować, czym się obecnie zajmujecie. Jak najszybciej. Wtedy...

– Witaj, Eliocie! – zawołał Jack Kirkland od drzwi. Eliot wstał.

– Przepraszam na chwilę. To nie potrwa długo.

– Wygląda na to, pani Harrington, że Eliot ciężko pracuje w swoim okręgu wyborczym – zagaił Chad. – Dobrze robi.

– Tak, wszyscy bardzo wysoko go cenią. Przynajmniej przedstawiciele mojej profesji.

– Na dodatek jest bardzo miłym mężczyzną – dodała Janet głosem słodkim jak miód.

– Tak, był dla mnie bardzo, bardzo dobry. Nawet założył żaluzje w moim nowym mieszkaniu, chociaż to wcale nie należy do jego obowiązków, ale jestem osobą samotną, więc...

– Miło to słyszeć – zapewniła Janet. – Rzeczywiście lubi pomagać przedstawicielkom słabszej płci, za jaką, niestety, nas uważa. O, wraca. Muszę już iść. Chad, czy mogę cię prosić...

Oddalili się, kontynuując rozmowę. Eliot uśmiechnął się do Suzanne.

– Przepraszam, że tak krótko, ale Janet jest bardzo zajęta.

– Nie, nie, była cudowna. Powiedz, co z wycieczką, którą mi obiecałeś? Czy to prawda, że w gmachu parlamentu jest kaplica? Bardzo chciałabym ją zobaczyć.

– Owszem, nazywamy ją kaplicą Saint Mary's Undercroft albo Kryptą. Jest naprawdę piękna, ma dużo złocień i okien witrażowych.

– Możemy ją obejrzeć?

– Oczywiście. Od niej zaczniemy... O, cześć, John – powiedział, gdy mijali sąsiedni stół. – Jak się miewasz, staruszk?

Był to ten sam stary torys, który zaatakował Chada w palarni. Teraz spojrzał wilkiem na Eliota i nie odezwał się ani słowem.

– To Suzanne Harrington, z mojego okręgu wyborczego – wyjaśnił Eliot niespeszony. – Zabieram ją na wycieczkę. Chce zobaczyć Kryptę.

W odpowiedzi stary torys jedynie zasłonił się gazetą. Janet już prawie wychodziła z budynku, kiedy przypomniała sobie, że zostawiła gdzieś telefon. Cholera! Może jest w Pugin Room? Wróciła tam. Komórki nie było.

Zajrzała za gazetę, myśląc, że ukrywa się za nią Eliot. Zobaczyła porytowane oczy.

– Jeśli szukasz Griersa, nie ma go tutaj. Zabrał jakąś lalunię do Krypty. To skandal!

Janet doszła do wniosku, że starego torysa bardziej oburzyło opuszczenie przez Eliota szeregów partii niż fakt, iż zabrał kogoś do Krypty. Kiedy wychodziła, pojawił się Chad z jej telefonem.

– Tego szukasz?

– Tak. Dzięki, Chad. Do zobaczenia jutro.

Carla siedziała w swoim gabinecie i z zachwytem oglądała zdjęcia, które przyniósł jej Marc; Kate dosłownie wyskakiwała ze strony, była beztroska, pewna siebie i naprawdę wyjątkowo piękna.

Co o niej napisać?

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Wszedł jeden z redaktorów, Johnny Hadley.

– Cześć, Carlo. Piszę artykuł o Sophie Wessex. Kilka miesięcy temu, kiedy wybuchła afera z fałszywym szejkiem, Jocasta rozmawiała z jakąś babcią klozetową z „Dorchester Hotel”, pamiętasz? Sprzątaczką utrzymywała, że Sophie była taka słodka i zawsze miała dla niej miłe słowo. Ten materiał nigdy nie poszedł do druku. Czy mogłabyś przeszukać biurko Jocasty? Gdyby udało ci się znaleźć tę rozmowę, miałbym miły dodatek. Boże, co to takiego? Ładna para cycuszków. A skoro mowa o Jocaście, ta dziewczyna z fotografii jest trochę do niej podobna, nie sądzisz? Choć może tylko tak mi się wydaje.

– Nie – powiedziała Carla, zerkając na zdjęcia Kate. – Sama to powiedziałam. Dobrze, Johnny, przyniosę ci ten tekst, jeśli go znajdę.

Podeszła do biurka Jocasty i wysunęła najwyższą szufladę – były w niej tylko stare taśmy. Następna wyglądała bardziej obiecująco: wycinki z gazet, wydruki emaili, kilka notatek do

artykułów. W trzeciej panował potworny chaos: mnóstwo kartek, zapisków, stron maszynopisu. Cholera! Przejrzy to, a potem powie, że niczego nie udało jej się znaleźć. Przecież...

– O mój Boże! – jęknęła Carla.

Usiadła przy biurku Jocasty i zaczęła gorączkowo czytać spięte strony, najpierw raz, potem drugi i trzeci. W końcu zabrała je do swojego gabinetu, zamknęła drzwi i przeczytała jeszcze raz. Tego właśnie szukała. Tyle że nie był to wywiad z babcią klozetową z „Dorchester”, lecz wydruk z archiwów „Sketcha”, następny z „Mail” o noworodku porzuconym na lotnisku Heathrow. Działo się to piętnastego sierpnia, prawie szesnaście lat temu. Opiekujące się dziewczynką pielęgniarki nadały jej imię Bianca. Matki nigdy nie znaleziono.

Część Druga

Rozdział Dwudziesty Trzeci

Sytuacja trochę przypominała ów pamiętny dzień, kiedy zastrzelono prezydenta Kennedy'ego – powiedzieliby ludzie starsi. I gdy zginęła księżna Diana – dodaliby młodszy. Człowiek dokładnie zapamiętuje, co robił, gdy się o tym dowiedział albo przeczytał. Wie również, że do końca życia nie zapomni tej chwili.

– Nie – szepnęła Helen. – Tylko nie to, proszę – powtarzała, czytając artykuł.

Pomimo świeżej opalenizny była blada jak płótno.

Jim, któremu z wściekłości dosłownie odebrało mowę, krążył tam i z powrotem po kuchni, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby uderzyć pięścią w tylne drzwi. Jilly, odpowiedzialna za całe zamieszanie, siedziała w jadalni, zbyt zaszokowana, żeby nawet myśleć, i usiłowała stawić czoło najgorszemu ze scenariuszy, jakie sobie wyobrażała od telefonu Carli dwadzieścia cztery godziny temu.

Gdy Gideon znalazł Jocastę nad jeziorem, siedziała w całkowitym bezruchu, zaszokowana, trzymała w ręce gazetę i obrzucała Carlę wyzwiskami, które zaskakiwały nawet ją samą.

Clio w sobotę rano miała dyżur w przychodni. Recepcjonistka pokazała jej artykuł, zachwycona, że napisano coś o jednej z ich pacjentek.

– Wspomniano tu nawet o pani Bradford i jej sklepie.

Clio przez dobrą chwilę siedziała w swoim gabinecie, wciąż na nowo czytając artykuł i wbrew wszelkim znakom na niebie i na ziemi mając nadzieję, iż Jocasta nie miała z nim nic wspólnego. Zastanawiała się, jak poczuje się matka Kate, prawdziwa matka Kate, gdy to zobaczy.

Nat Tucker przeczytał artykuł, po czym usiadł w kuchni matki, ignorując namowy ojca, żeby ruszył swój cholerny tyłek i zszedł do warsztatu. Chłopak zastanawiał się nie tylko nad tym, czy powinien zadzwonić do Kate, czy raczej podjechać i spróbować się z nią zobaczyć, ale też jak mógł nie zauważyć, że dziewczyna jest tak piękna. Dodatkową radość sprawił mu opis jego osoby i auta. Co więcej, wykazując się wrażliwością, która zaskoczyłaby większość jego kumpli i całą rodzinę, uznał, że nie można się dobrze czuć, jeśli tak beznadziejna gazeta podaje do publicznej wiadomości informację o tym, iż człowiek został porzucony w pomieszczeniu ze środkami czystości.

Carla widziała już swój materiał poprzedniego wieczoru i wtedy była z niego bardzo, bardzo zadowolona, jednak po ukazaniu się gazety dziennikarka miała pewne problemy ze stawieniem czoła rzeczywistości. Oczywiście jedynie wykonywała swoją robotę; oczywiście Jilly, najwyraźniej zaszokowana, a może wręcz przestraszona, potwierdziła (zgodnie z instrukcjami prawników Carla nagrała tę rozmowę), że tak, to prawda, Kate to rzeczywiście porzucona Mała Bianca, i oczywiście nic się nie zmieniło, dziewczyna nadal ma przed sobą oszałamiającą karierę modelki. Tylko teraz Carla nie była już wcale taka zadowolona z siebie, widząc nastolatkę w gazecie, taką młodą i bezbronną obok wyjawionej dużą czcionką tajemnicy jej pochodzenia,

napisanej ku uciechu prawie dwóch milionów czytelników „Sketcha”, aby mieli co przeczytać przy śniadaniu. Martha podczas porannego biegania ujrzała na pierwszej stronie „Sketcha” zapowiedź artykułu: „Porzucony noworodek obecnie ma szansę zostać najnowszą twarzą świata mody. Poznaj Biankę Kate, która w dzisiejszym numerze „Sketcha” po raz pierwszy wystąpiła w roli modelki”. Martha przeczytała artykuł, zamknęła gazetę, starannie ją złożyła, wrzuciła do kosza na śmieci, pobiegła do swojego apartamentu, wzięła prysznic, ubrała się w jeden ze swoich wyborczych kostiumów i pojechała do Binsmow. Zgodnie z obietnicą dotarła na plebanie o wpół do dwunastej, przez jakiś czas udzielała porad prawnych, a o wpół do drugiej spotkała się z Geraldine Curtis. Wieczorem wraz z rodzicami wybrała się na koncert charytatywny w ratuszu, kupiła pięć książeczek kuponów loteryjnych i wygrała jakąś najzwyczajniej szą butelkę płynu do kąpieli. Następnego dnia rano wyjechała z Binsmow. Wcześniej przyjęła komunię i zjadła śniadanie z matką, zaabsorbowaną historią Bianki Kate, porzuconego noworodka, który jakimś cudem znalazł sposób, żeby trafić na strony „Sunday Times” i „Mail on Sunday”. Martha zgodziła się, że porzucenie dziecka jest najokropniejszym czynem i nie może sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł tak postąpić, po czym wróciła do Londynu, do swojego mieszkania, i przez cały dzień zajmowała się robotą papierkową. Wieczorem poszła do siłowni, gdzie długo ćwiczyła i przepłynęła trzydzieści długości basenu. Ed Forrest zostawił jej cztery wiadomości na automatycznej sekretarce i kilka następnych na poczcie głosowej w komórce, wysłał też kilka SMS-ów. Prosił, żeby zadzwoniła, bo chciał z nią omówić, między innymi, organizowaną przez niego wyprawę do Wenecji. Kiedy Martha nie odpowiadała, początkowo był zaniepokojony, potem zły, a na koniec wściekły.

Dzień, który miał być dla Kate dniem tryumfu, zamienił się w koszmar. Dziewczyna zamknęła się na klucz w swojej sypialni i płakała bez końca. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że można się czuć aż tak źle.

Clio postanowiła zadzwonić do Jilly Bradford. Zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość, że bardzo jej przykro, i kazała sobie przysłać następnego pacjenta. Co za paskudna sprawa! Biedna Kate. Biedactwo.

Po powrocie do swojego mieszkania lekarka wykręciła numer Jocasty. Odezwała się poczta głosowa. Clio podała swój numer i poprosiła o telefon. Wciąż zastanawiała się, czy zadać sobie nieco trudu i zrobić coś więcej niż kanapkę, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć, Clio, mówi Jocasta. Jak się miewasz?

– Świetnie. Właśnie widziałam artykuł o Kate i...

– Słowo daję, Clio, że nie miałam z tym nic wspólnego. Przynajmniej bezpośrednio. Prawdę mówiąc, rzuciłam pracę w „Sketchu”.

– Rzuciłaś? Dlaczego?

– Hm... to długa historia. W tej chwili jestem w Irlandii i właśnie wybieram się do Londynu. Chciałabym porozmawiać z Kate, bo w jakiś sposób czuję się odpowiedzialna za to, co się stało.

– Nie bardzo cię rozumiem, Jocasto.

– Wiem. Przepraszam. Czy mogłybyśmy spotkać się wieczorem? Jeśli chcesz, mogę do ciebie przyjechać. Chętnie porozmawiam na ten temat z kimś, kto zna Kate. Masz coś przeciwko temu?

– Ależ skąd! Nie bądź głupia. Zadzwoń.

– Pani Tarrant? – odezwał się miękki głos ze szkockim akcentem.

– Tak.

– Wiem, że pani mnie nie zna, ale wydaje mi się, że mogę być matką Bianki. Widzi pani, siedemnaście lat temu zostawiłam na lotnisku noworodka... Helen myślała, że zwymiotuje.

– To było szesnaście lat temu – sprostowała ostro.

– Co takiego? Och, przepraszam. Wydawało mi się, że napisali „siedemnaście”...

Helen rzuciła słuchawkę i wybuchnęła płaczem. Potem zadzwoniła do Carli Giannini.

Carla jak na zawołanie zaczęła odgrywać radosną i pewną siebie.

Prawda, że zdjęcia wyszły wspaniale? Czy nie sądzi, że Kate wygląda na nich naprawdę pięknie? Muszą być z niej bardzo dumni. Helen była tak zaszokowana, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ciekawa jestem, czy Kate zgodziłaby się ze mną porozmawiać.

– Nie – oznajmiła Helen. – Na pewno by się nie zgodziła.

– Może w takim razie nieco później. Proszę jej powiedzieć, że dostałam już dla niej kilka ofert.

– Jakich ofert?

– Z agencji modelek. Oczywiście wszystko zależy od państwa.

– Bardzo się cieszę, że jest jeszcze coś, na co mamy wpływ – powiedziała Helen lodowatym tonem.

Powoli zaczynała odzyskiwać pewność siebie. Carla całkowicie zignorowała jej słowa.

– Jest jeszcze jedna sprawa, proszę pani... możecie otrzymywać telefony. Od kobiet, które będą twierdzić, że są matkami Kate. Kilka z nich już do nas dzwoniło. Najlepiej by było, gdyby państwo pozwolili się nam tym zająć. Proszę wszystkie takie osoby odsyłać do nas. Tak będzie...

– Nie chcę, żebyście wyręczali nas w czymkolwiek! – warknęła Helen, słysząc w swoim głosie nienawiść. – Wyrządziliście nam już wystarczająco dużo krzywdy... Proszę, zostawcie nas w świętym spokoju.

Po tych słowach bardzo, bardzo ostrożnie odłożyła słuchawkę.

Kiedy odebrała dwa następne telefony od rzekomych matek, wiedziała już, że nie poradzą sobie sami.

Carla zareagowała szybko i profesjonalnie.

– Odsyłajcie je wszystkie do nas.

– A jeśli... jeśli któraś z nich jest jej prawdziwą matką? – spytała Helen, z trudem wymawiając te słowa. – Skąd będziemy wiedzieć?

– Musimy poprosić o jakiś dowód.

– Jaki dowód? – spytała Helen z rozpaczą.

– Hmm... może jest coś, co dotyczy podrzucenia Kate, a czego nie było w artykule? Na przykład: o której godzinie to było albo w co była ubrana?

– Nie sądzę – powiedziała Helen z goryczą. – Podaliście wszystko ze szczegółami.

– Proszę mimo wszystko jeszcze się zastanowić. I zadzwonić do mnie.

Na razie Helen niczego sobie nie przypomniała. Powędrowała do jadalni, bez pukania otworzyła drzwi i z ogromną niechęcią spojrzała na Jilly.

– Odwiozę cię do domu. Jim i ja chcielibyśmy zostać sami z dziewczynkami.

– Rozumiem – odparła pokornie starsza pani – ale wcale nie musisz mnie odwozić. Wezmę taksówkę. Nikt... nikt do mnie nie dzwonił?

– Dzwoni tylu ludzi, że przestałam odbierać telefony. Jim wybiera się po automatyczną sekretarkę.

– O mój Boże, to okropne! Kto dzwoni?

– Przede wszystkim dziennikarze. Z innych gazet. Czy mamy coś do dodania? Czy mogą przeprowadzić wywiad z Kate? Tego typu rzeczy.

Nie powiedziała Jilly o telefonach od kobiet, które twierdzą, że Kate jest ich córką. Nie mogła tego znieść.

– Helen, chciałabym jeszcze raz ci powiedzieć, że bardzo mi przykro, ale naprawdę niczego tej kobiecie nie mówiłam, wszystko już wcześniej wiedziała...

– Mamusiu, powiem ci chyba po raz setny, że gdybyś nie pozwoliła Kate na te wstrętne zdjęcia, problem w ogóle by nie istniał.

Pół godziny później, gdy Jilly wyjechała, rozległ się dzwonek do drzwi. Gdy Helen otworzyła, ujrzała na progu Nata Tuckera. Przy furtce stał sax bomb z wciąż włączonym silnikiem i systemem audio puszczonego na pełny regulator.

– To ty, Nat – powiedziała.

– Witaj.

– Dzień dobry. Jest Kate?

– Hm... jest – wydukała Helen – ale nie czuje się najlepiej.

– Doskonale to rozumiem. Proszę jej w takim razie powiedzieć, że byłem. I że widziałem jej zdjęcia w gazecie.

– Tak. Oczywiście. Przekażę jej.

– Ładne, prawda? – spytał. – Wygląda wspaniale. W takim razie do zobaczenia.

Oddalając się ścieżką, wyjął paczkę papierosów z kieszeni nisko zwisających spodni. Helen i Juliet, która usłyszała jego głos, patrzyły za nim przez chwilę.

– Jest taki słodki – stwierdziła Juliet – naprawdę wyjątkowo słodki.

Kate się ucieszy. Prawdopodobnie Nat jest jedyną osobą na świecie, dzięki której jej samopoczucie może się poprawić.

– Nie bądź śmieszna – burknęła Helen.

– Mówię prawdę! Kate zrobiła to tylko dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę Nata. Na pewno bardzo się ucieszy, że przyszedł. Nie rozumiecie, że moja siostra jest tak nieszczęśliwa, bo teraz wszyscy wiedzą, co jej się przydarzyło, ponieważ przeczytali w gazecie, że matka... ją porzuciła? Kate odczuwa to jak publiczne upokorzenie. Będzie jej milej, jeśli się dowie, że Nat Tucker guzik sobie z tego robi...

– Juliet, nie chciałabym, żeby Kate zadawała się z takim chłopcem jak Nat Tucker – wyjaśniła Helen.

– Mówisz jak babcia – oświadczyła Juliet z wyraźną pogardą w głosie. – Właściwie nawet gorzej, bo babcia przynajmniej uważa, że Nat jest przystojny. Tak czy inaczej, idę powiedzieć Kate o jego wizycie i nie zdołasz mnie przed tym powstrzymać.

Kate zastanawiała się, czy kiedykolwiek odważy się wyjść ze swojego pokoju i stawić czoło światu, który właśnie dowiedział się, co ją spotkało, i teraz albo nią pogardza, albo jej współczuje, albo wręcz się z niej śmieje. Była pogrążona w smutnych rozważaniach, kiedy Juliet poinformowała ją przez drzwi, że przed chwilą był u nich Nat. Chciał się zobaczyć z Kate i powiedzieć jej, jak świetnie wyszła na zdjęciach. Ta wiadomość była dla Kate jak... nie wiedziała, jak co. Czuła się, jakby dostała prezent. Nie, coś znacznie lepszego. Jakby zepsuła się wiertarka u dentysty. Dziewczyna otworzyła drzwi, wpuściła Juliet, usiadła na łóżku i patrzyła na siostrę, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała.

– Naprawdę tu był?

– Naprawdę. Jest taki słodki, Kate. Słowo daję. Wyraźnie bardzo cię lubi. Może byś do niego zadzwoniła?

– Tak, tak, zadzwonię. Później. Jak poczuję się trochę lepiej. Boże, nie mogę uwierzyć. Naprawdę.

– Słowo daję, że tu był. – Juliet bacznie przyjrzała się siostrze. – Ale lepiej na razie go nie zapraszaj. Okropnie wyglądasz. Masz o połowę mniejsze oczy, a twoja twarz jest opuchnięta i pokryta plamami.

– Tak, wiem, wiem – zapewniła Kate z irytacją. – Boże, pomyśl tylko, Jools. Nat naprawdę tu przyszedł. Tak się cieszę. Powtórz mi jeszcze raz dokładnie, co powiedział. Słowo w słowo...

– Okropnie się czuję – wyznała Jocasta, rozmawiając z Clio przy kieliszku wina.

Pojawiła się na progu Clio blada i roztrzęsiona.

– Nikt mi nie wierzy. Kate nawet nie chce ze mną rozmawiać. Powiedziała, że mi zaufała. Że uważała mnie za przyjaciółkę. Krzyczała na mnie przez drzwi. O Boże, Clio, to okropne! Co ja takiego zrobiłam?

– Nic... myślę, że nic – pocieszała ją Clio.

– To znaczy... na pewno zrobiłam jedno – przyznała Jocasta, zapalając papierosa. – Sprawdziłam przeszłość Kate w archiwach. Byłam... zaintrygowana. Jej babcia zdradziła, że dziewczynka została podrzuciona, a Kate podała mi swoją datę urodzenia. Pogrzebałam... pogrzebałam w starych numerach i powieliłam znalezione artykuły. W tamtym czasie we

wszystkich gazetach pisano o znalezieniu Małej Bianki.

– Co było... potem?

– Potem Kate sama mi o wszystkim opowiedziała. Najwyraźniej bardzo, bardzo trudno jej się z tym pogodzić. Uznała, że jeśli o wszystkim napiszę, matka będzie mogła ją znaleźć. Oczywiście, nie miałam zamiaru niczego publikować bez zgody jej rodziców, więc schowałam wycinki do teczki, którą zostawiłam w swojej szufladzie. Nie wiedziałam, że wyjadę. Nie wiedziałam, że ta idiotka, Carla, przeszuka moje biurko. Boże, na samą myśl robi mi się niedobrze. Och, Clio, co ja teraz pocznę?

– Nie wiem – powiedziała Clio – ale jednego jestem pewna: że Kate się uspokoi. Właśnie rozmawiałam z jej babcią. Była bardzo zgaszona... Jak się okazuje, to ona pod nieobecność Tarrantów wyraziła zgodę na sesję zdjęciową. Najwyraźniej Carla zadzwoniła do niej z prośbą o potwierdzenie historii. Tak czy inaczej, starsza pani uważa, że to ona jest wszystkiemu winna. Podobno Kate na nią nakrzyczała, powiedziała, że jej nienawidzi. Najwyraźniej – dodała, uzupełniając kieliszek Jocasty – obwinia nie tylko ciebie. Zadzwoniła komórka Jocasty.

– Cześć – powiedziała. – O, witaj, Gideonie. Jak to miło słyszeć twój głos. Nie, nic nie wróciło jeszcze do normy. Prawdę mówiąc, nadal mam okropne wyrzuty sumienia. Posłuchaj, zadzwonię do ciebie później. Jestem u przyjaciółki. Starej przyjaciółki. – Uśmiechnęła się do Clio. – Tak, polubiłbyś ją. Nawet bardzo. Jest naprawdę całkiem normalna. Razem wyruszyliśmy w podróż dookoła świata. Z tą idiotką, Martha. Mówiłam ci o tym. Co takiego? Och, Gideonie! Wiem, wiem... nieważne. Mogę zostać w Londynie do twojego powrotu. Chyba nie poradziłabym sobie sama z panią Mitchell. Tak. Zrobię to. Obiecuję. Ja też cię kocham.

– Kto to? – spytała Clio.

– Gideon Keeble. Irlandczyk, i to dość znany. Jest właścicielem kilkadziesiątu centrów handlowych na całym świecie i Bóg jeden raczy wiedzieć, czego jeszcze. Ma kilka domów. Zaliczył ileś tam żon i jest ojcem nieznośnej nastoletniej córki, którą właśnie postanowił odwiedzić. Dzwonił, bo wybiera się na Barbados, żeby kupić jej kilka koni do gry w polo.

– Kilka? – spytała Clio z niedowierzaniem.

– Tak. Wyraźnie jeden to za mało. Tak czy inaczej, jest znacznie starszy ode mnie, nie widzi świata poza pracą i w ogóle do mnie nie pasuje, ale kocham go na zabój. Rzuciłam Nicka, zrezygnowałam z pracy i zerwałam z całym dotychczasowym życiem. Żeby być z Gideonem.

– Boże! – jęknęła Clio. – Musi być nadzwyczajny.

– Jest. Teraz nie rozumiem, jak dotychczas mogłam sądzić, że jestem szczęśliwa. Czuję się tak... sama nie wiem... jakby moje prawdziwe życie dopiero się zaczęło.

Sasha Berkeley pracowała w „News on Sunday”, siostrzanej gazecie „Daily News”. Dziennikarka była ładna, pewna siebie i bardzo twarda – dzięki temu wprowadziła kronikę towarzyską „News” w dwudziesty pierwszy wiek.

– Obecnie naszych czytelników najbardziej interesują politycy – wyjaśniła swojemu naczelnemu. – Na przykład chętniej by się dowiedzieli o przegranej Tony’ego Blaira niż Davida

Beckhama. Pomyśl o tym.

Dlatego Sasha była zaintrygowana, gdy komentator polityczny „News”, Euan Gregory, zadzwonił do niej i przekazał wiadomość, która, jego zdaniem, powinna ją zainteresować. Otóż podobno Eliot Griers, jeden z czołowych działaczy Centru Forward, partii, która zdecydowanie opowiada się przeciwko jakimkolwiek aferom, przekrętom i nadużyciom, kilka dni temu zniknął w Krypcie w gmachu parlamentu z niezwykle atrakcyjną dziewczyną i upłynęło sporo czasu, nim stamtąd wyszli.

– Najwyraźniej podnieśli tam nieco temperaturę.

– Myślisz, że się tam obmacywali?

– Och, nie bądź taka prostacka, Sasho. Wolałbym określenie „padli sobie w objęcia”.

– Ale się ze sobą nie przespali?

– Ależ skąd!

– O Boże! – powiedziała Sasha. – Dzięki, Euanie. Jesteś całkiem pewien, że chodzi o Eliota Griersa?

– Tak. Wiem to z pewnego źródła.

Eliot zjadał kanapkę przyniesioną przez obsługę hotelową, popijał ją zimnym piwem i przygotowywał mowę na następny wieczór, kiedy zadzwonił telefon. Westchnął. Prawdopodobnie Caroline.

Jak się okazało, to nie Caroline, lecz Sasha Berkeley. Spytała, czy nie zechciałby skomentować opowieści o sobie i kobiecie, której w ubiegły wtorek wieczorem pokazywał kaplicę w gmachu parlamentu. Według naocznych świadków parlamentarzysta i oprowadzana przez niego kobieta pozostawali ze sobą w bardzo bliskim kontakcie.

Kanapka nigdy nie została dokończona.

Clio obudziła się, słysząc szloch dochodzący z salonu, w którym Jocasta spała na rozłożonej macie. Lekarka poszła zobaczyć, czy przyjaciółka nie potrzebuje pomocy.

– Co się stało, Jocasto? Czy to z powodu Kate? Bo...

– Nie – zaprzeczyła Jocasta, ocierając oczy. – Miałam zły sen, a potem...

– Często miewasz złe sny?

– Dość często.

– Co to takiego? Powiedz, Jocasto. Nie podoba mi się to. Zaufaj mi, jestem lekarzem – dodała z uśmiechem.

Jocasta odpowiedziała niepewnym uśmiechem.

– Wcale nie musisz się wstydzić, że nawiedzają cię złe sny.

– W porządku. Powiem ci, chociaż to smutna historia. Dotychczas znał ją tylko Nick. Zawsze bardzo mi pomagał – dodała, aczkolwiek niechętnie.

– Czego dotyczą twoje sny? – spytała Clio.

– Po... – wzięła głęboki wdech. – Porodu.

– Porodu?! – Clio spojrzała na nią zaskoczona. – Na litość boską, Jocasto, dlaczego właśnie

porodu?

– Myślę – powiedziała Jocasta – że przy okazji zamieszania z Kate ożyły dawne wspomnienia.

Rozdział Dwudziesty Czwarty

Nick, przeglądając niedzielne gazety, wciąż myślał o Jocaście i o tym, jak bardzo mu jej brakuje. Sięgnął po „News on Sunday”, przejrzał wszystkie strony w poszukiwaniu komentarzy politycznych... i nagle zobaczył notatkę w kronice towarzyskiej.

– O Boże! – jęknął na głos. – Jezu! – dodał po chwili. – Co za cholerny idiota! To z pewnością nie pomoże ich sprawie.

Wyjął komórkę, przeszukał spis telefonów, znalazł numer Eliota i zadzwonił do niego. Wcale się nie zdziwił, gdy odezwała się poczta głosowa.

Caroline Griers wyciskała pomarańcze na śniadanie, gdy zadzwonił Eliot.

– Witaj, Eliocie. Jak się miewasz?

– Dobrze. A ty?

– Doskonale. Czy jest szansa, że dziś wieczorem wrócisz do domu? Powiedziałeś, że to niewykłuczone.

– Hm... prawdę mówiąc, Caroline, będę dziś znacznie wcześniej. Prawdopodobnie przed lunchem.

– Och... w porządku. Ugotuję więcej ziemniaków.

– Świetnie. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Eliocie.

Kiedy Eliot skończył rozmowę i wyłączył telefon, był lekko spocony. Jeszcze o niczym nie wiedziała, ale na pewno ktoś do niej wkrótce zadzwoni... Boże, postąpił jak głupiec! Cholerny, kompletny głupiec! Zwłaszcza że partia Centre Forward tak zdecydowanie wypowiadała się przeciwko wszelkim przejawom niemoralności. Tylko że w rzeczywistości nie zrobił nic złego, jedynie próbował ją pocieszyć. Jak twierdziła, po rozwodzie, który bardzo ciężko przeżyła, odwiedziny w Krypcie ożywiły wszystkie złe wspomnienia. Owszem, w którymś momencie wydawało mu się, że słyszał stuknięcie drzwi, ale kiedy sprawdził, nikogo tam nie było.

Jego wyjaśnienia wypadły bardzo nieprzekonująco, chociaż on i Chad pracowali nad nimi całą poprzednią noc. Tylko tyle mogli zrobić. Wytłumaczyć, że przyjechała na spotkanie z Janet Frean, a Eliot zaproponował gościowi ze swojego okręgu wyborczego, że oprowadzi go po gmachu parlamentu. Taak, już w to wierzę – jak powiedziałyby jego córka. Bardzo przekonujące. Oczywiście, miał wyjątkowego pecha: ilu ludzi zagląda w ciągu dnia do Krypty? Albo nawet w ciągu tygodnia. Chociaż, z drugiej strony, ktoś wyraźnie chciał mu się dobrać do skóry. Tylko kto? Kto tak bardzo go nienawidzi? Stary torys? Albo któraś z zadowolonych z siebie feministek Blaira, pań, które uważają, że wszyscy faceci w parlamencie myślą tylko o jednym? A może pełniący służbę policjant? Nie, to wspaniali ludzie; nigdy nie puszczają pary z ust.

Można było zrobić tylko jedno, wykręcić się.

Helen nakrywała do stołu, chociaż nie była pewna, po co to robi.

Nikt nie zejdzie na śniadanie. Kate wciąż nie opuszczała swojego pokoju, a po sprzeczce z

matką z powodu Nata Juliet zjadła kolację razem z siostrą, nawet u niej spała. W najtrudniejszych chwilach przeżywanych przez Kate Juliet stała się jej najlepszą i najbardziej lojalną przyjaciółką, jedyną osobą, z którą nieszczęsna nastolatka rozmawiała. To dobrze... bo z całego zamieszania wynikło przynajmniej coś dobrego – pomyślała Helen ze znużeniem.

Jim z całą pewnością nie będzie chciał jeść śniadania; wciąż się wściekał, wciąż był taki zły i zdenerwowany, że przez pół nocy miał biegunkę. Teraz spał; głośno chrapał i niespokojnie rzucał się po łóżku, ale przynajmniej spał.

Na szczęście dziennikarze zniknęli. Jocasta powiedziała, że sobie pójdą.

– To nie jest dla nich tak ważna sprawa, żeby stali pod domem całą noc. Po prostu powtórzą to, co uda im się znaleźć w starych numerach.

Jocasta ostrzegła też przed maniakami; widocznie to normalne. Ucieszyła się, że Carla próbuje w jakiś sposób pomóc.

– Dzwoniły do pani... jakieś kobiety?

– Chyba pięć – wyznała Helen. – Doradziłam im wszystkim, żeby skontaktowały się z redakcją, obawiam się jednak, że... Urwała.

– Chyba rozumiem, o co chodzi – powiedziała Jocasta łagodnie. – O to, że któraś z nich może być prawdziwą matką.

– Tak. Pani Giannini zaproponowała, żebym spróbowała wymyślić jakieś pytanie sprawdzające, które można by im zadać. Przypomniałam sobie coś. Kate nie miała nawet pieluszki. Tego szczegółu nigdy nigdzie nie podano.

– To powinno wystarczyć – stwierdziła Jocasta. Prawdę mówiąc, trudno o lepszy dowód.

– Proszę powiedzieć Carli albo lepiej sama to zrobię. Od razu. Uważam, że powinni państwo zmienić numer telefonu i zastrzec go. Inaczej... inaczej automatyczna sekretarka może nie wystarczyć.

Chwilę później wyszła.

Nagle Helen usłyszała dudnienie stóp na schodach. Zerknęła na korytarz. Kate właśnie zniknęła w drzwiach wejściowych, widać było jedynie fruujące za nią włosy. Miała na sobie dzinsy, skąpą bluzeczkę i buty na bardzo wysokich obcasach.

– Kate! – krzyknęła Helen, podbiegając do zatrzaśniętych właśnie drzwi. – Dokąd się...

Niestety, jedynym śladem po dziewczynie był obłok spalin i pisk opon. Sax bomb właśnie zniknął za rogiem.

– Przepraszam, mamó. – To Juliet. – Niedługo wróci. Powiedziała, że musi z nim porozmawiać. Dziś rano znów zadzwonił. Nie mogłyśmy ci o niczym powiedzieć, bobyś jej nie wypuściła. Obiecuję, że wróci na lunch. Mogę odebrać? – spytała, gdy odezwał się telefon.

– Nie – warknęła Helen. – Niech ten ktoś nagra się na automatyczną sekretarkę. I...

Odezwał się kobiecy głos:

– ... nie słuchaj tego, co mówi, Juliet. Proszę. Niestety, było już za późno.

Janet Frean przyrządziła lunch, gdy zadzwonił Jack Kirkland.

– Cześć, Jack, jak ci leci?

– Tak sobie. Widziałaś „News”?

– Nie. Staram się w niedzielę nie zaglądać do gazet.

– Jest tam paskudna informacja na temat Eliota. Piszą, że widziano go w gmachu parlamentu w Krypcie z jakąś atrakcyjną kobietą, która z całą pewnością nie była jego miłą jasnowłosą żoną. Poniżej zamieszczono dość nieprzekonujące wyjaśnienia Eliota. Cholerne sępy, chętnie bym ich pozabijał. Stojąc w bezruchu i słuchając Jacka, Janet doszła do wniosku, że żaden mężczyzna nie jest w stanie jednocześnie mieszać sosu, trzymać na rękach malucha i koncentrować się na ważnej rozmowie.

– Co... co o tym sądzisz? – spytał Jack.

– O czym? – Właśnie usiłowała wyłowić z sosu upartą grudkę mąki. – Och, sama nie wiem. Nie wierzę, żeby Eliot coś przeszkrobał, zwłaszcza teraz. Wszyscy znamy jego przeszłość, ale to wcale nie znaczy...

– Jednak to prawda. Czy rzeczywiście przyprowadził tę kobietę na spotkanie z tobą?

– Tak. Jest bardzo miła i inteligentna. To prawniczka...

– Tak, tak, słyszałem to już od Eliota.

– Spodobała mi się. Eliotowi widocznie również. Och, przepraszam, nie powinnam tego mówić. Chodzi mi o to, że miał prawo ją polubić.

– Rzeczywiście jest ładna?

– Nawet bardzo...

– Eliot mówi, że to rozwódka.

– Naprawdę? To na pewno nie pomoże, chociaż wyjaśnia niektóre sprawy: z jej słów wynikało, że pomógł jej założyć żaluzje. Uznałam, że to bardzo miłe z jego strony.

– Miłe? – spytał Kirkland ponuro. – Ja bym to określił nieco inaczej. Czy ktoś kręcił się w pobliżu?

– Nie, było stosunkowo spokojnie. Jack, on po prostu oprowadzał ją z poczucia obowiązku.

– Powiedziałaś, że mu się spodobała.

– Naprawdę tak powiedziałam? Przepraszam. Milly, zostaw to... Jack, muszę już iść. Nie potrafię dodać nic więcej do naszej rozmowy. Poza tym w końcu mam trochę czasu dla rodziny i chcę go jak najlepiej wykorzystać. Jutro od nowa rozpocznę walkę na rzecz Centru Forward. Nie przejmuj się tym wszystkim... sprawa ucichnie.

– Dzięki Bogu, że mam w partii chociaż jednego członka, który nienagannie się sprawuje! – powiedział Jack i rozłączył się. Kate wróciła o pierwszej zarumieniona i niemal radosna. Juliet wbiegła za nią do pokoju.

– Kate! Dzwonią do nas różni ludzie... to znaczy kobiety... i mówią, że jesteś ich córką. Możesz w to uwierzyć?

– Skąd wiesz?

– Słyszałam jedną z nich. Na automatycznej sekretarce. Mama mówi im wszystkim, żeby

skontaktowały się ze „Sketchem”. W redakcji mają się z nimi jakoś uporać.

– Uporać się z nimi?! – krzyknęła Kate. – Co to znaczy: uporać się z nimi?

– Prawdopodobnie pozbyć się ich.

Kate z niedowierzaniem patrzyła na siostrę.

– Ależ, Juliet, któraś z nich może być naprawdę moją mamą! Jak oni mogą to robić?! Do jasnej cholery, jak oni mogą to robić?!

– Ciii... – szepnęła Juliet.

Clio nie mogła zrozumieć Jocasty.

Wysłała ją na spacer na Hog’s Back; sama w niedzielę rano miała dyżur, ale wieczorem wybierały się do Londynu i zamierzały zatrzymać się w mieszkaniu Jocasty w Clapham. Następny dzień był dla Clio bardzo ważny: umówiła się na lunch ze starym, kochanym Dziobakiem, czyli profesorem Bryanem. Za nic w świecie nie chciała oszukiwać Marka, mimo to powiedziała mu, że ma spotkanie z adwokatem w sprawie rozwodu. Nie kłamała, z nim również była umówiona. Jeśli chodzi o etat w Bayswater, nie żywiła zbyt wielkich nadziei, ale chciała spróbować. Praca lekarza pierwszego kontaktu w niewielkim miasteczku jest bardzo miła, pod warunkiem, że prowadzi się bogate życie towarzyskie poza obrębem tejże miejsciny. Tymczasem Clio dokuczała samotność. Jeśli ktoś ma osiemnaście lat – tak jak cudownie nieodpowiedzialna Jocasta, kiedy po raz pierwszy się spotkały – może zerwać wszelkie nici łączące go z prawdziwym życiem i uciec z bogatym mężczyzną. Naprawdę może. Jednak w wieku trzydziestu pięciu lat, kiedy robi się oszałamiającą karierę i ma się od dawna bardzo miłego faceta... nie, tego już się nie robi. Clio dopiero zaczynała powoli odzyskiwać równowagę po rozpadzie małżeństwa, dlatego miała wrażenie, że Jocasta stoi w pobliżu kratki ściekowej i wrzuca do niej wszystkie posiadane skarby. Być może Gideon Keeble jest naprawdę bardzo czarujący i charyzmatyczny, możliwe też, że Jocastę zmęczyło czekanie, kiedy Nick zechce się z nią zaręczyć, trudno również wykluczyć, że życie dziennikarki z brukowca straciło dla niej urok, ale czy ona naprawdę uważa, że znajdzie szczęście w zupełnie obcym sobie świecie?

Clio zdawała sobie sprawę, że nie rozumie postępowania przyjaciółki, bo nie zna Keeble’a, ale wcześniej czy później na pewno go pozna, wtedy może łatwiej wytłumaczy sobie postępowanie Jocasty. Może nawet go polubi. Chociaż na razie wydawało jej się, że to raczej niemożliwe. Jocastę wciąż dręczyły wyrzuty sumienia. Wyglądało na to, że – tak jak wszyscy pozostali – niewiele może zrobić dla Kate. Dziennikarka była bardzo nieszczęśliwa, gdy dziewczyna powiedziała, że nie chce się z nią widzieć; najwyraźniej wini ją za to, co się stało. Boże, jak to dobrze, że udało jej się z tego wyrwać! Porzucić możliwość rujnowania ludziom życia. Na szczęście Clio jest taka rozsądna, spokojna i życzliwa. Bardzo pomogła Jocaście poprzedniej nocy stawić czoło temu, co wydarzyło się przed tylu laty. Młoda kobieta opowiedziała o wszystkim Nickowi, ale przez cały czas uciekała od wspomnień. Przy Clio mogła się od nich uwolnić, a to w jakiś sposób uzdrowiło jej duszę.

Słyszała krzyk, dziki, niesamowity krzyk, którego nigdy nie zapomni. Trwał w

nieskończoność, napływał falami przez całą noc i połowę następnego dnia. Obecnie, ilekroć docierały do niej takie wrzaski, wracała do tamtych czasów, na salę, w której panował upał nie do zniesienia i przez cały czas szumiały wentylatory... Kiedy Jocasta wraz z kilkoma innymi osobami przybyła na wyspę Koh Pha Ngan, udało jej się wynająć całkiem przyzwoitą chatę na Hat Rin Sunrise, plaży, na której miał się odbyć festiwal. Dzień po dniu do portu przyplływały łodzie pełne ludzi; jako miejsca do spania wynajmowano podłogi w budynkach gospodarczych, a nawet zwyczajny brezent rozłożony na podwórku. Ostatniego dnia, już podczas samego festiwalu, który odbywał się przy pełni księżyca, do zatoki wpłynęło mnóstwo łodzi i stały w niej na kotwicach przez całą noc. Plaża była wypchana po brzegi, ludzie spali również na niej.

Sam festiwal był niewiarygodnym przeżyciem. Jocasta prawie o drugiej w nocy stała w samym centrum, gdy pałeczkę przejął następny didżej. Tłumy młodych ludzi tańczyły na piasku i w wodzie, wszędzie błyszczwały pomalowane jaskrawo ciała, a wzdłuż całej plaży tajscy chłopcy – niektórzy w wieku siedmiu, ośmiu lat – żonglowali ogromnymi płonącymi obręczami, przez które można było przeskakiwać, pod warunkiem, że było się wystarczająco pijanym. Jocasta uznała, że nie jest.

W ciemności raz spotykała setki znajomych, to znów się gubiła.

Wszyscy palili marihuanę i pili ogromne ilości alkoholu, ale na Jocastę najbardziej oddziaływało to, że należy do wielkiego plemienia, do którego nie tak dawno się przyłączyła, i jest akceptowana tylko dlatego, że się tu znalazła. Była zakochana po uszy w każdym z uczestników.

Impreza trwała przez całą noc i połowę następnego dnia.

Po południu wszystkie łodzie opuściły zatokę. Jocasta była zmęczona i źle się czuła. Ona i dziewczyna o imieniu Jan, z którą się zaprzyjaźniła podczas podróży na wyspę, postanowiły wcześniej położyć się do łóżka. Jocasta obudziła się w nocy i usłyszała, że Jan krąży po chacie w poszukiwaniu wody.

– Potwornie boli mnie głowa – poskarżyła się. – To nie kac, lecz coś gorszego. Mam dreszcze i bardzo się pocę.

Rano odczuwała silne bóle w rękach i nogach, a dreszcze przybrały na sile. Jocasta kazała jej zostać w łóżku i zaproponowała, że się nią zajmie. Siedząc przy chorej, podając jej wodę do picia i martwiąc się jej stanem, w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że sama zaczyna cierpieć na tę samą chorobę co Jan i niezależnie od tego, co to za dolegliwość, jest mniej więcej o cztery godziny za koleżanką teraz również i ją bolały wszystkie kończyny, miała dreszcze i gorączkę. Jocasta okropnie się czuła, obserwując chorą i widząc, co ją samą czeka. Coraz wyższa gorączka, potworne bóle stawów, wymioty, halucynacje. Zanim siostra Josha sama zaczęła majaczyć, z trudem wyszła na ścieżkę biegnącą wzdłuż chat i zawołała kogoś, kto właśnie tamtędy przechodził.

– Pomóżcie nam! – błagała. – Umieramy.

Chłopak myślał, że dziewczyny udają, ale przyprowadził kumpla, którego, na szczęście,

zdołał przekonać.

– Zaczekajcie. Zobaczmy, co da się zrobić.

Wrócili z młodym Tajlandczykiem, który, spojrzawszy na chore, westchnął i potrząsnął smutno głową.

– Dunga – powiedział. – Musicie iść do szpitala. Pomogę wam. Ściągnął ojca i samochód ciężarowy. Wspólnymi siłami przenieśli prawie nieprzytomną Jan na pakę. Jocasta sama zdołała się wdrapać i ułożyć obok niej.

Ze wszystkich stron otoczył ją hałas, z nieba lał się żar; dziewczyna zawyla z bólu i odwróciła głowę od światła. Gdy samochód ruszył, odgłosy wwiercały jej się w mózg.

Tak zaczęła się koszmarne podróże przez wyspę, wspinanie się po stromym zboczu, zjazd w dół, gwałtowne zakręty i podskoki, potworny ból przy każdym ruchu. Słońce paliło, było bardzo gorąco, spod kół unosiły się obłoki kurzu, panował potworny hałas. Jocasta doszła do wniosku, że jeśli istnieje piekło, to na pewno wygląda właśnie tak. Bolały ją ręce i nogi, przez cały czas wymiotowała.

O zmierzchu podjechali pod szpital. Pielęgniarki pomogły mężczyznom wnieść chore, bo żadna z nich nie była w stanie się ruszać. Umieszczono je na prowizorycznych łózkach przypominających nosze w ambulatorium. Wnętrza były zaskakująco nowoczesne, znajome i czyste jak w każdym normalnym szpitalu. Potem położono je na oddziale, w sześćciosobowej sali. Było bardzo gorąco, chociaż przez cały czas pracował wentylator.

W kącie, za parawanami, umierała jakaś staruszka, otoczona przez popłakujących krewnych, a na łóżku obok Jocasty leżała dziewczyna, która rodziła dziecko.

Przez całą noc krzyczała, wrywała sobie włosy, rozdrapywała skórę i prześcieradło, które matka przywiązała do wezgłowia, żeby położnica miała się czego trzymać. I modliła się o śmierć.

Jocasta śledziła jej agonię, pojawiające się falami coraz częstsze i coraz mocniejsze skurcze. Matka ocierała córce spocone czoło, uspokajała, próbowała podać coś do picia. Nad ranem sytuacja się pogorszyła, rodząca krzyczała bez końca, gryzła i kopała jak przerażony koń, ilekroć pielęgniarka albo lekarz próbowali ją zbadać.

Matka mówiła trochę po angielsku. Jocasta, gdy poczuła się nieco lepiej, spytała, czy może w czymś pomóc.

– Nie, nie, dziecko jeszcze nie przyjsć na świat – wyjaśniła kobieta, ze słodkim i pełnym cierpliwości uśmiechem na ustach.

W końcu pielęgniarka przyprowadziła lekarza i we trójkę, razem z matką dziewczyny, zdołali położyć ją na noszach.

Kiedy zabierano rodzącą z sali, spojrzała na Jocastę. Wyglądała jak staruszka: miała mokre od potu włosy, wykrzywioną twarz i ogromne ciemne oczy. Jocasta dostrzegła w nich agonię i potworne przerażenie. Czuła się tak, jakby przejmowała od nieznanym i jedno, i drugie.

Doktor powiedział coś cicho do matki, a ta przytaknęła i ruszyła za nimi.

– Co się dzieje? – spytała Jocasta. – Co teraz będzie?

– Rodzić poślodka – odparła. – Dziecko się zatrzymać. Jocasta zawołała pielęgniarkę.

– Nie można jej jakoś pomóc?

– Właśnie pomagamy – oznajmiła. – Czekają ją poród kleszczowy. Jocasta odwróciła głowę i ukryła twarz w twardej poduszce, ale wciąż słyszała szalone, zwierzęce krzyki, które trwały jeszcze ponad godzinę. Potem nagle zapadła cisza. Po jakimś czasie pojawiła się matka dziewczyny i z płaczem zaczęła zbierać rzeczy córki. Spojrzała na Jocastę i z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Dziecko nie żyć – powiedziała.

– O nie! – jęknęła Jocasta.

Nawet nie chciała myśleć, że po tylu cierpieniach matki noworodek zmarł. Zaczęła płakać, co jedynie pogarszało jej kiepski stan.

– Tak mi przykro. A co z córką?

– Jeszcze być nadzieja – odparła kobieta z cichym, typowo tajskim chichotem. – Ale... niewielka.

Nieco później wróciła na salę.

– Ona też nie żyć – powiedziała niemal radośnie. – Stracić za dużo krew.

Jocasta na zawsze zapamiętała jej słowa.

Rozdział Dwudziesty Piąty

Wystarczy zachować całkowity spokój. Jeśli jej się to uda, na pewno nic się nie stanie. Nikt nie wpadnie na myśl, że Martha może mieć coś wspólnego z sensacyjną historią opisaną przez brukowce. Nie istnieją między nimi żadne powiązania. Absolutnie żadne. Jediną osobą, która mogłaby się zorientować, że prawniczkę coś trapi, był często widujący ją Ed, ale i on niczego się nie domyśli, wystarczy się go pozbyć. Wtedy będzie bezpieczna. Pod warunkiem, że zachowa spokój. Całkowity spokój.

I przynajmniej przez kilka dni nie będzie czytała prasy brukowej.

Ani oglądała zdjęć nastolatki.

Kate zadzwoniła do Jocasty. Była roztrzęsiona.

Przeprosiła za swoje niegrzeczne zachowanie i zapewniła, że wierzy bez zastrzeżeń w niewinność dziennikarki i jej wyjaśnienia.

– Byłam po prostu zdenerwowana. Przeżyłam potworny... szok.

– Zrozumiałe. Serdecznie ci współczuję. Zdjęcia wyszły wspaniale – dodała Jocasta ostrożnie.

– Taak, wiem. Przykro mi z powodu reszty. Chociaż, z drugiej strony, to wcale nie jest takie złe. W tej chwili nie muszę chodzić do szkoły, więc nie spotykam się z głupimi koleżankami. Natomiast rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy, Jocasto. Dzwonią do nas różne kobiety, które twierdzą, że jestem ich córką. Zgłosiło się ich już kilkanaście. Boję się, że któraś z nich jest moją prawdziwą mamą, a ja przy całym panującym zamieszaniu mogę ją przegapić. Nie wiem, co robić.

– Jestem pewna, że w redakcji będą mieli ich nazwiska i całą resztę.

– Taak, aleja chcę... poznać prawdę – rzekła wyraźnie zdesperowana Kate. – Nie mogę stracić tej możliwości. Nie wiem też, jak sobie poradzić z agencjami modelek. Mama jest kompletnie bezużyteczna, a Juliet uznała, że może ty zdołasz nam pomóc. Proszę, Jocasto, bardzo proszę.

Jocasta była tak wzruszona, że miała ochotę od razu wsiąść do samochodu i pojechać prosto do Ealing, do Tarrantów, wcześniej jednak zadzwoniła do Gideona, a on zaproponował lepsze rozwiązanie.

– Nic nie możesz zrobić, Jocasto. Nie bądź głupia. Na szczęście mam dla ciebie odpowiedniego człowieka.

– Gideon to prawdziwy anioł. Aż trudno w to uwierzyć – powiedziała Jocasta do Clio. – Jest taki życzliwy i tak się o mnie troszczy. Mam cholerne szczęście. Tylko zaczekaj, aż go poznasz, Clio. Na pewno go polubisz. Tymczasem poznasz jego przyjaciela. Człowieka, który uporządkuje sprawy Kate. Gideon kazał mu się ze mną skontaktować. To Fergus Trehearn.

Fergus Trehearn był irlandzkim odpowiednikiem Maxa Clifforda – jak wyjaśniła Jocasta zdeprymowanej Clio.

– Tyle że teraz działa tutaj... Na pewno słyszałaś o Maksie Cliffordzie – dodała, widząc zaskoczenie na twarzy przyjaciółki. Clio zaprzeczyła, więc Jocasta wyjaśniła jej, czym zajmuje się Max Clifford: „Można powiedzieć, że manipuluje wszystkimi, łącznie z prasą”. Wcale jej się to nie spodobało.

– Och, Fergus jest naprawdę słodki – zapewniła Jocasta – i z całą pewnością przyda się Kate. Dziewczyna... ani jej rodzice nie radzą sobie z sytuacją. Fergus przejmie od nich wszystkie sprawy, sprawdzi zgłaszające się kobiety, wybierze dla Kate najlepszy kontrakt z agencji modelek, upora się z ofertami innych gazet i czasopism, które chcą zamieścić artykuł na jej temat... Tak czy inaczej, Fergus ma się wkrótce u mnie pojawić. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Ależ skąd! – zapewniła Clio.

Wcale nie marzyła o spotkaniu z jakimś krzykliwym fanfaronem i wysłuchiwanu jego opowieści o manipulowaniu prasą.

Gdy jednak Fergus w końcu się pojawił, okazało się, że wcale nie jest krzykliwym fanfaronem. Usiadł w zabałaganionym salonie Jocasty i uważnie jej wysłuchał. Był czarujący, uprzejmy. Miał na sobie elegancki lniany garnitur. Chyba niedawno przekroczył czterdziestkę, był wysoki, smukły i niesamowicie przystojny. Miał krótko przycięte, przyprószone siwizną włosy i bardzo ciemne brązowe oczy. Był elokwentny i zabawny. Clio doszła do wniosku, że trudno go nie lubić. Jocasta przedstawiła ją jako swoją przyjaciółkę, lekarza geriatrę. Fergus był pod wrażeniem, chociaż Clio zaprotestowała i powiedziała, że to melodia przyszłości. Najwyraźniej był troskliwy i chętny do pomocy, co pozostawało w jawnej sprzeczności z bezwzględnym oportunizmem, jakim kierował się w życiu. Nikt by się nie domyślił, że przyjaciel Gideona, niekryjący współczucia dla Kate i oburzenia z powodu potwornej niegodziwości i zdrady Carli Giannini, prowadził kiedyś telefoniczną aukcję między dwiema dużymi gazetami zabiegającymi o historię pięknej dziewczyny, która po ucieczce z ojczystej Bośni została cali girl (pod przykrywką pracy pokojówki w hotelu na West Endzie), a potem zainscenizowała dla prasy awanturę z pijanymi futbolistami. Ani że to właśnie on wynegocjował duże wynagrodzenie od mediów dla młodego małżeństwa, które zostało zaarrestowane – a potem uniewinnione – za uprawianie seksu na twardym poboczu M25.

– Na pewno pomoże Kate – powiedziała Jocasta z radością do Clio, gdy Fergus wyszedł. – Wierzę, że mu się uda. Prawda, że jest kochany?

Jocasta zadzwoniła do Tarrantów, wyjaśniła, czym zajmuje się Fergus, i błagała, żeby się z nim spotkali. Wyczerpana i zestresowana Helen wyraziła zgodę. Wiedziała, że muszą jakoś przez to wszystko przebrnąć, a najwyraźniej Fergus Trehearn mógł im pomóc. Spotkanie wyznaczono na szóstą wieczorem w poniedziałek.

– Wiem, że zjawiam się trochę późno – powiedział przepaszająco do Helen – ale wcześniej o niczym nie wiedziałem. Czy macie wciąż pod bramą któregoś z sępów-pismaków?

Helen, która myślała, że już nigdy więcej się nie uśmiechnie, wybuchnęła śmiechem.

– Zniknęli, ale nadal dostajemy mnóstwo telefonów.

– Przejmę je – obiecał – oczywiście, jeśli mi pozwolicie. Chętnie spotkam się z państwem o szóstej. Jeśli po naszej rozmowie zaakceptujecie mnie, skontaktuję się z waszą piękną córką.

– Obiecał, że zajmie się prasą – wyjaśniła Helen Jimowi. – I tymi kobietami. Pomoże Kate uporać się z ofertami, które otrzymuje.

– Ile nas to będzie kosztowało? – spytał Jim.

– Zapytam Jocastę – odparła Helen niepewnie. Nawet o tym nie pomyślała.

– To naprawdę świetny pomysł – zadrwił Jim. – Są prawdopodobnie w zмовie. Jeśli chcesz, Helen, możesz się z nim spotkać, ale ja odmawiam udziału w tej szopce. Nie oczekuj ode mnie ani pensa.

Helen westchnęła i wyszła z pokoju, żeby zadzwonić do Jocasty. Jocasta uspokoiła ją.

– Fergus nie chce żadnych pieniędzy, chyba że w przyszłości Kate zacznie dobrze zarabiać jako modelka – wyjaśniła. – Wtedy prawdopodobnie zostanie jej agentem i będzie pobierał jakiś procent. Ludzie tacy jak on pracują na zasadzie: „nie ma zwycięstwa, nie ma dochodu”, podobnie jak prawnicy. Helen nie wiedziała, że na wstępie Gideon Keeble obiecał płacić rachunki Fergusa, póki nie wyklaruje się sprawa Kate. – A nawet jeśli się nie wyklaruje, nadal będę płacił – zapewnił Gideon Jocastę. – To niska cena, kochanie, za twój wewnętrzny spokój i szczęście.

– Gideonie, nie wiem, jak ci dziękować – rzekła Jocasta.

– Pokażę ci – obiecał – gdy wrócę z Barbadosu.

– Przykro mi, Ed – powiedziała Martha – ale już trzy razy ci mówiłam, że nie mogę jechać do Wenecji. Nie w tej chwili. Nie rozumiem, czemu nie potrafisz się z tym pogodzić.

Przez cały dzień zbierała siły, żeby załatwić ten telefon, a każde słowo, które wypowiadała, bolało bardziej niż poprzednie.

Co będzie, jeśli czytał o Kate i spyta Marthę o jej zdanie albo powie, że nie wyobraża sobie, by ktoś mógł zrobić coś takiego.

Lub stwierdzi, że to okropne i że matka dziewczyny musi być potworem.

Nie, jednego była pewna – musi odzyskać całkowitą kontrolę nad swoim życiem, a żeby to osiągnąć, musi być niezależna, nie może odpowiadać przed nikim. Ed ją kocha, a ona kocha jego, niestety miłość ma niezwykłą moc, jeśli chodzi o sekrety. Wielkie i niebezpieczne sekrety. Miłość potrafi je odnaleźć i wydobyć na jaw.

Martha wzięła następny głęboki wdech.

– Nie... nie mogę jechać teraz do Wenecji. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Przykro mi.

– Taak, tak ci przykro, że nie dzwoniłaś do mnie przez cały tydzień ani nie odpowiadałaś na moje wiadomości. Dlaczego, Martho, powiedz mi, dlaczego?

– Nie miałam czasu...

– Rozumiem. Przez cały weekend. Ani pięciu minut, żeby wziąć do ręki pieprzony telefon i powiedzieć: „Cześć, Ed, przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię później”. Dobrze mówię?

– Tak – powiedziała tak spokojnym i opanowanym głosem, że sama była nim zdziwiona. –
Dobrze mówisz.

– Na litość boską! – warknął nagle. – Mam tego dość!

Nie obchodzi cię, że potwornie się o ciebie martwiłem? Masz to w nosie, prawda?

W jego głosie pobrzmiwał ból.

– Obchodzi, nawet bardzo, Ed, ale już ci powiedziałam, że...

– Zostałaś wyciosana z jakiegoś pieprzonego kamienia. Wiesz o tym?

Chwilę milczała, po czym rzekła:

– Nie lubię, jeśli ktoś się w ten sposób nade mną zneęca. Jeżeli nie potrafisz zaakceptować
mojego stylu życia i tego, jaka jestem, lepiej skończmy całą sprawę.

– Jaką całą sprawę?

– Nasz związek.

– Związek!?! – krzyknął. – To, co nas łączy, nazywasz związkiem?! W tej chwili
powiedziałbym raczej, że to jedno wielkie gówno, Martho, totalne, pieprzone gówno. Mówisz
mi, co mam robić, mówić i myśleć, gdzie i kiedy iść, a ja po prostu łączę za tobą i liżę ci tyłek.
Możesz sobie poszukać kogoś innego, kto będzie ci go lizał, boja właśnie doszedłem do wniosku,
że to potwornie uciążliwe zajęcie. Kapujesz?

Po tych słowach rzucił słuchawkę.

Martha długo siedziała w całkowitym bezruchu, nie odrywając wzroku od telefonu. Bardzo,
bardzo chciała podnieść słuchawkę i powiedzieć: „Przepraszam, nie o to mi chodziło, Kocham
cię, chcę się z tobą zobaczyć”.

Niestety, nie mogła. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Pod koniec tygodnia Kate poczuła się lepiej. Cieszyła się, że nie tylko „Sketch”, ale również
„The Sunday Times” opisuje ją jako piękność i zamieszcza jej zdjęcia.

Co więcej, wciąż dzwonili przedstawiciele różnych agencji modelek i prosili, żeby przyszła
na spotkanie, a redaktorzy kolorowych czasopism pytali, czy mogą przeprowadzić z nią wywiad
– to było super.

Dodatkowym plusem był Nat. Co tam całe zamieszanie, skoro dzięki niemu chłopak dzwonił
teraz do niej dwa razy dziennie, zabierał ją na przejażdżki saxem bombem, a nawet spytał, czy
nie chce wybrać się w najbliższą sobotę do „Fridge”.

Powiedziała, że byłoby super i że na pewno się wybierze.

Martwiła się, co powiedzą rodzice. Problem polegał na tym, że mama i tata nie wiedzieli –
chyba nikt nie wiedział – iż Nat jest taki miły. Gdy następnego dnia po ukazaniu się artykułu
wsiadła do jego samochodu, spytał:

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła. – Dobrze. Dziękuję.

– Mam na myśli tę aferę w gazecie – wyjaśnił. – Dotyczącą twój ej mamy.

Była kompletnie zaskoczona, że Nat aż tak dobrze ją rozumie. Co więcej, najwyraźniej

przeczytał cały artykuł od początku do końca, bo z uroczym uśmiechem na ustach wyznał, że podobało mu się to, co powiedziała o jego stroju i samochodzie. Potem wychylił się do przodu i zaczął ją całować. Był w tym bardzo, bardzo dobry. Wolno, delikatnie muskał językiem wnętrze jej ust. Stali na skraju parku, pod drzewami. Było strasznie romantycznie.

– Będziesz modelką? – spytał, gdy przestał ją całować i zapalił papierosa.

– Oczywiście – odparła.

– Super. Gdyby potrzebowali faceta, chętnie przyłączyłbym się do ciebie – dodał.

Kate powiedziała, że spyta, jeśli będzie miała okazję.

– Fajnie – ucieszył się i w ciszy odwiózł ją do domu.

O ile za ciszę można uznać włączone na pełny regulator nagranie Red Hot Chilli Peppers.

– Dobrze się czujesz, Martho?

Gdzieś z daleka dobiegł do niej głos Paula Quenella. Od bardzo dawna Martha nie miała takich problemów: kręciło jej się w głowie, pociła się, jakby była chora. Gwałtownie usiadła.

– Tak – powiedziała. – Tak, nic mi nie będzie. Dziękuję. Po prostu trochę... trochę... Przepraszam, Paul.

Co robi na jego biurku „Sunday Times” otwarty na artykule o... o... Czy Paul ma zamiar jej go pokazać, spytać, czy wie coś na ten temat?

– Jane – zawołał przez otwarte drzwi – przynieś szklankę wody, dobrze?! – Potem delikatnie dorzucił: – Za ciężko pracujesz.

– Tak, może.

– Niepotrzebnie bierzesz dodatkowe sprawy – wyjaśnił i uśmiechnął się do niej przeproszająco. – Dzięki, Jane. Postaw filiżankę tutaj. Możesz już to zabrać. – Złożył gazetę i podał ją sekretarce o minie cierpiętnicy. – Widziałem już wszystko, czego potrzebowałem.

Widział wszystko, czego potrzebował? Dlaczego miałby czegoś potrzebować? Co to ma wspólnego z nim?

– Jane wypatrzyła informację o nowej starszej współpracownicy u Kindersleya. – Paul z powrotem usiadł przy swoim biurku. – Została nim Hannah Roberts, jedna z superkobiet, matka przynajmniej piątki dzieci. Spotkałaś ją?

– Raz lub dwa – powiedziała, odczuwając ogromną ulgę, niesamowitą ulgę.

– Nieważne. Wysyłam cię w niewielką podróż. Krótką, tygodniową, ale obiecaj mi, że przy okazji trochę odpoczniesz.

– Podróż? Dokąd?

Prawdę mówiąc, była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła: czuła się bezpiecznie tylko wówczas, gdy wykonywała dobrze znane czynności w dobrze znanym otoczeniu. Poprzedniego dnia zaniepokoiła ją nawet wyprawa do nowej restauracji.

– Do Sydney.

– Do Sydney?!

Nie mogło być gorzej. To właśnie tam... Na siłę wróciła do teraźniejszości.

- Dlaczego?
- W sprawach Mackenzie.
- Rozumiem.

Stopniowo odzyskiwała panowanie nad sobą. Mackenzie to międzynarodowa sieć agencji handlu nieruchomościami.

- Myślą o poważnej fuzji w Australii i potrzebują rady.
- Czy nie mogą skorzystać z pomocy jakiejś kancelarii z Sydney?
- Oczywiście, ale Donald chce mieć kogoś z Londynu. Pytał, czy ja nie mógłbym przyjechać, ale gdy odparłem, że to nie wchodzi w rachubę, wskazał ciebie. Powiem Jane, żeby zarezerwowała ci samolot i hotel.

Wracając do swojego gabinetu, Martha znów poczuła, że kręci się jej w głowie. Jakoś zdołała dotrzeć do toalety, a potem długo siedziała na sedesie z głową między kolanami. Tylko spokojnie, Martho, tylko spokojnie... Po powrocie do domu Clio była wyraźnie zmęczona, nie wiedziała, czy jest szczęśliwa, czy nie. Lunch z Dziobakiem był cudowny, dawny szef powiedział, że bardzo mu jej brakowało, i doradzał złożenie podania o pracę na oddziale geriatrycznym.

– Mamy teraz wyjątkowo dobry zespół – zdradził. – Zapalony, mądry, stosunkowo młody. Będiesz do nich pasowała, Clio. Czeka nas kilka projektów badawczych, testujemy nowe lekarstwo na alzheimera i mamy fantastycznego psychiatrę.

- Bardzo bym chciała – powiedziała z żalem – ale... naprawdę sądzisz, że się do tego nadaję?
- Clio! Czy ja na pewno rozmawiam z najlepszym geriatrą, jaki pojawił się na naszym oddziale na przestrzeni wielu lat? Bardzo nisko się oceniasz, dziewczyno, absolutnie nie powinnaś tego robić. Nie proponowałbym ci składania papierów, gdybym nie uważał, że doskonale się do tego nadajesz. Moim zdaniem jesteś idealną kandydatką.

Teraz z całego serca ci radzę, żebyś odwiedziła kilka naszych szpitali i zobaczyła, co się w nich dzieje. Oczywiście, przed rozmową kwalifikacyjną. Uśmiechnęła się do niego.

- Mówisz tak, jakbyś był niemal pewien, że taka rozmowa się odbędzie.
- Bo się odbędzie.

Rozstając się z nim, obiecała, że złoży papiery, po czym poszła do adwokata.

Koleżanki ostrzegały ją, że to okropne przeżycie. Co innego przyjąć do wiadomości, choćby ze smutkiem, że małżeństwo się rozpadło, a co innego w obecności innych brać pod lupę swój nieudany związek. Zgodziła się dać Jeremy'emu rozwód i spodziewała się w zamian pewnej hojności, tymczasem były mąż kwestionował jej prawo do części domu. Twierdził, że sama zrezygnowała z małżeństwa, wiedząc, że nie może spełnić oczekiwań męża.

- Nie martw się – uspokajał ją adwokat. – Wydobędziemy wszystko, co ci się należy...
- Tęskniłem za tobą – powiedział Gideon. – I to bardzo. Leżeli w łóżku. Właśnie wrócił z Barbadosu, gdzie zostawił Fionnuale, szczęśliwą właścicielkę trzech nowych wspaniałych koni do polo.

– Była bardzo zadowolona – wyznał – i bardziej wylewna. Cieszę się.

– Przypuszczam – rzekła Jocasta, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać przytyku.

Był wczesny poranek; znajdowali się w jego domu w Londynie, w Kensington Pałace Gardens. Sama budowla lekko zaszokowała Jocastę: zaszokowała i onieśmieliła. Można ją było opisać tylko jednym słowem: rezydencja. Był to pięcioletni gmach w klasycznym palladiańskim stylu z salą balową, kilkoma dużymi salonami, pokojami dla służby i dziesięcioma sypialniami. Czy mężczyzna, który właściwie nie ma rodziny, potrzebuje dziesięciu sypialni?

– Ja też za tobą tęskniłam – zapewniła. – Okropnie.

– Miło mi to słyszeć. Chętnie bym się nawet dowiedział, że byłaś bardzo nieszczęśliwa. O Boże... – Odsunął kołdrę, usiadł i bacznie przyjrzał się Jokaście. – Jesteś najpiękniejszą istotą pod słońcem. Zupełnie nie rozumiem, co robisz przy takim starym pierniku jak ja.

– Kocham cię takiego, jakim jesteś. Możesz w to wierzyć albo nie. Ja z kolei nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że udało mi się przeżyć bez ciebie tydzień, nie wspominając już o trzydziestu pięciu latach. Uważam, że to bardzo, bardzo dziwne.

Martha postanowiła, że opuści swój apartament o wpół do szóstej rano i pójdzie na siłownię; będzie tego bardzo potrzebowała, jeśli potem ma spędzić w samolocie dwadzieścia jeden godzin. Prawdę mówiąc, z niecierpliwością oczekiwała na podróż, zwłaszcza że znów wszystko miała pod kontrolą.

Nagle uznała, że taka ucieczka jest jej bardzo, bardzo potrzebna. Nalała sobie szklanek wody mineralnej i wniosła ją do sypialni, żeby dokończyć pakowanie, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Pewnie dokumenty, które obiecał jej przysłać Paul. Jak się okazało, to nie dokumenty, lecz Ed.

– Nie możesz zostać – powiedziała.

Patrząc na niego, nie wiadomo czemu pomyślała, że naprawdę cudownie wygląda w białej rozpiętej pod szyją koszuli i džinsach. Jak postać z filmu.

– Właśnie się pakuję. Muszę zdążyć na samolot.

– Nie obchodzi mnie, nawet gdybyś musiała zdążyć na pieprzoną raketę. Chcę wiedzieć, co jest grane. Coś się stało, Martho, prawda? Nie obchodzi mnie co, nie obchodzi mnie, jeśli kochasz kogoś innego, nie obchodzi mnie, jeśli jesteś śmiertelnie chora... nie, to chrzaniecie, oczywiście, że to by mnie obchodziło, ale po prostu muszę poznać prawdę.

Nie wytrzymam ciągłych tajemnic. Musisz mi powiedzieć.

– Nic się nie stało – zapewniła go, po czym zacisnęła pięści i odważnie spojrzała mu w oczy, wiedząc, że młody człowiek i tak nic z nich nie wyczyta. – Nic się nie stało. Po prostu jestem... okropnie zajęta. Jutro wylatuję do Sydney.

– Do Sydney? Na jak długo?

– Na tydzień. Mamy tam klienta. Bardzo ważnego klienta – dodała zdecydowanie.

– Martho, na litość boską, co jest grane? Co ci się stało? Musisz mi powiedzieć. Nie wyjdę, póki mi nie powiesz.

– Nic się nie stało – powtórzyła, tym razem mocno przestraszona, bo Ed wyglądał na zdesperowanego.

– Martho – szepnął – kocham cię. Znam każdy centymetr twojego ciała. Dosłownie. Wiem, jaka jesteś, gdy jesteś szczęśliwa, kiedy jesteś zdenerwowana, kiedy jesteś zestresowana, kiedy pragniesz seksu; wiem, kiedy chcesz porozmawiać, a kiedy potrzebujesz ciszy, kiedy podle się czujesz, a kiedy jesteś zmęczona i zła. Wiem, że coś ci się stało i to coś nie ma nic wspólnego z nadmiarem pracy. Po prostu jesteś przerażona. Czego tak się boisz, Martho? Musisz mi powiedzieć. Co takiego zrobiłaś? Nic nie jest w stanie mnie zaszokować ani wytrącić z równowagi, chyba że zakochałaś się w kimś innym. Oczywiście nawet z tym musiałbym się jakoś pogodzić, ale przynajmniej bym wiedział. Czy o to właśnie chodzi? Że masz kogoś innego?

– Nie – odparła bardzo, bardzo cicho. – Nie mam nikogo innego.

– W takim razie... co się dzieje?

Milczała.

– Martho, popatrz na mnie. Powiedz mi, co się, do jasnej cholery, stało!

Przez chwilę miała ochotę wszystko mu wyznać. Mieć to już za sobą, wiedzieć, że ktoś o tym wie, że tajemnica nie jest już tajemnicą, która za wszelką cenę chce się wyrwać, że zniknęła okropna, szokująca rzecz, którą tak długo ukrywała gdzieś na dnie duszy, że przestało nad nią wisieć przerażające, wstrętne monstrum. Nie mogła.

– Nic się nie stało – powiedziała w końcu. – Wybacz, nie czuję się zbyt dobrze.

Pobiegła do łazienki, trzasnęła drzwiami i długo, bardzo długo wymiotowała, potem roztrzęsiona usiadła na sedesie, trzymając ręce na bolącym brzuchu i zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła stąd wyjść.

Ed delikatnie zapukał do drzwi i zawołał przez nie. Martha z ogromnym trudem ochlapała twarz, wymyła zęby i wyszła.

Spojrzała mu w oczy i próbowała się uśmiechnąć, widząc jego obawy.

– Przepraszam – rzekła. – Bardzo cię przepraszam. Wtedy powiedział najgorszą rzecz, jaką mógł powiedzieć.

– Jesteś w ciąży, Martho?

Wybuchnęła śmiechem; słabym, histerycznym śmiechem, który po chwili zamienił się we łzy. Potrząsała przecząco głową, unikając jego wzroku. Pomógł jej wejść do salonu, posadził na sofie, po czym usiadł i patrzył, jak Martha szlocha, łka i lamentuje jak dzika, prymitywna kobieta. Kiedy w końcu się uspokoiła, objął ją i oparł jej głowę na swoim ramieniu. Siedzieli w słodkim, cudownym spokoju, na którym tak bardzo jej zależało. Martha ujęła jego dłoń, spłotła ich palce, a potem uniosła ją do ust i pocałowała.

– Dziękuję – powiedziała – bardzo, bardzo dziękuję. Przepraszam.

– Och, Martho – westchnął, całując ją w rękę. – Bardzo chciałbym, żebyś mi zaufała. Niezależnie od tego, co zrobiłaś, na pewno zrozumiem i wybaczę. I tak się dowiem. Jakimś cudem się dowiem. Nie opuszczę cię, póki nie będę wiedział, a nawet wtedy nie zostawię cię

samej. Uważam, że mnie potrzebujesz.

– Nie – zaprzeczyła, zbierając całą siłę woli, puszczając jego rękę i lekko się od niego odsuwając – wcale nie. Wcale cię nie potrzebuję, Ed. A ty z pewnością nie potrzebujesz mnie.

– Jesteś w błędzie – zapewnił. – Bardzo cię potrzebuję. Oboje potrzebujemy siebie nawzajem. Teraz idę, ale kiedy wrócisz... Kiedy wracasz? W przyszły weekend?

Słabo przytaknęła.

– Będę do twojej dyspozycji. Nie myśl, że zrezygnuję, nie myśl, że się poddam. Za bardzo cię kocham. Teraz idź do łóżka i, na litość boską, prześpij się choć trochę. Mam zostać? – spytał z lekkim uśmiechem na ustach.

– Nie – zapewniła. – Idź już, ale... dziękuję za propozycję. Jesteś bardzo miły, Ed. Bardzo, bardzo miły.

– Nie – zaprotestował. – Wcale nie jestem miły. Wciąż ci to powtarzam. Po prostu cię kocham.

Wyszedł.

Martha nie spała całą noc. Nastawiła budzik na piątą, ale tylko patrzyła, jak mijają kwadransy i godziny. Czowała przerażający strach, serce mocno waliło jej w piersiach, burczało w brzuchu.

Znów wymiotowała, i to nieraz. Nigdy nie czuła się tak samotna, nawet wtedy, gdy w okropnym, wykładanym kafelkami pomieszczeniu cierpiała potworne katusze, wypychała dziecko na świat, a potem na nie patrzyła.

Nie, Martho, nie myśl o tym. Nie przypominaj sobie pomarszczonej, udręczonej twarzyczki, tak spokojnej i pogrążonej w głębokim śnie, gdy wychodziłaś. Nie wracaj do wspomnień.

Kiedy w końcu zadzwonił budzik, Martha siedziała na łóżku, trzymając się za głowę i starając się odpędzić od siebie wszystkie wspomnienia.

Po raz pierwszy zawiodła ją silna wola. Prawniczka nie mogła wstać, nie mogła zrobić kilku kroków, nie mogła nawet przejść przez pokój. Drżała od stóp do głów, na zmianę było jej raz gorąco, raz zimno. Bolała ją głowa, nie widziała. Położyła się na łóżku, naciągnęła na siebie kołdrę, zamknęła oczy. Poleży przez godzinę. Nie musi iść na siłownię, pójdzie o siódmej prosto do biura. Albo nawet o ósmej. Ósma to najlepsza pora, wszystko będzie gotowe.

O siódmej i o ósmej wciąż leżała w bezruchu, nie mogła wstać ani usiąść, nawet obrócić się na łóżku. Jakimś cudem zdołała jedynie wyciągnąć rękę i włączyć radio. Usłyszała cudowny, uspokajający głos Johna Humphrysa, jakby był w jej pokoju. Potem zasnęła.

Nawiedzały ją różne sny, okropne, męczące sny o wstrętnych potworach za zamkniętymi drzwiami, o ukrywaniu się, wpadaniu w przepaść, o ciemności i krwi. Kiedy w końcu się obudziła, usłyszała głos córki.

Rozdział Dwudziesty Szósty

Udało się. Jakimś cudem Helen przebrnęła przez cały program. Wszyscy wcześniej jej mówili, że dzięki Jenni Murray uczestnicy audycji są cudownie spokojni. Rzeczywiście, rozluźniła się do tego stopnia, że zapomniała, iż słuchają ich miliony ludzi. Oczywiście, Kate wypadła wspaniale, z wielką swadą odpowiadała na pytania i przez cały czas była niezwykle opanowana. Skąd ona to ma? – zastanawiała się Helen ze znużeniem opadając na tylne siedzenie samochodu podstawionego przez BBC. – Skąd bierze pewność siebie i umiejętność radzenia sobie w nieznanym jej dotychczas sytuacjach? Odpowiedź wydawała się jednak prosta: dziewczyna musiała odziedziczyć to po którymś z rodziców.

Najgorsze, że Helen czuła się jak ktoś odsunięty na bok, jakby przestała być matką Kate i nie miała już wpływu na życie córki. Dziewczyna nagle wydorosła i przeobraziła się w całkiem inną istotę: samodzielnie podejmowała decyzje i kształtowała swoją przyszłość.

Jutro wybiera się z Natem Tuckerem do klubu w Brixton. Oświadczyła, bardzo uprzejmie, acz zdecydowanie, że Nat ją zaprosił, a ona chce z nim iść. Biorąc pod uwagę wszystko, co jej się ostatnio przydarzyło, nie było sensu oponować. Umówili się z nią, że wróci najpóźniej o drugiej w nocy. Helen miała nadzieję, że Nat zaprotestuje i odwoła ją wieczorną wyprawę, ale on tylko powiedział jedno słowo: super. Super. Helen czasami myślała, że jeśli jeszcze raz usłyszy to słowo, zacznie krzyczeć. W piątkowy poranek, leżąc w łóżku i próbując wykrzesać z siebie siły, żeby zebrać się do pracy – Martha naprawdę nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni straciła niemal cały poranek – obudziła się na dźwięk melodyjnego, ładnego głosu, który mówił:

– Oczywiście, bardzo chciałabym spotkać swoją biologiczną matkę. – Potem dodał: – Bardzo, bardzo bym chciała.

– A... jak sądzisz, jak byś się czuła? – spytała Jenni Murray, wyraźnie zaintrygowana.

– Hmm... sama nie wiem. Chyba byłabym trochę zakłopotana. Może... zła. I na pewno bardzo ciekawa, jaka ona jest. Jakim jest człowiekiem.

– Zastanawiałaś się nad tym, co byś jej powiedziała?

– Spytałabym ją, dlaczego to zrobiła. To dla mnie najważniejsze.

– Rozumiem. Kate, Helen, byłyście wspaniałe. Serdecznie wam dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję, że twoja biologiczna matka się odezwie, oczywiście jeśli ci na tym zależy.

– Zależy mi – zapewniła Kate szczerze. – Bardzo. Słowa córki bardziej poruszyły i zaniepokoiły Marthę niż zdjęcia zamieszczone kilka dni temu w gazecie. Tego ranka Beatrice po raz pierwszy w tym roku słuchała Woman's Hour i tak samo jak Martha leżała w łóżku, w którym nigdy nie można jej było zobaczyć po siódmej rano, nawet w niedzielę. Dzięki Bogu nie musiała iść do biura, chociaż chcieli, żeby pojawiła się na sali sądowej – wyraźnie nie bardzo przyjęli do wiadomości, że jest chora. Prawdę mówiąc, trudno mówić o chorobie. Żona Josha miała potworną migrenę, która dręczyła ją tylko wtedy, gdy coś nie układało jej się w życiu. Rzadko jej się nie układało, ale poprzedniego wieczoru opiekunka do dzieci złożyła

wypowiedzenie. Choć było oczywiste, że niania będzie się zajmować dziewczynkami jeszcze przez trzy miesiące, Beatrice za nic w świecie nie mogła pogodzić się z tą wiadomością.

Kiedy niespokojnie kręciła się w łóżku, zadzwoniła jej komórka. To matka. Młoda kobieta powiedziała jej o swoich problemach, niestety starsza pani nie okazała córce ani odrobiny współczucia.

– Kochanie, zostały ci trzy miesiące. Na pewno kogoś znajdziesz. Poza tym to już nie są małe dzieci.

– Nie chodzi o to – jęknęła Beatrice. – Problem polega na tym, że po odejściu Josha nie mam w domu żadnego wsparcia.

– Przecież wiesz, co o tym sędę. W końcu to ty go wyrzuciłaś. Ty podjęłaś ostateczną decyzję.

– Mamo! Miał romans.

– Beatrice, żadnego z jego niewielkich skoków w bok nie nazwałabym romanssem. Jeśli się patrzy na nie z pewnej perspektywy, wszystkie można uznać za przygody na jedną noc. Nie miały znaczenia. Oczywiście, serdecznie ci współczuję, ale w grę nie wchodziły żadne uczucia. Josh cię ubóstwia i dobrze o tym wiesz.

– Tylko w zabawny sposób okazuje mi swoje ubóstwienie – skostatowała Beatrice z goryczą.

– Jest mężczyzną. Faceci nie potrafią oprzeć się pokusie seksualnej, jeśli podsunie im się ją pod nos. Moim zdaniem istnieją znacznie gorsze rzeczy. Josh pod wieloma względami jest wzorowym mężem. Cudownie traktuje dziewczynki i płaci wszystkie rachunki, łącznie z opiekunką, podczas gdy wielu mężczyzn uznałoby, iż to twój obowiązek. Jest dobroduszny, a wobec mnie zawsze bardzo miły – dodała.

– Tak, wiem, ale uważam, że to nie ma nic do rzeczy. Matka zlekceważyła jej słowa.

– Czy Josh chce wrócić?

– Myślę... myślę, że tak – odparła Beatrice, przypominając sobie nieustanne błagania męża o wybaczenie, wyraźną skruchę i skargi na samotność.

– Uważam, że powinnaś wszystko jeszcze raz przemyśleć – oświadczyła matka. – Naprawdę. Potrzebujesz męża. Poza tym czy zastanawiałaś się, jak poczują się dziewczynki, jeśli będą dorastały bez ojca? Zastanów się, Beatrice...

Beatrice przez następną godzinę rozważała słowa matki. W końcu doszła do wniosku, że przynajmniej do pewnego stopnia starsza pani ma rację. Rzeczywiście potrzebowała męża. I to bardzo. Jakimś cudem Martha w końcu zdołała wstać i wziąć prysznic. Była pierwsza, samolot wylatywał o wpół do ósmej wieczorem. Zamówiła taksówkę i poprosiła kierowcę, żeby wszedł na górę i zabrał jej bagaże. Choć wszystkie walizki miały kółka, nie była pewna, czy zdołałyby dowieźć je do windy. Wystarczyło, że musiała skończyć pakowanie.

Gdy samochód ruszył spod budynku, Martha od razu poczuła się lepiej, jakby zostawiła w domu wszystkie swoje udreki.

W samolocie powoli zaczęła wracać do siebie. Usadowiła się na swoim miejscu, z wdzięcznością uśmiechnęła do stewardesy i wzięła szklankę soku pomarańczowego.

– Proszę, jadłospis.

– Nie będę jadła kolacji – zapowiedziała Martha. – Jestem potwornie zmęczona. O której lądujemy w Singapurze?

– O trzeciej po południu czasu miejscowego. Będzie pani tam wysiadać czy leci pani dalej?

– Lecę dalej – odrzekła Martha.

Rozparła się wygodnie w fotelu i – jak w filmie – zagłębiła się w miłych rozważaniach i szczęśliwych wspomnieniach.

Pomyślała o Edzie i o tym, jak młody człowiek bardzo ją kocha, a potem o swojej córce, ojej ślicznej twarzy, miłym głosie i wyznaniu, że chce się spotkać z matką. Po raz pierwszy, naprawdę po raz pierwszy w życiu Martha zaczęła się zastanawiać, czy macierzyństwo mogłoby, na przekór wszystkiemu, przynieść jej radość zamiast dotychczasowego cierpienia. Zmieniło się podejście Marthy do Kate: córka przestała być ponurą, okropną tajemnicą i teraz stała się źródłem szczęścia i dumy. Nawet jeśli matka nigdy nie będzie mogła niczego wyjaśnić, a córka zrozumieć. Odpowiedni ludzie znaleźli ją tamtego fatalnego dnia, a potem zajęli się nią i wychowali na istotę szczęśliwą i wyraźnie pewną siebie, za co Martha była im niezmiernie wdzięczna. Nie mogła nic zrobić ani dla Kate, ani dla Eda, żadnego z nich nie mogła zaprosić do swojego życia, ale na chwilę oboje przesunęli się w jej myślach na inne pozycje.

Helen niespokojnie zerknęła na Nata. Zaprosiła go na niedzielny lunch. Kate koniecznie chciała się z nim spotkać zaraz po śniadaniu, a Helen z trudem to zaakceptowała. Dziewczyna była wyraźnie zadowolona, zarzuciła matce ręce na szyję i pocałowała – Jesteś genialna, mamo!

– Może nie będzie chciał przyjść – zastrzegła Helen z nadzieją w głosie, zerkając nerwowo na Jima, który tylko trzasnął tylnymi drzwiami i wyszedł do ogrodu.

– Przyjdzie – obiecała Kate. – Tylko nie rób nic na siłę i nie wciągaj go w rozmowę na temat polityki czy najświeższych wydarzeń, dobrze? Nat jest trochę nieśmiały. Tymczasem, gdy Nat się pojawił, Jim, jak na złość, wyrwał się nagle ze stwierdzeniem, że wszyscy politycy są tacy sami, beznadziejni i zepsuci do szpiku kości, dlatego nie będzie na nikogo głosował.

– Thatcher była w porządku – rzekł Nat.

Rodzina popatrzyła na niego, jakby właśnie oznajmił, że ma zamiar zapisać się na lekcje baletu.

– Thatcher? – spytała Kate z niedowierzaniem. – Zawsze uważałam, że to stare pudło.

– Ależ skąd! Zdaniem mojego ojca miała dobre pomysły, uporządkowała sprawę związków i w ogóle. Tata wciąż powtarza, iż politycy powinni kazać zbadać sobie głowy za to, że ją wykopali. Ona na pewno nie wpuściłaby wszystkich tych ludzi.

– Jakich ludzi?

– Obcokrajowców. Uchodźców i tak dalej. Teraz zajmują nasze miejsca pracy, szpitale i tego typu rzeczy. Panoszą się nawet w Alton Towers* [Alton Towers – park rozrywki (przyp. tłum.)] – dodał,

jakby to było ciężkie przestępstwo, po czym włożył do ust ogromną porcję puddingu.

– Alton Towers? – spytały razem Kate i Helen.

– Taak. W ubiegłym tygodniu wpuścili ich tam za darmo. Tak przynajmniej napisali w gazetach.

– Boże miłosierny! – jęknęła Helen. – Nie miałam pojęcia. Martha wyszła z luksusowego, typowo angielskiego hotelu „Observatory” i stanęła w jasnych promieniach australijskiego słońca. Był przepiękny, chłodny, słoneczny dzień. Uśmiechnęła się do błękitnego nieba i poprosiła portiera o sprowadzenie taksówki.

Wybrała się na zakupy do Rocks, potem chciała obejść Darling Harbour, wrócić na wcześniejszą kolację i przygotować się na jutrzejsze spotkania. To absurd, że bała się powrotu do Australii. Duchów przeszłości. Tymczasem śliczne miasto, które miała przed sobą, bardzo się różniło od dawnego Sydney, w którym początkowe zmartwienie zamieniło się w strach, a strach w panikę. Obecnie stolica Australii była piękna, elegancka, ruchliwa i pełna życia. Martha odsunęła od siebie wspomnienia o obskurnym pokoju, w którym nieustannie unosił się zapach smażonego jedzenia i panował bezlitosny upał. Mieszkała w nim inna, młodsza Martha: niepewna, przestraszona i samotna. Obecna, nieco starsza, była elegancko ubrana w lniane spodnie i jedwabny sweter, zastanawiała się, z którego z trzech zaproszeń na kolację skorzystać, i z całą pewnością nie miała nic wspólnego z tamtą. Nikt jej tu nie znał. Była bezpieczna, uciekła od dawnej Marthy.

– Gdzie ma pani ochotę się wybrać w tak piękny dzień? Taksówkarz był przyjacielski, dobroduszny, chętny do pomocy. Oczywiście, miała zamiar pojechać do portu, kupić podkoszulki u Kena Done’a, a potem posiedzieć w słońcu na nabrzeżu. Ani przez chwilę nie myślała o odwiedzeniu północnych plaż Collaroy, Mona Vale i Avalon. To już przeszłość, nie przyszłość, a przecież interesowała ją tylko wędrownica do przodu... chociaż ciągnęło ją w jedno jedyne miejsce...

– Ma pan dużo czasu? – spytała.

– Tyle, ile pani potrzebuje – zapewnił z olśniewającym uśmiechem.

– Czy moglibyśmy pojechać do Avalon? – spytała.

Wysiadła z autobusu przy Barenjoey Road i zamrugała powiekami w jasnych promieniach słońca. Przez całą drogę z Sydney, pocąc się na swoim siedzeniu i marząc o wejściu do zimnej wody, widziała plażę. Dwaj towarzyszący jej chłopcy byli zapalonymi miłośnikami surfingu, opowiadali o wysokich falach, które zamierzają łapać, i deskach, na których będą jeździć. Martha, słuchając ich, zastanawiała się, jak sprawdzą się typowo angielskie szkolne lekcje pływania w zderzeniu z prawdziwymi falami i prądami.

Do Avalon skierował ich chłopiec, którego spotkali na lotnisku i który – tak jak oni – podróżował z plecakiem dookoła świata.

– To jedyne prawdziwe schronisko młodzieżowe dla miłośników surfingu w pobliżu Sydney. Jest w nim naprawdę wspaniale.

Wrzucili więc plecaki do autobusu i pocili się w nim dwie godziny, tymczasem ich środek transportu włókł się przez przedmieścia i pokonywał wysokie mosty, z których roztaczały się piękne widoki na port. Przejechali przez przedmieścia północnego Sydney, minęli Mossman i Clontarf, a potem wiele pozbawionych uroku autostrad, przy których stały salony samochodowe, tanie restauracje i sklepy dla miłośników surfingu. Martha stanęła na skraju wysokiego urwiska Avalon, nie zważając, że kręci jej się w głowie, i spojrzała w dół, na plażę. Zaskoczył ją nie widok, ale ryk fal oraz zapach soli i ryb. Stała długo, a potem zarzuciła plecak na ramię i zeszła ze stromego zbocza, dochodząc do wniosku, że Avalon to bardzo nieodpowiednia nazwa, bo cóż to typowo australijskie miejsce może mieć wspólnego z angielską legendą o królu Arturze i jego rycerzach? Avalon wybudowano na skrzyżowaniu dróg i bardziej przypominało wioskę, a Avalon Beach Hostel stał przy jednej z dróg tworzących krzyż. Było to dość duże schronisko młodzieżowe, powstało jako jedno z pierwszych tego typu w okolicach Sydney i dysponowało dziewięćdziesięcioma sześcioma miejscami noclegowymi, jak powiedział kierownik.

– Zostało wybudowane na wzór schroniska na Cape Tribulation, w prawdziwym rajku surfingowców.

Martha niespokojnie uniosła głowę, gdy przechodziła przez ogromną bramę, a potem przez brukowany dziedziniec. W tamtym okresie wszystkiego się bała, a opaleni chłopcy, którzy siedzieli na długiej werandzie, wyglądali, jakby czuli się tu jak u siebie w domu.

Po zameldowaniu się dostała pokój, albo raczej jedną szóstą pokoju, twardą pryczę przymocowaną sznurami do ściany i schowek na bagaż. W schronisku panowały prymitywne warunki, podłogę stanowił pomalowany beton, ale było czysto, a łazienka dla dziewcząt – równie spartańska i czysta – znajdowała się naprzeciwko drzwi.

– Piec jest tutaj – poinformował kierownik schroniska, chłopak, który nie wydawał się o wiele starszy od Marthy. Poprowadził ją na tyły werandy, do dużego pomieszczenia w połowie wypełnionego długimi stołami i ławami. Na ścianach wisiały plakaty ukazujące uroki surfingu.

– Tu są lodówki. Zajmij jeden z pustych pojemników, napisz na nim swoje imię i nazwisko, a wtedy do wyjazdu będzie twój. Wszyscy jedzą tutaj.

Martha uśmiechnęła się niepewnie do chłopców na werandzie. Odpowiedzieli uśmiechem, spytali ją, skąd przyjechała i dokąd zmierza. Nagle poczuła się szczęśliwa, uwierzyła, że jej się tu spodoba.

Rzeczywiście jej się spodobało: było naprawdę cudownie. Pokochała Avalon, panującą tu większą atmosferę, małe sklepiki i francuską restaurację z obrusami w czerwono-białą kratkę, gdzie od czasu do czasu jadali. Była tam księgarnia zwana Boocaccino, Gourmet Deli, gdzie nie mogli sobie pozwolić na zakupy (robili je we wspaniałym supermarkecie Woolworth), oraz urocze kino. Właścicielem był ktoś, kto prowadził południowy program w telewizji; życie kulturalne Avalon traktował bardzo poważnie, a w niedziele pokazywał zagraniczne filmy.

Martha zawarła w Avalon dwie wspaniałe przyjaźnie: z chłopcem o imieniu Stuart, nazywanym Stewpot, i dziewczyną z Yorkshire – Dinah. Jej ojciec również był pastorem.

– Najgorsze jest to – powiedziała, przekazując Marcie trawkę, którą właśnie paliła – że pomimo potwornego ubóstwa człowiek musi się zachowywać, jakby należał do wyższych sfer. Na dodatek obserwuje go cała parafia. Czy możesz sobie wyobrazić, co by było, gdybyś zaszła w ciążę albo coś w tym stylu? Co oni by wtedy, do diabła, zrobili?

Martha zadrżała, potem wybuchnęła śmiechem i oddała skręta. We trójkę tworzyli małą, zgraną paczkę. Stewpot z przyjemnością pływał z dziewczętami w bezpiecznych zatoczkach odgradzonych skałami, naturalnych basenach napełnianych codziennie przez morze. Razem włączyli się po pięknych białych plażach, dotarli do Palm Beach, ekskluzywnego wybrzeża Whale Beach, do Newport, Mona Vale i Bilgoli. Wiezorami siadywali na plaży w Avalon, palili, rozmawiali z innymi, piekli na grillu różne potrawy i pływali w czarno-srebrzystym morzu. Martha wolała takie życie niż tajski brak umiaru, pokochała również przyjacielskich, pełnych optymizmu i otwartości Australijczyków. Kiedy wracała myślami do ponurej deszczowej angielskiej zimy, zastanawiała się nawet, czy nie zostać na antypodach. Powiedziała o tym Dinah, gdy pewnego wieczoru siedziały na pogrążonej w ciemności plaży. Przyjaciółka była przerażona.

– Nie możesz, Martho. Tu wszystko jest takie... prymitywne. A tutejsi mężczyźni są strasznymi szowinistami.

– Za to są bardzo mili – zaprotestowała Martha. – Wolę ich niż sztywniaków i kretynów z angielskich szkół prywatnych, dziękuję najmocniej.

– Wielu ich spotkasz w swoim przyszłym zawodzie – ostrzegła Dinah. – Jesteś pewna, że wybrałaś odpowiedni kierunek?

– Tak – zapewniła Martha. – Ale masz rację. Najwięcej ich wśród adwokatów.

– Ty nim nie będziesz?

– Nie. Nie stać mnie na to. Żeby tam się znaleźć, trzeba mieć bardzo bogatych rodziców. Nie, dzięki, nie chcę już piwa. Jest mi trochę niedobrze. Nie wiem dlaczego. Te same problemy miałam wczoraj wieczorem.

Dinah wybuchnęła śmiechem.

– Tylko mi nie mów, że koszmar się urzeczywistnił i wrócisz na plebanię z dzieckiem.

– Nie ma szansy! – zapewniła Martha niemal ze złością. Chociaż wmawiała sobie, że nie ma się o co martwić, po powrocie do schroniska zajrzała do swojego dziennika. Od przyjazdu do Tajlandii miała bardzo nieregularne okresy, ale nie, wszystko było w porządku. Miała miesiączkę, gdy była w Singapurze – słabą, ale jednak – i jakiś czas po przygodzie na Koh Tao. Od tego czasu z nikim się nie kochała.

Na początku lutego Stuart i jego harem (jak nazywali ich pozostali chłopcy) wyruszyli na północ. Pokonali autobusem trasę z Sydney do Ayers Rock – dwa i pół dnia podskakiwania na ciągnących się bez końca drogach.

Zatrzymali się na noc w Alice Springs, a rano złapali następny autobus. Po dotarciu na miejsce wszyscy troje z podziwem patrzyli na wyłaniające się z równiny skały, na szczycie

trzymali się za ręce, stali zwrócenii twarzami do słońca i – pomimo tłumów turystów – odnosili wrażenie, że są sami na świecie, a ze wszystkich stron otacza ich bezkresna pustynia, absolutna pustka ciągnąca się po krańce ziemi.

Kiedy zeszedli, Martha dziwnie się poczuła. Usiadła na chwilę w cieniu, a potem długo wymiotowała. Tak samo było w dalszej drodze autobusem, gdy jechali na północ, do Cape Tribulation.

– Martho – powiedziała Dinah łagodnie, wycierając na poboczu spocone czoło przyjaciółki, gdy ze względu na nią autobus się zatrzymał. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

Martha, poirytowana, odparła, że nie, nie ma jej nic do powiedzenia, a gdy przybyli do Cape Tribulation, przestała wymiotować i dostała okres.

– Widzisz – powiedziała, w drodze do ubikacji tryumfalnie machając tamponami przed oczami Dinah. – Wszystko jest w porządku.

Po dwóch dniach okres się skończył, ale przecież był, prawda? Zatrzymali się w Cape Tribulation, w miejscu, gdzie tropikalne lasy deszczowe stykają się z morzem, zaprzyjaźnili się z kimś, kto miał łódkę i kilka razy zabrał ich na rafę. Nurkowali z rurką, poznawali podwodny świat, wzgórze i doliny koralowe, słodko uśmiechnięte, jaskrawo kolorowe ryby i przyjaźnie nastawione młodziutkie rekiny, które podpływały, żeby przyjrzeć się nurkom.

Martha i Dinah dostały pracę w jednym z barów na plaży i zarobiły dość pieniędzy, żeby wrócić do Sydney pociągiem. Potem nastał marzec, zrobiło się trochę chłodniej. Harem się rozpadł. Dinah chciała jechać do Kalifornii, Stuart planował wyprawę do Nowej Zelandii, a Marthę kusił Nowy Jork. Przed rozstaniem jeszcze na kilka dni zatrzymali się w Avalon, na nowo odkrywając uroki tego miejsca i czując się tak, jakby wrócili do domu.

Drugi wieczór był bardzo sympatyczny.

– Muszę włożyć spodnie – oznajmiła Martha, wyjmując je ze schowka.

Nie miała ich na sobie od miesięcy. Nie weszły. Nie można powiedzieć, że były trochę za ciasne – po prostu się w nich nie zmieściła.

Próbowała sobie wmówić, że to wina piwa i jedzenia na Cape Tribulation. Od zawsze było wiadomo, że podczas podróży dookoła świata w Tajlandii traci się na wadze, a w Australii z powrotem przybiera, ale takie tłumaczenie odpadało. Wciąż miała ręce chude jak patyki, a kiedy stanęła bokiem i wbrew własnej woli przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze w łazience, zauważyła, że jej dotychczas płaski brzuch jest mocno wydęty.

Znów zrobiło jej się niedobrze, ale tym razem były to mdłości wywołane przez panikę. Powtarzała sobie, że zachowuje się jak histeryczka – w końcu miała dwa okresy. Tak czy inaczej, kupiła sobie w drogerii w Avalon test ciążowy, a następnego ranka zamknęła się w łazience i użyła go. Wyraźne błękitne kółko powiedziało jej, że jest w ciąży.

Przerażona, zebrała się na odwagę i poszła do lekarza.

Miał jasne niebieskie oczy, był młody, wesoły i bystry – typowy Australijczyk.

– Nie można do końca polegać na testach z drogerii – wyjaśnił – ale gdy cię zbadam,

będziemy wszystko wiedzieli.

Długo milczał, delikatnie dotykając jej brzucha, sprawdzając piersi i wykonując badanie.

– W porządku, Martho – powiedział w końcu. – Ubierz się, a potem porozmawiamy.

Oznajmił jej, że jest mniej więcej w piątym miesiącu ciąży.

– Ależ to niemożliwe! – zaoponowała, w przypiływie potwornej paniki wracając myślami na Koh Tao, gdzie była dokładnie pięć miesięcy temu. – Przecież miałam okresy, ostatni mniej więcej miesiąc temu.

– To możliwe. Był lekki?

– Tak... nawet bardzo.

– Jak długo trwał?

– Jakieś... dwa dni.

– Martho, bardzo mi przykro, ale to często się zdarza. Miewałaś mdłości?

– Owszem, ale nie codziennie, trwały tylko... kilka dni. Nie mogę być w ciąży. Naprawdę.

– Mam przez to rozumieć, że nie zrobiłaś nic, co mogłoby spowodować ciążę? – spytał, błyskając oczami.

Z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Hm... zrobiłam, ale tylko... raz.

Prawdę mówiąc, dwa razy – poprawiła się w myślach, przypominając sobie następny ranek i cudowną rozkosz.

– Wystarczy. Przykro mi, Martho. Naprawdę nie ma wątpliwości. Kiedy był ten jeden raz?

– Pod koniec października.

– W takim razie wszystko się zgadza. Dokładnie.

Był bardzo życzliwy. Spytał, czy chce wrócić do Anglii, czy Martha ma tam kogoś, kto może jej pomóc.

– Muszę usunąć ciążę – oświadczyła natychmiast, ignorując jego pytanie. – To jedyne wyjście.

– Bardzo mi przykro, Martho – oznajmił łagodnie – ale jest na to o wiele za późno.

Rozdział Dwudziesty Siódmy

Machinacje między politykami a dziennikarzami, wzajemna zależność obu środowisk i bezwzględny pragmatyzm jednych w stosunku do drugich to niektóre z istotnych składników życia politycznego.

– My, dziennikarze, bez polityków nie dysponujemy żadną władzą – wyjaśniał niejednokrotnie Nicholas Marshall zafascynowanym uczestnikom różnych przyjęć – ale mamy ogromny wpływ na wydarzenia polityczne. Politycy boją się tego wpływu. Głównie dlatego, że nie wiedzą, skąd wypłynie następna afera.

Często mawiał, że nikt spoza środowiska nie uwierzyłby, jak wygląda jego życie: tajemnicze telefony z anonimowymi i poufnymi informacjami, zaproszenia od polityków do londyńskich barów i pubów, propozycje dostarczenia tajnych dokumentów, napastowanie w ruchliwych kątach i korytarzach gmachu parlamentu, byle tylko szepnąć mu na ucho jakąś smakowitą i niezwykle ważną plotkę.

Telefon, który otrzymał w poniedziałkowy poranek, kiedy biegał po Hampstead Heath, w niczym nie różnił się od reszty. Theodore Buchanan (parlamentarzysta z ramienia torysów z południowego Cirencesteru, znany wśród przyjaciół jako Teddy) zaprosił Nicka na lunch do Ritza i powiedział, że ma dla niego smakowity kąsek. Nick dość dobrze znał Teddy'ego Buchanana. Był to stary niedołęga, typowy torys, który miał słabość do Nicka z powodu jego wiejskiego pochodzenia.

Nick przyszedł do Ritza dziesięć minut przed czasem, zamówił sobie dzin z tonikiem, co wyraźnie pasowało do eleganckiego lokalu, i ze smutkiem rozmyślał o tym, że ostatnio nic nie sprawia mu radości. Boże, jak bardzo brakowało mu Jocasty! W obecnej sytuacji myśl o podjęciu jakiegoś zobowiązania, nawet o małżeństwie, nie wydawała mu się już taka przerażająca; prawdę mówiąc, znacznie gorzej wyglądała perspektywa zostania wiecznym kawalerem. Zastanawiał się, jak długo potrwa jej romans z cholernym Keeble'em i czy po zerwaniu z bilionerem Jocasta zechce wrócić do Nicka. Cholera! Dlaczego pozwolił jej odejść? Dlaczego? Dlaczego? Miał trzydzieści sześć lat – wystarczająco dużo, żeby w końcu się ustatkować. Był dorosłym idiotą, który zachowywał się jak nastolatek.

Z przeciwnej strony sali ktoś promiennie się do niego uśmiechnął. Po chwili podszedł do Nicka smukły, elegancki mężczyzna i wyciągnął rękę. Był to Fergus Trehearn.

– Cześć, Nick. Co za miła niespodzianka! Co tu robisz? Nick lubił Fergusa. Poznał go sześć miesięcy temu, kiedy zajmował się jakąś szesnastolatką, której torys – członek parlamentu – złożył niestosowną propozycję.

– Cześć, Fergusie. Umówiłem się na lunch.

– Z jakąś piękną dziewczyną?

– Z zażywnym politykiem w średnim wieku.

– Powinieneś się wstydić. Ja jestem w lepszej sytuacji. Jak zapewne sam się przekonasz.

Osoba, z którą się umówiłem, powinna pojawić się lada minuta. Na pewno słyszałeś o Małej Bianche, noworodku porzuconym i odnalezionym na Heathrow?

– Oczywiście – zapewnił Nick. – Jocasta miała z nią trochę do czynienia. Wzięła ją pod swoje skrzydła, prawda?

– Tak. Co prawda nie jesteśmy ani o krok bliżej znalezienia jej matki, ale na myśl o nastolatce ślinią się wszyscy redaktorzy działów mody, a gazety koniecznie chcą o niej pisać.

– Dlatego stawiasz jej lunch w Ritzu?

– Wybór należał do niej. Prowadziliśmy rozmowy z redaktorem działu mody „Style” i Kate zaprosiła mnie tu w podziękowaniu za to, że załatwiłem jej sześciotygodniową zwłokę na zdanie egzaminów. Mam nadzieję, że potem wróci na łamy gazet. Jest słodziutka... Och... już są! Chcesz ją poznać?

– Nie miałbym nic przeciwko temu – odparł Nick.

Jak zahipnotyzowany przyglądał się Kate, która właśnie weszła z matką do restauracji. Była fantastyczna. Stanowiła cudowne połączenie trochę niezdarnej młodości i niewinności z nieco skrepowaną seksualnością. Miała na sobie czarne spodnium, białą bluzeczkę i botki na bardzo wysokich obcasach, a jej długie, jasne, falujące włosy spięte były w koński ogon. Fergus podszedł do nich, pocałował Kate i jej matkę, po czym podprowadził je do Nicka.

– Nicholas Marshall, Kate i Helen Tarrant. Dziewczyny, które umówiły się ze mną na lunch. Nick, prawda, że jestem niesamowitym szczęściarzem?

Nick wstał, uścisnął dłonie obu pań, wymamrotał coś do Kate, a potem Fergus poprowadził je do stolika po przeciwnej stronie sali. Dziennikarz ciężko opadł na krzesło. Był nieco roztrzęsiony, nie z powodu urody Kate ani zdenerwowania Helen, lecz dużego podobieństwa Kate do Jocasty.

Teddy Buchanan pojawił się w pół do drugiej i bardzo przeproszał za spóźnienie. Zatrzymano go na posiedzeniu komisji.

– Przepraszam, Nicholasiu. Zamawiałaś coś? Nie? Pijesz dzin z tonikiem? Ja też poproszę. Wspaniały pomysł. Złożmy od razu zamówienie, a potem będziemy mogli przejść do sedna sprawy.

– Świetnie – odparł Nick.

Niestety, Teddy długo zwlekał i dopiero gdy zabrał się do głównego dania – befsztyku z truflami – nagle odłożył nóż i widelec, wziął do ręki kieliszek bordo i powiedział:

– Pewnie się zastanawiasz, czemu cię tu ściągnąłem. Nick przyznał, że owszem, ale dodał, iż miło spędza czas.

– Cieszę się – rzekł Buchanan. – Mam dla ciebie świetną historyjkę...

Wychylił się do przodu i zaczął coś szeptać Nickowi na ucho. Po kilku minutach dziennikarz całkiem zapomniał o Kate Tarrant, a nawet o Jocaście. To była rzeczywiście znakomita historyjka.

– Cześć, Chad. Mówi Nick Marshall.

- Witaj, Nick. Jak leci?
- Och... całkiem nieźle. Naprawdę.
- Jak się miewa śliczna Jocasta?
- Nie wiem – odparł Nick krótko.
- Rozumiem. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Spotkać się ze mną?
- Jasne. Gdzie?
- Gdzie chcesz. Może być „Red Lion”? – zaproponował dziennikarz.
- W porządku. Powiesz mi, o co chodzi?

Nieco szorstki głos zdradzał całkowitą pewność siebie. Widocznie Chad nie ukrywa żadnych grzeszków – pomyślał Nick. – Albo przynajmniej nie zdaje sobie z nich sprawy. Chad spojrział bez wyrazu na Nicka.

- Powiesz mi, kto przekazał ci tę fascynującą informację? – spytał.
- Daj spokój, Chad, przecież wiesz, że nie mogę. Za nic w świecie.
- I... masz zamiar ją wykorzystać?
- Hm... prawdę mówiąc, to ciekawa opowiadka – powiedział Nick.
- Tak, i dokładnie tym jest. Opowiadką. Najzwyklejszym chrzaniem.
- W porządku. Czy w takim razie nie masz nic przeciwko temu, żebym ją sprawdził?
- Oczywiście, że mam coś przeciwko temu. Nie życzę sobie, żebyś wtykał nos w moje sprawy...

– Daj spokój, Chad – przerwał mu Nick ze smutkiem. – Dobrze wiesz, że na tym polega moja praca.

Chad i Johnny Farquarson razem uczyli się w Eton; byli dobrymi przyjaciółmi. Obaj uczestniczyli nawzajem w swoich ślubach, każdy został ojcem chrzestnym jednego z dzieci przyjaciela. Potem na kilka lat ich drogi się rozeszły; Chad wspinał się po szczeblach kariery politycznej, Johnny kierował rodzinnym interesem. Fabryka maszyn Farjon pod koniec dwudziestego wieku odnosiła duże sukcesy. Kiedy Chad został nominowany przez Williama Hague’a do gabinetu cieni, Johnny zadzwonił do starego przyjaciela i zaprosił go na lunch do „Reform”. Podczas rozmowy Johnny chwalił się, że Farjon bardzo dobrze radzi sobie na rynku.

– Cieszę się – powiedział Chad. – Wiem, że niektórzy przemysłowcy mają poważne problemy, odkąd pewne rzeczy można taniej kupić na kontynencie.

– Tak, to prawda – przyznał Johnny – ale my jakoś sobie radzimy. Oczywiście zyski nie są takie duże jak niegdyś, ale nie mogę narzekać.

– Cieszę się – powtórzył Chad.

Zrezygnował z brandy, tłumacząc, że wieczorem czeka go debata, powiedział Johnny’emu, że może być dumny z dobrze prosperującej firmy, po czym rozstali się na następne pięć lat. Johnny odezwał się, gdy powstała partia Centrę Forward. Czy może jakoś pomóc?

– Mam na myśli wsparcie finansowe.

– Chyba tak. Zastanowię się.

W taki oto sposób Johnny Farquarson ofiarował Chadowi Lawrence'owi milion funtów na założenie zespołu doradców Centrę Forward.

Jezu! Dlaczego wtedy nie sprawdził źródła tych pieniędzy? Dlaczego? No tak, był cholernie zajęty. Poza tym znał Johnny'ego od bardzo, bardzo dawna i całkowicie mu ufał. Przecież stary przyjaciel nie mógłby go oszukać.

Niemniej, surfując po stronach internetowych „Financial Timesa”, ciężko się pocąc i próbując opanować coraz większe mdłości, Chad odkrył, że osiemnaście miesięcy temu firma Farjon zbankrutowała, dokładnie tak, jak powiedział Nick Marshall. W takim razie, do jasnej cholery, skąd Johnny wziął milion funtów dla Centrę Forward?

– Co takiego? – spytał Chad. – Jezu, jak mogłeś mi to zrobić? Nie mogę uwierzyć, Johnny, że byłeś taki głupi.

– Daj spokój, Chad – powiedział Johnny niemal płaczliwym, dobrze udanym głosem ucznia Eton. – Dostałeś dla swojej partii milion funtów. Wtedy wyglądałeś na zadowolonego.

– Bo byłem. Tylko nie wiedziałem, że Farjon działa obecnie w Hongkongu i część jego kapitału należy do Chińczyków. Mogłeś mi o tym powiedzieć.

– Przepraszam, Chad. Nie pytałeś. Może powinienes. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Do jasnej cholery, tak! Prawo nie zezwala, by firmy zagraniczne finansowały działalność angielskich partii politycznych.

– Nie gadaj!

W głosie kumpla zabrzmiała ironia, a Chad nagle zdał sobie sprawę, że został wrobiony. Poczul ucisk w żołądku.

Clio złożyła podanie o pracę w Royal Bayswater, co wymagało od niej niemało odwagi; wiedziała, że będzie nieszczęśliwa, jeśli nic z tego nie wyjdzie. Poziom jej pewności siebie spadł ostatnio prawie do zera, zwłaszcza że niemal codziennie otrzymywała nowe żądania albo telefony od swojego adwokata lub adwokata Jeremy'ego.

Z drugiej strony wiedziała, że przebywanie z dala od głównego nurtu – czyli dalsza praca w charakterze lekarza pierwszego kontaktu w Guildfordzie – może jeszcze bardziej ją przygnębić.

Naprawdę uwielbiała to, co robiła, ale potrzebowała czegoś więcej. Poza tym chciała wrócić do Londynu.

Dotychczas nie powiedziała o niczym Markowi, ale skorzystała z rady Dziobaka, wzięła kilka dni urlopu i odwiedziła inne szpitale należące do Bayswater. Zaczęła od Highbury, gdzie obiecano jej dzień w ambulatorium. „A jeśli pani dotrze tutaj przed ósmą, będzie mogła uczestniczyć w ciekawym spotkaniu kierownictwa”.

Nie miała pojęcia, jak dotrzeć z Guildfordu do Highbury na ósmą rano.

– Zatrzymaj się w moim domu – zaproponowała Jocasta, gdy tylko usłyszała. – Prawdę mówiąc, na razie stoi pusty, a ja będę zadowolona, jeśli jakoś pomogę ci dostać pracę. Klucze są u najbliższych sąsiadów.

Clio przyjechała wczesnym wieczorem, kiedy chodniki przed kawiarniami i barami Clapham i Battersea wypełniali hałaśliwi młodzi ludzie. Po dziesięciu minutach poczuła się jak u siebie w domu. Dom był wyjątkowo piękny, w każdym pokoju znajdowało się mnóstwo książek, zdjęć i różnych drobiazgów. Ściany zdobiło kilka kolaży zrobionych z fotek z dzieciństwa Jocasty, głównie zdjęć jej i Josha z matką, która wyglądała poważnie jak na swój wiek... i tylko jedno z ojcem, wykonane przypuszczalnie podczas osiemnastych urodzin Jocasty. Ukazywało ono Jocastę z czasów, kiedy się poznały: chudą, opaloną, w czarnej sukni bez ramiączek i z włosami zaczesanymi do góry. Elegancki, wysoki jasnowłosy Ronald Forbes, bardzo podobny do Jocasty – i Josha – miał na sobie smoking, stał blisko córki, ale jej nie dotykał i nie uśmiechał się. Ta fotografia nie została umieszczona w kolażu, lecz włożona w srebrną ramkę. Niezależnie od tego, co mówiła Jocasta, ojciec bardzo, bardzo dużo dla niej znaczył.

Były i inne kolaże: z czasów szkoły, podróży, a nawet jej życia z Nickiem. Ostatnie zdjęcia zostały zrobione w barach i restauracjach, podczas przyjęć i spotkań z przyjaciółmi. Biedny Nick: Clio serdecznie mu współczuła.

Przyniosła ze sobą kilka rzeczy na kolację i właśnie otwierała butelkę wina, kiedy zadzwonił telefon.

– To ty, Jocasto?

– Nie. A kto mówi?

– Czy to ty, Clio? Tak się cieszę, że cię słyszę! Dzwonił Fergus Trehearn.

– Naprawdę? – Boże, chyba głupio gada. – Jocasta wynajęła mi dom na dzień lub dwa, więc przyjechałam do Londynu i...

– Mówi Fergus Trehearn.

– Wiem. To znaczy poznałam cię po głosie.

– Miło mi, że wywarł na tobie aż takie wrażenie. Mam na myśli mój głos. Wiem, że nie powinienem dzwonić do niej do domu, ale powiedziała mi, że wpada od czasu do czasu, a ja nie mogę jej złapać nigdzie indziej. Ma wyłączoną komórkę. Jak się miewasz, Clio?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Jeśli szukasz Jocasty, Fergusie, jest obecnie w Nowym Jorku. Z Gideonem. Zatrzymali się w Carlyle.

– Rozumiem. To jeden z ulubionych hoteli Gideona. Spróbuję tam ją złapać, chociaż to nic pilnego. Chodzi o Kate.

– Świetnie. Mam nadzieję, że się dodzwonisz.

– Dodzwonię się. Liczę na to, że twoje sprawy też ułożą się pomyślnie. Pewnie przyjechałaś na jakąś niesamowicie ważną konferencję.

– Nie – powiedziała Clio. – Mam zamiar odwiedzić... jeden ze szpitali. Złożyłam podanie o pracę w Bayswater i chcę zobaczyć ich placówkę.

– Złożyłaś podanie o pracę? Chcesz pracować w szpitalu?

– Tak. Jako geriatra. W takim charakterze pracowałam tam poprzednio.

– To musi być cudowna praca. Zawsze boli mnie serce na myśl o starych, opuszczonych

ludziach. Opuszczonych, chociaż kiedyś tak dużo dla nas zrobili. Jestem gotów się założyć, że są trochę uprzejmiejsi niż młodszy pacjenci.

– To prawda – przyznała Clio z uśmiechem, zaskoczona jego przenikliwością, i dodała: – Przepraszam, że zawracam ci...

– Nie, wcale nie. Chciałbym kontynuować naszą rozmowę... ale muszę zadzwonić do Jocasty. Szkoda. Do widzenia, Clio. Miło cię było usłyszeć.

– Do widzenia, Fergusie.

Bardzo chciałaby go nie lubić, bo zdecydowanie nie pochwałała tego, co robił. Niestety, nie mogła. Działał na nią jak kieliszek bardzo dobrego wina. Uspokajał. Poprawiał nastrój. Działając pod wpływem impulsu, dodatkowo zachęcona przez zdjęcie, które wisiało na ścianie i przedstawiało ją, Marthę i Jocastę, kiedy wyruszały z plecakami z Heathrow w podróż dookoła świata, postanowiła zadzwonić do Marthy Hartley. Było zaledwie wpół do siódmej, a ponieważ prawniczka w wywiadach często mówiła, że pracuje nawet do północy, istniała szansa, że uda się ją złapać. Clio zatelefonowała do Sayers Wesley. Jakaś dziewczyna o śmiesznym akcencie poinformowała ją, że pani Hartley wyjechała, ale może jej przekazać wiadomość.

– Niestety, muszę panią uprzedzić, że przez kilka najbliższych dni będzie bardzo zajęta, dlatego niczego nie mogę obiecać. Następnego ranka Nick Marshall szedł przez Westminster Bridge, kiedy zadzwonił jego telefon. To Theodore Buchanan.

– Cześć, witaj młody człowieku. Dobry artykuł. Świetna robota.

– Dzięki – powiedział Nick.

Właśnie ukazała się jego krótka notatka o bezrobociu na terenach wiejskich. Nick zacytował kilku parlamentarzystów, którzy wypowiadali się na temat fatalnych skutków zakazu polowań. To była zapłata za opowieść Buchanana o Chadzie Lawrensie.

– Przyszło mi na myśl, że może warto cię poinformować o jeszcze jednym – rzekł Buchanan. – Podczas dzisiejszych wieczornych obrad zamierzam poruszyć sprawę, o której ci mówiłem. Moje wystąpienie przewidziane jest dość późno, dopiero gdzieś koło dziewiątej, bo wcześniej wielu parlamentarzystów chciałoby wyrazić swoją opinię na temat reformy lordów. Posłuchaj, co chcę powiedzieć... Jeszcze tego samego dnia Nick napisał o wystąpieniu Buchanana i przekazał swoją notatkę do redakcji. Oczywiście, wcześniej zadzwonił do Teddy'ego, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście zgłosił ten punkt pod obrady. Theodore Buchanan ponownie go zapewnił, że poruszy tę sprawę.

– Mniej więcej za dwie godziny.

Rozdział Dwudziesty Ósmy

Czasami, sprawdzając swoje emaile, Martha czuła się niemal jak zaszczute zwierzę. Tego ranka zaglądała do nich w swoim apartamencie w Obserwatory. Jak zwykle było ich sporo. Przeważnie sprawy urzędowe, po nich następowała lista osób, które dzwoniły. W większości byli to ludzie spoza firmy, członkowie jakichś komitetów albo organizacji charytatywnych, w których zarządach zasiadała albo w których proponowano jej różne funkcje. Nagle poczuła ucisk serca, widząc dobrze znane imię i nazwisko: Clio Scott. Prosiła, żeby Martha jak najszybciej do niej zadzwoniła. Może udałoby im się umówić na jakieś spotkanie?

Patrząc na ekran, prawniczka miała wrażenie, że mózg rozpada się jej na dwie części. W jednej – uporządkowanej i łatwej do kontrolowania – byli: Mackenzie, Paul Quenell, Sayers Wesley, Jack Kirkland i Centurę Forward. W drugiej zaś błąkała się Clio.

Czego ona chciała? Dlaczego zadzwoniła tak nagle? O co jej może chodzić, co wie, jakie ma zamiary?

Przestań, Martho, panikować. Panika jest niebezpieczna. Co więcej, jest jedyną niebezpieczną rzeczą. Liczy się tylko spokój, spokój i opanowanie: to dzięki nim jesteś bezpieczna. Może Clio chce zaaranżować spotkanie wszystkich trzech. Jocasta wspomniała o takiej możliwości. Tak, to bardzo prawdopodobne.

Bardzo.

Spokój wziął górę nad strachem. Przecież Martha wcale nie musi spotykać się z Clio ani z nią rozmawiać. Po prostu może przekazać jej przez swoją sekretarkę, że jest zbyt zajęta i zadzwoni, gdy będzie miała więcej czasu. Często tak odpowiadała na zaproszenia, których nie miała ochoty przyjąć, i to zawsze działało. Potem w ogóle nie dzwoniła do zapraszających i zazwyczaj oni też już się nie odzywali.

W porządku, Clio można ponownie zesłać na banicję, nie ma potrzeby wpuszczać jej do swojego życia. Zostanie usunięta w elegancki sposób, i po problemie.

Teraz może się wybrać na pół godziny na siłownię, a potem wyruszyć do biura Wesley's na następne nużące, ale łatwe do kontrolowania spotkanie z Donaldem Mackenzie.

Partia ludzi czystych i chińska pralnia...

Chad Lawrence, charyzmatyczny parlamentarzysta, który dzięki swojej miłej powierzchowności i typowemu urokowi ucznia szkół prywatnych stał się ulubieńcem tory sów, zakładając zespół doradców nowej partii, postąpił z nietypową jak na siebie niefrasobliwością. Tak przynajmniej wczoraj wieczorem stwierdził Theodore Buchanan, zabierając głos podczas obrad. Spytał członków parlamentu, czy należy przymknąć oko na fakt, że partia Centurę Forward otrzymywała pieniądze ze źródeł pochodzących z Chińskiej Republiki Ludowej. Czyż nie jest tak, że brytyjskim partiom politycznym nie wolno przyjmować funduszy pochodzących z kapitału zagranicznego? Panie Przewodniczący, czy Komisja Etyki Poselskiej nie powinna w trybie pilnym zająć się tą sprawą?

Po tych słowach Theodore Buchanan usiadł przy głośnych oklaskach i wiwatach.

Gdy zeszłej jesieni stary przyjaciel ze szkolnej ławy (oczywiście z Eton), Jonathan Farquarson, zaproponował nowej partii milion funtów, Lawrence (Północne Ullswater) nie sprawdził źródła owych pieniędzy, a jak się okazuje, fabryka maszyn pana Farquarsona, Far jon, początkowo w całości oparta na brytyjskim kapitale, po bankructwie dwa lata temu została kupiona przez spółkę chińską, która działa na północ od Hongkongu. Niezgodne z prawem jest nie tylko to, że brytyjska partia polityczna przyjęła pieniądze pochodzące z obcego kapitału, trudno również wykluczyć, że Chad Lawrence był naciskany, by przeforsować odpowiednie taryfy celne dla spółki. Niegdyś desygnowany na przyszłego premiera z ramienia torysów, został jednym z założycieli Centru Forward, lewicowo-centrowego odłamu partii konserwatywnej.

Członkowie Centru Forward zapewniają, że mają czyste ręce, trzymają się z daleka od wszelkich afer i układów koleżeńskich. Niestety, pan Lawrence naruszył obie z tych zasad. Na nieszczęście dla reputacji nowej partii zaledwie kilka tygodni temu Eliot Griers, następny czołowy działacz nowej partii (obok Janet Frea, jedynej wysoko notowanej kobiety parlamentarzystki, która zasilila szeregi Centru Forward), dostał się na łamy gazet z powodu niesławnej sprawy Uścisków w Krypcie, w którą zamieszany był on sam i młoda prawniczka z jego okręgu wyborczego.

Jack Kirkland, zasiadający z Chadem Lawrence'em w ławach opozycji, powiedział, że bada tę sprawę, a tymczasem darzy pełnym zaufaniem swojego przyjaciela i parlamentarzystę z Północnego Ullswater.

Nikt nie dał się zwiść.

– Bardzo chciałbym wiedzieć – powiedział Jack Kirkland, podając kieliszek wina Janet Frea – kto, do diabła, przekazał Buchananowi tę informację. Teddy wcale nie należy do najbliższych parlamentarzystów, ktoś musiał mu pomóc. Boże, co za wpadka! Druga w ciągu zaledwie kilku tygodni. Spadliśmy z lśniącego piedestału w najgorsze błoto, w którym tapla się cała reszta. Chyba byłem naiwny, sądząc, że nasza niewielka grupka jest wyjątkowa. Że nie zniżymy się do takiego poziomu.

– Wcale nie jesteś naiwny. Ja też tak myślałam. To bardzo smutna wpadka.

– Nie smutna, Janet, tylko cholernie głupia. Nieodpowiedzialna. – Westchnął. – Podejrzewam, że możemy się już z tego nie otrząsnąć.

– Nie bądź śmieszny, Jack – zaproponowała, a na jej wyrazistej, dość ładnej twarzy odmalowało się współczucie. – Na pewno się otrząśniemy. Jutro ktoś inny coś przeszkobie, pojawi się następna sprawa. Co sądzisz o nowym skandalu Mandelсона? Postawiłabym na niego spore pieniądze.

Z trudem zdobył się na uśmiech.

– Może masz rację. Dzięki Bogu, że jesteś. Nie wypłacasz mi żadnego psikusa, Janet, prawda? Nie przyłapią cię na obmacywaniu się z kimś na galerii dla prasy ani rozdawaniu domów w zamian za głosy, jak panią Porter? Wybuchnęła śmiechem.

– To pierwsze nie spodobałoby się zbytnio Bobowi, a na drugie po prostu mnie nie stać. Czasami wydaje mi się, że powinnam trzymać się swojego pierwotnego zawodu, czyli prawa, i zrobić trochę pieniędzy. Nie, nie martw się, Jack, nie zawiodę cię, obiecuję.

Spojrzał na nią poważnie.

– Wiem. Całkowicie ci ufam. Zawsze uważałem, że kobiety o wiele lepiej spisują się w polityce. Nie zależy im aż tak bardzo na władzy i są większymi idealistkami. Zapomniałem, że byłaś prawniczką. Podobnie jak błogosławiona Margaret. I, oczywiście, młoda Martha.

– Rzeczywiście.

W jej głosie słychać było złość, ale Jack tego nie zauważył.

– Tak, to naprawdę mądra dziewczyna. Uważam, że jest wspaniała.

– Zgadza się. Chociaż zdecydowanie brakuje jej doświadczenia.

– Szybko je zdobędzie.

– Miejmy nadzieję... Zaprosiłam ją na spotkanie z kilkoma innymi paniami. Chcemy porozmawiać o nowej komisji, do której mnie zaproszono.

– To ładnie z twojej strony. Wciągaj ją, gdzie tylko możesz, Janet. Naprawdę uważam, że warto. Choć to może dziwne, widzę w niej naszą przyszłość.

– Bardzo dziwne – przyznała Janet, i tym razem Jack dostrzegł jej kąśliwy ton – zważywszy na to, że ma zaledwie dwumiesięczne doświadczenie.

– Och, Janet, Janet – westchnął, poklepując ją po dłoni. – Nie jesteś zazdrosna, prawda? Ona może być naszą przyszłością, ale ty jesteś terażniejszością. Przez przypadek dotarły do mnie pogłoski, że IDS ma zamiar zrobić Theresę May przewodniczącą toryków.

– Co takiego? Nie wierzę!

– Och, wydaje mi się, że istnieje bardzo duża szansa. Powiedziałbym wręcz, że to byłoby jedno z najmądrzejszych posunięć IDS-a. Oddanie tej funkcji kobiecie. I pomyśleć, Janet, że to mogłabyś być ty.

– Rzeczywiście – powiedziała Janet krótko. Spojrzał na nią.

– Nie przyjąłabyś jej, prawda? Nie chciałabyś współpracować z tymi ludźmi?

– Ależ skąd! – zapewniła.

Po chwili oznajmiła, że ma coś jeszcze do zrobienia, i wyszła. Gdy dotarła do domu, naląła sobie bardzo dużą whisky i zamknęła się w swoim gabinecie. Gdy wszedł tam Bob Frean, jego żona, zaciskając pięści, krążyła niespokojnie tam i z powrotem po pokoju i wściekała się w milczeniu. Z pewnym znużeniem spytał, co się stało.

– Idź do łóżka i daj mi święty spokój! – warknęła. – Nie chcę na ten temat rozmawiać.

Przyszło mu na myśl, że niewiele osób rozpoznałoby w tej rozgorączkowanej istocie spokojną, błyskotliwą superkobietę.

Nie wiedział, że aż tak bardzo jej nie lubi. Zakochał się w niej na uniwersytecie, gdy studiowała prawo. Była błyskotliwą dziewczyną, może nie tyle ładną, co atrakcyjną. Pochlebiali mu, że się nim zainteresowała, a jeszcze bardziej, że najpierw chciała się do niego wprowadzić, a

potem wyjść za niego za mąż. Dopiero po dłuższym czasie uświadomił sobie, że głównie zależało jej na jego pieniądzach – był beneficjentem sporego funduszu powierniczego – ale wtedy było już za późno. Bardzo jej odpowiadał, zarówno pod względem materialnym, jak i praktycznym, gdyż od początku wspierał jej dążenia do zostania drugą panią premier w historii Anglii: płacił jej rachunki, godzinami niańczył dzieci, zajmował się ich wychowaniem, uśmiechał się u jej boku podczas oficjalnych uroczystości i wywiadów.

Niestety, w miarę jak Janet wznosiła się coraz wyżej na politycznym firmamencie, zaczęła traktować męża z coraz większym lekceważeniem; kiedy tylko mogła, całkowicie go ignorowała, nawet jadła sama, twierdząc, że musi przeczytać gazety albo coś zrobić, lub wychodziła, gdy próbował z nią rozmawiać. W końcu przestał ją lubić.

Był mile widziany tylko w jednym miejscu – w sypialni – bo Janet była seksualnie nienasycona, aż za bardzo jak na jego możliwości. Dopiero po dłuższym czasie Bob zdał sobie sprawę, że jego rola sprowadza się do płodzenia dzieci i fizycznego zaspokajania potrzeb żony. Taki model pasował do jej kariery; liczna rodzina była wspaniałym chwytem reklamowym, stanowiła swego rodzaju logo: Janet Frean, matka pięciorga dzieci, Janet Frean, superkobieta, Janet Frean, parlamentarzystka, która pokazuje kobietom, że nie muszą z niczego rezygnować. Już na początku ich związku Bob zauważył, że żona jest fanatyczką, gotową bezwzględnie zniszczyć wszystko, co stanie na jej drodze, i że ów fanatyzm pozwala jej działać nawet pomimo potwornego zmęczenia. Początkowo podziwiał jej ogromny zapał, potem zaczął podchodzić do niego dość nieufnie, aż w końcu uznał, że raczej należałoby się go bać, bo jest w nim coś z szaleństwa. Czasami widywał, jak błada i wyczerpana po późno wieczornej sesji w parlamencie, pomimo wyraźnego zmęczenia na twarzy, napiętych mięśni szyi i białych kostek u rąk, beztrudno rozmawiała przez telefon z którymś z wyborców albo szeregowym członkiem partii. Jej opanowanie wzbudzało podziw, a jednocześnie grozę. Czasami zastanawiał się, kiedy jego żona się załamie; wiedział, że to tylko kwestia czasu, chociaż ani on, ani nikt inny nie mógł nic na to poradzić. Janet musiała dotrzeć do piekła w swój własny sposób. W środę wieczorem Clio z żalem przygotowywała się do opuszczenia domu Jocasty. Miała za sobą trzy cudowne dni. Ranek w szpitalu Highbury okazał się fascynujący: była obecna przy wszystkich wywiadach lekarskich, natknęła się na kilka smutnych przypadków, które przypominały jej Morrisów, podzieliła się swoimi uwagami z lekarzem specjalistą, mówiła z nim na temat organizacyjnych aspektów leczenia ludzi starszych i o swoich frustracjach z powodu ograniczeń, z jakimi mają do czynienia ich opiekunowie. Przyznała mu się, że osobiście odwiedza swoich pacjentów i przygotowuje im dozowniki z lekarstwami. Był pod wrażeniem.

– Widzę, że naprawdę dbasz o swoich pacjentów.

– Tak. W pracy lekarza pierwszego kontaktu najbardziej odpowiada mi to, że można się bezpośrednio zaangażować i coś zrobić.

Podał jej adres jednego z podległych mu domów opieki społecznej, więc pojechała również i tam. Spodobał jej się o wiele bardziej niż Laurels: pacjenci byli zadowoleni, mieli mnóstwo

zajęć, pozwalano im uprawiać własny kawałek ogródka, a popołudniami mogli nawet skorzystać z kuchni i upiec coś dla swoich gości. Zadzwoiła do lekarza z Highbury i podziękowała mu za sugestię.

– Nie ma za co, Clio. Życzę ci dużo szczęścia. Mam nadzieję, że już wkrótce będziemy współpracować. Jeśli dostaniesz pracę w Bayswater, na pewno nieraz się tam pojawisz.

Wizyta w innych szpitalach zafascynowała Clio i... pobudziła ją do działania. Uświadomiła sobie, jak bardzo chce dostać tę pracę. Podczas pobytu w Londynie pochodziła również po sklepach, kupiła sobie nowy kostium i buty na rozmowę kwalifikacyjną, jeśli, oczywiście, zostanie zaproszona. Postanowiła je zmierzyć. Właśnie zapinała żakiet, gdy usłyszała, że ktoś obraca klucz w zamku. Jocasta? Niemożliwe. Byle nie Nick, proszę! Byłaby bardzo zażenowana.

– Halo?! – zawołała z piętra zdenerwowana.

– Kto tu jest? – dobiegł z parteru głos Josha.

– Kto dzwonił? – spytała Martha z niedowierzaniem. – Co jej powiedziałaś?

Zatelefonowała do rodziców, żeby sprawdzić, czy dobrze się czują. Wtedy matka powiedziała jej, że dzwoniła Clio Scott.

– Była bardzo miła – wyznała. – Podobno razem wyruszałyście w podróż dookoła świata.

Jak ona śmiała?! Jak mogła, na litość boską, wdrzeć się w jej najbardziej prywatny świat i zadzwonić do rodziców?! Dlaczego tak uparcie jej szuka, wręcz ją prześladowuje? To okropne. Nie miała prawa.

– Prosiła tylko, żebyś do niej zadzwoniła, kochanie – wyjaśniła matka, wyraźnie zaskoczona reakcją Marthy. – Powiedziała, że bardzo chciałaby się z tobą spotkać. Nie wiem, dlaczego jesteś taka zła. Sprawiała wrażenie bardzo miłej. Przez chwilę rozmawialiśmy o waszej podróży.

– Co takiego? – Martha nagle poczuła, że robi jej się gorąco i zaczyna drzeć od stóp do głów. – Dlaczego, do diabła, rozmawiałaś z nią na ten temat? Co to ma wspólnego z nią? Albo z tobą?

– Martho, kochanie, dobrze się czujesz? Dziwnie ze mną rozmawiasz. Pewnie wszystko przez tę podróż. Musisz być bardzo zmęczona.

– Wcale nie jestem zmęczona – oświadczyła Martha. – Po prostu nie lubię, gdy ludzie mnie dręczą. Podaj mi jej numer, mam, zatelefonuję do niej i powiem, żeby przestała wydzwaniać. Nie ma prawa. Co takiego? Nie, nie będę wobec niej niegrzeczna. Dlaczego miałabym być? Tak, przyjadę do domu w piątek. Wcześniej jeszcze zadzwonię.

Clio robiła Joshowi kawę, gdy odezwała się jej komórka. Jak wyjaśnił z pewnym zażenowaniem, przyszedł poszukać paska, który gdzieś zgubił.

– Byłem ostatnio u Jocasty, więc przyszło mi na myśl, że może go tu zostawiłem. To prezent urodzinowy od Beatrice – mojej żony – a ona wciąż dopytuje, gdzie go mam. Właśnie tędy przechodziłem. Przepraszam, jeśli wpadłem w nieodpowiedniej chwili.

Clio powiedziała, że nic się nie stało, wyjaśniła, że Jocasta na kilka dni oddała jej do dyspozycji swój dom.

– Jest dla mnie taka dobra. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

– Czy jest teraz z Keeble’em?

– Tak.

– Dziwne – wyznał. – Oczywiście, to wesoły facet, ale ona i Nick... dobrali się jak w korcu maku. Co gorsza, rzuciła pracę. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

– Myślę, że Jocasta wie, co robi – powiedziała Clio ostrożnie. – Przynieść ci cukier?

W tym momencie zadzwonił telefon.

– O kurczę! – zawołała, gdy po krótkiej chwili się rozłączyła.

– Właśnie zebrałam coś, co w młodości nazywaliśmy ochranem.

– Tak? Od kogo?

– Od Marthy Hartley. Pamiętasz Marthę?

– Tak – powiedział po chwili milczenia. – Oczywiście. – Potem z pewnym zażenowaniem spojrzął na Clio. – Hm... Clio...

– Nie mów nic, Josh. To były inne czasy. Cieszę się, że spotkaliśmy się po latach.

– Dawne, dobre czasy, nie sądzisz? – spytał z uśmiechem i upił łyk kawy.

– Bardzo dobre. Cudowny przeskok do dorosłego życia.

– Tak czy inaczej, o co Marcie, do diabła, chodziło?

– Próbowałam się z nią skontaktować, bo... bo uznałam, że miło byłoby się spotkać. Najpierw zadzwoniłam do jej sekretarki, a potem do rodziców. Najwyraźniej nie powinnam. Oświadczyła, że nie mam prawa zawracać im głowy ani ich niepokoić, a ona jest zbyt zajęta, żeby w tej chwili się ze mną spotkać. Potem się rozłączyła.

– O rety! Kompletna wariacka. Jej strata, Clio, nie twoja. Wciąż jest czarujący – pomyślała. – Trudno go nie lubić. Przygotowując się do kolacji, Beatrice uznała, że matka miała absolutną rację. Teraz życie wyglądało o wiele lepiej. Na przykład, co by zrobiła tego wieczoru, gdyby opiekunka do dzieci poszła na rozmowę ze swoimi przyszłymi pracodawcami? Trzeba by było wynająć do dzieci inną osobę i dziewczynki na pewno by się zdenerwowały. Tymczasem doskonale czuły się przy Joshu, który niesłychanie je rozpieszcza, ale jednocześnie postępuje jak bardzo dobry, kochający i wyrozumiały ojciec. Taki był od początku, chętnie zmieniał pieluszki, kąpał i bawił.

Od jego powrotu atmosfera w domu znacznie się poprawiła. Oficjalnie zdecydowali się na okres próby – dla obojga, dodała, nie chcąc podkreślać swojej dominacji. Josh bardzo starał się ją zadowolić i pokazać, jak bardzo się cieszy, że pozwoliła mu wrócić. Był taki słodki. Naturalnie, lubił uganiać się za kobietami, ale matka miała rację i pod tym względem – to jeszcze nie koniec świata. Tak przynajmniej Beatrice nauczyła się myśleć. Co więcej, był również hojny, wspaniałomyślny, łagodny z natury, bardzo życzliwy i odpowiedzialny finansowo. Podziwiał Beatrice i był naprawdę dumny z jej sukcesów, tak więc można by powiedzieć, że w obecnej sytuacji bilans jego wad i zalet wypadł zdecydowanie na jego korzyść.

Przyszedł punktualnie, tak jak obiecał. Wbiegł po schodach na piętro, wszedł do ich pokoju i pocałował ją.

– Cześć. Twoja stała opiekunka do dzieci melduje gotowość przejęcia swoich obowiązków. Wyglądasz wspaniale. Beatrice wiedziała, że to nieprawda, bo wcale nie była piękną kobietą, ale miło było usłyszeć komplement. Odwzajemniła pocałunek.

– Dziękuję – powiedziała, potem wstała i bacznie mu się przyjrzała.

Wciąż był przystojny i wciąż ją pociągał. I dobrze. Od jego powrotu jeszcze ze sobą nie spali. Beatrice nie potrafiła się do tego zmusić.

Nagle poczuła, że wszelkie bariery znikają. Uznała wręcz, że to bardzo dobry pomysł.

– Josh – zwróciła się do niego, gdy ruszył w stronę drzwi. – Spróbuj nie zasnąć przed moim powrotem. Chciałabym... chciałabym dziś wieczorem coś ci powiedzieć.

Spojrzeni sobie w oczy. Uśmiechnął się. Wiedział dokładnie, co Beatrice miała na myśli.

– Nie zasnę – obiecał.

– Clio? To ty, Clio? Mówi Jocasta. Jak się miewasz?

– Świetnie. Wracam do pracy. Fantastycznie się czułam w twoim domu. Jaki jest Nowy Jork?

– Cudowny. Naprawdę cudowny. Clio, mam dla ciebie nowinę.

Wielką nowinę. Wzięliśmy ślub. Gideon i ja.

– Wzięliście ślub?! Ale...

– Żadnych „ale”. Po prostu zrobiliśmy to. W Vegas. Tak czy inaczej jestem teraz panią Keeble. Cieszysz się, prawda?

– Cieszę się. Pozdrów ode mnie Gideona. Powiedz mu, że jest szczęściarzem.

– Powiem. Za tydzień wracamy do domu. Będziemy chcieli wydać ogromne przyjęcie. Prawdopodobnie w londyńskim domu Gideona. Jeszcze nie ustaliliśmy dokładnej daty, ale na pewno wkrótce. Zarezerwuj sobie czas, dobrze?

– Zarezerwuję – obiecała Clio. – I... jeszcze raz gratuluję. Pani Keeble. Czyste szaleństwo! – jak powiedziała Jocasta. Ustalono, że przyjęcie odbędzie się dwudziestego drugiego czerwca. Jocasta zmieniła zdanie i uznała, że lepszym miejscem będzie dom w Berkshire.

– Urządzimy sobie sen nocy letniej – powiedziała z rozbawieniem.

– Może nawet nadamy przyjęciu taki właśnie temat przewodni i powiemy wszystkim, żeby przebrali się za duszki i elfy. Gideon powiedział, że jest gotów spełnić każde życzenie Jocasty, ale za nic w świecie nie wystąpi w stroju Oberona.

– Mam brzydkie nogi.

– Moim zdaniem są piękne – zapewniła go Jocasta.

– Nie jesteś obiektywna. Dzięki Bogu.

Lista gości obejmowała już trzysta osób i wciąż się poszerzała, bo Jocasta co chwila przypominała sobie ludzi, których chciała zobaczyć na przyjęciu. Ludzi, z którymi chodziła do szkoły, studiowała, pracowała. Zaprosiła całą redakcję „Sketcha”, łącznie z Nickiem. Wiedziała, że nie będzie chciał przyjść, ale nie mogła go wykluczyć.

Zadzwoiła do niego, powiedziała, jak bardzo jej zależy, żeby się pojawił, i wyjaśniła dlaczego; rozmawiał z nią krótko, podziękował, wytłumaczył, że na ten właśnie weekend

wyjeżdża do rodziców, ale ma nadzieję, iż będzie bardzo szczęśliwa.

Po raz pierwszy od ślubu z Gideonem Jocaście zrobiło się smutno; przypomniała sobie czas spędzony z Nickiem, to, jak świetnie się bawili, jak byli sobie bliscy i jak bardzo nie chciała go zranić. Po odłożeniu telefonu długo płakała. Oficjalne zaproszenia na Keeblefest, jak uparcie nazywał to Gideon, rozesłano w ostatnim tygodniu maja. Do przyjęcia nie zostało zbyt wiele czasu, ale Jocasta zapewniała, że wszyscy tak bardzo będą chcieli przyjść, iż odwołają niemal wszystko, może z wyjątkiem własnego ślubu.

Cruxbury Manor doskonale nadawał się na taką imprezę. Była to gregoriańska rezydencja na niewielkim wzniesieniu. Podobno została zaprojektowana przez Capability Brown. Jocasta zatrudniła organizatorkę przyjęć, Angie Cassell, chudą jak szczapa srebrną blondynkę, dzięki czemu w ciągu kilku dni miała do dyspozycji zaopatrzeniowców, jadłospisy, markizy, zespoły i dyskdzokejów. Zaangażowała również projektanta mody, który ukrywał swoje prawdziwe imię i nazwisko pod inicjałami „MM”, ubierał się na białą, często całował panie w rękę i miał akcent, który mógł rywalizować z akcentem Scarlett O’Hary. Poprosiła go, żeby zastanowił się nad jakimś tematem przewodnim. Od razu odradził sen nocy letniej.

– To lekka przesada – oznajmił. – Wolałbym Gatsby’ego. Wtedy kostiumy byłyby taaakie pochlebne. Nie chce pani chyba, żeby goście krzywili się, oglądając swoje zdjęcia w „Tatlerze”. Zespoły jazzowe, barki, namioty w stylu nielegalnych knajp z czasów prohibicji, uzbrojeni w rewolwery, rwący się do bijatyki gangsterzy i faceci w filcowych kapeluszach, snujący się po terenie całej posiadłości – to naprawdę wspaniały pomysł. Białe garnitury z lat dwudziestych były zdecydowanie bardziej twarzowe niż zwiewne szyfony.

– Może warto byłoby zorganizować uczestnikom przyjęcia krótki, ale prowadzony przez profesjonalistów kurs charlestona – zaproponowała Jocasta – żeby ludzie odważyli się go zatańczyć.

Angie uznała, że to byłaby świetna zabawa, a MM zaklaskał w dłonie i zawołał:

– Fantastycznie!

Gdy Clio otrzymała zaproszenie, poczuła, że ogarnia ją panika. Wiedziała, że wszyscy bogaci, sławni i znający się nawzajem ludzie będą paradować w cudownych kostiumach, a ona nawet nie potrafi dobrze tańczyć. Poza tym kogo ma zabrać ze sobą? Może lepiej się rozchorować? To byłoby najlepsze rozwiązanie. Tak, przyjmie zaproszenie, a potem rano, w dniu przyjęcia, zadzwoni, że ma jakieś problemy z żołądkiem. Zadowolona z siebie, odpisała, że przyjmuje zaproszenie. Następnego dnia zadzwoniła Jocasta i poprosiła, żeby Clio przyjechała dzień wcześniej.

– Wiem, że trudno będzie ci tu dotrzeć i że przez cały dzień będziesz musiała podtrzymywać mnie na duchu. W co masz zamiar się ubrać?

Clio z udaną radością oznajmiła, że chce coś wypożyczyć.

– Nie musisz, mam cudowną krawcową, która będzie szyła coś dla mnie. Chcesz, żeby przygotowała także coś dla ciebie?

– Czy to nie będzie zbyt dużo kosztowało? – spytała Clio, dochodząc do wniosku, że w ten sposób mogłaby się pozbyć jednej z wielkich obaw.

– Nie – zapewniła Jocasta beztrąsko. – Wszystko będzie jednorazowe, więc musi być tanie. Ta sama krawcowa szyje również strój dla Beatrice, więc możemy wziąć wszystko na jeden rachunek, a potem jakoś się rozliczymy.

Clio bardzo chciała jej wierzyć.

Oczywiście, Chad Lawrence też się wybierał. Zaproszona została również cała partia Centre Forward, a przynajmniej jej najważniejsi działacze. Chad wcale nie tęsknił do takiej imprezy. Na razie wszystko wskazywało, że jakoś udało mu się wybrnąć z afery Farjona – przeprosił parlament, że nie zachował ostrożności, i zapewnił, że pieniądze zostaną zwrócone.

Zdawał sobie jednak sprawę, że jego nieskazitelna dotychczas reputacja znacznie ucierpiała.

Jack Kirkland nie znośił przyjęć, ale zadzwonił do Marthy Hartley, by spytać, czy nie wybrałaby się w jego towarzystwie.

Był bardzo zły, kiedy powiedziała, że właśnie na ten weekend wyjeżdża.

– Nigdzie na ten weekend nie wyjeżdżasz, Martho – rzekł kategorycznie. – Idziesz na przyjęcie. Gideon Keeble właśnie dał nam następny milion funtów, żebyśmy mogli wyjść obronną ręką ze sprawy Farjona. To potężny bat. Więc jedziesz, tak samo jak my wszyscy. Mam tylko pytanie: czy wybierzesz się tam ze mną, czy wolisz zabrać ze sobą kogoś innego?

Martha roztrzęsionym głosem zapewniła, że bardzo chętnie wybierze się z nim.

Bob Freał potwornie bał się przyjęcia Gideona. Dotychczas jakoś sobie radził z polityczną karierą Janet, jej chorą ambicją i faktem, że rzadko bywała w domu, ale za nic w świecie nie chciał być w to wszystko wciągany. Od czasu do czasu ustępował, ale tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia; tym razem bronił się, bo przyjęcie było wydarzeniem towarzyskim, czyli czymś, czego nie cierpiał najbardziej.

Janet ostatnio była w niebezpiecznym nastroju: w połowie podniecona, w połowie zamknięta w sobie. Bob doskonale znał ten stan i bardzo się go obawiał. Poza tym znów miała obsesję na czymś punkcie. Prawdę mówiąc, zawsze miała obsesję na czymś punkcie – zazwyczaj był to rywal z partii, przeważnie inna kobieta.

Tym razem Janet aż kipiała nienawiścią do nowej twarzy w Centre Forward, Marthy Hartley, która skupiała na sobie uwagę wszystkich...

Fergus Trehearn bardzo się cieszył, że został zaproszony.

Uwielbiał wspaniałe, wesołe przyjęcia, na których aż roilo się od znanych ludzi i które skupiały na sobie uwagę mediów. Lubił tańczyć, przebierać się i podziwiać uczestniczące w imprezie kobiety.

Fionnuala Keeble, wykazując się mądrością, która znacznie przekraczała jej wiek, odrzuciła zaproszenie. Poinformowała o tym ojca za pomocą SMS-a. Gideon tylko się uśmiechnął. Spodziewano się wielu Irlandczyków, głównie krewnych Keeble'a.

– Cieszę się, że w końcu będą mogli cię poznać – powiedział Gideon, uśmiechając się do

Jocasty.

Odpowiedziała uśmiechem, dochodząc do wniosku, że ilekroć jej mąż mówi o Irlandii, jego cudowny akcent dodatkowo się pogłębia.

Josh nie mógł się doczekać przyjęcia. Oboje z Beatrice uzgodnili, że na razie więcej będą przebywać w domu, pracować nad swoim związkiem, spędzać weekendy z dziewczynkami i odrzucać wszystkie zaproszenia, chyba że będą w jakiś sposób związane z pracą. Oczywiście, warto było zdobyć się na pewne wyrzeczenia, bo myśl o wielkim wydarzeniu towarzyskim sprawiała ogromną przyjemność.

Ronald Forbes długo zastanawiał się nad zaproszeniem na przyjęcie ślubne swojej jedynej córki, potem odpowiedział, że przyjedzie, życzył jej szczęścia, a w prezencie ślubnym załączył czek na okazałą sumkę. Wiedział, że jego gest nie ma żadnego znaczenia, tak samo jak obietnica wzięcia udziału w przyjęciu, na które wcale się nie wybierał. Niezależnie od wszystkiego Jocasta była bardzo zadowolona.

– Nie przypuszczałam, że przyjedzie, naprawdę.

– A jednak – powiedział Gideon, całując ją.

Kilka dni po wysłaniu ogromnej liczby zaproszeń Jocasta wpadła na jeszcze jeden pomysł.

– Chciałabym zaprosić Kate Tarrant – oznajmiła Gideonowi.

– To byłaby dla niej prawdziwa gratka, a może w ten sposób wynagrodzę jej kłopoty, w które ją wpakowałam. Powiem jej, żeby zabrała ze sobą swojego chłopaka i kilkoro przyjaciół. Myślę, że zaproszę również jej rodziców. To ich uspokoi. No i babcię.

– Chcesz zaprosić babcię Kate?! Jocasto, po co, do diabła, zapraszasz na nasze przyjęcie osobę, która jest babcią? Chyba że chcesz, żebym dzięki temu poczuł się znacznie młodziej.

– Gideonie, jestem pewna, że babcia Kate przypadnie ci do gustu. Jest naprawdę wspaniała. Możliwe, że przetańczysz z nią znaczną część nocy.

– Wątpię. A co z Carla? Naprawdę uważasz, że powinni się spotkać?

– Carla nie przyjeżdża. Wybiera się do matki do Mediolanu. Naprawdę, Gideonie, będzie zabawnie, a ja bardzo chciałabym zobaczyć się z Kate.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty

Janet Frean obiecała wprowadzić Marthę, żeby mogła wysłuchać wystąpienia Chada.

– We wtorek po południu. Będzie zabierał głos w sprawie polowań na lisy. To dla nas ważny temat, bo dzięki niemu możemy zdobyć trochę głosów na terenach wiejskich. Może przyjdiesz, posłuchasz, a potem gdzieś się wybierzemy.

– Dobrze. – Pochlebiało jej to. – Chętnie. Dziękuję. Bardzo lubiła Janet: starsza koleżanka we wszystkim ją wspierała, zawsze była przyjacielska, a po spędzeniu wieczoru w jej domu w towarzystwie wielu innych parlamentarzystów, ale bez żadnych rozmów na tematy polityczne, prawniczka poczuła się o wiele bardziej związana z tym środowiskiem.

Chad wygłosił miażdżącą przemowę na temat „rządu z Islington” i tego, że nie rozumie on, co oznaczają polowania na lisy dla mieszkańców terenów wiejskich; wyliczył, ilu ludzi straci pracę, i zauważył, że rozumie to chyba tylko jego partia. Było mnóstwo krzyków i buczenia.

– Zabierz swoich elegancików do Chin i zróbcie wykład Chińczykom na temat polowań! – zawołał jakiś kpiarz. Chad zachował całkowity spokój.

– Prawdopodobnie byliby zadowoleni, bo tam nikt nie słyszał o zazdrości klasowej! – odkrzyknął.

Potem wybrali się na drinka do „Strangers’ Bar”.

– Nie wiem, jak znosisz wszystkie zniewagi – powiedziała Martha.

– Ja bym nie umiała.

– Nauczysz się, kochanie – zapewnił Chad, wciąż naładowany adrenaliną. – Z czasem to staje się nawet zabawne. Chociaż obawiam się, że tym razem jeszcze nie wygramy. Nie ma nadziei. Będą ogromne naciski, żeby ponownie głosować na Tony’ego.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Martha. – Jak to działa?

– Odbywają się negocjacje. Wieczorem w przeddzień głosowania deputowani odpowiedzialni za dyscyplinę partyjną krążą wśród parlamentarzystów i przeprowadzają najdziwniejsze machinacje. Każdego znają osobiście, wiedzą, jakie ma potrzeby. Jeśli oddasz na nas głos – mówią opłacimy twoje rachunki. Jeśli zagłosujesz na nas, sfinansujemy ci bypassy albo wywalczymy u królowej tytuł szlachecki. To wstyd i hańba.

– Rzeczywiście okropne – przyznała Martha.

– Tak wygląda polityka. O, cześć, Jack. Byłeś w parlamencie?

– Nie – odparł Kirkland ponuro. – Właśnie wracam z kwatery głównej. Dostałem wyniki ostatnich sondaży. Są paskudne. W ciągu dwóch miesięcy straciliśmy około dziesięciu procent potencjalnych wyborców. Nie muszę chyba mówić dlaczego. – Zerknął wilkiem na Chada. – Na szczęście było to badanie, które zamówiłem prywatnie. Jesteśmy na czwartym miejscu, nawet za IDS-em. Miałem nadzieję, że jeśli wyniki będą dobre, opublikuję je, a tak muszę zachować je tylko dla siebie. Podanie ich do publicznej wiadomości byłoby czystą katastrofą. Ludzie uważają nas za starych kombinatorów. Co za wstyd! Trudno się z tym pogodzić szeregowym członkom

partii. Morale spada, co znacznie utrudnia im pracę.

– Czy mogę zobaczyć ten sondaż? Może wyniki wcale nie są aż tak złe, jak sądzisz.

– Są przerażające, Janet, ale... skoro chcesz. Tylko, na litość boską, zachowaj je dla siebie.

Ty też rzuć na nie okiem, Chad. Zobacz, jak narozrabiałeś. Boże, to takie przygnębiające!

– Myślę, że wszystko będzie dobrze – powiedziała nieco później Janet do Marthy.

Jadły w „Shepherds” przy Marsham Street.

– Po prostu w tej chwili prześladuje nas pech, to wszystko. Na szczęście ludzie mają krótką pamięć. Następny idiotyzm ze strony IDS-a, kolejna gafa Mandy, i znów nasze notowania pójdą w górę, jakbyśmy obiecywali wyborcom cały świat. Wystarczy jakaś dobra konferencja – chociaż w tej chwili nie stać nas na nic takiego – i wrócimy do łask.

– Czytałam trochę o SDP – oznajmiła Martha. – Swoją pierwszą konferencję zorganizowali w pociągu. Członkowie partii wyjechali do wyborców. Uważam, że to było inteligentne posunięcie.

Janet spojrzała na nią z zamyśleniem.

– Taak, ale nie możemy ich naśladować. Ludzie powiedzieliby, że brak nam własnych pomysłów.

– Rozumiem – rzekła Martha pokornie.

– Nie bierz tego do siebie. Wiesz, serdecznie ci współczuję. Pewnie masz niemałe problemy z łączeniem bardzo ciężkiej pracy z weekendowymi obowiązkami kandydatki. Wyobrażam sobie, ile wysiłku muszą kosztować cię porady dla wyborców. Tymczasem nie masz nikogo, komu mogłabyś się zwierzyć, z kim mogłabyś porozmawiać. A może masz kogoś takiego?

– Nie... nie w takim sensie, jak myślisz – wyznała Martha ostrożnie.

– Wiem coś o presji. Jest bardzo, bardzo trudna do zniesienia, zwłaszcza dla kobiety. Świat polityki nie jest stworzony z myślą o nas. Prawdę mówiąc, to męski klub. Więc... gdybyś miała jakiegokolwiek problemy, zawsze możesz się do mnie zwrócić. Sama kilkakrotnie przeżywałam ciężkie chwile, a ty na pewno wkrótce się przekonasz, że przydałby ci się jakiś powiernik – ktoś, kto wie, jak wygląda życie pod ciągłą presją.

– Hmm... dziękuję – powiedziała Martha niezręcznie.

– Nie dziękuj. To wspaniale mieć sprzymierzeńca, kobietę sprzymierzeńca. Przynajmniej potencjalnie. Musimy trzymać się razem.

Następnego dnia rano Janet poszła do biura Jacka, żeby zobaczyć wyniki sondaży. Były naprawdę przygnębiające. Zrozumiała, co miał na myśli.

– Wygląda na to, że roztrwoniliśmy wszystko. Cholerny Chad!

– To nie jest tylko jego wina – zauważyła.

– Naprawdę? A czy a jeszcze?

– Eliota – przypomniała, potem wybuchnęła śmiechem. – Przepraszam, Jack, to wcale nie jest zabawne.

– Wcale, ale masz rację, obaj zawalili. Boże! Co my mamy teraz robić?

– Kontynuować ciężką pracę – powiedziała. – Posłuchaj, trochę się nad tym zastanawiałam. Uważam, że powinniśmy zorganizować konferencję.

– Wiem, ale nas na to nie stać.

– Nie taką standardową. Pamiętasz, co zrobiła SDP?

– Oczywiście. Pociąg.

– To był wspaniały pomysł i doskonała autoreklama. Uważam, że moglibyśmy pójść w ich ślady.

– Byłoby wspaniale, Janet – przyznał – ale już i tak zbyt często nam wytykają, że ich naśladujemy.

– Wiem, dlatego możemy zrobić z tego cnotę. Wyjść z rękami uniesionymi do góry i powiedzieć: owszem, wiemy, że to nie nasz pomysł, ale jesteśmy wystarczająco mocni, aby się do tego przyznać. W taki sposób zapewnilibyśmy sobie doskonałą reklamę i na coś takiego możemy sobie pozwolić. Pomyśl nad tym.

– Pomyślę – obiecał.

– Albo możemy też nieco zmienić ich pomysł. Nazwać całą kampanię drogowym show, wykorzystać pomysł z pociągiem, ale wysiadać z niego we wszystkich większych miastach, połączyć się z naszymi ludźmi w terenie, prasą, pracownikami okręgów wyborczych, i tak dalej. Tylko że to niewiele różniłoby się od tradycyjnych autobusów wyborczych. Poza tym, Jack, my wszyscy pamiętamy takie rzeczy, ale wyborcy nie. Idę o zakład, że nawet jedna osoba na sto nie będzie wiedziała, iż dokładnie tak samo postąpili członkowie SDR – Zastanowię się nad tym. Dziękuję. A wracając do sondażu... on nigdy nie istniał.

– Nigdy.

Uśmiechnął się do niej blado.

– Dobrze, że przynajmniej tobie mogę zaufać, Janet.

– Rzeczywiście możesz – zapewniła.

Nicholas Marshall często na piechotę pokonywał trasę z Hampstead do Saint John's Wood, a dopiero potem wsiadał do metra. Albo wysiadał na Baker Street i spacerkiem szedł do gmachu parlamentu. Dzięki temu mógł zobaczyć prawdziwy Londyn – widywał wtedy rzeczy, których nigdy nie dostrzegłby nawet z taksówki, a tym bardziej z metra. Na przykład w piątek, idąc około trzeciej z Grosvenor Square w stronę Carlos Place, zobaczył, jak Janet Frean wychodzi z Connaught i wsiada do taksówki. Chwilę po niej Michael Fitzroy, parlamentarzysta torysów z zachodniego Birmingham, przywołał następną. Kto by pomyślał? Janet była bardzo zagadkowa. Wciąż mówiła o ogromnej roli rodziny i pracowała na swój wizerunek superkobiety, tymczasem wyraźnie temu zaprzeczała, spotykając się w drogim hotelu w porze lunchu z obcym mężczyzną. To by oznaczało, że wcale nie jest taka uczciwa, jak mogłoby się wydawać. Nick doszedł do wniosku, że chętnie by się z nią trochę podrażnił, gdyby zaczął się naprawdę nudzić. Chociaż ostatnio rzeczywiście się nudził. Nudził się i był samotny.

Nick miał rację, uważając, że Janet to tajemnicza postać, ale mylił się w ocenie sytuacji.

Michael Fitzroy zaraz po dotarciu do gmachu parlamentu zadzwonił do redaktora politycznego „Daily News” i powiedział mu, że ma dla niego ciekawą informację. Kiedy mogliby się spotkać? Chodzi o partię Centre Forward i wyniki pewnych sondaży. Ed nie chciał odejść. Bez końca wydzwaniał do Marthy i pisał maile. Pierwszego dnia po jej powrocie czekał przy recepcji w Wesley. Był cierpliwy, rozsądny i spokojny; nie utrudniał jej życia; powiedział, że nie ma zamiaru jej dręczyć ani prześladować, po prostu chce wiedzieć, czy u niej wszystko w porządku.

Codziennie dzwonił do niej na komórkę albo do domu i zaskakująco radosnym, spokojnym głosem pytał, jak się miewa.

Odpowiadała, że dobrze, że wszystko jest w porządku, tylko Ed musi o niej zapomnieć. Powtarzał, że tego nie zrobi, póki nie będzie wiedział dlaczego. Był naprawdę bardzo miły, ale niestety, sprawiał jej większy ból, niż przypuszczała.

Tęskniła za nim, okropnie.

Jakoś jednak udawało jej się przeżyć. Wyglądało na to, że wszystko jest w idealnym porządku. Puste, nijakie życie bez seksu stanowiło niską cenę za możliwość przetrwania.

– Jak ci się podoba?

Kate weszła do salonu, w którym czekał na nią Nat. Miała na sobie króciutką, srebrną, ozdobioną cekinami sukienkę bez pleców i srebrną szyfonową szarfę nieco poniżej talii. Na długie nogi wciągnęła białe rajstopy, a na stopy srebrne sandaiki na wysokich obcasach, z paskiem w przyszwie. Włosy splotła w luźny warkocz, który przerzuciła przez prawe ramię, jej czoło zdobiła srebrna opaska, a całości dopełniały duże, błyszczące kolczyki i bransoletka w kształcie węża powyżej łokcia. Mocno pomalowała duże ciemne oczy, przykleiła nawet długie sztuczne rzęsy, a wargi stanowiły czerwoną plamę na tle białej twarzy. Z jednego jej ramienia zwisała długa, biała futrzana etola. Po pytaniu dziewczyny zapadła chwila ciszy.

– Wyglądasz ładnie... naprawdę ładnie – powiedział w końcu Nat.

– Daj spokój! Poświęciłam na to trzy godziny. Musisz bardziej się postarać.

– No dobrze. Wyglądasz wspaniale.

– Tak już lepiej. Ty sam też całkiem nieźle się prezentujesz.

– Naprawdę? – spytał z obawą. – Nie wyglądam jak ostatni kretyń?

– Ani trochę. Nosileś już wcześniej te łachy?

– Ależ skąd! Dopiero je kupiłem. Co ja bym robił ze smokingiem? Po chwili zastanowienia Kate doszła do wniosku, że rzeczywiście smokiny nie był Natowi dotychczas potrzebny.

– Dobrze ci w nim. Wyglądasz naprawdę... naprawdę seksownie.

– Taak?

Przejrzał się w niewielkim owalnym lustrze nad kominkiem.

– Skąd masz tę kieckę, Kate? Jest bardzo ładna.

– Ze sklepu ze szpanerskimi szmatami. Fergus mnie tam zabrał.

– Tak? A czy również on zajął się twoimi włosami?

– Nie bądź głupi, Nat. Fergus nie jest fryzjerem. Warkocz to dzieło babci.

– Naprawdę? Twoja babcia jest w porządku. Ona też się wybiera?

– Oczywiście. Jedzie drugim samochodem, z mamą, tatą i jakimś facetem, którego nazywa swoim chłopakiem. Jest bardzo podekscytowana, ale mama i tata niechętnie jadą – dodała. – Tata jest naprawdę w oplakany stanie.

– Poradzi sobie – zapewnił Nat. – Może trzymać się mnie. Kate tylko Fergusowi i jego sile przekonywania zawdzięczała możliwość uczestniczenia w przyjęciu Jocasty. Rodzice byli kompletnie przerażeni, gdy dostali zaproszenia: jedno dla Kate i jej partnera, drugie dla państwa Tarrantów. Jim kazał Helen wyrzucić wszystko do kosza i oświadczył, że Kate pojedzie tam po jego trupie, a jego samego nie zaciągnie nawet szóstką koni.

– W takim razie będziesz musiał umrzeć – oświadczyła Kate spokojnie – boja się wybieram. Za nic w świecie nie przepuszczę takiej okazji.

Wobec tego wybrali się wszyscy. Helen uznała, że dziewczyna nie może tam udać się sama z Natem, Sarah i Bernie, nie chciała również prosić Fergusa o opiekę nad nastolatką, bo byłaby to już przesada. Z drugiej strony Jim nie miał zamiaru powierzyć teściowej opieki nad córką.

– Nim noc dobiegnie końca, Jilly sprzeda Kate jako białą niewolnicę – zadrwił.

Im mniej czasu pozostawało do przyjęcia, tym bardziej Helen nie mogła się go doczekać. Fergus pomógł jej wypożyczyć kostium – bardzo ładną srebrną sukienkę, a Jilly zaproponowała, żeby matka Kate ściągnęła włosy z tyłu w luźny kok, założyła długie, błyszczące kolczyki i przez cały czas nosiła długą cygarniczkę.

Jilly była niesamowicie podniecona, przymierzała i odrzucała sukienkę po sukience, bez końca rozmawiała z Laurą z „Hair and Now” w Guildfordzie na temat fryzury, przeglądała stare wydania „Vogue” i ćwiczyła w salonie charlestona. Oczywiście zaproszenie obejmowało „panią Jillian Bradford i osobę towarzyszącą”, więc długo się zastanawiała, kogo ze sobą zabrać. W końcu wybór padł na Martina Bruce’a, który był drużbą na jej ślubie i niedawno owdowiał.

Kate zaprosiła Sarah i Bernie oraz dwóch najporządniej szych chłopców, którzy kręcili się przy obu dziewczynach. Wszyscy czworo początkowo udawali, że właściwie jest im to całkowicie obojętne, potem jednak, gdy w kronikach towarzyskich zaczęto poświęcać coraz więcej miejsca zbliżającemu się przyjęciu, poddali się i przestali ukrywać podniecenie. Swoje zrobiły też plotki, że zespół „Westlife” ma tam robić jakiś spot. Wprawdzie „Westlife” jest... jak by to powiedzieć... trochę do chrzanu, no, ale w końcu to „Westlife”, na litość boską. Gwiazdy z krwi i kości. I miały tańczyć. To wcale nie było takie złe. Gdy pierwsze samochody zaczęły podjeżdżać pod dom, Clio wciąż zmagala się z włosami. Miała zamiar uciec; teraz Jocasta nawet nie zauważyła nieobecności przyjaciółki – właśnie niesłychanie podekscytowana stała na schodach domu i witała, całowała, śmiała się, ścisnęła. W końcu zrobiłam, co do mnie należało – pomyślała Clio – uspokajałam przyjaciółkę przez cały dzień i tylko od czasu do czasu robiłam sobie spacer po terenie posiadłości, podziwiając, co można osiągnąć dzięki wyobraźni połączonej z pieniędzmi. Jay Gatsby byłby bardzo zadowolony. Na tyłach domu stały ogromne markizy, nad nimi, między drzewami, porozwieszano latarenki, z jednej strony na podium występował zespół

jazzowy, z drugiej – pianista w białym fraku i białej muszce grał na okazałym białym fortepianie. Na tarasie sensację wzbudzała fontanna wykonana z ogromnych kieliszków na szampana, a obok stała duma i radość Gideona, czarno-srebrny chevrolet z lat dwudziestych. Fotograf pstrykał zdjęcia wszystkim gościom, którzy mieli ochotę przez chwilę mu pozować. Było kilka barów z koktajlami, przy każdym stał barman, a błyszczący czarnobiały napis w stylu deco mówił, że to „Kasyno”. Ustawiony obok znak zapraszał do kina. Dziewczęta w długich białych sukniach z krepki spacerowały z chartami syberyjskimi na smyczy („Prawdę mówiąc, to już nie Gatsby, lecz lata trzydzieste, ale kto by się tym przejmował” – powiedziała Jocasta do Clio), tace z drinkami roznosili „ludzie Ala Capone”, czyli mężczyźni w odpowiednich garniturach i kapeluszach z opuszczoną jedną połową ronda, papierosy i zapalki oferowały kochanki gangsterów ze zbyt krzykliwym makijażem i za bardzo poskręcanymi włosami. Po kolacji, a przed rozpoczęciem tańców, przewidziano poszukiwanie skarbów – ogromne szaleństwo lat dwudziestych. Był idealny wieczór, ciepły, ale nie gorący, goście mieli nad głowami rozgwieżdżone niebo i jasny różek księżycy. Oczywiście Clio poznała Gideona. I oczywiście była nim oczarowana. Czuła, że sama też mogłaby się w nim zakochać. Gdy jednak obserwowała go przez dwadzieścia cztery godziny – patrząc, jak długim krokiem przemierza dom z komórką przyklejoną do ucha, wystukuje coś na swoim palmtopie, często przywołuje sekretarkę, którą ściągnął na ten dzień do rezydencji, radzi sobie z mniejszymi i większymi problemami, odbiera telefony, podpisuje faksy, czyta emaile – zastanawiała się, czy Jocasta rzeczywiście potrzebuje męża pracoholika. Istniała spora szansa, że po kilku pierwszych miesiącach młoda żona stanie się jeszcze jednym elementem imperium bilionera, następnym olśniewającym nabytkiem, którym można się pochwalić i który można podziwiać, natomiast przestanie być obiektem jego uwagi. Clio martwiła się o Jocastę. Przyjęcie miało się zacząć lada chwila, a Clio była przerażona jak nigdy w życiu. Krawcowa wspaniale się spisała, uszyła długą do kostek sukienkę z jasnoniebieskiego szyfonu. Uzupełnieniem kreacji były długie sznury pereł i idealnie dopasowana do obranego okresu fryzura. Włosy Clio same układały się w piękne fale, a z dala od twarzy utrzymywały je brylantowe spinki. Niestety, nastrój lekarki nie pasował do kreacji. Przerażona, opadła na łóżko. Z kim będzie rozmawiać? Przecież, do diabła, nikogo tu nie zna! Boże, nie może tego zrobić, po prostu nie może!

Nagle wpadła na wspaniały pomysł. Wymknie się po cichutku i na pewno nikomu nie będzie jej brakowało. Najmniej Jocaście. Clio postanowiła, że gdy tylko znajdzie się na drodze prowadzącej do domu, wezwie taksówkę. Nie przewidywała żadnych trudności. Zadowolona z siebie, uśmiechnęła się do lustra. Postanowiła pozostać w swoim stroju – na wypadek gdyby spotkała na schodach Jocastę czy kogoś innego – zabrała torebkę oraz wypożyczoną etolę z lisa i ostrożnie otworzyła drzwi. Korytarz był pusty. Dotarła niemal do schodów, kiedy usłyszała swoje imię.

– Cześć, Clio! Tak się cieszę, że cię widzę.

To był Fergus. Uśmiechał się do niej. Cudownie wyglądał w białym fraku i muszce. Podszedł

do lekarki i pocałował ją w rękę.

– Wspaniale wyglądasz. Jak prawdziwa femme fatale z lat dwudziestych! Mam szczęście, że złapałem cię sam na sam. Uśmiechnęła się do niego blado i zaczęła się zastanawiać, co zrobić.

– Nie przespacerowałabyś się ze mną? Chciałbym obejrzeć cały teren, a jak wszyscy się pojawiają, trudno będzie się rozejrzeć.

– Hmm... nie...

Bardzo ją kusilo. Fergus był taki miły, czarujący i zabawny. Przy nim nieźle może się bawić na przyjęciu, nawet spędzić przyjemnie czas, a kiedy przyjaciel Jocasty i Gideona znajdzie sobie lepszą towarzyszkę, co jest nieuchronne, zawsze wystarczy czasu, żeby salwować się ucieczką.

– Chyba że – powiedział – gdzieś czeka na ciebie jakiś amant? Przypuszczam, że tak.

– Nie mam żadnego amanta, Fergusie – odparła ze śmiechem – więc bardzo chętnie się z tobą przespaceruję. Dotychczas siedziałam w swoim pokoju przerażona.

– Jesteś śmieszna, Clio. Czego się tak bałaś? Będzie wspaniale, zobaczysz. Wiedziałaś, że przy kolacji siedzimy przy tym samym stoliku? Ze starym Johnnym Hadleyem, redaktorem kroniki towarzyskiej ze „Sketcha”. To najzabawniejszy człowiek na świecie, co więcej, zna mnóstwo sprośnych historyjek. Będziemy się świetnie bawić. Chodź, kochanie, zrobmy sobie wycieczkę. A teraz powiedz mi: dostałaś tę pracę w szpitalu?

– Wielkie nieba – westchnęła Jilly – to jest niezmiernie. Tylko spójrzcie na światła... Och, dziękuję bardzo – powiedziała do kierowcy. – Martinie, kochanie, przytrzymaj na chwilę moją etolę, dobrze?... A ta fontanna jest naprawdę cudowna... Witaj, Jocasto! Mój Boże, co za sukienka!

Jocasta stała z Gideonem na stopniach domu. Miała na sobie kreację, która stanowiła dokładną kopię sukienki Chanel z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego. Została uszyta z szyfonu, sięgała do kostek, była jaśniuteńko szara w nieco ciemniejszy wzorek przypominający pajęczynę, a jej obrębek przypominał płatki kwiatów. Gdy młoda kobieta unosiła rękę, rozkładały się skrzydła z tegoż samego zwiewnego materiału i opadały od jej palców. Wyglądała jak gwiazda jakiejś egzotycznej rewii – olśniewająca, piękna gwiazda.

– Jilly, tak się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz młodziej niż kiedykolwiek. Chciałabym ci przedstawić swojego męża, Gideona Keeble’a. Dużo mu o tobie mówiłam. Witajcie, Helen i Jimie, cieszę się, że jesteście. Kate, kochanie, daj mi buziaka. Mój Boże, wyglądasz cudownie! A kim jest ten niesamowicie przystojny facet, który dotrzymuje ci towarzystwa?

– Nat Tucker – przedstawił się Nat, wyciągając rękę. – Miło mi panią poznać. Ładnie tutaj – dodał. – Naprawdę ładnie.

– Nam też się podoba – rzekła Jocasta. – Dziękuję. Później was złapię, teraz jestem trochę zajęta... Idźcie tędy, tam już się wami zajmą.

– Jest bardzo ładna – przyznał Nat, biorąc kieliszek szampana i prowadząc Kate pod łukiem z kwiatów obok domu i dalej, do krainy cudów.

– Prawda? I miła – dodała dziewczyna.

Sącząc ze swojego kieliszka, zdała sobie sprawę, że przygląda jej się mnóstwo ludzi.

– O mój Boże, Sarah, spójrz, tu jest jeden koktajl bar, tam drugi. Będzie naprawdę super! Zobaczymy, co jeszcze wymyślili.

– Kate!... – zawołała Helen słabym głosem, gdy szóstka nastolatków zniknęła w rozjaśnionym przez latarenki półmroku.

– Uważam, że powinniśmy zrobić dokładnie to samo – oświadczyła Jilly. – Po prostu się rozejrzeć. O mój Boże, kasyno i... własnym oczom nie wierzę, nawet kino! Zobaczymy, co w nim grają!

– Naprawdę pomyśleli o wszystkim, nie sądzisz? – powiedział Jack Kirkland do Marthy.

Uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście. Jest naprawdę ładnie.

Na razie świetnie się bawiła. Jack był cudownym towarzyszem, uprzejmym i troskliwym, przedstawiał ją wszystkim jako jedną z najjaśniejszych gwiazd partii Centré Forward.

Janet Frean, ciepła i przyjacielska, ku zaskoczeniu wszystkich włożyła frak i przy lizała do tyłu kasztanowe włosy.

– Prawdę mówiąc, nie lubię sukienek – wyznała. Obok Marthy siedział Chris Pollock, redaktor naczelny „Sketcha”, człowiek, którego bardzo polubiła na lunchu wydanym przez Centré Forward.

Pod koniec posiłku Gideon wstał. Uśmiechnął się do wszystkich, uniesieniem ręki poprosił o ciszę i wziął mikrofon.

– Wygląda cudownie, prawda? – szepnęła Beatrice do Josha. – Jest naprawdę niesamowicie przystojny.

Gideon nie zgodził się na włożenie kostiumu. Wyjaśnił, że ludzie w jego wieku i o jego wymiarach nie powinni wprawiać innych w zakłopotanie. Jedyne ustępstwem był kołnierzyk koszuli frakowej.

– Obiecałem Jocaście, że nie będzie żadnych mów, ale koniecznie muszę powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, serdecznie dziękuję wszystkim za przybycie. To cudowna noc... przynajmniej na razie. Podobno jest jeszcze bardzo młoda godzina. Ponieważ sam nie jestem już młody, mam nadzieję, że jeszcze trochę wytrwam. Po drugie, chcę wam jeszcze powiedzieć, przyjaciele, że bardzo kocham Jocastę i że dała mi wiele szczęścia.

Ujął jej dłoń. Między nimi rozwinęło się szyfonowe skrzydło.

– Nie wiem, czym sobie na nią zasłużyłem, ale mam nadzieję, że ja w rewanżu również zdołam ją choć trochę uszczęśliwić.

Po policzkach Jocasty popłynęły łzy. Gideon pochylił się i delikatnie otarł je palcem.

– Taka właśnie jest – zażartował. – Cholernie przewidywalna. Rozległ się śmiech. Kiedy ucichł, Gideon znów zabrał głos.

– Następnym punktem programu jest poszukiwanie skarbu. Każdy stolik ma listę wskazówek. Wygrywa ten, kto wróci pierwszy. Będę cierpliwie czekał. Życzę szczęścia.

– Mam zamiar odwiedzić Tarrantów przy ich stoliku – szepnął Fergus Clio na ucho. – Ale zaraz wracam, obiecuję. Nie wyruszaj na poszukiwanie skarbów beze mnie.

– Nie wyruszę – powiedziała ze śmiechem, a potem odwróciła się do Johnny’ego Hadleya.

Właśnie opowiadał następną pieprzną historyjkę o Charlesie i Camilli. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście: udało mu się spotkać piękną kobietę, która nigdy nie słyszała powszechnie znanych plotek i zamiast drwić z niego, jak robiły to dziennikarki, przy każdej opowieści patrzyła na niego coraz większymi oczami.

Clio zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie tak dawno temu chciała uciec z przyjęcia. Doskonale się bawiła. Jak się okazało, Fergus był nie tylko czarujący i zabawny, ale jakimś cudem sprawiał, że człowiek czuł się przy nim podobnie. Chyba po raz pierwszy w życiu lekarce udało się kogoś rozśmieszyć. Chociaż od czasu do czasu zniknął, żeby porozmawiać z kimś bardzo znanym i wpływowym, za każdym razem do niej wracał. Chciałaby tylko, żeby inaczej zarabiał na życie... a potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego to dla niej takie ważne.

– Toty, Martho?

– Tak. Cześć, Josh.

– Witaj. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Ja też.

– Kto by pomyślał, że wszyscy spotkamy się ponownie na takim jublu?

– Kto by pomyślał?

– Co teraz robisz? Jesteś prawniczką?

– Tak. I stawiam pierwsze kroki w polityce. A ty?

– Pracuję w firmie rodzinnej. Wyszłaś za mąż?

– Nie. A ty?

– Jestem żonaty. Mam dwoje dzieci. Dwie dziewczynki. Kochane maleństwa.

– Twoja żona też tu jest?

– Tak. Gdzieś w tym tłumie. Minęło tyle lat, prawda?

– Tak, ale to było inne życie... Muszę wracać do swojego stolika. Cieszę się, że cię spotkałam, Josh.

– Ja też się cieszę. Ładna sukienka – dodał.

– Dziękuję.

Wszystko było w porządku. Żadnych trudnych pytań. Wciąż całkiem nieźle wyglądał, choć nieco przytył i ubyło mu trochę włosów, nadal jednak widać w nim ślady dawnego cudownego chłopca.

Tak, jest świetnie, nie ma powodów do żartów.

– Kim jest ten śliczny chłoptaş?

To Bob Frean. Jak się okazało, Janet dość entuzjastycznie poszukiwała skarbu i od dawna jej nie było.

– Och, to brat Jocasty, Josh – odparła niechętnie.

– Nie wiedziałem, że tak dobrze ich znasz.

– Wcale nie... Spotkałam ich w młodości.

Martha poczuła, że ogarnia ją panika. Wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się blado.

– Może wybralibyśmy się do kasyna? Albo na tańce?

– Chętnie poszłabym do kasyna.

Już dawno temu się przekonała, że kiedy czuje się tak jak teraz, najlepszym rozwiązaniem jest ruch.

– W takim razie chodźmy.

Wziął ją za rękę i podniósł z krzesła.

– Zabierzesz ze sobą drinka?

– Nie, nie. Jesteś pewien, że Janet nie będzie cię szukać?

– Byłoby to coś nowego – powiedział i uśmiechnął się... o ułamek sekundy za późno.

No proszę – pomyślała Martha – to znaczy, że wcale nie są idealną parą.

Wolno oddalili się od stolika. Martha już czuła się lepiej.

– Tu jesteś, Clio! Wszędzie cię szukałem. Chodź, nocne kluby czekają.

Kiedy wracała z toalety, Fergus w dużym skupieniu słuchał Jocasty. Prawdopodobnie prosiła go, żeby przez cały wieczór miał Clio na oku. Lekarka nagle straciła pewność siebie.

– Fergusie, jestem pewna, że masz podczas przyjęcia dużo spraw do załatwienia – rzekła, starając się zachować spokój.

– Nie mam. Chodźmy zatańczyć.

– Wcale nie musisz tego robić.

– Posłuchaj, Clio. Musisz pokonać swój śmieszny kompleks niższości. Jesteś bardzo atrakcyjną i seksowną kobietą. Do tego miłą i interesującą. Każdy z przyjemnością by z tobą zatańczył albo porozmawiał. Podczas kolacji obserwowałem, jak Johnny Hadley ślinił się na myśl o tobie. Co więcej, widziałem cię w szkółce charlestone. Byłaś najlepsza, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Może udzielisz mi kilku wskazówek.

– Hm...

– Przestań się wahać – namawiał – bo inaczej naprawdę pójdę poszukać kogoś, z kim mam jakąś sprawę do załatwienia. Tyle że wcale nie chcę tego robić. Jak mam ci to wpakować do twojej niezwykle pięknej, ale raczej nie dość bystrej główki? Wyciągnął rękę. Clio ujęła ją i potulnie poszła za nim do nocnego klubu.

– Tu jest naprawdę super.

Kate była niezwykle podekscytowana, pijana nie tylko szampanem, ale również hałasem, muzyką i świadomością, że wiele osób spogląda na nią, podziwiają ją i pokazuje palcami.

– Podoba ci się, Nat?

– Jasne. Tylko szkoda, że puszczają takie kawałki.

– W końcu jesteśmy na przyjęciu dla wapniaków, nie sądzisz?

Czego się spodziewałeś? Zresztą i tak jest wspaniale. Chodź zatańczyć. Idziesz, Bernie?

– Nie, nie w tej chwili. Cał kiepsko się czuje.

– Gdzie on jest?

Bernie wskazała na krzaki.

– Zaproponowałam, że pójdę z nim i przytrzymam mu głowę, ale powiedział, że bym zostawiła go w świętym spokoju. O, właśnie idzie. Dobrze się czujesz, Cal?

– Taak, świetnie. – Był zielony na twarzy. Z trudem usiadł. – Chętnie napiłbym się trochę wody. Hm... może za chwilę. Z powrotem zniknął w krzakach.

– Witaj, moja była najlepsza dziennikarko! Jak odpowiada ci życie małżeńskie? Czy jest naprawdę lepsze niż praca w „Sketchu”?

Chris Pollock zaprosił Jocastę do tańca. Szli w stronę dyskoteki.

– Jest cudowne – odparła Jocasta. – Naprawdę.

– Nie tęsknisz za redakcją?

– Ani trochę. Szczerze.

Po chwili zatrzymała się i spojrzała na swojego byłego szefa. Nagle zdała sobie sprawę, że jednak tęskni, i to bardzo, że brakuje jej podniecenia, ciągłego poszukiwania nowych tematów, chwil absurdalnej paniki, beztroskich rozmów podczas porannych odpraw, niespokojnego rytmu dnia typowego dla każdej redakcji dziennika i wzrastającego pod wieczór napięcia. Brakuje jej plotek, głupich pogłosek, rywalizacji i zabawy.

– No cóż... może trochę – przyznała po chwili.

– Zastanów się. Nick za tobą tęskni. To widać. Ma złamane serce.

– Hm... – mruknęła Jocasta. – Może gdyby tak bardzo nie unikał podejmowania choćby najmniejszych zobowiązań, nie miałby złamanego serca.

– Czyżbyś twierdziła – podchwycił Chris ze złośliwym błyskiem w oku – że wyszłaś za Gideona, bo Nick cię nie chciał?

– Nie. Nie wkładaj w moje usta tego, czego nie powiedziałam.

– Przepraszam, kochanie. Tylko się z tobą drażnię. Wiem, co to miłość.

– Ty? Daj spokój!

– Oczywiście. Nie ma bardziej sentymentalnego człowieka niż redaktor naczelny gazety. Powinnaś o tym wiedzieć.

– To ty, Martho? Tak się cieszę!

Przed prawniczką stała niska, smukła dziewczyna, trzymająca za rękę przystojnego mężczyznę o krótkich, szpakowatych włosach.

– Jestem Clio. Miałam nadzieję, że się spotkamy. Martha nigdy by jej nie poznała: okrągłutka, nieśmiała Clio przeobraziła się w ładną, promienną kobietę z brylantami we włosach. Prawniczka z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Tak, tak, to ja. Witaj, Clio. Zastanawiałam się... zastanawiałam się, czy tu będziesz. Przedstawiam ci Boba Freana. Bob, to Clio Scott. Znałyśmy się, gdy... gdy byłyśmy o wiele młodsze.

– Podróżowaliśmy razem – uściśliła Clio, uśmiechając się do Boba. – Podczas podróży, którą obecnie nazywa się roczną przerwą. Jestem pod wrażeniem wszystkiego, co o tobie przeczytałam, Martho. Zwłaszcza twoich powiązań z polityką. Czy ty też jesteś politykiem, Bob?

– Dzięki Bogu nie. Wystarczy, że para się nią moja żona. Spojrzał niepewnie na Fergusa.

– Przepraszam – powiedziała Clio – to Fergus Trehearn.

– Cześć – przywitał się z nimi Fergus. – Prawda, że to fantastyczne przyjęcie? I że Jocasta wygląda wspaniale?

– Z pewnością.

Zapadło milczenie, które przerwała Clio.

– W którym kierunku... idziecie? Do kina? Na dyskotekę?

– Do kasyna – wyjaśnił Bob Freen. – Niestety, jestem beznadziejnym tancerzem.

– Mimo to warto zajrzeć do dyskoteki – zachęcała Clio. – Naprawdę. Choćby tylko wstawić głowę. Zmierzamy w tamtą stronę, bo idziemy do kina. Wyświetlają Śpiewaka jazzowego.

– Świetnie – przyklasnął mąż Janet. – Chyba nie oprę się pokusie. Martho, masz ochotę na film?

– Nie – odparła Martha szybko.

Uznała, że to wspaniała okazja, by uciec: po cichutku się wymknąć i wezwać taksówkę. Potem powie Jackowi Kirklandowi, że źle się poczuła. Na pewno już dosyć zrobiła jak na jeden wieczór dla nieszczęsnej partii, teraz musi wyjść, póki nie...

– Witaj, Clio, kochanie! Fantastycznie wyglądasz. O, jest i Fergus. Jak miło!

W ich stronę zmierzała szybkim krokiem jakaś atrakcyjna starsza kobieta.

– O mój Boże, pani Bradford! – zawołała Clio. – Tak się cieszę, że panią widzę. Ta sukienka jest...

– Czy mogę was na chwilę przeprosić? – spytał Fergus. – Widzę, że Helen stoi całkiem sama.

– Jak to miło z twojej strony, Fergusie – powiedziała Jilly. – Co za przyjęcie! Wiesz, Clio, nie przypuszczałam, że w obecnych czasach urządza się jeszcze takie imprezy. To cudownie, że Jocasta nas zaprosiła. Przepraszam, ale chyba przerwałam wam rozmowę...

– Nie, nie, nic się nie stało – zapewniła Clio. – Pani Bradford, przedstawiam pani Marthę Hartley, starą przyjaciółkę moją i Jocasty. Martho, to pani Bradford...

– Och, proszę, mów mi „Jilly”. Jak się miewasz, Martho? Postanowiłam zaciągnąć Martina do dyskoteki. Bawią się w niej dzieciaki, jest na co popatrzeć.

– Właśnie mówiłam im to samo – powiedziała Clio. – Chodźmy.

– Masz coś przeciwko temu, Martho? – spytał Bob. – Może być zabawnie.

– Oczywiście.

Stanęli w rogu sali, w której odbywała się dyskoteka, i podziwiali pulsowanie świateł, wirowanie ciał, bardzo głośną i agresywną muzykę. Martha nagle poczuła, że kręci jej się w głowie. Przytrzymała się ręką stolika. Bob zauważył jej gest.

– Chcesz usiąść?

– Nie, nie. Jest mi trochę za gorąco. Chyba powinnam wyjść... Coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Gwałtownie usiadła. Wtedy nadeszła katastrofa.

– Babciu, chodź zatańczyć. Pokażę ci, jak to się robi.

– Nie, kochanie, nie mogę...

– O, witam, pani doktor. Nie wiedziałam, że pani też została zaproszona. Jest super, prawda? Dobrze się pani bawi?

– Doskonale.

Martha myślała tylko o jednym: że musi jak najszybciej stąd wyjść.

Dziewczyna w srebrnej sukni była wysoka, bardzo wysoka, miała długie nogi i niesforne jasne włosy. Przypominała... bardzo przypominała...

To niemożliwe. Naprawdę niemożliwe. Dziewczyna jak dziewczyna, wszystkie nastolatki wyglądają tak samo. Siedź cicho, Martho, nie ruszaj się, nie patrz... wszystkie nastolatki są do siebie podobne...

– Och, tu jesteś, Fergusie. Chodź, zatańcz ze mną. Fantastycznie się bawię. Chodź...

Chwyliła go za rękę i ze śmiechem wyciągnęła na parkiet.

Martha usłyszała, że Fergus zwracał się do niej: „Kate, Kate!”.

Kate. Kate.

– Wyjdźmy stąd – powiedziała do Boba.

Niestety, podeszła następna młoda, bardzo młoda dziewczyna, chwyciła Boba i Martina za ręce i wyciągnęła obu panów na parkiet. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Mężczyznom wyraźnie pochlebiali, że piękne młode dziewczyny zaprosiły starszych panów do tańca.

– Świetna zabawa! – powtarzała pani Bradford. – Naprawdę świetna.

Wszystko zawirowało, muzyka zamieniła się w potworny łoskot. Zrobiło się gorąco i duszno. Martha czuła, że lada chwila zemdleje, otoczenie rozmazywało jej się przed oczami, zamieniało w jedną niewyraźną plamę. Jakimś cudem udało jej się wstać.

– Przepraszam. Muszę wyjść.

Byle dalej od Kate. Byle na nianie patrzeć.

– Okropnie wyglądasz, Martho. – Na twarzy Clio pojawiło się zaniepokojenie. – Usiądź i opuść głowę między kolana. Jilly, możesz przynieść trochę wody?

Po chwili Martha poczuła się trochę lepiej i już zaczęła się podnosić, by wyjść na zewnątrz, kiedy usłyszała:

– Babciu, chodź. Twój chłopak świetnie sobie radzi. Masz naprawdę superfaceta.

– Minutkę, kochanie. Chcemy na chwilę wyjść na zewnątrz.

– Nie musicie mnie odprowadzać – zapewniła Martha. – Już czuję się lepiej. Naprawdę.

– I wyglądasz lepiej – przyznała Clio. – O wiele lepiej. Wzięła Marthę pod ramię i zaczęła ją prowadzić w stronę wyjścia.

– Kochanie, przynieś jeszcze jedną szklanekę wody, dobrze? – zwróciła się Jilly do Kate. – Pani Hartley nie czuje się najlepiej.

– Jasne! – zawołała dziewczyna.

Złapała jakąś szklanekę i wyszła za nimi na zewnątrz.

– Dziękuję, kochanie. Proszę, Martho, napij się. Choćby odrobinę. Tak. A teraz głęboko oddychaj.

– Już lepiej wyglądasz, Martho – powtórzyła Clio. – Nie jesteś taka zielona. Tak, tam w środku jest naprawdę gorąco.

– Okropnie – potwierdziła Jilly Bradford. – Oczywiście, wy tego nie czujecie – powiedziała do dziewczyny z rozwianymi włosami. Do dziewczyny o imieniu Kate. Dziewczyny, która siedziała tak blisko, że Martha mogła jej dotknąć. – Martho, napij się jeszcze trochę wody. Dobrze. Podejrzewam, że nikt nie przedstawił ci mojej wnuczki. To Kate, Kate Bianca Tarrant, jak ostatnio każe się nazywać. Kate, kochanie, to pani... O mój Boże, Clio, ona zemdlą!a!

Rozdział Trzydziesty

Jak to się, do diabła, stało? Leżała w łóżku, u Jocasty, i nie miała żadnych szans na powrót do domu. Chyba że poszłaby na piechotę. Niestety, nie była w stanie. Co teraz zrobić? Jak uciec? Gdy Martha odzyskała przytomność, Bob pomógł jej wrócić do stolika. Przekonywała wówczas wszystkich, że już dobrze się czuje i sama dotrze do swojego samochodu, jest po prostu wyczerpana, a na dyskotecę było bardzo gorąco. Jest za wcześnie, żeby ktokolwiek z nią wychodził i rezygnował z dalszej części przyjęcia, a ona już dobrze się czuje. Naprawdę. Siedziała spokojnie, broniąc się przed indagacjami i nie zwracając uwagi, że pomimo gorąca szczęka zębami. Wiedziała, co to było: szok. Trudno go ukryć. Janet Freań długo i bacznie jej się przyglądała z zamyśleniem w ciemnych oczach, a potem powiedziała:

– Chodź, Martho, zawieziemy cię do domu. Przyniosę twoje rzeczy... chyba że chcesz jeszcze na chwilę zostać i nabrać sił?

– Nie – odparła prawniczka. – Chciałabym wrócić do siebie.

Nie odrywała wzroku od twarzy Janet; bała się, że jeśli rozejrzy się wokół siebie, znów zobaczy... znów zobaczy tę dziewczynę. Nie mogła sobie na to pozwolić. Naprawdę nie mogła. Jakimś cudem udało jej się wstać, nogi posłuchały jej rozkazu, ale na tym koniec. Nie była w stanie zrobić ani kroku. Po chwili zdała sobie sprawę, że nie może również swobodnie oddychać, że z trudem nabiera powietrza w płuca. Potem nagle poczuła się bardzo, bardzo źle; ból przenikał pierś, serce waliło jej jak szalone, jakby chciało się wyrwać. Przyszło jej na myśl, że to zawał, że umrze, co, koniec końców, wcale nie byłoby takie złe, bo gdyby właśnie teraz porzuciła ziemski padół, nikt nigdy o niczym by się nie dowiedział. Zaczęła się potwornie trząść. Usłyszała, że ktoś powiedział:

– Na litość boską, przyprowadźcie jej przyjaciółkę lekarkę! Bardzo wolno odzyskiwała przytomność. Siedziała na krześle, a ktoś – nie wiedziała kto – trzymał jej na twarzy jakąś papierową torebkę.

– Postaraj się spokojnie oddychać – powiedział dziwnie znajomy kobiecy głos. – Już wszystko dobrze. Wygląda na to, że właśnie miałaś atak paniki, ale powoli mija. Spróbuj głęboko oddychać. Martha słyszała, że ludziom zdarzają się ataki paniki. Pogardzała takimi osobami, uważała, że to histerycy. Próbowała odsunąć od twarzy papierową torebkę.

– Zostaw ją jeszcze na chwilę. To ci pomoże – odezwał się ten sam głos.

Martha uświadomiła sobie, że to Clio. To Clio przez cały czas się nią zajmowała.

– Już wszystko dobrze, Martho, naprawdę. Czujesz się choć trochę lepiej?

Clio miała spokojny głos. Kiedy Martha uniosła głowę, ujrzała wyjątkowo życzliwą twarz. Jest taka miła – pomyślała Martha – a ja tak nieelegancko ją potraktowałam. Muszę ją przeprosić, gdy tylko poczuję się lepiej.

– Tak, dziękuję. Trochę.

– Fergusie – powiedziała Clio – gdybyś jej pomógł dotrzeć do rezydencji, mogłaby się

położyć i trochę odpocząć. Bardzo tego teraz potrzebuje.

– Proszę – wtrąciła Martha słabym głosem – proszę, nic mi nie będzie. Wolałabym pojechać do domu.

– To kiepski pomysł – uznała Clio. – Przynajmniej na razie, a teraz bardzo miły dżentelmen zanieś cię...

– Na pewno nie jesteś zbyt ciężka – wtrącił męski głos z irlandzkim akcentem.

Martha poczuła, że ktoś ją unosi.

– Czym ty żyjesz? Powietrzem? Czy czasem dla odmiany pozwalasz sobie na łyk wody?

Uśmiechnął się do niej. Bardzo się starał zrobić wszystko, żeby poczuła się lepiej. Bez trudu zaniósł ją przez ogród do domu. Potem przy pomocy Clio ułożył Marthę na kanapie w jakimś ogromnym pokoju.

– Przyniosę ci trochę wody i jakiś koc – rzekła Clio. – Poleż tutaj i nie martw się o nic.

– Muszę iść. – Głos Marthy był stanowczy. – Znajomi zaproponowali, że odwiozą mnie do domu. Na pewno czekają.

– Nie czekają. Uprzedziłam ich, że zostajesz na noc – oznajmiła Clio zdecydowanie.

– Nie mogę tu zostać na noc – zaprotestowała Martha. – Proszę, Clio, pozwól mi wrócić do domu.

– Niestety, nie mogę. Nie powinnaś być sama, bo atak może się powtórzyć. Posłuchaj, Martho, odpocznij, a do domu wrócisz rano. Jeśli będzie taka potrzeba, osobiście cię odwiozę. Na razie zostań tutaj i spróbuj odpocząć. Jocasta organizuje dla ciebie jakiś pokój. To nie potrwa długo.

Boże! Jeszcze Jocasta; obie w tym samym domu. Martha poczuła się jak w pułapce.

– Cześć, Martho.

Jocasta pochyliła się nad nią z uśmiechem. Dlaczego obie muszą być takie miłe?

– Mam już dla ciebie sypialnię. Fergus cię tam zanieś. Zobaczymy się jutro rano.

Poddała się, pozwoliła, by Irlandczyk zaniósł ją na piętro. Clio pomogła jej się położyć do łóżka. Niestety, teraz Martha czuła się jeszcze bardziej samotna i przerażona niż kiedykolwiek w życiu. Zdała sobie sprawę, że wszystko nagle się zmieniło, i to najbardziej ją przerażało. Nie mogła się już dłużej niczego wypierać. Dziecko, które porzuciła, nie było już Małą Bianką, anonimową istotką, wiecznym noworodkiem; stało się Kate, piękną szesnastolatką, która była w tym samym pomieszczeniu co jej matka, oddychała tym samym powietrzem, widziała ją, obserwowała, niemal jej dotknęła. Przeobraziła się w istotę z krwi i kości.

Martha gwałtownie usiadła, czując, że znów ogarnia ją panika, brakuje jej tchu, oblewają poty.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Janet Freen.

Na widok przyjaznej twarzy Martha wybuchnęła płaczem. Janet usiadła na łóżku, objęła młodszą koleżankę jak dziecko i powiedziała, żeby nie wstrzymywała łez. Martha długo płakała, a Janet siedziała przy niej w całkowitym milczeniu, jedynie od czasu do czasu cichutko ją

uspokajając i pocieszając. W końcu prawniczka zdołała się uspokoić i opadła z powrotem na poduszki.

– Przepraszam – powiedziała. – Bardzo cię przepraszam.

– Przestań przeproszać, Martho – skarciła ją Janet z łagodnym uśmiechem na ustach. – Proszę. Nie zrobiłaś nic złego.

– Zrobiłam. W tym cały problem, Janet. Nie rozumiesz. Zrobiłam coś okropnego... O Boże!

– W porządku – podchwyciła Janet spokojnie. – Zrobiłaś coś okropnego. Może w takim razie powiesz mi o wszystkim? Nic nie wydaje się takie straszne, kiedy podzielimy się z kimś swoimi problemami, a mnie nie można zaszokować. Mam piątkę dzieci i znaczną część życia spędziłam w Westminsterze, co w zupełności wystarczy, by całkowicie uodpornić się na jakikolwiek szok.

Spróbuj mi wszystko opowiedzieć. Nie mogę patrzeć, jak się dręczysz. Poczujesz ulgę.

Nagle Martha zaczęła mówić. Musiała. Nie mogła dłużej dusić wszystkiego w sobie. Leżała słaba i zrozpaczona w ciemnym pokoju, a z oddali dochodziły odgłosy przyjęcia, na którym tak dobrze bawiła się jej córka. Wsłuchując się w nie, Martha opowiedziała Janet, co kiedyś zrobiła.

Część Trzecia

Rozdział Trzydziesty Pierwszy

– Była dziwna – powiedziała Kate, opadając na tylne siedzenie limuzyny – naprawdę dziwna. Zgodzisz się ze mną, Nat?

– Nie wiem – wyznał. – Nie rozmawiałem z nią. Szukałem biednego starego Cala. Był w kiepskim stanie.

– Jak się teraz czuje?

– Śpi – powiedziała Bernie zza ich pleców.

– Nie rozumiem, kto był dziwny? – spytał Kevin.

– Ta kobieta – wyjaśniła Kate. – Ta, która zemdląca.

– Rzeczywiście, spojrzała na ciebie i zemdląca – przypomniała Bernie, chichocząc. – Wcześniej była całkiem w porządku, jak zapewniała pani doktor. Jak ona ma na imię?

– Clio – odpowiedziała Kate. – Lekarka babci.

– To naprawdę fantastyczna babka – podsumował Nat z pełną aprobatą. – W ogóle świetny jubel. Tylu fotografów, Kate, wołało cię, jak wychodziłaś. Jesteś teraz znaną osobistością, czy ci się to podoba, czy nie.

Sprawił wrażenie zadowolonego, jakby to była w znacznej mierze jego zasługa. Nie Fergusa, który po cichutku poinformował pewne gazety, że Mała Bianca będzie na imprezie roku.

– Może ja też znajdę się na zdjęciach – dodał z nadzieją w głosie.

Jack Kirkland rozmawiał z Gideonem Keeble'em, gdy przyłączyła się do nich Janet.

– Długo przy niej siedziałaś – zauważył. – Czy już dobrze się czuje?

– Tak. Zasnęła. Bóg jeden raczy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Biedactwo.

– Chyba nie użyłbym w stosunku do Marthy tego określenia – rzekł Gideon beztrąsko. – Powiedziałbym raczej „twardy orzech do zgryzienia”.

– Chyba muszę się zgodzić z Gideonem – przyznał Jack Kirkland.

– Prawo, którym zajmuje się Martha, nie jest łatwym zajęciem. Na dodatek umiała się również dopasować do polityki... tak, zasługuje na podziw.

– Tak to już jest z kobietami, Jack, potrafią robić wiele rzeczy jednocześnie – wyjaśniła Janet. – Wszystkie jesteśmy w tym dobre.

– Masz na myśli wychowanie piątki dzieci i kierowanie partią? – spytał Gideon.

– Hm... prawdę mówiąc, wcale nianie kieruję, prawda? Jedyne od czasu do czasu pojawia się w gmachu parlamentu.

– Och, daj spokój, Janet, mogłabyś nią kierować, gdyby mnie nie było. Może powinnaś.

– Tak? A co z Eliotem i Chadem?

– Moim zdaniem jesteś lepszą kandydatką niż którykolwiek z nich – powiedział Jack. – Zwłaszcza po tym, co się stało.

– No cóż... na moje szczęście to ty wciąż dowodzisz – zażartowała Janet. – Za nic w świecie

nie chciałabym tego stołka. Szczerze. Gideon Keeble, który nie wyrwałby się ze slumsów Dublina, gdyby nie umiał wyczuwać na kilometr najłżejszego kłamstwa, przyjrzał się obojgu z dużym zainteresowaniem. Jack najwyraźniej jej wierzył, co więcej, Janet o tym wiedziała.

Idąc do łóżka, Clio zajrzała do Marthy. Prawniczka była pogrążona w głębokim śnie.

Biedna Martha. Musiało jej się przydarzyć coś naprawdę strasznego, skoro dostała tak poważnego ataku paniki.

– Tylko spójrz na to zdjęcie Kate! – Clio przesunęła „People” przez stół. – Niegrzeczna dziewczynka wychyla się przez opuszczoną szybę i macha fotoreporterom. Zawsze myślałam, że takie limuzyny są po to, aby ludzie mogli się w nich odciąć od całego świata. Prawda, że wygląda słodko? Jej chłopak też jest dość przystojny.

– Rzeczywiście – przyznała Jocasta. – Miły szkrab. Kogo jeszcze dopadli? O, tu jest Jamie Olivier, a tu Jules. Mam nadzieję, że odpowiadało mu jedzenie. Jonathan Ross i grupka „It Girls” w ich gangsterskim samochodzie. Było naprawdę cudownie. Zbliżało się wpół do jedenastej. Gideon już popływał i od dawna robił kawę. Wszyscy schodzili się w kuchni, łącznie z kilkoma braćmi i siostrami gospodarza. Jocasta serdecznie ścisnęła ich wszystkich; dawno temu przestała się zastanawiać, kto jest kto. Beatrice, potwornie zmęczona, schowała się za gazetą. Josh – na przekór wszystkiemu pełen werwy – miał już za sobą jeden spacer i wybierał się na następny.

– Chyba powinnam zajrzeć do Marthy – stwierdziła Clio. – Dziwi mnie, że jeszcze nie zeszła.

Wróciła po pięciu minutach.

– Jestem zaskoczona – oznajmiła. – Nie ma jej. Czy to nie dziwne?

– Bardzo – przyznała Jocasta. – Swoją drogą, jak się stąd wydostała?

– Napisała, że zamówiła taksówkę – wyjaśniła Clio, pokazując świstek. – „Było bardzo miło, najmocniej przepraszam, że sprawiłam tyle kłopotów, dziękuję wszystkim za życzliwość, ale muszę wracać do domu”.

– Dziwna dziewczyna – zauważyła Jocasta. – Chyba jej się nie spodobało, że widzieliśmy, jak straciła panowanie nad sobą.

Martha przez cały dzień rozpaczliwie próbowała się uspokoić.

Wmawiała sobie, że zachowuje się absurdalnie, że nic jej nie grozi. Że Janet Frean jest najżyczliwszą, najbardziej niezawodną i, co ważniejsze, całkowicie dyskretną osobą. Na pewno nie powie nikomu, co usłyszała od Marthy. Na pewno. Poza tym dlaczego miałyby to robić? Po co?

Takie myśli przez cały dzień uparcie krążyły Marcie po skołatanej głowie, póki nie zaczęła się obawiać, że może zwariować. Po raz pierwszy od... od tamtego dnia przestała panować nad sytuacją i była zdana na czyjąś łaskę.

Zadzwoił telefon. To Ed.

– Cześć. Dzwonię, żeby spytać, czy dobrze się bawiłaś. Widziałem zdjęcia. Dlaczego nie ma cię na żadnym z nich? Zadzwonię później...

Nie zastanawiając się, czy to rozsądne, rozpaczliwie pragnąc z kimś porozmawiać, uwolnić się od dręczących myśli, przejęła rozmowę.

– Cześć, Ed, to ja.

– Cześć. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, świetnie. Dziękuję.

– Cieszę się. Dzwonię jak co dzień, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Nie wybrałaś się gdzieś na drinka?

– Nie – powiedziała szybko – nie, nie mam ochoty. Dziękuję. Nie dzisiaj.

– Może jutro?

W jego głosie slychać było nadzieję. Znow powiedziała coś, czego nie powinna.

– Nie, jutro też nie – zapewniła pośpiesznie. – Nigdy.

– Martho... jesteś jakaś dziwna. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, doskonale. Dziękuję.

– Mam poważne wątpliwości.

– Mówię zupełnie szczerze.

– W porządku.

Niemal slyszala, jak Ed wzruszył ramionami.

– Zadzwoń jutro.

Rozmowa z Edem w niczym nie pomogła. Może to jemu powinna powiedziec o wszystkim? Przynajmniej wiedziala, ze Ed ją kocha i dobrze jej zyczy.

Telefon zadzwonił ponownie. Chwyciła słuchawkę.

– Proszę, Ed...

To nie był Ed, tylko Janet.

– Cześć, Martho, to tylko ja. Chciałam wiedzieć, jak się czujesz. Jej głos był ciepły, przyjacielski, łagodny. Martha od razu poczuła się lepiej. Jak mogła myśleć, że tak życzliwa, troskliwa kobieta byłaby skłonna wyrzucić jej jakąś krzywdę?

– Cześć, Janet – powiedziała, słysząc ulgę w swoim głosie. – Miło cię słyszeć. Dobrze się czuję, naprawdę. O wiele lepiej. Między innymi dzięki tobie i temu, co zrobiłaś wczoraj wieczorem. Byłaś cudowna.

– Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego. Po prostu byłam kamizelką, w którą mogłaś się wyplakać.

– Nie! Uratowałaś mnie... przed obłędem.

– Sprawiasz na mnie wrażenie całkiem zdrowej na umyśle. Wiesz... przyszło mi na myśl...

– Janet – przerwała jej Martha. – Nie... nie powiesz nikomu, prawda?

– Daj spokój, Martho. Nie pisnę ani słówkiem. Za kogo ty mnie, na litość boską, uważasz? Boże, na domiar złego teraz jeszcze ją uraziła! Co teraz?

– Nie, nie. To znaczy... nie miałam na myśli niczego takiego. Chodzi po prostu o to, że...

– Martho! – Głos Janet był niezwykle życzliwy. – Potrzebowałaś kogoś, z kim mogłabyś

porozmawiać. Nie potrafiłabyś w nieskończoność dusić tego w sobie. Nawet gdyby... gdyby nie pojawiła się na przyjęciu. To niesamowity ciężar... Nie wiem, jak radziłaś sobie z nim przez minione lata.

Doprowadziłaś się do ciężkiej choroby. Mam nadzieję, że rozmowa ze mną ci pomogła... chociaż trochę.

– Pomogła, Janet, naprawdę.

Kłamiesz, Martho, rozmowa z Janet wcale ci nie pomogła, wręcz potwornie cię przeraziła.

– Oczywiście, teraz bardzo się boisz. Że coś powiem. Rozumiem to, naprawdę, ale nigdy tego nie zrobię. Nawet nie chcę o tym myśleć. Czuję się bardzo zaszczycona, że mi się zwierzyłaś. Obdarzyłaś mnie zaufaniem. Nie zawiodę cię. Przysięgam, Martho. Więc przestań się martwić, dobrze?

– Dziękuję, Janet, serdecznie dziękuję. Już nie będę się martwić. Nie będzie. Naprawdę nie będzie.

Clio otrzymała list z Royal Bayswater. Czy może przyjechać na rozmowę kwalifikacyjną we środę trzeciego lipca?

Była bardzo, bardzo szczęśliwa. Wprawdzie nie dostała jeszcze pracy, ale miała szansę się o nią postarać. To niesłychanie dużo, zwłaszcza teraz.

Czuła nieodpartą potrzebę powiedzenia komuś o czekającej ją rozmowie. Jak się przekonała, była to jedna z najgorszych rzeczy, z którymi musiała sobie radzić – życie z dnia na dzień nie stanowiło żadnego problemu, złe dni również, ale szczęście, choćby najdrobniejsze, nabierało znaczenia dopiero wtedy, gdy można się nim było z kimś podzielić.

Postanowiła zadzwonić do Jocasty. – Żona Gideona miała wyłączony telefon.

Clio nie mogła powiedzieć o wszystkim Markowi ani nikomu z przychodni. Właśnie zaczynało się jej wydawać, że ogromna radość powoli blednie, gdy, jak na sygnał, zadzwonił Fergus.

– Chciałbym ci podziękować, że wczoraj wieczorem cały czas dotrzymywałaś mi towarzystwa. Ciekaw jestem również, czy bezpiecznie dotarłaś do domu.

Clio zapewniła go, że dojechała bez problemów i właśnie dostała zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – powiedział, a Clio wyczuła, że się uśmiechnął.

– O nie! – W głosie Chada słychać było szok. – Boże Wszechmogący, nie wierzę własnym oczom. Jak to, na litość boską, przeciekło do prasy?

– Co takiego?

Abigail pochyliła się nad nim i zerknęła przez jego ramię do gazety.

– Co to jest? Rozumiem. O mój Boże...

– Jak to się, do jasnej cholery, stało? – spytał. – Wyniki tego sondażu widziało dosłownie kilka osób. I, oczywiście, ludzie z centrum badania opinii publicznej, ale oni tego nie zrobili. Na pewno to nie oni.

– Czego nie zrobili?

– Nie przekazali informacji do prasy.

– Czy to musiał być świadomy przeciek? – spytała Abigail.

– Całkiem świadomy. Tylko kto to zrobił? Zadzwoił telefon.

– Jezu! Odbierz go, Abigail, dobrze? Podniosła słuchawkę.

– Abigail Lawrence... Och... Tak, tak, Jack, już ci go daję. Co takiego? Tak, obawiam się, że...

Po chwili czytała artykuł zamieszczony na pierwszej stronie „News”, jednocześnie słuchając rozmowy męża, który początkowo dyskutował bardzo spokojnie, ale potem aż podniósł głos z oburzenia...

– Nie, nie zrobiłem tego! Naprawdę! Nie przekazałem nikomu żadnych wyników. Do jasnej cholery, Jack...

Abigail wróciła do artykułu.

Centrę Forward wciąż traci na popularności – napisał Martin Buckley, redaktor działu informacyjnego.

– Centrolewicowy odłam, Centrę Forward, partia, która powstała zaledwie kilka miesięcy temu, przeżywa poważny kryzys. Chociaż została utworzona pod sztandarami polityki wolnej od wszelkich nadużyć, ostatnio prześladowają ją mniejsze lub większe skandale. Wpływowy parlamentarzysta, do niedawna torys, Eliot Griers, wywołał aferę nazywaną Uściskiem w Krypcie, kiedy przyłapano go z rozwódką w Saint Mary’s Undercroft, kaplicy w podziemiach parlamentu. Kilka tygodni temu okazało się, że Chad Lawrence, charyzmatyczny przywódca z północnego Ullswater (uznany przez ubiegłoroczny Cosmopolitan za najseksowniejszego mężczyznę w Westminsterze), zorganizował zespół doradców nowej partii za pieniądze pochodzące od spółki, której właścicielami byli Chińczycy działający w Hongkongu.

Pomimo początkowo bardzo wysokich notowań partia z każdym skandalem traci na popularności. Centrum badania opinii publicznej Focus Group Research, działając na zlecenie przypuszczalnego przywódcy partii, Jacka Kirklanda, wykazało dziesięcioprocentowy spadek. Początkowo Centrę Forward zwróciło na siebie uwagę opinii publicznej, ale obecnie wydaje się, że niechęć elektoratu do całego systemu politycznego objęła również nową partię.

jeśli w ciągu kilku następnych tygodni w Centrę Forward nie nastąpi jakiś zasadniczy przełom, może się okazać, że będzie to partia, która miała najkrótszy żywot w historii Wielkiej Brytanii.

Co, biorąc pod uwagę utalentowanych członków, których nie brakuje w jej szeregach, byłoby tragedią.

Martha Hartley, czytając z bolącym sercem artykuł w „News”, doszła do wniosku, że następny – tym razem naprawdę szokujący – skandal wśród utalentowanych członków partii może się okazać fatalny w skutkach.

Nick Marshall czekał w części kuchennej pokoju prasowego w gmachu parlamentu na

parlamentarzystkę z Partii Pracy, gdy ujrzał wychodzącego samotnie Martina Buckleya.

– Cześć. Dobry artykuł. Intrygujący.

– Dzięki.

– Chociaż jest mi smutno z tego powodu. Liczyłem, że przynajmniej uda im się trochę podszczyścić tego i owego.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Patrząc z punktu widzenia bezstronnego obserwatora, dochodzę do wniosku, że komuś bardzo zależy, by polegli.

– Twój bezstronny obserwator wcale nie musiałby być geniuszem, a lista podejrzanych byłaby bardzo długa.

– Wiem. O, jest mój gość. Do zobaczenia. Parlamentarzystka spojrzała na Buckleya.

– Spodobał mi się dzisiejszy artykuł o Centré Forward. Oczywiście, nie jestem zaskoczona. Wszystko było zbyt ładne, żeby mogło być prawdziwe.

– Rzeczywiście. Zgadzam się.

– Lubię Martina. Zawsze jest bardzo sprawiedliwy dla obu stron.

– Nie do końca zgodzę się z twoim twierdzeniem. Moim zdaniem o wiele częściej bierze waszą stronę.

– Hm... niekoniecznie. W poniedziałek widziałam go, jak jadł lunch z Michaeliem Fitzroyem.

– Naprawdę? – zdziwił się Nick. – Może w takim razie jestem w błędzie.

Ciekawe. Michael Fitzroy jedzący lunch z Buckleyem. Michael Fitzroy jedzący lunch z Janet Freaan. Oczywiście to jeszcze niczego nie oznacza, ale... to naprawdę ciekawe. Bardzo ciekawe. Może jeszcze ciekawsza byłaby pogawędka z Teddym Buchananiem...

– Cześć, Clio, mówi Fergus. To znów ja.

– Cześć, Fergusie.

Cholera, jej głos wyraźnie zdradzał zdenerwowanie zamiast radości i opanowania.

– Właśnie się zastanawiałem, czy masz wolny sobotni wieczór. Nie umówiłabyś się ze mną na kolację?

– Bardzo chętnie. Dziękuję!

Rozłączyła się i przez chwilę próbowała zapanować nad sobą przed wezwaniem następnego pacjenta. Daj spokój, Clio, nie robi się takich rzeczy. Fergus nie szuka kogoś, z kim mógłby miło spędzić wieczór. Prawdopodobnie jego dziewczyna gdzieś wyjechała albo coś takiego. Uspokój się. Musisz zacząć z większym dystansem podchodzić do pewnych spraw. To tylko kolacja, nie oświadczyń. Uspokój się. Nacisnęła guzik.

– Przyślij mi następnego chętnego na miłą kolację, Margaret.

– Słucham, Clio? – spytała Margaret i wyraźnie się uśmiechnęła. – Co powiedziałaś?

– Muszę lecieć – oznajmił Gideon.

Pochylił się nad Jocastą pocałował ją w czubek głowy. Była zagrzebana w pościeli w olbrzymim łożu w ich pokoju w Cruxbury i wciąż jeszcze prawie spała.

– Zobaczymy się za czterdzieści osiem godzin.

– Czterdzieści osiem godzin?!

Spojrzała na niego i zamrużyła powiekami, chcąc się obudzić.

– Wcześniej mówiłeś, że to tylko jeden wieczór.

– Bo miał być jeden, ale zamienił się w dwa. Zresztą i tak myślałem, żeby zostać.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę. Chciałem spędzić z dala od ciebie dwa wieczory, niejeden. Widocznie zaczynam być tobą znudzony.

– To wcale nie jest zabawne, Gideonie!

– Przepraszam.

– Pojechałabym z tobą, gdybym wiedziała, że wyjeżdżasz na dłużej niż na jeden wieczór.

Przecież ci to mówiłam.

– Przepraszam, zapomniałem.

– Moim zdaniem to trochę zbyt ważne, żeby tak po prostu zapomnieć.

Na pewno bym pojechała. Nie lubię, gdy cię nie ma.

– Jeśli chcesz, kochanie, możesz się ze mną wybrać.

– Jest już za późno, zresztą to i tak nie miałyby sensu, bo dla ciebie nie ma znaczenia, czy pojedę, czy nie.

– Nie żartuj, Jocasto – poprosił, uśmiechając się do niej. – Przypisujesz mi słowa, których nie powiedziałem. Ma dla mnie znaczenie, i to duże.

– W takim razie dlaczego zapomniałeś mi powiedzieć, że masz zamiar zostać na drugą noc?

Wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość.

– Jocasto, nasza rozmowa zmierza w dziwną stronę. Posłuchaj. Jestem już bardzo, bardzo spóźniony. Jedziesz czy nie? Bo jeśli tak, to masz pięć minut na spakowanie się.

– Nie, nie jadę. Dziękuję.

Odwróciła się od niego, czując, że zbiera jej się na płacz. Co się z nią dzieje? Gdzie się podziała niezależna Jocasta Forbes? Kiedy przeobraziła się w uzależnioną, trzymającą się kurczowo istotę, płaczącą, bo mąż wyjeżdża na dwa dni? To żalosne.

– Jocasto...

– Wszystko w porządku, Gideonie. Jedź. Zobaczymy się za dwa dni.

– Chciałem wrócić do Londynu. Możesz tam się przenieść?

– Nie... nie jestem pewna – wydukała.

– Masz tu jakieś sprawy do załatwienia?

W jego pociemniałych oczach widać było irytację.

– Mo... może.

– Och, Jocasto, jesteś taka dziecinna. Wychodzę... – Zadzwoiła jego komórka. – Halo? Jak się masz, kochanie? Nie, ależ skąd, dla ciebie nigdy nie jestem zbyt zajęty.

Głos całkowicie mu się zmienił. Pewnie Fionnuala. Jocasta leżała z zamkniętymi oczami,

udając, że nie słucha.

– Tak, prawdę mówiąc, tak. Lecę do Los Angeles, potem do Miami. Więc tak byłoby lepiej. Mogę do was wpaść na dwadzieścia cztery godziny. Powiedz mamie, żeby do mnie zadzwoniła. Co takiego? Właśnie wyjeżdżam z Cruxbury i chcę złapać samolot o dwunastej. Do zobaczenia, moja droga.

Spojrzał na Jocastę i uśmiechnął się do niej. Wcześniejsza irytacja zniknęła bez śladu.

– To Fionnuala. Chce, żebym kupił jej następnego konia.

– Następnego?! Gideonie, kupiłeś jej już trzy.

– Wiem, ale najwyraźniej ten jest wyjątkowy. Tak czy inaczej, przepraszam, kochanie. Niestety, to oznacza dodatkowy dzień rozłąki. Będę w Londynie w piątek. Proszę, czekaj tam na mnie. Możemy spędzić weekend w Londynie. Odpowiada ci?

– Tak, to będzie ekscytujące – odparła Jocasta, siląc się na ironię.

– W porządku.

Wyraźnie nie dostrzegł jej niezadowolenia.

– Zastanów się, co chciałabyś zobaczyć, dokąd się wybrać, i każ Marissie załatwić rezerwacje. Kocham cię.

– Cześć – powiedziała Jocasta i ukryła twarz w poduszce. Gdy wyszedł, poczuła okropne wyrzuty sumienia. Dlaczego zachowuje się jak rozkapryszone dziecko? Nawet odpowiednio się z nim nie pożegnała, nie powiedziała mu, że go kocha. Co by było, gdyby jego samolot się rozbił, co by było, gdyby... Chwyliła komórkę i wybrała jego numer. Odezwała się poczta głosowa. Może zrobił to celowo, bo był na nią zły i nie chciał z nią rozmawiać. Zadzwoniła ponownie i zostawiła wiadomość.

– Przepraszam, że nawet porządnie się z tobą nie pożegnałam. Ja też cię kocham. Zadzwoni do mnie, gdy odsłuchasz tę wiadomość. Wstała i wyjrzała przez okno na ogród. Był piękny dzień. Co... co z nim zrobić? Pójść na spacer? Trochę poplewić? Popływać w basenie? Sama? Przez cały dzień? Cholera, to żalosne!

W życiu Gideona liczyła się tylko praca, ciągłe napięcie, terminy i przechodzenie od jednej sprawy do drugiej. Boże, wkrótce będzie mu się wydawała potwornie nudna.

Jocasta poczuła ucisk w żołądku. Czy mądrze postąpiła, rezygnując z pracy? Może powinna trochę zaczekać? Aż... aż co?

Aż założy rodzinę i będzie miała z kim porozmawiać? Tyle że nie założy rodziny. Na pewno.

Przemknęło jej przez głowę stare porzekadło o człowieku, który się spieszy, i uciesze, jaką czerpie z tego diabeł. Odsunęła je od siebie, ale przez cały dzień, kiedy pływała w basenie, pakowała rzeczy, jechała do Londynu i rozlokowywała się w domu w Kensington Palace Gardens, bez przerwy do niej wracało.

Towarzyszyła mu świadomość, że chociaż jest panią Keeble zaledwie od miesiąca z niewielkim okładem, już nie sprawia jej to takiej radości, jak powinno.

O piątej po południu – pomimo nowego żakietu Chanel, zarezerwowanej na następny dzień

pierwszej z dwunastu lekcji pilotażu i zamówionego srebrnego bmw z3 – wciąż była przygnębiona. Przygnębiona i nieco przestraszona.

Rozdział Trzydziesty Drugi

– Martho, musimy porozmawiać. Głos Janet był zdecydowany i chłodny. Nie panikuj, Martho, tylko nie panikuj.

– O... o czym? Czy to coś ważnego?

– Wszystko zależy od twojego punktu widzenia. Chciałabym, żebyśmy się spotkały dzisiaj po twojej pracy.

– Przykro mi, Janet, ale bardzo późno kończę. Może jutro.

– Posłuchaj. – W głosie Janet słychać było zniecierpliwienie. – Ja też jestem zajęta, ale musimy to zrobić, więc...

– Co musimy zrobić, Janet? Nie wiem, o czym mówisz.

– O Boże! Chad o niczym ci nie powiedział? Załatwił wywiad z „kobięcym korpusem” – jak on to nazwał – do sobotniego numeru „Timesa”. Ma go przeprowadzić jakaś dziewczyna. Chad uważa, że możemy uratować partię. „Kobięcy korpus” miał się składać z Janet, Marthy i Mary Norton, jednej z nielicznych uciekinierek z Partii Pracy do Centru Forward. Mary miała czterdzieści lat, była rozsądna, elokwentna i mówiła z wyraźnym północnym akcentem. Bardzo dobrze wypadła w mediach i bywała częstym gościem programów „Any Questions” i „Question Time”. Martha spotkała ją tylko raz, uznała jednak, że była laburzystka budzi w niej jeszcze większy podziw niż Janet.

– Jack uważa, że potrafimy stworzyć dobry zespół.

– Ty i Mary na pewno – powiedziała Martha ostrożnie.

– Tak, ale Jack widzi w tobie przyszłość partii – wyjaśniła Janet, chociaż jej słowa zabrzmiały bardzo chłodno. – Poza tym – dodała nieco weselej – ty prezentujesz się najlepiej z nas trzech.

W porządku; dorzucono ją jako drobny ozdobnik do dwóch czołowych działaczek partii. Nie ma sprawy. Normalnie by protestowała, ale w takich okolicznościach nie miała się czego obawiać.

– Twój a skóra jest... jest jakby idealna.

Specjalista od makijażu uśmiechnął się do Kate. Był czarnoskóry, miał białe włosy i czerwone wargi. Odpowiedziała uśmiechem, choć była zdenerwowana. Trudno było podtrzymać kontakt z Crew – jak go nazywano. Pochodził z Nowego Jorku, co wykluczało rozmowy o sklepach i klubach, a gdy dziewczyna powiedziała, że podoba jej się jego koszula, odparł, że kupił ją, jak to określił, w ciuchami.

Pracował tylko dla Smith Cosmetics, więc nie mogła go spytać, czym jeszcze się zajmuje i jakim sławnym ludziom robił makijaże, tak czy inaczej, ilekroć próbowała nawiązać z nim jakąś dyskusję, podnosił ręce do góry i mówił:

– Nic nie mów... jeszcze chwileczkę. Chwileczka trwała przez całą sesję.

Co jakiś czas otwierały się drzwi i do pomieszczenia wchodziły dwie kobiety – dwie

dyrektorki Smith. Żadna z nich ani słowem nie odezwała się do Kate, jedynie, gdy po raz pierwszy im ją przedstawiono, powiedziały: – Cześć, Kate, bardzo się cieszymy, że przysłałaś. Od tej chwili pojawiały się co jakiś czas, bacznie jej się przyglądały, jakby była manekinem na wystawie sklepowej, a nie dziewczyną; z przymrużonymi powiekami studiowały jej odbicie w lustrze, a potem wychodziły, cicho rozmawiając. Padały słowa: „trudne czoło” albo „zbyt gęste włosy”, to znów mówiły Crew, żeby spróbował jej powiększyć oczy, odświeżyć wygląd skóry czy pogrubić wargi.

Po godzinie Kate była przekonana, że ludzie z firmy kosmetycznej, swoim zdaniem, popełnili błąd, decydując się na próbne zdjęcia, i że lada chwila każą jej iść do domu. Prawdę mówiąc, byłaby zadowolona.

Fotograf w ogóle się jeszcze nie pojawił, ale sądząc po sposobie, w jaki wszyscy się o nim wyrażali, był wyraźnie kimś wielkim i ważnym. Mówiono: „Och, Rufus nigdy by nawet nie pomyślał o rękawach” albo „Rufus nigdy nie robi loków”, jakby zastanawiano się, co Kate może na siebie włożyć albo jak należy ją uczesać. Nic więc dziwnego, że wyobrażała go sobie jako postawnego, hałaśliwego mężczyznę w garniturze, ale gdy Rufus w końcu się pojawił, okazało się, że ma zaledwie około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, a zamiast garnituru włożył białe spodnie i beżowy podkoszulek. Mówił bardzo cicho, dlatego rozmówcy ledwo słyszeli jego słowa, co go bardzo denerwowało. Uśmiechnął się do Kate w lustrze, powiedział: cześć, jestem Rufus Corelli, potem odwrócił jej twarz w swoją stronę, odsunął do tyłu włosy, przyglądał się dziewczynie chyba przez całą wieczność, wreszcie wybuchnął:

– Do jasnej cholery, ona ma szesnaście lat! Usuń większość tego gówna.

Wszyscy potulnie przytaknęli, lecz Crew dodał:

– Ale jej skóra jakby będzie musiała trochę odpocząć, bo już zbyt dużo wchłonęła.

Zmył jej makijaż i kazał siedzieć spokojnie obok recepcji, bo tam było jakby świeże powietrze.

Pierwsze próbne zdjęcia wykonano dopiero o drugiej. Dziewczyna mocno się przestraszyła, bo Rufus zażądał, żeby wszyscy wyszli.

– Nie chcę mieć tu nikogo oprócz modelki.

Kate trochę się bała zostać z nim sam na sam, ale wtedy stał się nieco miłszy, powiedział, że dziewczyna nadal ma zbyt mocny makijaż, czy ci ludzie nie wiedzą, jak wygląda młodość, po czym zaproponował jej kawałek swojej gumy do żucia i spytał, gdzie kupiła dzinsy.

– Chodzi o to – szepnął – że jestem bardzo drobny, dzięki czemu mogę nosić dziewczęce ubrania i często to robię.

Kate nie była pewna, czy to rzeczywiście mu pomoże, ale powiedziała, że kupiła dzinsy w Paper Denim & Cloth Harveya Nicholasa. Prawdę mówiąc, była to jedyna ekstrawagancja, na jaką pozwoliła sobie po otrzymaniu pieniędzy ze „Sketcha”, ale o tym wcale nie musiał wiedzieć.

– W porządku – szepnął, wyjmując zdjęcia z polaroidu i wsuwając aparat pod pachę. – To, co mamy zamiar zrobić, nie ma nic wspólnego z tamtymi wulgarnymi fotkami. Jed, widziałeś je?

Prawda, że są wulgarne?

Asystent Rufusa, Jed, pojawił się, gdy wszyscy wyszli ze studia. Był prawie dwa razy wyższy od mistrza, ale wcale nie grubszy i mówił tak samo cicho jak on.

– Potwornie wulgarne.

– A wracając do ciebie, Kate, te fotki są całkiem sympatyczne – oświadczył Rufus, bacznie przyglądając się zdjęciom z polaroidu – ale za bardzo się starasz. Chodzi mi o to, żebyś w ogóle o niczym nie myślała. Żebyś całkowicie opróżniła głowę. Nie chcę, żebyś była seksowna czy zmanierowana. Chcę, żebyś po prostu była. Była sobą. Zanim przydarzyło ci się to wszystko.

Przytaknęła. Ale trudno jej było nie myśleć o niczym. Po trzech następnych próbach zaczęła się niepokoić, wtedy Rufus nagle wybiegł ze studia i zniknął na dobrą chwilę. Przypuszczała, że fotograf poszedł się poskarżyć na Kate i poprosić o inną modelkę, ale wrócił ze stosem kolorowych czasopism: „Seventeen”, „Glamour” i „Company”. Dał jej jeden egzemplarz.

– Proszę. Przejrzyj ten numer. Przejrzyj go i poszukaj czegoś, co cię interesuje, dobrze?

Przytaknęła. Otworzyła swoje ulubione czasopismo, „Glamour”, i przerzuciła kartki. Znalazła artykuł o tym, jak sprawdzić, czy jest się zakochanym. Od dawna zastanawiała się, czy jest zakochana w Nacie. Uważała, że raczej nie.

– Mam coś.

– Dobrze. Teraz usiądź tutaj, na tym taborecie, na którym siedziałaś wcześniej, o tak, i przeczytaj to, co znalazłaś. Naprawdę przeczytaj.

To było łatwiejsze, niż przypuszczała. Właśnie była przy drugim pytaniu i próbowała rozstrzygnąć, czy podczas pocałunków Nata odczuwa normalne podekscytowanie, ogromne podekscytowanie, czy nie mieści się na skali, gdy Rufus zawołał:

– Kate!

Uniosła głowę, niezbyt pewna, o co fotografowi chodzi. Błysnął flesz.

– W porządku – powiedział. – Czytaj dalej.

Po trzech następnych pstryknięciach podszedł do niej z kilkoma zdjęciami.

– Spójrz. Co ty na to? – spytał.

Kate zerknęła na podsunięte fotki. Wyglądała, jakby była swoją młodszą siostrą. Miała prawie niewidoczny makijaż i włosy przerzucone przez ramię. Sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej, cudownie zmieszanej, miała lekko rozchylone wargi, a w jej dużych ciemnych oczach czaiło się pytanie.

– Są wspaniałe – pochwalił Rufus. – Jak sądzisz, potrafisz powtórzyć to kilka razy?

– Tak – oświadczyła Kate, przekonana, że tym razem wie, o co Rufusowi chodzi. – Na pewno.

Nazajutrz ludzie ze Smith zaproponowali jej trzyletni kontrakt. Kate miała być ich twarzą, reklamować nową linię kosmetyków dla młodzieży, „SmmYs Club” i dostawać milion dolarów rocznie. Warunki kontraktu przewidywały trasę promocyjną po Stanach i Anglii, publiczne wystąpienia podczas meczów polo w Ascot i SmiuYs Lawn oraz pojawianie się na różnych

premierach filmów. Firma Smiths zostawiała sobie wolną rękę, jeśli chodzi o zwoływanie konferencji prasowych. Fergus powiedział, że musi przedyskutować warunki z Kate i jej rodzicami, i obiecał, iż wróci do sprawy po weekendzie.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny zastanawiał się, jak przekazać tę wiadomość Tarrantom, aby uzyskać ich zgodę, a jednocześnie – co zrobić ze swoimi dwudziestoma procentami od trzech milionów dolarów. Tylko chwilami dręczyły go pytania, jak takie przedsięwzięcie może wpłynąć na wrażliwe szesnastoletnie dziecko o smutnej i trudnej przeszłości...

W czwartkowy poranek Nick kręcił się wśród parlamentarzystów i tylko jednym uchem słuchał opowieści, które już wielokrotnie słyszał, gdy zobaczył, że Teddy Buchanan podąża na salę obrad. Nick zatrzymał go i zaprosił na kolację w najbliższy poniedziałek.

Zaproponował hotel „Stafford”, bo tamtejsza restauracja zapewniała nie tylko takie jedzenie i wino, jakie Teddy lubił najbardziej, ale też o wiele większą dyskrecję niż „Connaught” czy „Savoy”. Buchanan skwapliwie przyjął zaproszenie. Jack Kirkland zadzwonił przed siódmą w sobotni poranek.

– Wiem, że jest wcześnie, ale bardzo chciałem cię złapać. Wiem, że za chwilę wyjeżdżasz do Suffolku. Widziałaś „Timesa”?

– Tak.

– Jestem bardzo, bardzo zadowolony – oznajmił. – Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo. Artykuł przekazuje nowe przesłanie. Sprawia, że wydajemy się bardziej ludzcy, rozsądni i świadomi realiów życia. Wszystkie trzy wykonałyście dobrą robotę, chociaż każda na swój sposób. Świetnie się spisałaś, Martho. Wiem, że nie lubisz rozgłosu, ale będziesz musiała się do niego przyzwyczaić. Zresztą jesteś do tego stworzona.

– Nie, na pewno nie – zaprotestowała. – Mimo to cieszę się, jeśli choć trochę pomogłam. Rozmawiałaś z... Janet?

– Nie, Bob powiedział, że jego żona jeszcze śpi. To trochę dziwne. Jest typowym skowronkiem i zawsze bardzo wcześnie wstaje. A ty zdołałaś się do niej dodzwonić?

– Nie. Ze mną też nie chciała rozmawiać.

– Prawdę mówiąc, zasługuje na odrobinę odpoczynku. Ty również. Nie możesz się przepracowywać, Martho, chociaż wiem, ile dla ciebie znaczą spotkania z przyszłymi wyborcami. Są bardzo cenne. To świetny pomysł.

Tak samo podeszła do sprawy dziewczyna z „Timesa”, co więcej, napisała o tym. Artykuł jest naprawdę bardzo sympatyczny – pomyślała Martha, znów do niego zerkając. Tylko... w jakiś sposób pochlebiał głównie jej.

„Działaczka, Chodzący Ideał i Nowa Twarz” – brzmiał tytuł. Oczywiście Janet była działaczką. Została opisana jako jedna z czołowych postaci nowej partii „w pełni zaangażowana w jej rozwój i dbanie o kondycję zarówno fizyczną, jak i moralną”. Nic więc dziwnego, że Janet wypadła trochę jak... opiekunka do dzieci. Co więcej, na zdjęciu w swoim „mundurku” i z

włosami mocno odczesanymi do tyłu też przypominała nieco nianię. Mary Norton mówiła z kolei o roli kobiet w polityce, o konieczności oddania im większej władzy, o pozytywnej dyskryminacji, o ważnej roli działaczek w tradycyjnych związkach zawodowych, o potrzebie podwojenia liczby żłobków w miejscach pracy, o urlopach ojcowskich i wydłużeniu urlopów macierzyńskich. Jej słowa brzmiały bardzo feministycznie i lewicowo. Martha nie mogła zrozumieć, dlaczego Jack jest tak zadowolony z wystąpienia Mary. Mary, dzięki kędzierzawym szpakowatym włosom, bliźniaczym sweterkom i całkowitemu brakowi makijażu sprawiała wrażenie bardzo dostojnej. Z kolei Martha spoglądała prosto w obiektyw, miała duże brązowe oczy, lśniące włosy zafarbowane w pasemka, a jej strój stanowił rozcięty pod szyją podkoszulek i dopasowany do ciała żakiet. Mówiła, że najbardziej interesują ją zwykli ludzie, wspomniała Linę i koszmarne szpitalny oddział koedukacyjny, swoją szkołę średnią, która niegdyś przygotowywała do egzaminów na studia, a obecnie została zniszczona przez ideę placówki edukacyjnej przyjmującej wszystkie dzieci, niezależnie od uzyskanych wcześniej wyników; opowiedziała o poradach prawnych w swoim rodzinnym mieście i o tym, jak widzi politykę z perspektywy kogoś, kto dopiero niedawno zaczął się nią parać. Na podstawie artykułu można ją było uznać za osobę czarującą, rozważną i skromną; wyglądała ślicznie. Autorka wyróżniła ją, pisząc: „Prawdopodobnie najbardziej ludzka z wszystkich trzech i najbardziej świadoma, czego oczekuje od polityki. Jedyne, która wciąż jeszcze nie straciła kontaktu ze światem realnym. Obdarzona charyzmą, która może zapewnić jej miejsce w parlamencie i umożliwić realizację nowych pomysłów. Jack Kirkland, lider Centru Forward, z pewnością nie myli się, uważając, że Martha Hartley jest przyszłością partii”. To właśnie martwiło Marthę najbardziej, dręczyło od poprzedniego wieczoru, od chwili, kiedy przed wejściem na stację Waterloo przeczytała artykuł, i budziło obawy przez całą niespokojną noc. Fakt, że została bardzo przychylnie potraktowana, wręcz wyróżniona, przeraził ją jeszcze bardziej, gdy okazało się, że Janet nie chce z nią rozmawiać. Zdawała sobie sprawę, że gdyby była na miejscu Janet, nie spodobałaby się jej przypisana rola podstarzałej działaczki, nie przypadłoby do gustu skojarzenia z nianią... ani mało pochlebne zdjęcia. Na przekór zapewnieniom Janet, że nie zwraca uwagi na swój wygląd, przywiązywała do niego bardzo dużą wagę. Dwa razy w tygodniu czesała się u Nicky'ego Clarke'a, a wszystkie jej kostiumy pochodziły od Jaegera i MaxMary. To Mary Norton naprawdę nie przejmowała się wyglądem. Miała zdecydowane poglądy polityczne i była całkowicie zaabsorbowana swoimi ideałami. Problem polegał na tym, że Janet wypadła tak, jakby w porównaniu z dwiema koleżankami miała najmniej charyzmy, tymczasem charyzma stanowiła w polityce podstawę. W końcu to dzięki niej Blair wciąż trzymał się na swoim stanowisku. Martha jeszcze raz wybrała numer Janet i zostawiła następną wiadomość – widocznie Bob zmęczył się pełnieniem funkcji osobistej sekretarki – po czym sprawdziła emaile, na wypadek gdyby Janet coś napisała. Nic, ani słowa. „Wybacz, najdroższa Martho, że nie odpowiedziałam wcześniej. Miałam ciężki poranek. Prawda, że to wspaniały artykuł? Uważam, że ukazał każdą z nas w pełnej krasie. Jestem bardzo zadowolona, zwłaszcza że autorka przekazała prawie wszystkie

moje założenia. Wiem, że Jack też się cieszy. Ślicznie wyszłaś na zdjęciu. Ja i Mary nieco gorzej... ale przecież nie o to chodziło, prawda? Dzięki, że znalazłaś czas”.

Jadąc Mil, Martha czuła, że lada chwila samochód uniesie się nad szosę i pofrunie. Naprawdę powinna przestać martwić się o Janet, najwyraźniej nie ma takiej potrzeby.

Clio zerknęła przez stolik na Fergusa i zastanawiała się, czy mu powiedzieć, że wcale nie musi zdążyć na ostatni pociąg do domu, bo znów zatrzymała się u Jocasty, w Clapham. Niestety, to mogło być... zbyt niebezpieczne. Zabrzmieć jak zachęta. Fergus zakładał, że Clio pojedzie, dwukrotnie przypomniał, że muszą pilnować czasu... i dodał, że raczej nie powinna korzystać z transportu publicznego w sobotni wieczór, czyjej to nie martwi? Clio odparła, że nie ma się czego bać, a jej samochód stoi na stacji. Nie kłamała.

Chociaż, z drugiej strony, świetnie się bawiła. Siedzieli w „Mon Plaisir”, w Covent Garden, panowała sympatyczna atmosfera, jedzenie było wspaniałe, obsługiwali ich przystojni młodzi kelnerzy. Clio całkowicie się rozluźniła. Początkowo była niesłychanie zdenerwowana. Nie miała pojęcia, w co ubierają się obecnie kobiety, idąc do londyńskiej restauracji, a o szóstej, kiedy powinna być w wannie, gorączkowo prasowała kremową jedwabną bluzkę, którą miała od pięciu lat. Kiedy Fergus powiedział jej, że pięknie wygląda, próbowała mu uwierzyć. On oczywiście wspaniale się prezentował w kremowym lnianym garniturze i czarnej jedwabnej koszuli, dlatego poczuła się jak gospodyni domowa z małego miasteczka. Po trzech minutach przestała się przejmować swoim strojem. Fergus przez cały wieczór był słodki, troskliwy, pochlebiał jej i bawił – dlaczego on ją lubi, dlaczego? – rozśmieszał i sam pozwalał się rozśmieszać – jak on to robi? – aż w końcu z całkowitą powagą spytał, czy powinien kupić mieszkanie w Putney.

– Nie mam pojęcia – odparła ze śmiechem. – Nic nie wiem na temat londyńskich nieruchomości. Oczywiście, jeśli dostanę pracę w Bayswater, sama też będę musiała się nad tym zastanowić.

– No tak – powiedział, uśmiechając się do niej – ale masz bardzo dużo zdrowego rozsądku, a ja przynajmniej na razie nie mogę sobie pozwolić na żadne szaleństwo.

– W takim razie nie kupuj mieszkania.

– Wiedziałem, że to powiesz.

– Więc po co pytałeś?

– Myślałem, że jeśli zdołam cię przekonać, jednocześnie przekonam sam siebie. Jest naprawdę piękne, niemal nad samą Tamizą i ma maleńki ogródek na dachu... no, może bardziej balkonik. Spodobałoby ci się, Clio.

Zastanawiała się przez chwilę nad znaczeniem jego słów, potem ze smutkiem stwierdziła, że to pewnie tylko figura retoryczna. Potem rozmawiali o przedstawieniach na West Endzie: Fergus spytał, co widziała i co chciałaby zobaczyć.

– My Fair Lady – odparła bez zastanowienia, potem zdała sobie sprawę, że zachowała się jak typowa mieszkanka przedmieść, i oblała się pąsem.

– Ja też. Może więc wybralibyśmy się razem? Chciałbym też obejrzieć Nędzników – ciągnął.

– Widzisz, jaki jestem na bieżąco? Clio obawiała się, że Fergus znów stara się być miły i rozśmiesza ją, więc powiedziała, że też chciałaby się na to wybrać.

– I na Chicago.

– W takim razie mamy mnóstwo do zrobienia – oznajmił i zerknął na zegarek.

Uznała, że jest znudzony.

– Robi się późno – zauważył.

Po chwili dodał, iż wolałby, żeby nie wracała pociągiem. Co zrobić: powiedzieć czy nie? Zdradzić, że wcale nie musi zdążyć na pociąg? Tylko jak to zrobić? Westchnęła, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru, a kiedy Fergus na nią spojrział, powiedziała:

– Przepraszam. Muszę iść do toalety.

Przez chwilę poprawiała makijaż, skrapiała się perfumami i oglądała w lustrze typowy kostium pań w średnim wieku. Kiedy w końcu wyszła, ujrzała, że na jej miejscu przy stoliku siedzi piękna dziewczyna ze wspaniałym kokiem, w jedwabnej, dopasowanej sukience. Prawdopodobnie Fergus się z nią umówił. Być może powiedział: „Kobieta, z którą będę jadł kolację, musi wyjść o jedenastej, bo ma daleko do domu. Po jej zniknięciu będziemy mogli się gdzieś wybrać”. Clio wzięła głęboki wdech i podeszła do stolika.

– O jesteś, Clio! To Joy. Joy Mattingly. Kiedyś pracowaliśmy razem, prawda, kochanie?

– Jasne – odparła, obdarzając uśmiechem najpierw jego, a potem Clio. – Było wesoło, pamiętasz, Fergusie?

Wyjęła z cukierniczki grudkę cukru, zamoczyła ją w kawie Fergususa i zaczęła powoli lizać. Clio obserwowała ją jak zahipnotyzowana.

– Muszę już iść – powiedziała Joy, powoli wstając. Była niewiarygodnie wysoka. – Do zobaczenia, Fergusie. Życzę miłej zabawy.

Wstał i pocałował ją na pożegnanie, potem usiadł i wskazał Clio krzesło.

– Przepraszam.

– Nie, nie, nie ma za co – zapewniła. – Niestety, ja też muszę iść, Fergusie. Jest późno i...

– I możesz nie zdążyć na pociąg – dokończył za nią bezbarwnym głosem. – Oczywiście. Wsadzę cię do taksówki. Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Jasne – zapewniła.

– To dobrze – rzekł Fergus.

Zobaczyła, że przesłał Joy całusa przez całą salę, i poczuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

– Chodź, spróbujemy złapać jakąś taksówkę – zaproponował. Kiedy auto niemal natychmiast podjechało do krawężnika, mężczyzna powiedział żywo:

– W porządku, życzę miłej podróży, Clio. Było mi bardzo miło. Musimy znów kiedyś się umówić.

Szybko wrócił do restauracji. Lekarka patrzyła na zatłoczone ulice, na szczęśliwe pary, które trzymały się za ręce, śmiały się albo obejmowały, i chciało jej się płakać.

Tymczasem w restauracji przygnębiony Fergus mówił wyraźnie znudzonej Joy Mattingly, że

mądra, inteligentna, odnosząca ogromne sukcesy w świecie lekarskim Clio chyba uważa go za niepoważnego i nieciekawego.

– Rzadko podziwiam mądre kobiety, ale ona to całkiem, całkiem inna sprawa – ciągnął. – Stanowi rzadkie połączenie inteligencji i urody. Chyba jednak nic z tego nie będzie. Miałem pewne nadzieje, ale, niestety...

Westchnął, osuszył kieliszek, a potem odrzucił zaproszenie Joy, która zaproponowała mu, żeby się przyłączył do niej i jej koleżanek w AnnabeFs. Spojrzała na niego ze zdumieniem; nigdy wcześniej nie rezygnował z możliwości nawiązania kontaktów. Widocznie jest zakochany.

Rozdział Trzydziesty Trzeci

– Nie, młody człowieku, nie mogę ci tego powiedzieć. Sam rozumiesz, złodziejski honor i tak dalej.

Teddy Buchanan z zarumienioną twarzą opróżniał drugi kieliszek porto. Boże, wydam furę pieniędzy, i wszystko na nic – pomyślał Nick.

– Teddy, podaj mi tylko imię.

– Tylko imię?! Przecież wy, dziennikarze, nigdy nie zdradzacie swoich źródeł, prawda? Więc nie proście nas, żebyśmy to robili. Chyba że wam to odpowiada – pomyślał Nick.

– Nie – zapewnił. – Nie prosimy.

– Niemniej... to była cudowna kolacja. Dziękuję. Posłuchaj... na twoim miejscu spróbowałbym pogadać z Griersem. To porządne chłopisko. Ogromna strata dla partii. Tak czy inaczej, on pierwszy padł ofiarą dziwnych gier, prawda? Na twoim miejscu wyciągnąłbym od niego nieco więcej szczegółów.

– Było prawie pusto – zapewnił Eliot.

Na jego bladej twarzy wyraźnie malowało się zmęczenie. Stracił na wadze.

– Wszyscy poszli wcześniej do domu. Czasami tak bywa.

– Powiedz mi w takim razie... kto wiedział, że masz zamiar oprowadzać swojego gościa po parlamencie?

– Chad, ale on szybko wyszedł. I Janet. Ona też wcześniej wybierała się do domu. Nikogo więcej nie było. Kompletne pustki.

– Rozumiem – powiedział Nick. – Czyli... łatwiej byłoby zauważyć, gdyby ktoś cię zobaczył.

– Tyle że nikt mnie nie widział, słowo daję. Stary gliniarz... ale oni tego nie robią, prawda?

– Nie – odparł Nick. – Oni nie. Twierdzisz, że Janet wyszła?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Chyba nie będziesz mi wmawiał, że to Janet na nas donosi? Na swoją partię? To byłby absurd.

– Tak sędzę – przyznał Nick.

– Nie możemy się na to zgodzić – powiedziała Helen. Była zarumieniona i bliska łez.

– Nie ma takiej możliwości, prawda, Jim?

– Nie, nie możemy. Kate jest za młoda i za wrażliwa.

Fergus przypuszczał, że tak będzie. Do pewnego stopnia był pod wrażeniem. Niewiele osób odrzuciłoby trzy miliony dolarów. Co więcej, w jakiś sposób nawet się z nimi zgadzał. Tylko...

– Helen, Jim, ludzie ze Smith proponują furę pieniędzy – przypomniał łagodnie.

– Wiemy – przyznała matka Kate. – I między innymi dlatego to się nam nie podoba.

– Wiem, ale zastanówcie się. Proszę. Pomyślcie przez chwilę. Mogą się spełnić wszystkie wasze marzenia dotyczące Kate. Wspaniałe podróże, studia uniwersyteckie, wszystkie tego typu

rzeczy. Poza tym co macie zamiar jej powiedzieć?

– Nie możemy jej przekazać, że im się nie spodobała?

– Nie. To nie wchodzi w rachubę. Jak sądzicie... co by powiedziała, gdyby za parę lat dotarło do niej, że odrzuciliście tę propozycję, w ogóle się z nianie konsultując? Byłaby bardzo zła. I zdaniem wielu osób miałyby rację.

– Tak, ale musimy brać pod uwagę jej dobro w obecnej chwili – oznajmiła Helen. – Kate jest bardzo wrażliwa. To dziecko, Fergusie, nie człowiek dorosły...

Po jego wyjściu Helen i Jim obejrzeni zdjęcia córki.

– To jest bardzo, bardzo trudne – powiedziała Helen.

– Wiem – przyznał Jim.

– Martha? Martha Hartley?

– Tak. O co chodzi?

Dzwonił Malcolm Farrow, szef kampanii reklamowej Centru Forward. Koniecznie i jak najszybciej musi z nią porozmawiać: twórcy „Question Time” chcą, żeby wystąpiła u nich w tym tygodniu. Clare Short wyjechała w ostatniej chwili, dlatego chcieliby pokazać Marthę.

– O Boże! – Poczula, że ogarnia ją potworne przerażenie. – Niech zaproszą Janet Freaan – zaproponowała. – Naprawdę. Powiedz im, żeby ją zaprosili.

– Zrobiliśmy to – przyznał Farrow z pewnym skrępowaniem – ale oni wolą ciebie.

– Nie mogę – odparła Martha spokojnie. – Jestem bardzo zajęta, a poza tym co powie Janet?

Martha nawet nie chciała myśleć o tym, jak musi się czuć Janet, wiedząc, że została odrzucona przez „Question Time” i że najbardziej pożądany przez polityków program, emitowany w czasie największej oglądalności, woli Marthę... Będzie wściekła. Będzie... O Boże, a jeśli zechce się zemścić? Co wtedy zrobi?

– Nie mogę – powtórzyła. – Bardzo mi przykro.

– Cześć, Martho, mówi Jack. Dlaczego nie chcesz wziąć udziału w „Question Time”? Musisz się zgodzić. To życiowa szansa.

– Nie mogę, Jack.

– Martho, tu Chad. Słyszałem, że nie zgodziłaś się wystąpić w „Question Time”. Większość ludzi wiele by dała, żeby móc się tam pojawić. Byłabyś cudowna. Zrób to.

– Chad, nie mogę!

– Martho, to ja, Mary Norton. Zgódź się na udział w „Question Time”. Musisz to zrobić. Nie ma żadnej wymówki.

– Nic z tego, Mary.

– Martho, mówi Nick Marshall ze „Sketcha”. Spotkaliśmy się kilka razy. Słyszałem, że odrzuciłaś propozycję wystąpienia w „Question Time”. Czy mógłbym zacytować twoją wypowiedź na ten temat?

– Martho, tu Paul Quenell. Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że zaproszono cię do „Question Time”. Jestem pod wrażeniem. Co ty na to? Oczywiście, musisz się zgodzić. Będę z

ciebie bardzo dumny. Zwłaszcza jeśli przy okazji wspomnisz Wesley.

– Paul, naprawdę nie mogę.

– Martha? Witaj, moja droga, tu Geraldine Curtis. Właśnie usłyszałam cudowną wiadomość o „Question Time”. Oczywiście wystąpisz, prawda? Co takiego? Czemu nie? Wszysey w Binsmow tak się cieszą. Możesz bardzo dużo zdziałać dla miasta.

– To ty, Martho? Mówi mama. Czy to prawda, że wystąpisz w „Question Time”? Nie? Tak właśnie myślałam, że to raczej niemożliwe. Wielka szkoda, kochanie.

Jedyną osobą, która najwyraźniej nie chciała rozmawiać z Martha, była Janet. Prawniczka dzwoniła do niej przynajmniej pięć razy. Trudno się dziwić. Co ona ma teraz począć?

– Martho, kochanie, mówi Janet. Słyszałam, że zaproszono cię do „Question Time”. Uważam, że to cudownie. Oczywiście musisz się zgodzić, jeśli tylko uznasz, że jakoś sobie poradzisz. To potwornie ciężkie przeżycie. Wiem coś o tym, bo występowałam u nich kilka razy. Najtrudniej jest zacząć, potem wszystko idzie jak z płatka. Co takiego? Nie, naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, cieszę się, że to nie ja. Będę zadowolona, mogąc cię obejrzeć. Gdybyś potrzebowała jakichś rad, możemy urządzić sobie małą sesję, na przykład w poprzedzający wieczór albo coś koło tego.

Janet nie ma nic przeciwko temu! Janet nie ma nic przeciwko temu! Ucieszyła się. Boże, jest taka miła! Taka życzliwa! Może w takim razie warto się zgodzić?

– Czy to Kate? Kate Tarrant?

– Tak.

– Cześć, Kate, mówi Jed. Asystent pana Corellego.

– O, cześć.

– Mistrz pyta, gdzie kupiłaś dzinsy. Zapisał to na kartce, ale gdzieś ją zgubił.

– U Harveya Nicholisa – odparła Kate.

– U Harveya Nicholisa?! To cudownie. Wybierzemy się tam jutro. Jak podobały ci się zdjęcia?

– Jeszcze ich nie widziałam.

– Wysłałam kilka do twojego agenta.

– Taak? Dzisiaj jeszcze się z nim nie widziałam. Byłam na zakupach.

– Rozumiem. Słyszałam, że byli bardzo, bardzo zadowoleni. To znaczy ludzie ze Smith. Musisz być niezłe podekscytowana.

Zakończyła rozmowę i natychmiast zadzwoniła do Fergus. Kate była wściekła: miała zarumienioną twarz, błyszczące oczy i zaciśnięte pięści.

– Dzięki, że poinformowaliście mnie o wszystkim!

– O czym, Kate?

– Dobrze wiecie. O kontrakcie. Fergus powiedział mi, że z wami rozmawiał i że to was powinnam pytać.

– Rzeczywiście z nami rozmawiał.

- Kiedy... kiedy to było?
- Wczoraj, kochanie.
- I nie przyszło wam do głowy, żeby mi powiedzieć?
- Czekaliśmy na odpowiednią chwilę.
- Tak? – spytała Kate. – Właśnie nadeszła.
- Nie ma taty.
- Guzik mnie to obchodzi.

– Ale mnie tak – podkreśliła Helen. – To ważna sprawa i nie chcę jej omawiać bez twojego ojca.

Kate wyszła z domu, tak mocno strzelając drzwiami, że zadrżały szyby.

Kelner położył smażonego łososia na talerzu i bardzo ostrożnie polał go sosem, a potem, pochylając się nad Nickiem, by delikatnie postawić na stole warzywa, konspiracyjnie szepnął:

- Ma pan coś w kieszeni marynarki, panie Marshall.
- Dziękuję. Najmocniej dziękuję.

Nick jadł lunch w jadalni biura prasowego z jednym z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tak szybko, jak mógł, przeprosił swojego rozmówcę i wolnym krokiem wyszedł z jadalni. Jego marynarka wisiała na wieszaku. Wziął ją beztrząsco, poszedł do toalety i usiadł w jednej z kabin. Nie po raz pierwszy zdarzyło mu się coś takiego; był to powszechnie przyjęty sposób dyskretnego przekazywania informacji. Niemniej każdorazowo w takim przypadku dziennikarza ogarniało podniecenie, czuł się jak uczestnik miniseriale albo czegoś podobnego.

W wewnętrznej kieszeni znalazł starannie złożoną karteczkę z napisem: „Poufne”.

„Bardzo chciałabym w którymś momencie z Tobą pogawędzić o partii Centré Forward i jej przyszłości. Mam informacje, które mogą Cię zainteresować. Może zadzwoniłbyś na moją komórkę”.

Poniżej był podpis: „Janet Freaan”.

Clio często uważała, że gdyby zawsze mówiła prawdę, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Gdyby przyznała się Markowi, że ma rozmowę kwalifikacyjną, zamiast usprawiedliwiać zwolnienie się z pracy w godzinach lunchu fikcyjną wizytą u ortodonta, wtedy... wszystko ułożyłoby się tak, jak powinno. Wzięłaby dzień urlopu, żeby przygotować się do rozmowy, pojechałaby rankiem do Londynu i na wszystko miałaby czas. Niemniej rozmowa kwalifikacyjna została wyznaczona na tak późną porę, że Clio mogła bez problemów pójść rano do przychodni, potem wrócić do domu, przebrać się w nowy kostium i złapać pociąg koło drugiej. Wystarczyło tylko, by ktoś ją zastąpił podczas popołudniowych wizyt domowych, zwłaszcza że było ich zaledwie kilka.

Przyjmując taki plan działania, ubrała się rano w bluzkę, która była... no, może nie okropna, ale z pewnością niemodna i sprana, oraz spódniczkę, która również pamiętała lepsze czasy. Nogi wsunęła w najstarsze i najwygodniejsze buty. Godziny przyjęć znacznie się wydłużyły: Clio

skończyła dopiero za dziesięć pierwsza, ale wciąż miała jeszcze dość czasu. Będzie w domu o pierwszej, a potem...

– Clio? Dzwonią do ciebie z Laurels. – W głosie Margaret słychać było dziwny niepokój. – Przełożona pielęgniarek mówi, że to ważne. Chodzi o Morrisów.

– Połącz mnie – powiedziała lekarka.

Jak się okazało, tego ranka zmarła pani Morris.

– Odeszła całkiem spokojnie. Pan Morris przez cały czas był przy niej.

– To smutne... – Oczy Clio napełniły się łzami. – Tak mi przykro, bardzo przykro. Jak się miewa pan Morris?

– Właśnie z jego powodu dzwonię – wyjaśniła pielęgniarka. – Jest bardzo nieszczęśliwy. Chce się z panią zobaczyć. Czy mogłaby pani...

– Nie – odparła Clio. – Muszę jechać do Londynu i... Dziesięć minut później była w Laurels.

Pan Morris siedział przy zmarłej żonie i trzymał ją za rękę. Miała na sobie świeżą koszulę nocną, a jej twarz rozjaśniał łagodny, spokojny uśmiech. Clio przyciągnęła krzesło, usiadła obok pana Morrisa i ujęła go za drugą rękę. Spojrzał na nią i powiedział, nie zważając na to, że łzy płyną mu po twarzy:

– Odeszła, pani doktor. Beze mnie.

– Wiem – rzekła Clio łagodnie. – Wiem. Tak mi przykro.

– Obiecała, że tego nie zrobi. Obiecała, że na mnie zaczeka. Co ja teraz bez niej pocznę?

O drugiej z piskiem opon ruszyła spod domu opieki, o kilka centymetrów mijając podjeżdżającego vana rzeźnika. Była zadowolona, że przyjechała. Niezależnie od tego, ile jato będzie kosztowało.

Co dalej? Jeśli pojedzie prosto na dworzec, może jeszcze uda jej się złapać pociąg o wpół do trzeciej. Dzięki temu dotrze na czas, zdoła się uspokoić, pozbierać myśli i stawić się na rozmowę punktualnie o wyznaczonej porze, tyle że w starej spódnicy, znoszonej bluzce i zniszczonych butach. Może też pojawić się w eleganckim stroju, ale... ze sporym opóźnieniem. Clio wyobraziła sobie ludzi, którzy prawdopodobnie będą siedzieli za stołem, i uznała, że nawet nie zwrócą uwagi na jej zakiet od Paula Costelloe i spodnie Jigsaw. Skręciła na stację.

– Niech to jasna cholera! – powiedział Eliot Griers. Chad Lawrence spojrział na niego zaskoczony; niewiele osób słyszało, by Eliot kłął. W normalnych warunkach nie uraziłby uszu nawet najstarszych zakonnic.

– Przyszło mi na myśl, że to może... cię trochę pocieszyć – wyjaśnił Chad.

– Nie mogę uwierzyć. Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej, ty beużyteczny cholerniku?

– Eliocie! – zaprotestował ze śmiechem. – Naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro, ale kompletnie zapomniałem. Sam wiesz, że czasami pewne sprawy schodzą w myślach na dalszy plan, ale nadal... tam są. Wielokrotnie wracałem do tamtego wieczoru, próbując sobie przypomnieć wszystko, co się wtedy wydarzyło, i nagle wczoraj wieczorem sobie

przypomniałem. Ona na pewno wróciła, bo gdzieś zostawiła komórkę. Ty wyszedłeś z tą swoją lalunią...

– Ona nie jest moją lalunią.

– W porządku, ze swoją załamaną wdową czy rozwódką, zresztą nieważne. Janet mogła... przynajmniej nie można tego wykluczyć... mogła was widzieć. To całkiem możliwe. Miała w rękach również wyniki sondazy.

Clio w ostatniej chwili złapała pociąg o wpół do trzeciej. Usiadła w rogu przedziału i próbując złapać oddech, zaczęła szukać w torebce grzebyka. Bez skutku. Na szczęście zawsze nosi drugi, maleńki w kosmetyczce, więc...

– Cholera! – powiedziała na głos.

Nie miała również kosmetyczki. To straszne.

Włączyła telefon, który wyciszyła przy biednym panu Morrisie.

Jak się okazało, czekał na nią SMS od Fergususa. „Życzę szczęścia podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Mam nadzieję, że ubrałaś się w sukienkę, w której byłaś na przyjęciu Jocasty”. Co za cudowny człowiek! Może wcale nie uznał jej za taką tępą, może... Odpisała.

„Bardzo, bardzo dziękuję. Chciałabym. Mam na sobie najstarsze ciuchy pod słońcem. Wyglądam okropnie. Clio”.

Odpisał od razu.

„Co się stało?”

„To długa historia. Może się nie udać”.

Dzięki temu przynajmniej mijał czas. Cholera!

„Przepraszamy pasażerów za spóźnienie. Z powodu awarii sygnalizacji na stacji Waterloo pociąg zakończy kurs w Vauxhall.

Proponujemy naszym klientom...”

Klientom?!

– Do jasnej cholery, nie jesteśmy klientami! – krzyknęła do nieszczęśliwego konduktora, który szedł przez wagon. – Jesteśmy pasażerami. Ludźmi, którzy chcą gdzieś dojechać. Waszym pociągiem. Wie pan?

Wzruszył ramionami.

– To nie moja wina, kochanie – zapewnił i poszedł dalej. Cholera, cholera, cholera! Po prostu może od razu pożegnać się z wymarzoną pracą. Nie dostanie jej. Równie dobrze... Zadzwoiła jej komórka.

– To ty, Clio? Mówi Fergus. Stało się coś złego? Jocasta z wielkim zapalem przygotowywała się na powrót Gideona. Wypełniła dom kwiatami, podcięła włosy, kupiła nawet nową koszulę nocną z Agent Provocateur. Prawdopodobnie będzie ją miała na sobie zaledwie kilka minut. Była śliczna. Chociaż „śliczna” to nieodpowiednie słowo. Raczej seksowna. Bardzo, bardzo skąpa, uszyta z czarnej satyny i kremowej koronki. Na pewno spodoba się Gideonowi. Był trochę staroświecki, jeśli chodzi o bieliznę. W ogóle był staroświecki.

Kupiła również bilety na koncert Mozarta w Wigmore Hall, koncert, który z pewnością bardziej ucieszy Gideona niż ją, i zarezerwowała stół w „Caprice” na kolację.

Była zadowolona z siebie; to powinno go usatysfakcjonować, pokazać, że jest dojrzałą kobietą i idealną żoną, a nie rozkapryszonym bachorem. Jak jego cholerna córka.

Spojrzała na zegarek i westchnęła: była zaledwie połowa piątkowego popołudnia. Jak spędzić resztę dnia? Może wybrać się na następne zakupy? Nie, pobiega po parku.

Nagle przypomniała sobie, jak Nick w niedzielne poranki wybiegał z jej domu, jak jego długie, smukłe ciało poruszało się z dużą gracją wzdłuż ulicy, jak podskakiwały mu brązowe włosy i jak bez oglądania się machał jej ręką. Potem zazwyczaj wracał, robił sobie kawę, szybko próbował rozmrozić sok pomarańczowy, który na zbyt długo wstawiła do zamrażalnika, i porządkował stos gazet leżących na łóżku. Często też w niedzielne poranki kochali się powoli, bez pośpiechu; Jocasta nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak Nick potem mógł biegać.

Przestań, Jocasto! To był wspaniały i zabawny związek, pełen fantastycznego seksu, ale Nick cię nie kochał. No, może trochę, nie tak jak Gideon.

Fergus obiecał, że będzie czekał na Clio na Vauxhall.

– Potem z łatwością przetnę Londyn. Przejadę przez Vauxhall Bridge, Park Lane i migiem będziesz na miejscu. Nie martw się. Protestowała, mówiła, że Fergus na pewno ma inne pilne zajęcia, ale odparł tylko:

– Nonsens. Dziś po południu jestem wolny. Czekala mnie gorąca randka z inspektorką VAT-u, ale przyszła dziś rano. Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

– Hm... – Zawahała się. – Prawdę mówiąc, Fergusie, gdybyś mógł...

Musi ją lubić, naprawdę.

Pociąg wjechał na Vauxhall o piętnastej trzydzieści pięć. Fergus czekał przed dworcem z dużą torbą z Boots.

– Na tylnym siedzeniu masz żakiet. Powinien na ciebie pasować.

Nie jest zły; prawdę mówiąc, nawet mi się podoba. Zostawiła go moja była dziewczyna. To Jigsaw, dwunastka.

– Och, Fergusie! – zawołała Clio i nie zastanawiając się, czy może go zawstydzić, czy nie, obdarzyła go całusem. – Jesteś prawdziwym aniołem.

– Nie do końca, a już na pewno ona była innego zdania, ale... chodź do samochodu, w drodze będziesz mogła poprawić makijaż. Nawet kupił jej jakieś chusteczki.

Za pięć czwarta stali na początku Park Lane.

– Cześć, Clio! – To sekretarka Dziobaka. – Jesteś już w budynku?

– Nie – załkała Clio. – Tkwiemy w korku na początku Park Lane. Może ktoś z komisji się spóźni?

– Obawiam się, że nie. Poza tym doktor Smartarse... tylko ja ci tego nie powiedziałam... twój jedyny prawdziwy rywal, jest już w budynku. Lada chwila będzie na miejscu. Boże, Clio, czy mam ich uprzedzić?

– Chyba lepiej tak – odparła lekarka.

Piętnaście po czwartej zbliżali się do Sussex Gardens; auta wciąż w żółtym tempie posuwały się do przodu.

– Myślę, że szybciej dotrzesz stąd na piechotę – powiedział Fergus. – Ja gdzieś zaparkuję i spróbuję cię znaleźć. Życzę powodzenia. Będę czekał.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i ruszyła biegiem, ciesząc się, że ma na nogach stare buty. Gdy dotarła do drzwi Royal Bayswater, zdała sobie sprawę, że zostawiła w samochodzie swoje notatki.

Gdy Fergus próbował na wstecznym ustawić auto w miejscu, w którym za nic w świecie nie chciało się zmieścić, na dodatek na podwójnej żółtej linii, zauważył na tylnym siedzeniu notatki Clio do rozmowy kwalifikacyjnej: wyjaśnienia, dlaczego zależy jej na tej pracy, rozważania na temat polityki zdrowotnej państwa, pozyskiwania środków finansowych oraz znaczenia oddziału geriatrycznego dla całego szpitala. Przeglądała je po drodze, próbując się uspokoić. Najwyraźniej były ważne. Niestety, miała nad nim pięć minut przewagi. Przynajmniej pięć, a szpital wciąż był daleko.

Clio stanęła w recepcji, starając się zwrócić na siebie uwagę kobiety, która nie wiedziała o rozmowach kwalifikacyjnych ani o jej spóźnieniu.

– Proszę zadzwonić do sekretarki profesora Bryana – zaproponowała. – Ona będzie wiedziała, gdzie powinnam się zgłosić.

Boże! Gdyby tylko miała notatki! Niestety, zostały w samochodzie. Clio miała kompletną pustkę w głowie.

– Wejdz, Clio. Dali ci czas do wpół do piątej, zrobiłam im następną herbatę.

To sekretarka Dziobaka. Będzie musiała wysłać jej kwiaty.

– Clio!

A to Fergus, który machał czymś w jej stronę. Jej notatkami.

– O mój Boże! – westchnęła z ulgą. – Jak ci się to udało?

– Niegdyś miałem medal w biegach. Była to jedyna nagroda, jaką zdobyłem podczas studiów – powiedział. – Zaczekam tutaj. Ładnie ci w tym zakiecie – dodał. – O wiele ładniej niż jej.

– Twój chłopak? – spytała sekretarka Dziobaka. – Jest naprawdę słodki.

Gdy weszła na salę, wszyscy spojrzeli na nią chłodno. Nawet Dziobak. Było ich pięciu; niektórych znała, innych nie. Dyrektor administracyjny szpitala, biegły z zewnątrz, dyrektor kliniczny, jeden z lekarzy specjalistów... i Dziobak.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała, opadając na krzesło, które jej wskazano. – Wszystko mogę wytłumaczyć...

– Nie teraz – oznajmił administrator. – Myślę, że mamy już wystarczająco duże opóźnienie. Pora zacząć...

Co dziwne, gdy tylko otworzyła usta, od razu się uspokoiła, wszystkie dane i teorie utworzyły logiczną i uporządkowaną całość, wspartą przez osobiste doświadczenie, i cała

prezentacja wypadła tak, jak powinna. Clio gładko odpowiedziała na wszystkie pytania, wyraziła pogląd, że zarówno geriatryka, jak i cała medycyna powinny służyć ludziom starszym, umożliwić im funkcjonowanie w społeczeństwie poprzez ciągłe monitorowanie ich stanu zdrowia, stosowanie odpowiednich lekarstw i wsparcie pracowników pomocy społecznej. Clio miała własny pogląd na temat wykrywanej często u ludzi starszych cukrzycy i tego, jak radzić sobie z udarami, co więcej, znała wszystkie najnowsze środki farmakologiczne, zarówno amerykańskie, jak i angielskie. Zauważyła, że wywarła na komisji dobre wrażenie. Opisała swoje wizyty w innych szpitalach, powiedziała, jak bardzo spodobał się jej dom opieki w Highbury i stosowane tam metody, dzięki którym pacjenci mają dużą niezależność. Na koniec zgodziła się z protestami opiekunów, którzy na co dzień zajmowali się ludźmi starszymi, ale którym ogólnym nakazem bezmyślnie zabroniono podawania podopiecznym lekarstw.

– Wiem że to bardziej polityka niż medycyna – przyznała – ale jest to niezwykle ważne. Jestem święcie przekonana, że mielibyśmy mniej szpitali, potrzeba by było mniej łóżek i byłoby mniejsze zapotrzebowanie na domy opieki, gdyby udało się nam rozwiązać ten problem.

Ku własnemu przerażeniu usłyszała, że głos jej drży i mówi to wszystko ze łzami w oczach, przez cały czas z ogromnym żalem myśląc, że państwo Morrisowie wciąż mogliby we dwoje spokojnie mieszkać we własnym domu, gdyby codziennie dostawali swoje leki w odpowiednim czasie i odpowiednich ilościach.

– Przepraszam – powiedziała, widząc, że członkowie komisji dziwnie jej się przyglądają – ale miałam ciężki dzień z powodu pewnego pacjenta. Dlatego właśnie się spóźniłam.

– Może nam pani o tym opowie, pani doktor – zaproponował Dziobak łagodnym głosem, wyraźnie dostrzegając, że jest szansa, by Clio zdobyła dodatkowe punkty.

Czekała na zewnątrz z trójką pozostałych kandydatów. Jeden z nich, prawdopodobnie doktor Smartarse, przebierał palcami po udzie i co chwila zerkał na zegarek. Pozostała dwójka czytała gazety i też nie była nastawiona zbyt przyjaźnie. Clio założyła, że są na nią źli. W końcu postanowiła przełamać ciężką atmosferę.

– Przepraszam, że się spóźniłam – zaczęła – ale...

W tym momencie otworzyły się drzwi, zapadło długie milczenie, a po chwili padły słowa:

– Doktor Scott, może pani wrócić.

Nie była pewna, kiedy wszystko się popsuło. Były uściski i pocałunki przed szpitalem, poczucie cudownej euforii i dzielonego z drugą osobą tryumfu. Fergus nawet przyniósł jej jakieś kwiatki.

– Wiedziałem, że będziesz na nie zasługiwać – oświadczył. Uparł się, że zabierze ją do Covent Garden.

– To idealne miejsce, by uczcić taki sukces. Przypomniała sobie sobotnią kolację i miała nadzieję, że Fergus wie, co mówi. Zamówił butelkę szampana.

– Pani zdrowie, doktor Scott. – Uniósł kieliszek. – Jestem dumny, że cię poznałem.

– Dziękuję. Cała butelka?! Fergusie! Chyba masz oczy większe od brzucha, jak mawiała

moja niania.

– Niania? Podoba mi się – powiedział. – Tam, skąd pochodzę, rolę niani pełniła babcia.

– Miałam nianię tylko dlatego, że wychowywałam się bez mamy – wyjaśniła Clio.

Poczuła, że się rumieni. Czy ten moment wszystko zepsuł? Nagle poczuła się niezręcznie, gdzieś prysnęła radość i beztroska.

– Nie miałaś matki?

– Nie. Zmarła, gdy byłam niemowlęciem.

– Jakie to smutne!

– Wcale nie. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale w ogóle jej nie znałam, więc nawet nie wiedziałam, że może być inaczej. Wolałabym jednak o tym nie mówić. Och, Fergusie! Nigdy nie dokonałabym tego bez ciebie. Nigdy. Po prostu nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie musisz. Całą nagrodą jest dla mnie fakt, że dostałaś tę pracę. Tak długo cię nie było – dodał – że zastanawiałem się, czy nie wyszłaś tylnymi drzwiami.

– Nie mogłam tego zrobić, Fergusie. Podczas takich rozmów jest dużo spraw do omówienia, dyskusja w niczym nie przypomina zwyczajnej rozmowy kwalifikacyjnej...

Urwała, czując, że przemawia protekcyjnie.

– Domyślałam się. Jedyna rozmowa kwalifikacyjna, na jakiej byłem, związana była z naborem na stanowisko pracownika biurowego. Trwała mniej więcej dwie i pół minuty. Od tego czasu sam kierowałem swoją karierą.

– Niestety, w przypadku lekarza takie rozwiązanie nie wchodzi w grę – stwierdziła.

Cholera! Znow to zrobiła! Uśmiechnęła się do niego przerażona, że mówi jak nauczycielka.

– Najwyraźniej nasze światy znacznie się od siebie różnią – powiedział.

Tym razem nie odwzajemnił się jej uśmiechem. Zaczęła ją ogarniać panika. Nie chciała wszystkiego zepsuć. Nie teraz. Nie w dniu, kiedy tak dużo dla niej zrobił.

– Jesteś taki miły, Fergusie – powiedziała. – Bardzo, bardzo miły.

– Nie przesadzajmy w pochwałach – zaprotestował. – Każdy przyjaciel zrobiłby to samo.

Przyjaciel. Każdy przyjaciel. Więc tak ją traktował. Po prostu pomógł przyjaciółce.

– Co robisz dziś wieczorem? – spytał.

– Wracam do siebie.

– Musisz?

– Tak – zapewniła.

Nie chciała, żeby czuł się zmuszony do zabawiania jej i celebrowania z nią zwycięstwa. Już i tak zajęła mu wystarczająco dużo czasu.

– No cóż, ja też muszę wracać do biura.

– Na pewno. Zajęłam ci przynajmniej kilka godzin, które mogłeś przeznaczyć na coś pożytecznego.

– Dyskutowałbym z tobą. Czy to takie pożyteczne?

– Co? Twoje zajęcia? Nie bądź głupi.

– Nie jest zbyt pożyteczne, prawda? Nie tak jak praca lekarza – powiedział z wyraźnym zniecierpliwieniem, jakby próbował się bronić. – Tak czy inaczej, z prawdziwą przyjemnością ci pomogłem. Naprawdę.

Po długiej chwili milczenia spytał:

– Mogę cię podwieźć na Waterloo?

– Nie... Dziękuję. To już byłaby przesada. Wezmę taksówkę. Tak będzie lepiej, uwierz mi.

– Dobrze – powiedział chłodnym, obojętnym głosem. – Świetnie. Wszystko szło źle. Bardzo źle. Clio rozejrzała się po barze; było w nim mnóstwo ładnych dziewcząt z długimi, opalonymi nogami, w skąpych bluzeczkach. Poczula, że nie pasuje do tego grona, zwłaszcza że ma na sobie beznadziejną spódniczkę i zsunięte z nóg buty. Do tego... o Boże, cieliste rajstopy. Co gorsza, zakieł, który pożyczył jej Fergus, był nieco za ciasny. Jego była dziewczyna musiała być naprawdę chuda. Clio uznała, że pora wyjść.

– Pójdę poszukać taksówki. Chyba nie byłabym w stanie przejść ani metra.

Wstała.

– Jeszcze raz dziękuję za szampana, Fergusie. I za wszystko.

– Jeszcze sporo go zostało – pokazał.

– Na pewno jakoś sobie z nim poradzisz. Boże! Teraz pomyśli, że uważa go za alkoholika.

– Nie mogłabyś zostać jeszcze chwilę i wypić ze mną następny kieliszek?

Wiedziała, że powinna się zgodzić. Fergus na pewno uważa, że wykorzystywała go przez całe popołudnie, a teraz chce uciec, ale czuła, że z każdym słowem coraz bardziej się pograża.

– Nie, nie, nie mogę. Bardzo bym chciała, ale... naprawdę muszę wracać. Do... Laurels... no wiesz, tego domu opieki. Obiecałam, że jeszcze do nich wpadnę.

– W porządku. Widzę, że to dla ciebie rzeczywiście ważne. W takim razie odprowadzę cię do taksówki.

– Nie musisz.

– Wiem – zapewnił – ale chcę. Zostałem dobrze wychowany. Mimo że nie miałem niani.

– To głupota, Fergusie, naprawdę...

– Jestem dość głupim facetem. Chodź.

Zastanawiała się, gdzie zniknęło poczucie szczęścia, tryumfu i bliskości? Kupił jej z Boots szminkę i tusz, potem przebiegł przez Sussex Gardens, żeby dostarczyć jej notatki. Jakim cudem udało jej się wszystko zepsuć, i to tak szybko? Boże, jest naprawdę okropna! Beznadziejna. Naprawdę beznadziejna.

– Masz taksówkę – rzekł.

– Dziękuję. Dzięki, Fergusie, za wszystko. Mam nadzieję... Na co miała nadzieję? Wszystko, co mogłaby powiedzieć, zabrzmiałoby bardzo głupio. Albo wyglądało na narzucanie się.

– Mam nadzieję, że spełnią się wszystkie twoje plany. Skąd jej się to wzięło?

– Spełnią się – zapewnił. Wsiadła do taksówki.

– Waterloo – powiedziała do kierowcy i odwróciła się, chcąc się pożegnać.

Tymczasem Fergus jednym szarpnięciem otworzył drzwi i usiadł obok niej.

– Pana policzę osobno – zapowiedział taksówkarz, włączając licznik.

– Nie ma sprawy – zgodził się Fergus.

– Fergusie, co...

– Chcę z tobą porozmawiać – oświadczył. – Zrozumieć... dlaczego nagle zachodzi w tobie taka zmiana. Zmiana, która wciąż się powtarza. W jednej chwili jesteś ciepła i rozmowna, a potem odgradzasz się murem chłodu i trzymasz mnie na odległość ramienia. O co chodzi? Co ja takiego robię?

– Nie chodzi wcale o ciebie – zapewniła szybko. – Tylko o mnie.

– To znaczy?

– Nie umiem ci tego wyjaśnić. – Jej głos zabrzmiał żałośnie.

Ku swojemu przerażeniu nagle poczuła, że zbiera jej się na płacz. Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nos.

– Katar sienny – skłamała.

– Nie widzę tu żadnych traw – oznajmił, biorąc od niej chusteczkę i czule wycierając jej oczy. – Daj spokój, Clio, powiedz mi, proszę, co się dzieje, bo jeśli nie... – Wyjrzał przez okno. Byli na moście Waterloo. – To rzucę się do rzeki.

Clio wbrew własnej woli zachichotała, a potem niezbyt romantycznie pociągnęła nosem.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Bzdury! – burknął i zaczął otwierać drzwi.

– Spokojnie. Są zamknięte – przypomniał kierowca.

– Clio! Powiedz!

– O Boże! – Łzy płynęły jej strumieniami. – Po prostu... po prostu... jestem taka... taka tępa... stara i...

– O czym ty mówisz? – spytał szczerze zaskoczony.

– Jestem tępa, nieciekawa. Zbyt poważna. W niczym nie przypominam twoich znajomych. Na przykład Joy z poprzedniej wyprawy do restauracji. Nie wiem, czemu zaprosiłeś mnie na kolację, Fergusie, przypuszczalnie chciałeś być po prostu miły i byłeś miły, ale...

– Które wejście? – spytał kierowca.

– Może być... Eurostar – strzelił Fergus. – Clio, chciałem zjeść z tobą kolację, bo uwielbiam twoje towarzystwo... ubóstwiam twoje towarzystwo. Jesteś bardzo interesującą istotą, wyjątkowo rozważną...

– O tak – przerwała mu. – Interesująca i rozważna. To brzmi naprawdę ekscytująco...

– Dla mnie jest, idiotko – powiedział. Spojrzała na niego zaszokowana.

– Co powiedziałaś?

– Że dla mnie jesteś ekscytująca. Nawet bardzo, a dzisiaj byłem z ciebie taki dumny, że...

– Tak, ale użyłeś jakiegoś epitetu.

– Powiedziałem, że jesteś idiotką. Przepraszam.

– Siedem funciaków – wtrącił taksówkarz.

Fergus sięgnął po portfel, wyjął banknot dziesięciofuntowy i podał go kierowcy.

– Proszę nie wydawać.

– Fergusie, nie rób tego – zaprotestowała Clio, zaszokowana jego ekstrawagancją. – Nie możesz dawać mu trzech funtów napiw...

– Mogę. Zapewniam cię, że mogę. Wsiadaj! Wyskoczyła i potulnie poszła za nim do budynku Eurostar, a potem do windy. Na górze obrócił ją twarzą do siebie.

– Posłuchaj – zaczął. – Nie wiem, jak mam cię przekonać, że moim zdaniem jesteś niesamowicie atrakcyjna. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Czego jeszcze chcesz, kobieto? Podpisanej deklaracji? Masz... – Wyciągnął z kieszeni mały notes. – Proszę. „Ja, Fergus Trehearn, uważam ciebie, Clio Scott – nie wiem, jak się nazywasz po mężu, ale gdybym go dopadł, tak dołożyłbym mu za to, co ci zrobił, że zobaczyłby wszystkie gwiazdy – za niewiarygodnie ekscytującą, interesującą i godną pożądania. Bardzo chciałbym tu, w tym miejscu, rozebrać cię do naga”.

Oderwał kartkę i wręczył ją Clio.

– Czy to wy starczy? A teraz lepiej chodźmy poszukać twojego cholernego pociągu.

Clio stała nieruchomo i przez dobrą chwilę najpierw patrzyła na niego, a potem na kartkę. W końcu powiedziała:

– Nie chcę iść do swojego cholernego pociągu. I wcale nie muszę. Chcę zostać z tobą. Chcę, żebyś rozebrał mnie do naga. Jak najszybciej. Tylko może nie tutaj.

– W takim razie gdzie? – spytał niespiesznie. Uniósł jej twarz. Clio poczuła ucisk w żołądku. Mocny ucisk w żołądku. Potem fala ciepła popłynęła w tę część jej ciała, która od dość dawna była pogrążona w głębokim śnie, ale właśnie się obudziła i zaczynała szaleć.

– Pewnie masz jakieś mieszkanie – szepnęła. – Poza tym czy mógłbyś powiedzieć to jeszcze raz?

– Co takiego?

– No wiesz, że jestem idiotką.

– Dlaczego?

– Bo to dowodzi, że nie starasz się po prostu być miły. To największy komplement, jaki w życiu usłyszałam.

– Mogę postarać się jeszcze bardziej – powiedział i zaczął ją całować.

Rozdział Trzydziesty Czwarty

Martha obudziła się we czwartek i pomyślała, że niezależnie od tego, co się stanie, to już ostatni poranek, kiedy „Question Time” wisi nad nią jak ponury drapieżca. Jutro będzie po wszystkim: być może zrobi z siebie idiotkę albo zdejmą ją z anteny, ale przynajmniej nie będzie się dłużej bała. Boże, była przerażona. Zastanawiała się, czy ktoś przed nią w obecności kamer wyrzucił z siebie zawartość żołądka. To mogłoby być interesujące.

Wstała, ubrała się w strój do biegania, przyczepiła małe radio do szortów i ruszyła w stronę Tower Bridge, słuchając, jak John Humphrys komentuje poczynania Tony’ego Blaira, pogrzeb Królowej Matki i inne bieżące sprawy, między innymi wciąż nierozstrzygniętą aferę braci Hinduja, trwającą debatę na temat dowodów osobistych, uwagi Cherie na temat zamachowców-samobójców, rozważania, kto może być arcybiskupem Canterbury i dlaczego to wciąż jest takie ważne. Problem polegał na tym, że, jak powiedziała Janet, można być na bieżąco we wszystkich sprawach, a potem nagle wieczorem potrafi wypłynąć temat, na który prawie nic się nie wie. Co nie zwiększyło pewności siebie Marthy.

Nie wiadomo, jakim cudem rozwiązał się inny, prawdziwy koszmar. Przypuszczalnie w tej chwili zabrakło na niego miejsca. Wróci, ale Martha i tak była wdzięczna za chwilę wytchnienia.

Janet zaproponowała Nickowi, żeby spotkali się na wczesnej kolacji w „Savoyu”.

– Nie w „Grillu”. W „Savoy Upstairs”. Tam jest o wiele spokojniej, dzięki czemu będziemy mogli porozmawiać do woli. Potem zdążę jeszcze na „Question Time”. Wiesz, że dzisiaj występuje Martha Hartley?

Nick przytaknął. Powiedział, że on też chce ją obejrzeć.

– Jest bardzo inteligentna. Spotkałem ją raz lub dwa. Wiedziałś o tym, że w latach osiemdziesiątych podróżowała z Jocastą dookoła świata?

Janet potwierdziła.

Za pięć druga odezwał się telefon; Martha pozwoliła, by rozmowę przejęła automatyczna sekretarka. Dzwonił Ed.

– Cześć, Martho. Właśnie dowiedziałem się od mamy, że dziś wieczorem występujesz w telewizji. Bardzo się cieszę. Życzę szczęścia i...

Nagle nabrała ogromnej ochoty, żeby z nim porozmawiać.

Chwyciła telefon.

– Cześć, Ed. Jestem tutaj. Właśnie wychodzę.

– Tak? Jak się czujesz?

– Okropnie. Naprawdę okropnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się boję!

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Do Birmingham?

– Tam odbywa się program? Świetnie, kocham Brum. Mają tam fantastyczne kluby, po programie moglibyśmy się gdzieś wybrać.

– Nie będę w stanie włóczyć się po klubach.

– W porządku, w takim razie przycupniemy gdzieś w jakimś kątku i obejrzymy powtórki. Planowałaś coś na później?

– Samobójstwo – zażartowała.

– To byłaby ogromna strata. Posłuchaj, mówię prawdę. Przyjadę, jeśli mi pozwolisz. Bardzo bym chciał.

Przez chwilę milczała.

– Też bym chciała – wyznała w końcu szczerze. – Byłoby mi znacznie łatwiej, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy uda ci się wejść.

– Coś wymyślę. Jeśli mnie nie wpuszczą, będę czekał w recepcji i oglądał cię na monitorze.

– Och, Ed!

Jej oczy napęłniły się łzami. Boże, jak ona za nim tęskni! Chociaż jeden Bóg raczy wiedzieć, dlaczego pozwala mu wrócić do swojego życia. To potwornie niebezpieczne, bo może się z czymś zdradzić. I bardzo egoistyczne. Nieważne, później będzie się martwić.

– O Boże! – zawołała Clio. – Dziś wieczorem Martha występuje w „Question Time”. Pamiętasz Marthę, Fergusie?

– Jak mógłbym ją zapomnieć. Zaniósłem ją na rękach do sypialni i położyłem do łóżka. Dopisało mi szczęście. Jest bardzo ładna.

– Hm... – mruknęła Clio.

– Oczywiście, nie taka ładna jak ty, poza tym nie lubię żadnych neuroz. Jestem też pewien, że nie ma takich miłutkich piersi. Miał wyraźną słabość do jej piersi; twierdził, że nigdy w życiu takich nie widział.

– Są takie jak ty – dodał, z czułością im się przyglądając, kiedy usiadła w jego łóżku, nieco zaszokowana tym, co się wydarzyło. – Słodkie i czarujące.

– Fergusie, jak piersi mogą być czarujące? – spytała ze śmiechem, nagle się rozluźniając.

– Twoje są najlepszym przykładem. Mogę je pocałować?

– Oczywiście.

Pochylił głowę i zaczął je całować, powoli, z zadumą, najpierw jedną, potem drugą. Ostatnią rzeczą, jaką Clio zapamiętała, był jego cudownie delikatny język, który zataczał kręgi wokół brodawek, drażnił się z nią i pieścił. Cała reszta rozmazała się w jedną plamę, zdumiewającą plamę pełną radości i pożądania. Potem zapanował spokój, cisza i bezruch.

– Ty idiotko – usłyszała w końcu. – Ty cudowna, śliczna idiotko.

Tylko pomyśl, ile czasu straciliśmy.

– Możemy go teraz nadrobić – oznajmiła Clio.

– Myślę, że czerwień... – Kierownik planu przyglądał się bacznie kostiumowi Marthy. – Pasuje do pani i wyraźnie rzuca się w oczy. Dobrze. Teraz proszę się przebrać. Kolacja zacznie się mniej więcej za pół godziny. Przyjdą na nią naprawdę mili ludzie, miejscowi dygnitarze i pani rozmówcy.

– W porządku – powiedziała Martha.

Koło siódmej weszła do jadalni. Aż roilo się od gości. Na środku stał duży stół, nakryty jak na oficjalne przyjęcie, a przy jednym jego końcu siedziała spora grupka, w której Martha rozpoznała przynajmniej trzy twarze. Została przedstawiona, podano jej szklankę wody, o którą poprosiła, i pozostawiono samej sobie. Mogła utonąć albo popłynąć z prądem. Dwie osoby uśmiechnęły się do niej życzliwie, spytały, jak się czuje, zapewniły, że wszystko będzie dobrze, po czym wróciły do wcześniejszej rozmowy. Martha postanowiła salwować się ucieczką. Wyszła do toalety i z poczuciem winy włączyła komórkę. Nie było żadnej wiadomości od Eda. Dochodziła siódma.

Ed tkwił w jednym z największych korków, jakie w życiu widział. Jego komórka z niewyjaśnionych przyczyn nagle się wyczerpała, poza tym rozpaczliwie chciało mu się sikać. Oprócz tego wszystko było w porządku.

– O kurczę! – zawołała Jocasta. – Zgadnij, Gideonie, co...

– Co takiego, kochanie? Nie umiesz wiązać muszki, prawda?

– Ależ umiem. Zawsze wiązałam muszki Nickowi. Wybierał się na kolację: męską kolację, jak powiedział z żalem, więc nie mogła z nim iść.

– Nie ma sprawy. Będę na ciebie czekać. Naprawdę bardzo się starała być dobrą żoną.

– Mam nadzieję, że w łóżku i że nie będziesz miała na sobie nic oprócz odrobiny perfum.

– Nawet koszulki nocnej?

– Nawet.

– Hm... to zależy, o której wrócisz... Gotowe. Uważnie mu się przyjrzała. Jego masywna sylwetka świetnie się prezentowała w szytym na miarę smokingu, a uroku dodawała mu opalona twarz, błyszczące niebieskie oczy i uśmiech.

– Naprawdę bardzo mi się podobaasz, wiesz? Naprawdę. Chodź... Pocałowała go namiętnie w usta.

– A może się rozbierzesz i zamiast na kolację pójdziesz ze mną do łóżka?

– Nie mogę, kochanie. Bardzo mi przykro.

– Nie ma sprawy. Prawdę mówiąc, właśnie zobaczyłam, że dziś wieczorem w „Question Time” ma wystąpić Martha. Martha Hartley, wiesz która... Chciałabym ją obejrzeć.

– Naprawdę? Myślę, że będzie bardzo dobra; jest wyjątkowo elokwentna i opanowana... Kochanie, muszę już iść. Przepraszam. Miłego oglądania.

– Dzięki. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Zniknął. Po chwili usłyszała, że wraca. Otworzył drzwi i spojrzał na nią.

– Nigdy mnie nie opuszczaj, dobrze? – powiedział z poważną miną i napięciem na twarzy. – Nigdy.

– Nigdy – powtórzyła. – Obiecuję.

– Kate, gdzie jesteś? To Juliet.

– W swoim pokoju.

Juliet stanęła w drzwiach. Trzymała w rękach futerał na skrzypce.

– Powinnaś dziś wieczorem obejrzeć „Question Time”. Występuje w nim Martha Hartley, kobieta, która tydzień przed tobą była w gazecie w dziale mody. Miło obejrzeć kogoś, kogo się zna, nie sądzisz?

– Prawdę mówiąc, wcale jej nie znam.

– Z tego, co pamiętam, mówiłaś, że była na przyjęciu.

– Była, ale z nianie rozmawiałam. Pojawiła się w dyskotecce, a potem, gdy zemdląca, zajęła się nią babcia. Zresztą nie przypadła mi do gustu; była jakaś dziwna. Chociaż chętnie ją obejrzę.

– Ja też bym to zrobiła, gdybym mogła. Niestety, najpierw muszę poćwiczyć.

– Jesteś zbyt porządna, Juliet – oznajmiła Kate.

– Niech mnie pani wpuści – prosił Ed dziewczynę w recepcji. – Chcę jej tylko życzyć szczęścia.

– Przykro mi, zbyt sobie cenię swoją pracę. Nie mogę wpuszczać nikogo bez przepustki.

– To może da mi pani przepustkę.

– Nie, nie mogę. Naprawdę – zapewniła – ale chętnie przekażę wiadomość. Jeśli napisze pan liścik, zaniosę go jej, dobrze?

– Lepsze to niż nic – przyznał Ed, a potem, widząc minę recepcjonistki, dodał: – Nie, nie, świetnie. Naprawdę super. Dziękuję.

Zaczął pisać, kiedy usłyszał swoje imię.

– Cześć, Ed. Co ty tu robisz?

Jak się okazało, wypatrzył go kolega z uniwersytetu. Sądząc po stroju – podkoszulku, dzinsach, podkładce do pisania i słuchawkach – był pracownikiem technicznym telewizji. Ed wyjaśnił, o co mu chodzi, a wtedy kumpel uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Powiem ci, co zrobić. I przyniosę większą kartkę. Wszyscy zajęli swoje miejsca przy stole. Martha siedziała na samym końcu, obok pulchnego torysa. Dwie osoby dzieliły ją od Davida Dimbleby’ego. Torys był dla niej bardzo miły, Dimbleby również, wszyscy próbowali ją uspokoić, ale ona wciąż okropnie się czuła, zwłaszcza że nie miała żadnej wieści od Eda. Na litość boską, co się z nim stało?! Prawdopodobnie zrezygnował z jazdy: prawdę mówiąc, zasłużyła sobie na to.

– Na razie każdemu z was zadamy jakieś błahe pytanie, żeby ustawić natężenie głosu – powiedział kierownik programu. – Martho, ty pierwsza. Jak oceniasz swoje szanse na dzisiejszy wieczór?

– W skali od jednego do dziesięciu – zero – odparła, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Na chwilę poczuła się lepiej. Potem jej samopoczucie znów się pogorszyło.

Co będzie, jeśli nie uda jej się wymyślić żadnej odpowiedzi?

Wzięła kilka głębokich wdechów i próbowała się uspokoić.

Nagle usłyszała, jak jeden z kamerzystów cicho, bardzo cicho, wymawia jej imię.

– Tutaj, Martho.

Spojrzała na niego i na kamerę numer dwa. Uśmiechnął się do niej i pokazał miejsce poniżej. Znajdowała się tam odręcznie napisana kartka.

– Cześć, Martho. Ruszaj do boju! Ed.

Wybuchnęła gromkim śmiechem... i nagle wszystko nabrało rumieńców.

– To ty, Nick?! Dlaczego, do diabła, dzwonisz do mnie tak późnym wieczorem? Jestem w łóżku. Co takiego? Nie, nie, sama. Wyszedł. Nie, nie możesz, bo miałabym rozwód jak w banku... Co? Co takiego? O mój Boże, Nick! Tak, oczywiście. Przyjeżdżaj od razu. Wpuszczę cię. Na pewno. Na razie.

Clio była w kuchni, gdy odezwała się jej komórka. Kto, do diabła, może tak późno do niej dzwonić?

– Halo? To ty, Jocasto? Nie, robię sobie kakao. Och, nie pieprz. Nie wszyscy żyjemy szampanem i... Nie, już słucham. Co? Co takiego? Mój Boże, Jocasto. Nie, tylko nie to!

Godzinę później Clio w towarzystwie Fergususa pojawiła się w Kensington Palace Gardens. Gideona wciąż nie było.

– Cieszę się, że jesteście. Naprawdę – powiedziała Jocasta, ściskając oboje. – Zdecydowanie nie powinnam przebywać w tym domu sam na sam z Nickiem. Napijcie się kakao? Czy może czegoś mocniejszego? Bardzo, bardzo się cieszę, że widzę was razem.

– Może być kakao – rzekł Fergus, uśmiechając się do niej. – I my też bardzo, bardzo się cieszymy. Wszystko dzięki tobie.

– Och, nie chrzań! Chodźcie. Nick jest w salonie. Pójdę zrobić kakao.

Kiedy weszła z tacą, Clio pomyślała, że jej przyjaciółka dziwnie wygląda w przestronnym pokoju z ciężkimi brokatowymi kotarami, wytłaczaną tapetą, żyrandolami i prawdziwymi antykami. Jocasta miała na sobie jedynie zbyt obszerny podkoszulek i stąpała na bosaka po, bez wątplenia, perskim dywanie. To chyba była najkrótsza recenzja jej małżeństwa: zdecydowanie nie pasowała do tego domu. Chociaż... do Gideona tak – skarciła się Clio. Tylko to się liczy...

– Martha miała dużo szczęścia – oznajmiła Jocasta, kładąc tacę na stole – że Janet postanowiła opowiedzieć wszystko właśnie tobie, Nick. Nie komuś z „Sun” albo „Mirror”. Atak swoją drogą, jak zareagowałeś na jej rewelacje? Masz wszystko na taśmie?

– Tak. W kieszeni, tutaj. – Poklepał się po niej. – Podziękowałem jej za opowieść, powiedziałem, że nie wiem, co dalej, i tak szybko, jak mogłem, dałem nogę. Bałem się, że zmieni zdanie i poprosi o zwrot taśmy. To oczywiście niczego by nie zmieniło, ale Janet zachowuje się jak obłąkana.

– Naprawdę? – spytała Clio. – Czemu tak mówisz?

– Bo robi dziwne rzeczy. Jeśli chce zdyskredytować swoją partię, to owszem, ma spore szanse. Ujawnienie tych informacji na pewno wykończyłoby Centré Forward, zwłaszcza że nie pozbiali się jeszcze po poprzednich skandalach. Przez przypadek jestem całkiem pewien, że to właśnie ona stoi za przeciekami wyników sondaży, mimo to mówi o partii, jakby to było jej

ukochane dziecko. Czegoś tu nie rozumiem. Tak czy inaczej, co teraz zrobimy? Przede wszystkim co ja mam z tym fantem zrobić? Chris obciąłby mijają, gdyby wiedział, na jakiej beczce prochu siedzę. Janet mogła chwilę później rozmawiać z kimś z „Sun”, a spotkanie ze mną traktować tylko jak próbę generalną. Boże, co za granda!

– Musimy powiedzieć o wszystkim Marcie – zaproponowała Jocasta. – Nie ma innego wyjścia.

– Tylko... jak to zrobimy? – spytał Nick. – Zadzwoimy do niej i powiemy: „Cześć, Martho, świetnie wypadłaś. Wiemy, że jesteś matką Małej Bianki”.

– Jest jeszcze jedna sprawa – przypomniała Jocasta. – Kto powie o tym Kate?

– Zdecydowanie powinna to zrobić Martha – oświadczyła Clio. – Mój Boże! Nic dziwnego, że biedaczka zemdlą.

– Jaka biedaczka? – spytała Jocasta. – Mówisz o Marcie? Nie wmawiaj mi, że jej współczujesz.

– Współczuję, i to bardzo. Tylko pomyślcie, jakie piekło musiała przechodzić przez ostatnie szesnaście lat. To chyba jedna z najsmutniejszych historii, jakie w życiu słyszałam.

– Ja też – przyznał Fergus.

Jocasta spojrzała na niego z zamyśleniem.

– Przy Clio stajesz się dziwnie miękki, Fergusie. Jeszcze jedno pytanie: kto do niej zadzwoni?

Martha drzemała w samochodzie, gdy odezwała się komórka.

– Nie odbieraj jej – rzekła do Eda zaspana. – To na pewno nikt, z kim chciałabym rozmawiać. Może Jack ma następny orgazm. Kirkland dzwonił już dwukrotnie, za pierwszym razem, żeby jej pogratulować, a za drugim – powiedzieć, jak świetnie zaprezentowała filozofię partii. Chad, Eliot, Geraldine Curtis i rodzice też już zdążyli się z nią skontaktować.

– W porządku. A skoro mowa o orgazmie, mam nadzieję, że gdy dotrzemy do domu, będziesz nieco przytomniejsza niż teraz. Martha odwróciła się do niego, przyciągnęła jego głowę i pocałowała go.

– To tylko zaliczka. W pewnej konkretnej części ciała jestem bardzo, bardzo przytomna.

Zastanawiali się, czy nie zostać w Birmingham, ale Ed musiał jak najszybciej wracać do Londynu.

– Zresztą co ty sobie wyobrażasz? – powiedziała z oburzeniem. – Myślisz, że będę spać?

– Problem na tym polega, że... mój samochód przez całą drogę bardzo się przegrzewał. Nie chciałbym teraz do niego wsiadać.

– Możemy oboje pojechać moim, a twój zabrać w sobotę. O nie, będę wtedy w Binsmow. W takim razie w niedzielę. Też nie, mam przyjęcie. Może w niedzielny wieczór? Nie...

– Co powiedziałaś na środowy poranek?

– Zgoda.

– Byłaś fantastyczna, wiesz? Naprawdę bardzo, bardzo dobra.

– Nie poszłoby mi tak gładko – wyznała – gdyby nie cudowna wiadomość od ciebie. Och, Ed, dlaczego, do diabła, tak długo trzymałam cię z dala od siebie?

– Jeśli sama nie potrafisz odpowiedzieć na swoje pytanie – rzekł Ed – nie ma dla nas nadziei. Kiedy podasz mi powód?

– Nie podam ci go.

Przed drugą dojechali do Canary Wharf.

– Przepraszam – odezwała się w drzwiach. – Muszę wziąć prysznic. Pod jupiterami człowiek poci się jak mysz kościelna. Stali razem w strugach wody; Ed powoli, niemal leniwieją całował. Martha zaczęła szybować w stronę słodkiego, ciemnego miejsca, pełnego światła i obietnic. Dlaczego tak długo sobie tego odmawiała, jak mogła bez tego żyć? Ed położył dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją do siebie; był podniecony. Topniała w jego ramionach. Uniósł ją lekko.

– Kocham cię – powtarzał przez szum wody, w przerwach między pocałunkami.

Nim zdążyła się zorientować, nadszedł orgazm. Poczuła nagły przypływ rozkoszy, a potem niemal widzialną eksplozję i rozluźnienie. Wszystko było takie cudowne.

– Ja też cię kocham – powiedziała, uśmiechając się i lekko opierając o niego. – Bardzo, bardzo cię kocham.

– To dobrze – oznajmił. – Najwyraźniej odzyskałaś zdrowy rozsądek. Teraz chodźmy do łóżka.

Owinął ją czule ręcznikiem i niemal zaniósł do sypialni. Potem rozwinął ręcznik, położył się obok niej i patrzył na nią, na jej twarz, na której widać było znużenie i zaspokojenie seksualne, na jej smukłe, zgrabne, zadbane ciało.

Nagle odezwał się telefon i włączyła się automatyczna sekretarka.

– W końcu – westchnęła Jocasta z wyraźną ulgą. – Powiedziała, że właśnie wróciła. Wyraźnie ktoś z nią był.

Fergus wyszedł. Uzgodnili, że najlepiej będzie, jeśli zajmą się tym we trójkę. Gdy Gideon wrócił do domu, poszedł prosto do łóżka. Jeśli nawet zastanawiał się, co w jego domu robi były kochanek żony i jej najlepsza przyjaciółka, nie okazał zdziwienia.

– Bawcie się dobrze – powiedział tylko.

– Przepraszam, Gideonie. Rano ci wszystko wyjaśnię.

– W porządku. Żegnam was.

Machnął ręką, dziwnie słodko się uśmiechnął i wyszedł. Jocasta otworzyła drzwi. Do podkoszulka włożyła dzinsy i wyglądała teraz, jakby miała siedemnaście lat. Uśmiechnęła się do Marthy.

– Cześć. Wejdz. Czy... – Zerknęła w stronę auta. – Czy ktoś z tobą jest?

– Tak, ale zaczeka na zewnątrz – oznajmiła Martha. – Nie chcę, żeby był przy naszej rozmowie.

– W porządku.

Wprowadziła ją do salonu; Clio zaparzyła dzbanek kawy.

– Cześć, Martho. Jak się miewasz? Byłaś dziś świetna.

– Dzięki. Przypuszczalnie pierwszy i ostatni raz.

– Przepraszam za całe zamieszanie, Martho – wtrącił Nick, trochę sztywno wyciągając rękę.

Uścisnęła ją.

– To nie twoja wina. Wszyscy usiedli.

– Posłuchajcie – zaczęła Martha. – To jest dla mnie... dość trudne. Nie chcę rozmawiać jednocześnie z wami wszystkimi.

– Wcale ci się nie dziwię – przyznała Jocasta. – Zebraliśmy się razem, bo... Nick uznał, iż jakoś zdołam cię złapać. Zwłaszcza że sprawa jest bardzo pilna. Bóg jeden raczy wiedzieć, komu Janet jeszcze o tym powiedziała.

– Nic nie ukazało się w innych gazetach – zapewniła szybko Clio.

– Pojechaliśmy na Waterloo i kupiliśmy wszystko, co wpadło nam w rękę, więc mamy przynajmniej kilka godzin. Może dni.

– Ale... wcześniej czy później sprawa i tak wyjdzie na jaw, prawda?

Była przerażona.

– Myślę... myślę, że tak. Niezmiernie mi przykro.

– Nie, nie, to bardzo miło z waszej strony, że próbujecie pomóc. Nie byłam dla was zbyt miła.

– Teraz... przynajmniej wiemy dlaczego – powiedziała Jocasta.

– Tak czy inaczej – wtrąciła Clio – uznaliśmy, że... może... najłatwiej będzie ci na początek porozmawiać ze mną. W końcu jestem lekarzem. Obowiązuje mnie przysięga Hipokratesa i tak dalej.

– Prawdę mówiąc – oświadczyła Martha – mieliście rację. Chętnie zacznę od ciebie, Clio...

Potem obie usiadły w cichym salonie, za którego oknami zaczynał się letni świt, i prawniczka zaczęła swoją opowieść. Dzięki temu, że zrobiła to już kilka tygodni temu, było jej łatwiej, niż przypuszczała, mimo to nadal z trudem wydobywała z siebie każde bolesne, trudne słowo. Chwilami czuła się trochę tak, jakby ponownie rodziła, jakby po raz drugi wydawała Kate na świat. Nie mogła uwierzyć, że wypowiada słowa, które tak długo dusiła w sobie i przez szesnaście lat ukrywała głęboko w swojej świadomości. Opowiadała o okropnych dniach i tygodniach spędzonych w Bangkoku we wstrętnym, dusznym pokoju, o potwornej nudzie, zabijaniu czasu wielokilometrowymi spacerami po upalnym, brudnym, śmierdzącym mieście i czytaniu, czytaniu...

– Znalazłam kilka tanich książek w miękkich okładkach, zostawionych przez podróżnych.

– Jak długo tam byłaś?

– Mniej więcej dwa i pół miesiąca. Początkowo myślałam, że zwariuję, potem było lepiej. Dużo chodziłam po supermarketach, trzymałam się śródmieścia i lewego brzegu rzeki, gdzie jest mnóstwo tanich pensjonatów, a żywiłam się w ulicznych budkach. Próbowалаm jeść jak należy,

wiedziała, że to ważne, dlatego wydawałam około funta dziennie, no i czekałam, czekałam, aż dziecko się urodzi. Miałam... miałam nadzieję, że urodzę je tam. Sama.

– Sama?! Zakładałaś, że urodzisz dziecko całkiem sama?

– Tak. Czasami kobiety to robią. W Australii kupiłam sobie książkę medyczną, więc dokładnie wiedziałam, czego się spodziewać. Przeczytałam wszystko o przecinaniu pępownicy, i nie tylko. Kupiłam duże, bardzo ostre nożyczki i mocny sznurek...

– Martho, trudno w to uwierzyć! Musiałaś być niesamowicie dzielna. Podejrzewam jednak, że okropnie się czułaś i że bardzo dokuczała ci samotność.

– Owszem, ale jakoś musiałam sobie z tym poradzić.

– Co... co miałaś zamiar zrobić z dzieckiem, Martho? Po porodzie? Co miało się z nim stać? Tam, w Bangkoku? Martha z ogromnym trudem spojrzała Clio w oczy.

– Postanowiłam... że zaniosę je do szpitala. Sprawdziłam wszystkie i... koniec końców wybrałam Bangkok Christian Hospital. Myślałam, że uda mi się je zostawić przy głównym wejściu, wtedy ktoś je znajdzie i może się nim troskliwie zająć. Zakładałam, że potem prawdopodobnie zostanie zaadoptowane przez jakiegoś Europejczyka. Przykro mi, Clio, widzę, że zdecydowanie nie pochwalasz mojego pomysłu, ale zrozum, byłam naprawdę zdesperowana. Uważałam, że... że to nie dziecko, lecz... coś okropnego, co zrobiłam i od czego muszę... muszę się uwolnić. Żeby móc wrócić do domu, do dawnego ładu i bezpieczeństwa.

– Tak, tak, rozumiem.

– Tymczasem dziecko najwyraźniej nie miało zamiaru przyjść na świat. Próbowałam wszystkiego: piłam olejek rycynowy, chodziłam kilometrami, skakałam z łóżka, robiłam sobie gorące kąpiele, ale ono się nie rodziło, a ja musiałam wracać do domu. Nie miałam pieniędzy. Nie mogłam kupić następnego biletu, a tanie loty były zarezerwowane już na wiele tygodni. Doszłam więc do wniosku, że muszę lecieć i wymyślić coś po powrocie. Może wybrać się do jakiegoś szpitala na północy Anglii. Niestety... poród zaczął się w samolocie. Z trudem z niego wysiadłam i ruszyłam w stronę toalet. Po drodze zauważyłam pomieszczenie z tabliczką „Tylko dla obsługi”. Znajdowały się tam środki czystości, umywalka i tyle miejsca, że mogłam się położyć... Tam urodziłam. To było straszne, ale nie miałam innego wyjścia. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, zabrano by mnie do szpitala, a wtedy musiałabym podać swoje imię i nazwisko, powiedziano by moim rodzicom...

– Nie mogłaś sama im o wszystkim powiedzieć? – spytała Clio bardzo, bardzo łagodnie. – Potem oddać dziecko do adopcji, ale przynajmniej im się zwierzyć, poprosić, żeby ci pomogli.

– Nie. Nie mogłam. Clio, nie wiesz, jakie... jakie jest Binsmow. Wystarczy, że człowiek kichnie... a już wszyscy o tym wiedzą. I zaczynają się zastanawiać, gdzie się przeziębiałaś. Byłam córką pastora, tymczasem robiłam najgorszą rzecz, jaką może zrobić dziewczyna. Ściągnęłabym na nich wstyd i hańbę...

– Mówisz jak bohaterka wiktoriańskiej powieści – zażartowała Clio i po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Ściągnęłabyś na nich wstyd i hańbę? Martho, na litość boską, przecież to były lata

osiemdziesiąte dwudziestego wieku.

– Tak, wiem, ale cała parafia bardzo szanowała mojego ojca. On nigdy, nigdy by się z tego nie otrząsał. Jestem przekonana, że musiały się stamtąd wyprowadzić, bo nie chciałby zostać tam, gdzie...

– Jak... jak się czułaś? Gdy ją zostawiłaś?

– Trochę odpoczęłam... umyłam się, a potem pomyślałam: teraz mam już wszystko z głowy. Przytuliłam małą na chwilę, potem bardzo starannie owinęłam ją w prześcieradło i koc, które kupiłam dla niej w Bangkoku, położyłam ją w koszyku na kółkach, między ręcznikami, a potem wyszłam i usiadłam na ławce naprzeciwko. Czekałam, aż ktoś ją znajdzie. Bardzo się martwiłam, bo nawet nie pomyślałam, żeby kupić dla niej jakieś pieluszki. Bałam się, że zamoczy kocyk. Tyle przeszłam, a tymczasem martwiłam się jej sikaniem. W końcu znalazła ją jakaś Azjatka, sprzątaczką. Wybiegła, wołając o pomoc, zrobiło się mnóstwo zamieszania, ludzie wchodzili i wychodzili, aż w końcu małą zabrała policjantka.

– Nie byłaś... zdenerwowana?

– Nie. Wtedy nie. Raczej poczułam... ogromną ulgę. Pomyślałam, że moja córeczka jest bezpieczna, a ja uwolniłam się od poważnego problemu. To wszystko, co wtedy czułam. Na pewno myślisz, że jestem okropna, ale nie odczuwałam smutku ani niczego innego, czego można by się spodziewać. Potem tak, ale nie wtedy.

– Wcale nie uważam, że jesteś okropna – zaprotestowała Clio. – Po prostu serdecznie ci współczuję. I jestem pełna podziwu dla twojej odwagi.

– Kiedy ją zabrano, doszłam do wniosku, że mogę wrócić do domu. Tyle że nie od razu. Nie czułam się najlepiej. Mocno... mocno krwawiłam. Więc weszłam do damskiej toalety, wzięłam prysznic – to było takie miłe! – a potem położyłam się na jakiejś ławce i przespałam chyba całe wieki. Prawdę mówiąc, byłam szczęśliwa. Wiedziałam, że dziecko jest bezpieczne, a to było dla mnie najważniejsze. Nie musiałam się już o nie martwić. Wiedziałam tylko, że teraz muszę o wszystkim zapomnieć, i starałam się to zrobić.

– Kiedy wróciłaś do domu?

– Po kilku dniach... dokładnie po czterech. Do tego czasu przebywałam w schronisku młodzieżowym Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej w Hayes – miałam jeszcze odrobinę pieniędzy – dużo spałam i najlepiej, jak mogłam, troszczyłam się o siebie...

– Czy... twoi rodzice niczego nie podejrzewali?

– Dlaczego mieliby cokolwiek podejrzewać? Z dnia na dzień czułam się coraz bezpieczniejsza. Wiedziałam, że moją córeczką zajęli się odpowiedni ludzie, bo przeczytałam o tym w gazetach. Potem starałam się zagrzebać wszystko na dnie duszy. Bardzo ciężko nad tym pracowałam, ale mi się udało. Przy okazji stałam się typową dziwaczką, usiłującą panować nad sobą za wszelką cenę, czyli osobą, którą zobaczyłaś po latach. Niestety, czasami w samotności całkiem niespodziewanie sobie ją przypomiinałam, wracałam myślami do tego, jak wyglądała, jak ją przytulałam. Najgorszy był dla mnie dzień jej urodzin... wtedy było mi najtrudniej... ale nawet

to wydawało się jakieś nierzeczywiste. Czułam się trochę tak, jakby cała przygoda wydarzyła się komuś innemu, nie mnie...

– Nie kusiło cię, żeby komuś o tym powiedzieć?

– Nie, potwornie bałam się do tego przyznać. Potwornie bałam się dopuścić kogoś do siebie tak blisko. Nigdy nie miałam zbyt wielu przyjaciół. Mężczyźni byli trochę bezpieczniejsi, ale takich rzeczy nie opowiada się facetom.

– Pewnie tak. Och, Martho! To wręcz niesamowita historia!

– Prawda? Potem nagle nastąpiły dziwne przypadki, które doprowadziły do naszego ponownego spotkania. Pewnego dnia biegałam i... nagle zobaczyłam ją w gazecie. Porzucona Mała Bianca. Wtedy... dziwnie się poczułam.

– A teraz?

– Teraz sama nie wiem – przyznała. – Naprawdę. Oczywiście, ujawnienie przeszłości oznacza koniec mojej kariery. Porzucenie dziecka jest przestępstwem, za które można dostać dziesięć lat. Co gorsza... jestem przy szła kandydatką do parlamentu. Jak każdy polityk musiałam na wstępie podpisać oświadczenie, że w mojej przeszłości nie ma niczego, co mogłoby rzucić cień na partię albo przysporzyć jej jakichś problemów.

– Tak – powiedziała Clio. – Rozumiem, Martho... A co z ojcem... czy nigdy niczego nie podejrzewał?

– Nie – zapewniła szybko. – Zdecydowanie nie. Za nic w świecie bym mu nie powiedziała. Nie ma takiej możliwości. Nie chcę o tym mówić – oświadczyła. – Przepraszam.

– Rozumiem. Jeszcze jedno, czy pomyślałaś o... Kate, Martho? Ona ma prawo wiedzieć.

– Wiem. Wiem. Tylko jak, do diabła, można to zrobić? Kto jej powie?

– Prawdę mówiąc... uważam... że to twoje zadanie – odparła Clio bardzo łagodnie.

Martha spojrzała na lekarkę.

– Chyba nie potrafię tego zrobić – wyznała.

Rozdział Trzydziesty Piąty

– Biedactwo. Moje kochane biedactwo.

Głos Eda był bardzo delikatny. Martha zdobyła się na odwagę i spojrzała na niego. Na twarzy ukochanego dostrzegła czułość i troskę, żadnego osądzania ani szoku, zupełnie jakby powiedziała mu, że zmarł ktoś, kogo kochała. Zresztą przypuszczalnie tak właśnie było: zmarła chłodna, zaradna, odnosząca ogromne sukcesy Martha, jej miejsce zajęła osoba pełna strachu i wad.

– Będziesz musiał mi mówić, Ed, co mam robić. Po raz pierwszy w życiu jestem kompletnie bezradna. Mam całkowitą pustkę w głowie.

– Spróbuję. Będę bardzo się starał. Na razie chciałbym poznać twoich przyjaciół i z nimi porozmawiać.

– Oczywiście. Są dla mnie tacy dobrzy! Naprawdę na to nie zasłużyłam, zwłaszcza że wcześniej paskudnie ich traktowałam.

– Powiem ci, od czego powinnaś zacząć – zaproponował.

– Od czego?

– Musisz przestać sama wymierzać sobie karę. Nie popełniłaś żadnego przestępstwa. Przynajmniej w sensie moralnym. Wiedziałaś, że twoja córeczka znalazła się w dobrych rękach, widziałaś, jak ją stamtąd zabrano, byłaś pewna, iż zajęli się nią odpowiedni ludzie. Potem po prostu żyłaś swoim życiem. Nazywanie twojego postępków przestępstwem jest jedynie sprawą czysto formalną.

– Ed! Chyba jesteś trochę stronniczy. Jak sądzisz, jak przedstawi to prasa? Nazwą mnie wyrodną matką, potworem, bezduszną suką. Tak podejda do tego normalni ludzie. Jaka kobieta porzuca dziecko i nigdy więcej nawet nie próbuje się do niego zbliżyć? Osoba życzliwa i troskliwa? Nie sądzę.

– Uważam, że powinnaś się z nią zobaczyć – powiedział.

– Z Kate? Nie mogę. Może, gdy już będzie o wszystkim wiedziała, kiedy oswoi się z tą myślą, ale...

– Nie, nie z nią. Z tą kobietą. Janet Jakaśtam. Spróbować się dowiedzieć, co zrobi, jeśli twój przyjaciel nie opublikuje jej opowieści. Skoro już o nim mowa, musi być wspaniałym facetem – dodał. – Większość pismaków nie czekałoby ani minuty.

– To fakt. Jest kochany. Zawsze go lubiłam.

– Kochany? Chyba mi się to nie podoba.

– Och, Ed. Nie ma na świecie drugiego człowieka tak kochanego jak ty.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się czule.

– Kocham cię – wyznała szczerze. – Naprawdę bardzo, bardzo cię kocham...

– Dobry Boże – jęknął Gideon. – Biedaczka. To okropna historia, Jocasto. Musimy się zastanowić, co można zrobić dla Marthy. Prawdę mówiąc, to paskudna sytuacja. Wyjątkowo

paskudna.

– Wiem. Wciąż nie przestaję myśleć o ludziach, którym powinna powiedzieć, zanim dowiedzą się o wszystkim z prasy brukowej.

– Młody Nicholas nie napisze?

– Nie, ale inni chętnie podchwycą temat. Już sobie wyobrażam nagłówki: „Bezwzględna karierowiczka, która porzuciła swoje dziecko” albo „Pozbawiona serca matka Małej Bianki”. Sprawy wcale nie ułatwia fakt, że Kate jest cholernie znana. Musisz przyznać, że ta historia to prawdziwy cymes.

– Przyznaję. Pollock zamorduje Nicka, jak się o wszystkim dowie. Ktoś pytał Marthę, czy ojciec Kate wie, że ma dziecko?

– Nie. Podejrzewam zresztą, że ona sama nie ma pojęcia, gdzie on jest.

– Albo nawet kto to taki?

– Myślę, Gideonie, że z tym Martha nie ma problemów. Nie sypiała z kim popadnie.

– A jednak do dziś nawet nie pomyślałaś, że porzuciła dziecko, prawda? Kto jak kto, ale ty, Jocasto, dobrze wiesz, jak nieprzewidywalni są ludzie.

– To prawda, ale... jestem gotowa się założyć, że to akurat wie. Postawiłabym na to duże pieniądze.

– Byle nie moje, proszę. No dobrze, moim zdaniem powinna wybrać się do pani Frea i uciąć sobie z nią szczerą pogawędkę. O ile wykrzesze z siebie tyle odwagi.

Odezwała się komórka Jocasty. Żona Gideona zerknęła, kto dzwoni.

– Cześć, Martho, jak się miewasz? Co takiego? To ciekawe, Gideon właśnie w tej chwili powiedział dokładnie to samo. Zaczekaj chwileczkę... – Spojrzała na Gideona. – Ed, chłopak Marthy, radzi jej rozmowę z Janet.

– Bystry facet. Ciekawe, czy zgodziłby się pójść z nią.

– Jestem pewna, że tak. Martho, czy Ed poszedłby z tobą?

– Mówi, że tak.

– W porządku – powiedziała Jocasta. – W takim razie ruszajcie.

– Witaj, Martho, kochanie. Tak się cieszę, że cię słyszę. Miałam zadzwonić do ciebie wczoraj wieczorem. Byłaś wspaniała, naprawdę wspaniała. Gratulacje.

Martha nie była wcale zaskoczona. Zaczynała wyrabiać sobie bardzo konkretne zdanie na temat Janet Frea.

– Dziękuję, Janet. Mam pytanie. Czy... czy mogłabym się z tobą spotkać?

– Hm... dzisiaj jestem bardzo zajęta, a potem... potem mamy weekend... Może w poniedziałek?

– To bardzo pilne.

– Naprawdę? Chyba mimo wszystko będzie musiało poczekać, bardzo mi przykro.

– Janet, to... to... Nie wiesz, o co chodzi?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę w najbliższy weekend nie mogę się z tobą spotkać.

Przepraszam.

Martha spojrzała na Eda.

– Co teraz zrobimy?

Janet Freaun rozłączyła się i poszła poszukać męża. Siedział w ogrodzie i czytał „Daily Telegraph”.

– Bob... mówiłam ci, że w sobotni wieczór muszę wyjść na miasto?

– Nie wiem, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo niczego nie planowaliśmy. Jak przypuszczam, sprawy partyjne, tak?

– Oczywiście. Trzeba kontynuować ofensywę. Poradzisz sobie... z dziećmi? Kirsty ma wolny weekend.

– Zazwyczaj jakoś sobie radzę – powiedział oschle.

Martha złamała jedną ze swoich żelaznych zasad i zadzwoniła do pracy, że jest chora. Rozmawiała z Paulem Quenellem, który był podniecony jej występem w „Question Time”. Wyczuła, że gdyby poprosiła, dałby jej nawet tydzień wolnego.

– Oczywiście, Martho. Bardzo się cieszę, że wymieniałś nazwę naszej kancelarii. Dobra robota. Mądra z ciebie dziewczyna. Życzę miłego weekendu, do zobaczenia w poniedziałek.

Po odłożeniu słuchawki Martha zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. Może raz... kiedy będzie składała wypowiedzenie.

Odczuwała dziwny spokój. Była dziesiąta przed południem. Ed spał. Sam też zadzwonił do pracy i powiedział, że jest chory.

Martha wzięła prysznic, potem obeszła mieszkanie, posprzątała je, poukładała pranie i wyjrzała przez okno. Pomyślała o Kate i zaczęła się zastanawiać, co, na miły Bóg, ma powiedzieć swojej córce.

Clio również wzięła sobie wolny dzień. O dziesiątej zeszła do kuchni, mając nadzieję, że zastanie tam Jocastę.

Natknęła się na Gideona we frotowym płaszczu kąpielowym.

Uśmiechnął się do niej.

– Witaj, kochanie. Przepraszam za nieformalny strój, właśnie pływałem. Powinnaś spróbować skorzystać z mojego basenu. Jest męczący, ale znakomicie odpręża. Jak się czujesz? Chyba nie najlepiej?

– Nie jest aż tak źle – zapewniła Clio. – Gdzie Jocasta?

– Tutaj – odezwała się Jocasta, wchodząc do kuchni. Była bardzo błada.

– Jocasto, trochę zastanawiałam się nad wszystkim – wyznała Clio.

– Myślę, że to ty powinnaś powiedzieć Kate. Oczywiście pod warunkiem, że Martha się zgodzi. Problem polega na tym, że dziewczyna jej nie zna, dlatego mogłaby przeżyć potworny szok, a ciebie wyraźnie lubi. Poza tym dla ciebie ewentualna reakcja nastolatki nie będzie miała aż takiego znaczenia, podczas gdy Martha mogłaby to silnie przeżyć.

Zwłaszcza że Kate ma prawo być bardzo zła i bardzo zraniona.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Gideon. – Co o tym sądzisz, Jocasto?

– Niestety, myślę podobnie. Przyszła mi do głowy tylko jedna inna możliwość: że ja powiedziałabym Helen, a dopiero ona przekazałaby wszystko Kate.

– Lepiej, żeby usłyszała prawdę od ciebie – zauważyła Clio. – Pomijając wszystko, ty znasz Marthę. Poza tym wydaje mi się, że przy waszej rozmowie powinna być matka Kate. I jej ojciec. Podejrzewam, że ci nie pomogą, ale byłiby oburzeni, gdybyś najpierw powiedziała to Kate.

– Boże! – jęknęła Jocasta. – To mi się wcale nie podoba! Nick spotkał Janet Freen w westybulu gmachu parlamentu.

– Mam do ciebie pytanie – powiedziała – dotyczące naszej wczorajszej rozmowy... Widzę, że nic na ten temat nie napisałeś.

– Nie, muszę jeszcze sprawdzić pewne rzeczy.

– Nie zwlekaj zbyt długo. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby tak cenne informacje się zmarnowały, a jestem pewna, że ludziom z „Sun” bardzo przypadłyby do gustu.

– Na pewno.

– Więc... kiedy je opublikujesz?

– Janet, wiem, że to pilne, ale wcześniej muszę porozmawiać z Marthą... a potem ostateczna decyzja należy do Chrisa Pollocka.

– Rozumiem. Bądź w kontakcie.

– Jasne.

– Kate, kochanie, mówi Jocasta.

– Cześć, Jocasto, jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję. Mam pytanie, Kate... co dzisiaj porabiasz?

– Nic. Wybieram się z Bernie na zakupy. Później mam się spotkać z Natem. Czemu pytasz?

– Mogłabym... do ciebie wpaść?

– Super. A może spotkałybyśmy się na mieście?

– Raczej nie... Chciałabym, Kate, żeby przy naszej rozmowie byli twoi rodzice.

– Dlaczego? Och, kapuję. Chodzi o mój kontrakt, tak? Czy Fergus przyjdzie z tobą?

– Chyba tak – skłamała Jocasta. – Tak. Posłuchaj... będziemy za jakąś godzinę. Dobrze?

– W porządku... ale wtedy nie będzie taty.

– A czy mogę prosić do telefonu twoją mamę?

– Taak.

– Świetnie. Do zobaczenia.

Nigdy te irytujące słowa nie były aż tak złowieszcze.

– Dlaczego tak długo rozmawiają? – spytała Martha. Była blada jak ściana, nie kryła udręki.

– Co oni robią?

– Martho – uspokajał ją Ed. – Jocasta jest tam zaledwie od trzydziestu minut. Takiej rozmowy nie da się przeprowadzić szybko. Dopiero za jakieś dwie godziny będziesz mogła zacząć się martwić, a teraz myślę, że warto by było wybrać się na spacer.

– Na spacer?!

– Tak, na spacer. No wiesz, stawia się jedną nogę przed drugą i przemieszcza wzdłuż ulicy, tego typu rzeczy. Możesz zabrać komórkę, wtedy nic cię nie ominie. Chodź. Idziemy.

Helen poszła do sklepu na rogu i kupiła trochę ciasteczek. Zjedzą je do kawy – pomyślała. Kiedy wyszła, zobaczyła, że Kate niemal biegnie w jej stronę, machając ręką. Może Jocasta już jest – pomyślała Helen – może przyprowadziła ze sobą matkę dziewczyny, może je sobie przedstawiła i teraz Kate spieszy opowiedzieć o cudownej osobie, która w końcu wkroczyła w jej życie.

– Mamo – powiedziała, nieco podekscytowana. – Czy masz coś przeciwko temu, żebym przyprowadziła Nata? Bardzo interesuje się kontraktem i powiedział mi na jego temat kilka naprawdę mądrych rzeczy.

– Hmm...

Czy ma coś przeciwko temu? Chyba nie. W ciągu ostatnich tygodni Nat stał się niemal członkiem rodziny i Helen bardzo go polubiła – był wyjątkowo delikatny i rozważny. Możliwe, że pomoże rozładować napięcie.

– Zgadzą się – odparła.

– Super. Dzięki. Dobrze się czujesz, mamo? Jesteś dziwnie spięta.

– Nie, nic mi nie jest. Kate objęła Helen.

– Przepraszam, mamo, że urządziłam wam drakę o kontrakt. Bardzo przepraszam. Nat powiedział, że staracie się wybrać dla mnie to, co najlepsze, i oczywiście ma rację. On jest naprawdę mądry, pomimo bzdur, które opowiada o swoim ojcu, i nie tylko... Mamo, ty płaczesz? O co chodzi?

– O nic – zapewniła Helen, uśmiechając się do córki przez łzy. – O nic. Nie ma znaczenia, że urządziłaś nam awanturę. O, idzie ojciec. Nastaw wodę, Kate.

Kobieta patrzyła, jak córka biegnie ścieżką, po drodze wybierając numer Nata. Być może to ostatni raz... ostatni raz, kiedy Kate jest jeszcze moja – pomyślała.

– Dlaczego... dlaczego nie przyszła osobiście? – spytała Kate. Była blada i zaszokowana, siedziała między matką a Natem, który trzymał ją za rękę.

– Ja... to znaczy my...

– Jacy „my”?

– Ja, Clio i sama Martha uznałyśmy, że lepiej będzie, jeśli to ja ci powiem – tłumaczyła Jocasta. – Bo mnie znasz, a nawet jeśli zareagujesz bardzo agresywnie, mnie to nie będzie bolało. Uznałyśmy, że to najrozsądniejsze rozwiązanie. Kate przytaknęła.

– Czy... czy ona chce się ze mną spotkać?

– Oczywiście, Kate – zapewniła Jocasta, mając ogromną nadzieję, że to prawda. – Zależało jej tylko, żebyś wcześniej oswoiła się z nową myślą. W końcu jest dla ciebie całkiem obcą osobą, prawda?

– Taak... taak.

Dziewczyna przez chwilę siedziała w milczeniu, a potem spytała:

– Jaka ona jest, Jocasta? Chodzi mi o to, jakim jest człowiekiem?

– Prawdę mówiąc, ja też jej zbyt dobrze nie znam. Gdy wszystkie trzy byłyśmy w twoim wieku... no, może trochę starsze... razem wyruszyłyśmy w podróż dookoła świata i spędziłyśmy ze sobą mniej więcej tydzień. Potem minęło szesnaście lat. Spotkałam ją dopiero ostatnio, i to tylko dwukrotnie. To za mało, żeby coś powiedzieć.

– Lubisz... lubisz ją?

– Hm... tak. Chyba tak.

– I... nigdy nikomu o niczym nie powiedziała?

– Nikomu. Tylko tej wariatce podczas przyjęcia.

– Czy... czy widziała mnie w gazecie?

– Tak.

– To dlaczego, do jasnej cholery, nie przyszła się wtedy ze mną zobaczyć?

Nastolatka czuła, że ogarnia ją złość.

– Nie klnij, Kate – zwrócił jej uwagę Jim.

– Muszę. To straszna krowa, głupia, pieprzona krowa. Nienawidzę jej! Nie spodobała mi się na przyjęciu, uznałam, że potwornie zadziera nosa, a teraz jeszcze mniej ją lubię. Prawdopodobnie w tej chwili ujawnia się tylko dlatego, że musi. Ze strachu, że dowiem się wszystkiego z gazet.

Nie dlatego, że ją choć trochę obchodzę, nie dlatego, że chce mnie zobaczyć. Krowa!

Wyrwała palce z dłoni Nata i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Możesz jej powiedzieć, że nie chcę jej widzieć. Nigdy. Nienawidzę jej.

– Kate – powiedział Nat z wyraźnym zmartwieniem na twarzy. – Nie możesz nienawidzić kogoś, kogo nie znasz.

– Nie muszę jej znać. Nienawidzę jej. Jestem na nią wściekła z powodu tego, co mi zrobiła... Boże, dlaczego to musi być właśnie ona?

Rozplakała się. Nat objął ją strząsnęła jego rękę.

– Przykro mi, Kate – szepnęła Jocasta. – Bardzo mi przykro. Posłuchajcie... może ja sobie pójdę, a wy spokojnie, bez żadnych świadków porozmawiacie na ten temat. Kate, gdybyś zmieniła zdanie i uznała, że chcesz zamienić z Marthą kilka słów, znasz mój numer. Spotkanie z nią mogłoby całkowicie odmienić twoje uczucia.

– Nie chcę się z nią spotykać. To głupia, pieprzona krowa. Boże! Dziewczyna wstała i zaczęła niespokojnie krążyć tam i z powrotem po pokoju. Nat również podniósł się z krzesła i wziął Kate za rękę.

– Chodź. Wybierzemy się na przejażdżkę. Zgadza się pani, pani Tarrant? Myślę, że to ją uspokoi.

Helen przytaknęła. Chłopak, wyprowadzając Kate z pokoju, uśmiechnął się do dziewczyny zachęcająco i rzekł:

– Dobrze, już dobrze. Chodź, wszystko się jakoś ułoży. Traktował ją jak małe dziecko, prowadzone po raz pierwszy do szkoły albo do dentysty.

Gdy wyszli, matka dziewczyny powiedziała:

– Ten chłopak to prawdziwy skarb.

– Rzeczywiście – przyznała Jocasta. – Dobrze się czujesz, Helen?

– Tak, w porządku, dziękuję.

– Dręczy mnie jedno – powiedział Ed, gdy szli wzdłuż ulicy. – Czy on... czy on o tym wie?

– Nie – zaprzeczyła Martha. – Nie ma o niczym pojęcia. Nigdy mu nie powiedziałam. Ani słowem.

– Ale wiesz, kto to taki?

– Ed...

– Posłuchaj – przerwał jej i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiało coś surowego. – Do tej pory byłem w porządku. To znaczy stałem całkowicie po twojej stronie. Uważam jednak, że mam prawo zadać kilka pytań. Chyba przyznasz mi rację.

– Oczywiście, ale... na to jedno ci nie odpowiem. Przepraszam.

– To znaczy, że nie wiesz, kto to jest?

– Wiem, ale nie mam zamiaru... o nim rozmawiać. Nigdy. Po długiej chwili milczenia Ed powiedział:

– Wygląda na to, że mi nie ufasz. Chyba że wciąż go kochasz.

– Nie, nie kocham go. Nigdy go nie kochałam. Po prostu to była chwila zapomnienia. Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, nie miałam pojęcia, gdzie on jest.

– Ale teraz wiesz? Nie odezwała się.

– Wiesz! Na litość boską, Martho! Nie sądzisz, że powinnaś mu powiedzieć? Nie sądzisz, że ona też będzie chciała wiedzieć?

– Kto?

– Kto? Kate. Twoja córka. Boże, zaczynasz mnie wkurzać, Martho. Nie uważasz, że biedne dziecko ma prawo wiedzieć, kto jest jego ojcem?

– Nie... nie wiem – wydukała. – A ma?

– Do jasnej cholery, ma! – warknął. – Posłuchaj, potrzebuję trochę czasu dla siebie. Nie mogę sobie z tym poradzić. Zobaczmy się później. Zadzwoń, dobrze?

– Dobrze.

Z oczami pełnymi łez patrzyła, jak Ed się oddala. Żałowała, że nie może mu powiedzieć.

Wracając z Koh Tao na Koh Samui, prawie spała na promie. Łódź była bardzo rozklekotana, nawet jak na tajskie standardy – prymitywna, bez toalet. Martha rzuciła plecak na stos, na którym leżały wszystkie pozostałe, znalazła cichy kąt i usadowiła się w nim z książką.

Podróż była długa, trwała ponad trzy godziny, wiatr coraz bardziej przybierał na sile. Martha, która zawsze dobrze się czuła na morzu, zasnęła. Obudziła się, gdy jej plecak zsunął się na worki pocztowe na dolnym pokładzie. Sięgnęła w dół i próbowała go wyciągnąć, ale jej się nie udało,

więc wróciła do swojego kąta. Byli o jakieś trzydzieści minut od Hat Bophut, gdy usłyszała czyjś głos.

– Cześć, Martho! Dopiero teraz zorientowałem się, że to ty. Masz inne włosy.

Z trudem usiadła. Zobaczyła go. Uśmiechał się do niej z wysoka.

– Cześć. Chodzi ci o warkocze? Kazałam je sobie zrobić na plaży. Byłeś na Koh Tao?

Nie zdziwiła się, że go widzi. Na tym, między innymi, polegał urok takiej podróży. Poznawało się nowych ludzi, przebywało z nimi przez jakiś czas, a potem żegnało, aby po kilku miesiącach znów się spotkać, tym razem w zupełnie innym miejscu.

– Taak. Nurkowałem. A ty?

– Nie, tylko z rurką. To nie to samo. Chociaż było pięknie.

– Prawda? A teraz... dokąd zmierzasz?

– Wracam na kilka dni do Wielkiego Buddy. Umówiłam się z pewną dziewczyną na wyprawę do Phuket.

– Tam jest pięknie, a morze ma kolor zielony, nie niebieski. Byłaś już na północy?

– Tak, jest fantastycznie.

– Prawda? Mogę usiąść?

Przytaknęła. Uśmiechnął się, rzucił plecak na stos worków pocztowych 499 i zaproponował jej papierosa. Potrząsnęła głową.

– Dokąd się teraz wybierasz? – spytała.

– Na kilka dni do Bangkoku. O kurczę, Martho, czujesz dym?

– Tylko z twojego papierosa.

– Nie, to nie to. Raczej... Chryste! Tylko popatrz.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Z maszynowni wydobywała się ogromna chmura szarego dymu. Facet, który kierował promem, blade się uśmiechał, a w pobliżu nie było nikogo innego, kogo można by uznać za załogę. Dym stawał się coraz gęstszy.

– Cholera! – zaklął chłopak. – Nie podoba mi się to. Jezu, miałem rację. Teraz widać już płomienie!

Martha nagle poczuła, że ogarnia ją potworny strach. Spojrzała w stronę lądu. Dostrzegła uspokajające, białe zakole plaży i ogromny posąg Wielkiego Buddy. Od razu poczuła się lepiej. Byli wystarczająco blisko, żeby w razie konieczności dopłynąć do brzegu. Powiedziała to.

– Nic z tego, Martho. To przynajmniej półtora kilometra, co gorsza, tu są rekiny. Cholera, cholera, cholera!

Wszyscy pasażerowie zaczęli panikować, pokazywać na płomienie i krzyczeć do kapitana, który zawzięcie kierował łódź w stronę brzegu, uśmiechając się tak samo jak poprzednio.

– Co zrobimy? – spytał ktoś.

– Może dopłyniemy – pocieszał ktoś inny.

– Nie, za daleko – zauważyła następna osoba.

– Wszędzie są rekiny! – powiedział kolejny pasażer drżącym głosem.

Ogień wyraźnie wymykał się spod kontroli. Jakaś dziewczyna podniosła krzyk, przyłączyły się do niej inne. Stara Tajlandka zaczęła odmawiać modlitwę. Potem wydarzyło się coś dziwnego...

– Dunkierka! – zawołała Martha, pokazując palcem. – Spójrz!

Od brzegu z hukiem silników odpływała niewielka flotylla łódek. W każdej łódce był pilot i dwóch małych chłopców. Musieli zauważyć ogień – pomyślała Martha – gdy tylko wybuchnął, i natychmiast wyruszyli na pomoc. Żadna oficjalna akcja ratunkowa nie przebiegłaby sprawniej. Łódki po kolei podpływały do płonącego promu i zabierały ludzi. Płomienie buchały coraz wyżej, przez cały czas mocno kołysało promem; niektórzy byli przerażeni, krzyczeli i płakali, ale ci z łódek zachowywali się spokojnie i radośnie, pomagając pasażerom.

Młodzież podróżująca z plecakami opuszczała prom na samym końcu; Martha, jako osoba z natury uprzejma (a na dodatek Angielka), ukryła przerażenie i zeszła jako jedna z ostatnich.

Kiedy schodziła po drabinie, pomyślała, że powinna spróbować uratować swój plecak. Niestety, był na przeciwległym końcu promu, w pobliżu płomieni.

W czasie kiedy łódki płynęły w stronę Bophut, kapitan i chłopiec starali się uratować przynajmniej część bagażu, nie zważając na to, że płomienie obejmują coraz większą przestrzeń. Martha spojrzała na nich z pełnym zaufaniem; na pewno uratują jej plecak. Na pewno. Potem, zdając sobie sprawę, że za pięć minut obaj mężczyźni znajdą się w bardzo, bardzo poważnym niebezpieczeństwie, zaczęła płakać.

Stali na brzegu i patrzyli na statek, który przypominał kulę ognia.

Marcie zrobiło się niedobrze; pomimo palącego słońca trzęsła się od stóp do głów.

– Hej – powiedział jej towarzysz, otaczając ją ramieniem. – Zimno ci. Zarzuć moją bluzę.

Otulił dziewczynę.

– To chyba szok – wyjaśniła. – Gdyby pożar wybuchnął pół godziny wcześniej, utonęlibyśmy. Nie udałoby się nam dopłynąć, zwłaszcza że są tu rekiny.

– Wiem, ale pożar nie wybuchnął pół godziny wcześniej, a my nadal żyjemy. Potraktuj to jako przygodę. Coś, o czym warto napisać do domu. Chociaż, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, może lepiej nie pisać. No proszę, możemy już odebrać uratowane bagaże. Tylko spójrz, Martho, komu dopisało szczęście? Widzę tylko nasze plecaki, żadnego innego. Wiesz czemu? Bo leżały na workach pocztowych. Spójrz!

Mówił prawdę; na ląd przywieziono cztery worki pocztowe i dwa plecaki. Reszta bagażu spoczęła na dnie morza.

Wszyscy byli roztrzęsieni. Turyści odjechali taksówkami, młodzi ludzie podróżujący z plecakami całą grupą powędrowali do kawiarni przy molo, knajpki, która jednocześnie pełniła funkcję kasy biletowej, kupili colę, poczęstowali się nawzajem papierosami i zaczęli rozmawiać o swoich plecakach. Większość nastolatków miała przy sobie małe torebki noszone na pasku w talii, a w nich najważniejsze rzeczy, takie jak bilety, paszporty i pieniądze, ale parę osób straciło wszystko. Kilka dziewczyn wpadło w histerię. Martha spojrzała na nie z niepokojem.

– Co możemy dla nich zrobić? – spytała.

– Nic – odparł – naprawdę nic. Jakie mamy możliwości? Zresztą na pewno sobie poradzą. Dotrą do miasta, pójdą na pocztę i zatelegrafują do domu. Być może zgłoszą się do policji turystycznej, która znajdzie im jakieś darmowe lokum, żeby przez dzień lub dwa mieli gdzie mieszkać, póki wszystkiego nie pozalátwiają.

– Mam potworne wyrzuty sumienia. To takie niesprawiedliwe.

– Nie ma w tym żadnej niesprawiedliwości. Po prostu dopisało nam szczęście, to wszystko. Co dalej?

– Nie wiem – odparła.

Znów źle się poczuła, zaczęła się trząść.

– To było... ciężkie przeżycie, prawda?

– Uhm. Prawdę mówiąc, jesteś trochę zielona.

– Fatalnie się czuję – przyznała. – O Boże... przepraszam na chwilę!

Wpadła do toalety i zwymiotowała.

– Biedactwo – powiedział, gdy wróciła. – Trzymaj, zdobyłem dla ciebie trochę wody. Pij, o, dobrze. Posłuchaj... mam propozycję. Przez przypadek jestem przy forsie... tata przesłał mi telegraficznie dodatkowe fundusze. Może spędzilibyśmy tę noc w porządnym hotelu? Prawdę mówiąc, ja też nie czuję się rewelacyjnie.

Rzeczywiście, nie wyglądał najlepiej. Pomimo opalenizny był blady i bardzo się pocił.

– Z ogromną przyjemnością, ale nie mam pieniędzy. Będziesz musiał wybrać się sam.

– Nie chcę być sam. Przyłącz się do mnie. Nie patrz tak na mnie. Weźmiemy dwa pokoje. Nie mam żadnych ukrytych zamiarów, szczerze. W pobliżu są dwa nadmorskie, luksusowe kurorty: Chaweng i Coral Winds. Pojedziemy taksówką, nie brudnym autobusem.

Martha wiedziała, że chłopak jest bogaty, a dzięki wspólnie przeżytej przygodzie poczuła się tak, jakby był starym, bardzo bliskim przyjacielem albo krewnym. Nagle wszystko wydało jej się nieważne.

– Cieszę się – powiedziała. – Dziękuję.

Wychowała się w domu, w którym oszczędność była największą cnotą, tymczasem nagle znalazła się przy obrosniętym kwiatami i paprociami basenie w hotelu Coral Winds. Za ledwie sześćdziesiąt minut po rozpakowaniu plecaka (i jednoczesnym opróżnieniu miski pełnej brzoskwiń i winogron, dostarczonej do pokoju przez dyrekcję, a także wysłaniu pomiętych i brudnych spodni oraz podkoszulków do hotelowej pralni ekspresowej) machnęła na kelnera, który kręcił się przy basenie, i z lekką irytacją spytała, jak długo jeszcze będzie musiała czekać na drugi koktajl. Kelner gorąco ją przeprosił i niemal natychmiast przyniósł zamówiony napój, więc upiła kilka łyków, następnie wstała, podeszła na skraj basenu, sprawnie zanurkowała, przepłynęła tam i z powrotem, a potem niespiesznie wróciła na swoje miejsce, świadoma, że niemal wszyscy mężczyźni siedzący przy basenie przyglądają się jej z prawdziwym podziwem. Dodatkową radość sprawiał Marcie fakt, że w większości byli to panowie w średnim wieku i

przeważnie towarzyszyły im młode tajskie dziewczęta... albo chłopcy... Czuła się wspaniale w roli jedynej dziewczyny z Zachodu i pewnej odmiany.

– Cześć – powiedział chłopak, gdy wyłonił się z hotelu. – Dobrze się czujesz?

– Nawet bardzo – zapewniła. – Dziękuję.

– Cieszę się. Ja też. Co pijesz?

– Belliniego.

Powiedziała to tak, jakby na co dzień pijała takie właśnie drinki, tymczasem zamówiła to, co znajdowało się w karcie na pierwszym miejscu. Na szczęście było bardzo dobre.

– Och, ja też go lubię. Przyłączę się do ciebie. Może zjedlibyśmy tu lunch. Odpowiada ci to?

– Jak najbardziej – odparła – ale... – Na chwilę odezwały się w niej wyrzuty sumienia. – Nie możemy po prostu iść na plażę?

– Nie, nie chce mi się ruszać. Jest niesamowicie gorąco. Na plaży zjemy wieczorem.

– Świetnie – zgodziła się Martha. – Ja stawiam. – W... w porządku.

Przyniesiono lunch. Zjedli go w sympatycznej ciszy.

O zmierzchu spacerowali wzdłuż plaży; mniej więcej co sto metrów była jakaś restauracja, na piasku stały oświetlone świecami stoliki, w budce na łodzie leżały świeże ryby, a tuż obok pieczono je na grillu. Usiedli, zamówili barakudę, a czekając na nią, popijali schłodzone piwo i obserwowali, jak fale obmywają brzeg.

– To jest życie – westchnęła. – Co za wspaniały dzień! Całkiem inaczej się czuję.

– I inaczej wyglądasz – zapewnił. – W niczym nie przypominasz dziewczyny, którą pamiętam.

– Naprawdę? Przecież jestem taka sama.

Nie miała racji. Na czas trwania bajki stała się beztroska i pewna siebie, nie była już Kopciuszką, lecz księżniczką i – póki nie zabije zegar, a oni rano nie opuszczą hotelu – taka będzie. Po kolacji powoli wrócili do hotelu. W barze śpiewała piosenkarka jazzowa. Usiedli i słuchali jej, popijając następne koktajle.

– Szczerze mówiąc – powiedziała Martha – wypłam dzisiaj więcej niż w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

– Służy ci to – oświadczył. – Powinnaś wypić jeszcze jednego belliniego, bo stałaś się dziewczyną belliniego, a mnie podoba się ta przemiana.

– Dziękuję.

– Nie, nie, to dla mnie prawdziwa frajda. To ja powinienem ci podziękować za wyjątkowo miłe interludium. Jutro lecę do Bangkoku, więc wypij jeszcze jednego drinka i chyba powinniśmy już iść spać.

Wszystko przez ostatniego drinka – dodatkowego belliniego. Martha upiła się i nabrała jeszcze większej pewności siebie. Kiedy szli w stronę swoich pokoi, chłopak pochylił się, delikatnie ją pocałował i powiedział:

– To była naprawdę świetna zabawa.

Mocno wstawiona Martha odpowiedziała bardziej entuzjastycznie, niż zamierzała. Najpierw wyczuła lekkie zaskoczenie, potem zadowolenie. Wziął ją za rękę, poprowadził chodnikiem wykładanym drewnianymi deskami i obrośniętym z obu stron palmami i powiedział:

– Mam propozycję. Może pozwolilibyśmy sobie na jeszcze jednego, tym razem naprawdę ostatniego drinka? W moim minibarku zostało jeszcze pół butelki szampana, w twoim z pewnością też coś się znajdzie, więc może wypijemy je razem? Zrobili to. Potem, jakimś cudem wpadli na pomysł, żeby usiąść na łóżku i zacząć się całować. Teraz już tylko maleńki krok dzielił Marthę od beztroskich, pewnych siebie dziewcząt, które niezbyt serio traktują seks i wszelkie inne przyjemności.

– Jesteś wspaniała – rzekł. – Naprawdę. Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia...

Miło było słyszeć takie zapewnienia, zwłaszcza z ust kogoś tak przystojnego jak on. Naprawdę, póki nie będzie musiała, nie wróci do roli nudnej, zapiętej pod szyję Marthy. Kiedy się kładła i patrzyła, jak chłopak zdejmuje ubranie, pomyślała tylko, jak bardzo jest wdzięczna nastolatкови, który nie tak dawno temu na północy pozbawił ją dziewictwa w wiosce poganiaczy słoni w pobliżu Chiang Mai. Nie było to może wspaniałe przeżycie, ale dzięki niemu teraz będzie mogła zaznać prawdziwej rozkoszy. I zaznała. Było cudownie, a jeszcze lepiej następnego ranka, tuż przed nastaniem świtu, i ponownie nieco później, zanim chłopak jedną z hotelowych limuzyn odjechał na lotnisko, a ona znów stała się Kopciuszkiem. Na czas trwania przygody przeobraziła się w kogoś cudownego, zupełnie niepodobnego do normalnej Marthy. Potem wszystko się skończyło. Całkowicie i bezpowrotnie. Co do tego nie miała żadnych iluzji.

Rozdział Trzydziesty Szósty

Znów się pokłócili.

Gideon otrzymał telefoniczną wiadomość z sieci sklepów spożywczych w Stanach: zwolnienia pracowników wywołały spory kryzys, dlatego musi nazajutrz lecieć do Seattle i wszystko pozalać.

– Nie masz nic przeciwko temu? – spytał, odkładając słuchawkę. – Przykro mi, kochanie. Oczywiście, możesz ze mną jechać, wtedy, gdybyś chciała, moglibyśmy po wszystkim wybrać się na kilka dni do San Francisco. Jestem pewien, że znajdę czas.

– Nie mogę – odparła po chwili wahania. – Kate bardzo mnie teraz potrzebuje. Co chwila dzwoni. Jestem jedynym ogniwem łączącym ją z Martha, więc nie mogę jej zawieść. Zwłaszcza gdyby opowieść Janet ujrzała światło dzienne.

– Uważam, że trochę przesadzasz w tej sprawie, Jocasto. To nie twoje dziecko, nie jesteś za nią odpowiedzialna...

– Ale jestem jej bliska, Gideonie, nie rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem. Jesteśmy małżeństwem zaledwie od kilku tygodni, a ja czuję, że zostałem zepchnięty na margines. Już.

– I kto to mówi! – zadrwiła. – Od ślubu prawie w ogóle nie jesteśmy razem. Wciąż gdzieś wyjeżdżasz, a ja zostaję sama.

– Nie opowiadaj bzdur. Zawsze możesz lecieć ze mną, jeśli tylko chcesz. Ale ty najwyraźniej nie chcesz. Albo nie do końca ci na tym zależy.

– To kłamstwo!

– Nie. Tak wygląda prawda. Prowadzę bardzo ruchliwy i niespokojny tryb życia. Gdy braliśmy ślub, wiedziałas, że mam kontakty na całym świecie.

– Tak, i tylko one się liczą, prawda? Twoje kontakty. Moje jakoś dziwnie nie mają znaczenia, jakby...

– Zachowujesz się jak dziecko – skwitował. Chętnie szermował tym stwierdzeniem. Jocasta wyszła z pokoju i trzasnęła drzwiami. Później pogodzili się w łóżku.

Niestety, nie zmieniało to faktu, że będzie musiała zostać sama przynajmniej na tydzień.

Postanowiła zadzwonić do starych przyjaciółek i sprawdzić, czy uda jej się spędzić z nimi choć trochę czasu. Wszystkie były zadowolone, że się odezwała. Umówiły się na sobotę na lunch w Clapham, a kilka z nich zaprosiło ją nawet na wieczorną wyprawę po klubach. Nie wiedząc czemu, uważała... że to nieodpowiednie zajęcie dla mężatki. Poza tym była jeszcze jedna przykra sprawa i Jocasta liczyła, że uda jej się porozmawiać o tym z Clio.

Niestety, Clio była nieosiągalna. Razem z Fergusiem wybierała się na weekend do Paryża.

– Prawda, że to bardzo romantyczne? Zorganizował wszystko jako niespodziankę. Oczywiście, mogę odwołać wyprawę, ale...

– Clio! – zawołała Jocasta oburzona. – Nawet nie próbuj tego robić! Życzę miłej zabawy.

Po lunchu w sobotę wróciła samotnie do Kensington Pałace Gardens nieco przygnębiona. Nawet lunch nie był tak miły, jak by sobie życzyła; zaczynała powstawać przepaść między nią a jej przyjaciółkami. Jocasta nie należała już do ich świata, przestała być dziewczyną, która robi karierę i obja się po mieście z beztruskim chłopakiem, a stała się bogatą kobietą, żoną mężczyzny w średnim wieku. Wiedziała, czyje towarzystwo by jej odpowiadało.

Kiedy parkowała, odezwała się jej komórka.

– To ty, Jocasto? Cześć, mówi Nick. Jesteś zajęta?

– Mam zamiar wybrać się do niej i zadać jej parę pytań. Pójdiesz ze mną?

Nat bacznie przyjrzał się Kate. Na jej twarzy widać było zdecydowanie.

– Taak. Pójdę pod warunkiem, że naprawdę chcesz, ale wcześniej zadzwoń do niej. Sprawdź, czy jest w domu. Masz jej numer, prawda?

– Tak. – Kate wyciągnęła do niego rękę. – Chodź.

Martha właśnie wybierała się do Suffolku, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wiedziała, że musi powiedzieć o wszystkim rodzicom.

Nie mogła dłużej ryzykować. Nawet jeśli informacje na temat jej przeszłości nie pojawiły się ani w dzisiejszej, ani we wczorajszej gazecie, mogą pojawić się jutro.

Nick jest cudowny, ale przecież są inne gazety, a Janet nie będzie czekała w nieskończoność.

Martha była bardzo niespokojna. Ed nie wrócił. Zadzwoił, zapewnił, że ją kocha, ale potem dodał, że potrzebuje jeszcze trochę czasu, by przemyśleć pewne rzeczy, i naprawdę chciałby wiedzieć więcej.

– Jesteś niesprawiedliwa. Wymagasz ode mnie zbyt wielkiego zaufania. To zasadnicza sprawa, Martho. Od początku cię popierałem, ale uważam, że mam prawo wiedzieć, co to za facet. Kocham cię, mimo to nie mogę dać sobie z tym rady. Daj znać, gdybyś zmieniła zdanie. Nigdzie nie wyjeżdżam, a w tej sprawie potrzebuję niewielkiej pomocy.

W związku z tym zatelefonowała do rodziców, powiedziała, że przyjeżdża i że chce z nimi porozmawiać.

– Bardzo się cieszymy, kochanie – zapewniła Grace. – Kiedy będziesz?

– Późno... być może koło dziewiątej albo dziesiątej.

– Niecierpliwie czekamy.

Nie macie na co – pomyślała Martha – prawdopodobnie będziecie żalowali, że przyjechałam, ale nie było innej możliwości. Wtedy zadzwoniła Kate.

– Mówi Kate Tarrant. Chciałabym się z panią spotkać. Za godzinę. Zakładam że będzie pani w domu.

– Tak – odparła Martha słabym głosem. – Będę. Zadzwoiła do rodziców i powiedziała, że przyjedzie znacznie później, więc niech idą spać. Zobaczą się rano. Tak będzie lepiej, rano to lepsza pora na poważną rozmowę niż późny wieczór.

– Znowu dzwoniła do mnie Frea – zdradził Nick. – Grozi, że jeśli nie opublikuję tej historii

w poniedziałek, pójdzie ze swoją opowieścią do „Sun”. Prawdę mówiąc, Jocasto, to koszmar.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie, zostawiła mi tylko wiadomość.

– Boże, to straszne! Co teraz robisz?

– Nic. Martwię się.

– Może przyjechałbyś do mnie i urządzilibyśmy sobie burzę mózgow. Zamówię jakieś jedzenie na wynos...

– Co takiego? Czyżbyś dała służbie wolne? Co za wyrozumiałość z twojej strony! Gdzie jest Gideon?

– Wyjechał.

– W takim razie chyba nie powinienem przychodzić. Wiedziała, że Nick ma rację, co potwierdziło ogromne poczucie zawodu.

Chociaż z drugiej strony... przecież już go nie kocha, prawda? Tak, na pewno go nie kocha. Może nawet nigdy go nie kochała. Uwielbiała jego towarzystwo i wspólne życie, ale przecież to jeszcze nie miłość. Uczucie, którym darzyła Gideona, było wyjątkowe i bardzo mocne. Wprawdzie czasami kaprysił, nie chciał niczego zrozumieć i zbyt łatwo wpadał w złość, ale przede wszystkim był życzliwy, dobroduszny, troskliwy i bardzo, bardzo czuły. Co więcej, kochał ją tak, jak ona jego: bezwarunkowo. Dla niego warto było znieść samotność. Kiedy całe zamieszanie z Martha i Kate minie, Jocasta nigdy więcej nie pozwoli mu jechać samemu.

– Cześć – rzuciła Kate.

Miała na sobie dżinsy i podkoszulek, który odsłaniał znaczną część płaskiego brzucha. Włosy związała z tyłu głowy i nie zrobiła sobie makijażu. Była znacznie wyższa od Marthy. Gospodyni zastanawiała się, co czuje – na razie tylko dyskomfort.

– To Nat Tucker – przedstawiła Kate. – Mój przyjaciel.

– Cześć, Nat – przywitała go Martha. – Wejdźcie. Napijcie się czegoś? Drinka albo czegoś innego?

– Nie. Dziękuję – powiedziała Kate.

Weszła i rozejrzała się dookoła. Nat zrobił to samo.

Nastąpiła długa, lodowata cisza. W końcu przełamał ją Nat.

– Ma pani bardzo ładne mieszkanie – rzekł. – I piękny widok.

– Dziękuję – wydukała Martha. – U... usiądźcie?

Nat opadł na jedną z czarnych skórzanych sof; Kate stała. Nagle odwróciła się twarzą do Marthy.

– Chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem – oznajmiła. – To wszystko. Nic więcej mnie nie interesuje.

Martha nie tego się spodziewała.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego? Nie wie pani? – Jej ciemne oczy twardo spoglądały na Marthę. – Czy dlatego,

że to była przygoda na jedną noc? Ma prawo być zła – pomyślała Martha – ma prawo być wrogo nastawiona.

– Nie... po prostu nie mogę ci powiedzieć – odparła.

– Taak? Czy wciąż utrzymuje pani z nim kontakt?

– Nie, ale on o niczym nie wie. Uważam, że nie mam prawa... mówić mu o wszystkim... po tylu latach.

– Nie ma pani prawa? Rozumiem. Ale miała pani prawo mnie zostawić, czyż nie? Po prostu zostawić wśród środków czystości?

– Kate...

– I pewnie słusznie pani postąpiła, nie próbując się ze mną skontaktować, kiedy pojawiłam się w gazecie? Z tym nie miała pani problemów. To było w porządku, tak? Ma pani dziwne pojęcie, co słuszne, a co nie! Zostawiła mnie pani jako noworodka. Byłam sama, samiuteńka, mogłam umrzeć...

– Zaczekałam – wtrąciła Martha – czekałam, póki cię nie znaleziono, póki nie nabrałam pewności, że nic ci się nie stanie...

– Naprawdę? To bardzo miło z pani strony. Przypuszczalnie uznała pani, że na nic więcej nie zasługuję, prawda?

– Nie...

– Nigdy potem nie zastanawiała się pani, jak mogę się czuć, mając świadomość, że moja matka w ogóle się mną nie interesuje? Wie pani, jak to jest? Kiedy jest się istotą niechcianą? Nieważną? Nawet pani nie przypuszcza, jakie to okropne. Tak czy inaczej, miałam szczęście i trafiłam na wspaniałą, odpowiedzialną mamę. To ona się o mnie troszczyła. Wciąż to robi. Cieszę się, że to ona mnie wychowywała. Nie wiem, jaką matką by pani była, ale podejrzewam, że gównianą!

– Kate – wtrącił Nat spokojnie.

– Naprawdę byłaby gównianą matką – zapewniła dziewczyna, odwracając się do niego, a potem znów skupiając uwagę na Marcie. – Więc właściwie powinnam się cieszyć, że sama pani zechciała wynieść się z mojego życia. Chcę tylko wiedzieć, kto jest moim ojcem, jeśli więc poznam jego imię i nazwisko, zostawię panią w świętym spokoju. Na czym najwyraźniej przez cały czas pani zależało. Przepraszam, że go zakłóciłam.

– Doprawdy bardzo mi przykro, Kate, ale ci tego nie powiem. Nie mogę.

Spojrzała spokojnie na swoją córkę, próbując porównać piękną nastolatkę z maleńkim noworodkiem, którego zostawiła. Nie udało jej się.

– Nie rozumiem – powiedziała Kate. – Uważam, że jest mi pani coś winna.

– Oczywiście. Tylko... nie to.

– Ty krowo!

Gdy Kate podeszła bliżej, Martha myślała, że dziewczyna ją uderzy.

– Ty głupia krowo! Nat wstał.

– Kate, w niczym sobie nie pomagasz. Jeśli pani nie chce ci powiedzieć, kto jest twoim ojcem, to po prostu tego nie robi. Na pewno ma jakiś powód.

– Jasne, tak samo jak miała powód, żeby mnie porzucić.

Chcę poznać swojego ojca. Może on trochę bardziej przypadnie mi do gustu. Niż ta głupia krowa – dodała.

– Kate! – ostrzegł Nat ponownie. – Przepraszam – zwrócił się do Marthy. – Ona nigdy nie bywa taka niegrzeczna.

Nie wiadomo dlaczego, jego słowa tak rozbawiły Marthę, że lekko się uśmiechnęła. Uznała je za świetny sposób na rozładowanie napięcia.

Widząc to, Kate podeszła do matki i wymierzyła jej tęgą policzek.

– Nie śmiej się z Nata! – warknęła. – On jest wart milion razy więcej niż ty.

– Wcale się z niego nie śmiałam, Kate – wyjaśniła Martha. – Śmiałam się z... z... To zresztą nie ma żadnego znaczenia.

– Tak samo jak ja – przypomniała dziewczyna. – Ja też nie mam dla pani żadnego znaczenia. I nigdy nie miałam. Byłam czymś, czego należało się pozbyć, prawda? Dlaczego nie dokonała pani aborcji? Dlaczego? Dlaczego nie spuściła mnie pani w muszli? Tak byłoby o wiele prościej, prawda?

Po tych słowach nastolatka zaczęła szlochać, jej płacz coraz bardziej przybierał na sile, w końcu niemal krzyczała. Nat próbował ją uspokoić, ale Kate tylko okładała go zaciśniętymi pięściami, potem opadła na sofę, ukryła głowę w ramionach i zasłoniła się włosami.

Martha spozjrzała na córkę i po raz pierwszy coś poczuła. Jakieś dziwne drgnięcie, żal, że widzi dziewczynę w takim stanie, pogrążoną w rozpacz i bólu. Cierpienie nastolatki poruszyło kobietę. Okazało się inne niż to wszystko, co Martha dotąd przeżyła – głębsze, bardziej dojmujące i dotkliwe. Zastanawiała się, czy to nie uczucie macierzyńskie obudziło się w niej po tak wielu latach. W każdym razie Martha poczuła ogromną ulgę, że stać ją na taką reakcję.

Usiadła obok córki i z pewnym wahaniem otoczyła ją ramieniem.

– Niech mnie pani nie dotyka!

Jednak bliżej nieokreślone uczucie dodało Marcie odwagi.

– Możesz mnie wysłuchać?

– Czym chce mnie pani uraczyć? Swoimi wyjaśnieniami? Nie, dziękuję, nie mam na nie ochoty.

Na szczęście przynajmniej spozjrzała na Marthę, chociaż przez cały czas szlochała i ocierała oczy wierzchem dłoni. Niemniej był to jakiś kontakt. Martha przyniosła chusteczki, dziewczyna wzięła je bez słowa.

– Idziemy – zwróciła się Kate do Nata. – Nie ma sensu ciągnąć tego dłużej.

– Nie uważasz, Kate, że warto byłoby wysłuchać, co pani ma ci do powiedzenia?

– Nie – odparła dziewczyna szorstko. – Nie uważam. Chcę od niej usłyszeć tylko jedno: imię i nazwisko mojego ojca. Chodź, Nat. Idziemy.

Podeszła do drzwi, ale nie mogła poradzić sobie z zamkiem. Pomogła jej Martha.

– Przepraszam – powiedziała, patrząc Kate prosto w oczy. – Wiem, że to nic ci nie da, ale naprawdę czuję się winna. Chciałabym, żebyś zechciała wysłuchać, co mam ci do powiedzenia.

– Mogła to pani zrobić kilka tygodni temu – rzuciła Kate. – Teraz jest za późno.

Po czym ona i Nat wyszli.

Janet Frean coraz bardziej się niecierpliwiła. Jeżeli jej opowieść nie ukaże się w najbliższych dniach, straci cały impet. Śmieszne.

Dlaczego jej nie publikują? To ciekawa historia, a Nick jest wspaniałym dziennikarzem. Wybrała... naprawdę wybrała najlepszą chwilę. Będzie bardzo zła, jeśli artykuł się nie ukaże.

Czyżby Nick nagle zmiękł? Nie, na pewno nie.

Spojrzała na zegarek; za godzinę wyjazd. Miała wygłosić mowę na zjeździe lekarzy w Bournemouth. Nie mogła się spóźnić.

Zadzwoiła do Nicka: nie odpowiedział. Zostawiła mu wiadomość i poszła się przebrać.

Kiedy pakowała torbę, postanowiła wysłać do niego emaila. Może warto skusić go kilkoma dodatkowymi szczegółami, dodać sprawie nieco pikanterii – nie powiedziała na przykład, że Martha wie, kto jest ojcem. Może warto zasugerować, że Janet też to wie? Zaintrygować go. Wtedy przynajmniej powinien się z nią skontaktować. Byłoby bardzo źle, gdyby tego nie zrobił. Weszła do swojego gabinetu i włączyła laptop. Przyszło kilka emaili, jeden z nich od Kirklanda, który sugerował, żeby wieczorem powiedziała o polityce zdrowotnej partii. Jakby trzeba jej było to przypominać! Na litość boską, przecież to zjazd lekarzy! Boże Wszechmogący, za kogo on ją uważa? Przewinęła książkę adresową, znalazła Nicka i zaczęła pisać.

– Przysłała mi maila – powiedział Nick do Jocasty. – Zaczekaj, zaraz ci go przeczytam. Píše, że nie chce, by jej opowieść się zmarnowała. O, a dalej: „Nie zwlekaj zbyt długo. Wolałabym nie przekazywać jej komuś innemu. Przez przypadek mam jeszcze coś do dorzucenia – szczegóły drzewa genealogicznego. Daj znać, czy jesteś zainteresowany”.

– Jak sądzisz, co to oznacza? Że wie, kto jest ojcem? Cholera, sama jestem bardzo ciekawa.

– Bóg jeden raczy wiedzieć. Potem píše, żebym zbyt długo nie zwlekał i że jeśli nie zdecyduję się do poniedziałku, pójdzie do „Sun”.

– Cholera jasna! Niech to wszyscy diabli, Nick! Co masz zamiar jej odpowiedzieć?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Mamusiu! Jest mi niedobrze!

Janet spojrzała z niedowierzaniem na swoje czwarte z rzędu dziecko. Arthur był rzeczywiście zielony. Zerknęła na zegarek: już powinna być w drodze.

– Gdzie jest tata?

– W swoim gabinecie. Rozmawia przez telefon. Odesłał mnie do ciebie.

– W takim razie chodźmy na parter, może przy telewizorze poczujesz się trochę lepiej... och, Arthurze!

Wszystko, co Arthur robił, zawsze robił bardzo dokładnie. Łącznie z wymiotowaniem,

dlatego spodnium Janet nadawało się tylko do czyszczenia. Nim udało jej się oderwać Boba od telefonu, wmyć Arthura i przebrać się, była już bardzo spóźniona. Jechała sama. Chwyciła aktówkę i torbę podróżną, pobiegła do samochodu i zapuściła silnik. W tym momencie nagle uświadomiła sobie, że w domu został jej maleńki, przenośny komputer BlackBerry. Sprytne, małe urządzenie, które może wysyłać i przyjmować emaile, a w razie potrzeby zastąpić telefon komórkowy. Co tego wieczoru miało ogromne znaczenie. Wbiegła z powrotem do domu. Bob był w holu.

– Myślałem, że już wyszłaś.

– Bo wyszłam, ale mój blackberry został w domu.

– Po co ci on, do diabła?

– Mam w nim zapiski do swojego dzisiejszego wystąpienia. Bob wiedział, że Janet kłamie; widział na biurku żony kartki z wydrukowaną całą mową. Wrócił do Arthura, który z radością oglądał taśmy wideo ze starymi odcinkami „Starsky’ego i Hutch’a” i domagał się lodów.

Martha dopiero po wyjechaniu na A12 zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Miała przed sobą długą drogę, tymczasem czuła, że jej mózg przestaje pracować.

Może powinna zatrzymać się na noc w motelu i rano wyruszyć w dalszą drogę? Mogła przecież zadzwonić do rodziców i powiedzieć im o zmianie planów, żeby się nie martwili. Wybrała ich numer. Boże, co ludzie robili, gdy nie mogli w samochodzie korzystać z telefonu? Włączyła się automatyczna sekretarka.

Martha wiedziała, co to oznacza – oglądają telewizję. Pewnie „Casualty”. Kiedy siedzieli w salonie, nie słyszeli telefonu. Cholera! Co gorsza, rzadko wieczorem sprawdzali automatyczną sekretarkę, raczej robili to rano. Mimo to zostawiła im wiadomość, że spróbuje poszukać jakiegoś pensjonatu i przyjedzie rano.

Zaczęła się bawić w różne gry liczbowe, z których ostatnio często korzystała, gdy nie chciała zasnąć. Liczyła trójkami do tyłu, siódmkami do przodu, podwajała liczby – to trochę pomagało. Może jednak dojedzie.

Fatalnie się czuła. Po spotkaniu z Kate była roztrzęsiona. Nie wiadomo dlaczego, nie spodziewała się aż takiej wrogości. Była naiwna. Sprawdzała swoje uczucia do Kate, tak jak sprawdza się bolący ząb. Problem polegał na tym, że nic nie czuła. I już to samo wprawiało ją w zakłopotanie. Z pewnością powinna istnieć między nimi jakaś nić sympatii, coś, co wskazywałoby na łączącą je więź. Na litość boską, była jej matką! Oczywiście, Martha nie liczyła na uczucie miłości ze swej strony, bo tę raczej należało między bajki włożyć, ale przynajmniej żal i smutek, że tyle straciła. Nic z tego. Dręczyło ją jedynie poczucie winy. Ogromne poczucie winy.

Kate zdecydowanie nie przypadła jej do gustu; nastolatka najwyraźniej była ostra, bezkompromisowa i do tego pozbawiona uroku. W przeciwieństwie do swojego słodkiego chłopaka. Nat wywarł na prawniczkę o wiele lepsze wrażenie. Martha w końcu uświadomiła sobie, że uczucia macierzyńskie są jej zupełnie obce. Gdyby ich bowiem doświadczała,

prawdopodobnie nigdy w życiu nie porzuciłaby Kate. Widocznie była właśnie taka, za jaką uznała ją Kate: twarda, niezdolna do głębszych uczuć i samolubna. Prawniczka wysnuła ze swoich rozważań wnioski, że być może wyrzuty sumienia przemawiają teraz na jej korzyść, bo nigdy wcześniej ich nie miała w stosunku do Kate. Poczucie winy bez wątplenia oznaczało, że w końcu uświadomiła sobie, co zrobiła.

Ponownie próbowała wybrać numer plebanii; wciąż bez skutku. No cóż, może uda jej się dojechać. Napije się kawy w Little Chef i pojedzie dalej. Milej byłoby dotrzeć na miejsce i przespać noc we własnym łóżku.

Nick w końcu odpowiedział na emaila Janet.

„Janet, robię, co mogę, dopracowuję szczegóły. Proszę, okaż mi jeszcze trochę cierpliwości. Co miałas na myśli, pisząc o drzewie genealogicznym? Nick”.

Martha znów była w drodze, tym razem – całkiem rozbudzona.

Próbowała ułożyć w myślach rozmowę z rodzicami, zastanawiała się, jak nią pokierować. Czy istnieje sposób, żeby w miarę delikatnie przekazać taką wiadomość?

– Cholera – powiedziała na głos.

Tymczasem to był dopiero początek. Musiała jeszcze poinformować Paula Quenella i Jacka Kirklanda. Swoich przyjaciół. Jakich przyjaciół? Nagle doszła do wniosku, że ma ich naprawdę bardzo niewielu. Niemniej trzeba porozmawiać z nimi wszystkimi w ciągu najbliższych dni, może nawet godzin, jeśli Janet pójdzie do innej gazety.

[Od janet@hotwest.com](mailto:Od%20janet%40hotwest.com)
do [nick@sketchwestminster.com](mailto:nick%40sketchwestminster.com)

„Jakie jeszcze szczegóły masz do dopracowania? I jak sądzisz, co to jest drzewo genealogiczne? Rusz głową. Mogę osobiście pogadać z Chrisem, on na pewno pchnie sprawę do przodu. Byłoby bardzo dziwne, gdyby tego nie puścił. Jestem pewna, że opublikowałby ten materiał już w miniony piątek, kiedy nasza bohaterka robiła w telewizji taką furorę. Może podesłałbyś mi szkic? Janet”.

Cholera! Co robić? A jeśli Janet rzeczywiście skontaktuje się z Chrisem? Nick zaczął panikować. Lepiej zadzwonić do niego osobiście. Ostrzec go. Tylko że wtedy redaktor naczelny będzie chciał dokładnie wiedzieć, o co chodzi.

Od [nick@sketchwestminster.com](mailto:nick%40sketchwestminster.com)
[dojanet@hotwest.com](mailto:dojanet%40hotwest.com)

„Czyś ty, Janet, oszalała??!! Przecież wiesz, że nigdy nikomu nie pokazujemy szkiców. Jeśli chcesz, możesz porozmawiać z Chrisem, ale w ten weekend organizuje jakąś imprezę towarzyską i nie cierpi, jeśli mu się przeszkadza”.

To była prawda. Chris i obecna pani Pollock, pracownica szczebla kierowniczego z telewizji, wydawali huczne kolacje, w których uczestniczyło mnóstwo gwiazd, a nazajutrz jeszcze huczniejsze brunchy. Wolno im było przeszkodzić tylko w przypadku spraw, które mogły zająć całą pierwszą stronę poniedziałkowego wydania, a chociaż wszyscy bardzo interesowali się Małą

Bianką, z pewnością nie zasługiwała na największą czcionkę. Więc... to było bardzo mądre posunięcie.

„Naprawdę, staram się, jak mogę. Oczywiście, drzewo genealogiczne bardzo mnie interesuje. Może porozmawiamy jutro.

Nick”.

Błagam, Boże, żeby to ją uciszyło! Nic z tego.

Odjanet@hotmail.com

do nick@sketchwestminster.com

„W porządku. Porozmawiamy. Zadzwoń jutro w porze lunchu, sprawdzę, jak ci idzie.

Potwierdź, czy się zgadzasz”.

Boże, sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Może mimo wszystko powinien napisać ten artykuł? Choćby tylko po to, żeby uratować Marthę i Kate przed gorszymi sępami?

Martha wiedziała, że to czyste szaleństwo, ale zadzwoniła do Eda.

Czuła się taka samotna, tak pokrzywdzona przez los; nie chciała go teraz stracić, zwłaszcza że niedawno go znów odnalazła.

– Cześć, Ed, to ja. Właśnie się zastanawiałam, jak się miewasz.

Zadzwoń, gdy będziesz mógł. Jestem w drodze do Binsmow.

Jej słowa bardzo przypominały jego wcześniejsze niezliczone, pełne troski telefony; musiał wtedy wiedzieć, tak samo jak ona teraz, że są niewielkie szanse na odpowiedź, przynajmniej taką, na jakiej mu zależało. To tylko mogło świadczyć, jak podle się czuła, inaczej aż tak by nie ryzykowała. Martha Hartley zawsze unikała ryzyka.

Znów była śpiąca, bardzo śpiąca. Puściła płytę Stonesów i podkręciła natężenie dźwięku. To często pomagało.

Nagle odezwał się telefon. Na ekranie pojawiło się imię Eda.

Poczuła ucisk serca.

– Cześć, Ed.

– Cześć. Gdzie jesteś?

– Mniej więcej godzinę drogi do Binsmow.

– Taak? – Głos Eda był uprzejmy, niestety tylko uprzejmy. – Jedziesz na spotkanie z rodzicami?

– Tak. Muszę... im powiedzieć.

– Naprawdę? Zapomniała o rozsądku.

– Boję się, Ed. Potwornie się boję.

– Czego?

– Że ich zranię. To jest poważny problem. Od tego wszystko się zaczęło.

– Taak. Nie przejmuj się, na pewno sobie poradzisz.

– Ed...

– Tak, Martho?

– Tęsknię za tobą.

Sama nie mogła uwierzyć, że rozmawia z nim w taki sposób, jakby rzucała mu się na szyję.

– Ja też za tobą tęsknię, ale nie mogę poradzić sobie z tym gównem. No wiesz, dotyczącym ojca.

– Wiem, ale...

– Powiesz mi czy nie?

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Chciałabym, żebyś zrozumiał...

– Przykro mi, ale nie mogę. Nigdy się nie zmienisz, prawda? Dzwonisz do mnie tylko dlatego, że mnie potrzebujesz, ale przez cały czas myślisz tylko o sobie.

Wrócił z uśmiechem.

– Przypuszczalnie zatrzymała się gdzieś po drodze. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona, więc prawdopodobnie przenocuje w jakimś motelu i przyjedzie na śniadanie.

– Dobrze, że jest taka rozsądna. C– Wcale nie!

– Ależ tak, Martho. Powinnaś posłuchać tego, co mówisz. Powtarzasz wciąż to samo, jak cholerna, pęknięta płyta. Że nie chcesz zranić rodziców, że od tego się zaczęło. Zakładasz, że mam dla ciebie czas, że rzucę wszystko, by cię wysłuchać. Niestety, nie mogę. Jestem w pokoju montażowym. Zadzwoń do ciebie za dzień lub dwa.

Udało jej się z nim pożegnać, a dopiero potem wybuchnęła płaczem. Łzy zasnuły jej oczy. Musi stanąć. Płacz i zmęczenie to fatalna kombinacja. Skręciła na wewnętrzną nitkę, żeby zjechać na utwardzone pobocze. Nie zauważyła, że na lewo od niej jest zjazd z A12, a na nim ciężarówka, która przekraczała nieco dozwoloną prędkość. Jej kierowca też był trochę rozproszony, bo właśnie rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną Odbił, próbując ominąć samochód Marthy, ale i tak w niego uderzył, po czym poślizgnął się przez całą szerokość drogi, wlokąc mercedesa ze sobą.

Rozdział Trzydziesty Siódmy

– Martha bardzo się spóźnia – powiedziała Grace, wyłączając Michaela Parkinsona i przystępując do swojego wieczornego rytuału spulchniania poduszek, wyrzucania kota i składania gazet.

– Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

– Na pewno nie. Pójdę, wyłączę komputer, jeszcze raz przeczytam kazanie i sprawdzę, czy nie dzwoniła.

hodź, kochanie, zrobię herbatę. Ponieważ wypadek zdarzył się tuż za zakretem, zbliżający się kierowcy nie widzieli, że coś się stało. Dwa samochody wpakowały się na wraki, dopiero trzeci mężczyzna jechał wystarczająco wolno i ostrożnie, by dostrzec karambol na czas. Zatrzymał się, włączył światła awaryjne i zadzwonił na policję. Potem wyjął z samochodu gaśnicę i z przerażeniem podbiegł do sterty złomu, który blokował drogę.

Samochody z tyłu nie były poważnie uszkodzone, miały jedynie zgniecione maski, w jednym z nich całkowicie odkształciły się przednie koła, w drugim chyba zaciął się klakson, ale obaj kierowcy byli wystarczająco przytomni, by zgasić silniki. Mercedes, który uwiązł pod jednym z ogromnych kół ciężarówki, miał całkowicie zmiażdżony dach i rozbitą przednią szybę.

– Biedny facet – powiedział mężczyzna z gaśnicą do drugiego, który pojawił się obok. – Musiał nieźle oberwać.

– Taak. Co robimy?

– Nie mam pojęcia.

Wtedy z ciemnego środka samochodu, na ułamek sekundy przed błogosławionym zawodzeniem policyjnych syren, dobiegł charakterystyczny sygnał komórki.

– Cholera – powiedział Ed.

Pewnie dotarła na plebanię i wyłączyła telefon. Niestety, nie miał jak się tam dodzwonić o tak późnej porze. Zatelefonuje jutro rano. Martha zawsze budziła się przed szóstą, nawet w niedzielę, no, może czasami w niedzielę o wpół do siódmej, dlatego żaden poranny telefon do niej nie był zbyt wczesny. Wyłączył komórkę. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Za szorstko ją potraktował. Za dużo nagadał. Nie zasłużyła sobie na to. Była bardzo zdenerwowana i oczekiwała od niego... wsparcia. Problem polegał na tym, że Ed był zmęczony ciągłym wspieraniem jej, tymczasem Martha najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy ani nie była mu za to wdzięczna. Niemniej... znalazła się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji. Miała za sobą dwie doby, które mogłyby kompletnie załamać każdego człowieka. Ed przypuszczał, że do pewnego stopnia powinien podziwiać ukochaną za próbę osłaniania ojca Kate. Widocznie Martha bardzo go lubi, skoro zadaje sobie tyle trudu. Niestety, to go szczególnie irytowało, chociaż uświadamiał sobie, że zachowuje się jak szczeniak, bo przecież wszystko działo się szesnaście lat temu. Trudno, zadzwoni do niej rano, przeprosi i spróbuje się z nią pogodzić. Wrócił do montażu.

– Wiesz? – powiedziała Clio. – Nie mogę przestać myśleć o Marcie.

– Muszę przyznać – odparł Fergus – że to jest wspaniałe, i naprawdę podziwiam twojego chrześcijańskiego ducha, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że powinnaś myśleć o mnie. Przyproceedziłem cię tu, żeby ci pokazać, jak bardzo się o ciebie troszczę, a ty mi mówisz, że myślisz o swojej najlepszej przyjaciółce. Czy kim ona tam jest.

– Martha wcale nie jest moją najlepszą przyjaciółką – zaprotestowała Clio. – Prawie jej nie znam, lecz znalazła się w fatalnej sytuacji, a nikogo przy niej nie ma, nikt nie trzyma jej za rękę...

– Wydawało mi się, że od trzymania za rękę ma tego młodego, ślicznego chłoptasia.

– Ma i, mój Boże, on rzeczywiście jest śliczny, ale to nie to samo, nie sądzisz? Przynajmniej nie do końca. Posłuchaj, w Anglii jest dopiero w pół do dwunastej. Ona na pewno jeszcze nie śpi i pewnie się martwi... całkiem sama.

– A jeśli nie jest całkiem sama, jeśli jest w łóżku ze swoim facetem, co wtedy?

– Wtedy po prostu nie odbierze telefonu. Zadzwońmy do niej, Fergusie. Niech wie, że o niej myślimy.

– W porządku. Weź mój telefon. Możesz z niego skorzystać pod warunkiem, że potem pójdziemy prosto do hotelu i będziemy kontynuować to, co robiliśmy w porze lunchu.

– Umowa stoi – zapewniła Clio, wychylając się przez stolik i całując Fergusa.

Wybrała numer domowy. Chłodny głos Marthy poinformował ją, że jest w tej chwili bardzo zajęta, ale oddzwoni.

– Nie przejmuj się tym telefonem, Martho. Mam nadzieję, że ktoś z tobą jest. Albo śpisz. Mówi Clio. Oboje z Fergusiem myślimy o tobie, mamy nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Serdecznie cię pozdrawiamy. To wszystko. – Wyłączyła się. – Dobrze, Fergusie, a teraz spróbuję zadzwonić nanej komórce... O Boże, co za potworny hałas! Posłuchaj.

Fergus nadstawił ucha.

– Jest poza zasięgiem, zepsuła się albo coś takiego. Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. A teraz... co z resztą umowy?

– Nie mogę się doczekać. Zadzwońmy do niej rano, dobrze?

– Na litość boską, przestań mówić o Marcie Hartley – powiedział Fergus – i rusz swój cudowny tyłeczek. Nic jej nie będzie. Jestem tego całkiem pewien.

– Czy to wielbny Peter Hartley? Przepraszam, że dzwonię w środku nocy, sir. Jestem z policji. Niestety, był wypadek... Peter odłożył telefon i z przerażeniem w oczach spojrzał na żonę. Nie musiał jej nic mówić.

– Żyje? – spytała Grace. – Gdzie jest?

– Żyje, ale leży na intensywnej terapii. W Bury Saint Edmunds Hospital.

– Jedziemy – powiedziała bardzo spokojnie, sięgając po ubrania, które przygotowała na rano.

– Szybko, Peterze. Ona nas potrzebuje.

Ubierając się (i zakładając koloratkę, która, jak się przekonał, czasami bywała bardzo pożyteczna), Peter Hartley zaczął się cicho modlić. Umiał się modlić w każdych warunkach: podczas prowadzenia auta, robienia zakupów w supermarkecie, plewienia ogródka,

porządkowania swojego gabinetu. Nie przestał, póki nie dojechali do szpitala. Potem modlił się przez chwilę, żeby nie było za późno.

Janet Frean nie mogła zasnąć. Jej blueberry dał sygnał.

Wiadomość od Nicka Marshalla? Lepiej, żeby tym razem napisał coś konkretnego. Inaczej nie będzie czekała nawet do poniedziałku.

Poinformowano ich, że najgorsze są obrażenia jamy brzusznej:

Martha miała pękniętą śledzionę.

– Dlatego straciła dużo krwi – wyjaśnił młody lekarz. – Oczywiście, robimy jej transfuzję, ale będziemy musieli usunąć śledzionę. Ma też kilka pękniętych żeber i złamane lewe ramię, ale nie są to poważne obrażenia.

– Najgorsza jest śledziona?

– Niestety, tak. Poza tym straciła dużo krwi. Państwa córka miała szczęście, że uszła z tego z życiem.

– Czy możemy... ją zobaczyć? Lekarz zawahał się.

– Możecie, ale przygotujcie się na duży stres.

– Dlaczego? – spytała Grace drżącym głosem. – Czy jest... oszpecona?

– Nie, nie. Przynajmniej nie na stałe. Owszem, ma poranioną i posiniaczoną twarz i głowę. Chodzi mi o to, że jest podłączona do kroplówek i Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego jeszcze, a także do tych popiskujących urządzeń, których obecnie używamy. – Uśmiechnął się do nich ze znużeniem. – Przypuszczam jednak, że oglądacie czasami „Casualty”. Jeśli tak, nic was nie zaskoczy.

– Nie zaskoczy – zapewniła Grace. – Prawdę mówiąc, dziś wieczorem obejrzelismy odcinek o wypadku samochodowym... W tym momencie uświadomiła sobie, że jej słowa brzmią absurdalnie, zwłaszcza że z powodu tegoż właśnie serialu nie usłyszeli telefonu i nie porozmawiali z Martha. W głowie Grace kołatały się słowa „po raz ostatni”. Błyskawicznie odsunęła je od siebie.

– Jest nieprzytomna. Prawdopodobnie jeszcze przez wiele godzin nie odzyska świadomości.

– Jednak chcielibyśmy ją zobaczyć.

– W porządku. Pielęgniarka zaprowadzi was na OIOM. Helen też nie mogła zasnąć. Prawdę mówiąc, często jej się to zdarzało. Odkąd historia Kate znalazła się na pierwszych stronach gazet, bezsenne noce stały się niemal normą.

O piątej wstała z łóżka, zostawiła chrapiącego Jima i zeszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Było jasno i bardzo ciepło. Otworzyła drzwi kuchenne, wyszła na patio, usiadła wśród śpiewu ptaków i zastanawiała się, co zrobić. Wściekłość i wrogość Kate w stosunku do Marthy Hartley rosły niemal z godziny na godzinę i z pewnością nie były dobre dla dziewczyny.

Helen czekała z ogromnym niepokojem na powrót Kate i Nata od Marthy. Dziewczyna pojawiła się blada i zapłakana. Poszła prosto do swojego pokoju na piętrze. Nat usiadł i opowiedział im, co się stało.

– Bardzo się zdenerwowała – wyjaśnił. – Naprawdę bardzo. I niezbyt miło potraktowała tę kobietę.

– O rany! – jęknęła Helen.

Boże! – pomyślała. – Teraz matka Kate uzna, że źle wychowałam córkę i nie nauczyłam jej dobrych manier.

– Sądzę jednak, że ona zrozumiała. To znaczy pani Hartley. Traktowała Kate z ogromną cierpliwością.

Tak przypuszczam – przemknęło Helen przez myśl. – Nigdy wcześniej nie musiała się z nią borykać.

– Na moje oko to bardzo miła osoba – kontynuował Nat, przyjmując piwo, które podał mu Jim. – Zdrówko! Wygadana i w ogóle. Oczywiście, to normalka, biorąc pod uwagę jej pracę. Ma ładną chatę – dodał. – I chyba kupę szmalu.

– Tak, na pewno – przyznał Jim. – Nie ma rodziny na utrzymaniu, prawda?

Był niemal tak samo zły na Marthę jak Kate; Helen czuła, że tylko ona jedna stara się podchodzić do sprawy w miarę spokojnie.

– No właśnie – przyznał Nat. – Poza tym prawnicy są bardzo dziani, no nie? Mój tata mówi, że to pasożyty żerujące na... kulturze rewanżu, jak można by to nazwać. Jego zdaniem wkrótce zaczniemy pozywać do sądu naszych rodziców za to, że sobie z nami nie radzili.

– Chyba pod tym względem muszę przyznać twojemu ojcu rację – powiedział Jim.

– Taak, chociaż nie sądzę, by Kate kiedykolwiek chciała was o coś oskarżyć – zapewnił Nat. – Zawsze jej powtarzam, że jest szczęściarą.

– Och, Nat – westchnęła Helen. – Dziękuję.

– Ale coś wam powiem – dodał, odstawiając piwo. – Kate jest bardzo wkurzona. Tak wkurzona, że może się rozchorować. Nawet nie chciała nic zjeść. Próbowałem ją zaciągnąć na curry, ale się nie zgodziła.

– O rany... – jęknęła Helen.

Jak mogę pomóc Kate – zastanawiała się rankiem na patio. Najwyraźniej dziewczyna nie miała zamiaru rzucić się Marcie w ramiona, wołając: „Mamusiul!”. Pomimo głębokiego zaniepokojenia Helen musiała przyznać, że woli wrogość niż tę drugą możliwość, ale byłoby lepiej, gdyby Kate myślała o Marcie bardziej pozytywnie i spróbowała zrozumieć, dlaczego jej matka postąpiła tak, a nie inaczej. Jeśli nie, do końca życia będzie zgorzkniała i pełna złości. Może... może Helen powinna osobiście spotkać się z Martha i spróbować wspólnie z nią wypracować jakiś sposób na wyjaśnienie wszystkiego Kate, ułatwienie dziewczynie oswojenia się z nową sytuacją.

Im dłużej Helen nad tym medytowała, tym bardziej podobał się jej własny pomysł. Na pewno nie był prosty i wymagał ogromnej odwagi, ale dla Kate mogła zrobić wszystko. Naprawdę wszystko. Rano zadzwoni do Marthy i spróbuje się z nią umówić. Miała nadzieję, że Martha się zgodzi.

O ósmej Martha miała już za sobą wielogodzinną operację, ale jej stan nadal był bardzo ciężki. Ciśnienie krwi alarmująco spadło, a chirurg powiedział Hartley om, że w pewnym momencie naprawdę poważnie się martwił. Nie miał jeszcze czterdziestu lat i stanowił istną karykaturę chirurga – był pewny siebie, arogancki i pozbawiony taktu, a jednocześnie niezwykle życzliwy. Kiedy opuścił salę operacyjną, podszedł wydłużonym krokiem do ławki, na której siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce, i nie chcąc ani o minutę przedłużyć ich przerażenia, oznajmił:

– Na razie jest dobrze. Powiem państwu, że nie przeżyłaby, gdyby nie była taka wysportowana. Mogłaby być przykładem dla nas wszystkich. Nie ma ani grama zbędnego tłuszczu, serce jak dzwon. To bardzo, bardzo dobrze.

Grace ze wstydem przypomniała sobie, ile razy próbowała namówić córkę na zjedzenie czegoś więcej.

– To znaczy... że już dobrze się czuje?

– Trudno mieć... całkowitą pewność. Naprawdę straciła bardzo dużo krwi i wciąż ma nierówne tętno. W takich przypadkach zawsze istnieją pewne obawy przed infekcją. Podajemy jej krew, antybiotyki i wszystko inne. Najważniejsze, że nie ma żadnych obrażeń głowy. Dopisało jej szczęście. Mogło być o wiele gorzej. To był okropny wypadek. Aż trudno uwierzyć, że nikt nie zginął.

– Nie piła, prawda? – spytała Grace. – Pracowała przez cały dzień i jechała, żeby... się z nami zobaczyć i trochę odpocząć. O Boże...

Rozplakała się. Chirurg poklepał ją po plecach.

– Nie, nie, nie miała we krwi ani odrobiny alkoholu. O to możecie się państwo nie martwić. Niestety, zmęczenie jest tak samo poważną przyczyną wypadków jak alkohol. Tak czy inaczej, miała szczęście... przynajmniej na razie. Na waszym miejscu pojechałbym do domu i trochę odpoczął.

Grace zastanawiała się, czy chirurg ma dzieci. Doszła do wniosku, że raczej nie. Gdyby miał, nie zaproponowałby im czegoś tak absurdalnego. Tymczasem Peter pomyślał o swoich wielogodzinnych modlitwach za Marthę i był przekonany, że jego córka zawdzięcza życie nie tylko szczęściu.

– Zostaniemy – powiedzieli jednocześnie.

– W porządku. Decyzja należy do was. Automat z kawą jest w głębi korytarza. Spróbujcie się nie martwić.

Zniknął z olśniewającym uśmiechem na ustach. Peter zadzwonił o siódmej do wikariusza i powiedział mu, że będzie musiał odprawić pierwszą mszę...

– I wszystkie pozostałe. Będę tutaj przez cały dzień. Wikariusz ucieszył się, że przynajmniej w taki sposób może pomóc, i oczywiście obiecał, że podczas każdej mszy odmówi modlitwę za Marthę.

W taki oto sposób pani Forrest dowiedziała się o wypadku podczas pierwszej mszy. Była

bardzo zdenerwowana.

Grace drzemała z głową wspartą na ramieniu Petera, gdy obok nich przebiegła pielęgniarka. Starsza pani spojrzała za nią rozszpana. Potem ogarnął ją strach. W dzieciństwie czytała sporo książek Sue Barton, która w dość krótkim czasie przeobraziła się ze studentki pielęgniarstwa w siostrę. Sue Barton w pierwszym dniu pracy na oddziale usłyszała, że pielęgniarka biega tylko z trzech powodów: powodzi, pożaru i krwotoku. Nic nie wskazywało na powódź ani pożar, pozostawał tylko...

Gdy zadzwoniła Janet, Nick z ciężkim sercem zaczynał pisać artykuł o Marcie i Kate.

– Cześć, Nick. Jak się miewasz?

– Świetnie. Właśnie pracuję nad twoją sprawą.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Mówię prawdę, Janet. Daję słowo.

– Rozmawiałeś... z Chrisem?

– Na litość boską, jest niedziela, jedenasta przed południem! Brunch Pollocków dopiero nabiera rozpędu. Ryzykowałbym, że wylecę z pracy. Chyba w tej chwili ci na tym nie zależy, prawda?

– Sama nie wiem. Ktoś z „Sun” mógłby być nieco szybszy od ciebie. Tak czy inaczej... pogadamy później. Wciąż jestem w Bournemouth.

– Co tam robisz?

– Wczoraj wieczorem wygłaszałam mowę. Na zjeździe lekarzy. Jeszcze mam tu coś do zrobienia, nim wrócę do piekielka, które nazywam domem. – Najwyraźniej siłowała się na dowcip. – Więc gdybyś zechciał przesłać mi mailem, co wymyśliłeś...

– Jasne.

Jest jak pieprzona fretka – pomyślał Nick.

Martha znów znajdowała się na sali operacyjnej. Jak powiedziano Hartley om, wystąpił jakiś trudny do wytłumaczenia wewnętrzny krwotok i ciśnienie ponownie spadło. Na razie nie potrafią powiedzieć nic więcej.

Ed jadł swoje ulubione niedzielne śniadanie – pączka i kawę w Starbucks – gdy zadzwonił jego telefon komórkowy.

– To ty, Edwardzie? Jesteś bardzo zajęty, kochanie?

– Nie, wcale nie. Dobrze się czujesz, mam? Miała jakiś dziwnie zmieniony głos.

– Tak, tak. Właśnie byłam w kościele.

– Naprawdę? Jak się miewa wielebny?

– Nie było go, kochanie. Dlatego dzwonię. Mszę odprawiał Andrew.

– Świetnie.

Ed odgryzł spory kawałek pączka. Nie rozumiał, po co dzwoniła – najwyraźniej nie bardzo ma co robić.

– Tak. Biedny Hartley jest w szpitalu.

– W szpitalu? Co mu się stało?

– Jemu nic, kochanie, ale przyszło mi na myśl, że pewnie będziesz chciał wiedzieć. Chodzi o ich córkę, prawniczkę, Marthę. Pączek zamienił się w ustach Eda w ogromną kluchę. Chłopak wypluł ją na serwetkę i wypił łyk kawy.

– Co jej się stało?

– Miała okropny wypadek. Samochodowy. Jeszcze żyje, ale wygląda na to, że jej stan jest bardzo poważny. Chciałam cię o tym poinformować, bo wiem, że ją znasz. Jakiś czas temu w niedzielne popołudnie podrzucała cię do Londynu, pamiętasz? To było bardzo miłe z jej strony. Stanowią taką wspaniałą rodzinę.

– Taak, wiem. Wiesz... wiesz coś więcej, mamo?

– Niewiele, kochanie. Zderzyła się z ogromną ciężarówką. Wczoraj późnym wieczorem. Jej samochód wpadł pod koła tira. Miała operację, jest w stanie krytycznym, jak twierdzi Andrew. Biedna dziewczyna. Tyle próbowała ostatnio zrobić dla Binsmow, udzielała porad prawnych...

– To były jej godziny przyjęć – poprawił ją Ed automatycznie.

– Co takiego, kochanie?

– Godziny przyjęć, spotkania parlamentarzystów z wyborcami nazywają godzinami przyjęć.

Wiesz może, w którym jest szpitalu?

– W Bury. Leży na OIOM-ie. Jesteś dziwnie zdenerwowany, kochanie. Znałeś ją bliżej?

– Trochę – powiedział Ed i rozłączył się.

Trochę. Więcej niż trochę. Prawdę mówiąc, doskonale ją znał.

Jej śliczne, szczupłe, seksowne ciało, twarde, skomplikowany, bystry umysł. Znał każdy jej nastrój, znał ją kochającą, roześmianą, złą, znał ją spokojną, chociaż to zdarzało się dość rzadko i przeważnie wtedy, gdy się pokochali. Tymczasem teraz leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej, pogruhotana, w stanie krytycznym. Jej samochód w nocy wpadł pod ciężarówkę. Po ich rozmowie, po jego okrutnych słowach. Zadzwoiła do niego, bo potrzebowała pomocy, a on jej odmówił. Możliwe, że to jego вина. Edowi nagle zrobiło się potwornie niedobrze.

– Przepraszam, nie może jej pan teraz zobaczyć. Słowa siostry z oddziału intensywnej opieki medycznej zabrzmiały bezdusznie.

– Nie ma sensu. Jej stan jest bardzo ciężki. Leży nieprzytomna.

– Wiem, ale jestem jej ojcem.

– Obawiam się, że to niczego nie zmienia.

– Jestem również kapłanem – oznajmił niezwykle łagodnie. – Chciałbym być przy niej i móc się za nią pomodlić.

Siostra spojrzała na niego, przyjrzała się jego twarzy, zauważyła koloratkę i zawahała się. Ojciec Marthy uświadomił sobie, że wygrał. W życiu szpitala był tylko jeden autorytet ważniejszy od lekarza: Bóg. Dopuszczano Go do najbardziej beznadziejnych przypadków, do najgorszych sytuacji, dopuszczano niesionego przez Jego ziemskich reprezentantów; i, na Boga, od czasu do czasu siostra na własne oczy widywała coś, co wyglądało na cud. Oczywiście lekarze

nigdy się do tego nie przyznawali, mówili, że to zbieg okoliczności, ale pielęgniarka wiedziała swoje. Było zbyt wiele takich zbiegów okoliczności, by mogły być prawdą. Zawahała się, a potem powiedziała, niespokojnie zerkając w górę i w dół korytarza:

– W porządku, ale tylko na kilka minut. Peter Hartley zabrał Boga na spotkanie z córką.

– Czy to Jocasta Forbes?

Któż to taki? Głos wydawał się dziwnie znajomy. Jocasta ocknęła się z głębokiego snu i powiedziała:

– Tak. Prawdę mówiąc, Jocasta Keeble, jeśli chodzi o ścisłość.

– Witaj, Jocasto, mówi Ed. Ed Forrest. Przyjaciel Marthy. Oczywiście. Cudowny chłopiec. Nic nie zaskoczyło ich bardziej niż chłopak Marthy. Przypuszczali, że będzie to elegancki, zapięty na ostatni guzik prawnik, tymczasem spotkali miłego we współzyciu, pięknego chłopca, który wydawał się o wiele za młody dla Marthy. Chłopca, który najwyraźniej ją ubóstwiał.

– O, cześć. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałem cię tylko powiadomić, że Martha miała okropny wypadek samochodowy. Leży... leży na intensywnej terapii. Właściwie nic więcej nie wiem...

– O nie, Ed! Tak mi przykro.

– Zaraz tam jadę – oznajmił – żeby się z nią zobaczyć. Przyszło mi na myśl, że może powinnaś powiedzieć Nickowi... przepraszam, nie zapamiętałem jego nazwiska... temu dziennikarzowi...

– Tak, tak, oczywiście.

– Żeby przekazał wiadomość tej kobiecie. No wiesz, może wtedy przestanie go popędzać. Ona teraz nic nie robi, prawda?

– Chyba... chyba nie – odparła Jocasta szybko. – Boże, to straszne! W którym szpitalu jest Martha?

– Bury Saint Edmunds. Kawalek... stąd. Muszę kończyć.

– Oczywiście. Uściskaj ją od nas. Jestem pewna, że z tego wyjdzie. I nie martw się o Janet Freaan. Poradzimy sobie z nią. Zaraz zadzwonię do Nicka.

– Dzięki.

Kiedy korespondent „Sun” z Colchester dowiedział się o wypadku Marthy, zadzwonił do redakcji.

Chad Lawrence miał jeden z najbardziej znanych numerów telefonów komórkowych w Westminsterze, był również jedną z najlepiej znanych twarzy.

W południe zadzwonił do niego reporter „Sun”.

– Przypuszczalnie słyszał pan już o wypadku Marthy Hartley, panie Lawrence.

– Nie – odparł Chad krótko. – Nie słyszałem.

– Naprawdę? Leży w szpitalu, w stanie krytycznym. Miała okropny wypadek samochodowy. Piszemy krótką notatkę do jutrzejszego wydania. Czy można pana prosić o krótką wypowiedź na jej temat?

– To straszne! – Chad był zaszokowany. – Nie miałem pojęcia. Jak ona się czuje?

– Jak powiedziałem, jest w stanie krytycznym. Z tego, co mówią, kiepsko z nią.

– Boże!

– A wracając do sprawy... czy mogę prosić o wypowiedź? Wiem, że pani Hartley jest jedną z nowych gwiazd waszej partii.

– Nie... nie mogę – wydukał Chad i rozłączył się. Zadzwoił do Jacka Kirklanda.

– Martha miała wypadek samochodowy. Paskudny. Z tego, co wiem, jest na intensywnej terapii. Uznałem, że powinienes o tym wiedzieć.

– Dobry Boże, to straszne! Skąd się dowiedziałeś?

– Dzwonił do mnie jakiś facet z „Sun”. Prosił o krótką wypowiedź na jej temat. Powiedziałem, że nic ode mnie nie usłyszy.

– Do diabła, dlaczego?

– Hm... sam nie wiem. Wydawało mi się to niestosowne.

– Bzdura! Jak najbardziej stosowne. Masz jego nazwisko?

– Nie.

– Zadzwoię do nich.

Zabawny facet – pomyślał Chad, chowając telefon. Był naprawdę zdenerwowany. Bardzo lubił Marthę.

Jack Kirkland obszernie i szczegółowo opowiedział o Marcie, o jej inteligencji, o tym, jaka jest obiecująca; nie krył też, że widzi w niej przyszłość partii. Dziennikarz, który miał zamiar zamieścić tylko krótką notatkę, zaczął się niecierpliwić.

– Dziękuję najmocniej, panie Kirkland – powiedział, korzystając z krótkiej pauzy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Och, może powinien pan jeszcze porozmawiać z Janet Frea. To jedyna kobieta wśród naszego kierownictwa. Jest bardzo dobra dla Marthy, pomaga jej i traktuje ją jak matka. Na pewno powie panu coś ciekawego. Poproszę ją, żeby zadzwoniła do pana.

– To okropne – rzekła Clio. – Tak mi przykro. Wczoraj wieczorem próbowaliśmy się do niej dodzwonić, ale nie odpowiadała. Teraz już wiemy dlaczego. O Boże! Czy możemy wysłać jej kwiaty czy coś takiego?

– Nie sądzę, by potrzebowała kwiatów – powiedziała Jocasta poważnie.

Chciałaby porozmawiać z Gideonem; bardzo lubił Marthę. Spojrzała na zegarek: nie. Na pewno mocno śpi. W Seattle jest czwarta w nocy. Poczula się bardzo samotna i bardzo niespokojna. Postanowiła zatelefonować do Nicka.

– Cześć, Bob, mówi Jack Kirkland. Przepraszam, że zakłócam spokój w niedzielny poranek.

– Nie ma sprawy, Jack – odparł Bob Frea. – Niańczy dzieciaki. Miło porozmawiać z istotą ludzką. Co takiego? O mój Boże! To straszne! Biedna Martha. W jakim jest stanie? Boże, tylko nie to. Tak, oczywiście, powiem jej, gdy tylko dotrze do domu. Powinna być lada chwila.

– Janet? Mówi Nick Marshall.

– O, cześć.

– Janet, Martha miała wypadek samochodowy. Jest ciężko ranna.

Uważam, że na razie musimy sprawę odłożyć na później.

– Oczywiście. To okropne. Tak, tak, porozmawiamy za jakiś czas. Janet jechała dalej, pogrążona w myślach. Prawdę mówiąc, dzięki wypadkowi cała historia nabierze jeszcze większych rumieńców. Dodatkowego smaczku. Będzie wręcz wzruszająca. Tak, wypadnie naprawdę wspaniale. Oczywiście, pod warunkiem, że Martha przeżyje. Na pewno przeżyje. Nick przesadził, powiedział, że wypadek był poważny, chcąc zyskać nieco na czasie. Nagle Janet zdała sobie sprawę, że Nick Marshall wcale nie chce napisać tego artykułu.

Jak tak dalej pójdzie – pomyślał Ed, słysząc pisk własnych opon między nitkami A12 – wkrótce dołączy do Marthy na oddziale intensywnej terapii. Czym z pewnością nie pomoże ani sobie, ani jej. Próbował się uspokoić, ale mógł myśleć tylko o jednym: wciąż na nowo odtwarzał w myślach rozmowę z Martha i swoje ostatnie słowa. „Daj sobie spokój, dobrze?” Jak mężczyzna może powiedzieć coś takiego kobiecie, którą podobno kocha? Po prostu nie może.

– Jesteś draniem – powtarzał na głos. – Cholernym draniem. Helen zadzwoniła do Jocasty i najmocniej ją przeprosiła, że telefonuje w niedzielny poranek, może Jocasta i jej nowo poślubiony mąż są zajęci, wydają wielkie przyjęcie albo coś w tym stylu, ale... ale nie chce odkładać sprawy na później.

– Wszystko w porządku, Helen. Naprawdę, nie ma...

– Nie zajmę ci dużo czasu – przerwała jej matka Kate. – Chciałam cię tylko prosić o numer telefonu Marthy Hartley. Przyszło mi na myśl, że pomogę Kate, jeśli spotkam się z jej matką i spróbuję...

– Helen, obawiam się, że nie możesz się z nią spotkać.

Przynajmniej w tej chwili, jakkolwiek uważam, że to wspaniały pomysł. Martha leży w szpitalu. Miała wypadek i jest ciężko ranna.

– O Boże! – jęknęła Helen.

– Wzięli ją na intensywną terapię.

– To... to aż tak z nią źle?

– Niestety, bardzo źle – potwierdziła Jocasta.

Helen odłożyła słuchawkę i zastanawiała się, jak Kate zareaguje na najnowszą wiadomość. Postanowiła, że nie powie o niczym córce, póki nie dowie się czegoś więcej.

– Może zaprosilibyśmy Jocastę na lunch? – zaproponowała Beatrice. – Jest sama, a miło byłoby ją zobaczyć.

– Dobry pomysł – przyznał Josh.

Jak w każdy niedzielny poranek oglądał program Jeremy'ego Clarksona.

Beatrice wróciła po kilku minutach, roztrzęsiona.

– Nie przyjdzie. Jest z Nickiem.

– Z Nickiem? Dlaczego?

– Sama nie wiem – powiedziała Beatrice. – Może pomaga mu pisać artykuł?

– Co takiego? Gdy Gideona nie ma w domu? To trochę dziwne.

Beatrice spojrzała na niego wymownie, jakby chciała powiedzieć, że kto jak kto, ale Josh na pewno nie ma prawa oceniać niczyjego zachowania.

– Tak czy inaczej, wygląda na to, że ta dziewczyna, Martha Hartley, jest w szpitalu. Wiesz, ta, która zasłała na przyjęciu i rano uciekła...

– Tak, wiem. Dlaczego jest w szpitalu?

– Miała wypadek samochodowy. Leży na intensywnej terapii. Nieprzytomna. Biedaczka.

– Boże! To okropne.

– Prawda? To znaczy ja jej nie znałam, ale ty chyba tak. Czy się mylę?

– Nie widziałem jej od siedemnastu lat, ale podczas przyjęcia ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. To straszne. Czy Jocasta będzie informowała nas na bieżąco?

– Sądzę, że tak. W każdym razie jest bardzo zdenerwowana. Dziwi mnie, że aż tak bardzo. Po przyjęciu powiedziała, że prawie jej nie zna.

– Tak... no cóż... to zawsze szok, gdy poważny wypadek zdarza się komuś, kogo znamy – powiedział Josh. – Prawdę mówiąc, ja też jestem trochę roztrzęsiony.

– Rzeczywiście, widzę, że zbladłeś – przyznała Beatrice. – Może zabrałbyś dzieciaki na godzinę lub dwie do parku, a ja w tym czasie przygotuję lunch? Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi.

Jocasta była zaskoczona własnym zdenerwowaniem.

– Trudno nawet powiedzieć, że byliśmy przyjaciółkami – wyznała Nickowi. – Nie widziałam jej od prawie siedemnastu lat, a kiedy poszłam przeprowadzić z nią wywiad, była bardzo niemiła. Z drugiej strony miała, biedaczka, problemy. Prawdopodobnie dlatego nie mogła się skoncentrować.

– Może.

– Ed był bardzo zdenerwowany. Zrozpaczony. Najwyraźniej ją kocha. To dziwny związek, nie sądzisz?

– Dlaczego tak uważasz?

– Przede wszystkim dlatego, że on jest znacznie młodszy od niej. Co mogą mieć ze sobą wspólnego?

– Ty też jesteś nieco młodsza od Gideona – przypomniał Nick. – I co macie ze sobą wspólnego?

W jego głosie słychać było złość; Jocasta bacznie mu się przyjrzała.

Spotkali się na kawie w Starbucks, w Hampstead. Nick pisał artykuł o Peterze Hainie i Europie. Powiedział: „Nic nie robię”, więc Jocasta zaproponowała: „W takim razie przyjdę do ciebie”. Nie była pewna, dlaczego chce z nim być; wmawiała sobie, że z powodu wspólnego zaangażowania w cały dramat.

Po otrzymaniu informacji o wypadku Marthy rozmowa z kimś niezwiązanym ze sprawą

wydawała się czymś nie na miejscu. Siedzieli w promieniach słońca i pili latte. Jak w każdą niedzielę za dawnych, dobrych czasów – pomyślała Jocasta. Potem zdecydowanie odsunęła od siebie tę refleksję.

– Nadal martwię się z powodu Janet – przyznał Nick. – Po prostu jej nie ufam.

– Nick! Nikt nie będzie rozdrapywał przeszłości kogoś, kto leży na intensywnej terapii. Po prostu tego się nie robi.

– Nie byłbym tego wcale taki pewien. Poza tym nie wiem, czy wyraźnie powiedziałem tej wstrętnej babie, w jak fatalnym Martha jest stanie. Może powinienem jeszcze raz do niej zadzwonić. Niestety, irytujący głos oznajmił im, że telefon jest wyłączony i że mogą zostawić wiadomość, a potem dodał: „albo przesłać SMS-a”.

Nick rzucił komórką przez całą długość stołu.

– Cholerna baba! Cholerna, wredna baba! Co ona kombinuje?

– Boże! – jęknął Ed.

Wiedział, że nie może ryzykować. Od wielu kilometrów wskaźnik paliwa pokazywał zero. Będzie musiał zatrzymać się przy najbliższej stacji benzynowej. Zjechał, poczuł zapach palonej gumy z własnych opon i wysiadł z auta. Wlał dwadzieścia litrów, dochodząc do wniosku, że to powinno wystarczyć, i pobiegł zapłacić.

– Piętnaście funtów.

Ed wsunął rękę do kieszeni, by wyjąć kartę kredytową.

– Cholera! – zaklął. Po chwili powtórzył: – Cholera!

– Zostawił pan kartę w domu? – Na twarzy mężczyzny malowała się obojętność.

– Tak. Proszę posłuchać... zostawię panu zegarek. Wkrótce wrócę.

– Naprawdę? Gdyby pan zobaczył, jaki mam tu stos zegarków, spytałby pan, czemu jeszcze nie otworzyłem sklepu. To zabawne, ale ich właściciele nigdy nie wracają. Ani nie płacą za benzynę. Obawiam się, że będę musiał zadzwonić na policję.

– Moja dziewczyna jest na intensywnej terapii. Muszę dojechać do szpitala!

Mężczyzna potrząsnął głową.

– To się zdarza. Proszę poczekać, zadzwonię...

– Cholera jasna! Nie może mi pan tego zrobić!

– Niestety, mogę.

Ed na chwilę jakby przyrósł do ziemi. Potem powiedział:

– Czy mogę jeszcze zajrzeć do samochodu? Może znajdę jakąś gotówkę.

– Pod warunkiem, że zostawi mi pan kluczyki.

– W porządku.

Rzucił je facetowi, wrócił do auta i zaczął je przeszukiwać. Nic. Ani w schowku, ani na tylnym siedzeniu, ani w bagażniku, w kieszeniach na drzwiach... Nagle...

– Cholera! – krzyknął. – Ja cię chrzanię!

Z mapy drogowej wypadł dwudziestofuntowy banknot. Skąd się tam wziął? Nagle Ed sobie

przypomniał. Kilka miesięcy temu Martha próbowała zapłacić za benzynę, ale on jej nie pozwolił, więc wetknęła dwadzieścia funtów między kartki atlasu samochodowego. Nawet napisała: „Z wyrazami miłości, Martha”.

– To... to... jakiś cholerny cud – wymamrotał, patrząc na banknot.

Potem pobiegł do mężczyzny, który poprawiał rządę papierosów.

– Proszę mi oddać kluczyki – powiedział. – Szybko.

– W porządku. Nie... nie chce pan reszty? Eda już nie było.

Kiedy Janet wróciła do domu, panowała w nim dziwna cisza.

Obecna była tylko czternastoletnia Lucy.

– Cześć, mamó. Jak ci poszło wczoraj wieczorem?

– Dobrze. W domu wszystko w porządku?

– Tak, sądzę, że tak. Nie przypuszczaliśmy, że wrócisz tak wcześniej. Tata zabrał malców do sklepu na rogu. Wychodząc, powiedział, że po twoim powrocie chce z tobą porozmawiać. I jeszcze jedno, dzwonił Jack Kirkland. Chce, żebyś do niego zatelefonowała.

– W porządku, zadzwonię. Coś jeszcze?

– Chyba nie. Właśnie oglądam „EastEnders”. Zobaczymy się później.

– W porządku.

Nawet silne trzęsienie ziemi na sąsiedniej ulicy nie oderwałoby Lucy od „East-Enders”.

Janet poszła do swojego gabinetu i zadzwoniła do Jacka.

– O, cześć, Janet. Słyszałaś o Marcie?

– Tak. To bardzo smutne. Czy są jakieś nowe wieści?

– Nie. Chciałem tylko sprawdzić, czy Bob powiedział ci o „Sun”.

– O „Sun”? Nie.

Z pewnością jeszcze nic nie wiedzą o całej historii.

– Chcę, żebyś do nich zadzwoniła i powiedziała kilka słów na temat Marthy. Ja już to zrobiłem, ale uznałem, że miło by było, gdybyś ty też się wypowiedziała. Zadzwoni do tego faceta, czeka na telefon od ciebie. Nazywa się...

Janet zapisała jego nazwisko. Kręciło jej się w głowie. Jeśli istniało coś takiego jak cudowne zrządzenie losu, to właśnie jej się trafiło.

Pielęgniarka powiedziała Peterowi i Grace, że stan Marthy nie jest najlepszy. Znow spadło jej ciśnienie i musi wezwać lekarza, ale jeśli chcą ją zobaczyć...

– Dobry Boże – szepnęła Grace.

Ed podjechał pod szpital. Z piskiem opon zatrzymał się na jedynym miejscu, jakie zobaczył, chociaż wyraźnie było zarezerwowane tylko dla lekarzy, i wbiegł do budynku.

– Przyjechałem zobaczyć jedną z pacjentek – powiedział w recepcji. – Nazywa się Martha Hartley.

– Hartley, Hartley, proszę zaczekać... Za nim stanął jakiś mężczyzna.

– Czy ten stary golf należy do pana, sir? – spytał ostro, podkreślając słowo „stary”.

– Tak – odparł Ed, nawet się nie odwracając. Kobieta bez końca naciskała klawisze na klawiaturze.

– W takim razie proszę go stamtąd zabrać. To miejsce lekarza.

– Wiem, ale go tu nie ma, prawda?

– Pacjentka leży na drugim piętrze, na oddziale F. Niestety, nie zobaczy jej pan.

– Muszę!

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Czy mogę wejść?

– Nie ma po co.

– Proszę usunąć samochód, sir. Jeśli... Drzwi recepcji gwałtownie się otworzyły.

– Kto zaparkował na moim miejscu, Evansie?

– Najmocniej przepraszam, panie doktorze. Ten dżentelmen...

– Bardzo mi się spieszy. Na sali operacyjnej czeka na mnie ciężko chora pacjentka, nie mogę tracić czasu na cholerne samochody. Przetaw go. To moje kluczyki.

– Oczywiście, panie doktorze. Już się robi. Odwrócił się do Eda i położył rękę na jego ramieniu.

– A teraz, sir, proszę natychmiast przestawić swoje auto. Jak pan widzi, utrudnia pan pracę personelu...

– Pieprzyć samochody! – warknął Ed i rzucił mu kluczyki. – Niech sam pan go przestawi – dodał, widząc twarz mężczyzny. – Moja dziewczyna jest ciężko chora, muszę do niej iść.

– Nie wpuszczą pana – ostrzegła kobieta. Ale Eda już nie było.

– Czy to dział aktualności? Tak? Mówi Janet Frea. Z tego, co wiem, czekał pan na mój telefon. Chodzi o Marthę Hartley, tę dziewczynę z wypadku samochodowego... tak, zaczekam. Oddział F był bardzo cichy; nawet szpital najwyraźniej dostosował się do niedzielnego poranka. Ed pokonał biegiem całą długość korytarza, rozpaczliwie próbując kogoś znaleźć.

Kiedy zobaczył drzwi z napisem „OIOM”, próbował je otworzyć, ale były zamknięte. Obok znajdowały się przyciski oznaczone cyferkami. Zamek cyfrowy. Niech to wszyscy diabli! Zastukał mocno w drzwi. Pojawiła się poirytowana twarz.

– Z tego, co wiem, leży tu moja dziewczyna. Martha Hartley.

– Owszem, leży, ale na pewno jej pan nie zobaczy. To OIOM. Żadnych gości.

– O Boże! Proszę! Błagam!

– Przykro mi, nic z tego. Proszę zaczekać na zewnątrz. Za minutkę ktoś do pana przyjdzie.

– Ale... O, witam, panie Hartley. Jak pan się miewa? To znaczy: jak ona się miewa? Czy...

Na twarzy Petera Hartleya widać było potworny smutek.

– Kiepsko z nią, Ed – powiedział wielebny szczerze. Nie dziwił się, że widzi Eda.

– Czy mogłaby pani wpuścić tego młodego człowieka, siostrze? Na chwileczkę? To już i tak niczego nie zmieni...

Bob Frea stanął w drzwiach gabinetu Jean z chłodną, nieprzeniknioną twarzą.

– Janet...

Uniosła palec do ust i zasłoniła dłonią słuchawkę.

– Przepraszam, rozmawiam z „Sun”. To nie potrwa długo... Bob podszedł bliżej i położył rękę na słuchawce.

– Co ty robisz, Bob? Rozłączyłeś mnie!

– To dobrze – rzekł. – Taki miałem zamiar. Zanim do nich ponownie zadzwonisz, chcę ci powiedzieć tylko jedno, Janet. Jeśli przekażesz „Sun” jakąkolwiek niemiłą informację na temat Marthy Hartley, ja przekażę im dużo niemiłych informacji o tobie. Zacznę od twojej nieco dziwnej znajomości z Michaeliem Fitzroyem.

Uśmiechnął się do niej uprzejmie. Potem odwrócił się i wyszedł.

Janet siedziała i patrzyła na telefon, słuchając oddalających się kroków męża.

Martha leżała w łóżku z zamkniętymi oczami. Sprawiała wrażenie spokojnej, miała tylko lekko opuchniętą i posiniaczoną twarz.

Można było odnieść wrażenie, że rurki wystają niemal z każdej części jej ciała. Po obu stronach łóżka wisiały kroplówki. Na prawo kilka monitorów przekazywało różne, niezrozumiałe informacje: jedynym pocieszeniem było to, że na żadnym nie ukazała się złowieszcza linia prosta – linia tak dobrze znana widzom szpitalnych oper mydlanych, sygnalizująca, że to już koniec historii.

Niestety, nie była to opera mydlana i nie realizowali żadnego scenariusza, a osobą leżącą w łóżku nie była aktorka, tylko Martha, jego Martha, którą kochał bardziej, niż przypuszczał, i którą najwyraźniej lada chwila miał stracić.

Ogarnięty paniką Ed spojrzął na Hartley ów: Grace była bardzo spokojna, siedziała przy łóżku, nie odrywając oczu od twarzy córki. Peter trzymał Marthę za rękę.

Ed obszedł łóżko i z niezwykłą ostrożnością ujął drugą dłoń ukochanej. Ma takie drobne ręce, w ogóle jest drobniotka – pomyślał, chyba po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. Ręka była ciepła. To dobrze.

– Czy mogę... czy mogę jej coś powiedzieć? – spytał niemal szeptem, przypomniawszy sobie z czasów, kiedy umierał jego ojciec, że ostatnim zmysłem, który zanika, jest słuch.

– Tak, oczywiście – zapewniła Grace.

Pochylił się i bez cienia skrępowania bardzo, bardzo cicho powiedział:

– Martho, to ja, Ed. Jestem tutaj. Jestem z tobą. Gdyby to był któryś z odcinków „Casualty” – pomyślała Grace – powieki Marthy powinny drgnąć, chora powinna poruszyć głową i ścisnąć rękę ukochanego. Niestety, to nie film, lecz prawdziwe życie, dlatego nic takiego się nie zdarzy.

Rzeczywistość nie ma nic wspólnego z „Casualty”; jest o wiele okrutniej sza, wręcz wstrząsająca.

Tymczasem Peter pomyślał: gdyby teraz wyzdrowiała, to byłby cud. Ale w tej chwili nie wierzył w cuda.

Ed wciąż mówił tym samym łagodnym głosem.

– Tak mi przykro, Martho. Przepraszam za to, co powiedziałem wczoraj wieczorem.

Wciąż prawdziwe życie. Wciąż żadnych cudów.

– Nie obchodzi mnie Kate. Nic mnie nie obchodzi. Kocham cię, Martho. Naprawdę bardzo, bardzo cię kocham.

Wtedy wbrew wszelkim oczekiwaniom stało się, co się miało stać. Peter i Grace patrzyli ze zdumieniem, jak powieki Marthy naprawdę drgają, chora odwraca głowę w stronę Eda, minimalnie, może o milimetr, nie więcej, ale było to wyraźnie widać, a na jej twarzy pojawia się blady uśmiech. Najej rękę spadły dwie wielkie łzy – łzy Eda. Wtedy niemal niedostrzegalnie ścisnęła jego palce. To był maleńki cud, ale wystarczył.

Potem przypomniała o sobie rzeczywistość: na monitorze pojawiła się prosta linia, historia Marthy dobiegła końca. Ed, który spowodował cud i sam go doświadczył, żegnając się z ukochaną, poczuł się odrobinę lepiej.

Kiedy nieco później odrętwiały pod wpływem szoku siedział na korytarzu, podczas gdy rodzice Marthy żegnali się z córką, pomyślał, że w rzeczywistości był to drugi cud tego dnia.

Rozdział Trzydziesty Ósmy

– Nie wiem, czemu tak podle się czuję – zastanowiła się Jocasta. Siedziała w mieszkaniu Nicka w Hampstead i płakała, a on obejmował ją ramieniem i czule głaskał po głowie.

– Wcale nie byliśmy sobie takie bliskie. Myślę, że wszystko z powodu Kate, bo przecież Martha w jakiś sposób pojawiła się wraz ze swoją córką. O mój Boże! Nick, to takie smutne!

– To rzeczywiście bardzo smutne – przyznał. – Potwornie smutne. Sam nie mogę w to uwierzyć.

– Dobrze, że przynajmniej Ed tam dotarł. To już coś. Był bardzo zrozpaczony. Powiedział, że zostaje dziś na noc u matki, w Binsmow, i zobaczy się z nami jutro. Twierdzi... – Z trudem przełknęła ślinę. – Twierdzi, że jej rodzice na pewno chcieliby zobaczyć nas na pogrzebie. Uważa, że zrobiliśmy dla niej bardzo dużo. Chciałabym, żeby to była prawda.

– No cóż, przynajmniej próbowaliśmy – przyznał Nick. – Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Przypuszczam, że Janet teraz bardzo podle się czuje.

– Do jasnej cholery, myślę, że tak! – burknęła Jocasta.

– To okropne – rzekła Helen. – Jestem zaszokowana. Co prawda nigdy jej nie spotkałam, ale... mimo wszystko... teraz w jakiś sposób należy do naszej rodziny. To dla mnie egzotyczne uczucie. Martwi mnie Kate. Jest w dziwnym stanie.

– Domyślam się – stwierdziła Jocasta. – Biedaczka.

– Podle się czuję – wyznała Kate. – Wyjątkowo podle. Tylko pomyśl, przez całe życie szukałam swojej matki, a kiedy w końcu ją znalazłam, powiedziałam jej tyle okropnych rzeczy. Boże, Nat, jestem straszna!

– Nie, wcale nie – zaprotestował. – Przecież nie mogłaś wiedzieć. Poza tym nie zapominaj, że nic nie jesteś jej winna. Ona nie jest twoją prawdziwą mamą.

– Nat! – zaprotestowała Kate. – Ona była moją prawdziwą mamą. Na tym polega problem.

– Nie, wcale nią nie była. Nie opiekowała się tobą, nie wychowywała cię, prawda? Moim zdaniem twoja prawdziwa mama jest teraz na parterze. Zastanów się, co byś czuła, gdyby to ona umarła.

– O, nie – jęknęła Kate. – Chybabym się zabiła.

– No widzisz!

– Wiem, tylko... ona... to znaczy Martha... musiała umrzeć, myśląc, że jej nienawidzę. To niezbyt miłe, nie sądzisz?

– Hm... niezbyt, ale...

– Pomyśl jeszcze o jednym. W końcu znalazłam swoją matkę, mogłam ją poznać, tymczasem właśnie straciłam ją na zawsze. To niesprawiedliwe, Nat, naprawdę niesprawiedliwe!

Chwilę później Nat wyszedł. Kate znów zaczęła płakać, a on miał tego dosyć. Przed wyjściem zajrzał do Helen, która była w kuchni i niezgrabnie skrobała ziemniaki. Powtórzył jej słowa Kate, że gdyby to Helen miała zginąć w wypadku, dziewczyna wolałaby umrzeć sama.

Uznał, że w ten sposób sprawi matce Kate przyjemność, niestety był w błędzie. Helen wybuchnęła płaczem. Ojciec Nata często mawiał, że kobiety stanowią jedną wielką zagadkę, dlatego szkoda czasu i energii, żeby próbować je zrozumieć. Nat zaczynał zgadzać się z ojcem.

– Och, to takie smutne – westchnęła Clio.

Miała oczy czerwone od łez i podobnie jak Jocasta nie mogła zrozumieć, dlaczego jest taka nieszczęśliwa. Fergus twierdził, że wszystko z powodu jej czułego serca, ale młoda kobieta wiedziała, że nie tylko. W ciągu kilku krótkich tygodni Martha wtargnęła w ich życie tak samo zdecydowanie, jakby zgodnie z daną sobie obietnicą spotykały się od lat. Clio wciąż przypominała sobie Marthę, kiedy po raz ostatni widziała ją na plaży w Tajlandii: opaloną, uśmiechniętą, z wyblakłymi od słońca włosami, nie drażliwą i skrępowaną, lecz szczęśliwą i bezpośrednią. Pomyślała również o okropnym zakończeniu cudownej wyprawy: długich, bardzo długich dniach w gorącym, brudnym mieście, w potwornym strachu i oczekiwaniu na narodziny dziecka. Potem nastąpił koszmar samotnego porodu, bez niczyjej pomocy, bez żadnej możliwości ucieczki od bólu. Clio pomyślała też o nowym życiu Marthy, pełnym osiągnięć i sukcesów, radości przyćmionej przez ukrywany sekret. Lekarka uznała, że Martha bez wątplenia była najdzielniejszą istotą, jaką w życiu spotkała, i dzielniejszej już nie spotka.

Beatrice zadzwoniła do Jocasty, by spytać, jak miewa się Martha.

Zakładała, że jest już lepiej albo w najgorszym przypadku – stan rannej się nie zmienia. Dowiedziawszy się o zgonie, powiadomiła o tym Josha. On również bardzo się zdenerwował. Wieczorem, siedząc przy tradycyjnym już dżinie z tonikiem, przyznali, że to dla nich szok. Oczywiście, żadne z nich zbyt dobrze jej nie znało; prawdę mówiąc, Beatrice spotkała Marthę tylko raz, i to przelotnie. Mimo to dręczyła ich myśl, że śliczna, inteligentna dziewczyna, obiecująca istota, która miała przed sobą całe życie, zginęła przez jeden moment nieuwagi.

Zgodzili się, że nie ma powodu, by jechali na pogrzeb, wystarczy, jeśli pošlą kwiaty.

Jack Kirkland zadzwonił do Janet Frea. – Chodzi o Marthę. Stało się ogromne nieszczęście. Nie żyje.

Po ciągnącej się w nieskończoność chwili ciszy Janet krzyknęła:

– Nie żyje?!

– Tak. Niestety.

– Myślałam... Jesteś pewien, Jack?

– Całkowicie. Nick Marshall właśnie do mnie dzwonił.

– Nick Marshall?! Co on ma z tym wspólnego? – spytała dziwnie szorstko.

– Martha i Jocasta kiedyś się przyjaźniły. Jako osiemnastolatki razem wyruszały w podróż dookoła świata. Tak czy inaczej, Martha nie żyje. Zmarła dzisiaj, mniej więcej w porze lunchu. Janet... dobrze się czujesz?

W słuchawce nagle zapanowała głucha cisza. Zdziwiony, rozłączył się i czekał, aż Janet do niego zadzwoni. Potem poinformował Eliota Griera i Chada Lawrence'a.

Pół godziny później zadzwonił ponownie. Telefon odebrał Bob Frea.

– Cześć, Bob. Pół godziny temu rozmawiałem z Janet. Rozłączyło nas. Mogę z nią pogadać?

– Obawiam się, że nie – odparł Bob dziwnie zmienionym głosem.

– Janet... leży. Niezbyt dobrze się czuje.

– Przykro mi. Tak ciężko pracuje. Wydawało mi się, że jej głos dziwnie brzmiał, gdy powiedziałem jej o Marcie. Janet bardzo ją lubiła.

– Rzeczywiście.

– Tym razem chodzi mi o pogrzeb. Uważam, że wszyscy powinniśmy wziąć w nim udział. Msza żałobna, którą odprawi biedny ojciec Marthy, odbędzie się w jego kościele, w Suffolku, w przyszły poniedziałek. Będzie Chad, Eliot i wielu, wielu innych. Mam nadzieję, że Janet też się wybierze.

– Oczywiście. Powiem jej. Sam też chętnie bym pojechał, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Bardzo lubiłem Marthę.

– Będziesz mile widziany. Pozdrów ode mnie Janet. Bob poszedł do sypialni, którą od czasu do czasu dzielił z żoną. Większość nocy spędzał w innym pokoju, na wyższym piętrze. Janet leżała w łóżku, patrzyła w sufit, miała twarz szarą jak popiół i w ogóle się nie ruszała. Wyglądała, jakby nie żyła.

– Dzwonił Kirkland.

Nie odezwała się ani słowem.

– Chodziło mu o pogrzeb. Pogrzeb Marthy. Nadal cisza.

– Odbędzie się w przyszły poniedziałek. Jack powiedział, że wszyscy się wybierają. Liczy, że ty też pojedziesz. Powiedziałem, że będziemy oboje.

– Nie mogę jechać – oświadczyła głosem tak samo martwym jak jej twarz.

– Pojedziesz, Janet – zapewnił.

Przyszło mu na myśl, że Martha pod pewnymi względami bardzo przypominała jego żonę. Była tak samo niezwykle opanowana i z podobnym fanatyzmem dążyła do sukcesu, tyle że w przeciwieństwie do Janet była bardzo miła.

Nie wiedział, co jego żona ma zamiar powiedzieć na temat Marthy Nicholasowi Marshallowi czy dziennikarzowi z „Sun”, ale był świadom, że Janet coś szykuje. Wszystko dzięki prostemu urządzeniu, które pozwalało mu czytać jej emaile. Ostatnio pomagał mu w tym jej blackberry. Bob robił to od dość dawna. Dzięki temu wiedział o bardzo wielu dziwnych sprawach: wyborze komisji, w których miała pracować, lokalnej polityce zagospodarowania przestrzennego, którą obiecała zmienić, reformie służby zdrowia, reformie lordów, przepisach obowiązujących w Europie, ważnych okręgach... i wielu innych ciekawych rzeczach. Takich jak ta ostatnia, dotycząca Marthy. Janet najwyraźniej nigdy nawet nie pomyślała, że jej mąż może robić coś takiego, albo pomyślała, ale tak nim pogardzała, że nie wierzyła, by Bob kiedykolwiek spróbował wykorzystać posiadaną wiedzę.

– Skąd wiedziałeś? – spytała tego ranka, leżąc na łóżku z bladą twarzą i zapadniętymi oczami.

– Och, Janet – odparł niezwykle uprzejmym głosem. – Naprawdę uważasz, że jestem głupi? Oczywiście, czytałem twoje emaile.

– Ależ... to niemożliwe. Ostatnie nawet nie były otwarte.

– Były. Wszystko dzięki twojej najnowszej zabawce. Blackberry dostarczył mi mnóstwo zabawy i radości. Nie uwierzysz, ile można zdziałać, znając hasło i dysponując odrobiną fachowej wiedzy. Stąd wiem, że nie miałaś wobec Marthy zbyt miłych zamiarów. Pozwolę ci odpocząć, dobrze?

Wracając do ogrodu, pomyślał ze smutkiem, że chociaż mógł uratować Marthę przed Janet, teraz nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

Gideonowi Keeble'owi oczy zasnuły się łzami, gdy dowiedział się od Jocasty o śmierci Marthy.

– Jestem starym głupcem – westchnął – a z drugiej strony, była śliczną, czarującą i mądrą istotą. To wielka strata.

Jocasta całkowicie się z nim zgodziła.

– Pogrzeb odbędzie się w przyszły poniedziałek. Będziesz mógł pojechać? Zdasz wrócić? Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby ci się udało.

– Na pewno przyjadę. Jeśli jej rodzice sobie tego życzą.

– Uważam, że im więcej ludzi się pojawi, tym lepiej. Nie ma nic gorszego niż mały pogrzeb. Zaprośli mnie za pośrednictwem Eda, który najwyraźniej zajmuje się sprawami organizacyjnymi, a jeśli mam jechać, chcę jechać z tobą.

– Będę.

– Dziękuję. Kocham cię, Gideonie.

– Ja też cię kocham, Jocasto. Przy okazji, gdzie jesteś? Dzwoniłem do domu.

– U Nicka – odparła bez zastanowienia.

Nim Ed pojechał do domu, do Binsmow, wrócił A12 do stacji benzynowej, na której wcześniej tankował. Przy kasie siedział ten sam człowiek.

– Cześć – powiedział Ed ponuro. – Pamięta mnie pan? Mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony.

– Taak.

– Czy mógłby mi pan oddać tamten banknot dwudziestofuntowy? Proszę, tu ma pan inny.

Ed znalazł portfel z kartami; leżał na podłodze w samochodzie, pod jego siedzeniem. Gdyby wcześniej nie był tak bardzo zdenerwowany, na pewno szybko zauważyłby zgubę.

– Chce pan odzyskać ten sam banknot? Musiałby pan mieć dużo szczęścia.

– Tak, wiem, ale chciałbym, żeby pan go poszukał. Jest na nim... dedykacja. Od mojej dziewczyny.

– Taak? Tej, która leży na intensywnej terapii? Mam nadzieję, że już dobrze się czuje.

– Nie – odparł Ed cicho. – Umarła.

Niezbyt często widywał przysłowiowy opad szczęki; teraz go zobaczył. Do tego pasowy

rumieniec, który oblał twarz mężczyzny od szyi po czoło.

– Przykro mi – powiedział. – Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. Może będzie pan tak miły i zechce przeszukać swoją kasę. Na pewno go pan pozna... nie każdy banknot ma dedykację. Mężczyzna wysunął szufladę i przejrzał banknoty. Po dłuższej chwili wyciągnął jeden z nich i w milczeniu wręczył Edowi. Ed wrócił do samochodu, spojrzał na banknot, na staranne pismo i słowa: „Z wyrazami miłości, Martha”.

Nie była to wielka pamiątka po kimś, kogo się kochało, ale zawsze to coś. Miał ich niewiele: kilka koszul, dwie książki (na nich również napisała taką samą dedykację, bez wylewności, ale taka też była Martha – niezbyt wylewna), kilka płyt kompaktowych, trochę zdjęć, które przedstawiały ich razem na jej balkonie i jedno w łóżku. Wszystkie zrobione samowyzwalaczem. I dużo wspomnień.

Nagle niemal fizycznie odczuł stratę; zabrakło mu tchu, sił, przytłoczyła go potworna samotność. Oparł głowę na ramionach, na kierownicy, i rozplakał się jak małe dziecko.

– Chciałabym pojechać na pogrzeb – oświadczyła Kate. Helen uważnie przyjrzała się córce. Dziewczyna była blada, ale opanowana, nie histeryzowała.

– Jesteś pewna, Kate?

– Tak, jestem pewna. Całkowicie. Dlaczego miałabym mieć jakieś wątpliwości?

– Przecież... przecież prawie jej nie znałaś – przypomniała Helen, chociaż wymawiając te słowa, uświadomiła sobie ich absurdalność.

– Wiem o tym, mam, ale chciałabym się z nią pożegnać. Odpowiednio. Podczas... podczas naszego spotkania nie byłam dla niej zbyt miła. Z tego powodu dręczą mnie wyrzuty sumienia.

– Och, kochanie. – Helen westchnęła.

Nie wiedziała, czy to dobry pomysł. Z wielu powodów.

– Kate, a co pomyśli rodzina Marthy? To nie jest odpowiednia chwila, żeby ich niepokoić.

– Nie mam zamiaru ich niepokoić. Za kogo mnie uważasz, za kretynkę?

– Czy... czy nie będą się zastanawiać, kim jesteś?

– Powiem im, że jestem przyjaciółką Jocasty i że to przez nią poznałam Marthę. Myślałam już o tym.

– Sprawdź, co sądzi o tym twój ojciec – oznajmiła Helen.

– Nie obchodzi mnie, co on sądzi. To nie ma z nim nic wspólnego... Jadę, dobrze?

– Och, kochanie – powtórzyła Helen. – Ja raczej się z tobą nie wybiorę. Byłoby mi zbyt ciężko, chociaż na pewno nie zrozumiesz...

– Daj spokój, mam! – Nagle twarz Kate złagodniała.

Objęła Helen. – Doskonale cię rozumiem. Naprawdę uważasz mnie za kretynkę? Nie musisz jechać, wiem, że to byłoby dla ciebie okropne. Pojadę z Jocastą. Ona mnie zabierze. Będzie też Fergus. Poradzę sobie. Naprawdę.

Jocasta przyjęła z uznaniem wiadomość, że Kate chce się wybrać na pogrzeb.

– Pewnie to dziwnie zabrmi, ale myślę, że to może jej pomóc. Oczywiście, zabiorę ją ze

sobą. Z nami. Gideon wraca. Dzięki temu będzie mogła, tak jak my wszyscy, odpowiednio się pożegnać.

– Ona naprawdę nie jest sobą – powiedziała Helen. – Zrobiła się dziwnie cicha, nigdzie nie wychodzi. Nie spotyka się z Natem.

– Z cudownym Natem? Biedna Kate. Jest jej bardzo trudno. Ponownie straciła swoją tożsamość. Co gorsza, wcześniej niczego się nie dowiedziała.

– Obawiam się, że masz rację – przyznała Helen z westchnieniem.

– Beatrice... wiem, że to może ci się wydać dziwne, ale... chciałbym pojechać na pogrzeb Marthy Hartley.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie umiem... nie umiem wyjaśnić. Po prostu chciałbym. Czuję, że powinienem. Oczywiście, ty nie musisz jechać.

– I tak bym nie mogła. Jeśli chcesz, Josh... chociaż uważam, że to pewna przesada...

– Masz rację. Tylko... sam nie wiem... po prostu ona odchodzi pierwsza z naszego pokolenia. Wciąż jestem zaszokowany. Znałem ją i... chciałbym jakoś dać temu wyraz.

– Świetnie. Jedź. Jocasta na pewno się ucieszy.

Janet jest naprawdę w dziwnym stanie, nawet jak na jej własne standardy – pomyślał Bob. Przez dwadzieścia cztery godziny prawie nie wychodziła ze swojej sypialni, w poniedziałek nie opuściła domu, we środę nie obejrzała nawet „Question Time” z parlamentarzystami. Co prawda schodziła na rodzinne posiłki, ale siedziała w milczeniu, słuchała otaczającego ją harmideru, ale nie brała w nim udziału i nie wciągała nikogo w dysputy, które zawsze jakimś cudem umiała „upolitycznić”, jak to pewnego razu określiła Lucy. Pytała o wszystko, łącznie z tym, które grupy znajdują się na czele listy przebojów (ach, ta apolityczna młodzież!) i co najmłodsza z jej gromadki, Betsy, robiła tego dnia na podwórku (brak miejsc zabaw). Janet najwyraźniej nie sypiała. Bob słyszał, jak krążyła po domu w środku nocy, gdy było cicho, dlatego zakładał, że jego żona pracuje, ale ilekroć wchodził do jej gabinetu, żeby sprawdzić, nigdy jej tam nie było. Przeważnie siedziała w salonie w całkowitej ciemności. Nie chciała z nim rozmawiać. Z dnia na dzień jej stan się pogarszał: zaczęła krzyczeć na dzieci i warczeć na każdego, kto wszedł jej w drogę. Ożywiła się tylko w piątkowy wieczór, kiedy szła na kolację dobroczynną, podczas której miała wygłosić przemowę. Pojawiła się w swoim ulubionym kostiumie, uczesana, nienagannie wymalowana, uśmiechnęła się do kierowcy, który na nią czekał, i wróciła zarumieniona pod wpływem tryumfu. Powiedziała, że było wspaniale, wszyscy gratulowali jej osiągnięć i chwalili Centré Forward. Bob przypuszczał, że w sobotę zobaczy dawną, bardziej znajomą Janet, ona jednak wciąż sprawiała wrażenie zrozpaczonej, prawie do południa leżała w łóżku, a potem wybrała się swoim samochodem na, jak to określiła, krótką przejażdżkę. Wróciła po czterech godzinach. Najlepszą miarą jej niezbędności w rodzinie było to, że nikt nawet o nią nie spytał. Niania zabrała młodszą czwórkę do Chessington World of Adventures, a Lucy wraz ze swoją najlepszą przyjaciółką udała się na zakupy. Po co komu superkobieta?

W niedzielny wieczór Peter Hartley z ogromną determinacją odprawił dwie z trzech mszy, a potem położył się wyczerpany. Grace, która od paru dni prawie w ogóle nie spała, udawała, że czyta gazety, i zastanawiała się, czy obezwładniający ból kiedykolwiek zacznie się zmniejszać.

Marthę przywieziono do domu; jej trumna stała w kościele, gdzie żegnała się z nią ogromna liczba ludzi; niektórzy spędzali przy niej dużo czasu, modląc się na kolanach. Gdyby wiedziała – pomyślała Grace – jak wielu ludzi tu będzie, jak ją lubili... Potem starsza pani poczuła wyrzuty sumienia, bo, oczywiście, Peter powiedziałby, że Martha to wie. Jego wiara była niewzruszona, czego Grace na pewno nie mogła powiedzieć o sobie. Była onieśmielona myślą o ogromnym pogrzebie, który zapowiadał się na następny dzień, ale ten sam fakt dodawał jej otuchy; zawsze martwiła się, że Martha nie ma zbyt wielu przyjaciół, tymczasem najwyraźniej kochało ją i podziwiała wielu ludzi. Jej szef, Paul Quenell, powiedział przez telefon, że, naturalnie, przyjedzie i że przywiezie ze sobą kilku współpracowników Marthy, wraz z jej dawnym przyjacielem, Richardem Ashcombe'em, który miał w tym celu przylecieć aż z Nowego Jorku.

Myśl, że ktoś ma przylecieć ze Stanów tylko po to, żeby wziąć udział w pogrzebie Marty, wywarła na Grace większe wrażenie niż cokolwiek innego.

– Czasami myślałam o nim i o Marcie – powiedziała do Paula Quenella. – Zastanawiałam się, czy... czy coś ich łączy. Często o nim mówiła, wyglądało na to, że bardzo się lubią.

Paul Quenell bez zastanowienia przyznał, że jego też zaskakiwała ich bliska przyjaźń.

– Jak się okazało, byliśmy w błędzie, bo w końcu wybrała chłopca stąd, Eda Forresta. Nie wiem, czy pan go poznał?

– Nie, ale słyszałem, że jest niezwykle czarujący.

Paul aż do tej chwili nawet nie wiedział o istnieniu Eda, ale był pewien, że matka Marthy będzie chciała usłyszeć właśnie takie słowa.

– I, oczywiście, zawsze bardzo pana lubiła. Często nam o panu opowiadała. Cieszę się, że w końcu będziemy mogli się poznać. Gdyby tylko – pomyślał Paul, żegnając się z nią – gdyby tylko ich spotkanie mogło być przyjemnością, a nie tragicznym, smutnym obowiązkiem!

Odezwał się dzwonek u drzwi: to Ed. Był blady i wyglądał, jakby nie spał, ale sprawiał wrażenie stosunkowo opanowanego.

– Wpadłem, żeby zobaczyć się z państwem. I Marthą – dodał. – Mama pyta, czy może pomóc w przygotowaniach na jutrzejszy dzień.

Pani Forrest już zrobiła dziewięćdziesiąt sześć volauvent. Grace powiedziała, że wystarczy.

– Dobrze się czujesz, Ed?

– Hm... sama pani wie. Chciałbym, żeby było już po wszystkim.

– Doskonale cię rozumiem – powiedziała Grace. – Jeszcze ją w tej chwili mamy. Jeszcze nie powiedzieliśmy jej „do widzenia”. Uśmiechnęła się do Eda; gdyby wiedziała, że on i Martha... hm... są w sobie zakochani, byłaby bardzo szczęśliwa. Zawsze chciała, żeby Martha wróciła do Binsmow i pracowała tu jako adwokat; jej polityczne ambicje wydawały się obiecującym krokiem w tę stronę. Ed, przystojny, czarujący Ed, byłby cudownym zięciem... Ach, to wszystko

wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Starsza pani spojrzała na ukochanego córki i jej oczy napełniły się łzami. Objął ją, a potem stali przytuleni, wspominając Marthę i to, jak bardzo ją kochali.

Późnym wieczorem zadzwonił Gideon.

– Jocasto, kochanie, wiem, że sprawiam ci zawód, ale nie dojadę jutro na czas.

Poczuła, że ogarnia ją potworna złość i zaniepokojenie.

– Dlaczego? Co się stało?

– Jakaś awaria w systemie kontroli ruchu lotniczego, więc nawet nie mogę niczego wycharterować. Tak mi przykro, kochanie. Od kilku godzin usiłuję coś załatwić. Nie chciałem do ciebie dzwonić, póki nie wyczerpałem wszelkich możliwości.

– Rozumiem, że teraz je już wyczerpałeś – powiedziała Jocasta.

– Kochanie, nie gniewaj się na mnie.

– Będę. Jeśli chciałeś mieć pewność, że dotrzesz na czas, powinieneś wyjechać o dzień wcześniej, a gdybyś to zrobił, już byś tu był.

– Jocasto, nie przyjechałem tu na wakacje.

– Wiem i mam wrażenie, że nigdy na nie nie wyjeżdżasz. Och, nieważne. Pojadę bez ciebie.

Wybiera się mnóstwo osób. Nawet Josh.

– Josh? Dlaczego, do diabła, on też jedzie na pogrzeb? Przecież nie znał Marthy, prawda?

– Znał. Krótko. Był z nami na samym początku podróży, a ostatnio spotkał ją na naszym przyjęciu ślubnym. Tak czy inaczej, chce się z nią pożegnać. Nie martw się, Gideonie, poradzę sobie.

– Jocasto...

Już się rozłączyła.

Fergus zastanawiał się, czy mógłby przed pogrzebem porozmawiać z Kate na temat kontraktu ze Smith. Jak powiedziała Helen, obecnie jej córkę wytrącało z równowagi dosłownie wszystko. Mężczyzna doskonale to rozumiał, ale nie mógł zostawiać dziewczynie zbyt dużo czasu.

– Podejrzewają, że prowadzimy z nimi jakąś grę, i zaczynają się niecierpliwić – wyjaśnił Kate na początku tygodnia.

– W takim razie... niech się niecierpliwią. Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Szczerze. Mam jeszcze propozycję z któregoś czasopisma, prawda?

Po otrzymaniu dwóch następnych emaili ze Smith Fergus zaczął się martwić. Nie chodziło tylko o zaniepokojenie kierownictwa firmy kosmetycznej; gorsza była perspektywa, że cały światek reklamy obiegnie pogłoska, iż Kate jest trudna, niemiła i prowadzi różne gierki. Nie odniosła jeszcze takiego sukcesu, aby bezkarnie wodzić ludzi za nos.

Miał w tym również własny cel, chociaż próbował odsunąć go na bok: jego prowizja za pracę Kate dla czasopisma była nader skromna w porównaniu z kontraktem ze Smith. Z drugiej strony... Fergus bardzo dobrze wiedział, co kryje się za tą „drugą stroną” – nieprzyjazny świat

reklamy, coraz większa presja mediów na Kate: „Jak się czujesz, Kate, nie wiedząc, kto jest twoją matką?”, „Jak sądzisz, czy kiedykolwiek się dowiesz, kim jest twój ojciec?”... W głębi duszy wiedział, że bez tego wszystkiego dziewczyna będzie miała lepsze życie. Chociaż... ile mogłaby zdziałać, gdyby wchodząc w dorosłe życie, miała trzy miliony? Bardzo dużo. Starał się nie myśleć, ile on sam mógłby zdziałać, gdyby dostał dwadzieścia procent od tychże trzech milionów. Próbował porozmawiać na ten temat z Clio, ale dość ostro się posprzecjali.

– Jak możesz w takiej chwili myśleć o wywieraniu na nią jakiegokolwiek nacisku! Ludzkie bestie mogą zaczekać. Fergus powiedział, że wcale nie próbuje wywierać nacisku na Kate, ale też nie może podjąć za nią decyzji, a ludzie ze Smith, pomimo dobrej woli, nie mogą wiedzieć, że Kate przeżywa trudne chwile, i po prostu chcą mieć tę sprawę z głowy.

– To handel, Clio, muszą dotrzymać wyznaczonych terminów.

– W takim razie powiedz im, na litość boską, że dziewczyna ma w tej chwili poważne problemy. Jestem pewna, że zrozumieją. A jeśli nie, to znaczy, że po prostu na nianie zasługują.

W takich chwilach Fergus poważnie martwił się o ich związek.

Bardzo się różnili w ocenie podejścia do jego sposobu zarabiania na życie: Clio uważała go za coś wstydliwego, jemu przynosił całkiem niezły kawałek chleba i często sprawiał ogromną przyjemność.

Za nic w świecie nie dało się pogodzić obu poglądów.

– W takim razie jedźcie we dwójkę – powiedziała Jocasta do Clio – a Nick może zabrać Josha. Beatrice zostaje w Londynie, a mojemu bratu byłoby smutno, gdyby całą drogę musiał pokonać sam. Nie rozumiem, dlaczego jedzie, niemniej uważam, że to miło z jego strony. Ja zabiorę Kate. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli pojedziemy we dwie, na wypadek gdyby była bardzo nieszczęśliwa. Naprawdę się cieszę, że Gideon nie wraca.

– Czy Josh wie o Kate? – spytała Clio. – To znaczy: czy wie, kim ona jest?

– Wie, że jest Małą Bianką, ale nie ma pojęcia, że dziewczynę coś łączy z Martha. Powiedziałam mu tylko, że Kate poznała Marthę na przyjęciu i chce jechać. Josh jest niesamowicie tępy, nigdy nad niczym się zbyt długo nie zastanawia.

– To bzdura, Jocasto! – zaprotestowała Clio. – Jest bardzo mądry. Kiedy miał dwanaście lat, zdał na szóstkę swój pierwszy z iluś tam egzaminów końcowych.

– Co nie zmienia faktu, że jest niewiarygodnie głupi, jeśli chodzi o szarą rzeczywistość – uściśliła Jocasta. – On po prostu niczego nie rozumie.

– Możliwe – przyznała Clio. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Oczywiście. Świetnie. Dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. Jesteś dziwnie nieswoja.

– Tylko ci się wydaje.

Clio uznała, że lepiej nie drażnić tematu.

Pogrzeb miał się zacząć o drugiej. Tuż po pierwszej samochody zaczęły wypełniać Saint Andrew's Road. Do wpół do drugiej ludzie stali na zewnątrz nieco zakłopotani, witając się ze

znajomymi i uśmiechając się niepewnie do tych, których nigdy wcześniej nie widzieli na oczy. Za dwadzieścia druga weszli do kościoła. Trumna Marthy stała na środku nawy. Jak zwykle kwiatami zajęły się panie z Women's Institute: na ołtarzu i w ogromnych urnach po obu stronach nawy poustawiały okazałe bukiety lilii, eustomy wielkokwiatowej i róż; flakony z różami zdobiły wszystkie okna, a z boku każdej ławki tkwił przywiązany białą wstążeczką prosty bukiet groszku pachnącego, ulubionych kwiatów Marthy. Był cudowny, typowo angielski letni dzień: błękitne niebo, kilka białych obłoczków, leciutka bryza. Grace obudziła się przed świtem i słuchała radosnego śpiewu ptaków, mając nadzieję, że skoro dotychczas wyłakała tyle łez, teraz już nie będzie. Nic z tego.

Kościół Świętego Andrzeja nie był ani duży, ani mały. Za dziesięć druga wypełnił się po brzegi. Tłumnie pojawili się starsi parafianie, chcąc pożegnać małą dziewczynkę, którą znali, gdy dorastała, pojawili się wyborcy Marthy, pragnąc okazać jej wdzięczność za pomoc, której udzielała im za darmo, chociaż przez krótki czas. Poważnie wyglądającej Geraldine Curtis towarzyszył posłuszny mąż. Przyszedł również agent Marthy, Clion Black.

Sporą grupkę stanowiły dawne nauczycielki Marthy – panie w średnim wieku.

– To była wyjątkowo inteligentna dziewczyna – powtarzały każdemu, kto chciał słuchać. – Najinteligentniejsza w bardzo inteligentnym roczniku. Miło było ją uczyć. Byli też i Inni Ludzie, jak nazwała ich w myślach Grace. Przyjechali wypełnionymi samochodami z Londynu. Liczna grupa reprezentowała Sayers Wesley: wielu młodych wspólników, rówieśników Marthy i jej starszych kolegów, wszyscy skupieni wokół poważnego Paula Quenella. Oczywiście, nie brakło również czołowych działaczy Centre Forward: Jack Kirkland, Chad Lawrence i Eliot Griers pojawili się z żonami, a mizerna, blada Janet Freaan z mężem. Towarzyszyli im: odpowiedzialny za akcję promocyjną partii Malcolm Farrow z zespołem, liczna grupa szeregowych członków partii, inni kandydaci i pracownicy administracyjni Centre Forward. Pojawiła się też niewielka rodzina Azjatów: piękna nastolatka, dziwnie zmieszany chłopiec i ich ojciec. Uśmiechali się niepewnie. Przybyli, chcąc podziękować Marcie za to, co próbowała zrobić dla ich matki i żony, Liny.

Niemałą grupę stanowili przyjaciele: Jocasta ze zdumiewająco piękną Kate, Clio, Josh, Fergus i Nick. Ed zauważył ich pierwszy, kiedy stanął obok trumny razem z bratem i ojcem Marthy; ich widok dodał mu odwagi, gdy usłyszał znamienne słowa wypowiedziane pięknym głosem Petera Hartleya: „Jam jest życie i zmartwychwstanie”. Nie mógł uwierzyć, że odnoszą się do osoby, którą tak bardzo kochał, kobiety, która tak wiele znaczyła w jego życiu i która teraz leżała w zasypanej kwiatami trumnie. Mały wieniec od Eda znajdował się tuż obok nieco większego od jej rodziców. Były to białe róże z odręcznie, nieporządnie i nieczytelnie wypisaną kartką: „Marcie, mojej wiecznej miłości, Ed”.

Jocasta miała rację, uważając, że łatwiej będzie znieść pogrzeb, jeśli kościół wypełni się po brzegi ludźmi, którzy przybyli tu, by pożegnać zmarłą. Stała, trzymając Kate za rękę, śpiewała pieśni i myślała, że to musi dodawać Hartleyom otuchy. Rodzice Marthy tworzyli piękną parę.

Jocasta uścisnęła Grace i powiedziała, że Martha zawsze była wspaniałą przyjaciółką: takich rzeczy nie mówi się zbyt często. Teraz obserwowała, jak Peter Hartley spogląda znad trumny córki na swoje stadko, i podziwiała go za niezwykłą dzielność. Uśmiechnęła się do Kate, ale nastolatka nie odpowiedziała uśmiechem.

Zaawansowany wiekiem organista, który grał podczas chrztu i konfirmacji Marthy, przelał całe serce w Nimroda Elgara, nie zważając na to, że łzy zasnuwają mu oczy.

Nick siedział z Clio i Fergussem. Zerknął na dwie ławki pełne polityków – jedyńych ludzi, których dobrze tutaj znał, jeśli nie liczyć Jocasty – i zastanawiał się, co Marthę mogło przyciągać do egoistycznych, spragnionych władzy osób, które rzuciły na nią urok. Dlaczego polityka wydaje się ludziom taka kusząca i warta tylu poświęceń? Obserwować ją z boku, od czasu do czasu zabawić się jej kosztem, komentować bieżące wydarzenia to jedno, ale brać w tym wszystkim bezpośredni udział to już całkiem inna sprawa. Gdyby Martha się im oparła, bardzo, bardzo prawdopodobne, że wciąż by żyła. Nick szybko odsunął od siebie tę myśl – zbyt przytłaczała. Richard Ashcombe wstał i podszedł do pulpitu wzruszony, że Grace i Peter poprosili go, by przeczytał list świętego Piotra do Koryntian. Miał nadzieję, że ich nie zawiedzie. Był zrozpaczony.

Po raz ostatni widział Marthę na swojej uroczystości pożegnalnej przed wyjazdem; prawdę mówiąc, wygłaszała wtedy nawet krótką mowę. Doskonale pamiętał jej drobną twarz i uśmiech, jakim go obdarzyła. Odgarnęła do tyłu włosy i trzymając prezent dla niego (złoty korek do szampana z wygrawerowanym jego imieniem), oznajmiła, że bez niego pracownicy londyńskiego biura będą trzeźwiesi i wydajniejsi, „choć na pewno ich życie będzie o wiele mniej zabawne”, a potem go pocałowała. Jak mogła odejść?

Jak to możliwe? Dotarł do końca. Udało się.

Przy słowach: „z nich zaś największa jest miłość”* [I Kor 13, 13, Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.)]

Ed poczuł, że lada chwila serce pęknie mu z bólu; chwycił się kurczowo ławki i pochylił głowę, próbując powstrzymać łzy.

Jocasta, która siedziała za nim, położyła mu rękę na ramieniu, by odczuł, że jest przy nim i też płacze. Wszyscy kochali Marthę – pomyślała Grace, dostrzegając zachowanie młodych – jak mogła odejść i zostawić nas samych?

Paula Ballantine, która od czterdziestu lat śpiewała na wszystkich pogrzebach w okręgu, wykonała dla Marthy Ave Maria tym piękniej, że od czasu do czasu załamywał się jej głos.

Fergus, który – jak na prawdziwego Irlandczyka przystało – kochał muzykę, był głęboko poruszony, chociaż nie znał Marthy. To ogromna strata – pomyślał, patrząc na trumnę. – Szkoda tej inteligentnej i ślicznej istoty, nawet jeśli ukrywała ponure sekrety.

Pomyślał też, że, na szczęście, zabrała je ze sobą do grobu i nikt nie musi ich już poznawać. Nikt niepowołany. Doszedł do wniosku, że jej rodzicom trudno byłoby pogodzić się z prawdą.

Zastanawiał się, czy w ogóle chcieliby poznać sekrety córki. To było trudne pytanie.

Potem, modląc się, by wystarczyło mu sił, Peter wygłosił najkrótszą mowę pogrzebową.

– Musicie mi wybaczyć – powiedział – jeśli nie uda mi się dokończyć swojego wystąpienia, ale, z bożą pomocą, spróbuję. Chciałbym w kilku słowach pożegnać Marthę. Nie była wylewna i jak większość was dobrze wie, irytowały ją wszelkie zbędne ozdobniki. Chociaż myślę, że spodobałby się jej dzisiejszy wystrój naszego kościoła. Była wyjątkową osobą: silną, ale łagodną, życzliwą, a jednocześnie ambitną, śmiałą, lecz obdarzoną czułym sercem. Była perfekcjonistką, co pewnie wielu z was wie, i czasami trudno to było zaakceptować. Zawsze byliśmy z niej bardzo dumni i chociaż żalowaliśmy, że utraciliśmy ją na rzecz wielkiego miasta i wspaniałej kariery, wiedzieliśmy, że tam jest jej miejsce. W tym roku wróciła do Binsmow i jako początkujący polityk pracowała na rzecz mieszkańców naszego miasteczka. Kto wie, jak daleko mogła zajść? Może w naszej parafii, w sąsiednim domu dorastała przyszła druga pani premier? Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy jedno, że w czasie, kiedy z nami... – głos mu się załamał – ... kiedy z nami była, chociaż trwało to zbyt krótko, nikogo nie zawiodła. Ani rodziny, ani kolegów, ani przyjaciół. Wszyscy darzyliśmy ją miłością.

To chyba najlepsze epitafium. Dziękuję wszystkim, którzy przyszli, żeby się z nią pożegnać. Ja i moja żona dziękujemy wam z głębi serca.

Kate czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego, coś, co zaczęło się w chwili, kiedy weszli do kościoła – powoli topniała skorupa otaczająca jej serce. Matka, która porzuciła ją jako noworodka i od tego czasu myślała tylko o realizowaniu własnych planów, nagle pojawiła się... w całkiem innym świetle. Gdyby była taka zimna i egoistyczna, jak wyobrażała sobie Kate, nie zasłużyłaby sobie na taki pogrzeb. Na kwiaty, ludzi i miłość. Niemożliwe. Musiała istnieć inna, dobra i życzliwa Martha, która trafiała do serc wielu ludzi... Kim są, na przykład, ci Azjaci? Albo ten obłądny facet, który siedzi przed nimi i płacze? Był stosunkowo młody, może brat albo ktoś taki... Nie, Martha nie mogła być taka, jak myślała Kate. Musiała być lepsza. Nie taka zła. I miała wspaniałych rodziców. Biedna mama sprawia wrażenie wyjątkowo miłej, a ojciec tak dzielnie się trzymał, wygłaszając swoją mowę. Jak to możliwe, że ich córka zrobiła swojemu dziecku to, co zrobiła? Co by powiedzieli, gdyby podeszła do nich i wyznała: „Cześć, mam na imię Kate. Jestem waszą wnuczką. Tylko chciałam się z wami przywitać”. Oczywiście, przy takiej okazji to byłoby całkiem niestosowne. Pod wpływem ogromnego napięcia Kate nagle poczuła, że chce jej się śmiać. Zagryzła wargę, spojrzała na Jocastę i Clio. Przyjaciółki Marthy, przyjaciółki jej prawdziwej matki, płakały. Błyskawicznie się opanowała. Obie były takie miłe, po prostu super. Jak mogłyby tak polubić potwora, którego dziewczyna stworzyła w swojej głowie?

Boże, gdyby wtedy ją знаła, gdyby tamtego dnia była dla niej trochę miłsza...

Kościół wypełniły dźwięki toccaty i fugi dmoll. Clio siedziała, ściskając rękę Fergusa, słuchała, obserwowała wszystko jak we śnie i wspominała. Dokonywała przeglądu przeszłości niemal obojętnie, jakby oglądała film, dziwne, niepołączone ze sobą sceny. Odziani na czarno mężczyźni dźwignęli trumnę i bardzo, bardzo wolno ją odwrócili. Clio spojrzała na Jocastę, która właśnie ocierała łzy, i zagubioną, drobną twarzyczkę Kate. Po raz tysięczny pomyślała, jak bardzo są do siebie podobne.

Potem trumna zaczęła wolno przesuwac się wzdluz nawy, zasłana kwiatami i skapana w promieniach słońca. Zawsze będę wyobrażala sobie Marthę w promieniach słońca – pomyslała Clio – nie tylko tutaj, w kościele, ale i na białej, zalanej słońcem plaży.

Potem spojrzala na poszarzala twarz idacego za trumną Eda, jego zaczerwienione oczy wciąż pelne łez, i doszła do wniosku, że nigdy w życiu nie widziala takiego bólu na tak mlodej twarzy. Za nim szła przypuszczalnie matka Marthy, wsparta na ramieniu jakiejś mlodej kobiety, prawdopodobnie drugiej córki, bezgłośnie szlochajac.

Lekarka spojrzala na Nicka, drogiego, słodkiego, kochanego Nicka, który tak dzielnie walczyl, żeby oszczedzić Marcie bólu, i pomyslała, że jest naprawde wyjątkowy. Potem przyszła kolej na Josha stojacego obok Jocasty. Jakie to dziwne, że przyjechał! Wszyscy byli zaskoczeni, zwłaszcza że wygladal na zasmuczonego, miał bladą twarz i opuchnięte oczy. Dlaczego, skoro prawie nie znal Marthy? Boże, on i Jocasta są tacy podobni, jakby byli bliźniakami... Clio ruszyła powoli za nimi, trzymajac Fergusa za rękę. Na zewnatrz zrobilo się spore zamieszanie. Karawan wiozacy rodzinę już pojechał na cmentarz, a za nim jakies inne auto, najwyraźniej z resztą rodziny. Clio zostala oddzielona od pozostałych i jakimś cudem znalazła się w grupce polityków. Zobaczyła Eliota Griersa, kompletnie przygaszonego Chada Lawrence'a, Jacka Kirklanda, który co chwila wycieral nos w chusteczke, i wredną Janet Frea. Boże, że też miała czelność się tu pojawic! Chociaz przypuszczalnie nalezalo ją podziwiac, w końcu mogła udac chorobe, zwłaszcza że naprawde wygladala na ciężko chorą. Miała podkrążone oczy, wymizerowana, niemal szarą twarz i zaciśnięte usta... No cóż, zasłużyła sobie. 566

Clio doszła do wniosku, że powinna wrócić do reszty. Jocasta może jej potrzebować, zestresowana Kate również. Wpatrzyła ich. Stali we trójkę, Kate między Joshem i Jocasta. Byli tak do siebie podobni, że wygladali jak rodzina. Josh i Jocasta mogliby być mlodymi, bardzo mlodymi rodzicami, a Kate ich córką... W tym momencie wszystko dziwnie się rozmazalo, w tle rozbrzmiewaly jakies dźwięki, świeciło oślepiajace słońce, a po głowie Clio uparcie krążyły poplątane słowa: mogliby być bliźniakami... Kate jest bardzo podobna do Jocasty... ciekawe, dlaczego Josh przyjechał na pogrzeb... Josh sprawia wrazenie naprawde bardzo nieszczęśliwego... Nagle Fergus spytał:

– Clio, dobrze się czujesz? Wygladasz, jakbyś lada chwila miała zemdleć.

– Ciii... – odparła szybko.

Niespokojne myśli i słowa wciąż wracaly, tak samo jak wspomnienia. Zapewnienia Marthy, że nie może powiedziec, kto jest ojcem, stare zdjecia, na których widać bylo, jak podobni są do siebie Josh i Jocasta, czyjes słowa na przyjeciu, że są niemal identyczni... Kate przypomina Jocastę. Josh wyglada na bardzo nieszczęśliwego... Nie mogę ci powiedziec, kto jest ojcem... Nagle Clio dostrzegła to, co miała przez cały czas przed oczami. Spojrzala na podobnych do siebie jak dwie krople wody Jocastę i Josha, na Kate, która tak bardzo przypominala ich oboje, jakby byli rodziną, jakby po prostu byli jej rodzicami... i w tym momencie nie miała ani cienia wątpliwości co do tego, kto jest ojcem Kate.

Rozdział Trzydziesty Dziewiąty

Josh jest naprawdę miły, życzliwy i zabawny – pomyślała Kate.

Bardzo go polubiła. Jocasta dopiero po pogrzebie znalazła czas, żeby ich sobie przedstawić... Niewiele brakowało, a Josh byłby się spóźnił – przyjechał z Nickiem pięć minut przed rozpoczęciem uroczystości. Jocasta była wściekła i kiedy usiadł o trzy ławki za nimi, powiedziała kilka przykrych uwag. Zdaniem Kate nie stało się nic złego – w końcu dotarli na czas, a to było najważniejsze, ale Jocasta długo jeszcze burczała do Clio, że „to cały Josh” i „on nigdy się nie zmieni”. Była trochę niesprawiedliwa, bo, jak się okazało, zawinił Nick, a właściwie nawet nie tyle on, co samochód, bo złapali gumę. Tak oto nagle Kate zaczęła się dowiadywać, że Jocasta, którą dziewczyna tak długo uważała za chodzący ideał, też ma wady, i że należą do nich: zbyt pochopne wyciąganie wniosków – często błędnych – oraz niewspółmierna reakcja. Kiedy wyszli na słońce (w tym momencie nastolatka czuła się trochę dziwnie: była niespokojna, a jednocześnie nieco szczęśliwsza), brat Jocasty wyciągnął do niej rękę i przedstawił się:

– Cześć, mam na imię Josh i jestem młodszym bratem Jocasty. Jesteś Kate, prawda?

Nie wyglądał wcale tak staro. Był nieco tęższy od Jocasty i bardzo wysoki, ale miał takie same jasne włosy i błękitne oczy.

Oczywiście był ubrany jak typowy wapniak, to znaczy miał na sobie garnitur, ale bardzo ładny, ciemnoszary. Najwyraźniej na pogrzeby wszystkich obowiązywał jednolity strój. Helen bardzo długo się zastanawiała, co Kate powinna włożyć na tę okazję, w końcu wysłała dziewczynę do babci do Guildfordu. Jilly kupiła wnuczce czarną sukienkę, długi żakiet Jigsaw i czarne czółenka. Kate czuła się jak staruszka, ale po dotarciu do Binsmow zdała sobie sprawę, że babcia dokonała trafego wyboru. Dziewczyna zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę, gdyby przyjechała w niebieskim spodniemie, które koniecznie chciała na siebie włożyć. Uśmiechnęła się do Josha i powiedziała, że rzeczywiście ma na imię Kate, a wtedy brat Jocasty zaczął się dziwić, że nastolatka przyjechała na pogrzeb, chociaż prawie nie znała Marthy, jakkolwiek uznał, że to bardzo miłe.

– Tak czy inaczej, mamy piękny dzień – stwierdził, tym samym przechodząc do typowej, głupiej gadki wapniaków.

Potem spytał, jak wypadły jej egzaminy, bo słyszał, że kończy szkołę średnią.

– Och, całkiem nieźle, dziękuję – odparła Kate.

Potem Jocasta zasugerowała, żeby dziewczyna zaproponowała Hartley om pomoc w roznoszeniu talerzy zjedzeniem. Kate nie mogła uwierzyć, że wydarzenie pełne smutku i uczuć kończy się czymś w rodzaju przyjęcia, że ludzie wykrzykują: „tak się cieszę, że cię widzę!” i „jak miewają się twoje dzieci?”, ale była zadowolona, że ma coś do roboty. Trochę się martwiła, że ludzie będą się zastanawiać, co ona tu, do diabła, robi, ale przeważnie się tym nie interesowali, jedynie obdarzali ją obojętnym uśmiechem i brali to, na co mieli ochotę, a tym, którzy pytali, zgodnie z sugestią Jocasty odpowiadała krótko, że poznała Marthę przez swoją przyjaciółkę.

Wciąż była oszołomiona, ale miała nadzieję, że to nie potrwa długo; bała się też, że będzie musiała zamienić kilka słów z rodzicami Marthy.

Rodzina Azjatów trzymała się na uboczu i sprawiała wrażenie zagubionej; Kate podeszła do nich z talerzem, ale tylko potrząsnęli głowami.

– Jak to się stało, że znalazła się pani w tej grupie? – spytał mężczyzna.

Odpowiedziała tak samo jak wszystkim i spytała, szczerze zaciekawiona, jak poznali panią Hartley. Kate tak właśnie o niej mówiła, bo używanie samego imienia mogło sugerować zbyt dużą zażyłość.

– Wyjątkowo dobrze traktowała moją żonę – wyjaśnił mężczyzna.

– Lina nie żyje, ale niegdyś sprzątała gabinet pani Hartley, która zawsze była bardzo miła, interesowała się naszą córką, Jaśmin, i jej nauką, dała jej sporo książek. Pewnego dnia pani Hartley odwiedziła moją żonę w szpitalu i stoczyła istną batalię, by przeniesiono Linę na inny oddział... naprawdę była bardzo miłą osobą.

Kate uśmiechnęła się i poszła dalej, jeszcze bardziej zażenowana i nieszczęśliwa niż dotychczas. Nagle obok niej pojawiła się Jocasta.

– Chcielibyśmy za dziesięć minut wyjechać, Kate. Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu, zresztą nie jesteśmy tu już potrzebni. Chcę się jeszcze pożegnać z Hartleyami, a potem będziemy mogli się wymknąć.

W tym momencie usłyszała:

– To ty, Kate? Jestem Ed, cześć!

Kiedy nastolatka się odwróciła, miała wrażenie, że patrzy na zdjęcie w czasopiśmie. Przed nią stał cudowny facet z kościoła. Był bardzo wysoki, miał jasne włosy i zniewalający uśmiech. Chociaż również i on włożył na tę okazję garnitur, nie był to garnitur, jaki noszą ludzie starzy, lecz ciemnogranatowy, z ciemnozielonymi wypustkami, a całości dopełniała jasnoniebieska koszula w kolorze jego oczu. Kate poczuła, że uginają się pod nią kolana. Serdecznie żałowała, że ma na sobie takie staroświeckie ciuchy.

– Cześć – powiedziała, uśmiechając się do niego. Ujmując jego wyciągniętą dłoń, zaczęła się zastanawiać, kto to taki i co robi na pogrzebie. Wtedy odparł:

– Miło mi, że cię poznałem, Kate. Jestem... przyjacielem Marthy. To znaczy byłem. Bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

Nagle dziewczyna przypomniała sobie, że Jocasta opowiadała jej o nim, tak samo jak o wielu obecnych tu ludziach. Naturalnie, Kate wiedziała, że na pogrzebie pojawi się chłopak Marthy, ale nie przypuszczała, że będzie tak wyglądał; spodziewałaby się raczej kogoś takiego jak ten facet z Nowego Jorku, człowiek, który czytał Pismo. Nie młodzieńca żywcem z reklamy Calvina Kleina. Jak Martha to zrobiła? Skąd wystraszyła tak niesamowitego chłopaka, który był przynajmniej o dziesięć lat młodszy od niej? Dziwne.

Dziewczyna była zmieszana, rozmawiając z Edem, który prawdopodobnie wiedział, z kim ma do czynienia. Kate wydawało się, że ogląda film.

– Och, cześć, Ed. Cieszę się, że cię widzę. To Jocasta. Pocałowała go i mocno uściśnęła.

– Widzę, że poznałeś już Kate.

– Tak. Dzięki, że przyjechałaś, Jocasto. Bardzo się cieszę, że pojawiło się tyle osób.

– Tylko tyle mogliśmy zrobić – powiedziała Jocasta. – Przykro mi, że Gideon nie dotarł... utknął gdzieś w Kanadzie. Nie pytam, jak się czujesz, bo na pewno okropnie, ale zadzwonię do ciebie pod koniec tygodnia. Ja i Clio chciałybyśmy zaprosić cię na kolację, ale jeśli nie będziesz miał sił ani ochoty, powiedz, zrozumiemy.

– Podoba mi się ten pomysł. Serdecznie dziękuję, ale na razie nie wiem, jak przeżyję następny tydzień, jak będę się czuł...

– Możesz zdecydować godzinę przed spotkaniem – oznajmiła Jocasta, ponownie go całując – pół godziny, a nawet pięć minut. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcielibyśmy wybrać się w drogę powrotną. Nick po drodze złapał gumę, a musi jeszcze wrócić do pracy, dlatego obiecaliśmy mu, że pojedziemy za nim do Londynu, na wypadek gdyby złapał następną. Rozmawiałam z panią Hartley... jest kompletnie oszołomiona i wyraźnie nawet się nie zorientowała, kim jestem.

– Rzeczywiście biedaczka nie może się otrząsnąć. Muszę już iść. Jeszcze raz dziękuję. Wyglądacie jak siostry – rzekł nagle, po czym dodał: – Przepraszam, Kate. To dla ciebie raczej nie był zbyt duży komplement.

– Za to był dla mnie – przyznała Jocasta – więc nie ma sprawy. Zawsze nam to mówią. Prawda, Kate? Wszystko przez włosy. Wyjechali całą grupą; Clio powiedziała, że nie czuje się najlepiej i chętnie ruszy w drogę powrotną. Rzeczywiście wygląda trochę dziwnie – pomyślała Jocasta – jest bardzo blada i wyczerpana. Taak, to był cholernie ciężki dzień. Sama też miała kiepski nastrój; zastanawiała się, czy Gideon będzie już w domu. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty na Wielkie Powitanie. Gdy dotarli do Londynu, Nick tylko machnął ręką i pojechał w swoją stronę, a Josh wsiadł do ich samochodu. Kate zajęła tylne siedzenie; była rozespana. Powiedziała, że boli ją głowa.

– Biedactwo. Atak ogólnie jak się czujesz?

– Nieźle. Po prostu jestem trochę... zdezorientowana, ale wolałabym o tym nie rozmawiać. Cieszę się jednak, że pojechałam.

– Podjęłaś już jakąś decyzję w sprawie kontraktu? – spytała Jocasta.

– Nie, nawet nie potrafię o tym myśleć. Wszyscy uważają, że jestem głupia, bo przecież chodzi o kupę szmalu, ale do pewnego stopnia zgadzam się z mamą. Jest tego za dużo i trochę mnie to przeraża.

– O co chodzi? – spytał Josh.

– Zaproponowano jej fortunę za reklamę serii kosmetyków – wyjaśniła Jocasta.

– Jaką fortunę?

– Sporo zer – odparła Jocasta krótko, spoglądając na brata.

– W takim razie czemu nie chcesz się zgodzić, Kate?

– Nawet nie jestem pewna, czy nie chcę, po prostu czuję się tak, jakbym miała podpisać wyrok na swoje życie.

– Skorzystaj z mojej rady, mała Kate – rzekł Josh, obracając się, żeby na nią spojrzeć. – Jeśli nie jesteś czegoś pewna, nie rób tego. Nie ma sensu tylko dla pieniędzy zajmować się czymś, czego się nie lubi. Coś wiem na ten temat. Całe życie postępowałem w taki właśnie sposób. Spytaj sama siebie, czy zrobiłabyś to za darmo. Albo za bardzo niewielkie pieniądze. Nie ma lepszego testu.

Po chwili milczenia Kate odparła:

– Chyba nie. Potwornie mnie to wszystko nudzi. Ludzie niesamowicie się podniecają, gdy słyszą o pięknych modelkach, akcjach reklamowych i wielkich pieniądzach, ale nie ma w tym nic wspaniałego. Nie znoszę, gdy nakładają mi na twarz grubą warstwę makijażu. I zachowują się, jakby moje dzinsy były świętością.

– Co takiego? – spytał Josh ze śmiechem.

Kate opowiedziała mu o Rufusie i Jedzie, ich szeptach i całej reszcie.

– Są naprawdę stuknięci. W przeciwieństwie do cudownego Marca, który robił zdjęcia dla „Sketcha” – dodała, kierując te słowa do Jocasty. – On jest naprawdę całkiem normalny. Chociaż w tym interesie nienormalny to norma.

– Powinnaś być dziennikarką – powiedział Josh – jak moja siostra. Posługujesz się bardzo ładnym językiem.

– Kiedyś poważnie się nad tym zastanawiałam – przyznała Kate, jakby miała przynajmniej czterdzieści pięć lat – ale to chyba nie dla mnie. Prawdę mówiąc, chciałabym być fotografem. To byłoby o wiele zabawniejsze. Wtedy człowiek przynajmniej robi coś konkretnego, a nie siedzi na tyłku.

– Świetnie! – przyklasnął Josh. – Często powtarzam, że gdybym mógł cofnąć czas, chciałbym zostać fotografem. Pamiętasz, Jocasto, zdjęcia, które przywiozłem z Tajlandii? Niektóre z nich były naprawdę dobre; oglądałem je kilka dni temu.

– Ja nie – wtrąciła Jocasta.

– Taak, Kate, uważam, że w tej dziedzinie mogłabyś zrobić naprawdę dużą karierę. Lepszą niż jako modelka. Powiem ci coś:

mam pełną szufladę naprawdę dobrych aparatów fotograficznych, których nie używam. Niektóre z nich są nieco przestarzałe, ale takimi właśnie posługują się prawdziwi zawodowcy, którzy nie uznają automatycznych zabawek.

Wszystkie kupił mu ojciec – pomyślała Jocasta cierpko – gdy były hitem miesiąca.

– Jeśli chcesz, mogę dać ci któryś z nich, żebyś mogła zacząć – ciągnął Josh. – Mógłbym nawet udzielić ci kilku lekcji.

– Josh! – warknęła Jocasta ostrzegawczo.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Zauważyła, że Kate wpadła mu w oko. Idiota. Nie mogła zrozumieć, jak Beatrice to wszystko znosi.

W drodze powrotnej do Londynu Janet Freań co chwila wymiotowała. Po dotarciu do domu zamknęła się w swojej sypialni i nie chciała z niej wyjść. Bob właściwie wcale się tym nie przejął: zrobiła to, co powinna zrobić, była na pogrzebie kobiety, do śmierci której znacznie się przyczyniła – z czego bez wątpienia zdawała sobie sprawę – i teraz musiała stawić czoło swoim demonom. Zrobił jej filiżankę herbaty, zawołał, że zostawia ją pod drzwiami, i poszedł zająć się dziećmi. Clio nie wiedziała, co robić. Przecież mogła się mylić. Możliwe, że Josh nigdy nie przespał się z Martha, a trudno było go o to spytać. Lekarka nie miała żadnego dowodu. Jocasta zawsze powtarzała, że jedynym prawdziwym podobieństwem między nią a Kate są włosy. Co by było, gdyby Clio oskarżyła Josha o coś, czego nie zrobił? A nawet jeśli to zrobił, co dobrego przyniesie wywlekanie tej sprawy na światło dzienne? Może bardzo zaszkodzić jego małżeństwu, które i bez tego ma mnóstwo problemów. Czy nie lepiej byłoby zachować własne wnioski dla siebie? Z drugiej jednak strony... Clio była więcej niż pewna, że się nie myli. Podobieństwo wcale nie ograniczało się do włosów; dotyczyło również uśmiechu, postawy i ogólnego wrażenia. Zresztą wszystko układało się w logiczną całość. Gdyby ojcem Kate był jakiś facet, którego Martha spotkała podczas podróży, na pewno by tego nie ukrywała. Tymczasem powiedziała... jak ona to ujęła? „Za nic w świecie nie mogę mu powiedzieć. Za nic w świecie”.

Jeśli to był Josh, rzeczywiście przed laty nie mogła mu powiedzieć. Było za późno na podjęcie jakichkolwiek działań, a on nie wiadomo gdzie przebywał i, prawdę mówiąc, nic nie mógłby zrobić. Potem... no cóż, równie łatwo wytłumaczyć, dlaczego potem też milczała. Martha nie chciała narażać się na upokorzenie, przyznać do własnej niekompetencji ani uganiać za cudownym Joshem, który na pewno by jej nie chciał i byłby przerażony, gdyby usłyszał: „Zrób coś. Wkrótce urodzę twoje dziecko” albo nawet „Urodziłam twoje dziecko”. Niektóre dziewczęta tak właśnie by postąpiły – nie traktowałyby tego jako upokorzenia, ale sposób na wymuszenie ślubu. Niektóre dziewczęta, ale nie Martha.

Clio zapadła w niespokojny sen. Obudziła się, gdy samochód stanął. Ujrzała uśmiechniętą twarz Fergususa.

– Co się dzieje w twojej małej, ładnej główce? Opowiadałaś jakieś bzdury.

– Miałam... miałam zły sen – skłamała, z trudem odpowiadając na jego uśmiech. – Przepraszam, możemy się gdzieś zatrzymać na herbatę? Potwornie boli mnie głowa.

O siódmej wieczorem Gideon Keeble wrócił do domu w Kensington Pałace Gardens. Był wyczerpany i zły. Liczył na to, że Jocasta będzie na niego czekać z gotową kolacją, tymczasem zastał pusty dom i liścik żony do pani Hutching.

„Proszę się nie martwić o kolację, wychodzę na miasto.

Zobaczymy się rano. JFK”.

Najwyraźniej bawią ją nowe inicjały – pomyślał nieco mniej poirytowany.

Powędrował do swojego gabinetu, spodziewając się, że znajdzie tam liścik od Jocasty. Niczego nie było. W sypialni i garderobie również.

Zazwyczaj bardzo, a nawet przeciętnie bogaci ludzie oczekują, że dostaną wszystko, czego

chcą. Mogą uważać się za rozsądnych, cierpliwych i łatwych we współżyciu, tymczasem w rzeczywistości to inne, uzależnione od nich osoby dokładają wszelkich starań, żeby ułatwić im życie, dzięki czemu bogacze nie muszą zachowywać się nierozsądnie, tracić cierpliwości ani być trudni we współżyciu. Im ktoś bogatszy, tym łatwiejsze ma życie, a Gideon Keeble był niewiarygodnie bogaty. Ponieważ nikt tego wieczoru nie podjął nawet najmniejszego wysiłku, by ułatwić mu życie, bilioner wpadł w potworną złość. Najpierw zadzwonił do pani Hutching, do jej mieszkania, i bardzo uprzejmie poprosił o lekką kolację; nie spytał jej, czy wie, gdzie jest Jocasta, bo to byłoby dla niego zbyt upokarzające. Potem poszedł do swojego gabinetu, aby trochę popracować i poczekać na żonę. Na pewno szybko wróci; na pewno zadzwoni. Nie wróciła szybko i nie zadzwoniła, a jej telefon był ustawiony na pocztę głosową.

Gideon nie zostawił jej żadnej wiadomości; to też uwłaczało jego godności.

O dziesiątej, wyczerpany, położył się do łóżka; o wpół do dwunastej usłyszał warkot taksówki. Jocasta weszła do domu, zatrzymała się – prawdopodobnie, gdy pani Hutching informowała ją, że mąż wrócił – a potem wbiegła schodami na piętro. Weszła; była zarumieniona i najwyraźniej wypila sporo wina. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Cześć.

Pochyliła się i pocałowała go; wyczuł w jej oddechu niezbyt atrakcyjny zapach alkoholu.

– Witaj, Jocasto. Gdzie byłaś? – spytał, udając rozbawienie. Trochę się rozluźniła.

– Na... na kolacji.

– Z przyjaciółmi.

– Tak? Jakimi przyjaciółmi? Czy był wśród nich Nicholas Marshall?

– Był.

– A inni?

– Byli i inni. Gideonie, mam za sobą bardzo ciężki dzień. Nie było cię w domu, a ja nie chciałam siedzieć sama jak kołek...

– Jacy inni?

– Ludzie z dawnych czasów, koledzy z redakcji. Nie znasz ich. Czy to przesłuchanie?

– Uważam, że mam prawo wiedzieć, z kim byłaś.

– Prawo? To brzmi dziwnie staroświecko.

– Naprawdę? Zdecydowanie uważam, że mam do tego prawo. Może to rzeczywiście staroświeckie podejście, ale bez wątplenia całkiem rozsądne. Wygląda na to, że masz inne zdanie.

– Przestań, Gideonie.

W jej głosie słychać było zmęczenie; usiadła na łóżku. Rumieniec zniknął, wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Miałam wyjątkowo ciężki dzień. Ciężki i smutny z powodu pogrzebu i całej reszty...

– Wierzę. Ja też miałem okropny dzień. Najpierw próbowałem znaleźć jakiś lot, potem przesiadałem się w tak absurdalnych miejscach jak Monachium, a wszystko po to, żeby szybciej

do ciebie wrócić. I co zastałem? Pusty dom, żadnego liściku, żadnej kolacji, a ty tymczasem wyszłaś na miasto ze swoim byłym kochankiem...

– Nie rób tego, Gideonie. Po prostu tego nie rób.

– Czego mam nie robić?

– Tego, co robisz. To niebezpieczne.

– Co takiego?

– Sugerowanie, że wróciłam do Nicka.

– Czy to, że z nim byłaś, nie jest niebezpieczne? Tak samo jak wtedy...

– Nie... Co takiego?

– Byłaś z nim w niedzielny poranek. Spytałem cię, gdzie jesteś, a ty odparłaś, że w jego mieszkaniu.

– Gideonie, do jasnej cholery, nie byłam w jego mieszkaniu!

– Nie klnij.

– To śmieszne. Byłam potwornie zrozpaczona, potrzebowałam czyjś towarzystwa. Spotkaliśmy się w kawiarni.

– Rozumiem. I, jak sama przyznałaś, byłaś z nim też dziś wieczorem.

– Owszem, byłam z nim. I mniej więcej dziesiątką innych ludzi. W barze w Soho. Może mam do nich zadzwonić, żeby potwierdzili...

– Wynoś się stąd – powiedział, nagle wyłączając światło i odwracając się do niej plecami. – Po prostu wynoś się stąd. Jestem potwornie zmęczony, muszę odpocząć.

Jocasta wyszła.

– Nie mogę tego znieść – powiedziała przez łzy następnego ranka, rozmawiając z Clio przez telefon. – Dochodzę do wniosku, że popełniłam niewybaczalny błąd.

Clio miała pełną poczekalnię pacjentów i naprawdę nie była w stanie poświęcić Jocaście tyle czasu, ile wymagała sytuacja. Nie mogła też za nic w świecie jej zlekceważyć.

– Jocasto, nie bądź śmieszna. Tyle razy mi powtarzałaś, że go kochasz, że wcześniej nie wiedziałaś, czym jest miłość, że...

– Tak. I to prawda. Rzeczywiście go kocham, nawet bardzo, ale nie umiem z nim żyć, nie umiem być jego żoną. Prowadzę u jego boku okropne, wstrętne, bezsensowne życie, którego nienawidzę.

– Ależ, Jocasto, nie sądzisz, że to... dziecinada?

– Tylko nie zaczynaj. Wystarczy, że Gideon wciąż to powtarza. Clio zaczynała serdecznie mu współczuć.

– Posłuchaj, Jocasto, nie mogę teraz rozmawiać. Pacjenci czekają. Zadzwoń później. Spróbuj... spróbuj trochę się uspokoić. Wkrótce na pewno poczujesz się lepiej.

– Jestem spokojna! – Jocasta podniosła głos. – I nie poczuję się lepiej. Widzę, że niepotrzebnie ci o tym mówiłam, skoro masz zamiar raczyć mnie takim gównem.

Rzuciła słuchawkę. Clio, niemal z wdzięcznością, nacisnęła dzwonek, prosząc o przysłanie

następnego pacjenta.

Pięć minut później Jocasta znów próbowała się do niej dodzwonić. Recepcjonistka powiedziała, że doktor Scott ma w tej chwili pacjenta i zadzwoni później. Jocasta wybuchnęła płaczem. Gideon o siódmej rano wyszedł do pracy i nawet się z nią nie pożegnał. Czuli się okropnie samotni, co gorsza, zaszokowało ją własne niemiłe zachowanie w stosunku do Clio. Co się z nią dzieje? Kim ona się staje? Rozwydrzoną suką, która nie ma nic do roboty? Jak trzy poprzednie panie Keeble? Boże, tak trudno być mężatką. Gdyby wiedziała...

Zadzwonił telefon, natychmiast go odebrała. Na pewno Clio. Dzięki Bogu.

– Clio, tak mi...

To nie Clio, lecz Gideon.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Bardzo cię przepraszam. Zachowałem się jak smarkacz.

– Właśnie pomyślałam dokładnie to samo o sobie – odparła Jocasta, uśmiechając się przez łzy.

– Nie, nie, ty nic złego nie zrobiłaś. Miałaś straszny dzień, więc powinienem być wobec ciebie bardziej wyrozumiały. Co mogę zrobić, żebyś znów mnie kochała?

– Hm...

– Co powiedziałaś na lunch?

– Lunch? Nie stać cię na nic więcej?

– Nie bardzo. Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się do „Crillon”.

– „Crillon”? Gideonie, przecież to lokal w Paryżu!

– Wiem.

– Ale... jest już prawie dziesiąta.

– To też wiem. Postaraj się dotrzeć za godzinę do City Airport. Zarezerwowałem stolik na pierwszą. Proszę, zgódź się.

– Może... – powiedziała Jocasta.

Zjedli wspaniały lunch; na jego zakończenie Jocasta nachyliła się nad stolikiem i pocałowała Gideona.

– Dziękuję. To było... wspaniałe.

– Cieszę się. To znaczy, że mi wybaczyłaś?

– Całkowicie. A ty mnie?

– Nie miałem ci czego wybaczzać. Co wolisz: niewielki spacerek przez Place de la Concorde czy kilka słodkich chwil w łóżku? Wybór należy do ciebie.

– Bardziej podobałoby mi się łóżko. Tylko... gdzie?

– Mam zarezerwowany apartament – zdradził. – Jeśli tylko nie uznasz, że to zbyt oklepane.

– Uwielbiam wszystko, co oklepane.

Nagle rozpaczliwie go zapragnęła. Wstała i wzięła go za rękę.

– Chodźmy.

Nieco później leżała, uśmiechając się do niego i myśląc, jak bardzo go kocha. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zaledwie kilka godzin temu odczuwała tak potworną złość. Jak to możliwe, że zwykle fizyczne połączenie ciał jest w stanie uleczyć rany, wyciszyć złość i przywrócić dawną czułość?

– Matka Natura to mądra staruszka, nie sądzisz? – powiedział.

– To samo przyszło mi na myśl. W dużym przybliżeniu.

– No, proszę. Czyżbyśmy zaczęli podobnie myśleć czy coś w tym stylu? – Pochylił się, pocałował jej piersi i powiedział: – Czy to oznacza, że... zaczynamy wszystko od nowa, pani Keeble?

– Zaczynamy wszystko od nowa. Postaram się być lepsza.

– Nie sądzę, byś mogła być lepsza – zapewnił. – Przynajmniej pod jednym względem.

Znów ją pocałował.

Tego samego dnia o wpół do dwunastej w nocy pod dom Freanów podjechała karetka. Janet przedawkowała jakieś tabletki;

nikt nie potrafił powiedzieć, czy uda się ją uratować. Godzinę później Janet podano różne leki i antidota, a Bob niespokojnie krążył tam i z powrotem po szpitalnym korytarzu. Doszedł do wniosku, że mógł to przewidzieć, dlatego poczuł potworne wyrzuty sumienia. Na przekór wszystkiemu.

Rozdział Czterdziesty

W Grace powoli narastała coraz większa złość. Irytowali ją wszyscy: mąż, który o wiele lepiej niż ona znosił śmierć Marthy, zagrzebując się po uszy w pracy; Anna, która wciąż żyła, podczas gdy Martha spoczywała w grobie, co gorsza, nieustannie powtarzała matce, że powinna skoncentrować się na pozytywnych aspektach swojego życia; syn, który nie tylko nadal chodził po tej ziemi, ale miał nawet nową dziewczynę, która była psychoterapeutką i proponowała pomoc Grace, chociaż ta o nią nie zabiegała.

Była też niesamowicie zła na wszystkich parafian, którzy bez przerwy z ogromną życzliwością pytali ją, jak się miewa, chociaż na własne oczy widzieli, że jest pogrążona w rozpacz; na swojego lekarza, który zaproponował jej, żeby zastanowiła się nad jakimś lekarstwem na bezsenność, chociaż Grace uważała, że owe leki mogłyby jej się przydać tylko w jednym przypadku – gdyby wzięła je wszystkie naraz i położyła kres swojemu nieszczęsnemu żywotowi. Nawet powiedziała to swojemu lekarzowi, na co poklepał ją po dłoni i zapewnił, że jest zbyt dobra i rozsądna, by myśleć o takim rozwiązaniu. To też ją zdenerwowało.

Czuła złość do Boga, ponieważ dopuścił do takiej tragedii i pozbawił ją otuchy, której wyraźnie przez cały czas dodaje jej mężowi.

Była zła na Eda, bo nie mówiąc im, że kocha Marthę, pozbawił ich szczęścia, które by odczuwali, choćby tylko przez chwilę.

Najgorsze jednak, iż Grace nie mogła wybaczyć Marcie, że z powodu nieostrożności, wręcz głupoty, nie zatrzymała się gdzieś, pomimo ogromnego zmęczenia, że jechała swoim śmiesznym i zbyt szybkim autem, że próbowała tak wiele w życiu zdziałać, że dwoiła się i troiła... I że nie zostawiła po sobie niczego, naprawdę niczego, oprócz przerażającej pustki.

Z każdym dniem Grace odczuwała coraz większą złość.

– Kochanie, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Jocasta leżała w łóżku i patrzyła, jak Gideon się ubiera.

Ostatnio tak właśnie zaczęła postępować: nie miała po co wstawać, więc czekała, aż Gideon wyjdzie, potem przynajmniej godzinę leżała w wannie i układała swoje plany „nicnierobienia”, jak to nazywała, czyli zabicia czasu. Miło było go obserwować; czasami wyrażała jakiś komentarz na temat jego stroju, niekiedy on pytał, który krawat założyć, albo mówił, co będzie robił przez cały dzień. Gdy dopisywał mu humor, proponował, żeby wieczorem gdzieś się wybrali, albo (od czasu do czasu) umawiał się z nią na lunch. Przebywał w Londynie od ponad tygodnia i twierdził, że na razie nigdzie się nie wybiera. Potem czekała ich wielka wyprawa do Stanów. Takie życie było bliższe jej wyobrażeniom.

– Boże, Gideonie – westchnęła. – Kiedy te słowa padały z ust mojego ojca, wiedziałam, że mam poważne problemy. Uśmiechnął się do niej, podszedł i pocałował ją.

– Nie aż tak poważne.

– Mniej poważne?

– Nie masz żadnych problemów, tylko... Jocasta poczuła, że ogarnia ją złość.

– Może przeszedłbyś do rzeczy, Gideonie?

– Przepraszam. Dobrze się czujesz, kochanie? Wyglądasz na zmęczoną.

– Nie jestem zmęczona i dobrze się czuję.

– Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że boli cię głowa.

– Bo mnie bolała. Potem mi przeszło.

– Jak sądzisz, co to było? Prawdę mówiąc, mnie też trochę pobolewała. Może z powodu wina. Moim zdaniem miało dziwny smak.

Bardzo poważnie traktował swoje zdrowie; Jocasta wmawiała sobie, że ktoś, kto ma za sobą rozległy zawał serca, musi być ostrożny. Niemniej ją irytowało.

– Może – bąknęła. – Nie zauważyłam. – Westchnęła. – Chciałeś o czymś ze mną porozmawiać, Gideonie?

– Już wiem – powiedział nieznośnie tryumfalnym głosem. – To napięcie przedmiesiączkowe.

– Gideonie, na litość boską! Czy to damska przebiegalnia? Nie mam napięcia przedmiesiączkowego, nie mam okresu, nie boli mnie głowa, po prostu chciałabym dokończyć rozmowę. Mógłbyś przejść do rzeczy?

– W porządku. Przepraszam. Już mówię, o co mi chodzi. W ciągu najbliższego miesiąca chciałbym zorganizować kilka przyjęć. W Londynie. Głównie dla ludzi interesu, ale i kilku przyjaciół. Chciałbym, żebyś skontaktowała się z Sarah, a potem opracowała z panią Hutching jadłospisy i tak dalej. Oczywiście, przygotuję listę gości...

– Co takiego?

– Powiedziałem, że przygotuję listę gości.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Powiedziałem ci już, że przede wszystkim chcę zaprosić ludzi interesu. Muszę załatwić kilka spraw.

– Powiedziałeś też: „kilku przyjaciół”.

– Tak, wiem, ale miałem na myśli... – Urwał.

– Swoich przyjaciół?

– Tak. Mam ogromną nadzieję, że zostaną również twoimi przyjaciółmi.

– A dlaczego nie odpowiadają ci moi?

– Jocasto, proszę. Są wspaniali, ale większość ich nie pasowałaby do sporej grupki poważnych osób w średnim wieku.

– A ja... będę do nich pasowała? Spojrzał na nią zażenowany.

– Ty to co innego. Przecież jesteś moją żoną.

– Dlatego mogę wziąć udział w poważnym przyjęciu, chociaż do niego nie bardzo pasuję?

Dzięki!

– Nie utrudniaj sprawy.

– Wcale nie utrudniam. Pójdę o krok dalej i zaproponuję inne rozwiązanie. Jeśli chcesz

zorganizować przyjęcie, które dla mnie nie będzie żadną przyjemnością, może lepiej urządzić je w restauracji. Albo w swojej sali konferencyjnej. Jeśli nie, to zawsze mogę wyjechać.

– Na litość boską – powiedział sam też już niezłe poirytowany. – Lepiej skończmy rozmowę na ten temat. Jeśli nie chcesz nawet zorganizować dla mnie przyjęcia...

– Nawet? Co to znaczy „nawet”?

– Hm... powiedzmy, że dotychczas nie zwracałaś sobie zbyt głębiej głowy sprawami domowymi, prawda?

– Nie rozumiem.

– Pani Hutching mówi, że kiedy próbuje rozmawiać z tobą na temat jadłospisu, kwiatów czy innych ważnych spraw, jak na przykład, gdzie będziemy i kiedy, mówisz jej, żeby robiła to, co uważa za słuszne.

– Nieprawda. Powiedziałam jej, że lubię układać kwiaty.

– Tak, powtórzyła mi to, ale dodała, że chyba ostatnio zapomniałaś o tym zajęciu.

– Na litość boską! A tak swoją drogą: czemu ona nie może robić tego wszystkiego sama? Jest w tym o wiele lepsza niż ja.

– Nie o to chodzi. Chciałbym, żebyś ty też była w tym dobra i żebyś ty kierowała naszym życiem. Oczywiście zgodnie ze swoimi upodobaniami.

– Gideonie, nie mogę kierować naszym życiem zgodnie ze swoimi upodobaniami. Żyjemy twoim życiem. W twoim domu, z twoją służbą, na twój sposób. Ja nawet nie próbuję wnikać w szczegóły, jedynie staram się dopasować.

– Jeśli tak, to chyba nie bardzo ci to wychodzi. Naprawdę. Zresztą nieważne. Sam porozmawiam z panią Hutching.

– Tak, a potem podaj mi daty, żebym mogła na ten czas stąd zniknąć.

Spojrzał na nią z wyraźną niechęcią i wyszedł bez słowa, trzaskając drzwiami.

Długo leżała w kąpielni, zastanawiając się, jakie „nicnierobienie” zaplanować na ten dzień. Była nieszczęśliwa. Kogo Gideon próbował z niej zrobić? Kogoś w rodzaju swojej drugiej gospodyni? Nic nie wiedziała o takich rzeczach jak układanie jadłospisów, list gości, obrusów, a nawet kwiatów. Po prostu nie lubiła tego robić.

W takim razie co lubiła robić? Naprawdę nie wiedziała. Wyszła z kąpielni, owinęła się płaszczem kąpielowym i, ku swojemu zaskoczeniu, wybuchnęła płaczem. Co się z nią dzieje? Może to jednak napięcie przedmiesiączkowe? Niewykluczone. Rzadko je odczuwała, ale jeśli już jej się zdarzało, było naprawdę trudne do wytrzymania. Problem jednak polegał na tym, że podobnie czuła się od kilku tygodni, tak więc nie może to być ta przypadłość. Raczej poczucie kompletnej bezużyteczności. I zagubienia. Ubrała się, powędrowała do kuchni, zaparzyła sobie kawę i szybko ją wypila, nie czekając, aż pojawi się pani Hutching i zaproponuje jej śniadanie, a potem spyta, czy będzie jadła lunch w domu... Boże, to okropne, tak bardzo chciałyby mieszkać u siebie. Z tą myślą niemal wybiegła przez frontowe drzwi. Kiedy czekała na taksówkę, zadzwonił Nick. Szczęśliwa, że go słyszy, znów wybuchnęła płaczem.

– Co się, u licha, dzieje?

– Nic, nic. Cała ja. Przepraszam. Cofam to, co powiedziałam. Cieszę się, Nick, że cię słyszę. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Dzięki. Dzwonię, bo w weekend robiłem wielkie porządki i znalazłem kilka twoich rzeczy. Nie bardzo wiem, co z nimi zrobić.

– Jakie rzeczy?

Nagle ze smutkiem przypomniała sobie jego jasne, wysokie mieszkanie z widokiem na Heath, mieszkanie, w którym w ciągu ostatnich lat spędziła tak dużo czasu.

– Och... no wiesz. Głównie biżuteria. Jeden z twoich niezliczonych zegarków. Złota bransoletka, ta, którą dostałaś od taty...

– Pamiętam.

Od razu przypomniała sobie tamten epizod: swoje urodziny, podczas których ojciec odwołał kolację, za to przysłał jej horrendalnie drogą bransoletkę. Jocasta siedziała, wpatrując się w prezent i płacząc, a Nick próbował ją pocieszać. Koniec końców wylądowali w łóżku.

– I nieco ekskluzywnej bielizny...

Myślała, że Nick będzie chciał ją zatrzymać jako swego rodzaju pamiątkę. Znow popłynęły łzy.

– Wrzuć to wszystko do kosza, dobrze? – powiedziała i szybko się rozłączyła.

Po chwili telefon zadzwonił ponownie.

– Co się stało, Jocasto? Może chcesz porozmawiać? Podczas lunchu jestem wolny.

– Hm...

To była kusząca propozycja. Bardzo kusząca. Skoro Gideon traktuje ją jak swoją drugą gospodynię domową, to czemu nie? Czemu, do jasnej cholery, nie?

– Dobrze, w porządku – zgodziła się w końcu. – Byłoby cudownie. Bob Freań zadzwonił do Jacka Kirklanda.

– Przykro mi, Jack, ale przez jakiś czas będziesz musiał poradzić sobie bez Janet.

– Co się stało? Źle się czuje?

– Prawdę mówiąc, bardzo źle – wyznał Bob. – Przeszła poważne załamanie. Jest w Priory.

– Co takiego? Nie wierzę. Była taka mocna, mocniejsza od nas wszystkich. To okropne, Bob, przykro mi. Co ją tak dobiło?

– Chyba życie – odparł Bob i rozłączył się.

Helen z dnia na dzień coraz bardziej martwiła się o Kate. Dziewczyna po prostu całkowicie się zmieniła. Była cicha, nieobecna, drażliwa... no, pod tym względem nie różniła się od dawnej Kate. Nie chciała nigdzie wychodzić, nic nie chciała robić.

– Okropnie się czuję – wyznała matce. – Co gorsza, nie umiem nawet wyjaśnić dlaczego. Chyba dlatego, że przez kilka dni miałam matkę, a teraz ją straciłam... na zawsze. I nie wiem na jej temat ani odrobinę więcej niż poprzednio. Nie wiem również, dlaczego to zrobiła. Jest mi teraz o wiele trudniej. Przedtem miałam chociaż szansę, że ją znajdę.

Helen tłumaczyła, że wcale nie powinno być jej trudniej, bo teraz przynajmniej wie, kto był jej matką, a nawet troszkę ją poznała. Słowa Helen wyraźnie rozdrażniły dziewczynę.

– W ogóle mnie nie rozumiesz – skwitowała. – Nikt mnie nie rozumie.

Oświadczyła Fergusowi, że nie potrafi podjąć decyzji w sprawie Smith i że, być może, w ogóle nie będzie chciała pracować jako modelka, lecz zajmie się fotografią. Usłyszawszy to, Jim doszedł do wniosku, że może w tej dziedzinie będzie mógł jej w czymś pomóc. Dotychczas był jeszcze bardziej bezradny niż Helen; Kate w ogóle z nim nie rozmawiała, była uprzejma, ale na tym koniec. Nat również wypadł z łask.

– Nie mam po co się z nim spotykać – powiedziała do Sarah. – Wydaje mi się, że go wcale nie kocham, natomiast on na pewno kocha mnie, więc to niesprawiedliwe.

Sarah spytała, czy może powiedzieć o tym Bernie. Kate spytała, po co, a wtedy przyjaciółka wyjaśniła jej, że Bernie wciąż ma słabość do Nata.

– Ale on nie ma słabości do Bernie – oznajmiła Kate – dlatego moja odpowiedź brzmi „nie”, nie możesz.

– Jesteś jak pies ogrodnika – stwierdziła Sarah. – Sama go nie chcesz, ale nie zgadzasz się, żeby chodził z inną. Klasyczne!

– Odpieprz się! – warknęła Kate.

– Czuję się... taka zagubiona – powiedziała Jocasta, grzebiąc widelcem w sałatce.

Byli w „Rumours”, w Covent Garden, lokalu, do którego rzadko zaglądają bilionerzy.

– To nie ma żadnego znaczenia – oznajmiła, gdy Nick zaproponował jej ten konkretny pub. – Nie obchodzi mnie, czy Gideon zobaczy mnie z tobą, czy nie.

Nick nie wiedział, czy to oznacza, że Jocasta uważa go za kogoś mało ważnego, czy Gideona za kogoś, kim nie warto się przejmować. Miał nadzieję, że to drugie.

– Dlaczego jesteś taka zagubiona?

– Nie wiem. Czuję się tak, jakby czegoś mi brakowało. Jakbym dostała fantastyczną rolę w filmie, stała przed kamerami i nie знаła swojej kwestii, wręcz nie wiedziała, co robić.

– W takim razie spróbuj się dowiedzieć – zaproponował ostrożnie.

– Nie mogę. Nie chcę.

– „Nie chcę” i „nie mogę” to dwie różne sprawy. Nie sądzisz?

– Nie.

– Niestety, tak jest, Jocasto. Możesz, co do tego nie ma kwestii. Problemem jest to, że nie chcesz.

– Nie umiem być dobrą żoną. Nic nie wiem na temat prowadzenia domu, organizowania wielkich przyjęć i rozkazywania służbie. W ogóle mnie to nie pociąga.

– No cóż, skarbie – wymknęło mu się to określenie. – Będzie musiało cię pociągać, nie sądzisz?

– Dlaczego?

– Jocasto, wyszłaś za męża za człowieka, który chce, żebyś się tym zajęła. Prowadzi

wystawny tryb życia i potrzebuje żony, która umie się do takiego trybu życia dostosować.

– W takim razie wybrał nieodpowiednią kobietę.

– Jocasto, na litość boską, wyszłaś za niego za mąż!

W jego głosie przebijała złość. Spojrzała na niego. Był wściekły.

– Uważam – powiedział – że to nie jest rozsądna rozmowa. Nie sądzisz?

– Dlaczego?

– Jocasto, jeśli nie wiesz dlaczego, to znaczy, że jesteś naprawdę głupia. To nie jest ani rozsądne, ani miłe.

– Dla kogo nie jest miłe?

– Dla mnie – odparł dziwnym głosem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała. – Myślisz, że łatwo mi siedzieć i wysłuchiwać, jak narzekasz na swoje małżeństwo albo zastanawiasz się, czy popełniłaś błąd, jakbyś w ogóle nie brała pod uwagę, że ja wciąż...

– urwał – ... wciąż o tobie myślę? Dorośnij, Jocasto. Na litość boską! Spróbuj przez kilka minut pomyśleć o kimś innym, nie tylko o sobie, dobrze?

Wstał od stolika, bez słowa zapłacił rachunek i wyszedł.

Gdy tego wieczoru Gideon wrócił do domu z ogromnym bukietem kwiatów, Jocasta siedziała w kuchni z panią Hutching i uzgadniały jadłospisy. Wstała, przytuliła się do męża i namiętnie go pocałowała.

– Przepraszam, bardzo przepraszam za dzisiejszy ranek – powiedziała.

– Ja też. Proszę, wybacz.

Pani Hutching szybko zebrała jadłospisy i powędrowała na piętro.

Kate bez przerwy myślała o swoich dziadkach. Naturalnie, Hartleyowie nie wiedzieli, że jest ich wnuczką, ale to niczego nie zmieniało. Co więcej, sprawiali wrażenie bardzo, bardzo miłych. Serdecznie im współczuła. To musi być okropne przeżycie, kiedy człowiek traci dziecko. Zastanawiała się, czy jest w stanie coś dla nich zrobić, w jakiś sposób poprawić ich nastrój. Oczywiście, nie mogła im powiedzieć, kim jest, ale mogła napisać do nich list, spytać, czy czują się choć trochę lepiej, powiedzieć, że pogrzeb był wspaniały i... Bóg jeden raczy wiedzieć, co jeszcze. Przedyskutowała sprawę z matką; Helen uznała, że to doskonały pomysł.

– Wystarczy krótki liścik. Jestem pewna, że będą wzruszeni.

– Napiszę do nich. Przeczytasz i sprawdzisz, czy wszystko w porządku?

Potem uznała, że musi zadzwonić do Fergususa.

– Cześć, Fergusie, mówi Kate.

– Witaj, kochanie. Jak się miewasz?

Udało mu się okazać radość znacznie większą, niż naprawdę odczuwał. Miał za sobą kiepski poranek: klient, którego uważał za swojego, futbolista, oskarżony o urządzenie komuś awantury, poszedł do Maxa Clifforda. Co prawda miał jeszcze tę śliczną młodziutką piosenkarkę, która sprzeczała się z ojcem w sprawie jego dochodów, ale to nie przyniesie zbyt wielkich zysków. Nie wystarczy nawet na czynsz, nie wspominając już o kosztach wynajmu apartamentu w Putney nad

brzegiem rzeki. W przypadku Kate miał poważne problemy finansowe; wciąż jeszcze nie zarabiała, a chociaż Gideon obiecał pokrywać początkowe wydatki, zawodowa duma Fergususa nie pozwalała mu upomnieć się o pieniądze, dopóki nie zrobi czegoś dla nastolatki.

– Świetnie. Podjęłam decyzję. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie chcę podpisywać tego kontraktu.

– W porządku. – Fergus próbował ukryć zawód. – Rozumiem. Jesteś pewna?

– Całkowicie. Wiem, że to kupa szmalu i w ogóle, ale... nie poradziłabym sobie z całą resztą.

– To znaczy?

– Głównie z rozgłosem. Sprawa właśnie zaczęła powoli przycichać, a gdybym podpisała kontrakt, musiałabym przeżyć to od nowa. Pytania o matkę i całą resztę. Tymczasem... w tej... w tej chwili nie jestem w stanie o tym mówić. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Rozumiem.

– Tak czy inaczej, wcale mi się to nie podoba. Szczerze mówiąc, nie cierpię tego.

– Czego, pracy modelki?

– Tak. Zwłaszcza reklamowania kosmetyków. To potwornie nudne. Nie znoszę tych ludzi, są po prostu beznadziejni. Moda jest znacznie lepsza, myślę, że nią mogłabym się zajmować.

– Tak?

To już coś, chociaż wtedy jego prowizja wynosiłaby kilkaset funtów zamiast kilkuset tysięcy...

– Chyba tak, ale jeszcze nie teraz.

– Kate, bardzo mi przykro, ale za dwa tygodnie masz pierwszą sesję zdjęciową dla „Style”. Musisz to zrobić.

– Nie mogę. Przepraszam, Fergusie, jestem zbyt przygnębiona. Fergus policzył w myślach do dziesięciu. To jakiś koszmar. Głupia, arogancka smarkula myśli, że może się zabawiać kosztem poważnych ludzi, odrzucać trzymilionowy kontrakt jak zużytą chusteczkę higieniczną, co więcej, mówi, że nie weźmie udziału w sesji zdjęciowej dla jednego z najważniejszych ogólnokrajowych czasopism, bo jest przygnębiona. Za kogo ona się uważa? Za Naomi Campbell?

– Kate, kochanie, naprawdę będziesz musiała to zrobić. Potwierdzili dziś rano, że wszystko jest już zarezerwowane: wizażystka, fryzjer, fotograf. Nie masz prawa...

– Fergusie, powiedziałam ci, że nie mogę. Po prostu daj mi święty spokój! Będą musieli znaleźć kogoś innego. Przykro mi – dodała, acz niechętnie.

Wyglądał przez okno, próbując zdobyć się na odwagę, by zatelefonować do „Style” i przekazać im decyzję Kate, gdy zadzwoniła Clio. Od razu poczuł się lepiej.

– Jak się miewasz?

– Świetnie – powiedziała. – Dzwonię tylko w sprawie dzisiejszego wieczoru. Czy wciąż wybieramy się na kolację?

– Mam nadzieję, że tak. Boże, naprawdę mam nadzieję, że tak. To jedyna rzecz, której jeszcze mogę niecierpliwie oczekiwać.

– Co się stało?

– To, co zwykle... Kate jest nieznośna. Bardzo nieznośna. Odmówiła podpisania kontraktu z firmą kosmetyczną, a teraz na dodatek nie chce zgodzić się na sesję zdjęciową dla „Style”. Wszystko jest już zarezerwowane. Nie powinna tak postępować. To nieprofesjonalne.

– Fergusie, ona ma zaledwie szesnaście lat. Nie możesz oczekiwać, że...

– Mając szesnaście lat, od ponad roku ciężko harowałem i uczyłem się, jak nie sprawiać ludziom zawodu.

Clio często myślała o trudnym dzieciństwie Fergusa i sukcesie, jaki odniósł w życiu, chociaż miał na to niemal zerowe szanse. Podziwiała go, nawet jeśli nie podobał jej się sposób, w jaki to zrobił.

– Przykro mi – rzekła ostrożnie – bardzo mi przykro. Może Jocasta zdołałaby ją przekonać. Kate najwyraźniej ją ubóstwia. Może za jej namową zechce jeszcze raz przemyśleć sprawę.

– Dobry pomysł – powiedział nieco weselszym głosem. – Och, Clio, jesteś cudowna. Chciałbym, żeby był już wieczór. Bardzo za tobą tęsknię.

– Fergusie, widzieliśmy się zaledwie dwa dni temu.

– Masz serce z kamienia. Dwa dni to czterdzieści osiem godzin. O której najwcześniej moglibyśmy się spotkać?

– O szóstej, jeśli po mnie przyjedziesz.

– Już wyjeżdżam.

Była z nim naprawdę bardzo szczęśliwa, przeszkadzało jej tylko jego zajęcie. Oprócz tego był słodki, życzliwy, rozważny. Kiedy tego wieczoru wyszła z gabinetu, czekał w poczekalni z gotowym posiłkiem, który kupił po drodze. Potem patrzyła, jak uwijał się po jej kuchni, i myślała, ile miała szczęścia, że go znalazła. Sama też była trochę przygnębiona; Mark nie krył zawodu, że Clio ich opuszcza, i chociaż zachowywał się wobec niej bardzo sympatycznie, wyczuwała, że jest zły. Rozumiała go; przyjął ją z powrotem, chociaż wcześniej złożyła wypowiedzenie; teraz zrobiła to ponownie. Sama też była na siebie zła... ale jednocześnie odczuwała ogromną radość, że udało jej się dostać pracę w Bayswater. Tego ranka odwiedziła pana Morrisa w Laurels i była poważnie zaniepokojona jego ogromnym smutkiem. Fergus wysłuchał jej cierpliwie, kiedy narzekała na przełożoną pielęgniarek w domu starców i jej autorytarne podejście do pacjentów, jak uparcie ich nazywała.

– To nie są pacjenci, Fergusie, tylko ludzie starzy, którzy potrzebują odrobiny pomocy.

Clio nie mogła również zrozumieć córki, która była zbyt zajęta i bezduszna, by umożliwić rodzicom pozostanie w domu. Fergus powiedział jej, że Morrisowie i tak mieli dużo szczęścia, o którym nie mogliby mówić, gdyby Clio nie była ich lekarzem.

– Wcale tak nie uważam, Fergusie, zresztą co mogłam zrobić? Jak walczyć z tym cholernym systemem? To niewydolny kawał gówna i...

– Hej! – zaprotestował. – Prawdziwe damy nie posługują się takim językiem.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Przepraszam, ale obowiązujące obecnie rozwiązania bardzo mnie irytują. Co mogę zrobić?

– Nie wiem. Ogłoś apel; spróbuj rozkręcić kampanię. Zainteresuj sprawą kilku polityków. Sprawdź, czy nie mógłby ci pomóc któryś z przywódców Centré Forward. Parlamentarzyści uwielbiają takie tematy. Dzięki nim sprawiają na wyborcach wrażenie ludzi szlachetnych i altruistycznych, a nie egoistów, jakimi są w rzeczywistości. Pomogę ci, jeśli chcesz, naszkicować coś, może nawet opublikować w prasie.

– Och, Fergusie... – Spojrzała na niego poważnie. – Jesteś dla mnie zagadką. Całymi dniami pomagasz chciwym, źle wychowanym ludziom manipulować mediami...

– Daj spokój – zaprotestował. – To nie jest zbyt sprawiedliwe. Chyba nie powiesz, że Kate jest chciwa i źle wychowana?

– Nie. Na pewno nie, ale musisz przyznać, że ona jest trochę nietypowa w porównaniu z twoimi pozostałymi klientami. Tak czy inaczej, na przekór wszystkiemu, w twojej piersi bije serce z czystego złota.

– Może trzeba je tylko trochę wypolerować – powiedział. – Może po prostu potrzebuję wskazówek odpowiedniej osoby. Porozmawiam z Gideonem, zorientuję się, czy zdoła zorganizować jakieś spotkanie z kimś ważnym. A teraz czy uznasz mnie za kompletnie niewrażliwego, jeśli poproszę o następny kieliszek tego wspaniałego wina? I otoczę cię ramieniem na sekundę lub dwie?

– Rzeczywiście jesteś kompletnie niewrażliwy – odparła Clio – i nie wykazałeś się również zbyt dużą delikatnością, nazywając mnie idiotką, prawda? I tylko popatrz, do czego to nas doprowadziło. Bardzo chciała powiedzieć mu o Joshu, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Może za dzień lub dwa. Prawdę mówiąc, nie musi się śpieszyć, zwłaszcza że wokół rozgrywa się wystarczająco wiele dramatów.

Jocasta bardzo starała się być dobrą żoną. Bała się, coraz bardziej się bała, dlatego nie mogła postępować inaczej. Musiała zrobić wszystko, żeby jej małżeństwo funkcjonowało, po prostu musiała. Lunch z Nickiem był dla niej chwilą trudnej do zniesienia prawdy. Teraz spoglądała na siebie z niezwykłą wyrazistością: wiedziała, że jest rozpuszczona, samolubna i kompletnie niedojrzała. Nick zaprosił ją na lunch, bo się o nią martwił, myślał, że jest nieszczęśliwa; tymczasem ona jedynie żaliła się na swoje życie. Wyjątkowo luksusowe życie.

Dlatego planowała przyjęcia dla dwudziestu nieznanym sobie osób, uzgadniała jadłospisy, razem z panią Hutching zastanawiała się nad wyborem kwiatów, a nawet wybierała z Gideonem muzykę. Był zuroczony jej pomysłem; powiedział, że dotychczas nie lubił muzyki w tle, ale to może być znak nowych czasów – czasów Jocasty.

Nieśmiało zasugerowała również zmianę wystroju w domu, zaczynając od kuchni.

– Jest taka staroświecka, Gideonie, i taka przeładowana. Obecnie nikt nie urządza tak kuchni, wolalabym coś prostszego, skromniejszego...

– Każde inne pomieszczenie, kochanie, byle nie kuchnia. To królestwo pani Hutching, a ona nie cierpi zmian.

Jocasta otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale potem zrezygnowała z tego pomysłu.

– W porządku. Co powiedziałabyś na salon wychodzący na ogród? Chętnie dobudowałabym do niego oranżerię, dała piękną kafelkową podłogę...

– Podoba mi się ten pomysł. Zrób to.

Była trochę zawiedziona, że nie okazał większego zainteresowania i kazał jej się wszystkim zająć, ale bardzo chciała być dorosła, dlatego trzy następne dni poświęciła na przeglądanie „Interiors” i „Elle Decoration”. Potem sprawa przestała ją interesować. Poruszyła również temat kupna domu.

– Naszego, nie tylko twojego. Byłoby cudownie.

Zastanawiałam się nad Francją, czymś w rodzaju Biarritz. Brałam też pod uwagę Amerykę, Wschodnie Wybrzeże, Maine i coś w tym rodzaju.

– Kochanie, moim zdaniem mamy dość domów, ale jeśli dzięki temu będziesz szczęśliwsza, spróbuj coś znaleźć. Zadzwoiła do wszystkich agentów handlu nieruchomościami i zaczęła przygotowywać portfolio, żeby pokazać Gideonowi. Wykonując to zadanie, czuła się trochę samotna, ale niektóre domy były bardzo ładne i chętnie by je obejrzała. Jedynym problemem okazało się znalezienie na to czasu w napiętym harmonogramie Gideona.

– Może w styczniu następnego roku? – spytała zrozpaczona.

– Przykro mi, kochanie – odparł, obdarzając ją uśmiechem. – Ostrzegałem cię, że wychodzisz za męża za pracoholika. Wiedziała, że nie było żadnych takich ostrzeżeń, ale się nie odezwała. Uczyła się trzymać język za zębami, chociaż to było całkowicie sprzeczne z jej naturą i psuło jej dobry nastrój. Przesiedziała na dwóch przyjęciach, próbując prowadzić konwersację z ludźmi, z którymi nie miała nic wspólnego; jakoś udawało jej się dogadywać z mężczyznami, chociaż traktowali ją jak ptasi mózdzek, cukiereczek, w który Gideon w swojej mądrości zdążył się zaopatrzyć, ale kobiety były okropne, nudne i znudzone, zwariowane na punkcie swojego wyglądu, domów, dzieci i osobistych trenerów. Traktowały Jocastę, jakby należała do jakiegoś ciekawego, ale zdecydowanie gorszego gatunku. Nawet wszystkie bez mężczyzn powędrowały na godzinę na piętro, by porozmawiać o kuracjach odwykowych, najnowszych sposobach na pozbycie się zmarszczek czy o „detoksie i botoksie”, jak powiedziała Jocasta nazajutrz do Clio. Przy okazji przypominała sobie dawne przyjęcia, które urządzała razem z Nickiem, duże, swobodne spotkania, na których panował dobry nastrój, wszyscy z wszystkimi flirtowali i upijali się na wesoło, czasami nawet urywał im się film. Mimo to powiedziała Gideonowi, że przyjęcia jej się podobały; była zdumiona, że jej uwierzył.

Zadzwoiła do Nicka, żeby przeprosić go za narzekanie podczas pamiętnego lunchu; był przyjacielski, ale chłodny, powiedział, że to miłe, po czym w uprzejmy sposób przeprosił ją również za swoje zachowanie. Przez kilka dni chodziła zgaszona i smutna. Wydawało jej się, że powoli zaczyna wcielać się w rolę pani Keeble. Wiedziała, że to wymaga czasu. Przywyknie. Na pewno. Potem nadeszła katastrofa.

Zaczęło się całkiem spokojnie: Gideon poprosił ją, żeby za kilka tygodni wybrała się z nim w

podróż w interesach. Ostrzegł, że to nie będzie najbardziej ekscytująca wyprawa pod słońcem, jedynie trzydniowy weekend zorganizowany w Monachium dla liczących się przemysłowców, uznał jednak, że Jocasta ma szansę miło spędzić czas, a on odniesie pewne korzyści z jej towarzystwa. Młoda kobieta próbowała wykrzesać z siebie entuzjazm; uśmiechnęła się i powiedziała, że wyprawa zapowiada się całkiem miło, ona sama nigdy nie była w Monachium i na pewno będzie dobrze się bawić, mimo to jej głos zdradzał, że ten wyjazd wcale nie będzie dla niej taki miły ani zabawny. Nie chcąc, by Gideon się zorientował, powiedziała mu, że nie czuje się najlepiej, ma mdłości i boli ją głowa.

– Przykro mi, kochanie. Mam nadzieję, że nie jesteś w ciąży. Często to mówił, jawnie lekceważąc jej fobię, co bardzo ją drażniło. Nick zawsze z dużą wyrozumiałością podchodził do jej problemu. „Nie rozumiem tego – powiedział, gdy po raz pierwszy zdradziła mu swoją tajemnicę – ale widzę, że to dla ciebie poważna sprawa. Bardzo mi przykro”.

– Nie jestem w ciąży, Gideonie – zapewniła.

– Na pewno?

– Na pewno. Szczerze mówiąc, trudno o większą pewność. Jasne?

– Jasne. Przepraszam, kochanie, nie miałem zamiaru cię zdenerwować.

Niestety, zrobił to. Była zła i rozdrażniona, on tymczasem wrócił do poprzedniego wyводу:

– Biedactwo. Myślę, że ta wyprawa przypadnie ci do gustu, zwłaszcza że przygotowano całkiem sympatyczny program dla małżonek, dużo zakupów i zwiedzania...

– Co takiego?

– Program dla małżonek. Na pewno wiesz, co to takiego.

– Nie, nie wiem, Gideonie. Przykro mi, że jestem aż taką prostaczką.

– Najwyraźniej prowadziłaś życie pod kloszem. To zajęcia dla żon w czasie, kiedy mężczyźni załatwiają interesy.

– Zdziwiasz mnie. Mamy spędzać czas wszystkie razem? Ja i pozostałe żony? Banda starych wiedźm?

Gideon zapewnił, że nie wszystkie będą starymi wiedźmami, przyjedzie kilka młodszych pań, z którymi będzie mogła się zaprzyjaźnić i...

– Młodsze panie to zapewne „szumiące czterdziestki” – przerwała mu Jocasta. – Takie jak te, które poznałam podczas przyjęcia kilka dni temu, kobiety z wieczną opalenizną i rozmawiające przez cały czas o liftingach twarzy. Och, Gideonie, nie rób mi tego.

– Przecież niczego ci nie robię – zapewnił z miną, która zapowiadała nadchodzącą złość. – Tłumaczę ci tylko, że w ten sposób mogłabyś mi trochę pomóc.

Ponieważ milczała, westchnął, a potem powiedział:

– Nasze małżeństwo przypomina drogę jednokierunkową, Jocasto.

– To znaczy?

– Biegnie tylko w tę stronę, na której ci zależy. Na litość boską, nie wymagam od ciebie wcale tak dużo...

– Naprawdę? Nie muszę zajmować się twoimi posiłkami ani służbą, nie muszę czekać godzinami, aż w końcu zechcesz wrócić do domu i...

– Uważam, że to nie są zbyt uciążliwe zajęcia. Naprawdę. W zamian za...

– W zamian za co, Gideonie? Powiedz mi.

Czuła ucisk w żołądku. Była zmęczona. Słowa męża dotknęły ją do żywego.

– W zamian za dużo rzeczy. Na przykład to... Wskazał stos niepotwierzonych jeszcze toreb od Harveya Nicholasa, Chanel, Gucciego. Jocasta w końcu odnalazła swój rytm, jeśli chodzi o zakupy.

– A także lekcje pilotażu, samochody...

– Czy to oznacza, że nasze małżeństwo to karta kredytowa z określoną wielkością debetu? Nie wiedziałam o tym. Zaczekaj, może uda się nam ustalić cenę pewnych usług. Ile dałbyś za dwie godziny czekania, aż wrócisz do domu na kolację, cały ranek porządkowania twojej odzieży...

– Jocasto, nie bądź dziecinna!

– Nie mów tak do mnie. W ten sposób mnie obrażasz i sprawiasz ogromny ból.

– To nie kłóć się ze mną.

– Przykro mi, ale sam zacząłeś, mówiąc, co powinnam robić w zamian za twoje pieprzone pieniądze. Skoro mowa o pieprzeniu, co z seksem, Gideonie, czy on też ma cenę? Jak to ustalimy, ile obecnie zarabia prostytutka wysokiej klasy? Na pewno wiesz.

– Możemy skończyć tę okropną rozmowę? – spytał, a wokół jego ust pojawiła się biała otoczka.

– Nie, nie możemy. Chcę wyjaśnić pewne rzeczy. Czy krótka wyprawa na lunch do Paryża też obciąża mój rachunek? Podszedł do niej z wściekłością wymalowaną na twarzy. Jocasta myślała, że Gideon wymierzy jej policzek. Wstała szybko, przy okazji przewracając swoją torebkę – wypadły z niej rachunki. Podniósł je i zaczął przeglądać.

– Nie rób tego, Gideonie. To moje rachunki i nie mają nic wspólnego z tobą.

– Niestety, mają. Tysiące funtów za takie gównno...

– Przepraszam. Jutro odniosę wszystko do sklepu.

– No proszę... lunch we dwoje w „Caprice”. Dużo kosztował, nawet jak na ich ceny. Szampan osiemdziesiąt funtów. Z kim go piłaś, Jocasto? Z Nicholasem Marshalllem?

– Nie! – krzyknęła. – Nie, nie i nie! Byłam tam z matką.

– Zabrałaś matkę do „Caprice” i postawiłaś jej markowego szampana z dobrego rocznika? Trudno mi w to uwierzyć.

– Zapytaj ich – zaproponowała, wręczając mu swoją komórkę. – Sprawdź mnie. Naprawdę sądzisz, że gdybym miała romans z Nickiem, zabrałabym go do „Caprice”? Co się z tobą dzieje, Gideonie? Masz obsesję na tym punkcie. Dlaczego miałabym mieć z kimś romans?

– Powiedzmy, że twoje zachowanie nie wzbudza zaufania – wyjaśnił.

Jocasta powędrowała na piętro i spakowała małą torbę, do której nie włożyła ani jednej

kupionej ostatnio rzeczy, a potem wróciła na parter i weszła do gabinetu Gideona.

– Odchodzę – oznajmiła – i nie wrócę. Nie mogę. Póki nie przeprosisz.

Gideon oświadczył, że nie ma za co przeproszać, i powtórzył, żeby wzięła się w garść i w końcu dorosła. Po raz pierwszy Jocasta zaczęła współczuć Aisling Carlingford. Wyszła z domu, zadzwoniła po taksówkę – bo przecież nie mogła wziąć swojego nowego samochodu – i pojechała do Clapham.

Rozdział Czterdziesty Pierwszy

Przez trzy dni siedziała w swoim domu i czekała, aż Gideon do niej zadzwoni. Nie zadzwonił. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Normalnie zatelefonowałyby do którejś z przyjaciółek, ale tym razem nie mogła. Nie potrafiłaby spojrzeć im w oczy. Wciąż wracała myślami do przyjęcia, które odbyło się zaledwie kilka tygodni temu i miało pokazywać nową twarz Jocasty i jej nowe życie. Teraz wszyscy by się z niej śmiali albo jej współczuli, zarzucaliby głupotę i dziecinadę, wypominali, że od początku było wiadomo, iż nic z tego nie będzie, zwłaszcza że rzuciła Nicka w nagłym przyływie złości. Jocasta nie zniosłaby takich uwag.

Najbardziej jednak się bała, że wiadomość o jej rozstaniu z mężem dotrze do Nicka; Nicka, który tak ją zgromił, kazał jej dorosnąć i który teraz najwyraźniej nią pogardzał. Co by pomyślał o najświeższym przejawie niedojrzałości, za jaki uznałby porzucenie męża trzy miesiące po ślubie i skargi na jego okropny charakter i niesprawiedliwość? Z jakiegoś dziwnego powodu tego się bała najbardziej.

W końcu zadzwoniła do Gideona, przeprosiła za wszystko, co powiedziała podczas kłótni, i spytała, czy mogą się spotkać, żeby omówić pewne rzeczy. Wiele jato kosztowało; dla nabrania odwagi wcześniej wypila kilka drinków, ale w końcu zadzwoniła. Co jej zdaniem chyba najlepiej świadczyło o tym, że dorosła. Gideon oznajmił, że właśnie jest na jakiejś naradzie i oddzwoni później.

– Naradzie? Gideonie, jest ósma wieczór.

– Wiem. Powiedziałem, że oddzwonię.

To wszystko, żadnego ukłonu w jej stronę, żadnego „dziękuję” czy „przepraszam”. Jocasta wypila dwie następne lampki wina, wmawiając sobie, że zraniona została jego duma i dlatego trzeba go traktować ulgowo. Zadzwonił po godzinie.

Będzie w domu bardzo późno; chętnie porozmawia, ale dopiero jutro. Czy mogą się umówić na wieczór? Miał nadzieję, że Jocasta dobrze się czuje.

Młoda kobieta wzięła głęboki wdech i powiedziała „tak”.

– Świetnie – ucieszył się. – Zjemy razem kolację. Zadzwonię do ciebie. – Potem dodał: – Dziękuję za telefon.

Rozłączył się. Nagle Jocasta, niezbyt pewna, czy ma się śmiać, czy płakać, doznała olśnienia. Ujrzała wszystko wyraźnie – co jej się często zdarzało, gdy była pijana – i zrozumiała, skąd wzięły się wszystkie problemy w ich małżeństwie. Źle do niego podeszła. Za bardzo się starała. Próbowana być kimś innym, a nie osobą, w której zakochał się Gideon. To było takie proste, że aż wybuchnęła gromkim śmiechem.

Nowa Jocasta nigdy nie wspięłaby się na mur otaczający Dungarven House, żeby wdrzeć się do sanktuarium bilionera, nie potknęłaby się na własnej nodze, tańcząc podczas zjazdu, ani nie powiedziałaby mu, że źle traktuje swoją córkę. Wystarczy więc, jeśli z powrotem stanie się dawną Jocastą, a wtedy wszystko będzie w porządku. Gideon znów się w niej zakocha, a życie

stanie się zabawne. Zapelni dom swoimi przyjaciółmi, których Gideon, jak sam twierdzi, uwielbia, przemyci ich na nudne przyjęcia, a wtedy wszyscy będą mogli się śmiać i pić do nieprzytomności. Może nawet spróbuje wrócić do pracy. Wzięła prysznic, włożyła na siebie najbardziej skąpą bluzeczkę i buty na najwyższych obcasach, zadzwoniła po taksówkę i kazała się zawieźć do Kensington Palace Gardens.

– To było straszne – wyznała następnego ranka łamiącym się głosem, rozmawiając z Clio przez telefon. – Okropne. Zachowywał się z ogromnym chłodem i dystansem. Nie chciał ze mną rozmawiać. Powiedział, że jestem pijana i nawet nie miał ochoty pójść ze mną do łóżka. Tymczasem pojechałam do niego gotowa wszystko zażegnać, wyjść mu na spotkanie trzy czwarte drogi. Byłam naprawdę dobra, Clio, w organizowaniu jego przyjęć, co więcej, zgodziłam się wziąć udział w programie dla żon... słyszałaś kiedykolwiek, że w obecnych czasach istnieje coś tak absurdałnego jak program dla żon? Nie mogę uwierzyć, że taki cudowny, łagodny i życzliwy człowiek w rzeczywistości okazał się takim potworem. Jest niesamowicie staroświecki, Clio, chce mieć żonę w dawnym stylu.

Clio nie powiedziała, że sama uczestniczyła kiedyś w kilku programach dla żon, aby pomóc Jeremy'emu, ani że, jeśli wychodzi się za męża za człowieka prawie o dwadzieścia lat starszego, łatwo przewidzieć, że będzie staroświecki. Niestety, jej uwagi byłyby całkiem bezowocne.

Próbowała uspokoić i pocieszyć Jocastę, powiedziała, że może przyjechać i dotrzymać jej towarzystwa. Jocasta chwyciła się tego jak tonący brzytwy i zaprosiła Clio do siebie na noc.

– Przyjadę – obiecała Clio – ale pod warunkiem, że wszystko rozsądnie przedyskutujemy.

– Clio, próbowałam wszystko rozsądnie przedyskutować z Gideonem i nic mi to nie dało! Słowo daję, to człowiek całkowicie pozbawiony rozsądku. Zgadzam się jednak na twoje warunki. Clio spędziła z nią wieczór, starając się zachować bezstronność, zgadzając się, że, owszem, Gideon postępuje bardzo nierozsądnie, ale że z pewnością w ogromnym stopniu dostosował się do Jocasty, tylko ona tego nie widzi.

– Nie dostosował się, Clio, i na tym polega problem. On ani trochę się nie zmienił.

– Myślę, że jednak tak – zapewniła Clio – tylko ty tego nie dostrzegasz. Tak samo jak on nie dostrzega twoich prób. Byłaś w nim taka zakochana, Jocasto, niemożliwe, żeby wszystko nagle... wyparowało.

Clio potrafiła dość dokładnie wyobrazić sobie opisaną scenę: zmęczony i zniecierpliwiony Gideon kontra nadmiernie rozgorączkowana, rozemocjonowana i mocno wstawiona Jocasta, oczekująca, że mąż na jej widok będzie głęboko poruszony i wdzięczny. Nie był to najlepszy sposób na uśmierzenie kłótni małżeńskiej.

– Mam pomysł. Zadzwonię jutro rano. Nie, zadzwonię teraz... jest zaledwie dziesiąta. I zobaczę, co się wydarzy. Wtedy przynajmniej będziesz wiedziała, że próbowałam. I osobiście się przekonasz, o jaki mur się rozbijam. Rozplakała się.

– Jocasto, nie dzwoń teraz. Wypiłaś sporo wina, dlatego wczorajsza sytuacja może się powtórzyć.

– Myślisz, że jestem pijaczką, prawda? – powiedziała Jocasta z niepewnym uśmiechem na ustach.

– Nie, ale w stanie, w jakim jesteś, niczego nie osiągniesz. Chodźmy do łóżka.

Później, gdy Jocasta zasnęła wyczerpana przez miotające nią emocje, Clio wyszła na zewnątrz i zadzwoniła do Fergususa.

– Przepraszam, miałam nadzieję, że uda mi się stąd wyrwać. To okropne, Fergusie. Naprawdę uważam, że nic z tego nie będzie. Są tacy... niedobrani. Chodzi o to, że każde z nich żyje innym życiem. Mogą się kochać, ale to za mało. Fergus powiedział, że chciałby, aby w ich przypadku to wystarczyło, na co Clio odparła, że w porównaniu z Jocastą i Gideonem są wyjątkowo dobrani. Umówili się na następny wieczór.

Rankiem Jocasta zadzwoniła na wszystkie trzy telefony Gideona: domowy, komórkowy i do biura. Oświadczyła, że chce porozmawiać. Po godzinie wciąż nie miała żadnej odpowiedzi. Po następnych niespokojnych i pełnych złości sześćdziesięciu minutach zostawiła kolejną wiadomość: że jeśli Gideon nie zadzwoni, nigdy więcej się do niego nie odezwie. Zadzwonił i spytał, jak śmie mu grozić. Odłożyła słuchawkę. Po kilku godzinach odezwał się ponownie i zażądał od Jocasty przeprosin. Powiedziała, że już to zrobiła, nawet kilka razy, a jeśli on tego nie zauważył, to nie mają żadnych szans na przyszłość i powinni się rozstać. Gideon stwierdził, że to byłaby dla niego ogromna ulga i że Jocasta może wrócić do Nicka, jeśli o to właśnie jej chodzi.

– Najwyraźniej wyszłaś za mnie za mąż tylko po to, żeby Nick zgodził się jeść ci z ręki. Nie podoba mi się to, Jocasto. Nie mam zamiaru się na to zgadzać. Proszę, nie dzwoń do mnie więcej. Jocasta zatelefonowała do Clio, opowiedziała, co się wydarzyło, i stwierdziła, że to już koniec.

– Nie mogłam bardziej się starać, Clio, naprawdę. To koniec naszego małżeństwa. Zamknięty rozdział. Dzięki za wszystko i proszę, nie mów nikomu. Teraz nie będziesz już musiała mi pomagać. Przepraszam.

Clio wciąż nie traktowała całego zajścia zbyt poważnie; prawdę mówiąc, nie mogła uwierzyć w absurdalność sytuacji: dwoje dorosłych ludzi zachowywało się jak para małych, wyjątkowo rozkapryszonych dzieciaków. Rozeszli się trzy miesiące po ślubie! To śmieszne. Na pewno jeszcze do siebie wrócą. Fergus miał więcej wątpliwości, kiedy mu o wszystkim powiedziała.

– Obserwowałem Gideona, kiedy przeżywał dwa poprzednie rozwody. Gdy dojdzie do wniosku, że został oszukany, staje się uparty jak osioł. Próba nakłonienia go do zmiany stanowiska przypomina odpychanie łokciem Gibraltaru.

– Fergusie, Gideon nie został oszukany, jak to ująłeś, Jocasta nic nie zrobiła... po prostu była sobą.

– Opuściła jego dom. Dla niego to niewybaczalny błąd.

– Będzie myślał, że go zdradziła? Ależ ona tego nie zrobiła.

– Nie, przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Z pewnością gadki na temat Nicka to tylko zasłona dymna. W rzeczywistości boli go, że się do niego nie dostosowała. W stu

procentach. Tego oczekiwał. Jak każdy człowiek o wysokim statusie, Clio. Powinnaś się cieszyć, że nie jestem bogaty i wpływowy.

Clio powiedziała, że nie miałyby nic przeciwko temu, i pożegnała się z nim ze smutkiem. Przypomniała sobie własne próby utrzymania małżeństwa i fakt, że nic jej to nie dało, więc może lepiej, że małżeństwo Jocasty się rozpadło. Bardziej przypominało bajkę, próbę samooszukiwania się i pogoń za niespełnionymi marzeniami. Czy w zderzeniu z prawdziwym życiem mogło przetrwać dłużej niż kilka tygodni?

Od kilku dni Grace prawie nic nie jadła; Peter zauważył, że harmonogram dnia jego żony ulegał zdecydowanej zmianie. Rano leżała w łóżku prawie do jedenastej, potem wstawiała i robiła w domu tylko to, co niezbędne. Kiedy on jadł lunch, który sam sobie przygotował, Grace wypijała filiżankę herbaty, potem odpoczywała, wieczorem podawała symboliczną kolację, podczas której jadła zaledwie kilka kęsów, a po niej kładła się z powrotem do łóżka. Prawie nie rozmawiała z Peterem, odgrodziła się murem samotności i milczenia.

Pomimo modlitw o wskazówki Peter złapał się na tym, że zaczyna mieć do żony urazę.

– Powiedz mi, co jest grane – poprosił Nat. – Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

Zadzwoił do Kate, żeby spytać, czy nie wybrałyby się z nim na miasto; odparła, że raczej nie.

– Poza tym nie mogę ci powiedzieć, co jest grane, bo sama nie wiem. Po prostu jest gorzej niż poprzednio...

– O czym ty mówisz?

– O tym, że nic nie wiem o swojej mamie. Zanim ją znalazłam, przynajmniej mogłam mieć nadzieję.

– Na co?

– Że ją polubię. Jak się okazało, nie przypadła mi do gustu.

– Przecież nie wiesz, jaka ona była, nie sądzisz? Spotkałaś ją tylko raz.

– Tak. I pamiętasz, jak to się skończyło? Teraz odeszła, a ja nigdy nie dowiem się niczego na jej temat, nie będę wiedziała, dlaczego to zrobiła... i w ogóle. Nie dostanę żadnych odpowiedzi, Nat, a dręczy mnie coraz więcej pytań. Robi mi się od tego niedobrze!

– Dlatego nawet nie chcesz wybrać się do kina? Grają Matrixa, spodoba ci się.

– Nie – zaprzeczyła z westchnieniem. – Nie sądzę, Nat. Idź beze mnie. Poza tym odrzuciłam kontrakt i w ogóle. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Przecież nie chciałaś tego robić.

– Wiem, ale przeraża mnie myśl, że odrzuciłam trzy miliony dolarów.

– Wcale mnie to nie dziwi – przyznał Nat, czując, że ciarki przechodzą mu po krzyżu.

Kate wyszła do ogrodu. Helen podlewała róże.

– Cześć, mamó.

– Cześć, kochanie. Czujesz się choć trochę lepiej?

– Nie bardzo. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Aleja wiem. Za dużo przeżyć, to wszystko. Znalezienie matki, spotkanie z nią, potem to, co jej się przydarzyło, do tego obawy o kontrakt. Dorosły człowiek by sobie z tym nie poradził, a cóż dopiero ktoś w twoim wieku.

– Taak, pewnie tak. Mam również wyrzuty sumienia, jeśli chodzi o Nata. Jest taki dobry, a ja po prostu nie potrafię być dla niego... miła. Nie potrafię w niczym dostrzec... żadnych pozytywów.

– Za jakiś czas będzie lepiej – zapewniła Helen. – Naprawdę. Przynajmniej mam nadzieję. – Uśmiechnęła się do Kate. – Brakuje mi go. Jego i jego taty.

Kate uśmiechnęła się i objęła matkę ramieniem.

– Dzięki, mamo. Jesteś wspaniała. Nie wiem, co ja bym... cholera, jeśli to znowu Nat, powiedz mu, że śpię, albo wymyśl coś innego. Ciekawe, czemu dzwoni na telefon stacjonarny. Czasem potrafi być strasznym dupkiem.

– Nie klnij, kochanie – powiedziała Helen bez szczególnego przekonania.

Nick się pakował; parlamentarzyści wyjechali na wakacje, a on wybierał się na dwa tygodnie do rodziców. Robił to co roku i nie widział w tym nic dziwnego: jego przyjaciele nurkowali na Malediwach, żeglowali wzdłuż wybrzeży Irlandii albo przemierzali Himalaje. Nick z prawdziwą przyjemnością pomagał na farmie, wylegiwał się w ogrodzie, jeździł na rowerze po wzgórzach Somersetu, organizował pikniki dla małych siostrzeńców i bratanków, rozmawiał z braćmi i siostrami, a po kolacji ogrywał wszystkich w monopol albo tryktraka. Twierdził, że to lubi, więc po co udawać, że chce robić coś innego? Jeśli chodzi o plany wakacyjne, wszyscy przyznawali, że Nicholas Marshall jest jedyny w swoim rodzaju.

Z półki w swojej sypialni ściągnął starą skórzaną torbę i wyrzucił jej zawartość na łóżko. Zawsze bardzo lubił tę chwilę, bo nigdy po powrocie z takiej czy innej wyprawy służbowej – zazwyczaj były to podróże śladami różnych polityków – nie zadawał sobie trudu, by do końca się rozpakować. To, co wypadło tego wieczoru, stanowiło pozostałość po wiosennym wyjeździe do Waszyngtonu i niczym nie różniło się od drobiazgów wyrzuconych z torby przy innych podobnych okazjach. Kilka przeczytanych do połowy książek w miękkich okładkach, trzy amerykańskie gazety, parę paczuszek gumy do żucia – przeznaczonych dla Jocasty, która jak zwykle co dwa lata próbowała rzucić palenie – para skarpetek, dzięki Bogu czystych, i prezent od ojca, złote spinki do koszuli. Dobrze, że saj Nick myślał, że je gdzieś zgubił. Było jeszcze nowiutkie pudełko, a w nim magnetofon – prezent od Jocasty na tamtą wyprawę.

– To dobry, nowoczesny sprzęt. Stary grat, którego wciąż używasz, pewnego dnia przestanie działać, prawdopodobnie podczas wywiadu z Billem Clintonem – zażartowała.

Nick nigdy nie używał nowego, wolał stary, bo był wypróbowany i niezawodny. Podziękował Jocaście za prezent, ale z niego nie skorzystał.

Nowy magnetofon był bardzo ładny, czterokrotnie mniejszy od starego i miał maleńkie kasety. Na jednej z nich była naklejka:

„Puść mnie”. Nick, wiedziony ciekawością, wsunął ją do odtwarzacza i nacisnął „play”.

Rozległ się głos Jocasty.

– Witaj, Nick. Mówi twoja oddana... hm, bardzo oddana dziewczyna, która życzy ci bon uoyage, bonne chance i tego typu rzeczy. Baw się dobrze, ale nie za bardzo, i nie zapomnij o batonikach Hershey. (Oczywiście, zapomniał). Bardzo, bardzo cię kocham i dziękuję za wczorajszy cudowny wieczór. Wspaniałą kolację i całą resztę. Całuski.

Nick puścił nagranie raz i drugi. Przyszło mu na myśl, jak dobrze ta taśma oddaje charakter Jocasty – jest słodka, zabawna i pełna miłości. Bardzo ją kochał. Wciąż ją kocha. Niestety, podczas ostatniego spotkania nie był dla niej zbyt miły. Jeszcze gorzej się zachował, gdy odsyłał jej rzeczy. Nawet nie chciał myśleć, że tak ogromna miłość mogła już na zawsze zamienić się w chłód i dystans.

Wziął do ręki telefon i wybrał numer Jocasty. Młoda kobieta leżała w łóżku i użalała się nad sobą. Miała za sobą długi, samotny weekend. W sobotę wieczorem zamówiła przez telefon curry; był to jej pierwszy posiłek od wielu dni, więc dosłownie go pochłonięła, popiła butelką jakiegoś cierpkiego czerwonego wina, a na koniec uraczyła się lodami, które polala roztopionym batonikiem Mars. Był to jej ulubiony deser. Niezależnie od tego, czy powodem było curry, zbyt szybkie jedzenie czy wino, przez całą noc i większość niedzieli fatalnie się czuła; dopiero teraz jej stan powoli zaczynał się poprawiać, choć nadal dokuczała jej samotność.

Dlatego głos Nicka zabrzmiał w jej uszach milej niż kiedykolwiek w życiu.

– Cześć – odezwała się ostrożnie – bardzo się cieszę, że cię słyszę.

– Witaj, Jocasto. Postanowiłem... zadzwonić i sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Oczywiście. Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

– Masz trochę... zmęczony głos.

– W sobotę wieczorem zjadłam curry i paskudnie się strułam.

– Przykro mi. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że curry może się znaleźć w jadłospisie pani Keeble.

– Nie... normalnie się nie znajduje, ale Gideon... właśnie wyjechał, a ja miałam ochotę na indyjską kuchnię. No wiesz.

– Tak, wiem. Za dawnych czasów po curry jadałaś lody z roztopionym marsem.

– Tym razem też tak zrobiłam – powiedziała bez zastanowienia.

– Jocasto! Czyżby twoja służba miała wolny wieczór?

– O czym ty mówisz? Och... tak, tak. Miała. Hm... gdzie jesteś, Nick?

– Pakuję się. Wyjeżdżam na dwa tygodnie do Somersetu. Przy okazji w swojej torbie znalazłem magnetofon, który mi dałaś.

– Och... pamiętam. Miałam nadzieję, że ci się przyda. Widocznie się myliłam, skoro wciąż jest w twojej torbie.

– Przydał się, jasne, że się przydał. Przesłuchałem... przesłuchałem taśmę, którą wtedy dla mnie nagrałaś. To znaczy przesłuchałem ją ponownie. Jest bardzo słodka, więc postanowiłem ci podziękować.

Doskonale pamiętała tamto nagranie. Chciała wtedy, żeby miał coś od niej. Przypomniła sobie dokładnie, jak nagrywała kasetę i jak mu ją przekazała, bo była to ostatnia wyprawa Nicka za granicę tuż przed dramatem związanym z Centrem Forward, Gideonem, Kate i Marthą. Boże, to było rok temu! Niecały rok temu. Jocaście wydało się, że minęło pięć lat. Wtedy postanowiła sprezentować mu na pożegnanie magnetofon. Wcześniej wybrali się na miasto, ale Jocasta, jak zwykle, wypila za dużo wina i bardzo rozpaczała, że Nick wyjeżdża. Potem wrócili do domu i pokochali się jak nigdy przedtem, więc całkowicie zapomniała o magnetofonie. Dopiero nazajutrz znalazła go w swojej torebce, wskoczyła na rower i zawiozła prezent Nickowi do biura. Wcześniej coś mu nagrała na jednej kasecie.

– Nie ma za co – powiedziała, uśmiechając się na to wspomnienie.

– Powiedz... gdzie jesteś?

– W... domu – odparła bez zastanowienia.

– W Wielkim Domu?

– O... oczywiście.

– Naprawdę dobrze się czujesz?

– Naprawdę. Dlaczego miałabym źle się czuć?

– Podczas naszego ostatniego spotkania nie byłeś w najlepszym nastroju.

– Wiem, ale bardzo wzięłam sobie do serca twoje słowa... to były najmądrzejsze rady, jakie w życiu słyszałam. Dzięki tobie teraz jestem nie tym samym człowiekiem, uczę się, jak być dobrą żoną i...

– Cieszę się, że tak dobrze na ciebie wpłynąłem. I co? Jesteś szczęśliwa?

– Bardzo – zapewniła. – Dziękuję. Och... zaczekaj chwileczkę, ktoś dzwoni do drzwi. Zaraz wracam.

Nick siedział i czekał; słyszał dobiegający ze słuchawki ruch uliczny, syrenę policyjną i słowa Jocasty: „Tak, to dla mnie, dziękuję. Czy mam coś podpisać? Świetnie. Proszę”. Potem drzwi trzasnęły, a ona wróciła, stukając o drewnianą podłogę... Drewniana podłoga? Odgłosy ruchu ulicznego? Co to ma wszystko znaczyć? I dlaczego Jocasta osobiście otwiera komuś drzwi?

– Gdzie jesteś, Jocasto?

– Mówiłam ci, że...

– Wiem, co mówiłaś – przerwał jej – ale jakoś nie przypominam sobie, żeby w Kensington Pałace Gardens słychać było ruch uliczny. Wydaje mi się również, że to służba powinna odbierać ewentualne przesyłki. Poza tym pamiętam, że wszędzie leży mnóstwo dywanów, a od drzwi wejściowych do pierwszego pokoju jest bardzo daleko.

Zapadła cisza, potem Jocasta oznajmiła:

– Jestem w Clapham. Właśnie... przyszłam zabrać kilka rzeczy.

– W takim razie czemu mnie okłamałaś?

– Sama... nie wiem. Wydawało mi się, że tak będzie prościej.

– Co się stało, Jocasto? Proszę, powiedz.

Nie mogła pozwolić, żeby przyjechał do Clapham, bo to byłoby zbyt niebezpieczne. Zaproponowała, żeby spotkali się w Queen Mary's Rose Garden w Regent's Park. Za dawnych czasów to było ich ulubione miejsce, zwłaszcza że znajdowało się w połowie drogi między domami Jocasty i Nicka. Kiedy młoda kobieta spojrzała na swojego byłego chłopaka, który siedział na ławce, wyciągając długie, chude ciało w promieniach słońca i nie zważając, że niesforne włosy wpadają mu do oczu, uświadomiła sobie, że z każdym dniem coraz bardziej za nim tęskni, chociaż to nie jest zbyt rozsądne. Usiadła obok niego, a on pocałował ją na powitanie.

– Tyle mi wolno?

– Naturalnie.

Uśmiechnęła się do niego i nie kryjąc emocji, w dużym skrócie opowiedziała, co się wydarzyło.

– Tylko, Boże broń, nie myśl, że się skarżę – zastrzegła ostrożnie.

– Wiem, że w znacznej mierze to była... to jest moja wina. Bardzo duża wina. Pozostaje faktem, że nasze małżeństwo się nie sprawdza... przynajmniej w tej chwili. Chociaż może jeszcze uda się uratować. Mam taką nadzieję.

Oczywiście, kłamała. Od pewnego czasu przestała wierzyć, że są jeszcze jakieś szanse. Po prostu nie chciała mówić o tym Nickowi, bo mógłby pomyśleć, że Jocasta rzuca mu się na szyję i chce do niego wrócić.

Nick był naprawdę cudowny, nie robił jej żadnych wyrzutów. Powiedział, że za nic w świecie nie chciałby być przyczyną rozpadu jej małżeństwa; że bardzo chce zostać na zawsze jej najlepszym przyjacielem i że niewiarygodnie za nią tęskni.

– Ja też za tobą tęsknię – rzuciła beztrąsko – dlatego, zgoda, zostanmy przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi. Wstała, uśmiechnęła się do niego i oznajmiła:

– Muszę wracać.

W tym momencie nagle potwornie zakręciło jej się w głowie, jakby miała zemdleć; prawdopodobnie z powodu emocji, gwałtownych, sprzecznych uczuć, i faktu, że od rozstania z Gideonem nic nie jadła, jeśli nie liczyć zwróconego curry. Zatoczyła się i nie była w stanie dobrać do wyjścia z ogrodu. Musiała z powrotem usiąść i opuścić głowę między kolana. Potem, co wydawało się całkiem logiczne, szybko dojechali do samochodu Nicka i pojechali do jego mieszkania. Po drodze mężczyzna kupił coś do jedzenia, zwyczajne, pożywne artykuły: jajka, chleb, wodę Vichy – „bo ma dużo minerałów”. W domu przyrządził Jocaście omlet, tost, a potem... nagle zdali sobie sprawę, że są sami w jego mieszkaniu, i chociaż Jocasta bardzo się starała, nie mogła oprzeć się emocjom. Powiedziała, że musi iść. Wtedy on dziwnie słodkim głosem stwierdził, że przede wszystkim nie powinna go opuszczać i że wciąż nie bardzo rozumie, dlaczego to zrobiła. Ze złością przypomniała mu, co było powodem.

– Kochałem cię – wyznał. – Bardzo.

– A skąd ja to miałam wiedzieć?

– Wciąż ci powtarzałem.

– Tylko jakoś nigdy nie okazywałaś! – krzyknęła. – Nigdy!

– Nie zgadzam się z tobą, to śmieszne! – zaprotestował. – Zresztą wtedy nie mogłem ci tego okazać, przynajmniej nie tak, jak chciałaś. Nie wiedziałem... – Urwał.

– Czego nie wiedziałaś? – spytała.

Nie odpowiedział; odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Wtedy Jocasta nagle poczuła się tak jak za dawnych czasów.

Miała tego dosyć, więc oświadczyła ze znużeniem:

– Muszę już iść.

– Tak, chyba rzeczywiście powinnaś. Wezwę taksówkę. Bardzo... bardzo przepraszam, Jocasto. Za wszystko. Mam nadzieję, że jeszcze będziesz szczęśliwa w tym małżeństwie.

– Dziękuję – powiedziała.

– Czy mogę pocałować cię na pożegnanie? Przez wzgląd na dawne czasy?

– Ale tylko przez wzgląd na dawne czasy.

Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, ale jakimś cudem odrobinę przesunęła głowę i jego usta napotkały jej wargi. Potem... potem wszystko naprawdę zdarzyło się przez przypadek. Jocasta nie miała pojęcia, jak do tego doszło: zakręciło jej się w głowie i było jej słabo, a chwilę później poczuła przyływ niezwyklej energii i pewności. Nick stał obok niej, a ona tak bardzo go pragnęła, że naprawdę musiała go mieć. Wyczuł to... jakoś wyczuł i uśmiechnął się, zwłaszcza że on również jej pragnął.

Nim dotarli do sypialni, byli nadzy. Jocasta rzuciła się na łóżko, wyciągnęła do Nicka ręce i bez przerwy powtarzała jego imię. Słyszała, jak on wymawia jej. Oboje zapewniali gorączkowo: „Pragnę cię, tęsknię za tobą, kocham cię”. Potem Nick zaczął obsypywać ją pocałunkami: po szyi, piersiach, brzuchu, udach, ona jego również. Przytulała się, pragnęła go, a rosnące pożądanie popychało ją do dalszego działania. Położyła się na nim, poruszyła, a potem rozpląnęła się i zmiękała. Krzyknęła, gdy czuła zbliżający się orgazm. Potem usiadła na nim i poruszała się w górę, w dół i na boki, jakby pędziła przez ciemny, cudowny tunel, dążąc w stronę znajdującego się na końcu światelka. Czuła, że jest coraz wyżej, nabiera sił, walczy, aż w końcu osiąga zdumiewający, wymarzony szczyt. Krzyknęła tryumfalnie, potem poczuła, że Nick przyłącza się do niej. Ogarnęło ją tak błogie ciepło i spokój, że cały świat przestał się liczyć.

– Co teraz? – spytał, przyglądając jej się czule swoimi brązowymi oczami.

– Bóg jeden raczy wiedzieć – odparła i szczęśliwa zasnęła. Clio w końcu powiedziała Fergusowi o Joshu. O Joshu i Kate. Kiedy skończyła, przyznał:

– Masz rację. Jesteś bardzo dociekliwa. Wszystko od początku było widoczne jak na dłoni. Przez cały czas prawda sama rzucała się w oczy.

– Tak, tylko, Fergusie, teraz nie wiem, co robić. Po prostu nie wiem. Niezależnie od tego, jak postąpię, na pewno wytrącę Josha z równowagi...

– Na twoim miejscu nie martwiłbym się zbytnio o niego. Jest dorosłym facetem, a zachowuje

się jak rozkapryszony bachor.

– Nie mów tak, Fergusie! Może istotnie Josh jest rozkapryszony, ale jednocześnie bardzo miły. Poza tym pomyśl, co to może oznaczać dla biednej Beatrice i ich raczej dość burzliwego małżeństwa.

– Rzeczywiście.

– Z drugiej strony uważam, że Kate ma prawo wiedzieć, kto jest jej ojcem. Zwłaszcza teraz to by jej bardzo pomogło. Jest taka... zagubiona i przygnębiona. Śmierć Marthy tylko pogorszyła sprawę. Dlatego sama nie wiem, co mam zrobić. Czuję się tak, jakbym trzymała w ręku bombę zegarową a Jocasta właśnie... hm... prawdę mówiąc, nie wiem, co zamierza. Jest w dość dziwnym stanie. Zamiast dotychczasowego smutku widzę w niej niezrozumiałe podekscytowanie. W jednej chwili mówi, że chce się rozwieść, potem zapewnia, że nie, a przynajmniej że jeszcze nie teraz.

– W tej sprawie żadne z nas nic nie może zrobić – rozstrzygnął Fergus. – Musisz po prostu zaczekać z wyjawieniem sprawy Josha. Jego ojcostwo było tajemnicą przez wiele lat, więc kilka tygodni zwłoki nie będzie miało żadnego znaczenia. Masz rację, że poznanie prawdy przypuszczalnie pomogłoby Kate. Na pewno nadejdzie odpowiednia chwila.

Zawsze nadchodzi.

– Mam nadzieję – wyznała zgnębiona Clio. – Nie mogę już tego wszystkiego znieść.

Jocasta pożegnała się z Nickiem i poszła do domu. Nie protestował ani nie próbował jej zatrzymać. To, co się wydarzyło, było dość niepokojące.

Popołudnie spędzone w jego mieszkaniu przypominało sen – chwilami Jocasta myślała, że wszystko sobie wyobraziła. Nick był tak samo niekonkretny i irytujący jak zwykle: gdyby oczekiwała od niego jakiegoś jednoznacznego zobowiązania, bardzo by się zawiodła.

Powiedział jej tylko, że nigdy nie przestanie jej kochać, że zawsze może na niego liczyć, że pozostanie jej wiernym przyjacielem, ale potem oboje uznali, że najlepiej będzie, jeśli Nick zgodnie z planem pojedzie do rodziców, a Jocasta wróci do Gideona.

– Do Wielkiego Domu?

– Jasne. Przyślę ci pocztówkę – obiecał. – Wiem, że bardzo lubisz dostawać kartki.

– Dziękuję.

– Uważam również, że nie ma żadnej potrzeby pochopnego wyznawania grzechów ani niczego w tym rodzaju.

– Zgadzam się z tobą – przyznała, udając rozbawioną. – To była po prostu... cudowna, choć niezbyt grzeczna zabawa.

Gdy jednak wróciła do domu do Clapham, odtworzyła w pamięci wszystko, co się stało, i przemyślała słowa Nicka, poczuła się tak bardzo zawiedziona, że z trudem mogła to znieść. Na pewno kilka dni później jej nastrój znacznie by się poprawił, gdyby mogła usłyszeć, jak Nick bez końca rozmawia ze swoim ulubionym bratem, mówi mu, że nadal ubóstwia Jocastę, wręcz kocha ją bardziej niż kiedykolwiek, chociaż wyraźnie powiedziała, że wciąż ma nadzieję na uratowanie

swojego małżeństwa, i że za nic w świecie nie chciałby jej tego uniemożliwić.

– Grace, kochanie, zjedz coś.

Peter Hartley spojrział na nietkniętą tacę ze śniadaniem. Musiał wyjść rano, żeby odwiedzić kilku parafian, ale wcześniej przygotował żonie śniadanie: muesli, jogurt, owoce – wszystko, co lubiła, i to w niewielkich porcjach.

– Nie mogę. To bardzo miłe z twojej strony, ale nie mam na nic ochoty. Proszę, zabierz to.

Z rozdrażnieniem odsunęła tacę, położyła się i naciągnęła kołdrę na głowę. Peter zabrał śniadanie.

Janet Freań również nie jadła zbyt dużo, ale to na razie wystarczy, jak zapewnił jej lekarz tego ranka podczas rozmowy z Bobem.

– Nie musi dużo jeść. Proszę się nie martwić, wszystkiego pilnujemy.

Twierdził, że Janet naprawdę dobrze się spisuje. Już kilkakrotnie spotkała się ze szpitalnym psychiatrą, który przepisał jej lekarstwa, indywidualne sesje z nim lub z którymś z jego kolegów, a gdy poczuje się lepiej, może w grę wchodzić również terapia grupowa.

– Często ludziom pomaga, gdy mogą wysłuchać opowieści o problemach innych – wyjaśnił psychiatra Bobowi.

Bob odparł, że chyba nikt nie ma bardziej skomplikowanych i przerażających problemów niż Janet, na co lekarz poklepał go tylko po ramieniu.

– W takim razie bardzo się pan myli.

– Czy coś panu powiedziała?

– Na razie niewiele. Niestety, w tej chwili nie mam czasu, żeby szerzej porozmawiać z panem na ten temat, ale proszę się nie martwić, pańska żona wcale nie jest przypadkiem beznadziejnym. Zapewniam pana.

Oni niczego nie rozumieją – pomyślała Janet, leżąc w łóżku po wyjątkowo wyczerpującym ataku wściekłości, podczas którego prawie pobiła swoją terapeutkę. Prawdopodobnie nie powinna tego robić, ale lekarka potwornie zdenerwowała Janet, opowiadając jej jakieś uspokajające brednie. Oni absolutnie niczego nie rozumieją.

Nikt jej nie rozumie. Wszyscy myślą, że załamała się z powodu Marthy Hartley, ale to nieprawda. Oczywiście, przykro jej, że prawniczka zginęła, nawet odczuwa pewne wyrzuty sumienia, ale nie takie, jak sądzą inni. Sekret Marthy i tak wyszedłby na jaw; był zbyt wielki, zbyt niebezpieczny, by liczyć, że koncentryczne koła, które Martha tak starannie budowała wokół siebie przez całe życie, będą ją chronić bez końca. Wcześniej czy później jakieś następne wydarzenie zburzyłoby mur ochronny i spowodowało wybuch. Niestety, gdyby prawda wyszła na jaw, Martha z pewnością nie mogłaby liczyć na szczęśliwe zakończenie. Jej kariera, życie osobiste i szanse w świecie polityki ległyby w gruzach. Tak więc można powiedzieć, że Janet w pewnym sensie wyświadczyła jej przysługę.

Żona Boba targnęła się na swoje życie dlatego, że wszystko, nad czym od dawna pracowała, na co liczyła i z powodu czego tak bardzo ryzykowała, teraz na zawsze zniknęło z jej pola

widzenia. Bezwrotnie. Nigdy już tego nie odzyska. Nawet jeśli Centré Forward przetrwa, jego przywódcą zostanie Jack, a na swojego zastępcę wyznaczy pewnie Chada.

Jeśli nowa partia zniknie ze sceny politycznej, Janet na pewno nie będzie mogła wrócić do torysów. Nawet gdyby konserwatyści mieli innego przywódcę, który potrafiłby właściwie ocenić wartość Janet, obecnie ich boginią była Theresa May. To ona dostała funkcję albo jedną z funkcji, o których tak marzyła Janet. Teraz pani Freaan już na zawsze zostałaby szeregowym członkiem partii, naznaczonym piętnem nielojalności, niesolidności, piętnem osoby której nie można ufać.

Janet pomyślała o Chadzie i Eliocie Griersie oraz ich żalostnej męskiej arogancji. Na chwilę ich przechrzyła, zaczęła powolutku niszczyć ich kariery, podkopywać wiarygodność w oczach Kirklanda. Niestety, to jednak nie wystarczyło, teraz w czasie jej nieobecności będą mogli ją pokonać. Znacznie większym szacunkiem darzyła Kirklanda; co prawda, póki on był u władzy, mogła najwyżej liczyć na stanowisko wiceprzewodniczącej, ale właściwie to by ją satysfakcjonowało. Nawet mogłaby uznać tę funkcję za zwycięstwo, duże zwycięstwo. Zważywszy na to, że jest kobietą. Pozbyła się Marthy. Teraz trzeba tylko wykluczyć z gry Mary Norton, co będzie całkiem proste, wystarczy kilka razy wspomnieć mimochodem ojej przyjaciółkach lesbijkach, a elektorat zacznie się wahać. Potem na pewno znajdzie się coś innego. Hmm, może w takim razie jeszcze nie wszystko stracone? Kto wie? Wciąż może wrócić. Może. I wróci...

– Pani Freaan zasnęła – doniosła pielęgniarka psychiatrze dziesięć minut później. – Środek uspokajający zadziałał. Dam znać, jeśli coś się zmieni.

Ludzie ze Smith Cosmetics podziękowali Fergusowi za emaila i poinformowali go, że zaczną szukać innych młodych dziewcząt. Jeśli, co mało prawdopodobne, nie uda im się znaleźć kogoś innego, skontaktują się z nim ponownie na wypadek, gdyby Kate zmieniła zdanie. Może wtedy nastąpić niewielka korekta w warunkach finansowych, natomiast nie przewidują żadnych odstępstw w reklamowej stronie kontraktu, czyli części, która najbardziej niepokoiła Kate.

– Jak pan dobrze wie, prasa sama decyduje, jakie materiały i zdjęcia publikować.

To bardzo przyjazna i uprzejma odpowiedź – pomyślał Fergus – zważywszy na to, że stracili przez Kate dużo czasu i pieniędzy, dowód, jak bardzo im na niej zależało.

Wciąż im zależy. Trochę go to pocieszyło. Wszystko może się jeszcze zmienić. Fergus był wiecznym optymistą.

Clio spędziła niedzielę z Jocastą. Dziennikarka wciąż pozostawała w dziwnym nastroju i przeżywała huśtawkę emocjonalną: raz była nadmiernie podekscytowana, drugi raz – skora do łez. Twierdziła, że zastanawia się, co dalej ze sobą zrobić: może wróci do pracy, a może zajmie się zupełnie czymś innym. Naciskana, powiedziała wymijająco, że kusi ją handel nieruchomościami i projektowanie wnętrz. Clio poparła pomysł przyjaciółki; wiedziała, że nie ma sensu się z nią spierać, zwłaszcza że była głucha na wszelkie argumenty.

Lekarka przyjechała z nadzieją, że uda jej się doprowadzić do ugody. Myślała, że Jocasta

wciąż tego pragnie, dlatego próbowała tłumaczyć, żartować i odwoływać się do zdrowego rozsądku. W końcu zrozumiała, że nastąpił poważny impas. Poprzedniego dnia doszło do następnej przykrej kłótni; Gideon zażądał, żeby Jocasta spotkała się z nim i rozsądnie porozmawiała na temat ich przyszłości, na co odparła, że nie da się rozsądnie porozmawiać z osobą tak nierozsądną jak Gideon. Każda kolejna konfrontacja była gorsza od poprzedniej i sprawiała, że wcześniejsza rozmowa wydawała się całkiem miłą wymianą poglądów. W środku swojej opowieści Jocasta wybuchnęła płaczem, ale gdy lekarka spytała, o co właściwie chodzi, dziennikarka powiedziała, że nie może o tym mówić. Wciąż dużo, o wiele za dużo piła i paliła, nie spała i nie potrafiła zająć się niczym na dłużej niż pięć minut; za to bez końca opowiadała o Gideonie i jego wadach. W końcu Clio poddała się i powiedziała, że musi wracać do domu.

– Och, proszę, nie jedź – błagała Jocasta.

Przed chwilą rozmawiała z kimś przez telefon, a z każdym zdaniem w jej głosie słychać było coraz więcej agresji.

– To był Josh. Wybiera się do mnie. Uważa, że, jak to ujął, „może mi pomóc zrozumieć pewne sprawy”. Specjalista od udanych małżeństw, przykład dla wszystkich.

Clio westchnęła.

– Prawdę mówiąc... ja zawiodłam, może rzeczywiście on zdoła pomóc.

– Nie pomoże. I to nie ty zawiodłaś, lecz małżeństwo.

– Jocasto, muszę już iść. Jutro od wczesnego rana mam dyżur w przychodni, a jeszcze dziś wieczorem, przed powrotem do domu, bardzo chciałabym zobaczyć się z Fergussem.

– Ależ z ciebie szczęściara! Trafił ci się całkiem normalny i stabilny związek – powiedziała Jocasta z tęsknotą w głosie. – Och, Clio, nie jedź! Nie możesz mnie zostawić z Joshem; on mnie tylko zdenerwuje. Zostań, pojedziesz jutro rano. Zawsze mówisz, że dojazd stąd jest taki łatwy. Proszę, Clio.

Clio westchnęła.

– Nie, Jocasto. Nie mogę.

– Możesz, przecież mnie nie zawiedziesz, prawda? Jesteś moim aniołem, naj lepszą przyjaciółką..

Clio zastanawiała się, co by Jocasta powiedziała, gdyby знаła prawdziwy powód jej niechęci do spotkania z Joshem. Oczywiście została. Nigdy nie wiedziała, jakim cudem Jocaście udaje się przekonać ludzi, żeby spełniali jej pragnienia, w jaki sposób używa swojej niezłomnej woli, uroku osobistego i niesłuchanej determinacji. Dlatego, jak Clio przypuszczała, nawet Gideon nie zdołał się jej oprzeć. Czyż w innym przypadku zgodziłby się na ślub po trzech tygodniach znajomości? Pozostawało faktem, że trudno było odmówić Jocaście. Clio też się to nie udało, dlatego siedziała w salonie przyjaciółki i starała się nie zerkać zbyt często na zdjęcia leżące na stole. W tym czasie Jocasta zamawiała coś przez telefon z tajskiej restauracji.

– Nic nie jadłam przez cały weekend, teraz nagle zgłodniałam. Mam nadzieję, że się nie pochoruję jak po curry.

Josh pojawił się prawie z godzinnym opóźnieniem, więc tajskie jedzenie zdążyło już wystygnąć, poza tym wcale nie było dobre. Clio dziobała w nim z niechęcią, czekając, kiedy w końcu Josh przestanie powtarzać Jocaście, że jest niedojrzała i niepraktyczna. Lekarka zastanawiała się, co ona tu właściwie robi.

– Chodzi o to, Jocasto – mówił właśnie – że małżeństwo jest prawie niemożliwe do utrzymania nawet wtedy, kiedy człowiek bardzo się stara, a jeśli w ogóle tego nie robi, może od razu o wszystkim zapomnieć.

– Przecież to właśnie robię – powiedziała Jocasta. – Albo przynajmniej próbuję.

– Sądziłem, że kochasz Gideona.

– Bo go kocham. Przynajmniej tak mi się wydaje. Niestety, nie mogę z nim żyć; to potwór, który prowadzi koszmarne tryb życia. Powinnam zauważyć to wcześniej.

– Ale to bardzo miły człowiek – zapewnił Josh. – Dobry, zyczący i naprawdę cię uwielbia. Na tym powinnaś się skoncentrować, Jocasto. Beatrice wciąż to powtarza.

– Co Beatrice powtarza? – spytała Jocasta zwoźniczo łagodnym tonem.

– Że w małżeństwie zazwyczaj nie dostrzega się rzeczy dobrych, tylko złe. Dlatego większość ich się rozpada.

– Twoje prawie się rozpadło dlatego – wyjaśniła Jocasta – że nie umiałeś dochować wierności Beatrice, a uratowała je jej cudowna umiejętność wybaczenia. Mam dla ciebie dobrą radę: nie próbuj pracować jako terapeuta, dobrze?

– Przestań chrzanić! – burknął Josh, oblewając się pasem. – Tylko próbuję ci pomóc. Nie mogę znieść, że oboje unieszczęśliwiacie się nawzajem.

– Wiem i jestem ci bardzo wdzięczna – zapewniła Jocasta, nagle czując wyrzuty sumienia – ale prawdę mówiąc, kiepsko się spisujesz. Może lepiej porozmawiajmy o czymś innym. Co masz w torbie?

– Znalazłem swoje zdjęcia z Tajlandii. Były na dnie szuflady, razem z moimi aparatami fotograficznymi. Przyszło mi na myśl, że może będziesz chciała je obejrzeć.

– Chętnie – podchwyciła Jocasta. – Chodź, Clio, uprzątnijmy stół. Zaczął wyjmować nieuporządkowane pliki zdjęć, fotki parującej dżungli na północy kraju, słoni, małp, wysokogórskich wiosek, słodkich, uśmiechniętych dzieci; świątyń, pałaców, pachliwych targów i kanałów Bangkoku.

– O Boże! Patrząc na nie, wciąż czuję tamtejsze zapachy – powiedziała Clio.

Kilka zdjęć przedstawiało chaos panujący na Khao San Road i chłopców z Pat Pong.

– Najwyraźniej im się spodobałeś. Spójrz, jak się popisują! – zawołała Jocasta.

Nie zabrakło też różnorodnych łodzi na rzece, poszczególnych wysp, ciągnących się bez końca białych plaż, zielonych wzgórz, wodospadów, jezior, palm pochylających się z wdziękiem nad wodą, stromych urwisk, jaskrawych kwiatów, świątyń, Wielkiego Buddy.

– Kochany, stary Wielki Budda – westchnęła Clio. – Wciąż czasami o nim myślę. Pamiętam, jak siedział i przez cały czas śledził człowieka wzrokiem. O rety! Co za wspańska wyprawa

ścieżką wspomnień! Znow czuję się, jakbym miała osiemnaście lat. Potem pojawiły się zdjęcia ludzi, scenki, które wszyscy dobrze pamiętali.

– Spójrzcie, to my na lotnisku – powiedział Josh. – Cała czwórka. Pamiętacie, zdjęcie zrobił nam wtedy taki miły staruszek. Zatrzymani w czasie, uśmiechnięci, elegancy. Wszystko było jeszcze przed nimi.

– Biedna Martha! – Clio uważnie się jej przyglądała. – Boże, gdybyśmy wiedzieli...

– Lepiej, że nie – rzuciła Jocasta ponuro.

Potem pojawiły się scenki z życia na wyspie, setki ludzi, których przeważnie już nie pamiętali, wszyscy uśmiechnięci, palący, pijący, machający rękami, przytuleni, wylegujący się na plaży, siedzący w łodziach, wiszący na linach nad jeziorami, pływający pod wodospadami, jeżdżący na słonach, nurkujący z rurką. Były też jakieś szalone, rozmazane zdjęcia z nocnych imprez na plaży, tańczące tłumy, świece na piasku.

– Spójrz, pamiętasz ten piknik reggae? – spytał Josh.

– Tak, dziękuję pięknie – odparła Jocasta. – To wtedy nabawiłam się dungi. Ugryzł mnie komar znad jednego z tamtejszych jezior, ale byłam zbyt pijana, żeby cokolwiek poczuć.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – spytała Clio, zaintrygowana, widząc zdjęcie Josha leżącego na dywaniku i palącego fajkę wodną.

– Palę opium.

– Josh! Nigdy mi nie mówiłeś. Jak to jest?

– Nijak. – Zaśmiał się. – Podejrzewam, że dali nam talk.

– Boże, to była zabawa – westchnęła Jocasta. – Wspaniała zabawa. Hej, Josh, a to co? Ekskluzywny hotel? Kto tu jest z tobą? Martha? Przy takim fantastycznym basenie? A ten taras? Nigdy nie mówiłeś, że zatrzymałeś się z nią w eleganckim hotelu. Co się stało?

– Boże... nie wiedziałem, że ono tu jest – jęknął Josh, mocno się rumieniąc.

W dużym skrócie wyjaśnił, że wyjeżdżając z Koh Tao, wpadł na Marthę. Prom spłonął i niewiele brakowało, a wszyscy by się potopili.

– Nie bujam, to prawda, niczego nie zmyślam.

Oboje fatalnie się czuli, a on miał przy sobie dużo pieniędzy, więc zatrzymali się na jedną noc w hotelu w pobliżu Chaweng...

– Hm... – mruknęła Jocasta z błyskiem w oku. – Jesteś bardzo tajemniczy. Oboje jesteście tajemniczy. Nigdy nie mówiłeś. Kiedy to było? Najwyraźniej mieliście tam niezły ubaw. Czy dlatego pojechałeś na pogrzeb?

– Nie. To znaczy... po części tak. Prawdę mówiąc, tak.

– Uważam, że to bardzo miłe.

Clio modliła się, żeby w głowie Jocasty odezwał się choćby najśłabszy dzwonek. Nie odezwał się. Lekarka wiedziała, że nadeszła odpowiednia chwila. Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Josh, kiedy to dokładnie było? Możesz sobie przypomnieć?

– Nie wiem – odparł. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak. Może mieć.

– Dlaczego?

– Hmm, jak by to powiedzieć...

– O czym ty mówisz, Clio? – spytała Jocasta.

– Po prostu coś przyszło mi do głowy. Myślałam o... Marcie. To wszystko.

– A konkretnie? Pomijając fakt, że okazała się bardziej tajemnicza, niż myśleliśmy. Chodzi ci o to, że... ona i Josh?!... I że żadne z nich nigdy nam nic nie powiedziało? I... o mój Boże! Chyba nie sądzisz... Josh... o mój Boże!

– O co chodzi? – spytał poirytowany. – Co się z wami dzieje?

– Po prostu spróbuj nam jak najdokładniej powiedzieć, kiedy ty i Martha przeżyliście waszą... niewielką przygodę. – Jocasta powoli wymawiała poszczególne słowa. – To bardzo ważne.

– Spróbuję, ale zupełnie nie rozumiem...

– Josh! Pomyśl!

– Hm, na pewno przed Bożym Narodzeniem, bo byłem wtedy w Malezji. Chyba gdzieś w okolicach października, listopada. Same wiecie, jak niewielkie znaczenie ma tam czas, tygodnie wydają się miesiącami i na odwrót.

– Josh, musisz się bardziej postarać. Przykro mi...

– Na litość boską, próbuję. To musiał być październik, tak, na pewno to był październik, bo właśnie wybierałem się do Bangkoku na spotkanie ze swoją dziewczyną... no, może, nie całkiem moją dziewczyną, ale byliśmy w sobie mocno zadurzeni, a ona leżała w szpitalu. Na Koh Pha Ngan miała wypadek motocyklowy, a ja właśnie wtedy obchodziłem osiemnaste urodziny, tylko dzięki temu pamiętam.

– A po drodze zabrałeś Marthę do hotelu. Josh, Josh, jesteś... o mój Boże... jesteś naprawdę okropny! – zawołała Jocasta.

– Znów to samo, a wydawało mi się, że chciałyście wiedzieć, kiedy byłem tam z Martha.

Jocasta spojrzała na Clio.

– Josh ma urodziny dwudziestego szóstego października. Kate urodziła się w połowie sierpnia, więc to musiałby być raczej listopad, nie sądzisz? – spytała Jocasta.

– Przykro mi – odparła Clio – ale Martha powiedziała mi, że Kate urodziła się prawie trzy tygodnie po terminie. Na tym polegał cały problem, tylko dlatego... urodziła ją tutaj. Czyli koniec października pasuje jak ulał.

– O czym wy mówicie? – spytał Josh. – Naprawdę nie rozumiem.

– Josh – powiedziała Jocasta, napełniając mu kieliszek do pełna. – Wypij to. Dobrze ci zrobi. Jesteś...

Rozdział Czterdziesty Drugi

Josh prawie nie spał. Wydawało mu się, że już nigdy nie zaśnie.

Przez całą noc przewracał się z boku na bok w łóżku w pokoju gościnnym – powiedział Beatrice, że boli go brzuch i nie chciałby jej przeszkadzać.

Doszedł do wniosku, że z obecnej sytuacji nie ma właściwego wyjścia – niezależnie od tego, co zrobi, będzie źle. Albo będzie musiał powiedzieć o wszystkim Beatrice, a ona, pod wpływem złości i zażenowania, prawdopodobnie go wyrzuci, tym razem już na zawsze. Na domiar złego, jak poczują się dziewczynki, gdy nagle się dowiedzą, że mają o wiele starszą siostrę? Albo nikomu nie wspomni o niczym ani słowem i do końca życia będzie nosił w sercu okropną, przytłaczającą tajemnicę.

Co gorsza, trudno zaliczyć Kate do zwykłych nastolatek – w końcu była sławna. Prawdę mówiąc, bardzo sławna. Co Jocasta tak często powtarzała? Że jeśli coś raz znajdzie się w gazetach, będzie tam już zawsze. Sytuacja przypominała trochę trzymanie w ręku bomby zegarowej i oczekiwanie na wybuch. Josh przypuszczał, że dokładnie to samo czuła Martha, i chwilami zastanawiał się, jak ona to, do diabła, zniosła. Boże, musiała być naprawdę odważna! Odważna i twarda.

W swoich rozważaniach nie mógł również pominąć Kate. Swojej córki. Przez całą noc stawała mu przed oczami. Śliczna, zabawna, mądra i inteligentna dziewczyna, którą spotkał na pogrzebie i która bez oporów rozmawiała z nim na temat swojej przyszłości. Skąd miał wiedzieć, że nastolatka jest jego córką? Że w ogóle ma dorosłą córkę. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Pomyślał o małych Charlie i Harry, które wciąż wdrapywały mu się na kolana, ciągnęły go za włosy, łaskotały w nos, chichotały, robiły do niego głupie miny, pryskały go podczas kąpieli wodą i ssały kciuki, gdy czytał im bajeczki. Takie córki chciał mieć. Z nimi umiał sobie poradzić. W przeciwieństwie do niebezpiecznie atrakcyjnej szesnastolatki, która w pierwszej chwili nawet wpadła mu w oko. Na tę myśl poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Jak... można nagle zacząć być ojcem kogoś, kogo po raz pierwszy widzi się na oczy w tym wieku? Kate była już prawie dorosła. Została odpowiednio wychowana i ukształtowana. Bez udziału Josha. Inny mężczyzna ją wychował, czytał jej bajki, kapał ją, bawił się z nią, wybierał dla niej szkoły, wpajał pewne zasady... Niczego nie otrzymała od swojego prawdziwego ojca. Ależ otrzymała – pomyślał, nagle siadając. Wystarczyła jedna, z tego, co pamiętał, bardzo sympatyczna noc, gdy miał siedemnaście... no nie, prawie osiemnaście lat – czyli zaledwie o rok i kilka miesięcy więcej, niż ma Kate – był beztroski, szczęśliwy, cieszył się życiem i całkiem nieźle się bawił, by nagle, niespodziewanie... zostać ojcem. To okropna, wyjątkowo niebezpieczna zabawa. Nie miał pojęcia, jak to się mogło stać; zawsze był bardzo ostrożny i używał prezerwatyw, chociaż, z drugiej strony, wszyscy wiedzą, że kondomy nie dają stuprocentowej gwarancji, mogło wypłynąć trochę spermy. Najwyraźniej tak właśnie się stało.

Dlaczego cholerna Martha nie zdecydowała się na aborcję? Nie było z tym problemów, więc

czemu, do diabła, donosiła ciążę? Co więcej, dlaczego nie próbowała go znaleźć? Pomógłby jej podjąć odpowiednią decyzję, dał pieniądze. Nagle Josh dokładnie przypomniał sobie siebie jako siedemnastolatka. Był wtedy bardzo samolubny i kompletnie niedojrzały. Ze smutkiem doszedł do wniosku, że doskonale wie, dlaczego Martha nie próbowała go znaleźć. Wiedziała, że nie można na niego liczyć. Poza tym mogła nie być pewna, czy to on jest ojcem. Mogła sypiać z każdym facetem, którego spotkała. Na pewno podczas nocy spędzonej w hotelu była dość chętna. Nie trzeba jej było zbyt długo namawiać. Niemniej... z pewnością Kate była jego córką. Świadczyło o tym jej ogromne podobieństwo do niego, a przede wszystkim do Jocasty.

Czego teraz może chcieć od niego nowa, wyjątkowo kłopotliwa córka? Zdaniem Jocasty i Clio Kate jest bardzo nieszczęśliwa z powodu tego, co się stało, zwłaszcza że przez całe życie szukała matki, a teraz, po jej śmierci, jest jeszcze bardziej dezorientowana i zagubiona.

– Ona po prostu chce wiedzieć, gdzie jest jej miejsce – wyjaśniła Clio – albo, jeśli wolisz, skąd się wzięła. Jej sytuacja jest bardzo zagmatwana. Szczerze kocha swoich rodziców, ale niestety, oni nie mogą odpowiedzieć na wszystkie jej pytania. Śmierć Marthy była dotkliwym ciosem, bo matka również niczego jej nie wyjaśniła.

Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie Josh, wszyscy troje uzgodnili, że trzeba chronić Beatrice.

– Jest naprawdę cudowna i prawdopodobnie wspaniale zareaguje – powiedział przygnębiony Josh. – Zaproponuje Kate dom i...

– Kate nie potrzebuje domu – przerwała mu Jocasta ostro. – Bardzo dobrze się czuje w tym, w którym się wychowała. Nie brakuje jej miłości ani troski, ma wspaniałych rodziców. Chce tylko wiedzieć, jak... i dlaczego wszystko się stało. Ma wspaniałego chłopaka – dodała.

Josh jęknął.

– Nie dam sobie z nią rady, a tym bardziej z jej chłopakiem. Gdy zegar wybił czwartą, Josh zszedł na parter, żeby zrobić sobie gorący grog.

Peter Hartley był w kościele od wczesnego ranka. Trochę czasu spędził, modląc się w samotności i wspominając Marthę, a potem dość długo sprzątał zakrystię, wieszał komże, w których występowali chłopcy z chóru, i zamiatał podłogę. Dopiero gdy przyłapał się na tym, że porządkuje modlitewniki i psalterze, czyli wykonuje prace, które zawsze należały do kościelnego i jego żony, i że naprawdę ta czynność sprawia mu przyjemność, uświadomił sobie, że robi to, by jak najpóźniej wrócić na plebanie i do Grace.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia; od śmierci Marthy minęło zaledwie kilka tygodni, a on wciąż tęsknił za córką i jasnym światłem, którym świeciła w jego raczej dość szarym życiu.

Naturalnie, nikt nie wiedział, że jego życie jest szare, a raczej że Peter tak uważa. Bardzo pomagała mu niezachwiana wiara, zwłaszcza podczas ślubów i konfirmacji, ale także gdy odprawiał msze albo wygłaszał dobre jego zdaniem kazanie. Niemniej pozostawało faktem, że jego codzienne życie wypełniały niewdzięczne i nużące zajęcia.

Drugą podporą i ostoją Petera była zawsze ukochana Grace, ale ponieważ ostatnio

najwyraźniej został jej pozbawiony, tak samo jak Marthy, było mu bardzo ciężko. Uczucia żony stopniowo się zmieniały: początkowe zagubienie z czasem przeobraziło się w pretensje, a ostatnio wrogość. Z tego, co widział, Grace miała ogromny żal, że jej mąż znajduje pocieszenie w Bogu, a ona nie.

– Tobie dobrze – powiedziała pewnego razu. – Zawsze możesz liczyć na pomoc... ja zostałam całkiem sama.

Nadal nie chciała jeść, wręcz się głodziła.

Gdy Peter wrócił na plebanie, zobaczył, że przyszła poczta. Były w niej śmieci, jak je określał, i dwa normalne listy. Jeden od parafianina z zapytaniem, czy pastor nie zechciałby dofinansować wyprawy jego syna na rowerze przez Syberię. Drugi został napisany niewyrobionym jeszcze do końca charakterem pisma i pochodził od kogoś, kto podpisał się jako Kate Tarrant.

Bardzo dużo o Państwu myślę i mam ogromną nadzieję, że powoli zaczynacie się już czuć choć trochę lepiej. Tylko dwa razy spotkałam Waszą córkę, ale sprawiła na mnie wrażenie osoby miłej i ciekawej. Bardzo się cieszę, że byłam na pogrzebie i przy okazji dowiedziałam się czegoś więcej nie tylko na jej temat, ale i tego, co osiągnęła w życiu. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Kate Tarrant.

Kate Tarrant. Kto to taki? Autorka listu napisała, że była na pogrzebie, ale Peter nie kojarzył jej imienia i nazwiska. Póki nie dostrzegł dopisku na dole kartki. „Byłam z Jocastą Forbes, jedną z dziewcząt, z którymi Wasza córka przed pójściem na uniwersytet wyruszyła w podróż dookoła świata”.

Owszem, Peter dość dobrze pamiętał Jocastę. Podeszła do nich i zamieniła kilka zdań. Piękna, czarująca dziewczyna.

Towarzyszyły jej dwie inne, jedna z nich, bardzo miła, również podróżowała z Martha i z tego, co pamiętał, była lekarką. Druga, znacznie młodsza, miała długie jasne włosy: prawdopodobnie to właśnie Kate. Może Grace będzie pamiętała. Albo Ed – wyraźnie znał tych ludzi. Dzięki listowi będzie o czym porozmawiać z Grace, może nawet uda się ją wyrwać z tego letargu. Jego wiecznie zajęta, ruchliwa Grace, i letarg! To okropne. Zaniósł jej list.

– Spójrz, dostaliśmy bardzo miły list. Od jednej z młodych osób, które były na pogrzebie. Pamiętasz Jocastę, tę blondynkę, która wiele lat temu podróżowała z Martha?

– Nie.

– Na pewno pamiętasz, kochanie. Rozmawiała z nami przez chwilę.

– Peterze, cały pogrzeb rozmazał się w mojej pamięci w jedną wielką plamę.

– Tak czy inaczej, była z nią jeszcze jedna dziewczyna, znacznie młodsza. Powiedziałbym, że bliższa wiekiem Edowi. Napisała naprawdę słodki list. Ma na imię Kate.

– Hm – Grace wzruszyła ramionami. – To rzeczywiście miło z jej strony. Co w nim jest?

– Zostawię ci go, żebyś mogła przeczytać sama.

– Potwornie boli mnie głowa. Nie mam siły na czytanie.

– Jest bardzo krótki. Idę zaparzyć ci herbatę. Jeśli nie przeczytasz go do mojego powrotu, ja to zrobię.

Położył list na łóżku i wyszedł. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że Grace wzięła kopertę i sięgnęła po okulary. To dziwne, ale młodzi przyjaciele Marthy naprawdę mogli podnieść ją na duchu. Lub przynajmniej zainteresować.

Grace po chwili przypomniała sobie Kate. Ładną nastolatkę, która zwracała na siebie uwagę, bo miała śliczne jasne włosy i duże ciemne oczy, trochę podobne do oczu Marthy. Jej matka to prawdziwa szczęściara. Wciąż ma córkę. Nie musiała patrzeć, jak jej dziecko odchodzi z tego świata, jak z powodu głupoty kończy się wspaniałe, obiecujące życie. Grace nie miała ochoty żyć na planecie, na której nie było jej córki, planecie pełnej ludzi, którzy nie mają dla niej znaczenia, bo nie są jej dziećmi.

Starsza pani żałowała, że nie były sobie bliższe z Marthą zawsze czuła, że córka trzyma się od niej na dystans. Nigdy nie rozmawiały o jej chłopakach, życiu prywatnym, tylko o karierze. Gdyby nie kariera, prawdopodobnie dzisiaj Martha by żyła. Nie jechałaby tak późno i tak szybko z Londynu, na dodatek tak niebezpiecznym samochodem. Pracowałyby spokojnie w Binsmow, gdzie łatwo byłoby mieć ją na oku.

Ed najwyraźniej bardzo dobrze znał Marthę. Grace zastanawiała się, czy byli zaręczeni albo coś w tym stylu. Chociaż odwiedzało ją wielu ludzi, prawdziwą przyjemność sprawiały jej tylko wizyty Eda. Chętnie rozmawiała z nim o Marcie, próbowała dowiedzieć się czegoś nowego. Chciałyby częściej widywać Jocastę. I Clio, tę ładną ciemnowłosą dziewczynę, trzecią z trójki. Z trójki podróżniczek. Ją też polubiła. Prawdopodobnie wiedziały na temat Marthy więcej niż jej matka. Grace nie wierzyła, by znalazły czas, żeby przejechać tyle kilometrów i spotkać się z matką przyjaciółki. Były młode, zapracowane, szczęśliwe, miały swoje życie...

Kobieta obróciła się na bok i zaczęła płakać. Czuła się potwornie samotna w swoim smutku. Peter miał Boga. Ona nie miała nikogo.

Gdy Jocasta poznała historię Josha i Kate, nie była nią zachwycona, ale przynajmniej miała o czym myśleć i chociaż na chwilę mogła zapomnieć o własnych problemach i nieszczęściu.

Na przekór wszystkiemu, co sobie powiedzieli na pożegnanie, czekała na wiadomość od Nicka. Jakiś liścik, telefon albo obiecaną widokówkę. Żeby wiedzieć... hm... właściwie wcale nie była pewna, co chciałyby wiedzieć, ale tamtego popołudnia przeżyli coś wspaniałego... Boże, od tego czasu minął ponad tydzień... Całkowite milczenie trochę ją denerwowało. Może teraz patrzył na nią jak na każdą inną dziewczynę... nie, to niemożliwe; powiedział, że zawsze będzie ją kochał. I że zawsze będzie jej najlepszym przyjacielem. Czy bycie najlepszym przyjacielem obejmuje również wspaniałe, cudowny seks? Może tak. O Boże, było naprawdę fantastycznie! Często siadała w całkowitym bezruchu i przypominała sobie wszystko po kolei; niesamowicie ją to podniecało.

Tamto popołudnie uświadomiło jej, że nie może wrócić do Gideona. Seks z Gideonem był...

jak by to powiedzieć? – nudny. Było dobrze, nawet bardzo dobrze, a w najgorszym przypadku wyjątkowo miło i... z pewnością tworzyło wspaniałą więź uczuciową, ale zawsze.... było tak samo. Jocasta miała wyrzuty sumienia, że porównuje go z Nickiem. Czowała, iż jest wobec Gideona bardzo niełojalna, ale nic nie mogła na to poradzić. Biorąc pod uwagę spore doświadczenie i niebezpiecznie uwodzicielski język Gideona, spodziewała się gromów i błyskawic, tymczasem dostała tylko słoneczne popołudnie. Bardzo miłe słoneczne popołudnie, ale, niestety, zawsze takie samo. Prawdę mówiąc, nie mogła uwierzyć, że coś takiego w ogóle jest możliwe: cieszyła się, gdy wieczorami po prostu zasypiał, podczas gdy ona siedziała obok i czytała. Co gorsza, przy kilku szczególnie przykrych okazjach celowo przedłużała czytanie, czekając, aż Gideon zaśnie. Niegdyś słyszała, jak kobiety – zazwyczaj pozostające w wieloletnich, statecznych związkach – opowiadają takie właśnie rzeczy i była zaszokowana. Serdecznie im wtedy współczuła. Dopiero teraz je rozumiała. Seks z Nickiem zawsze był wspaniały. Może nie jakiś wyjątkowy, ale naprawdę wspaniały. Czasami był zabawny, czasami bardziej poważny, od czasu do czasu szybki, to znów bardzo, bardzo wolny – niedzielny seks, jak go określała, kiedy miała orgazm za orgazmem i nie chciała skończyć. Nigdy się przy nim nie nudziła. Co ważniejsze, byli wobec siebie całkowicie szczerzy. Jeśli nie miała ochoty i powiedziała to na głos, Nick nigdy się nie obrażał; jeśli on był zbyt zmęczony, też mówił, a ona go rozumiała. Mówili sobie nawzajem, jeśli coś im nie odpowiadało albo jeśli mieli ochotę spróbować czegoś nowego – co często prowadziło do śmiesznych porażek i ostatecznego wniosku, że tradycyjna pozycja ma duże plusy. Jocasta nie wyobrażała sobie takiej szczerości z Gideonem.

Co więcej, robili to w bardzo różnych miejscach, niekiedy wręcz nieprawdopodobnych: na siedząco w wannie, na stojąco w korytarzu, na plaży, w lesie, czasem nawet w samochodzie Nicka, co wiązało się z pewnym ryzykiem. Prawdę mówiąc, była to nieodłączna część ich związku i życia, tak samo ważna jak jedzenie, picie czy praca; nie wyobrażała sobie życia z Nickiem bez seksu i rozmów, natomiast z łatwością potrafiła wyobrazić sobie życie bez seksu z Gideonem.

No cóż, nie będzie z nim żadnego życia, ani z seksem, ani bez. Napisała list z propozycją jak najszybszego rozwodu, ponieważ nie widzi szansy na wspólne szczęście, a przedłużanie sprawy jedynie wszystko pogarsza. Podała imię, nazwisko i adres swojego adwokata i dopisała, że czeka na wiadomość. Być może powinna odczuwać smutek, ale dokuczała jej tylko samotność i nieustanna złość.

Może warto by napisać do Nicka, tylko co? Że za nim tęskni, że wciąż go kocha, że chce się z nim zobaczyć? Nie. To nie wchodziło w rachubę. Pomyślałby, że wróciła do niego, bo rozpadło się jej małżeństwo, albo że znów się skarży. Musi odzyskać jego szacunek i okazać siłę. Jeśli za jakiś czas Nick dowie się, że odeszła od Gideona, będzie zupełnie inaczej, ale za nic w świecie nie może uważać, że to z jego powodu. To byłby emocjonalny szantaż. Tak się nie postępuje.

Gideon przeczytał list, a potem go porwał na kawałki i wrzucił do kosza. Jeśli Jocasta liczy na łatwe rozwiązanie problemu, żeby mogła szybko wyjść za mąż za Nicka, jest w dużym

błędnie. Bilioner wmówił sobie, że żona go rzuciła, by wrócić do byłego kochanka. Z powodu próżności nawet nie brał pod uwagę innej przyczyny. Młody rywal był o wiele lepszy niż przyznanie się do swojej winy.

Beatrice była naprawdę cudowna; Josh zadzwonił do niej w środku dnia, nie mogąc dłużej znieść tajemnicy, i spytał, czy po pracy mogą spotkać się na drinka.

– Po co, do diabła? Nie możemy wypić kilku kieliszków w domu?

– Nie, bo chciałbym ci o czymś powiedzieć, a zależy mi, żeby nie było przy tym dziewczynek. Ani nikogo innego.

Spotkali się w amerykańskim barze w Connaught. Beatrice po przyjeździe była dziwnie blada. Najwyraźniej spodziewała się informacji, że Josh ma nową dziewczynę.

– W pewnym sensie rzeczywiście ma – powiedziała wesoło do Jocasty.

Wiadomość była tak wyjątkowa i tak szokująca, że żona Josha nie wiedziała, jak zareagować. Co można powiedzieć na wieść, że mąż ma szesnastoletnią córkę, o której istnieniu dotychczas w ogóle nie wiedział? „Jak miło” albo „Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam?”. A może: „Jak mogłeś?” czy „Jak śmiałeś?”. Lub: „Żeby twoja noga nigdy więcej nie postąpiła w moim domu”. Nie było odpowiednich słów na taki przypadek. Beatrice siedziała i długo patrzyła na męża, którego naprawdę wciąż kochała, który bardzo ją zranił i upokorzył, ale obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi, na czarującego, przystojnego i nieznośnego faceta. W końcu uświadomiła sobie, że mu serdecznie współczuje. Myślała, że może współczucie ustąpi czemuś mniej szlachetnemu, w rodzaju wściekłości, złości albo zazdrości, ale nic takiego się nie stało. Pozostało współczucie, i to właśnie mu powiedziała.

– Na litość boską, Josh – oświadczyła z ogromną powagą – wielu siedemnastoletnich chłopców sypia z każdą napotkaną dziewczyną. Po prostu miałeś niewiarygodnego pecha.

– Tak – przyznał. – Chyba tak.

– Z pewnością tak samo potraktowała to Martha. Biedaczka.

– Tak – potwierdził. – Rzeczywiście biedaczka.

– Nie rozumiem, czemu ci nie powiedziała.

– Ja też.

– Albo swoim rodzicom.

– Masz rację.

– Przypuszczalnie uważała, że nie może.

– Chyba tak.

– Co za smutna historia!

– Zgadza się z tobą. Mam okropne wyrzuty sumienia – powiedział nagle, potem dodał: – Że tyle się nacierpiała, podczas gdy ja wyszedłem z tego bez szwanku. To okropne.

– Hmm... – Tym razem Beatrice zareagowała nieco żywiej. – Masz talent do wychodzenia bez szwanku z najgorszych opresji, Josh. Potem współczucie nieco zmalało. Beatrice dostrzegła piętrzące się problemy. Czy i co powinni powiedzieć Kate? Czy i co należałoby powiedzieć

dziewczynkom? Czy kilkulatki będą w stanie coś z tego zrozumieć? Josh i Beatrice dopiero mieli za sobą pierwsze wyjaśnienia na temat dzieci, które rosną w brzuskach mamus.

Co z mediami, czy powinny się o tym dowiedzieć? I największy problem: jakie będzie jej miejsce w nowym związku Josha? Beatrice poczuła, że ogarnia ją niepokój. Ludzie będą gadać, śmiać się, a ona znów wyjdzie na głupią, naiwną i zdradzoną. Co prawda w chwili poczęcia Kate Josh miał siedemnaście lat, ale pozostaje faktem, że jeszcze raz został przyłapany z opuszczonymi spodniami. Ludzie przypomną sobie poprzedni raz. I jego wcześniejszą wpadkę. Czy uwierzą, że o niczym nie wiedział? Prawdopodobnie nie.

– Nie gniewaj się, ale potrzebuję trochę czasu dla siebie – powiedziała Beatrice. – Odrobinę. Spotkamy się w domu.

Poszła na spacer. Był cudowny, ciepły wieczór, ostatnie promienie słońca oświetlały budynki i ulice, a jeśli spojrzano się na nie pod odpowiednim kątem, wyglądały jak pozłacane.

Beatrice przeszła przez Berkeley Square, a potem spacerowała tam i z powrotem po Bond Street, zaglądała w okna wystawowe Aspreys, Chanel, Tiffany’ego i Ralpa Laurena. Fantastycznie odrywały ją od niespójnej, bolesnej opowieści Josha, nawet udało jej się podziwiać tu płaszcz, tam bransoletkę. Potem przeszła Regent Street, gdzie jak zwykle uległa urokowi wspaniałej architektury. Przez chwilę zastanawiała się, czy może pójść dalej i zagłębić się w ponurych zakamarkach Soho. Wędrowała między handlarzami narkotyków, ogłuszającą muzyką, sutenerami, warczącymi motocyklami, sklepami z bielizną, nabijaną ćwiekami skórą i wykończonymi puchem butami na niewiarygodnie wysokich obcasach, traktując to wszystko częściowo jako tło, częściowo jako sposób na oderwanie myśli. Nagle ujrzała dziewczynę w wieku Kate, z bardzo dziecięcą twarzą pomimo grubej warstwy szminki i sztucznych rzęs. Nastoletnia prostytutka wisiała w drzwiach na ramieniu mężczyzny w krzykliwym garniturze z masą złotej biżuterii, wystarczająco starego, by mógł być jej ojcem. Najwyraźniej był jej sutenerem. Wtedy Beatrice doszła do wniosku, że to okropne i że należałoby dołożyć wszelkich starań, by dzieci mogły być dziećmi, by dorosłe życie nie stanowiło dla nich żadnego zagrożenia i by nie znały jego brzydkiej strony. Ta myśl skierowała żonę Josha z powrotem do Kate, a wtedy nagle emocje Beatrice uporządkowały się i uspokoiły. Wczuła się w sytuację Kate. Jej dzieciństwo mogło być szczęśliwe, ale miało też paskudną, ciemną stronę – matkę, która ją porzuciła, i ojca, który zniknął, co oznacza, że nikt jej nie chciał, nikt się do niej nie przyznawał. Dziewczyna musiała przeżyć piekło. Z całej trójki to Kate spotkał najgorszy los, dlatego teraz trzeba się było odpowiednio o nią zatroszczyć. Wciąż była dzieckiem. Nawet jeśli obecna sytuacja jest dla Josha stresująca, dla Beatrice – bolesna, a dla rodziców adopcyjnych Kate – trudna, to ich problem. W końcu wszyscy są dorośli. Najważniejsza jest nastolatka, dlatego powinni jej pomóc. Koniec, kropka.

Zadzwoiła do Josha i powiedziała, że wraca do domu.

Jocasta oznajmiła, że wybierze się z Joshem na spotkanie z Kate.

– Wiem, że to może wyglądać na wpychanie się na siłę przy każdej możliwej okazji, ale Kate

zna mnie najlepiej. Nawet ja nie bardzo wiem, co powinniśmy jej powiedzieć, może najpierw warto byłoby chwilę z nią pogawędzić, żeby przywykła do Josha. Na szczęście w dniu pogrzebu najwyraźniej go polubiła, więc może szybko się rozluźni, a potem zadecydujemy, czy od razu powiemy jej o wszystkim, czy zostawimy wszystkie wyjaśnienia do następnego spotkania. Nie chciałabym tylko, żeby nasze spotkanie zamieniło się w ponurą nasiadówkę jak wtedy, kiedy powiedzieliśmy jej o Marcie. Co ty na to, Beatrice?

Beatrice uznała, że to dobry pomysł i być może najmniej szokujący dla Kate.

– Boże! – westchnęła Jocasta. – Jesteś cudowna, Beatrice. Podziwiam cię.

Żona Josha czuła, że nie ma wyboru. Uśmiechnęła się uprzejmie i zaproponowała, że pójdzie na spacer, by Jocasta mogła spokojnie zadzwonić do Helen.

– Potem, Jocasto, może powinniśmy porozmawiać o tobie i twoich problemach.

Jocasta zapewniła, że nie ma żadnych problemów, że owszem, problemem było jej małżeństwo, ale teraz, kiedy się rozpadło, wszystko jest już w porządku.

– Naprawdę – zapewniła. – Nie musisz się o mnie martwić. Beatrice, widząc błyszczące oczy szwagierki i jej wymizerowaną twarz, słysząc przesadne ozywienie w głosie, uznała, że jednak jest się o co martwić.

Helen przyjęła wiadomość z niezwykłym spokojem; tyle jej się przydarzyło w ciągu kilku ostatnich tygodni, że nie byłaby zaskoczona nawet wtedy, gdyby Jocasta powiedziała jej, iż ojcem Kate jest książę Karol. Albo Brad Pitt. Czy David Beckham. Prawdę mówiąc, to była nawet dość szczęśliwa opcja. Przynajmniej ojcem dziewczyny był ktoś, kogo wszyscy znali, a Kate nawet polubiła.

– Myślę, że to wyjaśnia podobieństwo między tobą a Kate – powiedziała do Jocasty.

– Tak, na pewno.

Zgodziła się, że najlepiej będzie, jeśli Jocasta i Josh we dwójkę powiedzą o wszystkim nastolatce.

– Będzie o wiele lepiej, jeśli dowie się tego od ciebie, a potem on będzie mógł odpowiedzieć na jej ewentualne pytania. Mam nadzieję, że również te o... Marthę.

Wciąż z trudem mówiła o matce Kate jako o Marcie. Powiedziała Jimowi. Nie był zbyt zadowolony.

– Przypuszczam, że chodził do szkoły prywatnej – burknął poirytowany. – Jak jego siostra.

– Tak.

– Wiesz może do której?

– Chyba do Eton.

– To wszystko, czego mi potrzeba.

Helen miała ochotę powiedzieć mężowi, żeby nie był głupi, ale darowała sobie niepotrzebny komentarz. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi: sama przeżywała to kilka tygodni temu. Wtedy Jim starał się ją pocieszać, ale w rzeczywistości niczego nie rozumiał. Dopiero teraz uświadomił sobie, co wtedy dręczyło jego żonę. Tym razem to on bał się odrzucenia, krytyki i porównań.

Przede wszystkim porównań.

Wiedziała również, że na przekór zagorzałemu socjalizmowi Jima, jego ślepej wierze w powszechny dostęp wszystkich dzieci do szkół i ogromnej niechęci do nauki w placówkach prywatnych, ojciec Kate obawia się bezpośredniej konfrontacji z pewnością siebie tak typową dla absolwentów ekskluzywnych szkół. Na samą myśl, że jego ukochana Kate jest latoroślą byłego ucznia Eton, zaczynał fatalnie się czuć.

– Poznaliśmy go? Na przyjęciu?

– Nie, raczej nie, ale ja go wtedy widziałam. Jocasta mi go pokazała.

– Jak on wygląda?

– Jest wysoki. Jasnowłosy. Ma lekką nadwagę. Nawet dość dobrze tańczył charlestona z jakąś dziewczyną.

– Ze swoją żoną?

– Nie, raczej nie. Żona Josha jest adwokatem, tymczasem jego partnerka na parkiecie wyglądała na osiemnaście lat.

– Dobry Boże! – jęknął Jim. – Rozpustnik. Tylko tego było mi trzeba.

– Nie bądź śmieszny, kochanie – zwróciła mu uwagę Helen.

– Nie jestem śmieszny. Jaki mężczyzna robi z siebie głupca, tańcząc z młodą dziewczyną?

– Jim, on nie robił z siebie głupca. Po prostu tańczył.

– Moim zdaniem to jedno i to samo. No cóż, nie sądzę, by to zrobiło wrażenie na Kate. Jest zbyt rozsądna. Nie chcę, żeby on tu przychodził – dodał nagle.

– Jim! Jeśli Kate go polubi, nie będziesz mógł zamknąć przed nim drzwi. Postaraj się zachować rozsądek – dodała łagodnie. – Niezależnie od tego, czy Kate polubi go mniej, czy bardziej, i jaki on jest, naprawdę nie masz się o co martwić. Nasza córka jest zbyt rozsądna i wie, jak wygląda prawda. Wie, kto jest jej ojcem i że nie jest nim Josh. Przynajmniej nie tym prawdziwym.

– Tak – przyznał i wyszedł z pokoju. Zabrali Kate na posiłek do „Bhiebird”.

– Bardzo jej się tam podoba – oznajmiła Jocasta. – To nasz lokal, jej i mój.

Nastolatka wyglądała cudownie. Tym razem miała na sobie nie džinsy, ale długą, ciętą ze skosu kwiecistą spódniczkę, biały podkoszulek i dzinsową kurtkę. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. W jej stronę odwróciło się sporo głów.

– O Boże! – szepnął Josh.

Jocasta poklepała go po ramieniu, próbując dodać mu otuchy.

– Wszystko będzie dobrze.

– Może, ale cieszę się, że wiem, kim ona jest. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. Dobrze, że nie ma tu Beatrice.

Gdy Kate podeszła do stolika, oboje wstali i pocałowali ją.

– To miło z waszej strony – rzekła. – Przez cały dzień czekałam niecierpliwie na to spotkanie.

– My też.

– Postanowiłem przynieść ci aparaty fotograficzne, o których rozmawialiśmy podczas pogrzebu – wyjaśnił Josh. – Potem może pokażę ci, jak działają.

– Super.

Uśmiechnęła się do niego. Jocasta uprzedziła ją, że Josh wie, iż Martha była jej matką. „Ale jeśli nie będziesz chciała o niej rozmawiać, nie ma sprawy. Wszystko zależy od ciebie”.

– Cieszę się – powiedziała dziewczyna – że mi je pożyczasz. Pięknie dziękuję.

– Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Wyglądają na bardzo drogie. Będę musiała szczególnie na nie uważać.

Zapadła nieco niezręczna cisza.

– Zamówmy coś – zaproponowała Jocasta. – Będziemy mieli to już z głowy.

– Kieliszek wina, mała Kate? – spytał Josh.

– Chętnie. – Uśmiechnęła się do niego. – To dziwne, że mówisz do mnie „mała Kate”. Zupełnie jakbyś był moim wujkiem, a przecież nim nie jesteś.

– Przepraszam.

– Nie, to jest super.

Znów zapanowała niezręczna cisza. Jocasta się tego nie spodziewała; myślała, że Kate, jak zwykle, będzie trajkotać bez końca.

– Nareszcie podjęłam decyzję w sprawie kontraktu – powiedziała, przerywając ciszę. – Może mama ci już mówiła? Albo Fergus?

– Nie. Co zadecydowałaś?

– Że go nie przyjmę. Chociaż martwię się, że popełniłam błąd. No wiesz, to zbyt dużo pieniędzy, żeby z nich rezygnować. Tylko pomyśl, ile dobrego mogłyby zrobić dla nas wszystkich, dla mnie, dla mamy i taty, a przede wszystkim dla Juliet. Jej kształcenie muzyczne pochłania coraz więcej pieniędzy.

– Tobie wcale by to dobrze nie zrobiło – zapewnił Josh – skoro tego nie znosisz, jak powiedziałaś. Poza tym twoja mama i tata na pewno wszystkim się zajmą. Przypuszczalnie nie chcieliby być twoimi dłużnikami. Powiedziałbym wręcz, że znaleźliby się w niezręcznej sytuacji.

– Nie pomyślałam o tym. Tak, masz rację. Nawet jeśli nie będzie moich pieniędzy, na pewno znajdą sposób, żeby wszystko jakoś opłacić, prawda?

– Oczywiście. Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję za podpowiedź. Teraz czuję się znacznie lepiej.

– A co ze „Style”? – spytała Jocasta. – Kiedy zdjęcia?

– Powiedziałam Fergusowi, że nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego? Kate, oni już wszystko pozalätwiali.

– Taak, wiem. Nie zaczynaj wszystkiego od początku. Po prostu nie czuję się na siłach, wciąż jestem za bardzo przygnębiona.

– Przykro mi, kochanie. Skąd to przygnębienie?

– Sama wiesz. – Zerknęła na Josha, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać przy nim na ten temat.
– Stary problem.

Nie widzę szansy na zrobienie jakiegokolwiek kroku do przodu.

– Dlaczego? – spytał Josh. – Przecież teraz już wiesz, kim... była twoja matka.

– Tak, tylko że ona... odeszła.

Jocasta uznała, że rozmowa zmierza w zbyt ponurą stronę. Postanowiła zmienić temat.

– Zastanawiam się nad powrotem do pracy.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Tęsknię za nią.

– Tak przypuszczałam – powiedziała Kate zadowolona z siebie. – Jesteś za mądra, żeby siedzieć przez cały dzień w domu i czekać na powrót męża.

Josh wybuchnął śmiechem.

– Beatrice na pewno by się z tobą zgodziła. Ona też na mnie nie czeka.

– Nie? A co robi?

– Pracuje jako adwokat.

– Musi być bardzo mądra.

– Tak. Mądrzejsza ode mnie, słowo daję.

– Na pewno nie – zaprotestowała Kate uprzejmie. – Tak czy inaczej, Jocasto, cieszę się. Przecież Gideon na pewno nie będzie oczekiwał, że wszystko rzucisz... poza tym nie spodziewasz się dziecka ani niczego w tym rodzaju, prawda?

– Nie – zapewniła Jocasta szybko. – Absolutnie nie!

– A chciałabyś?

– Och... chyba nie.

– Nigdy? – Kate z zainteresowaniem przyglądała się Jocaście. – Byłabyś bardzo dobrą matką.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał Josh.

– Bo Jocasta jest super. Nie robi zbyt dużo zamieszania, jest bardzo wyrozumiała i zawsze wie, co człowiek czuje. Jest zabawna. Moja mama jest świetna, ale trochę... za stara. Nie kapuje, co jest grane.

– Ale nawet jeśli Jocasta urodziłaby teraz dziecko, to za kilka, kilkanaście lat, gdy ono podrośnie, również będzie dla niego za stara – zwrócił uwagę Josh.

Był szczerze zainteresowany rozmową, niemal zapomniał, po co tu przyszli.

– Pewnie tak, ale mnie się wydaje, że Jocasta zawsze będzie młoda.

– Nieważne, i tak nawet nie chcę myśleć o dziecku – ucięła wszelkie spekulacje Jocasta.

Znów zapadło milczenie.

– Gideon ma córkę mniej więcej w moim wieku, prawda? Pewnie jest nieźle rozpuszczona.

– Pod pewnymi względami tak, pod innymi wcale nie. Ojciec nigdy jej nie widuje, a dziewczyna albo jest właśnie w szkole z internatem, albo mieszka z matką.

– Czy wy też byliście rozpuszczeni? – spytała Kate, spoglądając na nich. – To znaczy wasz tata jest bogaty, prawda?

– Nie tak jak Gideon – uściśliła Jocasta – i nie byliśmy rozpuszczeni. Chociaż, jak sądzę, mieliśmy wszystko, czego było nam potrzeba. Niestety, nasi rodzice się rozwiedli i jako dzieci nie widywaliśmy... to znaczy, ja nie widywałam taty. Mój młodszy brat, owszem, częściej miewał z nim do czynienia.

– Taak? – spytała Kate, odwracając się do Josha. – I dogadywałeś się ze swoim tatą?

– No wiesz... Raczej tak.

– To dobrze – powiedziała Kate. – Nie wyobrażam sobie, żeby rodzice odesłali mnie do szkoły z internatem i żeby nie mogła codziennie ich widywać. To znaczy moi starzy pod wieloma względami są nieznośni, ale jesteśmy razem i przynajmniej wiemy o sobie wszystko. Mama od dawna się piekli, żebyśmy razem jadali posiłki. Jak byłam młodsza, strasznie mnie to wkurzało, ale ostatnio zaczynam dostrzegać sens takiego postępowania. Jakim jesteś tatą? – spytała Josha. – Wiem, że masz dzieci. Czy wysłałbyś je do szkoły z internatem? Pewnie tak.

Josh wziął głęboki wdech. Jeśli Wszchemogący chciał mu pomóc, to na pewno w ten sposób.

– Jakim jestem tatą? – powtórzył. – To bardzo interesujące pytanie. Staram się być jak najlepszym. Lubię dużo czasu spędzać ze swoimi córeczkami i na pewno nie mam zamiaru skazywać ich na pobyt w internacie. Hm... Jocasto, jakim jestem tatą?

Jocasta też wyczuła palec boży i usłyszała głęboki wdech brata.

– Myślę, że całkiem dobrym – orzekła. – Naprawdę. Kate, jak skończysz, może wyjdziemy? Wybierzemy się na spacer albo coś w tym stylu.

Dziewczyna spojrzała na nich, wyraźnie zdziwiona nagłym zakończeniem posiłku. Liczyła na pudding.

– Dobrze.

Poprosili o rachunek; Josh zapłacił go w milczeniu. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był tak przestraszony, nawet przed pierwszym dniem w szkole podstawowej, gdy miał siedem lat. Wyprowadził obie damy z lokalu.

– Mam tu swój samochód. Podjedźmy nad rzekę, dobrze?

– Superbryka – pochwaliła Kate.

Spodobał jej się saab kabriolet. Josh opuścił dach. Nad rzeką zaparkował beztrąsko na żółtej linii, na samym rogu.

– W porządku – powiedział. – Przejdźmy się.

Ujął jedną rękę Kate i położył ją na swoim ramieniu. Jocasta zrobiła to samo z drugą. Dziewczyna przyjrzała się obojgu i uśmiechnęła się.

– Wyglądamy jak rodzina – zauważyła.

– Zabawne, że powiedziałaś to właśnie teraz – stwierdziła Jocasta.

– Dlaczego?

– Hm... posłuchaj, Kate. To będzie dla ciebie szok. Byli nad brzegiem Tamizy.

– Usiądźmy – zaproponowała Jocasta, wskazując ławkę.

– Chodź, Kate, kochanie, daj mi rękę. Josh, głos należy do ciebie. Zaczynaj.

Dziewczyna siedziała w milczeniu i słuchała, wpatrując się z napięciem w Josha i tylko od czasu do czasu zerkając na Jocastę. Josh dukał, zaciął się; szło mu jak po grudzie. Powiedział Kate, że on i Martha byli sobie bliscy, razem podróżowali – on i Jocasta uznali, że przygoda na jedną noc nie byłaby najlepszym rozwiązaniem – ale potem on wyjechał do Australii, a Martha nie była w stanie się z nim skontaktować.

– No wiesz, nie było wtedy komórek. Mieliśmy tylko adresy poste restante, ale nikt nie wiedział, kiedy kto gdzie będzie. Milczała.

– Myślę, że w końcu doszła do wniosku, że poradzi sobie sama – podjęła opowieść Jocasta. – Była bardzo niezależną istotą, co już wiesz. Uważała również, o czym ci wspomniałam, że nie może powiedzieć o niczym swoim rodzicom.

– To dziwne – wyznała Kate. – Bardzo długo się nad tym zastanawiałam i wciąż nie rozumiem, w jakiej sytuacji przyznanie się rodzicom mogłoby być gorsze niż... niż porzucenie dziecka.

– Masz rację – przyznał Josh. – To rzeczywiście jest bardzo dziwne. Chyba po prostu musisz się z tym pogodzić. Być może są to wspaniali ludzie... nie, na pewno są to wspaniali ludzie, ale Martha najwyraźniej czuła, że nie znieśliby wstydu i całej reszty ze względu na to, że jej ojciec jest pastorem.

– To jedna z tych rzeczy, o których bardzo chciałam z nią porozmawiać – wyjaśniła Kate ze smutkiem. – Tylko ona mogła pomóc mi zrozumieć, tylko ona mogła to uzasadnić. I druga: dlaczego się nie ujawniła, gdy moja historia znalazła się w gazecie? To wszystko wciąż nie ma dla mnie sensu. Tymczasem co zrobiłam, gdy spotkałam ją jeden jedyny raz? Nakrzyczałam na nią i powiedziałam, że chcę wiedzieć, kto jest moim ojcem.

– Co... ona na to? – spytał Josh.

– Że nie może mi powiedzieć. Wyjaśniła, że on... że ty o niczym nie wiedziałeś i że teraz po latach nie ma sensu mówić ci o wszystkim.

Zapadło milczenie. Po chwili Kate podjęła swoją opowieść.

– Nakrzyczałam na nią. Bardzo. Teraz tego żałuję. Powiedziała, że chciałaby mi coś wyjaśnić. Spytała, czy mogę jej wysłuchać. Nie chciałam, dlatego szybko wyszłam. Żałuję – powtórzyła i zaczęła płakać – że jej nie wysłuchałam. To mogłoby mi pomóc. Siedzieli przez chwilę, patrząc na rzekę.

– Chociaż – wróciła do tematu – niezależnie od tego, co by mi powiedziała, najwyraźniej się mnie wstydziła. Wstydziła się, że mnie urodziła. To nie jest dla mnie zbyt miła świadomość.

– Ja się ciebie nie wstydzę – zapewnił Josh, obejmując ją ramieniem i całując w czubek głowy. – Jestem z ciebie bardzo dumny.

Gdy Kate wróciła do domu, Helen i Jim czytali. Helen uśmiechnęła się do córki, Jim nawet nie uniół głowy znad gazety.

– Jak było, kochanie?

– Fajnie. Naprawdę. Przypuszczam, że Jocasta powiedziała wam, że moim ojcem jest jej brat, Josh.

– Tak, powiedziała, ale uznaliśmy, że to oni powinni cię o wszystkim poinformować. Co ty na to? Chociaż nie, to głupie pytanie.

– Wcale nie. Myślę, że gdy oswoję się z tą myślą, będę zadowolona. Josh jest miły. Naprawdę miły. Co więcej, gdy tylko się o tym dowiedział, od razu przyszedł mi powiedzieć. Uważam, że to wspaniale. Nie tak jak ona. Chociaż – dodała – teraz nawet Martha wydaje mi się nieco sympatyczniejsza.

– Co on robi? – spytał Jim. – Ten twój chodzący ideał?

– Jim – upomniała go Helen.

– Pracuje u swojego ojca. Nie bardzo odpowiada mu to zajęcie. Wolałby być fotografem.

– Chyba ojciec całkiem nieźle mu płaci – zauważył Jim. – Ma nieźle auto.

– Tak, jest super.

– Przypuszczalnie teraz, kiedy go znalazłaś, często będziesz się z nim spotykać – powiedział Jim.

– Chyba tak. Przynajmniej mam taką nadzieję. Spojrzała na Jima, a potem podeszła do niego, usiadła mu na kolanach i zarzuciła ręce na szyję.

– On jest bardzo miły – zapewniła – dość przystojny i zabawny, ale to ty jesteś moim tatą. Nadal nim jesteś.

Rozdział Czterdziesty Trzeci

– Co się... właściwie stało?

Lekarz wyglądał na zaniepokojonego; jak na lekarza – nawet bardzo zaniepokojonego.

– Zemdlała. Usłyszałem, że coś upadło, pobiegłem na piętro i... zobaczyłem, że moja żona leży na podłodze. Upadając, musiała uderzyć się w głowę.

– No cóż, tętno ma dość wolne i, oczywiście, w miejscu, gdzie się uderzyła, będzie miała brzydkiego guza, nie sądzę jednak, by doznała wstrząśnienia mózgu. Jest bardzo... chuda – dodał.

– Niepokojąco chuda.

– Wiem. Po prostu nic nie je. To koszmar, Douglasie. Próbowałem wszystkiego. Postępuje trochę tak, jakby...

– Nie chciała dalej żyć? Biedna Grace. Chociaż sam nie wiem... jak ty to znosisz.

Douglas Cummings był niemal rówieśnikiem Petera i Grace, zajmował się ich dziećmi.

– Hmm... – Peter Hartley westchnął. – Ja też nie wiem. Chyba po prostu każdy musi jakoś pogodzić się z losem, ale Grace zdecydowanie nie daje sobie rady. Wciąż powtarza, że mnie Bóg pomaga, a jej nie. Mówi, że straciła wiarę. Że mnie jest łatwiej. I... może ma rację. Chociaż chyba nie użyłbym słowa „łatwiej”. Może „mniej okropnie”. Tak czy inaczej, to ją złości. Nie widzi sensu życia. Rzeczywiście uwielbiała Marthę. Matki nie powinny wyróżniać żadnego ze swoich dzieci, ale...

– Biedna Grace zawsze miała słabość do Marthy – dokończył za niego Cummings. – Rzeczywiście była wyjątkową młodą kobietą.

– To prawda. Trudno mi się pogodzić z myślą, że tak inteligentna istota rozstała się z tym światem w tak młodym wieku. Grace ożywia się tylko wtedy, gdy odwiedza ją Ed. Traktuje go jak ogniwo łączące ją z Marthą. Niestety, chłopak wrócił do Londynu, a ja... o Boże... nie wiem, co mogę dla niej zrobić, jak jej pomóc.

– Obawiam się – powiedział doktor Cummings – że jedynym lekarstwem jest czas. Chociaż na pewno będziemy musieli wymyślić dla niej jakąś terapię. Głodzenie się jest jednym z najtrudniejszych wyzwań dla medycyny. Niezależnie od wieku pacjenta – dodał. – Spróbuj ją skłonić, żeby zaczęła przyjmować któryś z suplementów, a ja się zastanowię, co z tym fantem zrobić.

Na pewno nie chciałbym brać jej do szpitala, ale...

– O Boże, nie! Proszę, nawet o tym nie myśl!

– Obawiam się, że w którymś momencie będzie to konieczne – ostrzegł lekarz.

Po jego wyjściu Peter Hartley poszedł na górę i zajrzał do Grace. Spała. Miała dziwnie napiętą twarz, a na jej czole w miejscu uderzenia tworzył się brzydki siniak. Sprawiała wrażenie bardzo wątłej, jakby się skurczyła, i najwyraźniej było jej zimno. Pastor przyniósł z gościnnego pokoju dodatkową kołdrę i delikatnie przykrył żonę, potem postanowił chwilę przy niej posiedzieć. Podczas wizyty lekarza była wyraźnie zażenowana; lepiej, żeby po przebudzeniu

ujrzała znajomą twarz.

Zawsze była pełna życia. Nawet gdy kręgosłup bolał ją tak bardzo, że z trudem się poruszała, uparcie twierdziła, że dobrze się czuje; wciąż powtarzała, że nie można się poddawać. Brała wtedy sporo środków przeciwbólowych. Peter mówił jej, że nie powinna, ale ona uważała, że to mniejsze zło. Nic jej nigdy nie pokonało, aż dotychczas. Westchnęła i otworzyła oczy. Uśmiechnął się do niej.

– Witaj, Grace.

Nie odpowiedziała uśmiechem; spojrzała na niego bez wyrazu, a potem odwróciła się na bok, tyłem do niego.

– Napijesz się herbaty, kochanie?

– Nie, dziękuję – odparła uprzejmie. – Nie potrzebuję niczego. Zostaw mnie w świętym spokoju, Peterze.

Clio była wściekła. Fergus i ona zaplanowali na koniec sierpnia krótkie wakacje we Włoszech; właściwie miał to być tylko długi weekend, ale nie mogła się już doczekać kilku dni spędzonych razem i możliwości nacieszenia się sobą nawzajem, z dala od historii Jocasty i Gideona, Josha i Kate. Czasami zastanawiała się, czy nie powinna zostać w cudownie spokojnym Guildfordzie i dalej pracować jako lekarz pierwszego kontaktu. Może nie miałyby szansy na zrobienie tam oszałamiającej kariery, ale też nie byłaby narażona na nieustanny, wyczerpujący dramat. Pierwszego października miała zacząć pracę w Royal Bayswater.

Zostało jeszcze dość czasu, żeby złożyć wypowiedzenie, wystawić mieszkanie na sprzedaż i znaleźć w Londynie jakiś kąt, a wcześniej wybrać się na krótkie wakacje.

Niestety, właśnie zadzwonił Fergus i powiedział, że nie może wyjechać.

– Och, Fergusie! Dlaczego?

– Zaczynam współpracę z nowym, bardzo dobrym klientem, co może mi zająć kilka tygodni.

– I to jest ważniejsze od naszych wakacji?! Świetnie!

– Clio, przepraszam, ale muszę być realistą.

Nie mam w tej chwili zbyt wielu pieniędzy. Jeśli nie będę pracował, nie będę zarabiał. Sama wiesz, że ostatnio nie powodziło mi się najlepiej. Kate mnie zawiodła...

– Fergusie! Uważam, że posuwasz się trochę za daleko. To młodziutka dziewczyna, która ostatnio bardzo dużo przeżyła. Potrzebuje wsparcia, nie nacisków.

– Oczywiście, ale jest i druga strona medalu. Mocno się nabiedziłem, żeby wszystko zorganizować, na dodatek wcale nie chodzi tu o kilka funtów, lecz o naprawdę duże pieniądze i poważny kontrakt, tymczasem ostatecznie wszystko zależy od kaprysu szesnastolatki.

– Właśnie. Szesnastolatki. A tak swoją drogą, kim jest twój nowy klient?

– Och... następny sławny chłopiec. Okropnie wykorzystywany, dosłownie i w przenośni, przez swojego menedżera. Piosenkarz, któremu ten drań...

– Nie chcę znać szczegółów, Fergusie. I coś takiego ma nam przeszkodzić w wyjeździe do Włoch?

– Tak. To praca, Clio, jak...

– Praca?!

– Tak, praca. Wiem, że nią gardzisz, ale ja w ten sposób zarabiam na życie i jak powiedziałem wcześniej, nie umiem inaczej. Niestety, nie mam szansy na doskonale płatną pracę lekarza specjalisty w szpitalu ani niesienie pomocy słabym i udręczonym, tak jak ty.

– Daj spokój – zaprotestowała Clio. – Nie zaczynaj wszystkiego od nowa!

Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

Pół godziny później zadzwoniła, żeby przeprosić, ale odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Lekarka postanowiła, że nie będzie zostawiać wiadomości.

Fergus miał poważne problemy finansowe. Sprawa Kate mocno nadwreżyła jego budżet. Gideon nie spełnił swojej obietnicy, chociaż zarzekał się, że będzie za wszystko płacił, póki dziewczyna sama nie zacznie na siebie zarabiać.

Po prostu zapomniał, a Fergus nie chciał się upominać. Kiedy po raz ostatni sprawdzał konta, miał siedemset funtów na rachunku swojej firmy i spory debet na rachunku osobistym. Będzie musiał jeszcze bardziej go powiększyć, żeby zapłacić czynsz. Był zły na Clio i nie mógł się pogodzić z jej negatywną oceną jego osoby i pracy. Przysiękł sobie, że nie wróci do niej na jedno skinienie palcem. Zadzwoniła następnego ranka.

– Przepraszam – powiedziała. – Za wczoraj.

– W porządku.

– Posłuchaj... a może to ja pokryję nasze wakacje? Fergus poczuł, że ogarnia go złość.

– Nie, Clio. Po pierwsze, muszę zostać w Londynie, bo mam nowego klienta, po drugie, nie chcę być twoim dłużnikiem.

– To śmieszne! Chętnie za ciebie zapłacę.

– Nie chcę, chociaż to miłe z twojej strony. Próbuję prowadzić interes, Clio. Wiem, że nie traktujesz mojego zajęcia zbyt poważnie i uważasz, że jest niewiele lepsze od prowadzenia burdelu...

– Nieprawda!

– Wciąż wyraźnie dajesz mi to do zrozumienia. Widocznie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Więc... spróbujmy nieco ochłonać, dobrze?

– W porządku. Po prostu chciałam zrobić coś, żebyś przestał wywierać nacisk na Kate.

– To, co powiedziałaś, jest okropne! – warknął i rozłączył się.

Jocasta snuła się bez celu po supermarkecie, gdy nagle pod wpływem nieoczekiwanej myśli ugięły się pod nią kolana, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios.

Czuła się bardzo samotna. Była połowa sierpnia i wszyscy wyjechali; nawet gdyby chciała, nie mogła się spotkać z żadną ze swoich dawnych przyjaciółek. We wrześniu musi koniecznie nawiązać z nimi kontakt, nie może unikać ich bez końca i ukrywać, że jej małżeństwo się rozpadło.

Nawet Clio wyraźnie się odsunęła; powiedziała, że na ten weekend nie przyjeżdża do

Londynu, i nie zaprosiła Jocasty do Guildfordu.

Nick nie dawał znaku życia, nie przysłał nawet obiecanej widokówki. Codziennie rano wstawała z myślą, że do niego zadzwoni, ale tego nie robiła. Nie mogła. Nie chciała, by pomyślał, że mu się narzuca.

Nie miała również żadnych wieści od Gideona, nawet od jego adwokatów, ale poprzedniego dnia w „Evening Standard”

pojawiło się jego zdjęcie. Był uśmiechnięty i wyraźnie zadowolony z siebie. Wyglądał na znacznie szczęśliwszego niż ona. Podpis informował, że wybiera się na krótką wyprawę na wschodnie wybrzeże Ameryki. Przypomniała sobie domy, które tam znalazła i które chciała obejrzeć. Na chwilę złość zamieniła się w smutek. Jocasta mogła jechać razem z nim, a wtedy we dwoje mogliby je obejrzeć, nawet wybrać któryś z nich; dzięki temu miałyby jakieś dodatkowe zajęcie.

Wtedy nasunęła jej się naprawdę okropna myśl, że może wcale nie jest za późno. Chyba jest z nią już bardzo, bardzo źle.

No, Jocasto, wróć na ziemię. Kawa, herbata, trochę mleka, bo ostatnie wyrzuciłaś. Chleb, najlepszy będzie ten. Kosmetyki:

szampon, mydło. Tampony i... W tym momencie jakby przejrzała na oczy.

Nie bądź głupia. W końcu to tylko jeden dzień, tylko jeden. Nie, dwa. Ściśle mówiąc, bardzo dokładnie pamiętała datę ostatniej miesiączki, która zaczęła się tego wieczoru, kiedy Jocasta odeszła od Gideona, czyli w feralny czwartek. Dwa dni spóźnienia to jeszcze żaden problem. Naprawdę.

Hm, jednak trudno sprawę lekceważyć, jeśli ma się okresy tak regularnie, że można by według nich nastawiać zegarek.

Oczywiście, wszystko dzięki pigułkom. No właśnie, nie ma powodu do obaw. Nie zachodzi się w ciążę, jeśli przyjmuje się tabletki. Naprawdę. Chyba że zapomni sieje wziąć, co Jocaście nigdy się nie zdarzało. Zbyt dużą wagę przywiązywała do antykoncepcji.

Albo – tym razem ta myśl ją dobiła – ma się jakieś problemy z żołądkiem. Miała. I to poważne. Przez dwa dni męczyły ją torsje oraz biegunka i... nie brała tabletek. Doszła do wniosku, że nie musi – nie przewidywała upojnej randki w łóżku. Tyle że... ją miała. Prawda? Z Nickiem, cudowną randkę z Nickiem tuż po problemach z żołądkiem, dokładnie w samym środku cyklu. O Boże! O mój Boże!

Uspokój się, Jocasto. Okres spóźnia ci się zaledwie o dzień. W porządku, o dwa. To jeszcze nic takiego. Czasami się zdarza. Może nie jej, ale innym kobietom na pewno. Więc równie dobrze może się zdarzyć i jej. Tak właśnie jest: po prostu spóźnia się jej okres.

Tak czy inaczej, nie ma się czym martwić. Na wszelki wypadek warto jednak wykonać test. Można go robić już w dniu, w którym powinno się mieć okres, a dokładność wynosi około osiemdziesięciu pięciu procent. Pójdzie do drogerii, kupi test, wróci do domu, otrzyma negatywny wynik, od razu poczuje się lepiej, a pewnie lada chwila miesiączka i tak się pojawi.

Zerknęła na zegarek: dwadzieścia po piątej. Jeżeli pójdzie na piechotę do Boots albo do apteki przy North End Road, na pewno jeszcze zdąży. Kiedy dotarła do Boots, było już zamknięte.

Mogła zdecydować się na wyprawę do jakiejś apteki, która działa do późna, albo poczekać do następnego dnia. Wybór był prosty. W Wandsworth jest apteka czynna do siódmej wieczorem. Na pewno.

Niestety, gdy młoda kobieta tam dotarła, zastała zamknięte drzwi.

W soboty pracowali do pierwszej po południu, jak głosiła wywieszka.

Jocasta pojechała do domu i zaczęła gorączkowo przerzucać żółte strony książki telefonicznej.

Kate przygotowywała się do wyjścia z Natem.

To niesamowite, ale gdy dowiedziała się, że Josh jest jej ojcem, od razu poczuła się znacznie lepiej. Cieszyło ją, że brat Jocasty od razu jej o tym powiedział, co więcej, chciał zostać jej przyjacielem. Naprawdę.

– Na razie nie czuję się twoim ojcem – wyznał. – Chyba muszę się... trochę oswoić z tą myślą. Może więc zaczęlibyśmy od przyjaźni?

Ze słów Josha jasno wynikało, że nie znał zbyt dobrze Marthy.

Kate wolałaby, żeby jej rodziców łączyła namiętna, zakazana miłość, ale Josh, nawet jeśli chwilami zachowywał się jak bęcwał, był taki miły, że z pewnością musiał bardzo lubić Marthę, nie chodziło mu tylko o seks. Poza tym gdyby wiedział o... gdyby wiedział o ciąży, pomógłby Marcie. Czują to. Nastolatka nie mogła zrozumieć, dlaczego Martha mu o niczym nie powiedziała.

Najwyraźniej nie zrozumie już bardzo wielu rzeczy. Przekonała się jednak, że była powszechnie lubiana. Cieszyło to Kate. A Ed, cudowny Ed, też przejawiał wiele ciepła i naprawdę kochał Marthę. Dziewczyna nigdy nie widziała, by mężczyzna tak płakał na pogrzebie; następna rzecz, której nie mogła zrozumieć.

Gdy tylko Kate lepiej się poczuła, od razu nabrała ochoty na ponowne spotkanie z Natem. Teraz wszystko zaczynało mieć sens.

Zastanawiała się nawet, czy nie porozmawiać z Fergusiem i jeszcze raz dokładnie nie przedyskutować kontraktu ze Smithem.

Może nie jest za późno. Fergus wspomniał, że drzwi nie zostały zamknięte. Trzy miliony dolarów to naprawdę bardzo dużo pieniędzy... Już powiedziała mu, że przyjdzie na sesję zdjęciową „Style”, co chyba go ucieszyło. Szczerze mówiąc, nie mogła się tego doczekać, zwłaszcza że bardzo chciała porozmawiać z fotografem.

Właśnie próbowała rozplatać włosy, gdy zadzwoniła Jilly.

– Cześć, kochanie, jak się miewasz?

– Świetnie. Mama mówiła ci o Joshu? Bracie Jocasty?

– Tak. Co za cudowny zbieg okoliczności! A może wcale nie. Tylko pomyśl, Kate, gdybym tamtego wieczoru nie upadła na schodach, nic by się nie zdarzyło.

– Taak, wiem. Już do tego doszłam.

– Podobno... go polubiłaś.

– Tak. Naprawdę. Nie potrafię traktować go jak ojca, ale jest zabawny, cudownie się z nim rozmawia i w ogóle. Nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie moje pytania, ale przynajmniej się stara. Jest bardzo elegancki i bogaty, babciu, spodobałby ci się. Jak to powiedziała mama? Chyba jakoś tak: „Tylko poczekaj, aż babcia się dowie, gdzie chodził do szkoły. Z wrażenia dostanie zawału serca”.

– Człowieka lubi się nie za to, że wywodzi się z tej lub innej klasy – powiedziała Jilly trochę sztywno.

– Jasne – potwierdziła Kate.

Jocasta stała w łazience, czując, że serce wali jej jak młot. W końcu pojechała do Boots na Piccadilly, bo tam było otwarte przez całą dobę. Test ciążowy kosztował ją dziewięćdziesiąt funtów, bo nie miała gdzie zaparkować i zostawiła samochód na żółtej linii przy Jermyn Street z odręcznie napisaną karteczką, że wraca za pięć minut; tymczasem, oczywiście, stała piętnaście, bo najpierw straciła trochę czasu, zanim znalazła te okropne testy, przeczytała wszystkie instrukcje i zdecydowała, który będzie najlepszy, a potem musiała stanąć w kolejce do kasy. W długiej kolejce złożonej głównie z turystów. W części aptecznej też było rojno, jakby wszyscy ćpuni nagle postanowili uzupełnić zapasy. Gdy wróciła do samochodu, miała już wypisany mandat. Zadowolona z siebie policjantka właśnie wkładała go za wycieraczkę.

– Proszę – powiedziała Jocasta – bardzo proszę! Kupowałam tylko coś w Boots. Zostawiłam karteczkę, więc...

Policjantka wzruszyła ramionami.

– To wcale nie znaczy, że nie dostanie pani mandatu.

– Ale to był nagły wypadek! Kobieta nawet się nie odezwała. Najważniejsze, że Jocasta dostała w końcu test. Teraz pojedzie do domu i dowie się, na czym stoi. Może zresztą już ma okres. Była taka... obolała.

Zrobiła test.

Instrukcja była przejrzysta: należało przez pięć sekund („tylko pięć sekund” – napisano tłustym drukiem) przytrzymać koniec patyczka, który wyglądał jak termometr, w swoim moczu, a potem na minutę skierować tenże koniec w dół. Na drugim końcu patyczka znajdowały się dwa okienka. Mniej więcej po upływie minuty w jednym z okienek powinna się pojawić niebieska linia, a potem w drugim można odczytać ostateczny wynik. Plus oznacza ciążę, minus – nie.

Jocasta odliczyła pięć sekund, trzymając patyczek w moczu, a potem czekała. Minutę. Za minutę poczuje się lepiej. Za minutę pojawi się elegancki minus, który powie jej, że nie jest w ciąży, i... o Boże! Był. Cudowny minus. Nie jest w ciąży! Niepotrzebnie tak się bała. Przecież od początku było wiadomo, że jest to niemożliwe. Pod wpływem ulgi zakręciło jej się w głowie. Teraz... Zadzwoił dzwonek do drzwi. Wrzuciła test do pudła kartonowego pod zlewem i poszła otworzyć. Jakiś młody człowiek prosił, żeby dofinansowała jego wyprawę w Himalaje. Jocasta

dała mu dwadzieścia pięć funtów i otworzyła butelkę szampana, by uczcić negatywny wynik testu.

– Okropnie wyglądasz, Gideonie.

– Dzięki. Pewnie z powodu upału. Wiesz, jak bardzo go nie cierpię.

Wcale nie był w podróży służbowej w Stanach, jak powiedział dziennikarzowi na Heathrow, ale na Barbadosie.

– Możliwe.

Aisling Carlingford wrzuciła smukłymi, opalonymi ramionami i upiła łyk owocowego koktajlu z kawałkami pokruszonego lodu.

– Nie musiałeś przyjeżdżać.

– Wiem. Chciałem się zobaczyć z Fionnualą.

– Już ją zobaczyłeś. Jest tam, pływa w basenie. Więc możesz wrócić do swojej deszczowej i mglistej Irlandii. Wygląda ślicznie, prawda?

– Bardzo.

Fionnualą zauważyła, że ją podziwiają, wyszła z basenu, zanurkowała w nim i przepłynęła spory kawałek pod wodą. Wyłoniła się obok nich z uśmiechem na twarzy.

– Cześć, tato. Wyglądasz, jakby ci było za gorąco.

– Bo jest mi za gorąco – powiedział Gideon poirytowany.

– To przyłącz się do mnie.

– Za chwilę. Możemy po południu wybrać się na przejażdżkę konną?

– Przykro mi, mam lekcję polo. Mama z tobą pojedzie, prawda, mamusiu?

– Być może – odparła Aisling, zaskakując go. – Późnym popołudniem, jak już będzie chłodniej.

– Zgoda. Dzięki. Uważnie mu się przyjrzała.

– Gdzie podziałeś swoją śliczną młodą żonę?

– Mówiłem ci. Jest w Londynie. Albo w Berkshire. Nie wiem.

– Dlaczego ją zostawiłeś?

– Przecież nie mogłem jej tu przywieźć, Aisling.

– Nie wyszło, prawda?

Gideon zawahał się, potem rzekł z ociąganiem:

– Owszem. Nie wyszło.

– Nie powinieneś się z nią zenić. To był niefortunny związek.

– Myśle, że tak. Okazało się, że nie jest taka, jak myślałem.

– Nie to miałam na myśli. Uważam, że popełniła poważny błąd, Gideonie, wychodząc za ciebie za mąż. Nie byłeś dla niej, wiesz?

– Chyba jesteś trochę niesprawiedliwa.

– Naprawdę? Wystarczyło na was popatrzeć, by zauważyć, że kompletnie ją zdominowałeś.

– Aisling, Jocasta nie jest naiwnym dzieckiem. To bardzo mądra dziewczyna, dobra

dziennikarka. Ma bogatego, dobrze prosperującego ojca.

– Daj spokój, Gideonie. Co ona wiedziała o twoim życiu? O tym, jak ono wygląda? Przede wszystkim jest od ciebie o wiele lat młodsza. Dla jej rówieśnic małżeństwo oznacza coś zupełnie innego. Nie było szansy, żeby zrozumiała, czego oczekujesz od niej jako od swojej małżonki. Serdecznie jej współczuję.

– Współczujesz jej?

– Tak. Nawet bardzo.

– To śmieszne – skwitował Gideon.

– Tylko nie próbuj się złościć. Lepiej się dobrze zastanów. Przypuszczalnie myślałeś, że ją kochasz.

– Bardzo... bardzo ją kochałem. Wciąż ją Kocham.

– Bzdura! Jesteś zakochany w miłości, zawsze tak było. Jesteś staroświeckim romantykiem, dlatego się w tobie zadurzyłam. Podejrzewam, że piękna zdobycz mile połaskotała twoją dumę. Próbowales powiedzieć wszystkim: tylko popatrzcie, co udało mi się upolować. Prawdę mówiąc, Gideonie, powinieneś się wstydić. Przypuszczalnie większe wrażenie robiła jako żona niż dziewczyna, jednak...

– Bardzo chciała wyjść za mnie za mąż – wyjaśnił Gideon. – To był jej pomysł. Praktycznie rzecz biorąc, siłą zaciągnęła mnie do urzędu stanu cywilnego w Vegas.

– Na pewno, zwłaszcza że tobą bez problemów można manipulować, prawda? Tak łatwo cię skłonić, żebyś zrobił coś, na co nie masz ochoty! Nie licz, Gideonie, że uwierzę. Wszystko jest dla mnie całkiem jasne. Gdy miesiąc miodowy dobiegł końca, ty wróciłeś do pracy, a ona została sama i mogła jedynie kręcić młynka swoimi pięknymi palcami.

Na pewno czuła się tym gorzej, że rysowała się przed nią wspianała kariera. Cześć, Kochanie – powitała córkę.

– Cześć!

Ociekająca wodą Fionnuala podeszła do nich i rzuciła się na leżak obok ojca.

– Jestem głodna, mamó. Kiedy lunch?

– Za godzinę. Chyba że chcesz go zjeść wcześniej.

– Chcę.

– W takim razie poproś o coś w kuchni.

– Dobrze. Jak miewa się Jocasta, tato? Jest naprawdę super.

– W porządku – odparł Gideon z wielkim trudem.

– Cieszę się. Zobaczymy się później.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała Aisling, gdy dziewczyna zniknęła z pola widzenia.

– Nie wiem. Jocasta prosi o rozwód.

– To go jej daj. Wiem, że jest ci trudno, ale po co upierać się przy czymś, co się nie sprawdziło? Zresztą prawdopodobnie nawet nie wzięliście ślubu jak należy. Potraktuj rozwód jako prezent ślubny dla Jocasty – zaproponowała i roześmiała się z własnego żartu. Gideon wstał,

zanurkował w basenie, przepłynął kilka długości, a potem usadowił się na drugim końcu i spojrzał na swoją byłą żonę. Swoją drugą byłą żonę. Wciąż była śliczna. Jasnowłosa, smukła jak trzcina, ale z pełnymi piersiami. Jej niemal pozbawiona zmarszczek twarz stanowiła dowód, że współczesna kosmetyka potrafi zdziałać cuda. Bardzo ją kochał. Tak samo jak Jocastę, może nawet bardziej. Aisling miała rację, rzeczywiście był romantycznym głupcem. I rzeczywiście nie powinien żenić się z Jocastą. Którą wciąż kochał... przynajmniej do pewnego stopnia. Może wystarczy mu miłości, by... zwrócić swojej trzeciej żonie wolność.

Po lunchu, gdy Aisling odpoczywała, napisał kilka e-maili.

Jocasta wpatrywała się w mały błękitny plus. Tym razem nie minus, lecz plus, który oznaczał ciążę. To takie proste. Była na plusie. Coś jej przybyło. Cięża. Dziecko. Dziecko Nicka.

Czuła się bardzo dziwnie. Nie do końca tak, jak się spodziewała.

Stało się coś, czego potwornie bała się przez całe życie, dlatego była zaszokowana i przestraszona, wręcz przerażona, ale czuła też coś jeszcze. Coś, co do pewnego stopnia przypominało zachwyt, wręcz podziw. Że coś takiego mogło się zdarzyć. Że ona i Nick spłodzili dziecko. Że pokochali się i dali początek nowemu życiu. Czemuś, co częściowo było jej, a częściowo Nicka. To była niezwykła myśl.

Tyle że... oczywiście, to nie było dziecko, lecz zlepek komórek. Była... w którym?... trzecim tygodniu ciąży... no, w połowie czwartego, a przyszłe maleństwo miało zaledwie rozmiar główki od szpilki. Maleńki jak główka szpilki zlepek komórek, którego można się pozbyć. Szybko i łatwo. Oczywiście, musi się go pozbyć.

Pomijając fakt, że za nic w świecie nie mogła urodzić dziecka – nawet myśl o zlepku komórek wewnątrz jej ciała wywoływała w niej panikę – co by, do diabła, powiedział na to Nick? Mężczyzna, który dostawał uczulenia na myśl o podjęciu jakiegokolwiek zobowiązania, facet, który nawet nie chciał słyszeć o wspólnym mieszkaniu, a tym bardziej małżeństwie. Jak zareagowałby na wiadomość, że jest ojcem? No, może nie jest ojcem, ale ma szansę nim zostać. Nie, to było absolutnie nie do pomyślenia. Postanowiła spotkać się z Clio.

Naturalnie, Clio udzieliła jej samych nieodpowiednich rad. Żeby nie podejmowała zbyt pochopnych decyzji. Żeby zaczekała kilka dni, bo testy nie są do końca wiarygodne, zwłaszcza w bardzo wczesnym okresie ciąży. Żeby upewniła się, czy ojcem naprawdę jest Nick. Żeby mu o tym powiedziała.

– Mam powiedzieć Nickowi?! Clio, czyś ty zwariowała? Nie mogę tego zrobić. Byłby przerażony, uciekłby, gdzie pieprz rośnie, od dziecka i ode mnie. Nie, muszę po prostu... muszę po prostu usunąć ciążę tak szybko, jak to możliwe i...

– Jocasto, uważam, że powinnaś mu powiedzieć. Jeśli naprawdę jesteś w ciąży i jeśli to naprawdę jego dziecko, powinien o tym wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo to również jego dziecko. Nie można pomijać czegoś takiego milczeniem i decydować o usunięciu ciąży, nie mówiąc o niczym ojcu dziecka.

– Clio, nie znasz Nicka tak dobrze jak ja. Nie będzie go chciał. Nawet nie będzie chciał mnie. A jeśli zastanawiasz się, czy mu osobiście o tym nie powie, lepiej od razu zrezygnuj z tego pomysłu. Musisz mi obiecać, że tego nie zrobisz. Obiecuj, Clio, na własne życie...

Płakała. Clio podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

– Nie powiem mu o niczym. Klnę się na życie, nie zrobię tego.

– Nigdy?

– Nigdy. Usiądź i napij się herbaty.

– Poproszę o kawę. Dobrą i mocną.

– Świetnie.

Clio powędrowała do kuchni. Jocasta poszła za nią i usiadła przy stole.

– Może wcale nie jesteś w ciąży. Kiedy powinnaś mieć okres?

– W poprzedni czwartek.

– To bardzo niedawno. Test mógł dać błędny wynik. Nie czujesz się... jakoś dziwnie? Może masz mdłości, jesteś zmęczona albo...

– Zdecydowanie nie – zapewniła Jocasta.

– Na twoim miejscu zaczęłabym jeszcze kilka dni, a potem zrobiła następny test i wybrała się do ginekologa, żeby spytać go o zdanie... – Ją – poprawiła Jocasta.

– Ją. Na wynik testu mogą wpływać różne czynniki. Zakładam, że wciąż bierzesz tabletki antykoncepcyjne. Proszę, to twoja kawa. Jocasta upiła łyk, odstawiła filiżankę i skrzywiła się.

– Boże, co za obrzydlistwo! Clio, co ty mi tu wsypałaś? Robi mi się niedobrze.

Clio przez chwilę przyglądała się jej w całkowitym milczeniu, potem powiedziała:

– Jocasto, bardzo mi przykro, ale to chyba przesądza sprawę.

Podejrzewam, że naprawdę jesteś w ciąży. Sarah Kershaw potwierdziła diagnozę Clio. Od lat była ginekologiem Jocasty, miała niewiele ponad czterdzieści lat i sporo sukcesów na swoim koncie.

– Dla pewności zrobię badanie laboratoryjne. Możemy wykonać je jeszcze dzisiaj. Jak sądzisz, uda ci się oddać trochę moczu?

– Na pewno. Ostatnio bez przerwy sikam.

– Niestety, to jeszcze jeden objaw. Przykro mi, Jocasto, ale i tak zrobimy badanie. Powiedz mi, jakie masz zamiary.

– Chcę usunąć ciążę. Zdecydowanie. I jednocześnie poddać się sterylizacji.

– To bardzo drastyczna decyzja.

– Wcale nie. Od lat miałam zamiar to zrobić. Przecież dobrze pani o tym wie.

– To prawda, ale teraz jesteś zdenerwowana, twoje hormony szaleją...

– Nie jestem zdenerwowana, pani doktor, a moje hormony nie mają powodu do szaleństw. Jestem bardzo spokojna. Podjęłam już decyzję.

– Hm... wszystko zależy od ciebie. Czy... czy rozmawiałaś na ten temat z mężem?

– Nie. Rozwódzimy się. Więc... nie ma potrzeby.

– On może być innego zdania.

– Jeśli chodzi o rozwód?

– Tego nie potrafię ci powiedzieć. Miałam na myśli dziecko. Jocasta milczała; nie mogła powiedzieć Sarah Kershaw, że to nie jest dziecko Gideona, że zostało poczęte w wyniku cudzołóstwa w jedno szalone popołudnie.

– Posłuchaj – powiedziała Sarah Kershaw. – Oczywiście, ostatnie słowo należy do ciebie. Obecnie przeżywasz duży stres związany ze swoim małżeństwem, ale czy jesteś pewna, że ono całkiem się rozpadło? Nieodwracalnie?

– Przepraszam – oświadczyła Jocasta – ale nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o swoim małżeństwie.

– Wiem, ale nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, nie stać cię w tej chwili na logiczne myślenie. Może to nie najlepsza pora na podejmowanie ważnych decyzji.

– Myślę całkiem logicznie. Bardzo dobrze się czuję. Nie rozumiem, skąd biorą się wszystkie opowieści o złym samopoczuciu kobiet w ciąży. Ani razu nie wymiotowałam i wręcz rozpięramnie energia.

– Szczęściara z ciebie. Cieszę się. Mimo to, uwierz mi, nie jesteś do końca sobą, a to ważniejsza decyzja, niż w tej chwili przypuszczasz. Zwłaszcza sterylizacja.

– Pani doktor, nie potrzebuję cholernych rad. Po prostu ich nie potrzebuję. Chcę usunąć ciążę i poddać się sterylizacji. Co mam w tym celu zrobić?

– Gdybym chciała tylko dokonać aborcji – powiedziała do Clio – wystarczyłaby konsultacja i zabieg mógłby się odbyć jeszcze tego samego dnia. Ponieważ chcę jednocześnie poddać się sterylizacji, udzielą mi porady, jak oni to nazywają, a potem zapiszą mnie na następny dzień. Nie ma problemu. I tak to zrobię.

Clio nie mogła tego słuchać.

– Co pani doktor powiedziała na temat... na temat konieczności poinformowania ojca? Że ma prawo wiedzieć?

Zdawała sobie sprawę, że nie ma takich przepisów, ale żywiła nadzieję, iż taka sugestia ostudzi nieco zapal Jocasty.

– Powiedziała, że nie muszę tego robić i że on, nawet gdyby chciał, nie mógłby powstrzymać mnie przed dokonaniem aborcji. Wszystko zależy ode mnie. Ode mnie i od lekarzy. Potrzebuję tylko uzasadnienia, które byłoby zgodne z prawem, a ja, oczywiście, je mam. Zmiana warunków życia, jak to nazywają. Więc, przy odrobinie szczęścia... za jakies dziesięć dni będę miała wszystko z głowy. Pójdiesz ze mną?

– Nie – ucięła Clio i rzuciła słuchawkę.

Nie mogła uwierzyć, że Jocasta jest do tego stopnia pochłonięta swoimi sprawami. Czyżby była aż tak niewrażliwa i nie pamiętała, jak Clio rozpacza z powodu swojej bezpłodności? Jak mogła prosić ją, by poszła z nią na zabieg usunięcia ciąży? To bolało bardziej, niż lekarka mogła przypuszczać.

Niemal natychmiast znów odezwał się telefon: pełna wyrzutów sumienia, podniosła słuchawkę. Na pewno Jocasta dzwoni, żeby przeprosić...

– Clio, coś nas rozłączyło. Dostałam wiadomość od Gideona. Zaprasza mnie na spotkanie. Jestem przerażona. Chce, żebym jutro przyszła do jego domu. Mogłabyś potem do mnie wpaść?

– Nie. Nie mogę. Nie zapominaj, Jocasto, że ja też mam swoje życie. Nie mogę rzucać wszystkiego na każde twoje zawołanie. Przykro mi.

Zapadła krótka cisza, potem Jocasta oświadczyła, nie kryjąc zaskoczenia:

– W porządku. Nie ma sprawy. Myślałam, że będziesz chciała mi pomóc.

Clio powiedziała, że jest zmęczona ciągłym udzielaniem pomocy, i po raz drugi odłożyła słuchawkę.

Też mi przyjaciółka! – pomyślała Jocasta. – Gdzie ona się podziewa, gdy naprawdę jej potrzebuję? Siedzi w Guildfordzie i tylko się wścieka. Trudno. Poradzę sobie bez niej. Wszystko będzie dobrze. Wkrótce moje życie wróci do normy. Gdy tylko w przyszłym tygodniu zrobię... zrobię to, co zamierzam, pójdę do Chrisa Pollocka. Jak mogłam myśleć, że uda mi się żyć bez pracy? Bez dotychczasowej wolności i niezależności. Musiałam kompletnie zwariować. Wszystko przez Gideona. Zastanawiała się, co on, do diabła, ma zamiar jutro jej powiedzieć. Nie zmyślała, mówiąc Clio, że jest przerażona, ale email był bardzo przyjacielski; naprawdę czuła, że powinna się z nim spotkać.

Nick wciąż był w Somersecie. Pewnego popołudnia, jeżdżąc konno, tak długo popisывał się przed dziećmi, aż upadł i złamał kość promieniową. Po czterech pełnych bólu godzinach wrócił do domu z ręką na temblaku i zakazem prowadzenia samochodu oraz robienia czegokolwiek przez najbliższe dwa, trzy tygodnie.

– Ale z ciebie idiota! – zganiła go matka. – Jak można galopować przez wrzosowiska! Idę o zakład, że wpadłeś w norę królika, prawda?

– Tak, chyba tak – zgodził się pokornie Nick. – Przepraszam, mamo.

– Przyniosę ci herbaty. Przypuszczam, że dali ci środki przeciwbólowe.

– Tak, ale już przestają działać. Czy mógłbym dostać trochę whisky?

– Uważam, że łączenie whisky ze środkami przeciwbólowymi to kiepski pomysł. Idź do łóżka, a ja przyniosę ci herbatę.

– Dzięki. Mogłabyś przynieść mi komórkę? Muszę powiadomić redakcję.

– Oczywiście. Chociaż uważam, że nic się nie stanie, jeśli nie będzie cię trochę dłużej. Wszyscy okropni ludzie, o których piszesz, wyjechali. Dziś rano widziałam zdjęcie Blairów, chyba w Toskanii albo na Bahamach. Zupełnie nie rozumiem, czemu nie mogą spędzać urlopu w swoim kraju. Po chwili przyniosła Nickowi herbatę i komórkę. Sprawdził, czy nie ma jakiejś wiadomości od Jocasty. Prawdę mówiąc, głównie dlatego chciał mieć telefon przy sobie. Znów nic. Boże, jak on za nią tęsknił! I jak to bolało! O wiele, wiele bardziej niż złamana ręka.

Jocasta pojechała do Kensington Pałace Gardens. Bardzo długo zastanawiała się, co włożyć; ostatecznie zdecydowała się na krótką, czarną, nieco za dużą lnianą sukienkę, która dobrze

maskowała nabrzmiąte piersi. Młoda kobieta bała się, że Gideon to zauważy. Zauważy i domyśli się prawdy.

Z wahaniem zapukała do drzwi; pani Hutching uśmiechnęła się do niej z pewnym skrępowaniem.

– Dzień dobry... pani Keeble.

– Cześć – powiedziała Jocasta.

Próbowała skłonić gospodynię, żeby mówiła jej po imieniu, ale nigdy jej się nie udało, a teraz biedna pani Hutching najwyraźniej nie wiedziała, którego nazwiska użyć.

– Pana Keeble’a jeszcze nie ma. Prosił, żebym podała pani herbatę w salonie wychodzącym na ogród. Obiecał, że wkrótce przyjdzie.

– Świetnie. Dziękuję.

Idąc przez korytarz, Jocasta zerknęła na pocztę. Dostrzegła dwie pocztówki w kolorach sepii. Wzięła jedną z nich do ręki. Było to zdjęcie Exmoor, a kartka pochodziła od Nicka.

– To do mnie – rzekła. – Czemu mi ich pani nie przysłała?

– Nie wiedziałam, że to pani korespondencja. Obie kartki zostały zaadresowane do pani Kucharki, chociaż jest na nich nasz numer. Myślałam, że chodzi o którąś ze sprzątaczek, jakie zatrudniliśmy w agencji na sierpień...

– Są do mnie. Od przyjaciela, a pani Kucharka to... taki żart.

– Rozumiem. Przykro mi.

– Nie ma sprawy.

Nie ma sprawy?! Czekala na te kartki od dwóch i pół tygodnia.

Dlaczego nie pomyślała, że Nick prześle je tutaj? Przecież jest przekonany, że Jocasta wciąż tu mieszka.

Droga Pani Kucharko! Dziękuję pięknie za wspaniałe popołudnie.

Było mi bardzo miło. Mam nadzieję, że od tego czasu Pani zdrowie się poprawiło i że dzięki ślicznej letniej pogodzie udało się Pani odzyskać siły. Tu jest naprawdę uroczo. Wiem, że nie lubi Pani wiejskich pejzaży, ale wrzosowiska to coś fantastycznego, zwłaszcza gdy powietrze jest takie przejrzyste jak teraz. Żałuję, że w przeszłości nie udało mi się namówić Pani na wspólną wyprawę. Z serdecznymi życzeniami Pani uniżony sługa, James Kamerdyner.

Druga kartka była trochę mniej enigmatyczna.

Droga Pani Kucharko! Martwię się, że nie dostała Pani mojej poprzedniej kartki. Mam nadzieję, że jest Pani zdrowa. Proszę dać mi znać. James Kamerdyner.

Wsunęła obie do torebki i podniesiona na duchu powędrowała do salonu, by zaczekać na Gideona. Gdy się pojawił, był bardzo miły, przyjacielski i szarmancki. Oświadczył, że jest mu przykro z powodu nieudanego małżeństwa i że przynajmniej częściowo wina leży po jego stronie. Długo się zastanawiał i doszedł do wniosku, że jeśli Jocasta naprawdę chce dostać rozwód, pomimo pewnego żalu nie będzie protestował. Był pewien, że dojdą do porozumienia w sprawach finansowych, chciałby tylko powiedzieć...

W tym momencie Jocasta nie wytrzymała. Wrócił stary Gideon, życzliwy, łagodny, czarujący. Jak to się stało? Skąd wcześniej wzięły się wszystkie demony? Z przykrością doszła do wniosku, że najwyraźniej to ona musiała je sprowokować.

– Nie chcę żadnych pieniędzy, Gideonie – oświadczyła. – Nie chcę niczego. Absolutnie niczego. Za nic w świecie nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy.

– Ależ możesz.

– Nie mogę. Słowo daję. I bez nich dręczą mnie wystarczająco poważne wyrzuty sumienia.

Po chwili milczenia dodał:

– Może jeszcze zmienisz zdanie. Wyglądasz na zmęczoną... Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze – zapewniła szybko.

Co on by, do diabła, powiedział, gdyby zorientował się, że Jocasta jest w ciąży? Z innym mężczyzną, chociaż podpisy na ich akcie ślubu ledwo zdążyły wyschnąć? Może pomyślałby, że to jego dziecko? To okropne. Boże, co ona wyprawia?!

– Cieszę się. Naprawdę chciałbym, żebyś coś wzięła. Więc gdybyś się rozmyśliła...

– Nie rozmyślę się – zapewniła. – Słowo daję.

– W takim razie zabierz przynajmniej ubrania – zaproponował. – Zajmują tylko miejsce w szafach, a na mnie w ogóle nie pasują. Uśmiechnęła się.

– Och, Gideonie. To takie smutne. Powinniśmy poprzestać na romansie.

– Tyle że ty nie chciałaś mieć romansu – przypomniał jej. – Zależało ci na małżeństwie. Daj spokój, Jocasto, przyznaj, że mam rację.

– Przy... przyznaję – wydukała.

– Chociaż ja nie protestowałem.

– Tak. Zresztą przez większość czasu było świetnie i zabawnie.

– Cieszę się, że tak uważasz. Mnie też było miło. Przez większość czasu. Teraz, proszę... dokończ herbatę, a potem, mam nadzieję, że mi wybaczysz. Muszę wrócić do biura, a wcześniej jeszcze się spakować. Jutro...

– Wyjeżdżasz – dokończyła za niego ze śmiechem. – Och, Gideonie. Tak mi przykro. Brzydko się zachowałam.

– Ja też nie byłem zbyt grzeczny. Przepraszam. No cóż, to było krótkie małżeństwo, ale przez większość czasu szczęśliwe. Dziękuję, że dzisiaj przyszedł. Chciałbym, żebyśmy się rozstali jako przyjaciele.

– Zgoda – powiedziała, podeszła do jego krzesła i pocałowała go w policzek. – Do widzenia, Gideonie.

– Do widzenia, Jocasto. Byłbym... bardzo wdzięczny, gdyby prasa jeszcze przez jakiś czas się o tym nie dowiedziała.

– Nie dowie się. Obiecuję.

Nie dowie się. Jocasta wcale nie chciała, by informacja o ich rozwodzie dotarła do dziennikarzy. Zwłaszcza do jednego, konkretnego dziennikarza.

Chociaż, z drugiej strony, Nick przysłał pocztówkę. Nawet dwie. I najwyraźniej o niej myślał. To miłe.

Wsiadła do samochodu i od razu zadzwoniła na jego telefon komórkowy. Odebrała jakaś kobieta.

– Halo? Pattie Marshall. W czym mogę pomóc?

– Och... przepraszam panią. Mówi Jocasta. Jocasta Forbes.

– Witaj, Jocasto. – Głos był bardzo chłodny. Obie panie nigdy się nie lubiły. – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego to ja się odzywam. Nicholas złamał kość promieniową...

– Co to takiego?

Pattie zawsze używała terminów medycznych; była to jedna z wielu rzeczy, które denerwowały Jocastę.

– To jedna z kości przedramienia. Innymi słowy, złamał prawą rękę.

– Przykro mi. Dobrze się czuje?

– Tak. Spadł z konia... Co za wstyd! To nic poważnego, ale w tej chwili śpi. Prosił, żebym wyłączyła jego telefon, ale zapomniałam.

– Przykro mi. To znaczy, że wciąż jest u państwa?

– Oczywiście. Przecież nie siedziałabym z nim w Londynie.

– No tak. Proszę... życzyć mu dużo zdrowia. Powiedzieć, że mu współczuję. I podziękować za pocztówki. Kiedy... kiedy wraca do Londynu?

– Och... chyba nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił.

– Hm... jeśli będzie miał ochotę. Dziękuję.

– Jesteś w domu?

– Tak – powiedziała, a potem szybko dodała: – Proszę mu powiedzieć, że jestem w Wielkim Domu. Będzie wiedział, o co mi chodzi.

– Dobrze.

Kiedy Nick się obudził, Pattie Marshall przekazała mu, że dzwoniła Jocasta. Życzyła mu dużo zdrowia i powiedziała, że jest w Wielkim Domu.

– Zapewniła, że będziesz wiedział, co to oznacza. Nick zrozumiał, że jego ukochana wciąż mieszka w Wielkim Domu i nie myśli o wyprowadzaniu się z niego. I że... znów ją stracił.

Rozdział Czterdziesty Czwarty

Jutro o tej porze będzie już miała wszystko za sobą. Po prostu... święty spokój. Nigdy więcej nie zajdzie w ciążę. Fantastycznie.

Zresztą i tak wcale nie czuła, że jest w ciąży, więc stan błogosławiony był dla niej czymś całkiem nierealnym. Jakby nic się nie stało. Po prostu wypadła jej jedna miesiączka, a teraz zbliżała się następna. To wszystko. Jocasta nie miała mdłości, bardzo dobrze się czuła; uważała, że kobiety w ciąży robią tylko dużo szumu wokół siebie. Co więcej, nie miała żadnych problemów emocjonalnych. Zdecydowanie. Po prostu nie nadawała się na matkę; obce jej były uczucia macierzyńskie. Byłaby okropną rodzicielką.

Młoda kobieta spojrzała na swój brzuch; był całkiem płaski. Kto by uwierzył, że tam w środku znajduje się coś żywego, a zwłaszcza małeńki człowieczek. Dziecko.

Dziecko jej i Nicka. Może to tylko fantazja, coś, co sobie wyobraziła? Chociaż... wykonała trzy testy, a Sarah Kershaw zrobiła badania; nie było wątpliwości. Jocasta nosiła pod sercem dziecko Nicka.

Zastanawiała się, jak on właściwie by się zachował, gdyby się dowiedział. Byłby przerażony, potwornie przerażony. Salwowałby się ucieczką. A co by zrobił, gdyby się dowiedział, że Jocasta dokonała aborcji, o niczym mu nie mówiąc? Hmm... trudno powiedzieć. Mógłby się gniewać. Mógłby się upierać, że miał prawo wiedzieć, chociaż z całą pewnością nie chciałby dziecka. Więc lepiej, że o niczym nie wie. O wiele lepiej. Nigdy się nie dowie, jedyną wtajemniczoną osobą jest Clio, a ona nigdy nie powie. Nick wciąż przebywa w Somersecie; to bardzo dobrze. Jocasta współczuła mu, że złamał rękę, ale... była z tego zadowolona.

Z drugiej strony Clio zachowywała się bardzo dziwnie; podczas rozmowy telefonicznej była chłodna i zdystansowana. Nawet nie spytała, jak układają się stosunki między Kate i Joshem. Co się z nią dzieje? Jocasta spytała Fergusa, ale on odparł, że nie ma pojęcia; sam też od jakiegoś czasu z nianie rozmawiał. Sądząc po głosie, był przygnębiony, ale gdy Jocasta spytała go, czy ma jakiś problem, zapewnił, że nie. Najwyraźniej kłamał: pokłócili się albo coś w tym stylu. To ją zaskoczyło.

Tak czy inaczej, jutro będzie już po wszystkim. Lekarze ostrzegli ją, że może się czuć nieco obolała, ale to tylko drobna niedogodność. Spotkanie z panią psycholog było głupie i beznadziejne. Czy wszystko przemyślała? Czy na pewno chce się poddać sterylizacji? To bardzo poważna decyzja. Jocasta zapewniła, że wie i że wszystko przemyślała. Zdecydowanie chce się poddać sterylizacji.

– Z tego, co słyszałam, jest pani w separacji z mężem – powiedziała kobieta.

– Tak.

– Z naszego punktu widzenia to wystarczające uzasadnienie aborcji. Doktor Kershaw twierdzi również, że cierpi pani na poważną fobię związaną z porodem. Ciekawe. Skąd się wzięła?

– Hm... jest skutkiem przykrego przeżycia w Tajlandii – odparła Jocasta. – Nie mojego, dziewczyny, z którą leżałam w szpitalu, ale wołałabym o tym nie mówić.

– W porządku. W jakim stanie jest pani zdrowie? Ma pani jakieś problemy? Może jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Poinformowano ją, że spędzi w szpitalu cały dzień i że z powodu sterylizacji zabieg zostanie wykonany pod znieczuleniem ogólnym. Zaproponowano, żeby ktoś po nią przyjechał i odwiózł ją do domu, bo sama nie będzie w stanie wrócić. Hm, jeśli Clio nie zechce jej towarzyszyć – a nie zechce – Jocasta do szpitala pojedzie sama, a z powrotem wróci taksówką. Poradzi sobie. Zastanawiała się, czy to samo czuła Martha: że za dzień lub kilka dni będzie już po wszystkim. Może. Tylko Martha musiała najpierw urodzić dziecko. Na tę myśl Jocaście robiło się słabo, niedobrze i oblewała się potem. Matka Kate była sama, całkiem sama, towarzyszył jej tylko potworny, rozdzierający ból. Jak ona to wytrzymała, jak zdołała odebrać własny poród? Jocasta na siłę zmieniła tok myślenia. To było dla niej po prostu... niewyobrażalne. Nigdy by czegoś takiego nie dokonała. Nigdy. Na szczęście nie musiała. Nie będzie dziecka, nie będzie porodu. Pojutrze. Świetnie. Po prostu świetnie. Tak jest o wiele lepiej. Nagle zadzwonił telefon. To Clio.

– Cześć, Jocasto. To ja.

– O, cześć. – Głos Jocasty zabrzmiał oschle.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Tak? O czym?

– O dziecku. Wiem, że to nie moja sprawa, ale nadal uważam, że powinnaś powiedzieć Nickowi. To również jego dziecko. Nie możesz tego przed nim ukrywać. Nie...

– Clio, nie interesuje mnie twoje zdanie na ten temat. Masz rację, to nie twoja sprawa: to ja jestem w ciąży, to moje ciało i moja decyzja. Nick na samą myśl o jakimkolwiek zobowiązaniu ucieka, gdzie pieprz rośnie. Dotychczas nawet nie chciał ze mną zamieszkać. Nie będzie chciał mieć dziecka.

– Ale...

– Posłuchaj, po co miałabym z nim rozmawiać? Tylko bym go zdenerwowała. A skoro już o tym mowa, właśnie mnie denerwujesz. I to bez powodu.

– Nie bez powodu, Jocasto. Jest powód: dziecko. Możesz... możesz jeszcze zmienić zdanie, a przynajmniej na razie nie poddawaj się sterylizacji.

– Na litość boską, Clio. Nie urodzę go. Wiesz, że nie mogę, poza tym wcale go nie chcę. Jutro po prostu... dokonam aborcji i będzie po wszystkim. Załatwione. Koniec, kropka. Pozamiatane.

– Wołałabym, żebyś tak nie mówiła – szepnęła Clio cicho. – Jocasto, nosisz pod sercem dziecko, a nie jakiegoś pasożyta.

– Jeśli o mnie chodzi, dzieci są pasożytami. Od chwili poczęcia.

– Przestań chrzanić! – powiedziała Clio dziwnym, niemal histerycznym tonem. – Po prostu przestań chrzanić, dobrze?

– To ty zaczęłaś – przypomniała jej Jocasta – więc teraz nie mów, że chrzańię. Może chciałabyś, żebym je urodziła i oddała ci w adopcję? Jak ci się podoba ten pomysł?

– To rzeczywiście jedyny sposób, w jaki mogłabym mieć dziecko – odparła Clio łamiącym się z bólu głosem – więc...

Zapadło okropne milczenie, potem nagle Jocasta wszystko sobie przypomniała. Przypomniała sobie to, czego nigdy ani na chwilę nie powinna zapomnieć. Zrozumiała, jakim błędem było mówienie o wszystkim Clio, wyjaśnianie jej, dlaczego ma zamiar dokonać aborcji. Na litość boską, proszenie, żeby towarzyszyła jej podczas wyprawy do szpitala! Jak Jocasta mogła to zrobić?! Jak mogła być tak niesamowicie, potwornie bezduszna wobec Clio, biednej, słodkiej Clio, która niczego na świecie tak nie pragnie jak dzieci, tymczasem nigdy nie będzie ich miała? Co się z nią dzieje? Jakim cudem przeobraziła się w takiego potwora? Wszystko przez Gideona; to on...

– Clio – powiedziała. – Najmocniej przepraszam. Zapomniałam. Jestem w tej chwili całkowicie zaabsorbowana sobą. Boże, ale ze mnie idiotka, głupia, beznadziejna idiotka! Przepraszam...

– Nie ma sprawy – ucięła Clio i rozłączyła się.

Kiedy Jocasta próbowała do niej zadzwonić, odezwała się automatyczna sekretarka, a na komórce – poczta głosowa.

Dziennikarka miała poważne wyrzuty sumienia, aż zrobiło jej się niedobrze. Myślała, że naprawdę zwymiotuje. Jak mogła tak postąpić, jak mogła być tak okrutna, jak mogła zapomnieć? Clio była jej najlepszą przyjaciółką, a ona tak bardzo ją zraniła.

Bez przerwy dzwoniła i powtarzała: odbierz, Clio, odbierz, Clio, ale Clio nie odbierała.

Co ona zrobiła, dobry Boże, co ona zrobiła?

Jocasta zadzwoniła do Fergususa. Wydawało jej się, że to najlepszy sposób, żeby dotrzeć do Clio. Udzielił bardzo krótkiej odpowiedzi.

– Niestety, Clio i ja w tej chwili nie mamy kontaktu.

– Och, Fergusie, dlaczego? Co się stało? Jesteście dla siebie stworzeni!

– Nazwij to rozbieżnością przekonań – powiedział dość niechętnie. – Co oznacza, że wcale nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Tak mi przykro. Powiesz mi coś więcej?

– Nie.

– Chodzi o to, Fergusie, że koniecznie muszę się z nią skontaktować.

Zrobiłam coś naprawdę, naprawdę okropnego i bardzo chciałabym z nią porozmawiać, ale ona sobie tego nie życzy. Nie odbiera telefonu. Możesz mi jakoś pomóc?

– Raczej nie – odparł ze smutkiem. – Telefonów ode mnie również nie odbiera. Przykro mi, Jocasto. Bardzo chciałabym coś dla ciebie zrobić, ale nie mogę.

– W porządku. Muszę znaleźć jakiś inny sposób. Bardzo zaniepokoił ją głos Fergususa.

– Powiedz mi, Fergusie, jak ci leci. Pewnie jesteś bardzo zapracowany.

– Szczerze mówiąc, jest ciężko. Niewiele mam do roboty.

– Przykro mi. Kate wciąż nie przynosi ci żadnych zysków, prawda? Nie przyjęła pracy w Smith?

– Niestety, nie.

– Mam nadzieję, że mój wkrótce były mąż zapłacił ci za wszystko, co dotychczas dla niej zrobiłeś – powiedziała Jocasta nagle. – Pamiętam, że obiecał, ale być może trzeba mu przypomnieć. Zwłaszcza w tej chwili.

– Hm... niestety, Jocasto, nie zapłacił. Najwyraźniej ma na głowie ważniejsze rzeczy...

Wychyciła sztucznie beztroski, niemal wesoły ton.

– Och, Fergusie, tak mi przykro. To niewybaczalne. Zadzwoń do jego sekretarki.

– Już do niej dzwoniłem. Jestem przekonany, że wkrótce sprawa zostanie załatwiona.

– Posłuchaj – Jocasta nie ustępowała. – Zatelefonuję bezpośrednio do Gideona. Już ze sobą rozmawiamy. Poza tym wciąż mam naszą wspólną książeczkę czekową, więc jeśli wszystko inne zawiedzie, w ostateczności sama wypiszę ci czek.

– Och, kochanie, chyba lepiej, żebyś tego nie robiła. Gideon może być bardzo niezadowolony.

– Nic mnie to nie obchodzi. Musisz dostać swoje pieniądze. Masz rachunki do zapłacenia. Poza tym...

przecież to my zwaliliśmy ci na kark Kate. Tak czy inaczej, jestem pewna, że zapomniał. Prawdopodobnie przeze mnie wszystko inne wyleciało mu z głowy. Gideon ma wady, ale na pewno nie jest złośliwy. Zaraz się z nim połączę.

Gideon powiedział, że bardzo przeprasza. W ciągu godziny prześle Fergusowi czek.

To może trochę pomóc jemu i Clio – pomyślała Jocasta, zadowolona, że mogła coś dla nich zrobić.

Pogrążony w rozpacz Peter Hartley siedział w kuchni, gdy nagle pojawiła się Maureen Forrest z ogromnym bukietem dali.

– Przyniosłam je dla pani Hartley. Przepraszam, że tak wcześnie rano, ale jestem w drodze do pracy. Ed podczas sobotniej wizyty wspomniał, że pańska żona nie czuje się najlepiej.

– Niestety, to prawda. Jest... jak by to powiedzieć... bardzo słaba, a dziś, wczesnym rankiem, zemdląca i trochę się potłukła.

– Bardzo mi przykro. Teraz czuje się już lepiej?

– Niestety, jest bardzo przygnębiona. Nie mogę skłonić jej do jedzenia... Doktor Cummings mówi, że jeśli nic się nie zmieni, wkrótce będzie musiał wziąć ją do szpitala.

– Bardzo mi przykro. I bez tego ma pan dość zmartwień.

– Och, ja całkiem nieźle sobie radzę. Tak się cieszę, że Ed odwiedził nas w czasie weekendu. Jakimś cudem on jeden wywołuje w żonie jakieś żywsze reakcje. Przypuszczalnie dlatego, że był tak blisko związany z Marthą Grace traktuje go jak ogniwo łączące ją z córką.

– Cieszę się, że to pomaga. Oczywiście Ed też jest bardzo przygnębiony. Chociaż... wiem, że

nie powinnam tego mówić... jest młody. Oboje wiemy, że pewnego dnia jakoś się z tego otrząśnie. Nie do końca, bo na pewno nigdy jej nie zapomni, ale... znajdzie kogoś innego. Za nic w świecie bym mu tego nie powiedziała, zresztą nie uwierzyłyby mi, bo to brzmi dość... – Urwała.

– Bezduśnie? – podpowiedział z uśmiechem na ustach.

– Tak, ale to nieprawda. Ed ma zaledwie dwadzieścia trzy lata; pan i pańska żona ponieśliście o wiele większą stratę. Gdy John umierał, wciąż myślałam, że to na szczęście nie Ed. Czy to bardzo duży grzech?

– Ależ skąd – zapewnił Peter i poklepał ją po ramieniu. – Śmierć dziecka to najgorsza z wszelkich możliwych strat. Dla mnie niemal... nie do zniesienia. To nieodpowiednia kolej rzeczy. Nie mogę tego zrozumieć.

– Tak mi przykro. Serdecznie współczuję wam obojgu. Zajrzę znów za dzień lub dwa. I przekażę Edowi pańskie słowa. Ucieszy się.

Jocasta postanowiła pojechać do Clio; sprawa była zbyt poważna. Zresztą, na litość boską, nie miała nic ważniejszego do roboty. Właśnie wyjeżdżała, gdy zadzwoniła Beatrice.

– Jak się miewasz, Jocasto?

– Świetnie. A ty, zdumiewająco cudowna i bezinteresowna istoto?

– Wcale taka nie jestem. Dręczy mnie sprawa Josha.

– Doskonale cię rozumiem, chociaż... to się działo dawno, dawno temu.

– Tak, wiem, ale mimo wszystko boli. Chyba dlatego... och, sama nie wiem czemu. Po prostu trudniej mi go obdarzyć pełnym zaufaniem. Wiem, że to głupie, ale wyraźnie Josh ma to w genach.

– Ja czuję dokładnie to samo. Chociaż ostatnio... dobrze się zachowuje, prawda?

– O tak – zapewniła Beatrice pośpiesznie. Z trudem się roześmiała. – Mówię jak jego matka, nie sądzisz? Albo starsza siostra.

– Ty znacznie lepiej go oceniasz niż jego starsza siostra – zapewniła Jocasta. – Musisz bardzo go kochać, Beatrice.

– Chyba tak. Najważniejsze, że Kate lepiej się poczuła. Josh mówi, że dziewczyna jest naprawdę zadowolona.

– Myślę, że tak. Jeszcze jej nie poznałaś?

– Nie, w najbliższą sobotę przychodzi na podwieczorek. Chciałabym ją dobrze poznać, a oboje uznaliśmy, że łatwiej mi będzie, jeśli Kate pojawi się u nas.

– Sądzę, że ją polubisz – powiedziała Jocasta. – Jest bardzo słodka.

Niezwykle inteligentna. Zakładam, że nie macie zamiaru mówić o niczym dziewczynkom.

– Nie. Jeszcze nie teraz. Jocasto, prawdę mówiąc, dzwonię, żeby cię o coś spytać.

– Tak?

– Wracasz do Gideona?

Jocasta była całkowicie zaskoczona.

– Nie. Zdecydowanie nie.

– Rozumiem. Martwimy się o ciebie. Myśleliśmy, że wszystko jakoś się ułoży.

– Jakoś się ułożyło. Znow jesteśmy przyjaciółmi. Może dlatego, że nie widzieliśmy się przez kilka tygodni. Niemniej rozwodzimy się. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa, prawdę mówiąc, wesola jak szczygieł, więc się o mnie nie martw.

– Dobrze. Cieszę się.

– Tak czy inaczej, fajnie, że zadzwoniłaś. Teraz muszę cię przeprosić. Właśnie wyjeżdżam. Wkrótce znow się usłyszymy, moja ty bohaterko.

– Chciałabym nią być – westchnęła Beatrice.

Ed pił już trzecią kawę tego dnia i z prawdziwym żalem dochodził do wniosku, że nie interesuje go to, co właśnie robi, kiedy zadzwoniła matka. Telefonowała niemal każdego ranka; nie był pewien, czy mu to pomaga, czy nie.

– Jak się dzisiaj miewasz, kochanie?

– Och... sama wiesz. Chyba nie najlepiej.

– Wiem – powiedziała łagodnie. – Wciąż wszystko wraca, prawda? Zbyt często, zwłaszcza na początku.

– Tak. Sama coś o tym wiesz, mamo.

Małżeństwo jego rodziców było wyjątkowo szczęśliwe, stąd – jak tłumaczył Marcie – tyle wiedział o miłości. „Prawdziwej miłości. Trwałej. Takiej, jaka łączy ciebie i mnie”.

– Wiem – rzekła Maureen cicho. – Powiem ci coś, Edwardzie. Po jakimś czasie wspomnienia staną się szczęśliwsze. Naprawdę.

– To dobrze. Dzięki, mamo.

– Idąc do pracy, wstąpiłam na plebanię. Biedny pastor bardzo martwi się o żonę. Dziś rano zemdlła i trochę się potłukła. Najwyraźniej nie chce jeść. Doktor mówi, że za dzień lub dwa być może weźmie ją do szpitala.

– O mój Boże! Przykro mi.

– Tak czy inaczej, dzwonię głównie po to, żeby przekazać ci słowa pastora. Powiedział, że jedyną rzeczą, która ostatnio ożywia panią Hartley, są twoje wizyty. Przypuszcza, że dzięki swojemu bliskiemu związkowi z Marthą w jakiś dziwny sposób przybliżasz Grace jej ukochaną córkę.

– To miłe – westchnął Ed.

Chciałby, aby ktoś przybliżał mu Marthę, obojętne, czy w jakiś dziwny sposób, czy nie.

– Tak, no cóż, uważaj na siebie, kochanie. Zadzwonię za dzień lub dwa.

Nick doszedł do wniosku, że pora wracać do Londynu. Miło być w domu z rodzicami, kiedy człowiek wciąż coś robi, jest w nieustannym ruchu i przy okazji dobrze się bawi, ale kiedy przez cały czas tkwi unieruchomiony w domu, jest już całkiem inaczej. Większość rodziny wyjechała, a on nie miał nic do roboty oprócz czytania i chodzenia na samotne spacer. I myślenia: głównie o Jocaście. O tym, jakim był głupcem. Cholernym głupcem. Dlaczego z nią nie zamieszkał, dlaczego, na litość boską, się z nianie ożenił, jeśli tak bardzo jej na tym zależało? W porównaniu

z obecną samotnością taka perspektywa bardzo mu się podobała. Wszyscy jego bracia – dwaj starsi i jeden młodszy – byli żonaci i najwyraźniej szczęśliwi. Co więcej, mieli dzieciaki, małe, cudowne istotki. Nick często dochodził do wniosku, że chciałby mieć dzieci. Doskonale by sobie z nimi radził. Naturalnie, wiedział, że Jocasta nigdy się na to nie zgodzi; nie pokona swojej fobii: może to jedyny plus ich rozstania. Powinien poszukać jakiejś innej dziewczyny, którą pokocha i która bardzo będzie chciała mieć dzieci. Naprawdę powinien.

Wciąż wracał myślami do Jocasty, ciepłej, roześmianej, szczęśliwej, opowiadającej nonsensy... czyli takiej, jaka była tamtego popołudnia, kiedy leżała w łóżku cudownie naga ze wspaniałymi włosami rozrzuconymi na poduszce, patrzyła na niego swoimi dużymi, błyszczącymi oczami, wyciągała ręce, mówiła, że go kocha. Tak, naprawdę to mówiła, co więcej, pragnęła go i powtarzała podczas stosunku: „To cudowne, wspaniałe. Boże, to jest rewelacyjne, fantastyczne... Nick, nie mogę wytrzymać... nie przestawaj, nie przestawaj... „. Nagle przerwał własny tok myślenia. To śmieszne. Jocasta wróciła do Keeble’a, o co nie można jej winić, a on musi ułożyć sobie jakoś życie. Zacznie od powrotu do Londynu. Jutro rano. O szóstej wieczorem Jocasta stanęła pod drzwiami mieszkania Clio. Dojazd zajął jej więcej czasu niż normalnie. Od prowadzenia w pełnym słońcu rozbolała ją głowa, było jej niedobrze. Zastanawiała się, czy to początek mdłości, na które skarżą się kobiety w ciąży. Jeśli tak... jutrzejszy zabieg zostanie wykonany w najbardziej odpowiednim momencie. Nacisnęła dzwonek: po chwili usłyszała głos Clio.

– Kto tam?

– To ja, Jocasta. Mogę wejść? Milczenie, potem:

– Jasne.

Lekarka wyglądała fatalnie: była blada i wymizerowana.

Najwyraźniej płakała.

– Och, Clio – powiedziała Jocasta. – Bardzo cię przepraszam. Przepraszam, że byłam taka podła, taka niewrażliwa i tak bardzo dałam ci się we znaki. Proszę, wybacz. Wiem, że na to nie zasługuję, ale bardzo, bardzo proszę.

Clio z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Domyślam się – wyznała Jocasta. – W końcu nie od dziś wiesz, że jestem niezłym ziółkiem, bezdusznym, żalonym ziółkiem. Ktoś powinien niezłe złoić mi skórę. Masz na to ochotę? – spytała z uśmiechem. – Jestem pewna, że to by mi dobrze zrobiło.

– Nawet o tym nie marzyłam. – Na twarzy Clio pojawił się blady uśmiech. – Zresztą co powiedzieliby sąsiedzi?

Potem po jej twarzy popłynęły dwie łzy.

– Och, Clio – westchnęła Jocasta. – Czy mogę cię uścisnąć? Otworzyła ramiona, a Clio wpadła w nie i długo, długo szlochała.

– To takie niesprawiedliwe – skarżyła się – potwornie niesprawiedliwe!

– Wiem. Wiem, że to dla ciebie trudne do zniesienia. Naprawdę nic nie możesz zrobić?

– Najwyraźniej nie. Mam niedrożne jajowody.

– Podejrzewam, że wiesz, co mówisz, w końcu jesteś lekarzem. A czy możliwe jest zapłodnienie in vitro?

– Owszem. To całkiem niezłe rozwiązanie. Przynajmniej teoretycznie.

– A jak wygląda praktyka?

– O wiele gorzej. Po pierwsze, ktoś musi bardzo cię kochać, żeby się zgodzić. Po drugie, sprawa jest niepewna, to znaczy metoda wcale nie działa tak łatwo i przyjemnie. Jest długa lista oczekujących, a zabieg wykonywany prywatnie kosztuje każdorazowo tysiące funtów.

– Nie ma możliwości przeskoczenia kolejki? W końcu jesteś lekarzem.

– Coś ty! – zaprotestowała Clio. – Nawet bym o tym nie pomyślała.

Poza tym sama nie wiem, czemu tak się rozżaliłam, bo z kim mogłabym mieć to dziecko? Z kimś, kogo jeszcze nie znam? Mam już trzydzieści pięć lat.

– AFergus?

– Obawiam się, że nic z tego. To już przeszłość.

– Jesteś pewna, Clio?

– Całkiem.

– Ja wcale nie odniosłam takiego wrażenia.

– Nie rozumiem.

– Dzwoniłam do niego kilka godzin temu, żeby się dowiedzieć, czy mogę dotrzeć do ciebie za jego pośrednictwem. Powiedział, że nie układa wam się najlepiej, że podzieliła was rozbieżność przekonań, ale najwyraźniej próbował do ciebie dzwonić. Powiedział, że nie odbierasz telefonu. To dla mnie wcale nie wygląda na koniec.

– Może rzeczywiście jeszcze nie teraz, ale nasz związek nigdy nie będzie funkcjonował, Jocasto. Przede wszystkim nie potrafię zaakceptować jego pracy...

– Dlaczego?

– Bo moim zdaniem jest to najgorszy sposób zerowania na nieszczęściach innych ludzi. Wiem, że ty patrzysz na to inaczej, ale...

– Bo jest inaczej, Clio. On jedynie pomaga ludziom poradzić sobie z nieszczęściami.

– Chyba nie wiesz, co mówisz? Ludziom takim jak futboliści, którzy jednocześnie pieprzą się z sześcioma dziewczynami, a potem próbują przedstawić swoją sprawę w jak najlepszym świetle?

– Patrzysz na wszystko pod nieodpowiednim kątem. Spójrz tylko, ile zrobił dla Kate, a tymczasem, jak właśnie odkryłam, jeszcze nie dostał za to żadnych pieniędzy. Od mojego ukochanego prawie już byłego męża. No, mam nadzieję, że już dostał.

– Od Gideona?! Co on ma wspólnego z Kate?

– Właściwie nic... po prostu obiecał, że będzie płacił Fergusowi, póki Kate nie zacznie zarabiać.

To był podstawowy punkt naszej umowy. Tymczasem biedak nie dostał ani pensa. Swoją drogą, nie sądzisz, że to było bardzo miłe ze strony Fergususa? Zwłaszcza że nie znał Kate i nic o niej nie wiedział?

– Nie – zaprotestowała Clio. – Chodziło mu tylko o pieniądze.

– Przestań chrzanić! Zresztą co ten biedak robi złego? Po prostu zarabia na życie w jedyny znany sobie sposób, to wszystko.

– Nic, naprawdę – powiedziała Clio bez przekonania. Chwilę później Jocasta wyszła: okropnie bolała ją głowa i była bardzo zmęczona. Zgodnie doszły do wniosku, że nie będą rozmawiały na temat jej ciąży; podjęła decyzję, jak powiedziała, i nic nie było w stanie jej zmienić.

– Wiem, że twoim zdaniem popełniam błąd, ale musimy po prostu pogodzić się z faktem, że w tej sprawie mamy całkiem odmienne poglądy. Po cichutku liczę, że znów jesteśmy przyjaciółkami.

– Nie... nie chcesz, żebym dziś wieczorem pojechała z tobą do Londynu? Potowarzystyla ci przed jutrzejszym dniem?

– Nie, nie. Nie jestem zdenerwowana. Naprawdę, a to byłoby dla ciebie ciężkie przeżycie. Poradzę sobie. Na pewno. Cześć, Clio, kochanie, i proszę, wybaczasz mi dalej. Życzę wszystkiego najlepszego. Odezwę się za dzień lub dwa. I... zadzwoń do Fergususa. Tylko nie zapomnij.

Nick jechał do Londynu. Prowadził; matka była przerażona, ale przekonał ją, że prawa ręka spoczywa pewnie na temblaku, a on podczas jazdy będzie się posługiwać głównie lewą.

– Przepraszam, mam, ale muszę wracać. Mam dużo do zrobienia. Zaczę od odwiedzenia jutro rano swojego konowała. Dobrze? Pattie Marshall westchnęła.

– Wiem, że nie mogę cię zatrzymać, ale moim zdaniem to głupota. Tylko nie spowoduj jakiegoś wypadku, bo policja odbierze ci prawo jazdy. Nick obiecał.

Jocasta weszła do domu i usiadła na łóżku. Okropnie się czuła. Co prawda mdłości przeszły, ale teraz bardziej dokuczały jej samotność i strach. Nagle myśl o tym, co będzie musiała przejść następnego ranka, wydała się jej... dziwnie przykra. Nie chodziło o ból; Sarah Kershaw zapewniła ją, że cierpienie fizyczne będzie ograniczone do minimum.

– Będziesz obolała. I początkowo możesz dość obficie krwawić. Masz kogoś, kto zabierze cię do domu?

– Oczywiście – zapewniła Jocasta. – Żaden problem. Zamówiła taksówkę: w obie strony.

Więc co ją tak martwiło? Chciała pozbyć się... ciąży i nigdy więcej nie martwić się o następną. Nie bała się zabiegu. Nick nigdy o niczym się nie dowie, a ona wróci do starego życia i będzie zadowolona.

Dreńczył ją... smutek. Tak, rzeczywiście było jej trochę smutno. To normalne. Byłoby raczej dość dziwne, gdyby niczego nie odczuwała, pozbywając się... przerywając ciążę. Szczerze mówiąc, cieszyła się z tegoż smutku. Oznaczał, że nie ma serca z kamienia. Oczywiście, wciąż sobie powtarzała, że to jeszcze nie dziecko. To ciąża, pewien stan, z którym próbuje sobie

poradzić w sposób naprawdę dorosły. Nie chciała brać pod uwagę faktu, że jeśli teraz nie podjęłaby żadnych działań, mniej więcej za siedem miesięcy na świecie pojawiłaby się maleńka istotka powołana do życia przez nią i Nicka... Nie będzie o tym myśleć. Nie ma o czym myśleć.

Nalała sobie kieliszek czerwonego wina, wzięła długą kąpiel i przejrzała gazety; wciąż nie chciało jej się spać. Może warto zażyć jakąś tabletkę nasenną? Lepiej nie, zwłaszcza że po czerwonym winie zrobiło jej się niedobrze. Może powinna pooglądać telewizję; to zawsze działało na nią usypiająco, jak pstryknięcie wyłącznika. Szedł dobry film Kiedy Harry poznał Sally. Obejrzy go. Zawsze jej się podobał.

W połowie sceny z orgazmem, zirytowana, wyłączyła telewizor.

Jak można siedzieć w kawiarni i udawać na głos, że ma się orgazm? Głupota. Chociaż sama też kilka razy udawała: gdy była bardzo zmęczona i marzyła tylko o jednym – o śnie. To zdumiewające, że faceci nigdy się nie zorientowali. Z pewnością nigdy, przenigdy nie udawała przy Nicku. Ich seks zawsze był fantastyczny. Nawet splodzili razem dziecko.

Przestań, Jocasto! To nie jest dziecko. Naprawdę, to nie jest dziecko.

Wciąż nie mogła zasnąć i potwornie się bała. Spojrzała na zegarek. Zaledwie wpół do pierwszej. Jak ona przetrwa resztę nocy? Cholera!

Na szczęście to ostatnia noc. Naprawdę ostatnia.

Nick obudził się wcześniej rano. Miał za sobą koszmarną jazdę, a gdy dojechał o północy do Hampstead, padł wyczerpany na łóżko. Obudził go ból ręki. Z niemałym trudem dotarł do kuchni, wziął dwie tabletki przeciwbólowe – były cholernie mocne, aż zakręciło mu się w głowie – i zrobił sobie filiżankę herbaty. Może powinien pójść na spacer, żeby trochę oprzytomnieć. Boże, będzie szczęśliwy, gdy znów zacznie biegać! Niestety, w tym momencie bieganie powodowało zbyt wielkie wstrząsy ramienia i psuło całą przyjemność. Tak, pójdzie na przechadzkę, kupi gazety, wróci, zje śniadanie, a potem weźmie kierunek na Westminster. Na pewno coś się tam dzieje; miło będzie wrócić na stare śmieci. Naprawdę tęsknił za swoim starym, zabawnym światkiem. Powędrował Heath Street, kupił „Timesa”, „Guardiana” i „Daily Mail” – dzięki nim zorientuje się w bieżącej sytuacji, bo rodzice czytali tylko „Telegraph” – wpadł do delikatesów po dwie bułki i wrócił do domu.

Jadł drugą bułkę, gdy zauważył znajomą twarz. Autor artykułu „Strój na wakacyjny wyjazd” radził, w co się ubrać, kiedy wyjeżdża się w podróż, i co pasuje – a co nie – człowiekowi bogatemu i sławnemu. Dołączono zdjęcia znanych osobistości, które ostatnio przewinęły się przez lotniska. Byli wśród nich: Madonna, Nicole Appleton, Kate Moss, Jude Law, Jonathan Ross, Jasper Conran i... Gideon Keeble. Jak zawsze nienagannie ubrany, przypuszczalnie lepiej niż inni, w lnianym garniturze i słomkowym kapeluszu. A to drań! Mnóstwo pieniędzy, idealny wygląd i styl.

Podpisy mówiły, dokąd wybierały się poszczególne osoby: przeważnie tam, gdzie jest słońce. Pracoholik Keeble, jak go nazywali, wylatywał w interesach do Melbourne. Boże, on jest naprawdę pracoholikiem! Na zdjęciu nie pokazano Jocasty; widocznie była mniej sławna.

Chociaż Keeble też nie należał do wielkich osobistości. Najwyraźniej zostało im wolne miejsce i potrzebowali jeszcze jednej osoby, żeby zapelnąć stronę. Może Jocasta nie wyjeżdżała z nim; może została w Londynie, w jego absurdalnie dużej rezydencji. Albo wyjechała do Wiltshire... tak to się nazywało? Czy raczej Berkshire?

Może spróbuje do niej zadzwonić? Jocasta telefonowała i zostawiła wiadomość, na którą nie odpowiedział... prawdę mówiąc, było to wyraźne i nie mile przesłanie, poza tym zdenerwowało go, że tak późno zareagowała na jego pocztówki.

Może jednak zadzwonić, powiedzieć, że u niego wszystko w porządku, że wrócił do Londynu i gdyby go potrzebowała... nie, to byłoby bez sensu, dlaczego miałyby go potrzebować? Nie, po prostu wrócił i dziękuje, że się odezwała...

Potrzebował jeszcze kilku minut, żeby podjąć ostateczną decyzję, potem przypomniał sobie, że postanowili zostać przyjaciółmi, a przecież tak właśnie postąpiłby każdy przyjaciel. Zadzwonił na jej komórkę.

Była wyłączona.

Lepiej zrezygnować. Chociaż nie... może jeszcze spróbuje do domu. Żeby sprawdzić, czy Jocasta jest w Londynie.

Czemu nie? Nic nie stoi na przeszkodzie, zresztą to nawet mniej podejrzane niż dzwonicie do niej na komórkę. Tylko dowodzi, jak niewinny jest jego telefon. Po prostu... przyjacielski.

Wybrał numer rezydencji; odpowiedziała kobieta z obcym akcentem. Prawdopodobnie filipińskim.

– Siedziba pan Keeble.

Siedziba? Dziwny dobór słów. Czyżby Keeble mieszkał tu teraz na stałe?

– Dzień dobry. Czy jest pani Keeble?

– Pani Keeble? Nie, jej nie być.

– Wyjechała z panem Keeble'em? Za granicę?

– Pani Keeble już tu nie mieszkać. Być...

W słuchawce rozległy się odgłosy jakiejś przepychanki, potem odezwała się pani Hutching. Nick rozpoznał jej głos.

– Dzień dobry. W czym mogę służyć? Serce Nicka zabiło niespokojnie.

– Rozmawiam z panią Hutching, prawda? Dzień dobry. Pewnie mnie pani nie pamięta, jestem przyjacielem pani Keeble.

Odwiedziłem ją raz czy dwa. Nazywam się Nicholas Marshall. Jeśli to możliwe, chciałbym z nią porozmawiać.

– Przykro mi, panie Marshall, ale jej nie ma.

– Wyjechała z panem Keeble'em? Czy została w kraju?

– Nie wiem. Przykro mi. Może pan zostawić wiadomość... Nick zostawił wiadomość, a potem się rozłączył. Lekko zakręciło mu się w głowie. Pewnie z powodu tabletek. Chociaż... pierwsza z kobiet powiedziała, że Jocasta nie mieszka już w rezydencji. Wprawdzie to

cudzoziemka i mogła się przejęzyczyć, chcąc na przykład powiedzieć, że Jocasta w tej chwili nie ma w domu, ale głos pani Hutching brzmiał bardzo dziwnie. Naprawdę. Cholera! Czyżby Jocasta naprawdę rzuciła Gideona? To niemożliwe. Powiedziała mu. Z pewnością. A jeśli mu nie powiedziała, to znaczy, że nie ma dla niego zbyt wielkich szans.

Nick wstał i kilka razy przespacerował się po swojej małej kuchni, a potem zadzwonił do Clio. Ona na pewno będzie wiedziała.

Jocasta przez trzy godziny nie mogła zasnąć; były to najdłuższe trzy godziny, jakie w życiu pamiętała. Leżała, patrzyła, jak zegarek odmierza sekundy, i marzyła, żeby było już później. Zegar się nie śpieszył. Było zaledwie wpół do siódmej. Czuła się fatalnie; bolała ją głowa i było jej bardzo niedobrze. Jeżeli to poranne mdłości, dzięki Bogu nigdy więcej nie będą jej już dręczyć.

Była przestraszona i bardzo samotna. Chciałaby mieć kogoś, kto by z nią poszedł. Powiedział, żeby się nie martwiła, że robi to, co zrobić powinna, że wszystko będzie dobrze. Nawet Clio, która nie zgadzała się z decyzją Jocasty, byłaby lepsza niż samotność.

Niestety... nikogo nie było. Tymczasem czekały ją jeszcze trzy godziny.

Clio po przebudzeniu myślała tylko o Jocaście. Na pewno źle się czuje; pomimo zdecydowanych i odważnych słów bez wątpienia jest przerażona i zaniepokojona. Niegdyś, im więcej Jocasta mówiła i protestowała, tym bardziej była zdenerwowana, a ostatnio bez przerwy mówiła.

Zadzwoni do niej; umówi się na wieczór. Nawet jeśli Jocasta nie będzie zdenerwowana, obolała i zmęczona. Lepiej nie myśleć o nastroju. Co więcej, pomimo panującego powszechnie przekonania Clio wiedziała z własnego doświadczenia, że kobiety po aborcji wcale nie odczuwają ulgi. Nawet jeśli, to niewielką, natomiast górę biorą wyrzuty sumienia, żal i smutek. Zadzwoniła do przyjaciółki, odezwała się automatyczna sekretarka.

– To tylko ja – powiedziała Clio. – Dzwonię, żeby sprawdzić, jak się czujesz, i życzyć ci powodzenia. Postanowiłam, że wpadnę do ciebie dziś wieczorem. Nie musisz oddzwaniać, będę koło siódmej. Chyba że nie chcesz mnie widzieć. Serdecznie pozdrawiam.

Spojrzała na zegarek: zbliżała się siódma. Pora wstać i zacząć dzień. Wzięła prysznic i właśnie zaczęła się ubierać, kiedy zadzwonił telefon. Miała nadzieję, że Jocasta odebrała jej wiadomość i daje znać.

Jak się okazało, dzwoniła nie Jocasta, lecz Nick.

Jocasta znajdowała się w połowie Clapham Common, kiedy zrobiło jej się słabo. Przykucnęła, opuściła głowę, zaczęła głęboko oddychać i starała się nie panikować. Co ona teraz zrobi?

– Dobrze się pani czuje?

Obok zatrzymała się jakaś dziewczyna, która biegła po błoniach. Jocasta uniosła głowę i próbowała się do niej uśmiechnąć, ale dostała torsji.

– Przepraszam – powiedziała po chwili. – Bardzo przepraszam. Tak... nie, nie czuję się

najlepiej. Ma pani może komórkę?

– Jasne.

Wyjęła telefon z przytroczonej do paska torebki i podała go Jocaście. Nawet skorzystanie z niego wydawało się przekraczać siły dziennikarki. Clio okropnie się czuła. Nigdy w życiu nie umiała kłamać. Starła się, jak mogła, ale wydukała tylko, że od dość dawna nie miała kontaktu z Jocasta, dlatego nie wie, czy pani Keeble jest wciąż z Gideonem ani gdzie się podziewa. Była żałosna i Nick jej to powiedział, chociaż w sympatyczny sposób.

– Clio, na pewno wiesz, gdzie jest Jocasta. Proszę, powiedz. W swoim domu? W Clapham? Domyślam się, że z jakiegoś powodu próbujesz ją osłaniać. Pewnie kazała ci przysiąc, że niczego mi nie powiesz. Więc jeśli się nie odezwiesz, przyjmę, że jest w Clapham, dobrze?

Clio posłusznie milczała.

Nick wsiadł do samochodu i pojechał do Clapham.

– Ależ z ciebie idiotka! – powiedziała Beatrice, pomagając Jocaście wejść po schodach do swojego domu, a potem do salonu. Żona Josha potrzebowała pięciu minut, żeby dotrzeć na błonia, niestety droga powrotna zajęła jej aż dwadzieścia pięć. Zaczynał się poranny szczyt. Na domiar złego musiała dwukrotnie się zatrzymać, bo Jocaście było niedobrze.

– Powinnaś powiedzieć nam wcześniej.

– Nie mogłam – wyznała Jocasta ze znużeniem, opadając na sofę.

– Po prostu nie mogłam. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Chyba trochę tak jak Martha.

– Moim zdaniem jesteś w nieco lepszej sytuacji niż ona. Gideon wie?

– To...

– Jocasto! Nie mogę w to uwierzyć! Absolutnie musisz mu powiedzieć.

– To nie jest dziecko Gideona – oznajmiła Jocasta.

Nick stał przed domem Jocasty i na zmianę raz naciskał dzwonek, raz walił pięścią w drzwi. Był przekonany, że jego ukochana ukrywa się w środku, bo wie, że to on.

Dzięki Bogu nie oddał jej kluczy. Po pięciu minutach postanowił z nich skorzystać. Nawet jeśli Jocasty naprawdę nie ma, może jakaś wskazówka podpowie mu, gdzie jej szukać. Albo co się stało. Nie było jej, ale najwyraźniej wyszła nie tak dawno temu. Jej kołdra leżała odrzucona na bok, w sypialni panował normalny, niewiarygodny bałagan, a przy zmywarce do mycia naczyń stało sporo brudnych kubków. Zawsze to robiła, nigdy nie wkładała ich do środka, co doprowadzało go do szału. Nawet radio było włączone: Chris Tarrant coś radośnie bajdurzył. Najwyraźniej Jocasta za chwilę wróci.

Boże, bolała go ręka. Nawet bardzo. Najwyraźniej lekarze nie bez kozery radzili mu, żeby dał jej odpocząć. Co za udręka! Na dodatek, oczywiście, zostawił tabletki w domu. Jocasta zawsze miała mnóstwo środków przeciwbólowych; do pewnego stopnia była od nich uzależniona. Weźmie coś z jej apteczki; zrobi sobie kubek herbaty i zaczeka. Nastawił czajnik i powędrował do szafki w łazience.

Panował w niej nieopisany bałagan: dwa albo trzy opakowania tampaksów, jedno z nich

puste, zużyta szczoteczka do zębów, mnóstwo opasek do włosów, rozerwany woreczek z tamponikami z waty, dwa pudełeczka nici dentystycznych, oba w użyciu, pół butelki płynu do płukania ust, dwie niezbyt czyste flanelki i... tak... sięgnij nieco głębiej... dwie fiołki umiarkowanie mocnych środków przeciwbólowych (zazwyczaj miewała ich więcej), dwie duże tubki kremu samoopalającego, kilka baterii, pakiecik czegoś, co miało etykietkę „naturalny sposób na sen”, ogromna butla witaminy C i... A cóż to takiego? Boże Wszechmogący, co to jest? Niemożliwe... nie, na pewno nie... a jednak to test ciążowy, a tu, słodki Jezu, następny, oba zużyte, jedna wymięta instrukcja wciśnięta do pudełeczka, druga elegancko poskładana, nietknięta. O co tu chodzi? Co jest grane? Co ona z tym robiła? Dlaczego mu nie powiedziała? Absurdalne, śmieszne, bezsensowne, kretyńskie pytanie. Jak dawno temu to się stało? Kiedy Jocasta kupiła oba testy? Czy to dziecko Gideona? Pewnie tak, co wyjaśniałoby jej dziwne zachowanie, unikanie go... Tak, to nie może być jego dziecko... Tylko czy na pewno? A jeśli jednak? Czy kiedykolwiek się dowie? Co ona postanowiła zrobić? Wiedział, że stać ją na wszystko. Naprawdę. Dlaczego mu nie powiedziała? To na pewno jest dziecko Gideona, na pewno, na pewno, przecież inaczej by mu powiedziała, na pewno, na pewno.

Nick wyszedł z łazienki. Musiał usiąść, bo nagle ugięły się pod nim kolana. Zadzwoił do Clio.

Nie odpowiedziała.

– Posłuchaj, Beatrice, nie mam zamiaru rodzić tego dziecka. Nick nie będzie go chciał. Na pewno. Wiesz, jaki on jest; ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, jest dziecko.

– Co innego nie chcieć, a co innego nie wiedzieć, że sieje ma. Albo przynajmniej że jest w drodze.

– Beatrice, nie mogę mu powiedzieć. Naprawdę nie mogę.

– Jestem... innego zdania. Posłuchaj... bardzo chciałabym zostać z tobą, ale nie mogę, za niecałą godzinę muszę być w sądzie. Możemy wszystko przedyskutować dziś wieczorem. Zostaniesz tutaj czy chcesz iść na piętro i położyć się do łóżka? Christine się tobą zajmie. W tej chwili właśnie zawozi dziewczynki do przedszkola, ale zostawię jej karteczkę. Joshua nie ma, jest gdzieś w głębi kraju.

– Świetnie. Bardzo dziękuję, Beatrice.

– Nie ma za co. Obiecuj mi, że odpoczniesz.

– Obiecuję.

Dobrze, że Beatrice wychodzi – pomyślała Jocasta. Czowała się już znacznie lepiej. Miała jeszcze godzinę; weźmie prysznic, pożyczycy jeden z dresów Beatrice i zwieje. Boże, tylko wcześniej musi porozmawiać z taksówkarzem, żeby przyjechał tu, a nie pod jej dom. Lepiej od tego zacząć.

Gdy zadzwoniła Beatrice, Josh jeszcze spał. Miał za sobą długi wieczór spędzony w towarzystwie handlowców, bolała go głowa.

– Cześć, Josh, to ja, Beatrice. Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Wracasz dziś wieczorem,

prawda?

– Oczywiście.

– To dobrze, bo będzie u nas Jocasta.

– Dlaczego?

– Jest w ciąży.

– W ciąży?!

– Tak. I... chyba nie uwierzysz. To nie jest dziecko Gideona, lecz Nicka. Co więcej, twoja siostra najwyraźniej ma zamiar usunąć ciążę.

– Dziecko Nicka?! To okropne. Możemy ją jakoś powstrzymać?

– Nie jestem pewna. Problem polega na tym, że Nick o niczym nie wie, a uważam, że powinien. Ona zaklina się, że na pewno nie chciałby mieć dziecka, ale wolałabym usłyszeć to z jego ust. Oczywiście, zgodnie z prawem nie może jej powstrzymać, ale... tak czy inaczej, masz jego numer?

– Chyba tak. Naprawdę uważasz, że należałoby mu powiedzieć?

– Naprawdę.

– Boże! Biedna Jocasta.

Clio potwornie się martwiła; Jocasta gdzieś zniknęła. Lekarka kilkakrotnie próbowała dzwonić do przyjaciółki, ale odzywała się tylko automatyczna sekretarka, a komórka była wyłączona. Prawdę mówiąc, raz lub dwa podniosła nawet słuchawkę, żeby zatelefonować do Nicka, ale szybko się rozmyśliła. Kiedy on do niej zadzwonił, nie odebrała. Boże, jaki z niej tchórz! A może tylko stara się być dobrą przyjaciółką i spełnia prośbę Jocasty? Bardzo chciałaby porozmawiać na ten temat z Fergusiem. On na pewno wiedziałby, co zrobić. Był taki rozsądny, zawsze to w nim uwielbiała. Rozsądny i pełen współczucia. Jekyll i Hyde. Tak słodko zareagował, gdy chodziło o Morrisów. Przestań myśleć o Fergusie, Clio, skoncentruj się na Jocaście i tym, co zrobić. Odezwał się jej telefon, podskoczyła przestraszona, ale to nie Nick, lecz Josh. Z pytaniem, czy Clio ma numer telefonu komórkowego Nicka. Albo domowego. To pilne...

– Hmm...

– Nie wygłupiaj się, Clio.

– Czy wiesz, gdzie jest Jocasta?

– Tak, w naszym domu.

– Dzięki Bogu. Tak się o nią martwiłam. Oczywiście dam ci jego numer, ale nie mów, że masz go ode mnie.

Możesz mu powiedzieć, co chcesz. Ja przysięgam jej, że nigdy...

– Dzięki. Nie wiesz przez przypadek... kiedy... Jocasta ma mieć zabieg?

– Wiem. Dziś rano. Jednocześnie chce się poddać sterylizacji.

– Jezu! Gdzie?

– Nie wiem. Nie powiedziała mi. Chyba bała się, że powiem Nickowi, pokłóciłyśmy się...

– Jeśli możesz, zadzwoń do niej, do naszego domu, dobrze? Spróbuj się dowiedzieć, do którego szpitala idzie, postaraj się zagrać na czas. Ja zadzwonię do Nicka.

Jocasta czuła się już znacznie lepiej. Pojedzie do kliniki. Wszystko będzie dobrze. Do przyjazdu taksówki zostały jej jeszcze trzy kwadranse. Zdaży się nawet wykapać zamiast brać prysznic. Zamknęła drzwi, weszła do wanny i puściła głośno radio, żeby zagłuszyć ponure myśli, dlatego nawet nie usłyszała, że dzwoni telefon.

– To ty, Nick? Mówi Josh.

– Josh?! Dzięki Bogu. Może będziesz mógł mi pomóc. Potwornie martwię się o Jocastę. Nie wiem, gdzie ona jest i...

– Jest u nas.

– U was?

– Tak. A teraz posłuchaj... o Boże... to może być dla ciebie ciężkie przeżycie. Jocasta jest... hmm... jest w ciąży. Przepraszam, że ci to przekazuję, ale...

– Już na to wpadłem – wyznał Nick, powoli wymawiając słowa. – Właśnie jestem u niej i przed chwilą znalazłem kilka testów. Tylko... dlaczego dzwonisz z tym do mnie?

– Bo to twoje dziecko.

– Moje? – Nick poczuł się tak, jakby spadał w przepaść, a głos Josha docierał do niego z wysoka. – Moje dziecko? Jesteś tego absolutnie pewien?

– Jocasta jest tego całkiem pewna. Tak powiedziała Beatrice.

– Dobry Boże! – jęknął Nick. – Słodki Jezu!

– Tak. I właśnie chce usunąć ciążę. – Zapadło milczenie. – Nick? Jesteś tam?

– Tak, tak. Jestem.

– Nick, tak mi przykro. Wiem, że to straszne, kiedy człowiek nagle dowie się czegoś takiego. Gdybyś chciał powstrzymać Jocastę, jest właśnie u nas.

– Na litość boską, oczywiście, że chciałbym ją powstrzymać.

– Zadzwoń do niej. Masz numer? Uważam, że naprawdę musisz przycisnąć gaz do dechy, Nick, bo inaczej...

Nick już się rozłączył.

– Dzień dobry, panie Hartley. Mówi Ed. Ed Forrest. Właśnie dowiedziałem się od mamy, że pańskiej żonie grozi pobyt w szpitalu. Tak mi przykro. Jak ona się czuje?

– Hm... cieszę się, że dzwonisz, Ed. Rzeczywiście Grace nie czuje się najlepiej. Jest bardzo przygnębiona. Pewnie tak samo jak ty. Jak się miewasz?

– Och... nie tak źle – zapewnił Ed szybko.

Nie lubił nikomu mówić, jak bardzo cierpi. Uważał, że miłość do Marthy i spędzony z nią czas to jego sprawa; nie chciał się tym dzielić.

– Jedynym wydarzeniem, które ją nieco ożywiło, była twoja wizyta. Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Ed. Och, czy mógłbyś podziękować Kate? Jej list chyba też pomógł. To miło, że napisała. Miałem zamiar odpowiedzieć, ale byłem bardzo zajęty. Wydaje mi się, że Grace czuje

się bliżej Marthy, gdy ma do czynienia z jej przyjaciółmi.

– Tak, to miłe. Powiem Kate. Nie jestem pewien, czy przyjadę na najbliższy weekend, ale jeśli tak, z pewnością znów wpadnę odwiedzić pańską żonę. Życzę wszystkiego najlepszego. Proszę się jakoś trzymać.

– To Grace powinna się jakoś trzymać, ale dziękuję, Ed.

Biedak. Biedaczek. Powie Kate. To miłe dziecko. I takie ładne. Z charakterem. Jak matka.

– Pani Forbes, tak? Jest pani umówiona na dziś rano na... tak, na aborcję? I sterylizację.

Pielęgniarka uśmiechnęła się uspokajająco.

– Tak – potwierdziła Jocasta.

– W takim razie chodźmy do pani pokoju. Potem wypełnimy papiery, sprawdzimy, czy wszystko w porządku, podpisze pani formularz zgody i wszystkie tego typu rzeczy. Od szóstej nie pani nie jadła, prawda?

– Nie jadłam.

– To dobrze. Może na początek zmierzę pani ciśnienie.

– Przykro mi, panie Marshall, ale Jocasta wyszła. – Niania była wyraźnie zaniepokojona. – Tak. Wyszła jakieś... sama nie wiem... może pół godziny temu. Przykro mi, ale nie wiedziałam... Co takiego? Czy pojechała taksówką? Tak. Nie, nie, to była minitaksówka. Nie mam pojęcia. Och... proszę chwileczkę zaczekać, kierowca zostawił wizytówkę. Zawsze mnie to złości, a pana? Och, przepraszam, tak, już podaję. Clapham Cars. Czy to coś panu mówi? Tak? Jej numer...

Kate postanowiła wybrać się do Fergusa; doszła do wniosku, że jeśli ludzie ze Smith nie znaleźli nikogo innego, podpisze kontrakt. W końcu to tylko trzy lata, a tyle pieniędzy, że mogłaby się urządzić na całe życie na przykład jako fotograf albo ktoś inny...

Co prawda Josh radził, żeby tego nie robiła, jeśli jato nudzi, ale on już ma furę pieniędzy. Wiedziała, że taka fortuna mogłaby pomóc rodzicom i Juliet. Ponieważ teraz czuła się już znacznie lepiej, uważała, że jakoś poradzi sobie z rozgłosem.

Oczywiście, Fergus będzie zadowolony, a dzięki jej decyzji poprawi się jego sytuacja materialna. Tak więc wszyscy będą szczęśliwi. Jakoś przeżyje te trzy lata.

Peter przeglądał korespondencję, kiedy usłyszał głos Grace.

– Możesz mi przynieść jakieś tabletki? Potwornie boli mnie głowa.

– Oczywiście. Już je niosę. Wszedł. Wyglądała fatalnie.

– Biedactwo. Proszę. Dam ci dwie... Nagle zadzwonił telefon.

– Poradzę sobie sama, Peterze. Dziękuję.

Wyrzuciła na dłoń dwie pastylki i zażyła je. Gdy zaczęła zakręcać przykrywkę, coś ją nagle powstrzymało. Usiadła i wbiła wzrok w buteleczkę. Zostało w niej jeszcze dużo tabletek. Może wziąć garść. To powinno wystarczyć: zadziałać szybko. Głodzenie się zbyt długo trwa i powoduje bardzo złe samopoczucie. Jakiś mądry człowiek wymyślił angielską nazwę dla środków przeciwbólowych. Painkillers – mordercy bólu. Tak, to naprawdę wspaniała nazwa...

– Chodzi panu o panią Forbes?

– Chyba tak... Tak.

– Zaraz sprawdzę. Jest. Zmieniła zgłoszenie. Początkowo jako miejsce wyjazdu podała Haines Road, a potem Old Town. Stamtąd ją zabrałem... tak, już panu podaję. Na Gower Street. Czy wszystko się zgadza?

– Tak, zdecydowanie.

– W porządku. Jest tam GG&O Clinic. Kawalek za Uniwersytetem Londyńskim. Dziś po południu mam ją stamtąd odebrać, wcześniej ma mi jeszcze podać godzinę.

– Dziękuję – powiedział Nick. – Najmocniej dziękuję. Jeśli tego okropnego czynu miała dokonać dziś rano, może właśnie robi to w tej chwili. Lepiej przycisnąć gaz do dechy, jak się wyraził Josh.

– Witaj, Kate, kochanie. Jak zwykle wyglądasz cudownie. Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję, Fergusie. A to co... Przepraszam... To niesamowite, jak młodzi ludzie reagują na komórki – pomyślał Fergus – jakby każda rozmowa była niezwykle istotna, ważniejsza niż wszystko, co się wokół nich dzieje. Często widywał spore grupki nastolatków, z których połowa rozmawiała przez telefon. Bardzo dziwne. Co więcej, wcale nie uważali, że przerwanie prowadzonej wcześniej rozmowy jest sprzeczne z dobrym wychowaniem.

– Przepraszam. Już ją wyłączam. To Ed. Znasz Eda? Chłopaka Marthy?

– Tak. Z tego, co pamiętam, jest dość przystojny.

– Nawet bardzo. Jak się okazuje, mama Marthy, pani Hartley, jest bardzo przygnębiona. Napisałam do nich list. Przyszło mi na myśl, no wiesz, że ona jest moją babcią... to znaczy dodatkową babcią, a była taka miła, że zrobiło mi się jej żal. Pan Hartley mówi, że mój list podniósł ją na duchu. Co prawda nie wiem dlaczego, ale poprosił Eda, żeby mi to przekazał. Szkoda, że nie możemy im jakoś powiedzieć...

– Mam nadzieję, że tego nie zrobisz – wtrącił Fergus z niepokojem. – Uważam, że to byłby kiepski pomysł.

– Daj spokój, Fergusie! Nie jestem taka głupia. Tak czy inaczej, przyszłam, żeby porozmawiać z tobą na temat kontraktu ze Smith. Uważam, że powinnam go podpisać. Czuję się już całkiem inaczej, więc...

Nick przejechał Knightsbridge i skręcił w park. Błagam, Boże, żeby nie było strażników! Byli. Przez chwilę siedział z niepokojem, a potem zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wjechał w Bayswater Road. Tam też był spory ruch, przeciął więc ulicę i zaczął jechać tyłami: kluczył wąskimi uliczkami i placykami, wpychał się przed innych zmotoryzowanych (zaskoczony ich oburzeniem, przecież jechał tak jak zwykle, tylko nieco szybciej), niewiele brakowało, a byłby przejechał dwa psy, jednego kota i śmiertelnie przestraszył jakąś wytworną starszą damę, która – jak często robią to starsze damy – bez rozglądania się weszła na jezdnię. Pogroziła mu pięścią, a kiedy zobaczył ją w lusterku wstecznym, pokazywała jego auto innym przechodniom. Przeciął Baker Street, pokluczył wzdłuż Welbeck, a potem ruszył na północ, myśląc tylko o tym, by

zdążyć na Gower. Raz ujrzał przed sobą znak: „zakaz wjazdu” i „ulica jednokierunkowa”, co mu nie przeszkodziło w nią skręcić. Miał szczęście. Musiał jeszcze znaleźć klinikę na Gower Street. Jakiś mężczyzna poinformował go, że szpital jest na samym końcu. Gdzie on się, do jasnej cholery, podział? O, jest! Nigdzie żadnych parkometrów, tylko podwójne żółte linie.

Nick zostawił samochód i natknął się prosto na strażnika pilnującego ruchu.

– Co pan robi? – spytał strażnik.

– Ratuję życie – odparł Nick.

Najwyraźniej mężczyzna słyszał to już wcześniej.

– Muszę wystawić panu mandat – powiedział.

– Świetnie. Doskonale. To mi się naprawdę podoba. Niech pan się nie waha.

Strażnik spojrzał na niego, a potem, potrząsając głową, zaczął wypisywać mandat.

Nick stanął przed dyskretnymi, świeżo pomalowanymi drzwiami z mosięzną tabliczką: „GG&O Clinic”. Co to jest GG&O? Nacisnął dzwonek. Drzwi się otworzyły z cichym pomrukiem.

W hallu była recepcja, na biurku stał ogromny flakon z kwiatami.

Na lewo od kwiatów siedziała uśmiechnięta młoda kobieta w granatowym kostiumie i kwiecistej bluzce, z krawatem na szyi.

– Dzień dobry – przywitała go. – W czym mogę pomóc?

– Proszę mi powiedzieć, gdzie... gdzie jest moja żona? Przypuszczał, że chętniej mu pomogą, jeśli będzie udawał męża. Usiadł, ciężko dysząc. Czuł się bardzo dziwnie.

– Może mi pan podać jej nazwisko?

– Keeble. Jocasta Keeble.

– A... u kogo miała dzisiaj być?

– Niestety, nie wiem.

Kobieta zaczęła naciskać klawisze. Zdążyłaby napisać książkę – pomyślał Nick. – Albo przynajmniej bardzo długi artykuł. Co za strata czasu i energii! Tylko pomyśleć, że niegdyś wystarczała książka wizyt i ołówki.

– Keeble, mówi pan, Keeble. Nie, na dziś rano nie mam tu nikogo takiego.

Zadzwoił telefon.

– Gower Gynaecology and Obstetrics. Pan Cartwright? Tak, proszę chwileczkę poczekać. Znów poszła w ruch klawiatura.

– Proszę posłuchać – powiedział Nick. – To bardzo pilne. Proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest.

– Chwileczkę. Przepraszam, panie Cartwright, już pana łączę. Uśmiechnęła się do Nicka, tym razem już nie tak uprzejmie jak poprzednio.

– A teraz pan: nie ma na dzisiaj nikogo o nazwisku Keeble. Zdecydowanie.

– Może w takim razie... Forbes?

– Forbes, Forbes... o, jest. Tutaj. Dobrze. Proszę usiąść, a ja powiem doktor Miles, że pan tu

jest. Może pan nalać sobie herbaty albo kawy.

– Nie chcę kawy ani doktor Miles. Szukam... żony.

– Doktor Miles zajmuje się pana żoną. Proszę zdobyć się na odrobinę cierpliwości... Halo? Susan, chodzi o panią Forbes. Jedną z pacjentek doktor Miles. Przyszedł jej mąż. Czy pani Forbes jest na sali operacyjnej?... Ach, tak, rozumiem. Dziękuję... Rozparła się w krzesło i obdarzyła Nicka protekcyjnym uśmiechem.

– Przykro mi, panie Keeble. Pańska żona już wyszła.

Od razu zorientował się, co zrobiła... dziwnie wyglądała. Na jej twarzy pojawiła się mieszanina buntu i podniecenia. Zakrecona buteleczka paracetamolu stała na szafce nocnej. Grace zerknęła na nią. Peter wziął do ręki puste opakowanie.

– Och, Grace, Grace, kochanie, nie powinnaś tego robić. Doskonale cię rozumiem, ale... Boże, muszę zadzwonić do Douglasa... dobry Boże...

Grace zaczęła płakać.

Rada Douglasa Cummingsa była krótka:

– Zawieź ją do szpitala. Natychmiast. To śmiertelna dawka. Niezależnie od tego, w jakim Grace jest stanie, musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Wysłać ci karetkę?

– Nie – powiedział Peter ze znużeniem – to tylko pięć minut drogi. Przywiozę ją.

Miał nadzieję, że nie będzie to ostatnia rzecz, jaką dla niej zrobi. Nick powoli wrócił do samochodu. Miał założoną blokadę. Postanowił, że nie będzie się tym teraz zajmował i po prostu zostawi samochód. Jedyny plus blokady to fakt, że auto jest całkiem bezpieczne.

Był obolały i potwornie zmęczony. Oprócz tego nic nie czuł: ani smutku, ani złości... Dokuczala mu ręka. Przywołał taksówkę i kazał się zawieźć na Hampstead. Wsiadł, wyrzał przez szybę na przygnębiającą Gower Street i na ludzi, szczęśliwych ludzi, którzy żyją w normalnych związkach i mają anormalne rodziny. Za wszelką cenę starał się nie myśleć o Jocaście ani o dziecku, którego właśnie się pozbyła. Nie udało mu się. Miał wrażenie, że już nigdy nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o niej, o tym, jak bardzo ją kochał... wciąż bardzo, bardzo ją kocha... i jak by postąpił, gdyby o wszystkim wiedział. Jednego był pewien: że bardzo chciałby tego dziecka. Myśląc o maleństwie, którego już nie było, Nick poczuł coś dziwnego. Nie bardzo wiedział, co to takiego, ale wydawało mu się, że to duma, poczucie odpowiedzialności i do pewnego stopnia podziw, iż udało im się tak wiele osiągnąć. Jocaście i jemu. Tak. Bez wątplenia chciałby tego dziecka. Oczywiście, to byłoby przerażające: oznaczałoby nie tylko przyjęcie na siebie zobowiązania, ale i całkowitą zmianę stylu życia. Żadne z nich nie miałyby czasu na dostosowanie się, na opanowanie sztuki bycia razem, Nick nie miałby czasu na pogodzenie się z nowymi warunkami. Musiałby w mgnieniu oka przeobrazić się z samotnego mężczyzny w męża i ojca. To byłoby bardzo, bardzo trudne, ale... tego właśnie chciał. Siedział, zaskoczony swoim smutkiem z powodu tego, co stracił, co oboje stracili. Był zadowolony, że nie zobaczył się z Jocastą, bo nie wiedział, co by zrobił. Potem wychylił się do przodu, zastukał w szybę i powiedział do kierowcy:

– Może pan zmienić trasę i zawieźć mnie do Clapham? Na North End Road?

Lekarze powiedzieli, że dzięki błyskawicznej reakcji Petera prawdopodobnie Grace nic złego się nie stanie.

– Problem z paracetamolem polega na tym, że z pozoru nic się nie dzieje, tymczasem w rzeczywistości przez cały czas dokonuje on nieodwracalnych zmian w wątrobie – powiedział Peterowi młody lekarz.

Po opuszczeniu sali, na której leżała Grace, podszedł do pastora, który trzymał się za głowę i cicho szlochał. Młody doktor wciąż nie umiał sobie poradzić ze smutkiem pacjentów, ale jego ojciec też był duchownym, dlatego miły starszy człowiek wydał mu się dziwnie znajomy.

– Naprawdę uważam, że pańska żona wyjdzie z tego bez szwanku. Daliśmy jej silną odtrutkę, oczywiście, przepłukaliśmy żołądek, i teraz śpi. Proszę się nie martwić. Sprawiała wrażenie bardzo spokojnej.

Peter kiwnął głową; nie był w stanie mówić.

– Co prawda jest osłabiona – ciągnął lekarz – i ma swoje lata, ale bardzo chce żyć. Wiem to, bo chwilę przy niej byłem, a ona wciąż powtarzała, że przeprasza. Proszę się nie martwić – rzekł ponownie.

– Spróbuję – powiedział Peter, wycierając oczy. – Dziękuję.

– Może napije się pan herbaty.

– Chętnie.

Pastor patrzył, jak lekarz szybko się oddala, wezwany do następnego pacjenta, następnej sytuacji kryzysowej. Wyglądał zbyt młodo, by obsługiwać apteczkę, a tym bardziej samodzielnie prowadzić oddział nagłych wypadków. Był bardzo szczupły, niemal patykowaty, co dodatkowo podkreślał biały kitel, i przez cały czas włosy spadały mu na oczy.

Nagle młody człowiek odwrócił się i ponownie podszedł do Petera.

– Zapomniałem panu o czymś powiedzieć. Pańska żona twierdzi, że to był wypadek. Powtórzyła to chyba trzykrotnie. Najwyraźniej żałuje swojego postępuku. Myślę, że to dobry znak. W najpoważniejszych przypadkach ludzie nie chcą, żeby ich ratować. Peter mu podziękował, ale wiedział, że Grace bardzo chce odejść. Żeby przyłączyć się do Marthy.

– Telefon do ciebie, Clio. Chyba od tej dziennikarki – oznajmiła Margaret. – Przełączyć ją?

– Tak. Tak, bardzo proszę. Ile osób jeszcze czeka?

– Tylko pani Cudden.

– Niech Bóg ją błogosławi. Powiedz jej, że zaraz ją zawołam, potem odwiozę do domu.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Cześć, Jocasto, jak się czujesz?

– Och, Clio, Clio... – Jocasta zacięła się, a ze słuchawki dochodziły tylko głośnie szlochy.

– Jocasto, kochanie, co się stało? O co chodzi?

– To wszystko było naprawdę okropne. Straszne. Tak się bałam i... o Boże, Clio, proszę, przyjeźdź. Jak najszybciej. Przepraszam, tak mi przykro, już zupełnie dobrze się czuję, tylko...

- Nie powinnaś być sama, Jocasto. Ktoś powinien się tobą zająć. Gdzie jesteś?
- W domu. Naprawdę nic mi nie jest. Wszystko będzie dobrze.
- Mogę przyjechać koło piątej. W porządku?
- Tak. Dziękuję. – Głos jej się łamał.

Clio rozłączyła się i zadzwoniła po panią Cudden. Może uda jej się poprosić nową lekarkę, żeby zastąpiła ją na popołudniowej zmianie.

– Może pan wejść do żony, panie Hartley. – Młoda pielęgniarka uśmiechnęła się do niego uspokajająco. – Trochę się zdrzemnęła. Mówi, że chce wrócić do domu, ale ze względu na jej wiek i całą resztę chcielibyśmy zatrzymać ją na dwa dni. Żeby móc na bieżąco sprawdzać stan jej wątroby i tak dalej. Jak tylko będziemy mieli wolny pokój we Florencji, zaraz ją tam przeniesiemy.

- Dziękuję – powiedział Peter.

Zastanawiał się, ile oddziałów szpitalnych nosi nazwę „Florencja”.

Powędrował zobaczyć się z Grace.

Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit; miała zieloną twarz.

- Witaj, Grace, kochanie.

Odwróciła głowę, spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem.

- Och, Peterze, przepraszam. Popełniłam potworny błąd. Wybacz mi.

– Już ci wybaczyłem. Wybaczyłbym ci wszystko. Wiesz o tym. Tak bardzo cię kocham, Grace.

– Wiem. Ja cię też kocham. Tylko... wszystko straciło nagle sens. Całkowicie. Kiedy spojrzałam na fiolkę, wydawało mi się, że to najlepsze rozwiązanie.

- Wiem, kochanie, wiem.

– Czuję silny ból; nie wiem, jak go znieść. Odnoszę wrażenie, że Bóg nie pomaga mi tak jak tobie. Proszę, wybacz, Peterze.

- Mnie też nie za bardzo pomaga. Czasem mi się wydaje, że już nigdy nie poczuję się lepiej.

- Naprawdę? – spytała.

- Naprawdę. Są chwile, kiedy wydaje mi się, że Bóg całkowicie mnie opuścił.

- Och, Peterze. Nie wiedziałam, myślałam...

– Byłaś w błędzie. Mimo wszystko wiem, że wcześniej czy później mi pomoże. Po prostu muszę poczekać. Ty też. Nie mogę stracić również i ciebie – dodał ze smutnym uśmiechem na ustach. Grace spojrzała na męża. Doszła do wniosku, że nie powinno tak być, mimo to świadomość, że Peter też bardzo cierpi, jakimś cudem jej pomogła. Teraz miała pewność, że przeżywają to razem, że w swoim ogromnym bólu nie jest całkiem sama. Zdołała odpowiedzieć uśmiechem.

- Przepraszam – powiedziała jeszcze raz, a potem: – Pewnie okropnie wyglądam!

- Dla mnie zawsze wyglądasz pięknie.

- Nie mów tak – zaprotestowała, odwracając głowę. Z jej oczu znów popłynęły łzy.

Peter westchnął. Wciąż miała przed sobą długą drogę, ale czuł, że właśnie pokonała kamień milowy. Przynajmniej znów byli razem.

– To ty, Edwardzie?

– Tak, mammo.

Usłyszał w swoim głosie lekką irytację; na przyszłość musi bardziej uważać. Chociaż naprawdę miał tego dość: dzisiaj dzwoniła już drugi raz.

– Edwardzie, mam dla ciebie smutną wiadomość. Żadnych smutnych wiadomości. Nie był w stanie tego znieść.

– Co się stało?

– Biedna pani Hartley...

– Co tym razem?

– Zażyła zbyt dużą dawkę lekarstw. To smutne.

– O nie! Czy...

– Nie, nie, będzie żyła, ale... tylko pomyśl, jak okropnie musi się czuć. Biedaczka. Jest jeszcze w szpitalu. Wiem to od Dorothy, no wiesz, mojej przyjaciółki z klubu kobiet pilnujących wagi...

– Tak, mammo.

– Jest pielęgniarką. Nie powinna mi o tym mówić, ale... przyszło mi na myśl, że pewnie będziesz chciał wiedzieć.

– Tak, dziękuję, że mi powiedziałaś.

Ogarnęło go ogromne przygnębienie; jakie jeszcze efekty przyniesie śmierć Marthy?

– Wyślę jej kartkę.

– Byłbyś taki miły? Może poprosiłbyś tę dziewczynę... Kate?... żeby zrobiła to samo? Uważam, że w pewnych sytuacjach kilka zdań może bardzo pomóc. Uświadamia człowiekowi, że ludzie o nim myślą.

– Na pewno. Zrobię to.

Zadzwoni do niej później. Teraz nie był w stanie.

– Clio? Mówi Fergus.

– O... cześć!

– Jak się miewasz?

– Świetnie, Fergusie. Dziękuję. A ty?

– Bardzo dobrze. Clio, chciałem ci coś powiedzieć...

– Posłuchaj, Fergusie, bardzo mi przykro, ale jestem potwornie zajęta. Za dwie godziny muszę... wyjechać z Guildfordu, a mam poczekalnię pełną pacjentów. Może innym razem...

Fergus odłożył słuchawkę, nawet się nie żegnając. Nick przez chwilę patrzył na mały domek Jocasty i słuchał, jak taksówka się oddala. Prawdę mówiąc, bał się wejść, bał się, co poczuje i jak bardzo wszystko może się zmienić. Jak bardzo zmieniała się Jocasta, z osoby bezpośredniej, nieodpowiedzialnej i szczerzej w istotę niezwykle arogancką, zdolną do wstrętnych oszustw... i

niesamowicie odważną. Bo potrzeba niemałej odwagi, żeby samodzielnie zrobić to, co zrobiła. Przez chwilę kusilo go, żeby odejść, zatrzymać ją w pamięci taką, jaka zawsze była, ale wiedział, że musi się z nią zobaczyć, porozmawiać, dowiedzieć się, kim się stała i dlaczego. Nacisnął dzwonek. Długo nie było żadnej reakcji. Potem usłyszał głos Jocasty:

– Kto tam?

– Nick.

W całkowitej ciszy niemal usłyszał jej szok. Potem spuściła łańcuch i otworzyła drzwi.

Wyglądała okropnie. Była bardzo blada, miała zaczerwienione, opuchnięte od płaczu oczy. Włosy zwisały jej strąkami wokół twarzy, wykręcała w rękach chusteczkę do nosa. Miała na sobie jeden z najgorszych dresów, jakie w życiu widział. Zdobyła się na półuśmiech.

– Cześć!

– Cześć.

– Chcesz wejść?

– Jeśli mogę.

– Oczywiście...

Wprowadziła go do salonu zaskakująco uporządkowanego jak na jej standardy.

– Napijesz się herbaty?

– Nie, dzięki. Jak się czujesz?

– Okropnie.

– Ach!

Nastąpiła długa cisza.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała nagle Jocasta i wybiegła z pokoju.

Z łazienki dobiegły niemiłe odgłosy. Po chwili wróciła bledsza niż poprzednio i znów zaczęła wykręcać w rękach chusteczkę.

– Przepraszam.

– To pewnie skutki znieczulenia – powiedział. Spojrzała na niego, zaskoczona.

– Wiesz?

– Tak, wiem. Właśnie przyjechałem prosto z kliniki. – Z... Nick, kto ci powiedział?

– Jestem całkiem niezłym detektywem – przypomniał jej. – Jak każdy dziennikarz. Powinnaś o tym wiedzieć.

– Tak, ale...

– No, ktoś trochę mi pomógł.

– Przypuszczalnie Clio?

– Nie. To nie ona. Clio nie chciała mi niczego zdradzić. Spojrzał na Jocastę i potrząsnął głową.

– Mądrą decyzję podjąłeś, Jocado. Bardzo mądrą. Dlaczego, do diabła, nic mi nie powiedziałaś? Nie sądzisz, że miałem prawo wiedzieć? O... o dziecku, które było nie tylko twoje, ale i moje. Nasze. Nie przyszło ci na myśl, że chciałbym wiedzieć i móc wyrazić swoją opinię na

ten temat? Jak mogłaś sama zawyrokować, co jest najlepsze dla... dla nas wszystkich? To bardzo aroganckie z twojej strony. Jestem z tego powodu bardzo, bardzo nieszczęśliwy.

– Nieszczęśliwy?

– Oczywiście, Jocasto. Kocham cię, nawet bardzo. Dlaczego uznałaś, że nie powinienem o niczym wiedzieć?

– Nick... czy to znaczy... że chciałbyś mieć dziecko?

– Oczywiście. Może gdybym mógł wybierać, nie zdecydowałbym się na nie w tej konkretnej chwili, ale na pewno nie chciałbym, żebyś... żebyś się go pozbyła. Gdybyś tylko dała mi wybór. Niestety, nie dałaś.

– Och – westchnęła. – Rozumiem.

– Niestety, ja nie rozumiem, jak mogłaś to zrobić. O niczym mi nie mówiąc.

– Widzisz... problem polega na tym...

– Na czym? Chyba nie potrafię przyjąć żadnego usprawiedliwienia.

– Nie usłyszysz żadnych usprawiedliwień. Chodzi o to, Nick – powiedziała powoli, niemal szeptem – że chyba postąpiłam bardzo mądrze. Tak przynajmniej mi się wydaje. Patrzył na nią.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie mogłam tego zrobić – wyjaśniła. – Po prostu nie mogłam. Weszłam na salę, położyłam się i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, co ja właściwie robię, co za chwilę się stanie, a potem po prostu wstałam i wyszłam. Więc... prawdę mówiąc, Nick, nadal jestem w ciąży. Co teraz z tym zrobimy?

Rozdział Czterdziesty Piąty

Clio, pełna złych przeczuc, spojrzała w okna Jocasty. Bała się, że nie będzie jej łatwo. Prawdę mówiąc, już teraz było jej bardzo ciężko. Nie mogła zrozumieć, że ktoś, zwłaszcza ktoś, kogo tak lubi, mógł beztrąsko – w pełnym tego słowa znaczeniu – pozbyć się dziecka. Nie trafiały do niej nawet najbardziej pokretnie uzasadnienia Jocasty, tymczasem teraz będzie musiała się nią zająć.

Lekarka z wahaniem nacisnęła dzwonek. Po dłuższej chwili usłyszała głos przyjaciółki.

– Kto tam?

Słowa Jocasty zabrzmiały dziwnie radośnie, a kiedy otworzyła drzwi, też była zdumiewająco radosna. Miała bladą twarz, ale... tak, bez wątplenia nie kryła zadowolenia. Bardzo szybko wraca do zdrowia – pomyślała Clio, starając się ukryć irytację.

– Cześć, Clio. Pozwól, że cię uściskę. Wejdz. Tak się cieszę, że cię widzę.

– Przyjechałam tak szybko, jak mogłam...

– Wiem. Jesteś istnym aniołem. Dziękuję. Gospodyni powędrowała do salonu, Clio za nią. Jocasta wyglądała na całkiem zdrową. Lekarka uznała, że spokojnie mogła więcej uwagi poświęcić swoim pacjentom.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Okropnie. Wciąż wymiotuję.

– Och, Jocasto, tak mi przykro. Widocznie miałas potwornego pecha. W obecnych czasach ogólne znieczulenie nie powoduje już takich problemów.

– Naprawdę? I tak nie miałabym szansy się przekonać.

– Co takiego?

– Powiedziałam, że i tak nie miałabym szansy się przekonać. Nie byłam znieczulana.

– Nie rozumiem. Nie dali ci niczego?

– Niczego.

– Jocasto...

Clio bacznie jej się przyjrzała. Zobaczyła bladą twarz, ale też błyszczące oczy i uśmiech przyjaciółki.

– Nie zrobiłam tego. Nie pozbyłam się dziecka – wyjaśniła Jocasta. – Wciąż jestem w ciąży. Nie mam bladego pojęcia, jak to przeżyję, ale... nie poddałam się zabiegowi. Po prostu wstałam i wyszłam. Kiedy po mnie przyszli, powiedziałam, że zmieniłam zdanie. Nie kryli oburzenia – dodała.

Clio czuła się tak, jakby ktoś właśnie dał jej niezbity dowód, że ziemia jest płaska. Siedziała i z osłupieniem patrzyła na Jocastę, próbując zajrzeć w głąb własnego serca. W końcu zdała sobie sprawę, co czuje: irytację. Rosnącą irytację.

– Ty idiotko! – rzuciła. – Ty niepoprawna idiotko! Przez ciebie po drodze przekroczyłam dzisiaj wszelkie możliwe ograniczenia prędkości – prawdopodobnie podczas jednego popołudnia

straciłam wszystkie punkty – tak mnie przestraszyłaś, płacząc przez telefon... Och, Jocasto! Z jej oczu również popłynęły łzy.

– Clio, kochanie, nie płacz. Wiem, że ci ciężko, ale...

– Nie – zaprotestowała lekarka, podchodząc i ściskając przyjaciółkę – nie jest mi ciężko. Wcale. Ciężko by mi było, gdybyś usunęła ciążę. Prawdę mówiąc, bardzo, bardzo się cieszę.

– To dobrze, boja też się cieszę. Jestem szczęśliwa, nawet bardzo. Byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdybym przestała wymiotować. Chyba ciąża daje mi w kość za to, że tak zadzierałam nosa.

– Może tak. Powiedziałaś Nickowi?

– Owszem. Przyszedł tu.

– Jak zareagował?

– Był niesamowicie szczęśliwy i podniecony. Póki nie wiedział, że wszystko w porządku, potwornie się denerwował. Nie mogę do końca uwierzyć...

– Jocasto, bardzo nie chciałabym tego mówić... nie, nieprawda, powiem ci to z największą przyjemnością: a nie mówiłam?

– Gdzie jest Nick? – spytała pół godziny później, gdy zrobiła Jocaście herbatkę rumiankową.

– Bóg jeden raczy wiedzieć. Nie, nie, wiem. Szuka swojego samochodu, bo założyli mu blokadę. Mój chłopak zalicza się do tej grupki dziwnych ludzi, którzy ani na chwilę nie mogą się rozstać ze swoim autem, więc pojechał poprosić, żeby zdjęli mu blokadę. Okazało się, że się spóźnił, i nim dotarł na miejsce, jego samochód został gdzieś odholowany. Teraz pewnie go szuka. Idiota – dodała czule.

Zadzwoiła jej komórka.

– Cześć, Kate. Jak się miewasz? O Boże! – Wręczyła telefon Clio.

– Muszę biec do ubikacji. Przepraszam.

Clio spojrzała na nią ze współczuciem i powiedziała:

– Cześć, Kate, to ja, Clio.

– Co się dzieje z Jocastą?

– Jest... boli ją brzusek.

– Biedaczka. Przyjadę do niej i przywiozę jej kwiaty, dobrze?

Jesteśmy razem z Natem w Clapham, kilka minut od jej domu. Znaleźliśmy adres w Od Ado Z.

– Kate, chyba lepiej by było... Nastolatka już się rozłączyła. Jocasta ucieszyła się z zapowiedzianej wizyty.

– Bardzo chętnie ją zobaczę. Naprawdę.

– Nata też? Jesteś pewna?

– No... może przez minutę lub dwie. Wiem, dlaczego przyjeżdża. Wczoraj do mnie dzwoniła: chodzi o kontrakt ze Smith. Zmieniła zdanie i ma zamiar go podpisać.

– Tak? – rzuciła zdawkowo Clio.

Nie chciała słyszeć o Kate i ojej kontrakcie. Ani o Fergusie. Na myśl o Fergusie nagle zrobiło jej się smutno. Oczywiście cieszyła się z powodu Jocasty i Nicka, ale... znów była sama. Całkiem sama. Co gorsza, nie miała żadnej szansy, by to mogło się zmienić. Teraz wiedziała już, po co dzwonił Fergus – żeby powiadomić ją o wspaniałym kontrakcie, jaki załatwił Kate. Był taki niewrażliwy i samolubny.

Wyraźnie szczęśliwa Kate pojawiła się z dużym, choć raczej nieładnym bukietem kwiatów.

– Są śliczne, kochanie – zapewniła ją Jocasta.

– Mam nadzieję. Kupiliśmy je na stacji benzynowej. Nat je wybrał, gdy byłam w ubikacji.

– Są naprawdę bardzo ładne. Dzięki, Nat.

– Nie ma za co. Przykro mi, że źle się czujesz.

– O czym ty mówisz? – spytała zaskoczona Jocasta. – Czuję się wspaniale!

– Naprawdę? – zdziwiła się Kate. – Clio powiedziała, że boli cię brzusek.

– Tak? Nie, to nie brzusek. Będę miała dziecko, Kate. Co ty na to?

Nastolatka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Powiedziałas, że nigdy się na to nie zdecydujesz.

– Wiem, ale... wypadki chodzą po ludziach.

– Taak. – Dziewczyna przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

Potem powiedziała: – Myślę, że to naprawdę super. Mówiłam ci, że będziesz wspaniałą matką. Prawda, Nat?

– Tak – zapewnił z bardzo poważną miną po chwili zastanowienia.

– Przynajmniej możemy mieć taką nadzieję.

Jocasta uśmiechnęła się do niego.

– Ja też mam taką nadzieję.

– Gideon pewnie jest bardzo szczęśliwy.

– To... nie dziecko Gideona – wyjaśniła Jocasta ostrożnie. – Rozwódzimy się.

Kate wyglądała na zdezorientowaną. Trudno się dziwić – pomyślała Jocasta.

– To czyje?

– Nicka.

– Nicka? Twojego byłego chłopaka? Tego, który był na pogrzebie?

– Tak właśnie.

– Och! – Nastolatka przez chwilę trawiła najświeższą wiadomość.

– To znaczy... że teraz wyjdiesz za niego za męża?

– Może. Nick panicznie boi się małżeństwa, ale bardzo się cieszy z dziecka.

– To dobrze. Tak sądzę... chociaż przykro mi z powodu Gideona. Naprawdę go lubię.

– Ja też, Kate. Między nami już wszystko w porządku. Przede wszystkim w ogóle nie powinniśmy brać ślubu. Popelniliśmy głupi błąd. Zwłaszcza ja. Na szczęście wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Świetnie.

Nastolatka najwyraźniej była zakłopotana. Nawet bardzo. Jocasta doszła do wniosku, że pora zmienić temat.

– Teraz powiedz mi wszystko o swoim kontrakcie – zaproponowała. – Podpisałaś go? Kiedy masz zamiar zacząć współpracę?

– W ogóle nie mam takiego zamiaru – odparła dziewczyna. – Nie podpisałam kontraktu. Fergus mi odradził.

– Fergus ci odradził?

– Tak. Pojechałam do niego, bo postanowiłam podpisać umowę, ale on wybił mi to z głowy. Powiedział, że nie wiem, w co się pakuję, że znów znajdę się w centrum zainteresowania prasy i że... Po prostu mi odradził.

Przyznam, że poczułam prawdziwą ulgę – dodała. – Pomimo ogromnych pieniędzy, których w głębi duszy wcale nie chciałam.

– Tak, pieniądze to nie wszystko, prawda? – dorzucił Nat.

– Zdecydowanie. Clio, dokąd się wybierasz? Clio... Clio tak szybko, jak mogła, pojechała do biura Fergususa, po drodze prawdopodobnie zarabiając następne mandaty za przekroczenie prędkości. Modliła się, żeby go jeszcze zastać. Tej sprawy nie mogła załatwić przez telefon. Gdy dojechała do North End Road i budynku, w którym miał biuro, zobaczyła, że Fergus stoi w oknie na pierwszym piętrze i spogląda na ulicę. Sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Zaparkowała w niedozwolonym miejscu, tuż obok skrzyżowania, przebiegła przez ulicę i nacisnęła dzwonek.

Długo nie odpowiadał. Może ją zauważył i teraz nie będzie chciał jej wpuścić? Nie miałyby do niego pretensji. Bardzo nieładnie go potraktowała.

W końcu odezwał się przez interkom.

– Kto tam?

– To ja, Clio. Proszę, wpuść mnie.

– W porządku.

Chyba nie ucieszył się, słysząc jej głos. Wzięła głęboki wdech, otworzyła drzwi i wbiegła po schodach. Siedział w maleńkim pokoiku, który nazywał swoją recepcją, i chłodno jej się przyglądał.

– Cześć.

– Cześć, Fergusie. Przyszłam, żeby... cię przeprosić.

– Co takiego?

– Chcę cię bardzo przeprosić. Za to, że powiedziałam o tobie tyle przykrych rzeczy: że jesteś cyniczny, żerujesz na ludzkim nieszczęściu i w ogóle.

– Rozumiem.

– Byłam w błędzie, nie miałam prawa tak mówić.

– Nie miałaś.

Rozmowa nie wyglądała tak, jak powinna. Może za bardzo go zraniła i nie ma już szans na

wybaczenie? O Boże!

– Fergusie... Naprawdę chcę... ci powiedzieć, AiCZ... AiCZ... ZSZ? bardzo cię lubię... i że przez cały czas za tobą tęskniłam. Nie dalej jak dzisiaj doszłam do wniosku, że byłam naprawdę głupia...

– W porządku – powiedział.

Wciąż patrzył na nią z kamienną twarzą. Okropnie się czuła. Naprawdę musiała za bardzo dać mu się we znaki. No cóż, ma to, czego chciała. Jest żalostną, zadufaną w sobie istotą i nie zasługuje na kogoś takiego jak Fergus. Powinna mu zaufać, powinna wiedzieć, jak wygląda prawda. Ponownie na niego spojrzała. Wciąż miał kamienną twarz.

– Tak – rzekła w końcu drżącym głosem. – To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Co musiałam ci powiedzieć. Odwróciła się w stronę drzwi. Będzie szczęśliwa, jeśli uda jej się wyjść bez płaczu.

– Dokąd idziesz?

– Nie wiem. Chyba do domu. Do Guildfordu.

– Nie – zaprotestował. – Na pewno nie.

– Co takiego?

– Zostajesz ze mną.

– Tutaj?

– Tak – potwierdził. – Nigdzie nie wyjdiesz. Kocham cię.

– Kochasz mnie? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak. Kocham cię. Nawet bardzo. Ty idiotko – dodał.

– Grace, kochanie, masz gości. – W głosie Petera słychać było zaniepokojenie. – Czy mogę ich do ciebie przyprowadzić?

– Sama nie wiem... Jestem taka zmęczona.

– Nie zabawimy długo, proszę pani.

– Och! – wykrzyknęła, a wszyscy usłyszeli w jej głosie prawdziwą radość. – Ed! Jak miło. Przyprowadź go, Peterze.

– Jest nas dwoje – uprzedził młodzieniec. – Przyprowadziłem Kate.

Wyprawę do pani Hartley zorganizowali dosłownie pod wpływem impulsu. Ed zadzwonił do Kate i powiedział jej, że Grace jest w szpitalu. Dziewczyna obiecała, że napisze kartkę. Potem oznajmił, że na najbliższy weekend wybiera się do Binsmow, bo jeden z jego kolegów urządza przyjęcie.

– Szerokiej drogi – powiedziała. Chwilę później zadzwoniła.

– A może pojechałabym z tobą? – zaproponowała. – Żeby ją odwiedzić. Tylko na chwilę.

– To zbyt długa droga, Kate, na krótką wizytę – ostrzegł Ed.

– Nieważne. Nat może mnie przywieźć. Kupił nowe koła do swojego samochodu i koniecznie chce je pokazać całemu światu.

– Rozumiem. Jakie to auto?

- Sax.
- Saxbomb?

Ed wyraźnie był pod wrażeniem. Faceci więcej myślą o swoich samochodach niż o czymkolwiek innym – uznała Kate.

- Taak.
- O kurczę! A może... mnie by też zabrał?
- Nie ma sprawy. Nat bardzo lubi chwalić się swoim autem.
- W takim razie w porządku, ale wcześniej go spytaj.
- Nie muszę – zapewniła. – Będzie szczęśliwy. Powiem mu – dodała.
- Świetnie. Dzięki.

Jest jedyna w swoim rodzaju – pomyślał Ed, wyłączając telefon. Naprawdę fantastyczna, zabawna i wyjątkowo bystra. Bardzo ją polubił. Oczywiście nigdy się w niej nie zakocha.

Była córką Marthy i dlatego takie rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w rachubę, ale jakimś cudem dodawała mu otuchy. Przy niej nie odczuwał takiej rozpacz. Nie była Martha, a jednak... chwilami bardzo ją przypomina. Na przykład głosem.

Poza tym śmiała się tak samo jak Martha. I miała jej duże ciemne oczy. To chwilami sprawiało mu ogromny ból, a jednocześnie przynosiło ukojenie.

– Proszę, oto chora. Jest w domu zaledwie od dwóch dni i wciąż jeszcze bardzo szybko się męczy, ale... kilka minut jej nie zaszkodzi.

- Dzień dobry pani – powiedział Ed. – Jak się pani miewa?
- Och... trochę lepiej.
- Pamięta pani Kate?
- Oczywiście. Bardzo się cieszę, że przyjechaliście, kochani.
- Super. To dla pani.

Tym razem Helen wybrała dla niej kwiaty; były naprawdę piękne.

– Jak miło! Peterze, wstaw je do wody. Pokonaliście taki kawał drogi – powiedziała starsza pani do Kate.

– Nie szkodzi. Przywiózł nas mój chłopak. Poszedł do sklepu, poszukać czegoś do swojego samochodu – dodała, obawiając się, że Grace zaprosi i Nata.

- Rozumiem. Ile masz lat, Kate?
- Szesnaście.
- Wciąż chodzisz do szkoły?
- Tak.
- A co chcesz robić w przyszłości?
- Chciałabym zostać fotografem, ale chwilami zastanawiam się, czy nie pójść na prawo.
- Na prawo?! O mój Boże! Jak Martha.
- Taak. I Ally McBeal.
- Kto taki, kochanie?

- Ally McBeal. Prawniczka z telewizji. Powinna pani obejrzeć, to naprawdę dobry serial.
- Poszukam. Jak się miewa Jocasta? Mogę o to spytać, prawda?
- Naturalnie – zapewniła Kate. – Świetnie. Spodziewa się dziecka.
- Dziecka?! Jak miło! Bardzo się cieszę.
- Tak. – Kate zerknęła na Eda, a potem dodała: – Przesyła pani serdeczne pozdrowienia.

Powiedziała, że...

- Tak? Co takiego powiedziała?
- Że jeśli urodzi dziewczynkę – dokończyła Kate, uśmiechając się słodko do Grace – da jej na imię Martha.

Koniec